

James Fenimore Cooper

PILOT

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Fal nieprzyjaznych ciągle płąsy

I chlust, i chlupot wciąż u burt.

Pieśń

Jedno spojrzenie na mapę zapozna czytelnika z położeniem wschodnich wybrzeży Wielkiej Brytanii i przeciwległych jej wybrzeży kontynentu. Otaczają one małe morze, które od wieków znane było światu jako szranki walk morskich i wielki trakt dla handlowych i wojennych flot narodów północnej Europy. Wyspiarze dawno ogłosili się panami; tego morza, na co rozum nie pozwoliłby żadnemu z państw i co prowadziło do częstych konfliktów, przelewu krwi i poważnych strat, zupełnie dysproporcjonalnych w stosunku do korzyści, jakie przynieść może przestrzeganie bezużytecznego i zmyślnego prawa. I właśnie po tych spornych wodach spróbujemy oprowadzić czytelnika w wyobraźni. Czas, kiedy zaszły te wydarzenia, powinien interesować każdego Amerykanina nie tylko dlatego, że był to czas tworzenia się jego narodu, ale i dlatego, że to początek ery, kiedy rozum i rozsądek zaczęły zastępować zwyczaje i feudalne przesady kierujące losami narodów.

Wkrótce po wybuchu Rewolucji, gdy do walki przystąpiły królestwa Francji i Hiszpanii, a także Republika Holenderska, kilku wieśniaków stało na polu wystawionym na działanie wichrów morskich na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii. Ludzie próbowali uprzyjemnić sobie ciężką pracę i rozweselić się w posępny dzień grudniowy, wypowiadając proste sądy na temat polityki. Od dawna krążyły wieści, że Anglia prowadzi wojnę z jakąś kolonią spoza Oceanu Atlantyckiego, ale słuchali ich jednym uchem, jak zawsze pogłosek- o rzeczach dalekich i nieciekawych. Dopiero kiedy narody, z którymi Anglia zwykła była walczyć, wmieszały się do sporu, szczęk broni zamącił spokój nawet tych odciętych od świata i niepiśmiennych wieśniaków. W dyspacie głos zabierał głównie szkocki handlarz bydła, upatrujący sposobnej chwili, by ubić interes z właścicielem poletka, i robotnik irlandzki, który przepłynął kanał i zawędrował tak daleko w głąb wyspy w poszukiwaniu pracy.

— Negry to furda dla starej Anglii, nie licząc nawet Irlandii, gdyby Francuzi i Hiszpanie się nie wmieszali — rzekł robotnik. — Nie ma im za co dziękować, bo człek w tych czasach nie może więcej pociągnąć z butelki niż ksiądz podczas mszy świętej, jeśli nie chce obudzić się w żołnierskiej skórze.

— Ba, tam u was, w Irlandii, aby zwerbować armię, robi się bęben z beczki od whisky — odparł handlarz mrugając na słuchaczy. — Na północy wystarczy zagrać na kobzie, a lud wali za muzyką tak ochoczo jak w niedzielę do kościoła. Widziałem listę całego regimentu górskiego na tak małym kawałku papieru, że zakryłaby go rączka damy. Same Camerony i M'Donaldy, choć pomaszzerowało sześciuset ludzi. Ale co widzę! Ten młodzik za bardzo chce się dostać na ląd, a jeżeli dno morskie choć trochę podobne jest do powierzchni, jak nic może się rozbić.

Ta nieoczekiwana zmiana tematu skierowała oczy wszystkich w stronę, w którą handlarz wskazywał swym kijem. Ku niezmiernemu zdumieniu grupki mężczyzn mały statek opływał właśnie

cypel lądu, który tak jak pole, gdzie stali, odgradzał zatoczkę od pełnego morza. W wyglądzie tego niezwykłego gościa było coś szczególnego, budzącego zdumienie tym większe, że pojawił się na takim pustkowiu. Tylko najmniejszy statek, i to niezbyt często, a od czasu do czasu jakiś szalony przemytnik odważał się przybić do lądu mijając mielizny i podwodne skały. Śmiali żeglarze, co tym razem przedsięwzięli tę karkołomną wyprawę, na pozór tak niebaczenie, płynęli na czarnym, płytkim szkunerze. Kadłub jego zupełnie nie pasował do pochyłych masztów podtrzymujących reje coraz mniejsze, a w samej górze podobne rozmiarami do łopoczącego leniwie wimpla, który bezskutecznie próbował rozwinąć się na lekkim wietrzyku.

Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi i ostatnie skośne promienie słońca ślizgały się po brunatnych falach, smużyły je tu i ówdzie bladą poświatą. Burzliwe wichry znad Oceanu Niemieckiego zdawały się uspięne i chociaż ustawiczny szum fał na brzegu sprawiał, że okolica o tej porze wyglądała jeszcze bardziej ponuro, lekkie tchnienie marszczące gładką powierzchnię szło od lądu. Mimo tej pomyślnej okoliczności było coś groźnego w wyglądzie oceanu, który wydawał głucho, otchłanne szmery jak wulkan w przeddzień wybuchu. Wszystko to pogłębiało zdumienie i lęk wieśniaków obserwujących dziwnego gościa. Wyłącznie pod grotzagle i jednym z małych kliwrów, jakie wystają daleko poza dziób, statek ślizgał się po wodach z wdziękiem i łatwością, która widzom wydawała się magiczna. Spoglądali to na szkuner, to po sobie zdumionymi oczyma. W końcu handlarz rzekł cicho i uroczyście:

— Szalona pała stoi tam u steru. I jeżeli ta łupina poszyta jest drzewem jak brygantyny żeglujące między Londynem i Frith, naraża się na zbytnie niebezpieczeństwo. A teraz mija tę wielką skałę, która pokazuje głowę przy odpływie. Tak czy owak, żaden śmiertelnik długo nie utrzyma się na tym kursie, żeby nie pójść na dno.

Mały szkuner jednak wciąż płynął między ławicami i skałami, czyniąc tylko małe odchylenia od kursu, co dowodziło, że kapitan zdaje sobie sprawę z ryzyka. Wreszcie statek zapuścił się w zatokę, na ile pozwalał zdrowy rozsądek, żagle zwinęły się, jakby bez pomocy rąk ludzkich, szkunerem zakołysały długie fale docierające z oceanu, zdryfował w nurcie przyływu i szarpnął się na kotwicy.

Wówczas wieśniacy zaczęli się gubić w domysłach. Jedni utrzymywali, że to statek z kontrabandą, drudzy, że wrogie ma zamiary i że to statek wojenny. Padło podejrzenie, czy to nie widmo, bo czyż statek zbudowany i prowadzony przez ludzi ważyłby się wpłynąć na tak niebezpieczne wody, i to w czasie, kiedy byle szczer lądowy potrafił przepowiedzieć sztorm. Szkot, który cechował się właściwą swym rodakom bystrością umysłu, ale i wiarą w zabobony, przychylił się do tej opinii ostrożnie, pełen przesadnego lęku, ale syn Erinu, który najwyraźniej nie miał wyrobionego zdania, przerwał mu okrzykiem:

— Na Boga! Jest ich dwa! Duży i mały! Widocznie koboldy morskie tak samo lubią towarzystwo, jak i dobrzy chrześcijanie!

— Dwa! — powtórzył handlarz bydlą. — Dwa! Nie wyjdzie to na zdrowie temu, kto je widział. Dwa okręty żeglujące bez załogi w miejscu, gdzie gołym okiem nie dostrzeże się niebezpieczeństwa, to zły znak dla każdego, kto je widzi. A ten drugi! Patrzajcie, patrzajcie, co za piękny okręt, jaki wielki! — Przerwał, podniósł z ziemi zawiniątko i ogarnawszy szybkim spojrzeniem oba statki, kiwnął głową słuchaczom z wielką powagą. Zabierając się do odejścia podjął wątek rozmowy:

— Nie dziwiłbym się, gdyby wiózł listy werbownicze króla Jerzego. Tak, tak, wolę wracać do miasta i pogadać z ludźmi, bo te duże okręty wydają mi się podejrzane. Mały z łatwością może porwać człowieka, a na duży zmieścilibyśmy się wszyscy.

Ta roztropna przestroga wywołała powszechne poruszenie wśród wieśniaków, gdyż po kraju krążyły alarmujące wieści. Gospodarze pozbiali narzędzia i pociągnęli ku wsi. Wiele ciekawych oczu śledziło ze wzgórz okolicznych manewry statków, ale do skał okalających zatoczkę nie zbliżał się nikt oprócz tych, którzy mieli szczególne powody zainteresowania tajemniczymi gośćmi.

Statek, co wywołał tyle niepokoju, był rzeczywiście pięknym żaglowcem, którego olbrzymi kadłub, strzeliste maszty i poziome reje majaczyły ponad morzem w mgłach wieczornych na kształt dalekiej góry wyrastającej z głębi. Niewiele żagli widniało na jego masztach, a choć nie podchodził tak blisko brzegu jak szkuner, najwyraźniej wykonywał te same manewry i nie ulegało wątpliwości, że przyplłynął tu w tym samym celu. Fregata — gdyż taki to był statek — weszła majestatycznie na falach odpływu do małej zatoczki, z szybkością wystarczającą ledwie, by można nią było sterować, aż dotarła do miejsca, gdzie stał jej współtowarzysz, wówczas wykręciła pod wiatr i manewrując żaglami usiłowała stanąć w miejscu. Jednakże lekkie tchnienie, które momentalnie wypełniło ciężkie płachty żagli, zamarło i znikły zmarszczki na grzbietach fal pędzonych z oceanu. Prądy i fale szybko gnały fregatę ku jednemu z cyplów przy ujściu rzeki, gdzie czarne skały wybiegały daleko w morze, toteż załoga spuściła kotwicę i zrzuciła żagle. Kiedy statek wykręcił, pchany odpływem, wielka bandera ukazała się na szczycie masztu; wiatr ją rozwinął i oczom ludzi ukazał się czerwony krzyż na białym polu, zdobiący flagę Anglii. Tyle zobaczył nawet ostrożny handlarz, oglądając się poza siebie, kiedy jednak z obu statków spuszczone łodzie, przyspieszył kroku i zapewnił ciekawych i zdumionych towarzyszy, że lepiej oglądać oba te statki z daleka niż z bliska.

Liczni marynarze zeszli z fregaty do łodzi, a kiedy stanął w niej oficer z młodym pomocnikiem, odbili od burty. Rytmicznymi uderzeniami wiosła kierowali łódź wprost ku brzegowi. W chwili gdy mijali szkuner, lekki welbot z czterema atletycznymi mężczyznami u wiosła odskoczył od burty i raczej tańcząc na falach niż prując wodę, przeciął kurs szalupy ze zdumiewającą szybkością. Kiedy łodzie zbliżyły się do siebie, załoga na znak oficerów złożyła wiosła. Łodzie unosiły się spokojnie na fali, a przez ten czas odbyła się następująca rozmowa:

— Nasz stary zwariował! — zawołał młody oficer z welbotu. — Myśli, że dno „Ariela” jest z żelaza i skała nie może wybić w nim dziury! A może przypuszcza, że moja załoga to krokodyle, które nigdy nie utoną!

Blady uśmiech zaigrał na ustach przystojnego młodego człowieka, rozpartego wygodnie na rufie szalupy, gdy odparł:

— Zbyt dobrze zna twoją ostrożność, kapitanie Barnstable, aby miał się obawiać, że rozbijesz statek i potopisz załogę. Jak macie głęboko?

— Boję się sondować — odparł Barnstable. — Nigdy nie mam odwagi tknąć sondy, kiedy skały wyłazą z wody jak delfiny, które chcą zaczerpnąć powietrza.

— Ale żeglujesz po wodzie, człowieku! — zawołał oficer z gwałtownością dowodzącą ognistego

temperamentu.

— Po wodzie! — powtórzył jego przyjaciel. — Hej, mały „Ariel” potrafiłby żeglować w powietrzu! — Z tymi słowy Barnstable stanął w czólnie. Uniósł czapkę marynarską. Odgarnął gęste, czarne loki opływające opaloną twarz i dumnym wzrokiem marynarza objął swój statek. — Ale to wielkie ryzyko, panie Griffith, stać na jednej kotwicy w taką noc. Jakie są rozkazy?

— Podpłynę do skał i stanę na dradze. Zabierzesz ode mnie pana Merry i spróbujesz prześliznąć się na plażę.

— Plażę? — zdumiał się Barnstable. — Nazywasz tak pionową skałę wysokości stu stóp?

— Nie będziemy klócić się o słowa — rzekł Griffith z uśmiechem. — Dość, że musisz dostać się na brzeg. Dostrzegliśmy sygnał z lądu i wiemy, że pilot, na którego czekaliśmy tak długo, gotów jest do drogi.

Barnstable potrząsnął głową w zamyśleniu, mrużąc pod nosem:

— Komiczna żegluga. Najpierw wpływa się do nieuczęszczanej zatoki, pełnej skał, ławic i płycizn, a potem ściąga się z jej brzegów pilota. Ale jakże ja go poznam?

— Merry poda wam hasło i powie, gdzie go szukać. Wylądowałbym sam, ale to sprzeciwia się otrzymanym rozkazom. W razie jakiejś przeszkody podnieś trzy wiosła piórami do góry, a przybędę na pomoc. Trzy wiosła wzniesione rękojeściami do góry i wystrzał z pistoletu ściągną na waszych przeciwników ogień naszych muszkietów, a ten sam znak powtórzony przez szalupę ściągnie ogień baterii ze statków.

— Dzięki, dzięki — rzekł Barnstable z nonszalancją. — Sam chyba sprostam nieprzyjaciołom, jeśli spotkam ich na tym wybrzeżu. Ale nasz stary zwariował naprawdę. Chciałbym...

— Musiałbyś słuchać jego rozkazów, gdyby był tutaj, a teraz zechcesz usłuchać moich — rzekł Griffith tonem, któremu kłamał zadawał życzliwy wyraz jego oczu. — Na brzeg więc i dawaj baczenie na niskiego człowieka w szarej kurcie. Merry da ci hasło, a jeśli ten na nie odpowie, przywieź go na szalupę.

Oficerowie skinęli sobie przyjaźnie głowami, a kiedy chłopiec zwany panem Merry przedostał się z szalupy na welbot, Barnstable opadł na ławkę i dał sygnał wiosłarzom, którzy pochyliłi się nad wiosłami. Lekka łódź szybko odbiła od szalupy i zuchwale pomknęła ku skałom. Czas jakiś trzymała się równolegle do brzegu w poszukiwaniu odpowiedniego przejścia, potem, wykręciwszy nagle, dostała się poprzez kipieli na miejsce, gdzie można było bezpiecznie lądować.

Szalupa posuwała się również, ale w pewnej odległości i w wolniejszym tempie, kiedy zaś jej załoga zobaczyła, że welbot przybija do nadbrzeżnego głązu, wyrzuciła drągę za burtę i wzięła się do opatrywania broni, aby ją mieć w pogotowiu. Wszystko zdawało się dziać wedle z góry wydanych rozkazów, gdyż młody oficer, przedstawiony czytelnikom jako Griffith, rzadko się odzywał, a kiedy coś mówił, to tonem nie znoszącym sprzeciwu, jak człowiek przywykły do posłuchu. Marynarze

wybrali linę i szalupa podeszła do drągi. Griffith wyciągnął się na miękko wyłożonej ławce i nacisnąwszy niedbale czapkę na oczy, trwał pogrążony w myślach zupełnie nieodpowiednich w tej sytuacji. Od czasu do czasu podnosił się i rzucał szybkie spojrzenie na towarzyszy na brzegu, a potem wybiegał wzrokiem ku pełnemu morzu. Zaduma, która często przyoblekała mu rysy maską obojętności i bezwładu, ustępowała miejsca bystremu i czynnemu spojrzeniu żeglarza doświadczonego ponad wiek. Dzielna załoga o twarzach wysmaganych wiatrem, poczyniwszy przygotowania na wypadek bitwy, czekała w głębokim milczeniu, z rękoma w zanadrzu kurt. Śledzili z niepokojem każdą zbierającą się w powietrzu chmurę i wymieniali pełne troski spojrzenia, ilekroć łódź wzniosła się wyżej niż zwykle na jednej z długich, odbitych od dna fal, które nadbiegały od oceanu z coraz to większą furją i mocą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niech płaszcz konnego dokładnie ukryje

Wdzięk lwrej postaci, twą kibić i szyję.

Bądź jeno śmiała, wzrok cię nie dosięże,

Między mężami i ty zdasz się mężem.

Prior

Kiedy welbot podpływał do skał, młody porucznik zwany zazwyczaj kapitanem, ponieważ dowodził szkunerem, wyskoczył na nadbrzeżne głazy w towarzystwie praktykanta oficerskiego, który z szalupy przeniósł się do jego łodzi, by pomóc mu w ryzykownym przedsięwzięciu.

— Dobrze będzie, jeżeli wdrapiemy się po tej drabinie Jakuba — rzekł Barnstable podnosząc oczy na stromiznę — a jeszcze nie wiadomo, jak zostaniemy przyjęci na górze.

— Jesteśmy w zasięgu armat fregaty — zauważył chłopiec — i niech pan pamięta, sir, że wznesione trzy wiosła i wystrzał pistoletowy z szalupy ściągną ogień.

— Tak, na nasze głowy. Chłopcze, nigdy nie rób tego szaleństwa i nie polegaj na artylerii, która strzela z daleka. Narobi dużo huku i dymu, ale to diablo niepewny sposób miotania starym żelastwem. W takiej jak ta potrzebie liczyłbym raczej na harpun w ręku Toma Coffina niż na najskuteczniejszą salwę dziewięćdziesięciodziałowego trójpokładowca. Chodźcie, pozbierajcie swe, kończyny i spróbujcie przejść się po terra firma", Coffin.

Marynarz o tym ponurym nazwisku powstał flegmatycznie od steru i zdawał się wznosić coraz wyżej w powietrze, w miarę jak prostował niezmiernie długie ciało. Miał sześć stóp i sześć cali wysokości, ale zwykle trzymał się zgarbiony, co było rezultatem przebywania w ciasnych okrętowych pomieszczeniach. Był zbyt suchy jak na dobrze zbudowanego mężczyznę, ale ogromne, kościste i żylaste ręce świadczyły o olbrzymiej sile. Na głowie miał mały, niski, sklepiony kapelusik z brązowej wełny, który przydawał wyrazu szczególnie surowego i uroczystego tej twarzy o rysach ostrych i wydatnych, obramowanej czarnym, ale siwiejącym już zarostem. Jedna jego dłoń jakby instynktownie zacisnęła się na rękojeści harpuna, który wsparł o skałę, gdy na rozkaz dowódcy wylazł z łodzi, gdzie zajmował tak niewspółmiernie mało miejsca.

Kapitan Barnstable poczuł się pewniejszy i wydawszy pozostałym w łodzi ludziom parę rozkazów, zaczął się drapać na skały. Mimo niezwykłej odwagi i zręczności nic by nie wskórał, gdyby w trudnych chwilach nie przychodził mu z pomocą Coffin, który dzięki swej sile i wzrostowi dokazywał sztuk niewykonalnych dla przeciętnego śmiertelnika. Na parę stóp od wierzchołka zatrzymali się na występie skalnym, by nabrać tchu i naradzić się, bez czego nie sposób było iść dalej.

— Złe miejsce ,do cofania się, gdybyśmy trafili na nieprzyjaciela — rzekł Barnstable. — Gdzie

mamy szukać tego pilota, panie Merry, po czym go poznamy i skąd pewność, że nas nie zdradzi?

— Pytanie, które ma pan mu zadać, jest wypisane na tym oto kawałku papieru — odparł chłopiec i wręczył mu hasło. — Daliśmy sygnał z tamtego cypla, ale musiał widzieć naszą łódź, więc wyszedł nam pewno na spotkanie. Co zaś do możliwości zdrady, cieszy się on zaufaniem kapitana Munsona, który wypatruje go pilnie od chwili, gdy zbliżyliśmy się do lądu.

— Tak — mruknął porucznik — a ja nie mniej bacznie będę go wypatrywał teraz, kiedy jesteśmy na lądzie. Nie podoba mi się opływanie brzegu z tak bliska, ani też nie pokładam w nikim tak wielkiego zaufania. Co myślicie o tym, panie Coffin?

Zagadnięty przez dowódcę wyga zwrócił ku niemu swe poważne oblicze i odpowiedział z namaszczaniem:

— Kiedy mam dobre żagle, a przed sobą pełne morze, nic mi po pilotach, sir. Co do mnie, to urodziłem się na czebakio i nigdy nie mogłem zrozumieć, na co się zda więcej lądu niż jakaś mała wysepka, by mieć grunt pod uprawę warzyw i miejsce do suszenia ryb. Na widok ziemi zawsze czuję się nieswojo, chyba że mamy wiatr prosto od lądu.

— Widać, że masz olej w głowie, Tom — rzekł Barnstable pół drwiąco, pół serio. — Ale czas w drogę. Słońce dotyka właśnie chmur nad morzem, a niech nas Bóg strzeże od stania tu w nocy na kotwicach.

Uchwyciwszy się wystającego głazu, Barnstable podciągnął się do góry i po paru karkołomnych susach stanął na krawędzi urwiska. Coffin podsadził praktykanta w ślad za dowódcą, sam zaś poszedł za nim ostrożniej jeszcze, ale z mniejszym wysiłkiem.

Kiedy wszyscy trzej stanęli na płaskowyżu, zaczęli rozglądać się po okolicy ostrożnie a ciekawie. Dokoła ciągnęły się grunty uprawne, poprzecinane jak wszędzie żywopłotami i murami. Jedna tylko mała, zrujnowana chatka widniała o jaką milę od nich, reszta bowiem siedzib ludzkich znajdowała się możliwie najdalej od mgieł i wyziewów morza.

— Nic tu nam nie zdaje się grozić, ale nie ma i tego, kogo szukamy — rzekł Barnstable ogarnawszy wzrokiem całe pole widzenia. — Obawiam się, panie Merry, że wylądowaliśmy na darmo. Co powiesz na to, Długi Tomie? Czy widzisz tego, kogo szukamy?

— Nie widzę nigdzie pilota, sir — odparł zapytany — ale i tak nie jest jeszcze najgorzej, bo tam pod krzakami widzę trochę świeżego mięsa, którego wystarczy na podwójne racje dla załogi „Ariela”.

Praktykant roześmiał się pokazując Barnstable'owi przedmiot zainteresowań Coffina. Był to tłusty wół, który spokojnie przeżuwał paszę pod pobliskim żywopłotem.

— Wiele mamy zgłodniałych ludzi na pokładzie — rzekł wesoło — którzy chętnie poparliby propozycję Długiego Toma, gdyby czas i okoliczności pozwalały nam ubić zwierzę.

— Pierwszy lepszy fuszer dałby sobie z nim radę, panie Merry — odparł Tom; bez drgnienia

muskułów twarzy uderzył potężnie końcem harpuna o ziemię i pochylił broń jak do ciosu. — Niech tylko kapitan Barnstable powie słowo, a przebiję bydlę na wylot. Wpakowałem to żelazo w niejednego. wieloryba, co miał nie taką warstwę tłuszczu, jak ten wół.

— Dość! Nie jesteśmy na wyprawie wielorybniczej, kiedy wszystko dobre, co się pod rękę nawinie — rzekł Barnstable zniecierpliwiony, odwracając wzrok od zwierzęcia, jakby sam sobie nie ufał. — Ale baczność! Ktoś idzie za żywopłotem. Pistolet do ręki, panie Merry! Możemy najpierw usłyszeć strzał.

— Barnstable, kochany Barnstable! Byłżebyś zdolny mnie skrzywdzić?

Marynarz, tak nieoczekiwanie wezwany po imieniu, cofnął się parę kroków, stracił czapkę z głowy, przetarł oczy i zawołał:

— Co ja słyszę? Co widzę? Tam stoi „Ariel”, a tam fregata. Czyżby to panna Katarzyna Plowden?

Ale jeśli mógł mieć jeszcze jakie wątpliwości, prysły one natychmiast, gdyż domniemany młokos osunął się na nasyp z wstydlivością iście niewieścią, zadającą kłam męskiemu przebraniu, i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

Wszelka myśl o służbie, o pilocie, a nawet o „Arielu” odbiegła natychmiast marynarza, który przeskoczył nasyp, usiadł koło panny i sam zaczął się śmiać nie wiadomo z czego.

Kiedy rozbawiona dziewczyna odzyskała trochę równowagi umysłu, zwróciła się do Barnstable'a, który pozwalał jej bawić się swoim kosztem.

— To nie tylko niemądrze z mojej strony, ale i okrutnie — rzekła. — Winnam wyjaśnienie, skąd się tu znalazłam i co oznacza to niezwykle przebranie.

— Rozumiem wszystko — zawołał Barnstable. — Dowiedziałaś się, że jesteśmy tutaj, i pobiegłaś dotrzymać obietnicy danej mi w Ameryce. Nie pytam o więcej. Kapelana mamy na fregacie.

— Może sobie nauczać z równie marnym jak zwykle rezultatem — przerwała mu niewiasta w przebraniu — ale póty nie zgodzę się na małżeństwo, póki nie osiągnę celu przyświecającego mi w tej ryzykownej wyprawie. Zwykłeś być mniej samolubny, Barnstable. Czy chcesz, abym zapomniała o szczęściu innych?

— O kim mówisz?

— O mojej biednej, oddanej kuzynce. Słyszałam, że dwa okręty, podobne z opisu do waszej fregaty i „Ariela”, kręcą się u wybrzeży, i od razu postanowiłam się z wami porozumieć. Przez tydzień szłam za wami w tym przebraniu, ale dopiero dziś dopięłam swego. Dziś podeszliście bliżej brzegu niż zwykle i, na szczęście, ryzyko się opłaciło.

— Tak, Bóg jeden wie, jak blisko jesteśmy lądu! Ale czy kapitan Munson zdaje sobie sprawę, że chcesz dostać się na jego statek?

— Naturalnie, że nie. Nie wie nikt prócz ciebie. Miałam nadzieję, że Griffith i ty, dowiedziawszy się o naszym położeniu, zdecydujecie się na pewne ryzyko, żeby nas uwolnić. W tym liście apeluję do waszej rycerskości i daję wskazówki, którymi powinniście się kierować.

— Kierować! — przerwał jej Barnstable. — Chcesz nas wypilotować z zatoki ty, we własnej osobie?

— A więc jest ich dwóch! — ozwał się głos w pobliżu. , Przestraszona niewiasta krzyknęła i porwawszy się na nogi, instynktownie poszukała opieki u boku narzeczonego Barnstable, który rozpoznał głos Długiego Toma, ze zmarszczoną brwią spojrział ku miejscu, gdzie sponad płotu wyglądało poważne oblicze, i zażądał wyjaśnień.

— Nie widząc was, sir, ani wiedząc, gdzie pościg mógł was zaprowadzić, pan Merry zdecydował wyprawić mnie na zwiady. Mówiłem mu, że zajęci pewnie jesteście, sir, przetrząsaniem worków z pocztą znalezionych u tego gońca, zważywszy jednak, że pan Merry jest oficerem, ja zaś prostym marynarzem, uczyniłem, jak mi kazano.

— Wracaj, Tom, gdzie kazałem wam zostać — rzekł Barnstable — i powiedz panu Merry, by czekał na moje rozkazy.

Coffin rzucił zwykle: „Tak, sir”, jak przystało subordynowanemu marynarzowi, nim jednak odszedł od żywopłotu, wyciągnął muskularne ramię w stronę oceanu i rzekł głosem uroczystym, dobrze malującym jego obawy i usposobienie:

— Pierwszy uczyłem pana, jak refować żagle. Tak, kapitanie Barnstable, o ile mnie pamięć nie myli, nie potrafił pan zaciągnąć dwóch półszytków, kiedy po raz pierwszy zjawił się pan na pokładzie „Spalmacity”. Tych rzeczy człowiek uczy się prędko, ale całe życie trzeba spędzić na morzu, by znać się na pogodzie. Pokazują się baranki u wejścia do zatoki, co mówi wyraźnie każdemu, kto się na tym zna, mówi tak wyraźnie, jakbyście to wy, sir, wołali przez tubę, że trzeba skracać żagle. Nadto, czy nie słyszycie, sir, jęków morza, które ostrzega, że niezadługo obudzi się ze snu.

— Tak, Tom — odparł oficer podchodząc do krawędzi urwiska i rzucając doświadczonego okiem żeglarza na posępny ocean — rzeczywiście zbliża się noc groźna, ale tego pilota musimy dostać i...

— Czy to nie ten? — przerwał mu Tom wskazując na człowieka, który stał opodal i nie spuszczał ich z oka, a zarazem sam stanowił przedmiot obserwacji praktykanta.

— Dałby Bóg, żeby znał swe rzemiosło, gdyż okręt musiałby mieć na dnie oczy, żeby wypłynąć z takiej zatoki.

— To rzeczywiście musi być on! — zawołał Barnstable, przywołany do swych obowiązków. Zamienił parę słów z niewiastą w przebraniu, którą zostawił w cieniu żywopłotu, sam zaś wyszedł naprzeciw nowo przybyłego. Z odległości, z której tamten mógł go usłyszeć, dowódca szkunera zapytał:

— Jakie wody mamy w tej zatoce?

Przybysz, który spodziewał się tego pytania, nie zawahał się ani na chwilę:

— Dość głębokie, by wyprowadzić z nich tych, którzy wpłynęli z ufnością.

— Jesteście więc człowiekiem, którego szukamy - krzyknął Barnstable. — Czy możecie zejść zaraz na statek?

— Mogę i chcę — odparł pilot. — Czas nagli. Dałbym najlepsze sto gwinei, jakie wybito kiedykolwiek w mennicy, za dwie godziny słońca, które zaszło, lub nawet za godzinę tego gasnącego zmierzchu.

— Czy uważacie nasze położenie za tak złe? — spytał porucznik. — Idźcie więc za tym oficerem. Dogonię was, nim staniecie u stóp skał. Mam nadzieję, że uda mi się zwerbować jeszcze jednego marynarza.

— Czas teraz droższy jest dla nas niżli najlepszy nawet marynarz — rzekł pilot marszcząc brwi i obrzucając oficera zniecierpliwionym spojrzeniem. — Za zwłokę będzie odpowiadał ten, kto ją spowoduje.

— Odpowiem za nią przed tymi, którzy mają prawo żądać ode mnie wyjaśnień — rzucił Barnstable wyniośle.

Rozeszli się z tą przestrogą i surową odprawą na ustach. Młody oficer, pomrukując gniewnie, skierował kroki ku pani swego serca, a pilot, ściągając odruchowo pas kurty, ruszył w ślad za praktykantem i Tomem. Milczał zagniewany.

Barnstable odnalazł przebraną dziewczynę, którą czytelnik poznał jako pannę Katarzynę Plowden. Wielki niepokój malował się na jej inteligentnej twarzy. W poczuciu odpowiedzialności, która ciążyła mu, choć tak dumną odpowiedź dał pilotowi, młody człowiek, zapomniawszy o przebraniu dziewczyny, pod ramię poprowadził ją ku urwisku.

— Chodź, Katarzyno — rzekł — czas nagli.

— Nie widzę powodu do pośpiechu — odparła ociągając się.

— Słyszałaś przepowiednie mego sternika, które sam muszę potwierdzić. Czeka nas okropna noc choć nie żałuję, że wpłynęliśmy do zatoki, bo spotkałem ciebie.

— Boże uchowaj, byśmy mieli żałować naszego spotkania — zawołała Katarzyna Plowden, a bladość i niepokój zajęły miejsce rumieńców ożywienia zdobiących dotąd twarz brunetki. — Tu masz list, postąp według wskazówek i przybywajcie nam z pomocą, ty i Griffith, a znajdziecie w nas chętne branki.

— Co mówisz, Katarzyno? — zawołał jej narzeczony. — Ty przynajmniej jesteś teraz bezpieczna i byłoby szaleństwem, gdybyś narażała się znowu. Na moim statku możesz znaleźć schronienie i

znajdziesz je, póki nie uwolnimy twojej kuzynki, a wówczas pamiętaj, że obiecałaś mi rękę.

— A co zamierzasz robić ze mną, zanim to nastąpi? — spytała panna cofając się przed nim powoli.

— Na „Arielu”, Bóg mi świadkiem, ty będziesz dowódcą. Ja zachowam tylko nazwę kapitana.

— Pięknie dziękuję, ale nie czuję się na siłach objąć tak wysokiego stanowiska — zarumieniła się po białka roześmianych oczu. — Nie tłumacz sobie opacznie mego postępowania. Jeśli uczyniłam więcej, niżli mi płeć pozwala, to dlatego, że cel był chwalebny, a jeśli zdobyłam się na większą niż kobieca przedsiębiorczość, to dlatego...

— By przewyciężyć słabość swej płci — zawołał — i okazać mi zaufanie.

— By się kiedyś stać ciebie godną. — Z tymi słowy zawróciła i znikła poza zakrętem żywopłotu tak szybko, że nie zdążył jej zatrzymać. Zdumiony Barnstable stał bezradnie, a kiedy wreszcie ruszył w pościg, Katarzyna mignęła mu tylko w gęstym mroku wieczornym i znów znikła w zaroślach.

Chciał mimo to biec za nią, ale nagle zobaczył błysk na horyzoncie i przeciągły grzmot wystrzału działowego przetoczył się wzdłuż urwisk nadbrzeżnych, budząc echo wśród okolicznych wzgórz.

— O, zrzedzi sobie stary! — mruknął zawiedziony oficer, niechętnie stosując się do sygnału. — Równie ci teraz spieszo się stąd wydostać, jak pilno ci było tu wpłynąć.

Trzy strzały muszkietowe z łodzi u stóp skały skłoniły go do pośpiechu. Zsuwając się na łeb na szyję po karkołomnych stromiznach urwiska, doświadczonego okiem dostrzegł dobrze znane sygnały świetlne na fregacie, wzywające wszystkie łodzie do powrotu.

ROZDZIAŁ TRZECI

W takim jak teraz czasie nie przystoi

Nad najdrobniejszą debatować winą.

Juliusz Cezar

Czarny cień leżał u podnóża skał, wieczór zaś był pochmurny, dzięki czemu nikt nie dostrzegł gniewnej zmarszczki na pogodnym zazwyczaj czole Barnstable'a, kiedy wskakiwał do łodzi i siadał przy milczącym pilocie. .

— Odbijaj — rzucił tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Niech kat porwie taką żeglugę, w której igra się okrętami i życiem ludzkim po to tylko, by podpalić jakiś spróchniały transportowiec z drzewem czy jakiś zaspany frachtowiec norweski! Hej ludzie, żywo! żywo!

Skonsternowani marynarze chwycili za wiosła i w mgnieniu oka lekka łódź zdołała się przebić przez kipiel. W następnej chwili kołysali się już poza wstęgą piany, gdzie groziło największe niebezpieczeństwo. Barnstable siedział wyprostowany, jakby nieświadomy powagi sytuacji, zapatrzony w bryzgi pian. Dopiero kiedy łódź zaczęła wzlatywać i opadać rytmicznie na falach, rozejrzał się za szalupą.

— Griffithowi znudziło się widać bujanie w tej kołysce — mruknął — i będziemy musieli podpłynąć do fregaty miast myśleć o wydostaniu się z tej obieży. Tu właśnie mamy taki zakątek, za jakim szaleją zakochani; trochę piasku, trochę wody i masa skał. Racja, Długi Tomie, że marynarzowi zupełnie wystarczy tu i ówdzie wysepka, i niech diabli porwą ład stały!

— Tak mówi rozsądek — odparł spokojnie Coffin. — A jeżeli ma być dno, to niech będzie muł albo piasek, żeby kotwica się trzymała i można było sondować. Zgubiłem sondę na niejednej głębi, nie mówiąc już o ołowiankach pozostawionych na jakimś skalistym dnie. Ponad wszystko przedkładam pas przybrzeżny, gdzie ołowianka podnosi się łatwo, a kotwica trudno. Widzę łódź na wprost dzioba. Czy mamy się na nią wpakować, czy ominąć?

— To szalupa — zawołał oficer. — A jednak Ned mnie nie opuścił.

Głośny okrzyk ze zbliżającej się łodzi utwierdził Barnstable'a w tym przekonaniu i parę minut później szalupa i welbot kołysały się obok siebie. Griffith tym razem nie opierał się o poduszki, lecz przemówił poważnie, z cieniem wymówki:

— Dlaczego straciliście tyle czasu, kiedy z każdą minutą położenie nasze się pogarsza? Wracalem na sygnał z fregaty, ale , doszedł mnie plusk waszych wioseł i poczekałem, by zabrać pilota. Jak wara się udało?

— Tu go mamy i jeżeli znajdzie drogę przez ten labirynt, dowiedzie, że słusznie należy mu się to miano. Znosi się na jedną z tych nocy, kiedy przez lunetę trzeba szukać księżyca. Jak się jednak

dowiesz, co widziałem na tych przeklętych skałach, z pewnością nie weźmiesz mi za złe zwłoki.

— Musiałeś chyba widzieć człowieka, którego szukaliśmy, bo w przeciwnym razie niepotrzebnie byśmy ryzykowali.

— Widziałem człowieka, którego szukaliśmy, i człowieka, którego nie spodziewaliśmy się znaleźć — odpowiedział Barnstable z goryczą. — Niech chłopiec opowie ci, co oglądał na własne oczy.

— Mam powiedzieć? — zaśmiał się praktykant. — A więc widziałem mały kliper w przebraniu, który po dłuższym pościgu umknął okrętowi wojennemu i ten mały szelma jak dwie krople wody podobny był do mojej kuzyn...

— Cicho bądź, plotkarzu! — zawołał Barnstable piorunującym głosem. — Będiesz mi w takiej chwili zatrzymywał łodzie bezsensownym gadaniem? Prędszej, pakuj się do szalupy. W drodze, jeśli nadarzy się okazja, a Griffith zechce cię wysłuchać, podzielisz się z nim twymi niemądrymi przypuszczeniami.

Chłopiec skoczył lekko do szalupy w ślad za pilotem. Siadł speszony na ławce obok Griffitha i rzekł cicho:

— I to wkrótce, jeśli pan Griffith myśli i czuje u wybrzeży angielskich tak, jak myślał i czuł w ojczyźnie.

Jedyną odpowiedzią był mu uścisk dłoni, po czym porucznik rzucił słowa pożegnania Barnstable'owi, a swym ludziom rozkaz wiosłowania do fregaty.

Łodzie oddaliły się już i plusnęły wiosła, kiedy pilot po raz pierwszy podniesionym głosem zawołał:

— Stać! Skonstrujcie!

Ludzie podnieśli wiosła, zniewoleni jego rozkazującym tonem. Zwróciwszy się w stronę welbotu mówił:

— Natychmiast podnieś pan kotwicę, kapitanie Barnstable, i zmierzaj ku wyjściu z zatoki nie tracąc ani chwili. Trzymaj pan swój skaner z dala od północnego brzegu, a mijając nas zbliż się na odległość głosu.

— To wyraźny kurs i łatwa żegluga, panie pilocie, ale nie wolno mi ruszyć z miejsca bez rozkazu kapitana Munsona. Miałem czarno na białym, by wpakować „Ariela” w to rozkoszne miejsce, a teraz muszę mieć przynajmniej sygnał lub ustnie podany rozkaz Od mego dowódcy, bym mógł stąd wypłynąć. Szlak będzie równie najeżony niebezpieczeństwami jak w dzień, ale wtedy odbyłem tę żeglugę przy świetle, którego nie zastąpią mi wskazówki na piśmie.

— Pozostawszy tu w taką noc, narazisz się pan na pewną zgubę — rzekł pilot surowo. — Za dwie godziny fale załamywać się zaczną w miejscu, gdzie teraz pański statek kołysze się spokojnie.

— Co do tego zgadzamy się w zupełności, ale jeśli zatone, to zatone zgodnie z otrzymanymi rozkazami, jeśli zaś, poszedłszy za pańską radą, wybije dziurę w dnie „Ariela”, to wraz z wodą morską wpuszczę bunt do jego wnętrza. Skąd mogę wiedzieć, czy naszemu staremu nie przyjdzie do głowy sprowadzić jeszcze jednego lub dwóch pilotów?

— Słusznie — mruknął Tom, tak że go posłyszano — ale pozostawszy w takim miejscu, łącznie można statek i załogę mieć na sumieniu!

— Więc trzymajcie się na kotwicy, póki w ślad za nią nie pójdziecie na dno — rzekł pilot do siebie. — Na szalonych rady nie ma, ale jeśli...

— Nie, nie szalonych — przerwał Griffith. — Barnstable nie zasługuje na to miano, choć obowiązkowy jest do ostateczności. Podnieś natychmiast kotwicę, Barnstable, i wypływaj co prędzej z zatoki.

— Na pewno nie wydajesz tego rozkazu z taką przyjemnością, z jaką ja go spełnię. Za wiosła, chłopcy! „Ariel” nigdy nie złoży swych kości na tak twardym dnie, o ile ode mnie będzie to zależało.

Ledwie dowódca powiedział te słowa, ludzie jego wydali okrzyk radości, a łódź pomknęła i po chwili znikła w cieniu rzucanym przez nadbrzożne urwiska.

Wioślarze szalupy nie próżnowali również, lecz nateżając wszystkie siły przybili niebawem do fregaty. Przez ten czas pilot głosem, który stracił całą zdumiewającą surowość i władcze brzmienie po rozmowie z kapitanem Barnstable, wypytywał Griffitha o nazwiska oficerów na statku. Porucznik odpowiadał, po czym dorzucił:

— Sami dzielni i godni zaufania ludzie, a choć przedsięwzięcie, w którym teraz bierzesz udział, może być ryzykowne dla Anglika, nie ma wśród nas zdrajców. Potrzebujemy waszych usług, a tak samo jak my darzymy was zaufaniem, i wy możecie nam zaufać.

— A skąd pan wiesz, że będę potrzebował wam zaufać? — spytał pilot zimno i obojętnie.

— Ba, dobrą, co prawda, mówicie angielszczyzną jak na tubylca — odparł Griffith — ale macie nosowy akcent, na którym człowiek urodzony z tamtej strony Atlantyku zламаłby sobie język.

— Mniejsza z tym, gdzie się ktoś urodził albo jak mówi — odparł pilot lodowato — byle pełnił swe obowiązki z odwagą i w dobrej wierze.

Na szczęście dla nich obu wyraz wzgardliwej ironii, który odmalował się na twarzy przystojnego porucznika, skryły ciemności nocne, kiedy odpowiadał na słowa pilota:

— Święta racja, byle pełnił swe obowiązki z odwagą i w dobrej wierze. Ale, jak zauważył Barnstable, musicie znać ten szlak na pamięć, by móc po nim żeglować w taką noc. Czy wiecie, jaka tu głębokość?

— Fregata przejdzie. Będę się starał trzymać ją na czterech sążniach głębokości. Mniej byłoby niebezpiecznie.

— To wspaniały statek! I posłuszny na każde skinienie steru jak szeregowiec piechoty morskiej podczas musztry na każde skinienie swego sierżanta, ale musicie uważać, bo lubi wyskakiwać naprzód, jakby ścigał się z wiatrem.

Pilot uchem człowieka doświadczonego słuchał o właściwościach fregaty, którą miał wyprowadzić z szczególnie trudnego położenia. Chwytał w lot każde słowo, a kiedy Griffith zamilkł, rzekł z tą dziwną, nie opuszczającą go ani na chwilę rezerwą:

— To jednocześnie zaleta i wada statku w wąskim kanale. Obawiam się, że raczej na złe wyjść nam to może dziś w nocy, kiedy trzeba będzie trzymać go na wodzy.

— Sądzę, że będziemy musieli sondować — rzekł Griffith.

— Będziemy musieli i okiem szukać drogi, i sondą — odparł pilot wpadając znów w ton monologu. — Wpływałem nieraz i wypływałem w nocie ciemniejsze od tej, ale nigdy nie na statku o większym zanurzeniu.

— W takim razie, na Boga, jak mogliście podjąć się przeprowadzenia go wśród skał i przez fale? — zawołał Griffith. — Wy, piloci małych statków, nie znacie szlaków. Tylko jednostka o dużym zanurzeniu znajduje kanał. Ej pilocie, pilocie! Nie radzę igrzać z nami! To niebezpieczna rzecz ryzykować, kiedy się ma do czynienia z nieprzyjacielem.

— Młodzieńcze, nie wiesz ani co mówisz, ani komu grozisz — rzekł pilot surowo, choć nadal spokojnie. — Zapominasz, że masz nad sobą zwierzchnika, ja zaś nie mam nikogo.

— Tak będzie dopiero, kiedy spełnisz swój obowiązek — krzyknął Griffith — bo jeżeli...

— Dość! — przerwał pilot. — Dobijamy do statku, wejdźmy nań w dobrej komitywie.

Oparł się o poduszki, a Griffith, choć nie wiedział, czy podejrzewać pilota o fatalną lekkomyślność, czy o zdradę, zmusił się do milczenia. Wdrapali się po opuszczonym z fregaty trapie w pozornej zgodzie.

Fregata kołysała się już na długich bałwanach, które nadbiegały od pełnego morza z rosnącą gwałtownością. Topsisle jednak wciąż zwisały ospale z rej, bo lekki wietrzyk podmuchujący od strony lądu nie wystarczy, by wypełnić te ciężkie płachty.

Kiedy Griffith i pilot stanęli na pokładzie, ciszę mąciły tylko fale rozpryskujące się o masywny dziób okrętu. Potem zaświdrował w uszach gwizdek pomocnika bosmana, odwołujący dwóch wartowników ustawionych po obu stronach wejścia na pokład dla oddania honorów porucznikowi i jego towarzyszowi.

Jednakże, choć tak głęboka cisza panowała wśród setek ludzi zamieszkujących ogromny statek, światło krytych latarni, porozmieszczanych w różnych zakamarkach pokładu, ukazywało nie tylko sylwetki załogi, ale i uczucia troski i ciekawości malujące się na twarzach.

Liczne grupy stały w przejściach wokół wielkiego masztu i na bomach ; twarze tych ludzi były

wyraźnie widoczne, podczas gdy ci, co stali na dolnych lub spoglądali w dół z górnych rej, majaczyli tylko niewyraźnie. Zachowanie wszystkich zdradzało, jaką wagą przywiązują do przybycia łodzi.

Marynarze tłoczyli się wszędzie prócz rufy, gdzie grupami, odpowiednio do szarż, zebrali się oficerowie. I pni trwali w skupionym milczeniu. Na przodzie stało grono młodych ludzi w mundurach takich samych jak mundur Griffitha. Byli to jego koledzy, choć niżsi stopniem. Po przeciwnej stronie rufy, liczniej reprezentowani, zgromadzili się towarzysze Merry'ego. Dokoła kabestanów stało trzech czy czterech mężczyzn, z których jeden miał na sobie granatowy mundur ze szkarłatnymi wyłogami i wypustkami żołnierza, a drugi czarne szaty kapelana. Poza nimi, bliżej kajuty, widniała wysoka, wyprostowana postać. Był to dowódca fregaty, który przed chwilą dopiero wyszedł na pokład.

Powitany przez młodszych kolegów, Griffith prowadził wolno pilota ku kajucie, przed którą oczekiwał ich osiwiwały w bojach kapitan. Młody człowiek zdjął kapelusz, ukłonił się bardziej ceremonialnie i rzekł:

— Udało się nam, sir, choć z większymi trudnościami i zwłoką, niż przewidywaliśmy.

— Ale nie sprowadziłeś pan pilota — rzekł kapitan z powątpiewaniem — a zatem na próżno ponosiliśmy ryzyko i trudy.

— Oto on — rzekł Griffith odstępując na bok i wskazując stojącego za nim człowieka, który dolną część twarzy miał osłoniętą postawionym wysoko kołnierzem grubej kurty, a czoło zakryte obwisłym rondem mocno wysłużonego kapelusza.

— Ten? — zawołał kapitan. — W takim razie zaszła fatalna pomyłka. To nie człowiek, którego oczekiwałem, a nikt inny nie może go zastąpić.

— Nie wiem, kogo pan oczekiwał, kapitanie — rzekł obcy cichym, spokojnym głosem — ale jeśli nie zapomniał pan dnia, w którym zupełnie inna bandera niżli ten symbol tyranii, wiszący teraz nad tylną burtą, po raz pierwszy załopotąła na wietrze, pamięta pan może i człowieka który ją wciągnął na maszt.

— Światła! — zawołał dowódca.

W mig przyniesiono latarnię, w której świetle ukazały się rysy pilota tchnące pewnością siebie i zimną krwią, a w bladej twarzy zabłyśły spokojne niebieskie oczy. Kapitan Munson, zaskoczony, uniósł odruchowo kapelusz i odkrywając siwą głowę zawołał:

— To on! Ale jakże zmieniony!

— Tak zmieniony, że wrogowie go nie poznają — wtrącił pilot prędko, a dotknawszy ręki kapitana, odwiódł go na stronę i dodał przyciszonym głosem: — Nie powinni również poznać go przyjaciele, póki nie nadejdzie właściwa pora.

Griffith odpowiadał na grad pytań, którymi zasypali go koledzy. Łowiąc chciwie każde jego słowo nie słyszeli tej rozmowy, choć spostrzegli wkrótce, że dowódca omylił się w pierwszej chwili, a teraz uspokoił się, że ma właściwego człowieka na pokładzie. Kapitan i pilot długo spacerowali

pochłonięci ważną rozmową.

Zasób wiadomości Griffitha wyczerpał się wkrótce, a wówczas oczy wszystkich skierowały się ku tajemniczemu przewodnikowi, który miał ich ocalić w niebezpieczeństwie, jakie z każdą chwilą wydawało się i rzeczywiście było coraz większe.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Patrz, płócienne żagle,

Wydęte chytrym, niewidzialnym wiatrem,

Ciągną okręty przez zmarszczone morze,

Czoło stawiając falom...

Szekspir

Jak już wspomnieliśmy, groza burzy siała niepokój w sercach marynarzy. Poza pasem przybrzeżnego cienia noc nie była tak głęboka i na niewielką odległość oko rozróżniało przedmioty, na wschodzie zaś smuga złowrogiej poświaty lśniła nad posępnymi wodami; w tym blasku sylwetki piętrzących się fal zarysowywały się coraz wyraźniej i oczywiście budziły lęk. Ciężkie chmury zwisały nad statkiem, którego strzeliste maszty jakby podtrzymywały czarną zasłonę, nieliczne zaś gwiazdy mrugały blado na wstędze czystego nieba obrębającej ocean. W dalszym ciągu lekkie prądy powietrzne przemykały nad zatoką, niosąc od brzegu rzeński zapach, ale wiały rzadko, co wskazywało niechybnie, że to ostatnie podmuchy lądowej bryzy*. Grzmot fal u wejścia do zatoki przelewał się monotonnie, głuszony tylko od czasu do czasu przeciągłym rykiem, kiedy potężniejszy grzywacz wdierał się w zagłębienie skalne. Wszystko to wywoływało nastrój ponury i pełen grozy, ale nie popłochu, gdyż okręt wznosił się lekko i opadał na długich falach, nie szarpiąc się nawet na łańcuchu kotwicznym.

Wyżsi oficerowie, zebrani dokoła kabestanu, dyskutowali żywo nad szansami wydostania się z tej sytuacji, podczas gdy niektórzy starsi i bardziej zaufani marynarze zapuszczali się aż na niedostępną rufę, usiłując złowić uchem choć parę słów z rozmowy przełożonych. Zarówno oficerowie, jak marynarze nie spuszczały z oka kapitana i pilota, pochłoniętych tajemną rozmową gdzieś na uboczu. Jeden z gołowąsych praktykantów, powodowany ciekawością czy młodzieńczą nierozwagą, zbyt blisko się ku nim zbliżył, ale został ofuknięty przez kapitana i powrócił jak zmyty ukryć wstyd w tłumie kolegów. Nauczka, jaką otrzymał ten młokos, posłużyła za przestrożę starszym oficerom i choć w dalszym ciągu okazywali zniecierpliwienie, nikt nie odważył się przerwać narady, która zdaniem wszystkich zbyt szybko się przeciągała.

— Nie czas gadać o długościach, szerokościach i dystansach — zauważył oficer młodszy szarżą od Griffitha. — Należałoby natychmiast zwołać załogę i wypływać, póki czas.

— Nie sposób milami przebijać się przeciw fali — odparł Griffith — ale bryza wciąż podmuchuje i jeśli schwycą ją lekkie żagle, to wspomagani odpływem zdołamy jeszcze oddalić się od brzegu.

— Obwołaj bocianie gniazdo, Griffith — rzekł drugi porucznik — i spytaj, czy czują wiatr tam w górze. Może to poruszy starego i tego niedołążnego pilota.

Griffith śmiejąc się poszedł za jego radą, a otrzymawszy z góry zwykłą odpowiedź, zapytał

donośnym głosem:

— Skąd macie wiatr tam w górze?

— Czuć czasem podmuch od lądu, sir — odparł dobitnie żeglarz — ale topsle wiszą bez ruchu.

Kapitan Munson i jego towarzysz przerwali rozmowę, gdy zabrzmiały te okrzyki, ale podjęli ją natychmiast, jakby nic im nie przeszkodziło.

— Jeżeli to wystrzał próbny, to spalił na panewce — rzekł dowódca piechoty morskiej, który nie znał się na żegludze i dlatego wyolbrzymiał niebezpieczeństwo, ale z nudów najwięcej na . statku dowcipkował. — Ten pilot nie chwyta aluzji uchem, więc czemu nie dać mu szczutka w nos?

— Na honor, skrzyżowaliśmy już szpady w szalupie — odparł pierwszy porucznik — i nie jest on człowiekiem, który zniósłby coś podobnego. Choć wygląda na tak ustępliwego i spokojnego, mam wątpliwości, czy zna księgę Hioba.

— A po cóż mu ona? — zawołał kapelan, który żywił obawy nie mniejsze od oficera piechoty morskiej, a bardziej się wszystkim przejmował. — Byłaby to dla niego tylko strata czasu. Jest tyle map tego wybrzeża i książek traktujących o nawigacji po tych wodach, które musiał przewertować, że, mam nadzieję, daleko lepiej wykorzystał czas.

Głośny śmiech słuchaczy wywarł pożądaný skutek, gdyż położył kres tajemniczej rozmowie kapitana i pilota. Podeszedłszy do oczekujących go oficerów kapitan Munson przemówił z cechującą go stanowczością i zimną krwią:

— Podnieś pan kotwicę, panie Griffith, i żagle na masztach. Nadszedł czas, by odbijać.

Zanim z ust porucznika zdążyło paść radosne: „Tak, sir!”, już z pół tuzina praktykantów wzywało bosmana i jego pomocników na stanowiska.

Zapanowało ogólne poruszenie wśród ludzi skupionych dokoła wielkiego masztu, na bomach i w przejściach, choć zdyscyplinowani nie ruszali się z miejsc bez rozkazu. Ciszą przeszył dopiero gwizdek bosmana, po którym rozbrzmiała ochrypłym głosem komenda: — Kto żyw, ciągnij kotwicę, ahój! — W nocnym powietrzu gwizdek zadźwięczał nisko, potem przejmująco i zamarł stopniowo na falach; przeniknął we wszystkie zakamarki statku jak głuchy łoskot dalekiego gromu.

Zwyczajna komenda podziałała na marynarzy wprost magicznie. Ludzie wyskakiwali spomiędzy armat, z głębi luków, na łeb na szyję zjeżdżali z bomów, wybiegali z każdego kąta tak szybko, że w jednej chwili zaroilo się na pokładzie. Głęboka cisza, którą dotychczas mąciły tylko prowadzone półgłosem rozmowy oficerów, ustąpiła gwarowi. Donośne komendy poruczników krzyżowały się z głośniejszymi jeszcze okrzykami praktykantów i ochryplymi rykami bosmana i jego pomocników, wybijającymi się ponad tumult i krzątanie.

Tylko kapitan i pilot pozostali niewzruszeni w ogólnym zamieszaniu, gdy nawet ci oficerowie, których zwano próżniakami, powodowani obawą przed niebezpieczeństwem, wykazywali niezwykłą ruchliwość, choć nieraz zdarzało im się usłyszeć od towarzyszy, że opóźniają raczej niż

przyśpieszają manewrowanie statkiem. Gwar jednak przycichał stopniowo, a po paru minutach zapanowała taka cisza jak przed wydaniem rozkazu.

— Wszystko gotowe, sir — rzekł Griffith, który doglądał manewru z krótką tubą, przez którą rzucał rozkazy, w jednym ręku, drugą zaś ręką trzymał się drabliny, gdyż stał dość niepewnie na lawecie działa.

— Kabestan, marsz, sir! — rzucił kapitan komendę.

— Kabestan, marsz! — powtórzył Griffith głośno.

— Kabestan, marsz! — wybuchło kilkanaście głosów naraz, a dźwięk piszczałek wygrywających skoczną nutę nadał zwawe tempo robocie. Kabestan ruszył natychmiast i słychać było tylko miarowy tupot nóg chodzących wkoło marynarzy. Od czasu do czasu okrzyk oficera zagrzewał ich do wysiłku, aż wreszcie padło słowo „pion” oznaczające, że łańcuch kotwiczny wyciągnął się prawie pionowo.

— Kotwicę rwać! — krzyknął Griffith wśród głębokiej ciszy, która zapadła po przeraźliwym gwizdku bosmańskim.

— Co robić teraz, sir? — spytał porucznik. — Czy podnieść kotwicę? Nie czuć najłżejszego podmuchu, odpływ jest słaby i boję się, że fala może znieść statek na brzeg.

Uwaga była tak trafna, że ożywione ruchem i pracą na pokładzie twarze jak na komendę odwróciły się ku burtom, ale ściana ciemności piętrzyła się dokoła, nieprzenikniona dla ludzkich oczu, i nie pozwoliła im wyczytać, jaki los czeka statek.

— Całkowicie zdaję się na pilota — rzekł kapitan postawszy chwilę w milczeniu obok Griffitha i ogarnąwszy wzrokiem niebo i wodę. — Co pan powie, panie Gray?

Pilot, po raz pierwszy tak nazwany, stał wsparty o burtę i patrzył w tym samym co i załoga kierunku. Odwrócił się jednak do kapitana, a wówczas blask bijący z pokładu oświetlił mu twarz, na której malował się spokój wprost niezwykły, zważywszy ciężącą na nim odpowiedzialność.

— Wielkie obawy budzi ta fala — rzekł niewzruszonym głosem — ale czeka nas pewna zguba, jeżeli burza, zbierająca na . wschodzie, zastanie nas tutaj. Najmocniejszy kabel konopny i godziny nie utrzyma statku gnanego przez wiatr północno-wschodni, bo przetrze się o skały. Jeśli to w ludzkiej mocy, musimy spróbować wyjść z zatoki, i to jak najrychlej.

— To, co mówicie, sir, wie każdy chłopiec okrętowy — odparł Griffith. — Ha, a oto i skaner!

Dał się słyszeć plusk długich wiosel i w ciemnościach zamajaczył mały „Ariel”, poruszający się z wolna pod niedostatecznym napędem. Kiedy przepływał za rufą fregaty, ozwał się wesoły głos Barnstable'a:

— Trzeba lunety w taką noc, kapitanie Munson! — krzyczał. — Ale zdaje mi się, że słyszałem piszczałki. Nie zamierzacie, na Boga, pozostać tutaj do rana.

— Nie podoba mi się to miejsce tak jak i wam, panie Barnstable — odparł weteran z właściwą mu zimną krwią, aczkolwiek nuta niepokoju zdawała się już wibrować w jego głosie. — Stoimy na pionie, ale obawiamy się puścić z kotwicy, aby fala nie zniosła nas na brzeg. Jak tam z wiatrem?

— Z wiatrem? — powtórzył Barnstable. — Nie ma nawet tyle wiatru, żeby poruszyć lok na czole lady. Jeśli chcecie czekać, sir, by bryza lądowa wydeła wam żagle, możecie czekać miesiąc. Mnie udało się wydostać moją łupinę z gniazda grzywaczy, ale jak się to stało, Bogu jednemu wiadomo.

— Pilot wyda panu rozkazy — rzekł dowódca. — Wypełnijcie je co do joty.

Po tych słowach na obu statkach zapadła śmiertelna cisza, gdyż wszyscy nastawili uszu, ciekawi, co powie człowiek, od którego zawisło ich ocalenie. Po krótkiej chwili pilot ozwał się głosem spokojnym i wyraźnym jak poprzednio:

— Wiosła wkrótce na nic się wam nie zdadzą, bo idzie duża fala, ale lżejsze żagle was pociągną. Póki będziecie się trzymali kursu na wschodni północny wschód, będziecie żeglowali we właściwym kierunku. Żeglujcie tak, aż znajdziecie się na wysokości północnego przylądka. Wtedy możecie stanąć w dryf i wystrzelić z działa. Jeżeli jednak, czego się obawiam, wcześniej

zejdziecie z kursu, musicie zawierzyć sondzie i iść lewym halsem. Strzeżcie się tylko kierunku południowego, bo tam sonda nic wam nie pomoże.

— Mogę żeglować po tym kursie zarówno lewym, jak i prawym halsem — powiedział Barnstable — i osiągnąć tę samą wysokość.

— To na nic — odparł pilot. — Jeżeli zboczycie z kursu choć na rumb, traficie na skały i mielizny. Strzeżcie się, jak mówię, prawego halsu.

— A czym mam się kierować na tym kursie? Nie dajcie mi wskazówek ani co do czasu, ani pomiarów sondy, ani logu.

— Musicie zawierzyć szybkiej orientacji i pewnej ręce. Tylko piany będą wam ukazywały niebezpieczeństwo, kiedy nigdzie nie będziecie mogli dostrzec lądu. Lawiruj pan w porę i nie żałuj

sondy przy lewym halsie.

— Tak, tak — odpowiedział Barnstable półgłosem. — To zabawa w ciuciubabkę ze śmiercią, a celu jej nie widzę. Pewno, jak miałbym widzieć! Tyle tu człowiekowi pomogą oczy, co nos przy czytaniu Biblii.

— Spokój, spokój, Barnstable — przerwał mu dowódca fregaty, gdyż taka cisza panowała na obu statkach, że słyhać było nie tylko stuk olinowania szkunera, chybotającego się w bruzdzie fal, ale i słowa Barnstable'a. — Zadanie powierzone nam przez Kongres musi być wykonane choćby z narażeniem życia.

— Nie dbam o moje życie, kapitanie, ale wprowadzając statek na takie wody, bierze się go na swe sumienie. Czas na czyny jednak, a nie na słowa. Jeżeli takie niebezpieczeństwo grozi „Arielowi”,

który ledwie siedzi w wodzie, to cóż się stanie z fregatą? Czy nie lepiej, bym ruszył na rekonesans i starał się wskazywać wam drogę?

— Dziękuję — odpowiedział pilot. — To wspaniałomyślna ofiara, ale nie na wiele się przyda. Znam dobrze te wody i ufam, że pamięć mnie nie zawiedzie, a Opatrzność osłoni. Stawiajcie żagle, sir, a jeśli wam się powiedzie schwytać wiatr, pójdziemy w wasze ślady.

Rozkaz został natychmiast wykonany i w bardzo krótkim czasie „Ariel” okrył się żaglami. Choć ani tchnienia wiatru nie czuć było na fregacie, szkuner dzięki swej lekkości i odpływowi zaczął przebijać się przeciwko fali. Nie upłynęło dziesięć minut, a niski kadłub już ledwie majaczył na tle wstęgi świetlnej obrębiającej horyzont. Czarne kontury żagli rysowały się nad morzem, aż wreszcie i one rozplynęły się w chmurach.

Griffith słuchał sprzeczki Barnstable'a z pilotem jak reszta młodszych oficerów — w głębokim milczeniu. Kiedy jednak „Ariel” zaczął niknąć z oczu, zeskoczył z lawety na pokład i zawołał:

— Ucieka jak statek spuszczone z doku! Czy mam poderwać kotwicę, sir, i ruszać jego śladem?

— Nie mamy wyboru — odpowiedział kapitan. — Słyszysz pan pytanie, panie Gray? Czy podnieść kotwicę?

— Nie inaczej, kapitanie, choć sam odpływ nie wyniesie nas w bezpieczne miejsce — rzekł pilot. — Dałbym pięć lat życia, którego z pewnością niewiele mi już pozostało, gdyby okręt stał o milę dalej ku pełnemu morzu.

Uwagę tę, wypowiedzianą półgłosem, usłyszał tylko dowódca fregaty, który znów odszedł z pilotem na stronę i podjął tajemniczą rozmowę. Wystarczyło jednak samo przyzwolenie kapitana, bo ledwie padło z jego ust, Griffith rzucił przez tubę: — Podnieść kotwicę! — Zabrzmiały piszczałki fajfrów i zawtórował im miarowy tupot nóg przy kabestanie. Kotwica zaczęła podjeżdżać do góry, a jednocześnie rozwinięto żagle w nadziei, że chwycą podmuch wiatru. Z tuby padały grzmiące rozkazy porucznika i zostawały błyskawicznie spełniane. Ludzie majaczyli na kształt plam na mętnym tle nieba, leżeli na każdej rei, zdawali się wisieć w powietrzu. Zewsząd dochodziły dziwne okrzyki. — Bombramsel gotowy! — zawołał przeszywający głos, rzekłbyś gdzieś z chmur. — Gotowe na fokrei! — odpowiedział mu ochryply głos marynarza poniżej. — Wszystko gotowe na rufie! — doleciał trzeci głos z innej części statku. Parę minut potem padł już rozkaz: — Luzuj!

Odrobinę światła, które sączyło się z nieba, zasłoniły teraz płachty żagli. Głębszy jeszcze mrok padł na pokład, wskutek czego blask latarni wydał się bardziej żywy, a poza burtami świat bardziej koszmarny.

Cała załoga, prócz dowódcy i jego towarzysza, zajęta była nadawaniem statkowi ruchu. Co najmniej z pięćdziesiąt głosów zawołało naraz: — Kotwica puściła! — Szybkie obroty kabestanu dowodziły, że windują samą już tylko kotwicę. Skrzyp lin, turkot bloków, przeszywające krzyki bosmana i jego pomocników wywoływały pośpiech, który szczurowi lądowemu wydawać by się mógł chaosem, jednakże marynarzom włożonym do żelaznej dyscypliny i mającym za sobą długoletnią praktykę pozwolił postawić żagle w krótszym czasie, niżli nam potrzeba było, by to

opowiedzieć.

Oficerowie się nie zawiedli, bo choć żagle łopotały bezwładnie, lżejsze płótna na górnych rejach wyduły się jednak i fregata poddała się ich parciu.

— Płynie! Płynie! — zawołał Griffith radośnie. — Och, ty masz taki wstręt do ładu jak każda ryba! Już dmie tam w górze.

— To tylko ostatnie podmuchy bryzy — rzekł pilot cichym, poważnym głosem, ale tak nieoczekiwanie, że Griffith obejrzał się zaskoczony. Pilot stał przy nim. — Zapomnijmy o wszystkim — podjął — i miejmy na względzie życia tych ludzi, które zależą od sprężystości pańskiej, a mojej wiedzy.

— Okażcie ją tylko, bo ja gotowym całą duszę włożyć w tę sprawę — odparł porucznik tym samym tonem. — Jakiegokolwiek żywimy uczucia, trzeba pamiętać, że jesteśmy na nieprzyjacielskim brzegu i nie mamy ochoty złożyć na nim naszych kości.

Z tymi słowy rozeszli się, gdyż oficer musiał skoncentrować całą uwagę na manewrach statku.

Radość załogi wywołana ruchem fregaty była krótkotrwała. Wiatr, który jakby tylko na nich czekał, popchnął ich z ćwierć mili, trzepotał jeszcze parę minut lżejszymi żaglami i zamarł zupełnie. Sternik u koła zawołał, że traci panowanie nad statkiem, który przestaje słuchać steru. Griffith natychmiast zameldował tę smutną nowinę dowódcy, proponując ponowne zarzucenie kotwicy.

— Trzeba zwrócić się do pana Graya — odparł kapitan. — To on jest pilotem i na nim ciąży cała odpowiedzialność.

— Piloci nie zawsze ratują statki, ale też je gubią — rzekł Griffith. — Czy dobrze zna pan, kapitanie, człowieka, który trzyma w ręku losy nas wszystkich, a zachowuje się z takim spokojem, jakby się tym wcale nie zajmował?

— Znam go, i to dobrze. Według mnie możemy polegać zarówno na jego wiedzy, jak i rzetelności. Tyle mogę wam powiedzieć na uspokojenie, o więcej mnie nie pytajcie. Ale czy to wiatr się nie zmienia?

— Boże uchowaj! — zawołał pierwszy porucznik.

— Jeżeli ten północno-wschodni wiatr zaskoczy nas wśród mielizn, będziemy zgubieni!

Gwałtowny przechył statku spowodował wyduęcie żagli, po czym znowu zwisły tak bezwładnie, że najbardziej wytrawni marynarze nie byli w stanie się zorientować, skąd wieje i czy to rzeczywiście wiatr, czy też złudzenie wywołane łopotem żagli. Dziób jednak zaczął wykręcać z kursu wiodącego na pełne morze i choć w ciemnościach nic nie było widać, nie ulegało wątpliwości, że statek znosi do brzegu.

Dzięki dziwnej krańcowości natury ludzkiej w tej chwili zwątpienia Griffitha odbiegło nagle podniecenie i popadł w apatię, która tak często ogarniała go w krytycznych momentach. Stał oparty

łokciem o kabestan, dłonią przesłaniając oczy od blasku stojącej opodal latarni, kiedy lekkie dotknięcie zbudziło go z martwoty. Wciąż nieprzytomne oczy Griffitha spoczęły z wyrazem tliwłości na chłopcu, który stanął przy nim. Przemówił pierwszy:

— Smutna muzyka, panie Merry.

— Tak smutna, że nie mogę jakoś tańczyć do jej taktu — odparł praktykant. — Nie sędzę też, by choć jeden człowiek na pokładzie nie wolał usłyszeć w tej chwili piosenki: „Na brzegu zostawił dziewczynę”, miast tych przeklętych głosów.

— Jakich znów głosów, chłopcze? Jest cicho jak na zebraniu kwaków w Jersey, nim rozbrzmiał dźwięczny głos waszego czcigodnego dziada.

— Ba, wszyscy mamy w żyłach trochę krwi kaznodziejskiej — odparł przekornie Merry. — Chciałbym słyszeć w tej chwili któryś z ich hymnów. Zawsze zasypiałem, kiedy zaczynali śpiewać, jak mewy na fali. Ale kto zaśnie przy tej dzisiejszej kołysance, będzie miał przykre przebudzenie.

— Kołysance! Nie słyszę nic, chłopcze, prócz trzaskania górnych żagli. Nawet pilot, który przemierza pokład z miną admirała, nie ma nic do powiedzenia.

— A czyż to nie głos, na który marynarz winien dobrze nastawić uszu?

— Racja, to odgłos fal rozbijających się o brzeg, ale w nocnej ciszy daleko go niesie. Nie poznajesz dotąd szumu fal nadbrzeżnych?

— Znam go zbyt dobrze i nie chcę poznać lepiej! Z jaką szybkością znosi nas na ten brzeg, sir?

— Nie sędzę, by z dużą — rzekł Griffith budząc się z odrętwienia — choć lepiej byłoby spuścić kotwicę. Hej, sternik, dziobem do fali, a nie półburtą!

Ale sternik powtórzył poprzedni meldunek, dodając, że statek się cofa.

— Rozwińcie dolne żagle, panie Griffith — rzekł kapitan Munson. — Może złapiemy wiatr.

Wkrótce dał się słyszeć turkot bloków i ogromne płachty, zwisające z dolnych rej, zostały momentalnie ściągnięte szotami. Potem cała załoga znieruchomiała, uzależniwszy, rzekłbyś, swój los od tej zmiany. W końcu oficerowie zaczęli wypowiadać najsprzeczniesze zdania na temat wiatru, a Griffith, porwawszy płonącą świecę z latarni, skoczył na działo i uniósł ją wysoko. Płomyczek zachwiał się niepewnie, potem zaś wyprostował się i świecił równym blaskiem. Już Griffith miał opuścić rękę, lecz wstrzymał się, poczuwszy nagle chłód na jej grzbiecie. Płomień zwrócił się z wolna w stronę lądu, zadymił, zadygotał, zgasł.

— Nie traćcie ani chwili, panie Griffith! — zawołał pilot głośno. — Zwińcie wszystkie żagle oprócz trzech topsli, a i te zarefujcie podwójnie. Teraz nadszedł czas spełnienia obietnicy.

Młody człowiek zatrzymał się na mgnienie, zdumiony tym niespodziewanie mocnym i dźwięcznym głosem, ale rzuciwszy okiem w stronę morza, dał susa na pokład. Działał tak, jakby pośpiech

decydował o życiu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maszt już prosty niby świeco,

Hej, na morze, chłopcy, hej.

Pieśń

Niezwykłe podniecenie Griffitha, które błyskawicznie udzieliło się załodze, było wywołane nagłą zmianą pogody. Gdzie przedtem odcinała się na horyzoncie smuga blasku, teraz zdawała się ciągnąć z oceanu olbrzymia kolumna mglistego światła, podczas gdy daleki jeszcze choć zupełnie wyraźny łoskot wróżył zbliżanie się burzy, która tak długo wisiała w powietrzu. Nawet Griffith, grzmiącym głosem wydając rozkazy i przynaglając załogę do pośpiechu, rzucał niespokojnie okiem w stronę nadciągającego sztormu i twarze marynarzy, którzy leżeli na rejach, zwrócone były w tę stronę, gdy ręce wiązały żagle i podwójnie refowały topsle.

Jeden pilot w tym rojowisku, gdzie rozkaz padał za rozkazem, a okrzykowi wtórował okrzyk, zdawał się zupełnie obojętny i ze wzrokiem utkwionym w mgłę, z rękami na piersi, stał i czekał na burzę.

Statek, leżąc burtą do fali, nie pozwalał na manewrowanie, niemniej żagle zostały zarefowane, nim nadleciał szkwał i targnął nimi gwałtownie. Łopot płacht ponad czarnymi wodami przejął dreszczem nawet najodważniejsze serca.

— Szkuner jest na samej drodze szkwału! — krzyknął Griffith. — Pewien jestem, że Barnstable zwlekał ze zwinięciem żagli do ostatniej chwili. Byle zostało mu ich dość i mógł utrzymać się z dala od brzegu!

— Jemu łatwiej posługiwać się żaglami — zauważył dowódca fregaty — a największe niebezpieczeństwo ma już za sobą. Okręt ucieka z kursu, panie Gray. Czy mam opuścić sondę?

Pilot ocknął się z zadumy, przeszedł po pokładzie tam, i z powrotem, nim otworzył usta, jak człowiek, który nie tylko wie, że wszystko od niego zależy, ale i czuje się na siłach sprostać zadaniu.

— To niepotrzebne — rzekł wreszcie. — Jeśli nas zniesie w tył, to na pewną zgubę, a trudno powiedzieć, skąd wiatr nadleci.

— Już nie tak trudno! — krzyknął Griffith — bo wiatr nadlatuje, i to silny!

Szum wichru dał się już słyszeć w pobliżu i ledwie porucznik wymówił te słowa, statek przechylił się mocno na jedną burtę, potem zaś zaczął pruć wodę i wyprostował się majestatycznie, zupełnie jak dworny kawaler kłaniający się przeciwnikowi przed pojedynkiem. W następnej chwili szedł już szybko naprzód, a posłuszny sterowi zbliżył się do właściwego kursu, na ile tylko kierunek wiatru pozwolił. Ruch na rejach ustał stopniowo i marynarze powoli ściągnęli na pokład. Natężali wzrok usiłując przebić ścianę otaczających ich ciemności, a niektórzy kręcili głowami, pełni obaw, których

nie śmieli wyrazić słowami. Czekali na rozpętanie się sztormu, gdyż nikt nie był tak naiwny, by brać za burzę pierwsze porywy wichru. Wiatr tymczasem wzmagał się, ale stopniowo, aż wreszcie marynarze z uczuciem nieopisanej ulgi zaczęli wątpić, czy obawy ich były słuszne. Podczas tej chwili niepewności słyhać było tylko gwizd wiatru w olinowaniu i szum fali rozpryskującej się o dziób jak o progi wodospadu.

— Silnie dmucha! — zawołał Griffith, który ozwał się pierwszy w owej chwili powszechnego niepokoju — ale to harcownik tylko, wysłany przed głównymi siłami. Dajcie nam, pilocie, dość przestrzeni i właściwe żagle, a pomkniemy w tej bryzie niczym jacht na zawodach.

— Sądysz pan, że fregata wytrzyma pod tymi żaglami? — spytał obcy cichym głosem.

— Możemy spodziewać się, że wytrzyma wszystko, co może wytrzymaść drzewo i żelazo — odparł porucznik. — Nie ma jednak na świecie statku, który byłby w stanie halsować przeciw wielkiej fali pod samymi zarefowanymi topsłami. Pozwólcie podnieść dolne żagle, pilocie, a zobaczycie, że pomknie zwinnie jak baletnica.

— Przekonajmy się najpierw o sile wiatru — rzekł człowiek nazywany Grayem przechodząc na drugą stronę statku i w milczeniu, spokojnie i ze skupieniem wpatrując się przed dziób.

Po umocowaniu kotwicy wszystkie latarnie na pokładzie zostały pogaszone, a gdy rozwiały się mgły, zabłysła słaba poświata wzmocniona lśnieniem pian na falach przelewających się i pieniających dokoła. Brzeg można było dostrzec, gdyż wznosił się nad wodami na kształt ławicy gęstej, czarnej mgły, od nieba różnił się tylko intensywniejszą czernią. Marynarze zwinęli i ułożyli na pokładzie ostatnią linę i zapadła śmiertelna cisza. Każdy z tych ludzi rozumiał, że okręt z dużą szybkością zbliża się ku części zatoki najeżonej skałami i mieliznami, toteż jedynie subordynacja zmuszała zarówno oficerów, jak marynarzy do trzymania języka za zębami. Wreszcie dał się słyseeć głos kapitana Munsona, który pytał pilota:

— Czy posłać na dziób marynarza z sondą?

Choć pytanie to było wypowiedziane głośno i wzbudziło takie zainteresowanie, że wielu oficerów i marynarzy podeszło bliżej i stało w oczekiwaniu na odpowiedź, pilot zdawał się go nie słyseeć. Głowę wsparł na ręce i sprawiał wrażenie człowieka błędzącego myślą daleko od zagrożonego statku. Griffith stał wśród tych, co zbliżyli się do pilota, a odczekawszy chwilę, jak nakazywała grzeczność, dufny w swą rangę wyszedł spośród kręgu ciekawych i przystąpił do tajemniczego przewodnika, który losy ich wszystkich trzymał w swym ręku.

— Kapitan Munson chce wiedzieć, czy życycie sobie, by opuszczono ołowiankę — powiedział młody oficer nieco zniecierpliwiony. Na pytanie to znów nie usłyasał odpowiedzi, więc bez dalszych ceremonii położył rękę na ramieniu obcego z zamiarem przywołania go do rzeczywistości, ale konwulsyjne niemal drgnienie pilota zbiło go z tropu.

— Odstąpcie! — zawołał surowo porucznik na marynarzy, którzy otoczyli ich kołem, — Na stanowiska i przygotujcie się do zwrotu! — Ścieśniony krąg głów rozszerzył się na ten rozkaz na kształt fali rozchodzącej się w morzu i porucznik został sam z pilotem.

— Nie czas na zadumę, panie Gray — podjął Griffith. — Wspomnijcie nasz układ i zajmijcie się tym, co do was należy. Czy nie czas przejść na drugi hals? O czym pan śnisz na jawie?

Pilot konwulsyjnie ścisnął wyciągniętą rękę porucznika i odparł:

— Moje sny są rzeczywistością. Jest pan młody, panie Griffith, ani też ja nie przekroczyłem południa ludzkiego życia, ale gdyby udało się panu dożyć późnej starości, nie doświadczy pan i tak tego, co ja w ciągu trzydziestu trzech lat.

Wielce zdziwiony tym wybuchem, tak niestosownym w owej chwili, młody marynarz zapomniał na mgnienie języka w ustach, ale ponieważ obowiązek stawiał ponad wszystko, powrócił do pierwszego pytania.

— Wielkie pokładam nadzieje w doświadczeniu, które zdobył pan na tym wybrzeżu, gdyż statek mknie szparko — powiedział — a przy świetle dziennym widzieliśmy tyle mielizn i skał, że nie czujemy się zbyt pewnie w ciemnościach. Jak długo jeszcze mamy iść tym halsem?

Pilot odszedł z wolna od burty i zbliżywszy się do kapitana, odpowiedział mu głosem drżącym od wewnętrznego wzburzenia:

— Niech więc będzie, jak chcecie. Rzeczywiście znaczną część mego życia spędziłem na tym niebezpiecznym wybrzeżu. Wszystko, co przed waszymi oczami kryją ciemności, dla mnie jest jasne jak w południe. Ale przejdźcie na drugi hals, bo chciałbym zobaczyć, jak statek lawiruje, zanim osiągniemy miejsce, gdzie musi dobrze żeglować, bo w przeciwnym razie zginiemy.

Pilot znów zaczął przechadzać się po rufie. Griffith popatrzył za nim zdziwiony i kazał załodze przygotować się do zwrotu. Manewr wypadł świetnie i w zupełności potwierdził to, co mówił o fregacie Griffith, a zarazem dowiódł, że młody oficer umie nią dowodzić. Ledwie ster został położony na zawietrzną, ogromny statek rozpryskując piany skręcił prosto pod wiatr, a poddając się z gracją powietrznemu nurtowi zmienił kurs i wykręcił rufą do tych niebezpiecznych mielizn, do których zbliżał się przedtem z przerażającą szybkością. Olbrzymie reje obróciły się jak chorągiewki na dachu i po chwili fregata mknęła znów, zostawiając skały i mielizny z tej strony zatoki poza sobą, ale za to zbliżając się ku równie niebezpiecznemu przeciwległemu brzegowi.

Tymczasem morze stawało się coraz burzliwsze i wicher przybierał na sile. Nie gwizdał już wśród lin, ale wył wściekle, mijając skomplikowaną przeszkodę, jaką była na jego drodze fregata. Białe grzebienie przelewały się na grzbietach nieskończonej procesji bałwanów, powietrze lśniło od pian. Gnany burzą statek szedł coraz prędzej. Mniej niż w pół godziny od chwili podniesienia kotwicy pędził już pod naporem sztormu. I w dalszym ciągu nieustępliwi i doświadczeni marynarze, którzy nim dowodzili, trzymali go na właściwym kursie, w dalszym ciągu Griffith, otrzymując wskazówki od nieznanego pilota, wydawał rozkazy i lawirował po wąskim, bezpiecznym pasie wody.

Jak dotychczas kierowanie statkiem nie sprawiało Grayowi trudności. Wydawał rozkazy spokojnym, równym głosem, który stał w tak jaskrawej sprzeczności z ciężącą na nim odpowiedzialnością. Ale kiedy ląd zaczął się rozplýwać zarówno w oddali, jak w ciemnościach, a spienione fale przelewały się u burt, nagle otrząsnął się z apatii. Głos jego przebił się przez

monotonny ryk burzy.

— Teraz trzeba dopiero uważać, panie Griffith! — zawołał. — Tutaj mamy prawdziwy odpływ i prawdziwe niebezpieczeństwo. Postawcie starszego sternika na dziobie, a przy nim oficera, by ściśle podawał głębokości.

— Biorę to na siebie — ozwał się kapitan. — Podajcie, światło na nawietrzną stronę dzioba!

— Stańcie przy burcie — zawołał pilot dziwnie ożywiony — i rzućcie sondę!

Te przygotowania ostrzegły załogę, że nadeszła chwila największego niebezpieczeństwa, toteż zarówno oficerowie, jak i marynarze trwali w milczeniu na swych stanowiskach. Nawet sternik ludziom u koła sterowego dawał rozkazy stłumionym głosem, jakby w obawie, że zmąci spokój i porządek panujące na statku.

Ciszę pełną napięcia przeszył okrzyk z dzioba: — Wskazuje siedem! — który zapanował nad rykiem burzy, przeleciał nad pokładem i gnany wiatrem ucichł na zawietrznej jak ostrzeżenie morskiego kobolda.

— Dobrze — odpowiedział pilot ze spokojem. — Spuśćcie sondę powtórnie.

Po krótkiej chwili nadleciał okrzyk: — Pięć i pół sążnia!

— Mielizna, mielizna! — zawołał Griffith. — Steruj bliżej wiatru!

— Tak, musicie teraz trzymać okręt na wodzy, panie Griffith — rzekł pilot tym niewzruszonym głosem, który robi największe wrażenie w krytycznych momentach, gdyż dowodzi, że jest się przygotowanym na wszystko.

Zaraz potem nadleciał okrzyk: — Głębokość cztery! — i pilot natychmiast kazał zmienić hals.

Griffith z równym spokojem wydał odpowiednie rozkazy. Statek, który płynął przechylony parciem wichru, wyszedł powoli z przechyłu i pruł fale, a żagle trzepotały tak gwałtownie, jak gdyby chciały uwolnić się od nacisku powietrza. Nagle znany głos zabrzmiał od dzioba:

— Piany! Piany wprost na kursie!

Te przerażające słowa zdawały się jeszcze unosić nad statkiem, kiedy drugi głos zawołał:

— Piany na zawietrznej!

— Jesteśmy wśród mielizn, panie Gray! — zawołał kapitan. — Fregata traci szybkość, możliwe, że kotwica ją utrzyma.

— Spuścić kotwicę! — wrzasnął Griffith przez tubę.

— Wstrzymajcie się! — krzyknął pilot głosem przejmującym do głębi. — Wstrzymajcie wszystko!

Młody oficer zwrócił się groźnie do nieulekłego przybysza, który w ten sposób obrażał dyscyplinę okrętową:

— Kto śmiał cofnąć mój rozkaz? Nie dość, że wpakowałeś pan statek w takie niebezpieczeństwo, jeszcze nie dajesz go ratować! Jeżeli jedno słowo więcej...

— Spokojnie, panie Griffith — przerwał mu kapitan wychylając się z olinowania. W świetle latarni mignęła jego twarz gniewna i stroskana, okolona rozwianymi na wietrze srebrnymi lokami. — Proszę oddać tubę panu Grayowi. On jeden może nas uratować.

Griffith cisnął tubę na pokład i odchodząc dumnie, mruknął z goryczą:

— W takim razie wszystko stracone! A również i szalone nadzieje, z którymi wyruszałem na to wybrzeże.

Nie było jednak czasu na rozważania. Statek szybko skręcał pod wiatr, a ponieważ wysiłki załogi zostały sparaliżowane sprzecznymi rozkazami, stopniowo tracił pęd i po chwili żagle wyparło na przeciwną stronę.

Nim marynarze połapali się w sytuacji, pilot przyłożył tubę do ust i głosem dominującym nad burzą zaczął wydawać rozkazy. Każdy z tych rozkazów cechowała jasność i precyzja, co dowodziło, że ten, który je wydawał, był mistrzem w swym zawodzie. Ster został położony, górne reje przebrasowane i wkrótce fregata dokonała zwrotu przez rufę.

Griffith był zbyt dobrym żeglarzem, by nie ocenić, że pilot z przytomnością umysłu niemal intuicyjną wybrał jedyny sposób wyjścia z matni, a choć młody, gwałtowny i dumny — był również szlachetny. Zapominając o gniewie i doznanym upokorzeniu skoczył na dziób między marynarzy, przyczyniając się swą obecnością i przykładem do sprawnego wykonania manewru. Statek powoli odpadał od wiatru; pod parciem wichru uderzającego o burtę kładł się tak, że rejami nieomal dotykał wody, podczas gdy fale uderzały gwałtownie o rufę, jakby z wyrzutem, że zmieniała pozycję.

Głos pilota jednak rozbrzmiewał w dalszym ciągu, dobitny, spokojny, a tak donośny, że docierał do wszystkich. Posłuszni mu marynarze na przekór burzy brasowali reje z taką łatwością, jakby to były dziecinne zabawki. Gdy fregata całkowicie odpadła od wiatru, wyrównano reje, postawiono ster na wprost, unikając niebezpieczeństwa zarówno z zawietrznej, jak i nawietrznej. Piękny statek, posłuszny sterowi, znów wyszedł dziobem na wiatr i pod skróconymi żaglami ominął niebezpieczne mielizny tak pewnie i szybko, jak między nie wpłynął.

Po dokonaniu tego mistrzowskiego manewru zapanowało zdumienie, ale nie było czasu, by dać mu wyraz. Pilot wciąż nie wypuszczał tuby z ręki i wydawał rozkazy poprzez ryk wichru, ilekroć ostrożność lub sztuka żeglarska tego wymagały. Jeszcze godzinę trwała ciężka walka o życie. Kanał stawał się coraz bardziej kręty i mielizny zacieśniały się dokoła statku. Sonda padała szybko, a wzrok pilota zdawał się przebijać ciemności z przenikliwością niemal cudowną. Wszyscy zrozumieli, że dowodzi człowiek, który zna się doskonale na sztuce żeglarskiej, a im większego nabierali doń zaufania, tym sprawniej wykonywali jego rozkazy. Raz po raz fregata zdawała się pędzić na ślepo na mielizny, gdzie morze pieniało się dziko i gdzie czekała nagła i nieunikniona

zagłada, ale zawsze w porę odzywał się dźwięczny głos, przestrzegał przed niebezpieczeństwem i przypominał o obowiązku. Dowództwo zostało mu przekazane bez zastrzeżeń. W tych trwoźnych chwilach, kiedy statek przecinał fale, aż bryzgi pian wzbijały się ponad olbrzymie reje, cała załoga łowiła chciwie rozkazy, które zdobyły taki autorytet, jaki tylko w chwili wielkiego niebezpieczeństwa zdobyć można przez okazanie spokoju ducha i doskonałą znajomość żeglarskiego rzemiosła. Statek odzyskiwał właśnie pęd po dokonaniu jednego ze zwrotów, kiedy pilot po raz pierwszy odezwał się do kapitana, nadal doglądującego ważnej czynności sondowania.

— Teraz przychodzi krytyczny moment. Jeżeli statek zachowa się dobrze, będziemy ocaleni, w przeciwnym razie wszystko, czego dokonaliśmy, nie zda się na nic.

Słyszając te ostrzegawcze słowa stary żeglarz odszedł od sondy, zawołał porucznika i zażądał od pilota wyjaśnień.

— Widzicie to światło, tam na południowym cyplu? — zapytał pilot. — Można je odróżnić od świecącej obok gwiazdy, bo od czasu do czasu niknie w morzu. Teraz zauważcie to wzgórze cokolwiek na północ od niego, rysujące się jak cień na horyzoncie. To góra daleko w głębi kraju. Jeżeli uda nam się tak żeglować, by światło było z dala od wzgórza, będziemy ocaleni, jeśli nie, rozbijemy się na pewno.

— Zmieńmy znów hals! — zawołał porucznik. Pilot potrząsnął głową.

— Dzisiejszej nocy nie ma co myśleć o zwrotach. Mamy tu ledwie tyle miejsca, by wyjść za mielizny tym samym kursem. Jeśli przemkniemy po nawietrznej stronie Diabiego Szponu, miniemy je, jeśli nie, nie pozostaje nic innego jak zginąć.

— Trzeba było przebić się szlakiem, którym wpłynęliśmy — rzucił Griffith.

— Tak, gdyby odpływ nam na to pozwolił — odparł pilot spokojnie. — Panowie, czas nagli. Dzieli nas tylko mila od tego cypla, a okręt zdaje się mieć skrzydła. Tego topsła mało, jeśli chcemy iść pod wiatr. Potrzeba nam kliwra i grotzagła.

— Niebezpiecznie rozwijać żagle w taką burzę — zauważył kapitan z wahaniem.

— Nie ma innej rady — odparł pilot mocnym głosem. — Zginiemy, jeśli tego nie zrobimy. Patrzcie, światło dotyka prawie brzegu wzgórza. Fala znosi nas na zawietrzną! .

— A więc rozwiniemy żagle! — krzyknął Griffith chwytając tubę z ręki pilota.

Rozkazy porucznika zostały wykonane niemal tejże chwili. Ponieważ wszystko było w pogotowiu, olbrzymia płachta grotzagła została wypchnięta na wiatr. Przez moment rezultat wydawał się wątpliwy. Gwałtowny łopot żagli groził, że się wyrwą. Drzenie dało się odczuć na śródkręciu. Ale kunszt żeglarski i siły ludzkie wzięły górę i płachta powoli się wyprężyła, wydeła i została wreszcie skierowana na miejsce łącznymi siłami stu ludzi. Po rozwinięciu żagli statek pochylił się jak trzcina pod skrzydłem wiatru. Niemniej powodzenie manewru było zapewnione. Oznajmił o tym pilot okrzykiem, który wyrwał mu się, rzekłbyś, z głębi duszy.

— Czuję to! Czuję! Idzie na wiatr! Patrzcie! — wołał. — Światło oddala się od wzgórza. Wydostaniemy się, jeżeli tylko nie zedrze nam żagli.

Przerwał mu huk podobny do wystrzału, działowego i coś na kształt białej chmury uniosło się z wiatrem z dzioba, znikając w ciemnościach na zawietrznej.

— Poszedł kliwer — rzekł dowódca fregaty. — Nie czas na lekkie żagle, ale grotżagiel może się utrzyma.

— Ten żagiel oparłby się tornado — odparł porucznik — ale maszt przegina się, jakby był ze stali.

— Bacność! — zawołał pilot. — Teraz, panowie, bliska już decydująca chwila. Niech idzie na wiatr!

Tymi słowy położył kres rozmowom, a nieustraszeni żeglarze, świadomi, że zrobili wszystko, co było w ich mocy, by się ocalić, stali wstrzymując oddech i czekając ostatecznego wyniku swych wysiłków. Tuż przed dziobem całe morze było białe od piany, a bałwany, zamiast pędzić szeregiem, zdawały się wyprawiać tam dzikie harce. Tylko jedno pasmo czarnej wody, mniej niż pół kabła szerokości, można było rozróżnić w tumulcie wód; pasmo to nikło dalej od dzioba w rozszalałym żywiole. Statek żeglował po tym wąskim szlaku niepowstrzymanym pędem, jak można najostrzej do wiatru. Pilot w milczeniu podszedł do koła sterowego i wziął je w swoje ręce. Żaden hałas na fregacie nie zmącił straszego ryku fal i statek pędził kanałem między pianami w zupełnej ciszy. Dwadzieścia może razy, gdy grzbiety fal przetaczały się ku zawietrznej, marynarzom wyrывał się niemal okrzyk radości, gdyż sądzili, że niebezpieczeństwo minęło; zawsze jednak na kursie pojawiały się nowe masy piany. Od czasu do czasu rozlegał się łopot żagli, a wówczas oczy zaniepokojonej załogi zwracały się ku kotu sterowemu, gdzie obcy człowiek szybko obracał szprychy i przenosił wzrok z wody na żagle. Koniec końców dotarli do miejsca, w którym statek zdawał się lecieć na pewną zgubę. Nagle zmieniono kurs. Dziób zaczął szybko odchodzić od wiatru i w tej chwili padł rozkaz pilota:

— Reje na wprost! Grot brasować!

Chór głosów powtórzył: „Reje na wprost!” i w jednej chwili fregata pomknęła wzdłuż kanału pod wiatrem. Piany migają tylko za burtami jak chmury po niebie i wkrótce dzielny statek, minąwszy groźne skały, wznosił się i opadał na długiej fali pełnego morza.

Żeglarze oddychali z ulgą i rozglądali się dokoła jak zbudzeni z transu, gdy Griffith podszedł do człowieka, który szczęśliwie przeprowadził ich przez tyle niebezpieczeństw. Ująwszy jego rękę porucznik rzekł:

— Dowiódł pan tej nocy, że jesteś najwierniejszym z pilotów i żeglarzem, który nie ma sobie równego na świecie!

Pilot serdecznie odwzajemnił uścisk dłoni.

— Wody morskie nie są mi obce, a mimo to mogę jeszcze znaleźć w nich grób. Ale i ja gorzej o

panu myślałem. Postąpiłeś szlachetnie, młody człowieku, i Kongres... .

— Co Kongres? — spytał Griffith widząc, że pilot nie kończy zdania.

— Ba, Kongres ma szczęście, jeśli posiada więcej takich statków jak ten — odpowiedział obcy spokojnie i podszedł do kapitana.

Griffith zaintrygowany spojrział za nim, ale musiał wrócić do swych obowiązków i nie miał czasu myśleć o niczym innym.

Byli ocaleni. Szstorm wprawdzie się wzmaczał, ale przed dziobem rozciągało się pełne morze. Fregata wolno odpływała od brzegów, a w tym czasie załoga szykowała się do przetrwania burzy. Przed północą wszystko było zrobione. Wystrzał działowy z „Ariela” oznajmił, że szkuner także jest bezpieczny. Wyszedł on łatwiejszą drogą, którą fregata nie mogła się przedostać. Służbę objęła, jak zawsze, jedna wachta, a reszta załogi zwolniona została na spoczynek.

Kapitan zabrał tajemniczego pilota do swej kabiny. Wydawszy ostatni rozkaz Griffith powierzył dowództwo koledze, życzył mu przyjemnej wachty, a sam wyciągnął się czym prędzej na koi.

Leżał godzinę z otwartymi oczami, rozmyślając o wypadkach dnia ubiegłego. Przypomniawszy sobie uwagę Barnstable'a w związku z dziwnym zachowaniem się chłopca, a potem wrócił myślą do pilota, który, zabrany z nieprzyjacielskich brzegów Anglii i mówiący z brytyjskim akcentem, służył im tak wiernie i skutecznie. Pamiętał, ile zabiegów kosztowało kapitana Munsona, by dostać tego obcego człowieka na pokład, i zaczął się gubić w przypuszczeniach, po co sprowadzać pilota za cenę takiego ryzyka. Potem owładnęły nim myśli bardziej osobistej natury, wspomnienia Ameryki, domu i pani swego serca, a z tymi obrazami mieszały się mgliste obrazy młodości. Uderzenia fal o burty, trzeszczenie lawet i grodzi i ryk burzy dochodziły go jednak coraz słabiej, aż wreszcie natura upomniała się o swe prawa i młody marynarz pogrążył się w głębokim śnie, zapominając nawet o ukochanej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Listy, ach, te listy!

Im najchętniej niewiasta zwierza swe życzenia,

One czulej dziewczynie oszczędzą rumieńca:

W nich każde słowo śmiechem, każda Unia mową.

Duo

Griffith zasnął następnego ranka i zbudził go dopiero huk wystrzału działowego z pokładu ponad nim. Nie śpiesząc się zbytnio, młody porucznik wstał z koi i zobaczywszy przez uchylone drzwi kabiny, które otworzył jego ordynans, oficera piechoty morskiej, zapytał od niechcienia:

— Czy okręt jest w pościgu, że wystrzelono z działa?

— Nie, to tylko znak dla „Ariela”, żeby czytał nasze sygnały. Wygląda, że cała załoga zasnęła, bo sygnalizowaliśmy od dziesięciu minut, a sądząc ze sposobu, w jaki reagują, biorą nas za frachtowiec węglowy.

— Powiedzmy raczej, że biorą nas za nieprzyjaciela i są ostrożni — odparł Griffith. — Śniady Dick tyle figłów spletał Anglikom, że boi się sam wpaść w pułapkę.

— Wciągnęliśmy przecie żółtą flagę nad niebieską z białym polem, co czyta się „Ariel” według wszystkich kodów sygnałowych, jakie mamy; nie myśli chyba, by Anglicy umieli czytać jankeskie sygnały.

— Znam Jankesów, którzy trudniejsze rzeczy odczytywali po angielsku — odpowiedział Griffith z uśmiechem. — Ale prawdę mówiąc, przypuszczam, że Barnstable zrobił taki sam jak ja użytek z czasu, a jego ludzie skorzystali z okazji i poszli w jego ślady. Stał w dryf, prawda?

— Tak, leży jak korek na stawie i wygląda, że macie rację, poruczniku. To zwykła metoda Barnstable'a. Kiedy ma tylko dość przestrzeni przed sobą, podnosi sztormowe żagle, załódze pozwala iść spać, stawia tego żeglarza, którego przezwał Długim Tomem, u steru i sam chrapie tak spokojnie, jak ja w kościele.

— Widać, że jest pan wyznawcą snu, kapitanie Manual — odpowiedział młody marynarz ze śmiechem, wciągając krótką, poranną kurtkę, ozdobioną złotymi epoletami. — Sen wam, próżniakom, wydaje się najnaturalniejszym w świecie zajęciem. Ale przepuść mnie pan, a wyjdę na pokład i ściągnę do nas szkuner, zanim klepsydra raz się przesyple.

Rozleniwiony żołnierz odstąpił od drzwi kabiny, o które opierał się plecami, i Griffith ruszył poprzez mroczną kajutę oficerską w górę po wąskim trapie wiodącym do głównej baterii, a stamtąd

drugim, szerszym trapem na pokład.

Wicher wciąż dał silnie, ale równo. Niebieskie wody piętrzyły się w góry uwieńczone grzebieniami piany, które wiatr zwiewał i unosił rozpylone w powietrzu. Statek wspinał się na fale z łatwością i gracją, będącymi najlepszym świadectwem kunsztu żeglarskiego tych, którzy nim kierowali. Dzień był jasny, powietrze przejrzyste, a leniwe słońce, jakby nie miało ochoty mozolnie wspinać się do zenitu, wędrowało po południowym skłonie nieba, ledwie łagodząc chłód wilgotnego morskiego powietrza. O milę wprost pod wiatr widać było „Ariela” spieszącego na sygnał, który wywołał opisaną powyżej rozmowę. Niski jego kadłub ledwie był widoczny, i to w chwilach, gdy szkuner wzbijał się na grzbiecie wielkiego bałwana, a żagle zdawały się tykać po obu burtach fal, kiedy zapadał w bruzdę. Od czasu do czasu „Ariel” znikał całkowicie z oczu, potem zaś ukazywały się same wierzchołki masztów, wyjeżdżając jak gdyby spod powierzchni oceanu, a wreszcie cały statek z dziobem w powietrzu, okolony pianami i gotów zapaść się znowu między fale.

Nasyciwszy oczy tym pięknym widokiem, który usiłowałem opisać, Griffith doświadczonym wzrokiem żeglarza przebiegł po niebie, aby upewnić się co do pogody, i dopiero wówczas zwrócił uwagę na osoby stojące na pokładzie.

Opodal dowódca z właściwym sobie spokojem oczekiwał na wykonanie rozkazu przez „Ariela”, a u boku miał obcego przybysza, który niedawno tak ważną odegrał rolę na statku. Griffith skorzystał z dziennego światła i swej pozycji, by dokładniej przyjrzeć się tej dziwnej osobistości, niżli mógł to uczynić w ciemnościach i zamieszaniu ubiegłej nocy. Pilot był cokolwiek mniej niż średniego wzrostu, ale muskularny, atletyczny i przejawiający wszystkie cechy męskiej urody. Rysy jego zdradzały usposobienie raczej melancholijne i kontemplacyjne niżli, zdolność szybkiej decyzji, której dał tak przekonywające dowody w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa, ale Griffith wiedział dobrze, jak rysy te potrafią się ściągnąć gniewem. Twarz, którą teraz widział, różniła się od twarzy, która migąła mu w nocy w błyskach latarni, jak morze spokojne różni się od wzburzonego. Pilot miał oczy spuszczone, a kiedy je podnosił, rzucał szybkie, niespokojne spojrzenia. Obszerna kurta, która go niemal całkiem okrywała, była tak uszyta i z tak grubego materiału jak kurta najprostszego marynarza, a jednak nie uszło uwagi młodego człowieka, że pilot nosił ją schludnie i z dystynkcją obcą ludziom jego zawodu. Na tym urwały się obserwacje Griffitha, gdyż „Ariel” już się zbliżał i wszyscy na pokładzie fregaty ciekawi byli rozmowy między dwoma dowódcami.

Gdy tylko szkuner zrównał się z rufą dużego statku, kapitan Munson nakazał Barnstable'owi stawić się na pokładzie fregaty. „Ariel” wykręcił natychmiast i wpłynął na obszar głazki zalegającej po zawietrznej olbrzymiego statku. Znowu spuszczone welbot i obsadzono go tymi samymi ludźmi, którzy dnia poprzedniego popłynęli na brzeg widniejący teraz daleko na zawietrznej na kształt niebieskawych chmur na horyzoncie.

Ledwie Barnstable stanął w łódce, parę zamachów wiosła podprowadziło ją w płasach do burty. Oficer ze swymi ludźmi wstąpił na stromy trap fregaty, a łupina kierowana przez wioślarza oddaliła się znów i bezpiecznie kołysała na falach.

Kiedy Barnstable stanął na pokładzie, odbyły się zwykle ceremonie powitalne. Choć Griffith i młodzi oficerowie niecierpliwili się, by zamienić uścisk dłoni z nieustraszonym marynarzem, nikt nie ważył się tego uczynić wbrew przepisom, póki po krótkiej rozmowie na uboczu nie zwolni go kapitan

fregaty.

Tymczasem załoga welbotu odeszła na dziób i zmieszała się z załogą fregaty. Tylko sternik pozostał w jednym z przejść, wodząc z całym spokojem oczyma po masztach i trzęsąc głową z niedowierzaniem na widok skomplikowanego takielunku. Zauważyło go wkrótce kilku młodzieńców z panem Merry na czele i otoczyło gościa, próbując zabawić się jego kosztem.

Rozmowa Barnstable'a z kapitanem Munsonem skończyła się prędko. Wówczas, dając znak Griffithowi, minął zgromadzonych u kabestanu oficerów oczekujących na tę chwilę, by się serdecznie przywitać, i skierował kroki do kajuty oficerskiej ze swobodą człowieka zadomowionego. Ponieważ Barnstable znany był z przystępności i cnót towarzyskich, oficerowie pozwolili mu odejść z Griffithem, przekonani, że służba wymaga, aby rozmowa ich odbyła się bez świadków. W każdym razie Barnstable musiał to sobie z góry ułożyć, bo wzięwszy lampę ze stołu w kajucie, wszedł do kabiny przyjaciela i przekręcił klucz w zamku. Gdy obaj znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu, Barnstable, z pewnego rodzaju instynktownym respektem dla szarży kolegi, wskazał mu jedyne krzesło, a sam rzucił się niedbale na skrzynkę i postawiwszy lampę na stole powiedział:

— Co za noc mieliśmy! Ze dwadzieścia razy zdawało mi się, że wody się nad wami zamykają i miałem was za zatopionych albo, co gorsza, wyrzuconych na brzeg, skąd dostalibyście się niechybnie na statki więzienne tych wyspiarzy. Wreszcie w odpowiedzi na wystrzał działowy zobaczyłem wasze światła. Wyrok uniewinniający nie tak ucieszyłby mordercę, jak mnie widok tych waszych latarni. Ale mam ci do opowiedzenia inną zgoła historię.

— Jak położyłeś się spać, znalazłszy się na pełnym morzu, jak twoja załoga poszła w ślady dowódcy i jak się to wam udało, aż tu jeden siwowłosy zaczął trząść głową z niezadowolenia — przerwał Griffith. — Doprawdy, Dick, zwyczaje szczerów lądowych zakradły się na twoją łupinę, gdzie cała załoga idzie spać tak regularnie, jak mieszkańcy kojca skaczą na swe grzędy.

— Nie jest aż tak źle, Ned — odparł dowódca szkunera ze śmiechem. — Przestrzegam u siebie takiej dyscypliny jak na okręcie flagowym. Czterdziestu ludzi, rzecz zrozumiała, nie potrafi urządzić takiej parady co trzystu lub czterystu, ale jeśli idzie o wciąganie i ściąganie żagli, zapędzam cię w kozi róg.

— Pewno że chustkę do nosa łatwiej da się zwinąć i rozwinąć od obrusa. Ale nie morski to obyczaj zostawić statek bez kogoś, kto by dawał baczenie, czy żeglujecie na wschód czy zachód, północ czy południe.

— A kto w ten sposób pełni wachtę?

— Mówią tu u nas, że kiedy dmie mocniej, zostawiasz tego Długiego Toma przy sterze i każesz mu trzymać szkuner dziobem do fali, a potem zwalniasz całą załogę i wygodnie huścacie się w hamakach, póki nie zbudzi was chrapanie sternika.

— To bezczelne łgarstwo! — zawołał Barnstable ze źle ukrywanym oburzeniem. — Kto to rozpuszcza takie plotki?

— Ja słyszałem to od oficera piechoty morskiej — rzekł pierwszy porucznik zaprzestawszy żartów kosztem przyjaciela i z miną człowieka, który nie przywiązuje wagi do własnych słów. — Ale sam temu nie wierzę. Musieliście mieć oczy szeroko otwarte wczorajszej nocy, żebyście nie wiem co robili dziś rano.

— Ach, dziś rano! Postawiłem, naturalnie, marynarza na oku. Ale sam byłem zajęty studiowaniem nowego kodu sygnałowego, tysiąc razy bardziej interesującego dla mnie od wszystkich flag, które mógłbyś mi pokazać na masztach od topów do pięt.

— Co! Czyżbyś znalazł kod Anglików?

— Nie, nie — Barnstable położył przyjacielowi rękę na ramieniu. — Ubiegłej nocy spotkałem osobę, którą zawsze podejrzewałem o wielką rezolucję i odwagę i którą zawsze za to ceniłem i kochałem.

— O kim mówisz?

— O Katarzynie.

Griffith wbrew woli skoczył z krzesła, a krew odpłynęła mu najpierw z twarzy, okrywając go śmiertelną bladością. Potem znów uderzyła z serca do twarzy i oblała ją falą rumieńca. Usiłując opanować wzruszenie, którego wstydził się nawet przed najlepszym przyjacielem, młody człowiek zdołał uspokoić się na tyle, że usiadł z powrotem i spytał posępnie:

— Była sama?

— Tak, sama. Ale zostawiła mi tę kartkę, tę bezcenną księgę, wartą więcej niż wszystkie biblioteki świata.

Wzrok Griffitha spoczął obojętnie na kartce, którą jego towarzysz tak wysoko cenił, ale natychmiast chwycił ją do ręki. Czytelnik domyśli się naturalnie, że list był pisany kobiecą ręką i że były to wskazówki otrzymane przez Barnstable, a od narzeczonej na nadbrzeżnej skale. Pismo brzmiało jak następuje:

Wierząc, że ręka Opatrzności poprowadzi mnie na miejsce, gdzie się spotkamy albo skąd będę mogła przesiać Ci ten list, przygotowałam krótki opis położenia, w którym znalazłyśmy się z Cecylią Howard. Nie dlatego bynajmniej to czynię, żeby skłonić Ciebie albo Griffitha do jakichś szalonych i ryzykownych przedsięwzięć, ale byście rozważywszy rzecz spokojnie, postanowili, jak nas uwolnić.

Miałeś czas poznać pułkownika Howarda dostatecznie, aby przekonać się, że nigdy nie da zgody na małżeństwo swej bratanicy z rebeliantem. Złożył on, jak zwykł twierdzić, w oficerze lojalności (ja jednak szepczę Cecylii na ucho, że to zdrada) nie tylko kraj rodzinny, ale niemalą część swej fortuny. Szczera jak zawsze (znasz moją szczerłość, Barnstable, aż za dobrze!), zaraz po tej szalonej i nieudanej próbie uprowadzenia Cecylii przez Griffitha w Karolinie wyznałam, że sama

popelnilam to glupstwo i dalem slowo koledze Griffitha, który towarzyszył mi w zdradzieckich wizytach na plantacji. Tak! Czasami myślę, że byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby wasz statek nigdy nie został zapędzony na rzekę, albo, skoro się już tak stało, gdyby Griffith nie próbował odnowić znajomości z moją kuzynką. Pułkownik przyjął tę wiadomość, jak należało się spodziewać po opiekunie, który słyszy, że jego wychowanica zamierza oddać trzydzieści tysięcy dolarów i rękę zdrajcy króla i ojczyzny. Bronił Cię dzielnie, dowodząc, że nie masz króla, bo więzy, poddaństwa zostały zerwane, że Ameryka jest Twoją ojczyzną i że zawód Twój jest zaszczytny, ale nic nie wskórałam. Nazwał Cię rebeliantem, do tego przywykłam. Powiedział, że jesteś zdrajcą, co w jego słowniku znaczy jedno i to samo. Dał nawet do zrozumienia, że jesteś tchórzem, oczywisty fałsz, czego też nie zawahałam się mu powiedzieć. Użył coś z pięćdziesiąt obelżywych przezwisk, których nie spamiętałam, ale między innymi były takie epitety jak „dezorganizator”, „leweller”, „demokrata” i „jakobin” (mam nadzieję, że pod tym słowem nie rozumiał mnicha!). Dość, że wpadł w pasję. Ponieważ jednak jego władza nade mną tym się różni od władzy jego ulubionych królów, że nie przechodzi z pokolenia na pokolenie i jeden krótki rok mnie od niej oswobodzi, a wtedy będę panią moich czynów — o ile można wierzyć Twoim zaklęciom — zniosłam to wszystko dość mężnie, zdecydowana na wszystko prócz męczeństwa, byle nie opuszczać Cecylii. Ona, biedaczka, ma daleko więcej ode mnie powodów do zgryzoty, nie tylko jako wychowanka pułkownika Howarda, ale również jego bratanica i jedyna spadkobierczyni. Jestem przekonana, że spadek nie wpływa na sposób postępowania Cecylii ani na jej uczucia, ale pułkownik sądzi widocznie, iż ma prawo tyranizować ją przy lada okazji. Bądź co bądź jest to dżentelmen, o ile nie wprawić go w pasję. Jest z gruntu uczciwy i Cecylia nawet go kocha. Ale człowiek, w sześćdziesiątym roku życia wygnany z ojczyzny i pozbawiony prawie połowy majątku, nie może patronizować tym, którzy to spowodowali.

Zdaje się, że kiedy przed stu laty Howardowie żyli na tej wyspie, mieszkali w hrabstwie Northumberland. Tu więc nas sprowadził, kiedy wypadki polityczne i strach, by nie zostać powinowatym rebelianta, skłoniły go do opuszczenia Ameryki, jak twierdzi, na zawsze. Przebywamy tu od trzech miesięcy, z których dwa były znośne, ale ostatnio gazety doniosły o przybyciu fregaty i twojego szkunera do Francji i od tego czasu jesteśmy tak strzeżone, jakbyśmy planowały powtórny ucieczkę. Sprowadzając się tu, pułkownik wynajął stare domostwo przypominające trochę dwór, a najbardziej więzienie, a uczynił to dlatego, że miało ono jakoby należeć kiedyś do jednego z Howardów. W tym rozkoszным miejscu jest sporo klatek, w których da się zamknąć bezpiecznie bardziej niespokojne od nas ptaszki. Jakieś dwa tygodnie temu uderzono na alarm w sąsiednim nadbrzeżnym miasteczku, gdzie widziano dwa statki amerykańskie, z opisu zupełnie jak wasze, żeglujące wzdłuż brzegów. Ponieważ zaś ludzie o niczym tu nie mówią, tylko o tym strasznym Paulu Jonesie, rozeszły się wieści, że płynął na którymś z nich. Sądzę jednak, że pułkownik Howard domyślił się prawdy. Bardzo drobiazgowo, jak mi mówiono, wypytywał się o was i od tego czasu założył w domu mały garnizon pod pozorem obrony przed łotrzykami, takimi jak ci, którzy podobno nałożyli okup na Lady Selkirk.

Ale zrozum mnie dobrze, Barnstable. Nie chcę, pod żadnym pozorem, byś ważył się na brzeg, unikaj leż rozlewu krwi, jeśli mnie kochasz. Chcę natomiast, byś wiedział, gdzie jesteśmy zamknięte i kim otoczone, opiszę Ci więc zarówno nasze więzienie, jak i jego załogę. Cały budynek jest z kamienia i o forsowaniu go małymi siłami mowy być nie może. Ma krużganki na zewnątrz i wewnątrz korytarze, których nawet nie potrafiłabym opisać, ale nasze pokoje mieszczą się na

górnym, czyli trzecim piętrem skrzydła, które możesz, jeśli chcesz, nazwać romantycznie wieżą, ale które nie jest niczym innym, tylko skrzydłem. O, skoro już mowa o skrzydle, jakże ich brak odczuwam! Jeżeli zrzędzeniem losu znalazłbyś się w pobliżu tej siedziby, rozpoznasz nasze skrzydło po trzech zakopconych chorągiewkach, które się kręcą na spiczastym dachu, i po tym, że okna w tej części domu bywają dość często otwierane. Naprzeciw naszych okien w odległości pół mili znajduje się opuszczona budowla, ruina, osłonięta lasem, w której trudno znaleźć wygody, ale w której wnękach i zakamarkach można się od biedy schronić. Stosownie do wskazówek, jakich mi kiedyś udzieliłeś, sporządziłam komplet małych sygnałów z różnobarwnych szmatek jedwabnych, ułożyłam słowniczek zdań, według mnie najpotrzebniejszych, i oznaczyłam je tymi samymi liczbami co flagi. Wszystko to załączam do listu. Przygotujesz sobie własne flagi, a ja naturalnie zachowam moje, jak i kopię klucza i książki sygnałowej. Jeśliby nadarzyła się kiedy sposobność, moglibyśmy w najgorszym razie prowadzić przyjemną rozmowę, ty sygnalizując ze strychu starej wieży, ja zaś ze wschodniego okna mojej garderoby! A teraz przejdźmy do garnizonu. Prócz pułkownika Howarda, który zachował surowe nawyki wojskowe, czuwa nad nami ten prześladowca Cecylii, Kit Dillon, ten z długą, oliwkową twarzą mieszkańca Savannah i czarnymi, pogardliwymi oczami. Osobnik ten, jak ci wiadomo, jest dalekim krewnym Howardów i pragnie jeszcze bliżej się z nimi skoligacić. Jest biedny, to prawda, ale pułkownik co dzień powtarza, że jest wiernym poddanym swego monarchy, a nie rebeliantem. Kiedy zapytałam, dlaczego Dillon w tych niespokojnych czasach nie służy w wojsku i nie walczy za ubóstwianego suwerena, pułkownik odpowiedział, że to nie jego zawód, że otrzymał wykształcenie prawnicze i miał zająć jedno z najwyższych stanowisk w sądownictwie kolonialnym i że on, pułkownik Howard, ma jeszcze nadzieję dożyć tej chwili, kiedy Kit odczyta pewnym osobnikom zasłużony wyrok. Nie było to pocieszające, ale jakoś się tym nie przejęłam. Dillon opuści] Karolinę wraz z nami i oto tu jest i prawdopodobnie pozostanie tu, chyba że go zdołacie pochwyć i uprzedzić jego zamiary odczytując wyrok przygotowany dla niego. Pułkownik od dawna chce za niego wydać Cecylię, a odkąd nadeszła wieść o waszych statkach, oblężenie przekształciło się w szturm. Rezultat ten, że moja kuzynka z początku przestała wychodzić ze swego pokoju, a potem pułkownik trzymał ją pod kluczem i nawet teraz nie wolno jej opuszczać skrzydła, w którym mieszkamy. Oprócz tych dwóch głównych dozorców więziennych jest jeszcze czterech służących, dwóch czarnych i dwóch białych. Nadto oficer z sąsiedniego miasta został u nas zakwaterowany z dwudziestoma żołnierzami na wyraźne życzenie pułkownika, dopóki wybrzeże nie zostanie oczyszczone z piratów! Tak, nie nazywają was inaczej, a kiedy ich ludzie ładują, plądrują i grabią, mordują mężczyzn, a hańbią kobiety, zwą ich bohaterami. Wdzięczne to zajęcie wymyślać słowa i tworzyć słowniki — i Twoja będzie to wina, jeśli mój nie zda się na nic. Kiedy wspominam wszystkie obelgi i okrutne zarzuty czynione w tym kraju mojej ojczyźnie i rodakom, tracę panowanie nad sobą i żałuję, że należę do płci słabej, niech Cię mój gniew nie popchnie jednak do czynów nierozważnych, pamiętaj o niebezpieczeństwach, o angielskich więzieniach, o swej reputacji, ale nie zapominaj, nie zapominaj o Twej

Katarzynie Plowden

P.S. Zapomniałam dodać, że w mej książeczce sygnałowej znajdziesz dokładniejszy opis naszego więzienia, a także szkic terenu, gdzie ono stoi.

Griffith, skończywszy czytać, zwrócił epistolę przyjacielowi, do którego była zaadresowana, i odchylił się w krześle z wyrazem głębokiej zadumy.

— Wiedziałem, że ona tu jest, i dlatego nie przyjąłem dowództwa ofiarowywanego mi przez naszych komisarzy w Paryżu — powiedział wreszcie. — Liczyłem, że szczęśliwym zrządzeniem losu spotkam ją na swej drodze. Ale do rzeczy! Powinniśmy skorzystać z tych wskazówek, i to nie zwlekając. Biedna dziewczyna, jak ona musi cierpieć w takiej sytuacji!

— A jakie piękne ma pismo! — zawołał Barnstable. — Wyraźne, ładne i drobne jak jej paluszki. Griff, jak ona prowadziłaby dziennik okrętowy!

— Cecylia Howard miałaby dotknąć ordynarnych kart dziennika okrętowego? — zapytał Griffith zdumiony, lecz widząc, że Barnstable wciąż pochłonięty jest listem pani swego serca, uśmiechnął się tylko ze zrozumieniem i zamilkł. Po krótkim namyśle zagadnął przyjaciela o okoliczności, w jakich widział się on z Katarzyną Plowden. Barnstable opowiedział w kilku słowach znane już czytelnikowi fakty.

— W takim razie — rzekł Griffith — Merry jedyny prócz nas wie o tym spotkaniu, dbając zaś o reputację swej kuzynki, nie wspomni o tym nikomu.

— Jej reputacja tego nie potrzebuje — wybuchnął Barnstable. — Jest ona nieskazitelna jak płótno, nad naszymi głowami i...

— Uspokój się, Ryszardzie, proszę o wybaczenie. Nie to miałem na myśli, ale ważne jest, byśmy działali w tajemnicy i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.

— Musimy je oswobodzić — odparł Barnstable zapominając natychmiast o urazie — i to prędko, póki nasz stary nie ubrda sobie, by opuścić wybrzeże. Wiesz może, jakie otrzymał instrukcje, czy też milczy?

— Jak grób. Po raz pierwszy się zdarza, by po opuszczeniu portu nie rozmawiał ze mną szczerze o zadaniu, jakie przed nami stoi. Ale ani słowa o tym nie wspomniał od chwili, gdy wypłynęliśmy z Brestu.

— Ach, to wina twojej nieśmiałości — rzekł Barnstable. — Wszyscy tacy w Jersey. Ale niech ja go pociągnę za język z przebiegłością człowieka ze wschodu, a w godzinę wszystko mi wyśpiewa.

— Wątpię — zaśmiał się Griffith. — Trafiła kosa na kamień. Umie on wykręcać się sianem i nie boi się krzyżowych pytań.

— Tak czy owak, daje mi dziś dobrą sposobność. Wiesz pewno, że zawezwał mnie, bym wziął udział w radzie oficerskiej zwołanej w ważnych sprawach.

— Nie wiedziałem — odparł Griffith nie spuszczając oczu z przyjaciela. — O czym będziemy radzić?

— O to zapytaj pilota, bo w czasie rozmowy stary coraz to zerka na tego obcego, jak sternik, który

oczekuje wskazówek.

— Tajemnica otacza tego człowieka i nie mogę dociec, co nas z nim łączy — rzekł Griffith. — Ale słyszę, że Manual mnie woła. Wzywają nas do kajuty. Pamiętaj nie opuszczać fregaty, póki raz jeszcze się ze mną nie zobaczysz.

— Tak, tak, mój drogi, po radzie musimy porozmawiać na osobności.

Barnstable powstał ze skrzyni, a Griffith, zrzuciwszy kurtę, w której rano ukazał się na pokładzie, wciągnął mundur, chwycił niedbale miecz i ruszył razem z przyjacielem na pokład baterii. Stamtąd, z zachowaniem odpowiednich, form, weszli do głównej kajuty okrętowej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mów, Semproniuszu.

Kato

Przystąpiono do narady bez dalszych ceremonii. Sędziwy dowódca fregaty powitał swych podkomendnych z należnymi oficerskiej szarzy względami i wskazując im krzesła dokoła umocowanego pośrodku kajuty stołu, usiadł bez słowa, wszyscy zaś poszli w jego ślady. Przy zajmowaniu miejsc oficerowie przestrzegali ściśle starszeństwa. Po prawicy kapitana zasiadł Griffith, jako piastujący najwyższą po nim godność na fregacie, a naprzeciw kapitana szkunera. Dowódca piechoty morskiej, który również brał udział w naradzie, miał wyznaczone następne miejsce i porządek ten zachowano aż do końca stołu, gdzie siedział człowiek atletycznej budowy, przysadzisty, o twardych rysach — szturman. Kiedy po krótkim zamieszaniu zapadła znów cisza, dowódca fregaty, który chciał usłyszeć opinie swych podwładnych, otworzył naradę.

— Panowie, stosownie do otrzymanych przeze mnie rozkazów — rzekł — miałem, dotarłszy do wybrzeży Anglii, żeglować wzdłuż nich...

Tu Griffith podniósł rękę z całym należnym dowódcy respektem i sędziwy kapitan urwał, patrząc zdumiony na porucznika.

— Nie jesteśmy sami — rzekł Griffith i rzucił wymowne spojrzenie ku tej części kajuty, gdzie wsparty niedbale o jedną z armat stał pilot.

Nieznajomy nie drgnął nawet na tę niedwuznaczną wzmiankę ani nie podniósł oczu od mapy rozłożonej u jego stóp na pokładzie. Kapitan ozwał się przyciszonym i pełnym szacunku głosem:

— To tylko pan Gray. Pomoc jego będzie nam potrzebna i dlatego nie możemy nic przed nim ukrywać.

Młodzi ludzie u stołu wymienili zdumione spojrzenia. Griffith bez słowa pochylił głowę, uznając decyzję zwierzchnika, który podjął:

— Miałem rozkaz dawać baczenie na pewne sygnały z przylądków, co też czyniliśmy. Otrzymałem najlepsze mapy wybrzeża oraz wskazówki dotyczące zatoki, do której wpłynęliśmy ubiegłej nocy. Mamy teraz pilota, który dowiodł swego kunsztu i każdy z was, panowie, cokolwiek by się stało, może na nim polegać i zawierzyć jego uczciwości i wiedzy.

Sędziwy dowódca przerwał i powiódł okiem po słuchaczach, jakby chciał wyczytać ich myśli. Odpowiedzią było mu tylko skinięcie głów, wobec czego podjął wyjaśnienia spoglądając od czasu do czasu na pismo trzymane w ręku.

— Wiadomo panom, że nieszczęsna kwestia odwetu stanowiła przedmiot namiętnych sporów między obu rządami, to jest naszym i rządem nieprzyjacielskim. Z tej przyczyny, i z pewnych

względów natury politycznej, przedmiotem starań naszych komisarzy w Paryżu stało się, by pochwycić parę znacznych w rządzie nieprzyjacielskim osobistości na zakładników. Będzie to trzymać w ryzach nieprzyjaciela, a jednocześnie niebezpieczeństwa wojny odwróci od nas i przeniesie na jego brzegi. Okazja do wykonania tego planu nastęca się nam w obecnej chwili i zebrałem was właśnie, panowie, by zasięgnąć waszych rad co do sposobu działania...

Zapadła głęboka cisza. Po krótkiej przerwie kapitan zwrócił się do szturmana:

— Jakiego kursu radzisz się trzymać, panie Boltrope?

Sterany burzami marynarz, któremu w ten sposób kazano rozwikłać zawiły problem, położył na stole krótką, kościstą rękę i zaczął pilnie kręcić kałamarzem, podczas gdy drugą ręką wsadził sobie pióro do ust i gryzł je z tak błogim wyrazem twarzy, jakby to był co najmniej liść wirgińskiego tytoniu. Ale spostrzegłszy, że wszyscy czekają na jego odpowiedź, rzucił okiem na prawo i lewo i głosem ochryłym, niewyraźnym, który mgły oceanu, chłód i wilgoć morska pozbawiły do cna melodyjności, przemówił:

— Skoro taki jest rozkaz, to, moim zdaniem, musi być wykonany, bo stara maksyma głosi: „Spełniaj rozkazy, choćbyś rujnował armatora”. Tak samo, Bogiem a prawdą, dobra jest reguła: „Jedną ręką dla armatora, a drugą dla siebie” i niejedyn dzielny człowiek dzięki niej uchronił się od skrucenia karku i wymazania z rejestru przez intendenta okrętowego. Nie mówię tego, żeby ganić ten rejestr, tylko po to, że jeśli się komu zmarło, to musi być z niego wymazany dla porządku. A zatem, skoro trzeba to zrobić, powstaje pytanie, jak. Wielu jest takich, którzy wiedzą, na przykład, że okręt niesie za dużo żagli, a nie wiedzą, jak je skrócić. Więc jedno z dwojga, albo musimy wysadzić desant, aby jeńców pochwycić, albo iść pod fałszywymi światłami i flagami, by zwabić ich na statek. Co się tyczy desantu, kapitanie Munson, mogę mówić tylko za jednego człowieka, a mianowicie za siebie samego, ale jeżeli zamierza pan bukszprytem fregaty wjechać do sali tronowej króla angielskiego, cóż, ja się zgadzam i nie troszczę się wcale, ile fasady pałacowej pójdzie przy tym w gruzy. Co do tego zaś, abym miał odciskami moich stóp znaczyć piasek nadbrzeżny, to, za przeproszeniem waszej wielmożności, jeśli mi się taka rzecz uśmiecha, to niech mnie wszyscy diabli!

Młodzi ludzie uśmiechali się, gdy stary marynarz tak bez ogródek wypowiedział swe zapatrywania, dochodząc stopniowo do przedmiotu, który był według niego ostatnim słowem w dyskusji, ale dowódca fregaty z tej samej surowej wyszedł szkoły, choć więcej z niej wyniósł, zdawał się więc oceniać całkowicie jego argumenty i bez drgnienia muskułu na niewzruszonej twarzy zwrócił się do młodszego porucznika.

Młodzieniec przemówił stanowczo, choć skromnie, nie powiedział jednak nic więcej niż stary wyga, z tym, że osobiście nie zdradzał niechęci do zejścia na ląd.

W miarę jak wypowiadali się coraz starsi szarżą oficerowie, opinie ich zyskiwały na jakości i precyzji, aż wreszcie przyszła kolej na kapitana piechoty morskiej. Przemówiła przez jego usta ambicja oficera broni mającej dużo większe zastosowanie w takim przypadku niż w codziennej rutynie życia okrętowego.

— Wydaje mi się, sir, że powodzenie wyprawy zależy od sposobu, w jaki zostanie

przeprowadzona. — Po tym wstępie, oczywiście dla każdego, oficer zawahał się, jakby zbierając myśli i szukając słów, które nie dopuściłyby do dalszej dyskusji. — Wylądowanie podjął — musi oczywiście nastąpić pod osłoną dział fregaty, a jeśli to możliwe, szkuner winien rzucić kotwicę w takim miejscu, by skutecznym ogniem flankowym bronić lądujące od działa. Plan marszu zależy przede wszystkim od dystansu, który przejść wypadnie. W każdym razie uważałbym za wskazane, sir, by przed kolumnę piechoty morskiej wysunąć awangardę z marynarzy, podczas gdy sprzęt obozowy i jego straż musiałyby pozostać na fregacie do chwili odparcia nieprzyjaciela; wówczas będzie można posunąć tabor bez ryzyka. Trzeba też będzie wysłać oddziały flankowe pod dowództwem dwóch najstarszych praktykantów, a dla współdziałania z piechotą morską można utworzyć oddziałek z ludzi obsługujących górne reje. Oczywiście, sir, pan Griffith poprowadzi swych ludzi zbrojnych w muszkiety i haki abordażowe, których trzymać winien w rezerwie, gdyż moje wojskowe wykształcenie oraz doświadczenie uprawniają mnie chyba do dowództwa nad głównymi siłami.

— Brawo, marszałku polny! — wykrzyknął Barnstable z wesołością, której wybuchów nie umiał hamować. — Nie powinieneś być nigdy wystawiać błyszczących guzów twego munduru na działanie wilgoci i soli morskiej. Pana miejsce przy boku Waszyngtona, ba! w samym namiocie Waszyngtona powinien pan zawieszać swój hamak w przyszłości! Cóż to, sądzisz pan, że przygotowujemy się do najazdu na Anglię?

— Wiem tylko, że każdy manewr musi być wykonany z precyzją, kapitanie Barnstable — odparł oficer. — Jestem zbyt przyzwyczajony do szyderstw oficerów floty, by brać do serca drwinki wynikłe z ignorancji. Jeżeli kapitan Munson zamierza użyć mnie i moich ludzi w tej wyprawie, przekona się, że piechota morska zda się na coś więcej niżli wystawianie wart i oddawanie honorów. — Potem, odwróciwszy się wyniośle od swego oponenta, zaczął znów mówić do wspólnego dowódcy, dając tym do zrozumienia, że nie chce trwonić słów dla kogoś, kto z natury rzeczy niezdolny jest pojąć ich doniosłości. — Ostrożność, kapitanie, nakazywałaby wysłać rekonesans przed marszem, ponieważ zaś trzeba się będzie bronić na wypadek kontrataku, pozwalam sobie radzić, by do wojska przyłączono oddział zaopatrzony w narzędzia do robót ziemnych. Przydadzą się one niezawodnie, kiedy zajdzie potrzeba sypania szańców, choć, z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, że znajdzie się ich dość na miejscu, a w razie czego ludzi można zmusić do roboty.

Tego było już dla Barnstable'a za wiele. Parsknął szyderczym śmiechem, a nikt nie uważał za wskazane go skarcić. Griffith jednak, odwróciwszy głowę, by skryć uśmiech wypływający na twarz nawet jemu, pochwycił gniewne spojrzenie pilota rzucone rozweselonemu marynarzowi. Griffitha zastanowiło, dlaczego spojrzenie to jest tak wymowne i zniecierpliwione. Dopiero gdy porucznik pohamował swą wesołość, kapitan Munson zapytał go z całym spokojem, dlaczego plan oficera piechoty wprawia go w tak wyśmienity humor.

— Ależ to plan całej kampanii! — zawołał Barnstable. — Należy wysłać gońca do Kongresu, zanim Francuzi zostaną wprowadzeni na pole walki!

— Czy może pan przedstawić lepszy plan, panie Barnstable? — spytał cierpliwy dowódca.

— Lepszy? Tak, taki, który nie wymaga długich przygotowań i łatwy jest do przeprowadzenia. To robota marynarza, sir, i powinna być wykonana siłami marynarzy.

— Wybaczcie, kapitanie Barnstable — przerwał oficer piechoty, którego ambicja żołnierska stłumiła zmysł humoru — jeżeli mają być przedsięwzięte działania na lądzie, mam prawo nimi kierować i na to prawo się powołam.

— Powołuj się, na co chcesz, żołnierzu, ale jakże zamierzasz prowadzić wojnę z garścią ludzi nie umiejących odróżnić jednego końca łodzi od drugiego? — ciął bez pardonu żeglarz. — Czy sądzisz, że aby przybić do brzegu barkasem lub kutrem wystarczy podać komendę: „Ognia!”? Nie, nie, kapitanie Manual, cenię pańską odwagę, bo widziałem pana w ogniu, ale do licha ciężkiego, jeżeli...

— Czekamy na pański projekt, panie Barnstable — przerwał weteran.

— Nadużywam pańskiej cierpliwości, sir, ale nie potrzeba wcale tego projektu. Proszę mi powiedzieć, gdzie leży miejscowość, skąd mamy uprowadzić tych ludzi, a ja wykorzystam wiatr i podejść do brzegu, oczywiście tam, gdzie nie ma skał. Pan, pilocie, będzie mi towarzyszył, gdyż ma pan w głowie mapę dna morskiego lepszą od istniejących na papierze. Poszukam dobrego miejsca do kotwiczenia albo, jeśli wiatr będziemy mieli od lądu, każę stanąć w dryf i czekać na nasz powrót. Wezmę welbot, Długiego Toma i załogę łodzi. Znalazłszy miejsce opisane przez pana, kapitanie, pochwycimy potrzebnych ludzi i sprowadzimy ich na pokład. Wszystko jest jasne jak dzień, choć wzięwszy pod uwagę zaludnienie tego kraju, może trzeba będzie wyruszyć w nocy.

— Panie Griffith, nie słyszeliśmy jeszcze pańskiego zdania — odezwał się kapitan. — Musimy porównać wszystkie projekty i obrać plan dający największe gwarancje bezpieczeństwa.

Przez cały czas dyskusji pierwszy porucznik trwał pogrążony w myślach i choćby z tego względu powinien był być lepiej przygotowany do dania odpowiedzi. Wskazując pilota, który wciąż stał za nim wsparty na armacie, Griffith zaczął od pytania:

— Czy życzy pan sobie, kapitanie, aby ten człowiek wziął udział w wyprawie?

— Tak jest.

— I od niego spodziewa się pan uzyskać potrzebne informacje?

— Zgadłeś pan.

— Jeśli choć w połowie tak się zna na lądzie, jak na morzu, to ręczę za powodzenie jego poczynań — odparł porucznik z lekkim ukłonem w stronę nieznajomego, który obojętnie skinął mu głową w odpowiedzi na komplement. — Muszę prosić o wybaczenie zarówno pana Barnstable'a, jak i kapitana Marniała i nalegać przez wzgląd na moją szarżę, by dowództwo wyprawy mnie zostało powierzone.

— Dowództwo z natury rzeczy przypada dowódcy szkunera — zawołał niecierpliwie Barnstable.

— Dla wszystkich będzie dość roboty — ozwał się Griffith dając mu znak palcem i rzucając porozumiewawcze spojrzenie, w lot pochwycone i zrozumiane. — Nie zgadzam się całkowicie ani z jednym, ani z drugim z was, panowie. Podobno od czasu naszego ukazania się na wybrzeżu wielu dworów strzegą małe oddziały żołnierzy przydzielone z garnizonów pobliskich miasteczek.

— Kto to mówi? — spytał pilot podchodząc do stołu tak raptownie, że zapadła ogólna cisza.

— Ja mówię, sir — odpowiedział porucznik otrząsnąwszy się ze zdumienia.

— Czy możesz pan za to ręczyć?

— Mogę.

— To niech pan wymieni dom lub osobę w ten sposób strzeżoną.

Griffith zrobił wielkie oczy na człowieka, który do tego stopnia zapominał się na radzie wojennej, i powodowany wrodzoną mu dumą zawahał się, czy odpowiedzieć. Biorąc jednak pod uwagę oświadczenie dowódcy fregaty i mając żywo w pamięci usługi oddane przez pilota, odrzekł z pewnym zakłopotaniem:

— Wiem, że tak jest z domem pułkownika Howarda, który mieszka zaledwie o parę mil na północ od miejsca, gdzie się znajdujemy.

Nieznajomy drgnął mimo woli na dźwięk tego nazwiska i spojrzał na Griffitha przenikliwie, jakby chciał odczytać najtajniejsze jego myśli. Ale szybkie to było spojrzenie i krótko milczały usta, w kątach których drżało szyderstwo czy uśmiech, nie wiadomo, tak dalece jedno do drugiego było podobne. Wracając na swe dawne miejsce u działa, pilot rzekł:

— To jest więcej niż prawdopodobne, sir, i jeśli wolno mi zabrać głos w tej materii, radziłbym kapitanowi Munsonowi liczyć się poważnie z pańską opinią.

Griffith odwrócił się, by wyczytać z zachowania nieznajomego coś więcej, niż zdradzały jego słowa, lecz pilot znów stał wsparty o działą, twarz przysłonił ręką, a w oczach jego, utkwionych w mapę, malował się taki sam jak poprzednio wyraz głębokiej zadumy.

— Powiedziałem, sir, że nie zgadzam się całkowicie ani z panem Barnstable'em, ani z kapitanem Manuałem — podjął Griffith po chwili. — Dowództwo powinno należeć do mnie jako do najstarszego szarżą i pozwalam sobie o to prosić. Przygotowania, które zaleca kapitan Manual, są niepotrzebne, ale z drugiej strony nie przedsięwziąłbym wyprawy bez zachowania żadnych środków ostrożności, jak to proponuje pan Barnstable. Jeśli napotkamy żołnierzy, musimy również mieć swoich, ale ponieważ wiele zależeć będzie od spieszego i sprawnego manewrowania łodziami, powinien dowodzić żeglarz. Czy uwzględnia pan moją prośbę, kapitanie?

Sędziwy dowódca fregaty odpowiedział bez wahania:

— Tak, sir. Zamierzałem powierzyć panu tę funkcję i cieszę się, że przyjmuje ją pan tak chętnie.

Griffith z trudnością ukrył zadowolenie, jakie sprawiły mu słowa dowódcy. Promienny uśmiech oświecał jego bladą twarz, gdy podjął:

— A więc na mnie, sir, niech spoczywa odpowiedzialność.

Żądam, by kapitan Manual z dwudziestu ludźmi został oddany pod moją komendę, o ile ma na to ochotę. — Oficer piechoty skłonił się i rzucił triumfujące spojrzenie Barnstable'owi. — Wezmę mój kuter z wypróbowaną w wielu potrzebach załogą, przejdę na pokład szkunera, a kiedy wiatr ucichnie, przybijemy do brzegu i postępuwać będziemy dalej stosownie do okoliczności. Dowódca szkunera rzucił z kolei triumfujące spojrzenie na oficera piechoty i zawołał wesoło:

— Doskonały plan, prawdziwy plan marynarza! Tak, tak, weź szkuner, a jeśli trzeba będzie, zobaczysz pan, zarzucimy kotwicę choćby na stawie i oddamy salwę z całej burty do najlepszego pałacu na tej wyspie! Ale dwudziestu piechurów? Zapchają mi szkuner tak, że nie będzie się gdzie obrócić!

— Ani jednego mniej, Tylu co najmniej nakazuje wziąć ostrożność — odparł Griffith. — Możemy natrafić na większe siły, niż się spodziewamy.

Barnstable, choć zrozumiał aluzję, odpowiedział:

— Dajcie mi żeglarzy, a znajdzie się miejsce dla trzydziestu. Ale żołnierze nie wiedzą nigdy, co robić z rękami i nogami, jeśli nie są na musztrze. Jeden zabiera miejsce dwóch marynarzy; wieszają hamaki w poprzek statku, kładą się głową ku zawietrznej, a potem na alarm przewracają wszystko do góry nogami. Niech mnie kule biją, sir, dwudziestu tych zawalidrogów poza pycha mi wszystkie luki.

— Proszę o szalupę, kapitanie — zawołał urażony oficer piechoty. — Podążymy za panem Griffithem w otwartej łodzi, aby oszczędzić kapitanowi Barnstable'owi kłopotu.

— Nie, nie, Manual — zawołał Barnstable wyciągając poprzez stół potężną prawicę. — Nie chcę z was zrobić umundurowanych Jonaszów, a wątpię, czy ryba połknąwszy was strawiłaby wasze patrontasze i pasy do bagnetów. Pożeglujesz pan ze mną i przekonasz się na własne oczy, jak my tam na „Arielu” przesypiamy wachty, z czego pan podobno stroi żarty.

Śmiech pokrył jego słowa. Prócz pilota i kapitana fregaty wszyscy śmiali się z żołnierza. Pilot, pogrążony na pozór; w myślach, w rzeczywistości bacznie obserwował przebieg narady i od czasu do czasu rzucał na mówiących ukradkowe spojrzenia, jakby usiłował odgadnąć, co każdy z nich ukrywa w duszy. Na niewzruszonej twarzy kapitana Munsona rzadko kiedy drgnął jaki mięsień. Jeśli nie miał dość autorytetu, by samą swą obecnością narzucić oficerom powagę, miał dobre serce i nie chciał popsuć im tej nieszkodliwej zabawy. Wyraził zadowolenie z projektu wyprawy i skinął na stewarda, by postawił na stół trunek, którym zwyczaj nakazywał częstować oficerów po ukończeniu narady.

Szturman był widocznie zdania, że przy poczęstunku powinien być przestrzegany ten sam porządek co i na naradzie, toteż wypił skwapliwie swą szklanicę płynu, który zachował ciemną barwę, mimo że rum rozcieńczony był wodą. Podniósł szklanekę pod światło i zauważył:

— Ten trunek ma prawie kolor czystego rumu; gdyby miał i jego moc, czegoż byśmy nie dokonali! Pan Griffith, jak widzę, nabrał gustu do lądu. Ba, to rzecz naturalna dla młodzieńca, że ciągnie go na ląd, ale jest, śmiem twierdzić, ktoś na tym pokładzie, kto nocy ubiegłej widział dość lądu i któremu starczy tego widoku na cały rok, a tym kimś jest szturman. Ale skoro upiera się pan przy tej

wyprawie, życzę panu szczęśliwego lądowania i lepszego miejsca na rzucenie kotwicy niż wczoraj. Pańskie zdrowie, kapitanie Munson. Niech wolno mi będzie wyrazić mniemanie, sir, moje własne, że gdybyśmy trzymali się trochę więcej południa, mielibyśmy okazję napotkać jakiś nieprzyjacielski frachtowiec z Indii Zachodnich, którego ładunkiem moglibyśmy się niezłe podreperować na wypadek zejścia na ląd. Ponieważ stary wyga podczas swej przemowy jedną ręką coraz to podnosił szklanicę do ust, z drugiej zaś dzbana nie wypuszczał, inni oficerowie zmuszeni byli wysłuchiwać jego popisów krasomówczych albo opuścić kajutę nie nasyciwszy pragnienia. Barnstable wreszcie z zimną krwią odebrał dzban szturmanowi i mieszając rum z wodą w daleko równiejszej proporcji, ozwał się w te słowa:

— Jeszcze takiego, kubka rumu jak u was, panie Boltrope, nie widziałem we wszystkich moich podróżach. Tak mało nabiera wody jak „Ariel”, a dna w nim nie widać. Gdybyś pan potrafił napełnić swój magazyn okowitą, jak potrafisz ją ciągnąć ze dzbana, aprowizacja tej fregaty tanio by Kongres kosztowała.

Inni oficerowie jeszcze większą okazali wstrzeźliwość, Griffith ledwie umoczył usta, a pilot nie przyjął wcale podanej mu szklanki. Kapitan Munson nie siadał, więc oficerowie widząc, że obecność ich jest zbyteczna, skłonili się i opuścili kajutę. Griffith, który wychodził ostatni, poczuł lekki dotyk czyjejs ręki na ramieniu, obrócił się i zobaczył pilota.

— Panie Griffith — rzekł pilot, kiedy pozostali sami z dowódcą fregaty. — Wypadki wczorajszej nocy powinny nas nauczyć wzajemnego zaufania, w przeciwnym bowiem razie wyruszamy na niebezpieczną i bezowocną wyprawę.

— Ryzyko nasze nie jest jednakie — odparł młodzieniec. — Wszyscy wiedzą, kim jestem. Służę mojej ojczyźnie, należę do znanej rodziny i noszę nazwisko, które zobowiązuje do wierności sprawie niepodległej Ameryki, a mimo to ważę się na nieprzyjacielską ziemię, pomiędzy nieprzyjaciół, z garścią ludzi i w okolicznościach, w których zdrada przyprawiłaby mnie o zgubę. Kim i czym jest człowiek, który cieszy się tak wielkim zaufaniem pana, kapitanie? Pytani o to mniej przez wzgląd na siebie samego niżli na dzielnych ludzi, którzy bez trwogi pójdą za mną, gdziekolwiek ich powiodę.

Chmura, jaka przy pierwszych słowach porucznika osiadła na czole nieznajomego, rozpraszała się stopniowo, ustępując miejsca zadumie. Dowódca fregaty odparł:

— Ma pan częściowo rację, panie Griffith, a jednak czyż to panu mam przypominać, że mym rozkazom należy się bezwzględne posłuszeństwo? Ani urodzenie, ani wychowanie nie dają mi tych przywilejów co panu, a jednak Kongres miał wzgląd dla mych wieloletnich zasług. Dowodzę fregatą i...

— Nie, nie, sir — przerwał mu pilot. — Jest podstawa do wątpliwości i trzeba je rozproszyć. Podoba mi się duma i odwaga tego młodzieńca. Obawia się teraz szubienicy z mych rąk, a będzie musiał mi zaufać. Przeczytaj to, sir, i powiedz potem, czy mi nie ufasz!

Z tymi słowy nieznajomy sięgnął w zanadrze i wyjął pergamin zdobny we wstęgi i zaopatrzony wielką pieczęcią, który rozłożył na stole przed młodym człowiekiem. Kiedy dla łatwiejszej orientacji pokazywał palcem to ten, to ów ustęp pisma, oczy pałały mu niezwykłym ogniem, a kiedy znów

przemówił, słaby rumieniec ożywił bladą twarz.

— Patrz pan! — rzekł. — Osoba królewska nawet nie zawahała się zaświadczyć na moją korzyść, a imię tego monarchy nie może budzić obaw u Amerykanina.

Griffith ujrzał ze zdumieniem podpis nieszczęśliwego Ludwika XVI u dołu, ale przebiegłszy oczyma treść pisma, utkwiał w pilocie płomienne spojrzenie i zawołał w przyływie dzikiej odwagi:

— Prowadź pan! Skoczę za panem choćby w ogień!

Uśmiech szczerego zadowolenia zaigrał na ustach pilota. Ujął młodego człowieka za ramię i wyprowadził do sąsiedniej kabiny, pozostawiając dowódcę fregaty, który stał bez ruchu, z właściwym mu wyrazem spokoju na twarzy, i nie odegrał w tej scenie najmniejszej roli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W przód skoczył statek, chwały wart.

Niby ze smyczy rączy chart

W pościgu za zdobyczą.

Pan wysp

Jakkolwiek przedmiot narady starsi oficerowie mieli utrzymać w tajemnicy, coś niecoś przedostało się do ich młodszych kolegów, a stąd do załogi i wywołało ogólne poruszenie. Z szybkością alarmu rozeszła się po pokładach nowina, że ma być wysłany na brzeg oddział w jakimś tajemniczym, wyznaczonym przez sam Kongres celu, i natychmiast posypały się domysły co do sił tego oddziału i zadania, jakie miał spełnić — rzecz zrozumiała u ludzi, których życie i wolność zawisły od wyniku wyprawy. Przede wszystkim przemówił przez nich jednak duch awanturniczy i pragnienie odmiany. Przyjęliby wiwatami nawet wiadomość, że fregata ma sobie otworzyć drogę przez wszystkie eskadry Zjednoczonego Królestwa. Tylko paru starszych i rozsądniejszych marynarzy nie zdradzało takiej bezmyślnej zaczepności. Inna grupa, w której najbardziej wyróżniał się sternik, ośmieliła się mówić z powątpiewaniem o działaniach na lądzie, z samej swej natury nieodpowiednich dla marynarzy.

Kapitan Manual dokonywał przeglądu swych ludzi w przejściu na zawietrznej i po krótkiej przemowie, mającej rozpaść w nich zapał bitewny i patriotyzm, oznajmił, że potrzeba mu dwudziestu ochotników na niebezpieczną wyprawę. Stanowiło to wprawdzie połowę ich liczby, lecz w jednej chwili cały oddział wystąpił naprzód jak jeden mąż i wszyscy oświadczyli, że gotowi iść za Manuałem choćby na koniec świata. Oficer piechoty obejrzał się z dumą za Barnstable'em, ale dowódca szkunera zajęty był jakimiś papierami na końcu rufy, przeto nie zwlekając przystąpił do możliwie bezstronnego wyboru kandydatów do sławy, w gruncie rzeczy jednak wziął sam kwiat swych ludzi, a pozostawił na statku najmniej wartych.

Przez ten czas załoga fregaty biegła podniecona, a Griffith, rozogniony niezwykłym 'entuzjazmem, z oczyma iskrzącymi się wesołością, jaka dawno już nie gościła na jego twarzy, zeszedł na pokład. Rzucił właśnie rozkazy marynarzom, których miał z sobą zabrać, kiedy Barnstable dał mu znak i powiódł go z powrotem do kajuty.

— Poczekajmy, aż wiatr ucichnie — rzekł dowódca „Ariela”. — Nie może być mowy o lądowaniu na wschodnim wybrzeżu Anglii, póki fala nie opadnie. Ale ta Katarzyna stworzona jest na żonę marynarza! Patrz, co za system sygnałów wysnuła ze swej rezolutnej główki.

— Gotów jestem przyznać ci rację i ufam, że to ty będziesz tym szczęśliwym marynarzem, którego poślubi — odparł Griffith. — Dziewczyna ta zna się rzeczywiście na sztuce sygnalizowania. Gdzie mogła tak dobrze nauczyć się jej zasad?

— Gdzie? Tam, gdzie nauczyła się trudniejszych rzeczy, jak cenić prawdziwego marynarza na przykład. Czy sądzisz, że nie otwierałem ust przez cały czas, kiedy przesiadywaliś nad brzegiem

rzeki w Karolinie, i że nie mieliśmy o czym mówić?

— Czy zabawiałeś panią swego serca wykładami z dziedziny nawigacji i sztuki sygnalizowania? — zapytał Griffith z uśmiechem. — Odpowiadałem grzecznie na jej pytania, jak przystoi każdemu zakochanemu. Jest tak wszystkiego ciekawa jak jedna z kobiet w moim mieście, która opłynęła czterdziestkę nie złowiwszy męża, a umie obracać językiem niby wiatr chorągiewką na dachu. Ale oto ten słowniczek. Musisz przyznać, mimo twych sentymentów i wyniesionych z kolegium wiadomości, że kobieta pomysłowa i bystra jest doskonałym pomocnikiem mężczyzny.

— Nigdy nie wątpiłem w zalety panny Plowden — rzekł Griffith z komiczną powagą, która nieraz wyrażała i głębsze uczucia, a była rezultatem połączenia nawyków marynarza z prawdziwymi cechami charakteru. — Ale to, co widzę, przechodzi wszelkie oczekiwania! Zrobiła rzeczywiście najbardziej trafny wybór zdań. Nr 168... na wieki; Nr 169... do grobowej deski; Nr 179... niestety, nie rozumiem waszego sygnału; Nr 171...

— Daj spokój! — zawołał Barnstable odbierając zeszyt śmiejącemu się przyjacielowi. — Nie marnujmy czasu na takie bzdury! Co myślisz o tej wyprawie na ląd?

— Myślę, że może doprowadzić do oswobodzenia naszych pań, jeśli nawet nie uda się nam wziąć jeńców, po których wyruszamy.

— Ale co z pilotem? Pamiętaj, że ma nas w ręku. Możemy wszyscy zawisnąć na rei któregoś z angielskich okrętów, kiedy zniewolony groźbami lub przekupiony otworzy usta.

— Łatwiej by mu przyszło rozbić statek, gdy błądziliśmy wśród mielizn. Wówczas mniej podejrzewaliśmy go o zdradę — odparł Griffith. — Ja mu ufam i sądzę, że bezpieczniejsi jesteśmy z nim niż bez niego.

— Niechaj więc prowadzi nas do rezydencji tych polujących na lisy angielskich ministrów — zawołał Barnstable chowając na piersi kod sygnałowy — ale tu mam mapę, która wskaże nam drogę do portu, do jakiego my osobiście zdążamy. O ile tylko postawię nogę na terra firma, miej mnie za skończonego kpa, mój drogi, jeżeli ta figlarka raz jeszcze odcumuje mi sprzed nosa i zacznie uciekać jak latająca ryba ścigana przez delfina. Musimy wziąć z sobą na ląd kapelana.

— Szaleństwo miłości pcha cię do popełnienia głupstwa. Czy chcesz słuchać kazań podczas manewrów takiego lotnego oddziału jak nasz?

— Co znowu? Nie będziemy się zatrzymywali bez potrzeby, ale bywa dużo marszów podczas takich łowów, kiedy ma się czas odetchnąć, i kapelan przydałby się, żeby zadzierzgnąć ten węzeł. Gdy weźmie Biblię do ręki, z powodzeniem zastąpi samego biskupa, a pragnąłbym, aby imiona podpisane pod tym listem po raz ostatni żeglowały razem.

— Nie da się tak zrobić — odrzekł Griffith potrząsając głową z bladym uśmiechem. — Nie da się, Ryszardzie. Musimy zapomnieć o sprawach osobistych w służbie ojczyzny, a przy tym pilot nigdy nie pozwoliłby się odwieść od swych zamiarów.

— A więc niech je realizuje! — zawołał Barnstable. — Nie ma na świecie siły, wyjąwszy, oczywiście, wyraźny rozkaz moich przełożonych, która zmusiłaby mnie do wyrzeczenia się rozmowy, choćby tylko za pomocą sygnałów, z moją ciemnooką Katarzyną. Co mi tam nędzny jakiś pilot? Niech sobie lawiruje i manewruje, jak mu się żywnie podoba, ja jednak równie uparcie, jak igła kompasu wskazuje na północ, będę trzymał się raz obranego kierunku ku pewnej starej ruinie, skąd widać romantyczną wieżę, a na niej trzy okopcone chorągiewki. Nie znaczy to, bym miał zapomnieć o mych obowiązkach. Chcą pomóc przy chwytniu Anglików, ale kiedy się z tym uporam, pomknę do Katarzyny na skrzydłach mojej miłości.

— Cicho, szalony! Z kajuty mogą nas usłyszeć, a grodzie są cienkie i mają uszy. Musimy obaj pamiętać o obowiązku. Gra nasza to nie dziecinna zabawka, jeśli komisarze w Paryżu uznali za stosowne przeznaczyć do niej fregatę.

Barnstable'owi mina trochę zrzędła na widok powagi towarzysza, ale pomyślawszy chwilę, skoczył na równe nogi i zaczął się zbierać do odejścia.

— Dokąd? — spytał Griffith zatrzymując go łagodnie.

— Do starego kunktatora. Mam projekt, który usunie wszelkie trudności.

— Powiedz mi, co masz na myśli. Zasiadam w jego radzie i mogę ci oszczędzić zachodu i upokorzenia w razie odmowy.

— Ilu potrzeba mu tych ziemian, którymi chce zapchać kabinę?

— Pilot wymienił aż sześciu, wszystko ludzie na wysokich stanowiskach i cieszący się szacunkiem wroga. Dwóch z nich to parowie, dwóch to członkowie Izby Gmin, jeden generał, a szósty i ostatni marynarz jak my, w stopniu kapitana. Bawią na polowaniu blisko wybrzeża i, wierz mi, plan ma szanse powodzenia.

— Dobrze, więc wypada dwóch na każdego z nas. Możesz iść z pilotem, jeśli chcesz, ale niech wolno mi będzie zboczyć ku siedzibie pułkownika Howarda z Długim Tomem i załogą łodzi. Opanuję dom zniecka, uwolnię panny, a W powrotnej drodze wezmę do niewoli dwóch pierwszych lordów, jacy mi się nawiną pod rękę. Jeden lord tyle samo chyba jest wart co drugi.

Griffith nie mógł skryć uśmiechu.

— Choć zwą się parami, nie zawsze tyle samo znaczą. Anglia powinna być nam wdzięczna, że uwolnimy ją od niektórych lordów. Nie spotyka się też lordów pod pierwszym lepszym płotem jak żebraków. Nie, nie, ludzie, których szukamy, zdobyli nasze względy czymś więcej niż arystokratycznym pochodzeniem. Ale zbadajmy dokładnie plan i mapkę panny Plowden; może jaka nieprzewidziana okoliczność skieruje nasze kroki w tamtą stronę.

Koniec końców Barnstable wyrzekł się swego szalonego projektu i przyjął rozsądniejszy plan przyjaciela, po czym godziną jeszcze naradzali się nad urzeczywistnieniem go i pogodzeniem spraw osobistych z obowiązkiem względem kraju.

Wicher hulał cały ranek, lecz przed samym południem pokazały się zwykłe oznaki zwiastujące lepszą pogodę. Podczas tych kilku godzin bezczynności na fregacie żołnierze piechoty wybrani na wyprawę biegali podnieceni i zgorączkowani, jakby gotując się do udziału w sławie i niebezpieczeństwach wielkiej kampanii, którą zaplanował ich dowódca. Nieliczni mający im towarzyszyć marynarze mierzyli pokład długimi krokami, z rękami w kieszeniach granatowych bluz, pokazując od czasu do czasu mniej doświadczonego kolegom z piechoty oznaki nadchodzącej pogody. Ostatni piechur w rynsztunku bojowym i z tornistrem na plecach ściągnął już do formującego się oddziału, kiedy kapitan Munson z pilotem i pierwszym porucznikiem wyszedł na rufę. Z ust dowódcy padło cicho wyrzeczone słowo, podchwyczone natychmiast przez jednego z praktykantów, który pobiegł zwinnie wzdłuż pokładu. Rozległ się przeraźliwy gwizdek bosmański, a potem ochrypliły okrzyk:

— Hej, wy z „Tygrysa”, gotujcie się!

Uderzyły bębny i oddział piechoty morskiej predefilował po pokładzie, podczas gdy sześciu marynarzy stanowiących załogę kutra zaczęło spuszczać łódź o tej krwiożerczej nazwie na rozgrane fale. Wszystko działo się w zupełnym porządku, a spokój i zręczność marynarzy stanowiły jakby wyzwanie dla wzburzonego morza. Żołnierze zostali bez wypadku przewiezieni na szkuner pod osłoną fregaty, choć w drodze z jednego statku na drugi łódź to zdawała się lecieć w rozpadlinę wodną, to znów szybować w chmurach.

Zameldowano w końcu, że kuter czeka na oficerów. Pilot naradzał się na stronie z dowódcą fregaty. Kapitan Munson słuchał ze szczególną uwagą. Wreszcie uniósł kapelusz pozwalając wichrowi igrać siwymi lokami i podał nieznanemu rękę szczerym gestem marynarza, ale i z szacunkiem należnym wyższej szarży. Pilot odwzajemnił mu się niedbałym ukłonem, odwrócił się na pięcie i skierował ku tym, którzy go oczekiwali, dając znak do odjazdu.

— Chodźmy, panowie, czas w drogę — rzekł Griffith zbudzony z zadumy, pośpiesznie wymieniając ukłony z towarzyszami broni.

Gdy starsi oficerowie szykowali się już do zejścia, chłopiec zwany przez grzeczność panem Merry, któremu kazano być gotowym, przeskoczył burtę fregaty i zsunął się do kutra ze zwinnością wiewiórki. Ale kapitan piechoty zatrzymał się i rzucił znaczące spojrzenie pilotowi, który powinien był przed nim zejść do łodzi. Nieznajomy zwlekał rozglądając się po niebie i zdawał się nie widzieć, na co czeka oficer. Po chwili wahania Manual dał wyraz swej niecierpliwości.

— Czekamy na pana, panie Gray.

Wyrwany z zadumy pilot obrzucił bystrym spojrzeniem piechura, zamiast jednak postąpić naprzód, skinął głową i dał znak oficerowi. Ku zdumieniu nie tylko oficera piechoty, ale wszystkich, którzy byli świadkami tego uchybienia w żelaznej etykiecie, Griffith skłonił się nisko i wszedł do łodzi z takim pośpiechem, jakby poprzedzał admirała. Nieznajomy, czy to zdał sobie sprawę ze swego braku kurtuazji, czy też był zbyt zaabsorbowany myślami, by zwracać uwagę na ceremonie, natychmiast ruszył za nim, pozostawiając manualowi miejsce należne wyższej szarży. Oficer, który lubił się chełpić znajomością etykiety wojskowej i morskiej, uważał za stosowne przy pierwszej sposobności przeprosić porucznika za to, że pozwolił się uprzedzić przy schodzeniu do łodzi, a później

rozpromieniał się za każdym razem, gdy mógł opowiedzieć, jak to przytarł rogów za- . rozumiałemu pilotowi.

Barnstable już od kilku godzin był na szkunerze, który przygotowywał się na ich przyjęcie, i ledwie ciężki kuter wciągnięto na pokład fregaty, oznajmił, że szkuner może rozwinać żagle. Jak już wspominaliśmy, „Ariel” należał do klasy najmniejszych statków morskich, a dzięki symetrii swych kształtów wyglądał na mniejszy, niż był w rzeczywistości, toteż szczególnie nadawał się do zadania, do którego miał być użyty. Lekki jak korek, zdawał się często żeglować po pianach, a jego niski pokład był ustawicznie zmywany falą uderzającą o kruche burty, dlatego też nawet starzy marynarze musieli poruszać się ostrożnie, gdy unosił się i opadał w bruzdach fal. Gdziekolwiek rzucie okiem, na „Arielu” panował porządek i rozkład taki, by zaoszczędzić jak najwięcej wolnego miejsca. Szkuner przypominał z wyglądu okręt wojenny, jakby artyleria jego mogła być rzeczywiście niebezpieczna. Począwszy od epoki, którą opisujemy, wszystkie statki o mniejszym tonażu zaczęto wyposażać w tylko co wynalezione nowego typu działa, które żeglarze amerykańscy znali wyłącznie ze słyszenia i nazywali „niszczycielami”. Zaczynano je cenić już wtedy i nawet największe okręty uważano za szczególnie dobrze uzbrojone, gdy oprócz zwykłych armat miały dwa lub trzy mordercze działa tego systemu. Później ulepszano je stopniowo, aż stały się podstawową bronią statków o pewnych wymiarach. Nazwę swą wzięły od rzeki Carron, na której brzegach były odlewane. Zamiast tych karonad „Ariel” dźwigał sześć lekkich działek, które spiżowymi paszczami, poczernionymi przez fale, patrzyły w morze. Na środku, między dwoma masztami, ustawiono działo, również spiżowe, ale dwa razy dłuższe, osadzone na lawecie o bardzo wygodnej konstrukcji, gdyż można je było obracać we wszystkich kierunkach, dzięki czemu oddawało duże usługi w bitwach morskich.

Pilot przyjrzał się dokładnie wyposażeniu statku, przebiegł oczyma po doskonale utrzymanym pokładzie, po mocnej sieci olinowania, aż wreszcie wzrok jego zatrzymał się na młodych, sprężystych zuchach stanowiących załogę. Na twarzy jego odbiło się zadowolenie. Wbrew dotychczasowej małomówności wyraził swe uczucia szczerze i głośno.

— Masz pan piękny stateczek, panie Barnstable — rzekł — i dzielnie wyglądającą załogę. Wszystko to zdaje się rokować zwycięstwo w razie starcia z nieprzyjacielem, które prędko już może nastąpić.

— Im prędzej, tym lepiej — odparł nieustraszony marynarz. — Nie miałem sposobności wystrzelić z działa, odkąd wypłynęliśmy z Brestu, mimo że podczas żeglugi w górę Kanału napotkaliśmy parę nieprzyjacielskich kutrów, z którymi nasi chłopcy chcieli się wdać w rozmowę. Pan Griffith może zaświadczyć, że moje małe sześćofuntówki umieją ryknąć nie gorzej od osienmastofuntówek fregaty.

— Tylko nie z takim samym skutkiem — zauważył Griffith. — *Vox et praeterea nihil*, jak mówiło się w szkole.

— Nie rozumiem nic z tej greki czy łaciny — odparł dowódca szkunera — lecz jeśli to ma znaczyć, że te siedem spiżowych zabawek nie miota kul tak daleko i wysoko, jak tylko działa tego kalibru miotać je mogą, i że nie potrafią one posiewać siekańcami i szrapnelami jak wasze, to mam nadzieję dowieść tego przed końcem wyprawy.

— Dobrze im z oczu patrzy — rzekł pilot, który najwidoczniej nie domyślał się istniejącej między

obu oficerami zażyłości i chciał zapobiec kłótni wśród swych podwładnych. — Nie wątpię, że potrafią zdobyć się na ważne argumenty w dyskusji z nieprzyjacielem. Ale widzę, że pan je ochrzcił, przypuszczalnie według ich zasług. Znamienne, doprawdy, noszą imiona.

— Zrobiłem to z nudów, w walnej chwili — rzekł Barnstable śmiejąc się i spoglądając ku armatom, na lawetach których wymalowano dziwne nazwy: Bokser, Szczekacz, Siekacz, Rozpraszacz, Niszczyciel i Gwoździomiot.

— Dlaczego nie ochrzciłeś pan działa na śródokręciu? — spytał pilot. — A może zwiesz je pan zwykłym imieniem „Stara”?

— Nie, nie chcę mieć babskich nazw na okręcie — zawołał młodzieniec. — Ale niech pan zejdzie trochę ku prawej burcie, to zobaczy pan jej imię wymalowane na lawecie. Tego imienia nie ma się co wstydić.

— Szczególny epitet, choć nie bez znaczenia!

— Ma głębsze znaczenie, sir, niżli się zdaje na pozór. Ten oto żeglarz, który opiera się o fokmaszt i który, w razie potrzeby, mógłby nam posłużyć za zapasową reję, jest kanonierem tej armaty i w niejednym już starciu z Johnem Bullem celnym strzałem przeważył szalę zwycięstwa na naszą stronę. Piechur nie wymierzy z muszkietu tak celnie jak mój sternik ze swego dziewięciofuntowego działa, wzięwszy więc pod uwagę ich bliskie powinowactwo i pewne podobieństwo pod względem długości, dałem działu imię Długiego Toma.

Pilot słuchał z uśmiechem, ledwie się jednak odwrócił, ciężka zaduma osiadła na jego czole i znać było, że tylko chwilowo pozwolił sobie na żarty. Griffith zauważył, iż wiatr słabnie, polecił więc Barnstable'owi wziąć kurs w stronę brzegu.

Barnstable zmuszony powrócić do swych obowiązków, miał rozwodzić się nad zaletami statku, wydał odpowiednie rozkazy. Szkunier z wolna poddał się działaniu steru, a kiedy proste żagle, choć przez ostrożność zarefowane, chwyciły wiatr, szybko oddalił się od fregaty jak płasający na falach meteor. Czarny jej kadłub zapadł się za nimi i nim słońce skryło się za wzgórze Anglii, wysokie maszty fregaty można było rozpoznać na tle horyzontu tylko dzięki chmurze żagli utrzymujących statek w miejscu. Gdy i one znikły zupełnie, łód zaczął się wynurzać jakby z głębi, a tak wielka była szybkość szkunera, że dwory, skromne chaty, a nawet mętne zarysy żywopłotów ukazywały się coraz wyraźniej oczom marynarzy, póki nie zatarł ich zmrok wieczorny. Wreszcie ciemności osnuły brzeg i tylko jego kontur majaczył na kursie, a groźne, rozszalałe góry wodne goniły za rufą szkunera.

Niemniej mały „Ariel” nie zbaczał z obranego kierunku i muskał ocean jak ptak wodny poszukujący przed nocą schronienia. Mknął ku lądowi tak zuchwale, jakby zapomniał o niebezpieczeństwach ubiegłego wieczoru. Ani mielizny, ani skały nie przecinały mu tym razem drogi i sunął szlakiem głębokiego cienia rzucanego na wodę przez nadbrzeżne urwiska, piętrzące się nad zatoką, w której marynarze często znajdowali ucieczkę przed burzami szalejącymi na Oceanie Niemieckim.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak śmiesz, rzuciwszy swą żytnią polewkę,

Stanąć w zbroicy przed obliczem króla!

Dramat

Obszerny, niesymetryczny budynek zamieszkiwany przez pułkownika Howarda zasługiwał na opis, jaki w swym liście dała Katarzyna Plowden. Mimo różnic w stylu oddzielnych skrzydeł, które powstawały w różnych epokach, wewnątrz nie było pozbawione komfortu właściwego domom angielskim. Istny labirynt ciemnych sal, galerii oraz apartamentów zaopatrzony był w solidne meble. Niezależnie od pierwotnego przeznaczenia poszczególnych części gmachu został on teraz przystosowany do regularnego trybu życia spokojnej rodziny.

Osnuwały tę siedzibę ponure legendy o rozłączonych kochankach i nieszczęśliwych miłościach, które zawsze na kształt pajęczyn czepiają się ścian starych domów i które pod piórem bardziej utalentowanego pisarza przemieniłyby się niezawodnie w historie fascynujące i pełne tkliwego patosu. Ale nasze wysiłki zmierzają do przedstawienia człowieka takim, jak go Pan Bóg stworzył, choćby wydawał się pospolity i wulgarny szczęśliwym posiadaczom wzniosłych zalet, którym na wstępie wolę powiedzieć, że wszystkiego, co trąci ludzką doskonałością, boimy się jak diabeł święconej wody. Kto ucieka od ludzi, niech za naszą radą rzuci tę książkę, a pochwyci dzieło któregoś z bardziej utalentowanych bardów, to prędzej wzniesie się ponad ziemię, jeśli nie wzbije się aż do nieba. My postawiliśmy sobie za zadanie opisywać dzieje ludzi i tę piękną scenę, po której się poruszają, a nie wynajdywać w nich nadzwyczajne subtelności ani gubić się w metafizycznych sprzecznościach. Przedstawimy ich prawdziwie, by wszyscy wiedzieli, co chcemy powiedzieć, jak my sami to wiemy, przy czym uroczyście wyrzekamy się zaszczytnego miana geniusza, rozsądnie, być może, gardząc wszelką niezrozumiałością, która pomaga zdobyć to miano.

Pozostawiamy za sobą ponury cień urwisk nadbrzeżnych, w którym pomyka mały „Ariel”, i złowróżbny huk fal rozbijających się o skały. Spróbujemy za to przenieść czytelnika do sali jadalnej domu zwanego Opactwem Św. Ruty, pokazać, co się tam działo tego samego dnia wieczorem, i zaznajomić go z grupą osób, o których czynach i cechach charakteru czas coś powiedzieć.

Sala była niewielka, rozjaśniona blaskiem kilku świec i żarem bijącym od kominka, na którym płonął wesoło węgiel kamienny z Newcastle. Smugi blasku, odbite przez ciemne, dębowe boazerie, padały na masywny stół mahoniowy, igrając pośród miniaturowych aureoli, które tworzyły na nim. Świece. Wnętrze to z olbrzymimi dębowymi krzesłami o miękkich siedzeniach i oparciach wyłożonych skórą, robiło wrażenie jakby hermetycznie zapieczętowanego przed zimnym tchnieniem trosk tego świata.

Przy stole zajmującym środek sali siedziało trzech panów zajętych poobiednią pogawędką. Obrus już zdjęto, a butelka krążyła z rąk do rąk z wolna, jak gdyby każdy z pijących wiedział, że nic im nie przerwie błogiego wypoczynku.

U końca stołu siedział starszy pan czyniący honory domu, jak przystało gospodarzowi. Goście wydawali się swobodni i zadomowieni w tej starej siedzibie. Gospodarz był człowiekiem u schyłku życia, choć trzymał się prosto, poruszał szybko i podnosił kieliszek do ust pewną ręką, co dowodziło, że mimo sędziwego wieku nie cierpi na zwykłe starcze dolegliwości. Sądząc z ubioru, należał do ludzi, którzy zawsze hołdują modzie wieku minionego, czy to przez odrazę do jakichkolwiek zmian, czy przez przywiązanie do czasów opromienionych wspomnieniami i uczuciami, jakich chłodny wieczór życia dostarczyć już nie może. Wiek pewno posrebrzył mu przerzedzone włosy, lecz sztuka fryzjerska troskliwie ukryła wszelkie braki. Warstwa pudru przykrywała nie tylko włosy, ale i miejsca, gdzie zgodnie z naturą włosy rosnać powinny. Rysy jego, nieruchome, wyraziste, wskazywały na szlachetność i prostolinijność charakteru, o czym szczególnie zdawało się świadczyć otwarte, wysokie czoło, spiętrzone nad oczami weterana. Na tle nieskazitelnej bieli zarostu okalającego twarz uwydatniały się pod smagłą cerą rozwidlone żyłki.

Naprzeciw gospodarza, w którym czytelnicy poznali już niezawodnie pułkownika Howarda, widniała wąska, żółta twarz pana Krzysztofa Dillona, którego panna Plowden nazwała prześladowcą swej kuzynki.

Między tymi dwoma siedział człowiek w średnim wieku, o energicznej twarzy, odziany w mundur wojsk króla Jerzego. Rumieńce jego szły w zawody z czerwienią uniformu, a on sam niczym innym nie był zajęty, jak delektowaniem się doskonałym winem.

Od czasu do czasu służący, wchodził lub wychodził z pokoju, wpuszczając przez otwarte drzwi odgłos wichru zawodzącego na węglach i w kominach budynku.

Człowiek w ubiorze wieśniaka stał opodal krzesła pułkownika Howarda i między nimi to właśnie toczyła się rozmowa, której koniec tu przytoczymy. W chwili gdy kurtyna podnosi się przed oczyma czytelnika, pułkownik mówi:

— Rzekliście, że Szkot widział statki na własne oczy? Odpowiedź była przecząca.

— Dobrze, dobrze — powiedział pułkownik. — Możecie odejść.

Wieśniak złożył niezgrabny ukłon, na który stary żołnierz odpowiedział łaskawym skinieniem głowy, i opuścił salę. Pan domu zwrócił się do swych towarzyszy, podejmując przerwany wątek:

— Jeśli ci dwaj w gorącej wodzie kąpani młodzieńcy namówili zdziecinniałego starca, który dowodzi fregatą, do zapuszczenia się między płycizny w przeddzień takiego sztormu, los ich jest przesądzony! Oby rebelia i niełojalność szezła w ten sposób wszędzie zrządzeniem Opatrzności! Nie zdziwiłoby mnie, panowie, gdyby mój kraj rodzinny nawiedziło trzęsienie ziemi lub pochłonął ocean, tak wielkie i niewybaczalne są jego przewiny. A jednak, trzeba przyznać, dumny i odważny chłopak zajmował drugie po kapitanie stanowisko na tej fregacie! Znałem dobrze jego ojca. Był dzielnym człowiekiem, który jak i mój brat rodzony, ojciec Cecylii, wolał służyć swemu królowi na morzu niż na lądzie. Syn odziedziczył po nim odwagę, ale nie lojalność. Mimo to przykro byłoby usłyszeć, że utonął.

Przemowa, szczególnie pod koniec przypominająca monolog, nie wymagała natychmiastowej

odpowiedzi, a jednak żołnierz, który trzymał kieliszek pod światło, podziwiając jego rubinową zawartość, a do ust podnosił go tak często, że wciąż był pusty, spokojnie postawił go na stole i sięgnąwszy po butelkę, ozwał się tonem człowieka zamyślonego o czym innym:

— Ma pan rację, sir. Dzielnych ludzi jest mało i, jak się pan wyraził, można tylko opłakiwać jego los, choćby poległ na polu chwały. Wielka to strata dla sił zbrojnych jego królewskiej mości.

— Strata dla sił zbrojnych jego królewskiej mości! — powtórzył jak echo gospodarz. — Poległ na polu chwały! Nie, kapitanie Borroughcliffe, rebeliant nie ginie na polu chwały!

A jakim cudem jest to strata dla wojsk jego królewskiej mości, przechodzi moje pojęcie.

Oficer, pogrążony w tym miłym stanie oszołomienia, kiedy trudno jest przywołać na język właściwą odpowiedź, miał jednak za sobą długoletnią praktykę i potrafił opanować się w takich chwilach, odparł tedy z pośpiechem:

— Miałem na myśli stratę, jaką ponieśliśmy nie wymierzywszy mu zasłużonej kary, sir. Byłoby odstrasającym dla innych przykładem, gdyby został stracony, a nie zastrzelony w bitwie.

— Ależ on utonął, sir!

— Ach, to prawie tyle, co zawisnąć na stryczku. Ta okoliczność uszła mojej uwagi.

— Nie jest bynajmniej pewne, że szkuner i fregata widziane przez handlarza są statkami, za które pan pułkownik je uważa — rzekł Dillon głosem cierpkim i rozwlekłym zarazem. — Wątpię, czy ważyliby się tak pewnie podejść do wybrzeży, na sam szlak naszych okrętów wojennych.

— To nasi rodacy, Krzysztofie, choć rebelianci — zawołał pułkownik. — To odważny i nieugięty naród. Gdy miałem zaszczyt służyć królowi lat temu ze dwadzieścia, łaskawe losy, kapitanie Borroughcliffe, pozwoliły mi wziąć udział w kilku starciach z nieprzyjacielem, takich jak oblężenie Quebec i bitwa u jego bram albo potyczka pod Ticonderoga, czy bitwa, w której poniósł klęskę generał Braddock. Otóż, sir, muszę zaświadczyć, że wojska kolonialne sprawiały się dzielnie w tym dniu, a człowiek stojący dziś na czele rebelii zdobył sobie wtedy wśród nas piękne imię. Był to skromny, bardzo na miejscu młody człowiek i dżentelmen w każdym calu. Nigdy nie twierdziłem, że Waszyngton nie jest dżentelmenem.

— Tak — rzekł oficer ziewając. — Wychował się w wojsku królewskim, więc jakże mogłoby być inaczej. Ale jestem niepokieszony, że te nieszczęsne statki zatonały, panie pułkowniku. Staję się tu zbędny, a nie mogę powiedzieć, by dzięki pańskiej gościnności mój pobyt na tej kwaterze nie przypadł mi wielce do gustu.

— Mnie również, sir — odparł gospodarz z grzecznym skinieniem głowy — ale dla ludzi, którzy życie spędzili w obozie, komplementy z powodu takiej bagatelki są zbyteczne. Co innego, gdyby na moim miejscu był mój krewniak Dillon, którego myśli obracają się prędzej dokoła kwestii prawnych niż rozrywek życia żołnierskiego. Ten mógłby sądzić, że takie formalności są potrzebne jak łacina w aktach i kontraktach. Eh, kochany przyjacielu Borroughcliffe, zdaje mi się, że wypiliśmy już za

zdrowie każdego z członków rodziny królewskiej (niech Bóg ich zachowa!). Spełnijmy teraz toast na cześć nieśmiertelnego Wolfe'a.

— Tego, mój gospodarzu, żołnierz nigdy nie odmówi — odparł kapitan powstając. — Niech Bóg ich zachowa! Powtarzam za panem, panie pułkowniku, a jeśli miłościwa pani nasza zakończy swoje panowanie tak świetnie, jak je zaczęła, będziemy mieli tyłu książąt, iloma żadna z armii europejskich nie może się poszczycić.

— Tak, tak, to pociecha wśród tej okropnej rebelii moich rodaków. Ale nie będę się już więcej trapił, bo ufam, że wojska mego monarchy zmyją wkrótce z tego przewrotnego kraju hańbiącą plamę.

— A, co do tego nie ma dwóch zdań — rzekł Borroughcliffe, wciąż lekko zamroczony maderą dostała pod słońcem Karoliny. — Ci Jankesi dają nogę przed regularnym wojskiem jak tłum londyński przed szarżą gwardii konnej.

— Za pozwoleniem, kapitanie Borroughcliffe — odparł gospodarz domu prostując się jeszcze bardziej. — Mogą być otumanieni, wyprowadzeni na manowce i zdradzeni, ale porównanie pańskie jest krzywdzące. Gdyby tylko mieli broń i dyscyplinę, każdy cal ziemi im wyrwanej, choć mają jej tyle, drogo zostałyby okupiony.

— Największy tchórz wśród chrześcijan walczyłby jak lew w kraju, gdzie wino przemienia się w taki nektar — odpowiedział przytomnie żołnierz. — Ja jestem żywym dowodem, że źle pan zrozumiał moje słowa, jeśliby bowiem dżentelmeni z Vermontu i Hampshire (Bóg niech ich raczy za to mieć w swej opiece!) nie wytłukli dwóch trzecich mojej kompanii, nie byłbym w tej chwili pod pańskim dachem; nie byłbym oficerem werbunkowym, tylko walczyłbym w polu. Nie byłbym też związany paktem nieubłaganym jak zakon Mojżesza, gdyby Burgoyne potrafił sprostać ich ciągłym marszom i kontrmarszom. Piję ich zdrowie z całego serca i flaszą złotego jak słońce wina będę pił za całą armię Gatesa, za każdy regiment, za każdą kompanię, ba, za każdego z osobna żołnierza, byle nie obrazić tak dobrego jak pan pułkownik przyjaciela.

— Posuwa pan swoją uprzejmość do ostatecznych granic — odparł pułkownik wielce ugłaskany taką ustępliwością. — To ja czuję się pańskim dłużnikiem, kapitanie Borroughcliffe, za to, że tak chętnie wziął mnie pan w obronę przed zakusami moich pirackich, zbuntowanych, otumanionych rodaków.

— Cięższe obowiązki się spełnia i nie zyskuje nic prócz guzów, czcigodny gospodarzu — odparł oficer. — Kwatery na wsi są nudne, a trunki kiepskie, ale w takim domu jak pański człowiek opływa jak pączek w maśle. A jednak mam jeden powód do skargi i muszę zabrać głos w tej sprawie, gdyż to dyshonor dla mojego regimentu i godność zarówno oficera, jak i mężczyzny nie pozwala mi dłużej milczeć.

— Mów pan swobodnie, a błąd ten postaramy się naprawić — rzekł pan domu zdziwiony.

— My tu we trzech przesiadujemy od rana do wieczora — podjął oficer — sami kawalerowie, żywiąc się dobrze, pijąc jeszcze lepiej, to prawda, lecz przypominamy dobrze odżywionych braciszków zakonnych, podczas gdy dwie najnadobniejsze panny na tej wyspie usychają opodal w

samotności, nie przyjmując naszych hołdów ani nie słysząc westchnień. Taki stan rzeczy, pozwolę sobie twierdzić, uwłacza mojej czci jako młodego żołnierza, a pańskiej jako weterana. Co się zaś tyczy naszego przyjaciela, zacnego kauzyperdy, to sam lepiej potrafi dochodzić swych praw.

Mars przemknął po czole, weterana, a szczupła twarz Dillona, który słuchał tej tyrady w ponurym milczeniu, stała się jeszcze bledsza. Stopniowo pierwszy z nich się rozchmurzył, a na wąskich ustach drugiego zarysował się jezuicki uśmiech, który zupełnie uszedł uwagi kapitana pochłoniętego sączeniem i „smakowaniem wina i oczekującego odpowiedzi.

Kłopotliwe milczenie przerwał pułkownik Howard.

— Jest spora doza słuszności w aluzji Borroughcliffe'a, gdyż za aluzję muszę uważać...

— To nie jest aluzja, tylko wyraźna skarga — wtrącił oficer.

— Całkiem zrozumiała — podjął pułkownik. — Nie pojmuję, Krzysztofie, dlaczego strach przed rozbójniczymi zakusami naszych rodaków każe pannom nawet od nas trzymać się z dala, choć może ostrożność przemawia za tym, by pozostawały w swym apartamencie. Przez wzgląd chociażby na kapitana Borroughcliffe'a powinny nas zaprosić wieczorem na kawę. .

— To właśnie miałem na myśli — odrzekł kapitan — bo co do obiadów z paniami, sędzę, że jesteśmy tu swobodniejsi. Ale nikt nie potrafi zaparzyć kawy tak, jak kobieta. A więc naprzód, szanowny i kochany pułkowniku, dajcie pannom wskazówki, by pozwoliły pańskiemu pokornemu słudze i temu oto znakomitemu prawnikowi popisać się galanterią wobec dam.

Na odpychającej twarzy Dillona zarysował się grymas, który miał uchodzić za ironiczny uśmiech.

— Zarówno szanowny pułkownik Howard, jak i waleczny kapitan Borroughcliffe mogą się bez trudu przekonać, że łatwiej rozgromić nieprzyjaciół króla na polu chwały niżli dogodzić kobiecym kaprysom. W ciągu ostatnich trzech tygodni nie było dnia, abym nie słał gońca do drzwi apartamentu panny Howard, jak krewniakowi jej ojca przystało, z prośbą, by mi pozwoliła rozproszyć obawy wywołane pojawieniem się piratów, ale ani razu nie raczyła mi odpowiedzieć nic poza paroma słowami podziękii podyktowanymi wymogami dobrego wychowania.

— Cóż, wskórałeś pan tyle co i ja i nie widzę przyczyny, czemu byś miał być szczęśliwszy ode mnie — zawołał żołnierz obrzucając Dillona spojrzeniem pełnym wzgardy. — Od strachu się blednie, a panie lubią się pokazywać, kiedy szkarłat róży triumfuje nad bledością lilii.

— Niewiasta nigdy nie bywa powabniejsza, kapitanie Borroughcliffe — rzekł szarmancki gospodarz domu — niż gdy szukaw mężczyźnie obrony. Kto wątpi, czy zdoła obudzić w niej zaufanie, wstyd tylko przynosi rodzajowi męskiemu.

— Bravo! czcigodny panie, to podniosła myśl i wypowiedziana jak na wojskowego przystało, ale od czasu zakwaterowania tutaj słyszałem wiele o urodzie panien z Opactwa i pragnę na własne oczy zobaczyć niewiasty tak urodziwe, a jednocześnie tak lojalne, że wołały uciec z rodzinnego kraju, byle wdziękami ich nie paśli oczu rebelianci.

Słyszając te słowa pułkownik spoważniał, zachmurzył się, ale ukrył niezadowolenie pod maską wymuszonego uśmiechu. Powstał z krzesła i zawołał ochoczo:

— Będziecie przyjęci dziś jeszcze, i to natychmiast, kapitanie Borroughcliffel Winniśmy to panu przez wzgląd na usługi oddane nam zarówno tutaj, jak i na polu walki, a fantazji tych upartych dziewczyn nie myślę więcej znosić. Ba, sam od dwóch tygodni nie widziałem mojej wychowanki ani razu, a bratanicę może ze dwa razy. Krzysztofie, pozostawiam kapitana pod twoją opieką, a sam idę poprosić o wstęp do klasztoru. Nazywamy tę część budynku klasztorem, bo tam przebywają nasze mniszki. Wybacz pan, kapitanie Borroughcliffe, że tak wcześnie wstaję od stołu.

— Proszę nie zważać na to, panie pułkowniku, bo ma pan doskonałego zastępcę — odparł Borroughcliffe, ledwie musnąwszy spojrzeniem cherlawą postać Dillona, i zatrzymał wzrok na flaszcze wina. — Przekaż pan, proszę, moje ukłony pięknym samotnicom i racz im powiedzieć wszystko, co uznasz za właściwe, na usprawiedliwienie mej niecierpliwości. Panie Dillon, wznoszę ten toast na cześć pań i za ich zdrowie.

Krzysztof dość niechętnie ujął kieliszek, a podczas gdy spełniali toast, pułkownik Howard opuścił salę z głębokim ukłonem, przepraszając nie tylko gościa, ale zgoła niepotrzebnie i stałego rezydenta, Dillona.

— Czy aż taki strach panuje w tych starych murach — zapytał oficer, kiedy drzwi zamknęły się za panem domu — że wasze panie uważają za konieczne ukrywać się, choć nie wiadomo nawet, czy nieprzyjaciel wylądował?

Dillon odparł chłodno:

— Imię Paula Jonesa jest osławione na tym wybrzeżu . i panny z Opactwa dzielą obawy całej ludności.

— Ba, pirat zyskał sobie sławę prawdziwego desperata od czasu zajścia koło Flamborough-Head. Ale niech się ma na baczności, jeśli podjąć zamierza drugą wyprawę w rodzaju najazdu aa Whitehaven, gdyż kwateruje w tej okolicy pewien regiment ł choć złożony tylko z rekrutów...

— Według ostatnich wiadomości przebywa on teraz bezpiecznie na dworze Ludwika — odparł Dillon — ale są prócz niego inni jeszcze desperaci żeglujący pod rebeliancką banderą, a wśród nich znajduje się jeden czy dwóch ludzi zawiedzionych, których zemsty możemy się obawiać. Oni to, mamy nadzieję, zginęli w tym sztormie.

— Hm! jeśli nie są to zdeklarowani tchórze, nadzieja taka nie przystoi chrześcijaninowi i...

Oficer urwał, gdyż drzwi się otwarły, wszedł sierżant i zameldował, że wartownik zatrzymał trzech ludzi, którzy przechodzili drogą w pobliżu Opactwa i którzy, sądząc z przyodziewku, byli marynarzami.

— Dajcie im przejść — krzyknął kapitan. — Czyż nie mamy nic lepszego do roboty, tylko zatrzymywać przechodniów jak rozbójnicy po traktach! Dajcie im czym przepłukać gardła i niech

sobie idą. Mielicie rozkaz zaalarmować, gdyby oddział nieprzyjacielski wylądował na wybrzeżu, nie zaś chwycić spokojnych poddanych króla podążających za swymi sprawami.

— Dopraszam się łaski waszej miłości — odparł sierżant — ale ci ludzie kręcili się tutaj bez powodu, z dala od dotychczasowego posterunku wartownika, co wydało się Downingowi podejrzane i dlatego ich zatrzymał.

— Downing jest osioł i drogo może go kosztować zbytnia gorliwość! Co z nimi zrobiliście?

— Zamknąłem ich pod strażą we wschodnim skrzydle, wasza miłość.

— To nakarmić ich dobrze i słuchaj, łajdaku, napoić jeszcze lepiej, aby nie było skarg, a potem puścić wolno.

— Rozkaz, sir, wedle rozkazu waszej miłości, ale jest wśród nich wysoki, wojskowego wyglądu człowiek, którego pewnikiem udałoby się zwerbować, gdybyśmy go przetrzymali do rana. Po chodzie poznaję, że już służył.

— Co, co mówisz? — zawołał kapitan nastawiając uszu jak pies myśliwski na dobrze znany okrzyk. — Służył już, myślicie?

— Znać to po nim, wasza miłość. Oko starego żołnierza rzadko myli się pod tym względem, a ponieważ jest w przebraniu i schwytyany w takim miejscu, nie będzie mógł zasłaniać się prawem, dopóki nie zwiąże się z nami.

— Milcz, łajdaku! — zawołał Borroughcliffe wstając i chwiejnym krokiem zmierzając ku drzwiom. — Przemawiasz w obecności przyszłego Najwyższego Sędziego, więc nie radzę ci tykać prawa. Mimo to mówiłeś do rzeczy. Podaj mi ramię, sierżancie, i wiedz do wschodniego skrzydła; wzrok mnie zawodzi w tak ciemną noc. Oficer winien zawsze obchodzić strażę przed capstrzykiem.

Naśladując pana tego domu, kapitan Borroughcliffe przeprosił współbiesiadnika i ruszył na tę patriotyczną misję wsparty o ramię podkomendnego w sposób nader zażyły.

Dillon pozostał u stołu, próbując wyrazić swój gniew uśmiechem pogardy, który zresztą sam tylko zauważył, gdy spojrzał na odbicie swej posepnej, nieprzyjemnej twarzy w wielkim lustrze ściennym.

Lepiej jednak udajmy się wraz ze starym pułkownikiem do klasztoru.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dobroć im właściwa

Natchnęła oczy taką serdeczną pogodą.

Ze zdały się miłować, co tylko ujrzały.

Czy w nich lśniła wesołość Hebe, czyli cieniem

Wolały się zachmurzyć na małą chwilą,

Cień przemijał jak chmurka — a każde następna

Spojrzenie było miłsze niżeli poprzednie.

Gertruda z Wyoming

W zachodnim skrzydle Domu albo Opactwa Św. Ruty, gdyż budynek ten nazywano dwojako, niewiele pozostało śladów klasztoru. Na piętrze, wzdłuż niskiego i ciemnego korytarza, ciągnęły się małe pokoiki, które mogły służyć ongi za cele zakonnice zamieszkujących podobno to skrzydło, parter jednak został zmodernizowany, jak mówiono przed stu mniej więcej laty i stanowił mieszaninę klasztornej surowości z urządzeniem, które w początkach panowania Jerzego III uważano za komfortowe.. Ponieważ skrzydło to, od czasu kiedy gmach przestał służyć celom duchownym, zajmowała zawsze pani domu, pułkownik Howard, objąwszy Opactwo w czasowe władanie, zachował tradycyjny rozkład, póki z biegiem wydarzeń apartamenty urządzone z myślą o wygodzie jego bratanicy nie zamieniły się w jej więzienie. Ponieważ jednak stary oficer był równie surowy w przestrzeganiu cnót, jak i w głupstwach, młoda dama mogła uskarżać się tylko na ograniczenie swobody i niezadowolenie stryja. Aby czytelnicy mogli sobie lepiej wyobrazić, jak wyglądało więzienie panny Howard, wprowadzimy ich tam i pozostawimy w obecności dwóch pięknych kobiet, na których spotkanie już się pewno przygotował.

Sala bawialna Opactwa Św. Ruty była, zgodnie z tradycją, refektarzem tej gromadki pięknych grzesznic, które szukały tu ucieczki przed pokusami świata. Nie musiało ich być zbyt wiele, ani też życie ich nie było zbyt urozmaicone, gdyż w przeciwnym razie refektarz ten by im nie wystarczył. Komnata mimo to nie wyglądała na małą i zdołała ją wszystko, co mogło służyć wygodzie, nie kłócąc się z przeznaczeniem sali. Story z niebieskiego adamaszku zasłaniały niemal ściany pomiędzy oknami, a dwie pozostałe ściany zdołała skóra wytłaczana złotem. Sofy i fotele z rzeźbionego mahoni kryte były tą samą materią, z której zrobiono story. Dywan turecki grał wszystkimi fantastycznymi kolorami tęczy i ożywiał nieco komnatę z jej posępnym, wspaniałym kominkiem, ciężkimi gzymsami i ciemnymi, zawile rzeźbionymi boazeriami. Polana wesoło trzaskała na kominku, a to dzięki uporowi panny Plowden, która ze zwykłą sobie stanowczością twierdziła, że węgiel kamienny jest tylko dla kowali i Anglików.

Mimo żywych blasków bijących z kominka dwie świece woskowe w świecznikach z masywnego

srebra rozjaśniały komnatę. Jeden z tych świeczników stał na ziemi, a płomień świecy dobywał z cienia jaskrawy wzór dywanu, chwając się pod wpływem wdzięcznych, żywych ruchów młodej osoby, której zabawa komuś nie wtajemniczonemu wydawać by się mogła dziecinna. Rozmaite prostokątne jedwabne szmatki o wyraźnie kontrastowych barwach leżały porozrzucane dokoła panny, która zwinnymi rękami zmieniała ich układ, rzekłbyś, dobierając, w jakich kolorach najlepiej jej będzie do twarzy. Ciemna satynowa suknia uwydatniała harmonijną budowę jej drobnego ciała, a żywe dżetowoczarne oczy zdawały się sypać iskry. Parę różowych wstążek przyczepionych do sukni z niewinną kokieterią podnosiło urok jej ciemnej płci i brzoskwiniowej karnacji ciała.

Druga niewiasta, w białej sukni, siedziała wygodnie wciśnięta w róg otomany. Odosobnienie, w którym żyły panny, było może powodem, że włosy miała rozrzucone w malowniczym nieładzie, albo też grzebień utrzymać nie mógł tych kruczych splotów, dość ze jedwabistą falą spadały na ramiona i spływały po plecach aż na adamaszkowe obicie otomany. Siedziała z głową wspartą na drobnej rączce, a toczona jej ramię w strumieniu kruczych włosów przywodziło na myśl alabaster w oprawie z hebanu. Pod obfitością warkoczy, upiętych częściowo na czubku głowy, jaśniało czoło niskie, olśniewająco białe i gładkie, spoczywające na dwóch łukach brwi nieskazitelnych, niczym pociągniętych pędzlem wielkiego mistrza. Powieki i długie jedwabiste rzęsy osłaniały oczy spuszczone w zadumie na dywan. Rysy jej twarzy trudno opisać, gdyż nie były piękne ani regularne, a mimo to składały się na całość pełną kobiecego wdzięku i delikatności. Płeć miała bardzo jasną, a gdy tak trwała pogrążona w myślach, to oblewała się rumieńcem aż po skronie, to znów oblekała bladością. Siedząc zdawała się więcej niż średniego wzrostu i dość smukła, ale nóżki, które trzymała wsparte na adamaszkowej poduszce, były zaokrąglone do pozazdrosczenia.

— Biegła teraz jestem w sygnalizowaniu, jakbym była oficerem flagowym pierwszego lorda admiralicji tego królestwa! — zawołała ze śmiechem klęcząca na dywanie panna, klaszcząc w dłonie z radości jak dziewczynka. — Cecyljo, marzę, by móc popisać się tą sztuką.

Panna Howard podniosła głowę z bladym uśmiechem, a kiedy się odwróciła, ktoś, kto ujrzałby ją po raz pierwszy, byłby zdumiony, choć nie rozczarowany, zmianą, jaka zaszła w jej twarzy. Miast przenikliwych czarnych oczu, które chodzą zwykle w parze z kruczymi włosami, wyjrzałyby ku niemu duże niebieskie oczy, nie tak żywe jak u kuzynki, ale za to tkliwe i łagodne.

— Powodzenie twojej szalonej wycieczki na brzeg zawróciło ci w głowie — odparła Cecylia — ale nie wiem, jak wyleczyć cię z tej choroby, chyba żeby zaaplikować słoną wodę, jak w niektórych przypadkach szaleństwa.

— Wątpię, czy to byłoby skuteczne — zawołała Katarzyna. — Na przykładzie pana Ryszarda Barnstable'a, którego sztorm po sztormie zlewał wodą morską, a który wciąż nadaje się do domu wariatów, widać, że to mało pomaga. Pomyśl tylko, Cecyljo, w ciągu tych dziesięciu minut rozmowy na urwisku nastawał, bym popłynęła na jego łupinie.

— Twoja dzielność pozwoliła mu na pewno dużo po tobie oczekiwać, ale nie uczynił przecież takiej propozycji na serio!

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że wspominał coś o usankcjonowaniu tego szaleństwa przez kapelana, ale sam pomysł uważam za bezczelność. Nie zapomnę mu jej i nie przebaczę przez

dwadzieścia sześć lat. Jak mile musiał spędzić czas w swej łupinie na falach, które widziałyśmy dziś rozbijające się u brzegu! Musiały wypłukać z niego tę bezczelność! Nie było na nim chyba suchej nitki od zachodu do wschodu słońca. To kara za zuchwalstwo. Powiem mu to. Przez zemstę ułożę z pół tuzina sygnałów, aby móc z niego zażartować.

Ciesząc się z góry na myśl, że jej awanturnicza wyprawa zostanie prędzej czy później uwieczniona powodzeniem, dziewczyna potrząsnęła wesoło czarnymi lokami i przystąpiła do układania nowych kombinacji z flag, za pomocą których chciała zakpić z narzeczonego. Ale ta rozmowa ściągnęła chmurę na czoło Cecylii, która ozwała się tonem wymówki:

— Katarzyno! jak można stroić żarty, kiedy sytuacja wzbudza tyle obaw? Czy zapomniałaś, co dziś rano Alicja Dunscombe powiedziała nam o tym sztormie? Czy nie mówiła o dwóch statkach, fregacie i szkunerze, które widziano, jak zuchwale wpływały między płycizny zaledwie o sześć mil od Opactwa, i które musiał spotkać fatalny los, jeśli Bóg się nad nimi nie zmiłował? Wiedząc, kim są ci zuchwali marynarze, czy możesz pokpiwać sobie z ich położenia?

Admonicja z ust kuzynki otrzeźwiła roześmianą pannę Plowden. Wszelki cień wesołości znikł z jej twarzy, ustępując miejsca śmiertelnej bladości. Załamawszy ręce, patrzyła oczyma bez blasku na jaskrawe szmatki porozrzucane po dywanie, które nagle przestały ją zajmować. W tejże chwili drzwi otwały się powoli i do pokoju wszedł pułkownik Howard z miną znamionującą śmieszne pomieszanie surowości z rycerskością względem dam.

— Proszę o wybaczenie, młode panie, że wam przeszkadzam — rzekł — jakkolwiek mniemam, że obecność starego człowieka nie jest całkowicie nieoczekiwana w pokoju jego wychowanek.

Pułkownik siadł z ukłonem w drugim rogu otomany, naprzeciw miejsca zajętego przed chwilą przez pannę Howard, która powstała, gdy wchodził, i nie śmiała usiąść przed stryjem. Rozejrzawszy się po wygodnej komnacie wzrokiem nie pozbawionym skruchy, weteran podjął tym samym tonem:

— Możecie, moje panie, godnie przyjmować tutaj gości i nie sądzę, by stałe odosobnienie, które przyjęłyście za regułę, było potrzebne.

Cecylia spojrzała trwożnie na stryja i po dłuższej dopiero chwili odparła zdziwionym tonem:

— Zawdzięczamy dużo pańskim względom, szanowny stryju, ale czyż nasze odosobnienie jest zupełnie dobrowolne?

— Jakże mogłoby być inaczej! Czyż nie jesteś panią tego domu? Obierając za siedzibę tę rezydencję, w której, niech mi wolno będzie nadmienić, przodkowie moi zarówno jak i twoi żyli tak długo, ciesząc się powszechnym szacunkiem, w mniejszym stopniu powodowałem się dumą niż względami o twą wygodę i szczęście. Wszystko, co widzą tu moje stare oczy, zdaje się przemawiać za tym," że bez wstydu możemy, przyjmować tu naszych przyjaciół.

Klasztor Św. Ruty, panno Howard, nie świeci nagimi murami, a mieszkanki jego warte są widzenia.

— Otwórzcie tedy bramy Opactwa, sir, a wasza bratanica nie uczyni wstydu gościnnemu panu tego domu.

— Powiedziane, jak na córką Harry Howarda przystało, szczerze i szlachetnie! — zawołał stary żołnierz przysuwając się bezwiednie do bratanicy. — Gdyby mój brat obrał sobie zawód żołnierza, nie zaś marynarza, Cecyljo, dziś byłby niezawodnie jednym z najodważniejszych i najzdolniejszych generałów w służbie, królewskiej. Biedny Harry! Jaka szkoda, że nie żyje i nie może prowadzić zwycięskich wojsk swego monarchy przeciw zbuntowanym kolonistom! Niestety, opuścił nas, Cecyljo, pozostawiając ciebie, na którą przechodzą tradycje naszego rodu i te posiadłości, które mimo strat poniesionych w tych ciężkich czasach, przy nas zostały.

— Nie inaczej, szanowny stryju — odpowiedziała Cecylia biorąc jego rękę, którą mimo woli ku niej wyciągnął, i przyciskając ją do ust. — Nie mamy powodu skarżyć się na los, gdyż fortuna obeszała się z nami łagodnie i możemy tylko boleć, że jest nas tak mało do korzystania z jej darów.

— Nie, nie — wtrąciła Katarzyna cichym, zdenerwowanym głosem. — Alicja Dunscombe musi być w błędzie; nie wierzę, aby Opatrzność nie uchroniła dzielnych ludzi od tak okrutnej śmierci.

— Alicja Dunscombe przyszła naprawić swój błąd, jeśli jaki popełniła — dał się słyszeć spokojny, opanowany głos z gwarowym nalotem, nie tak srebrzyście czysty jak pełen kobiecej słodyczy głos panny Howard czy nawet ożywiony normalnie głos panny Plowden.

Nagłe pojawienie się czwartej osoby spowodowało przerwę w rozmowie. Katarzyna Plowden, która wciąż klęczała na dywanie, wstała i wskutek chwilowego zmieszania twarz jej znowu okryła się żywym i radosnym rumieńcem. Nowo przybyła przeszła powoli na środek komnaty, odpowiedziała z wyszukaną grzecznością na ukłon pułkownika i usiadła w milczeniu na drugiej otomane. Sposób, w jaki weszła i została powitana, jak również jej ubiór dość wymownie świadczył, że nie jest to osoba obca ani niepożądana w tym domu. Była ubrana z nadzwyczajną prostotą, ale z wielką dbałością, która doskonale zastępowała jej ozdoby. Musiała ledwie przekroczyć trzydziestkę, ale zachowywała się tak, jakby chciała uchodzić za starszą. Jasne, konopne w odcieniu włosy nosiła opasane ciemną wstążką zwyczajem panien szkockich. Spod wstążki wymykało się parę niesfornych loków, wskazując, jak są obfite i jak je trudno utrzymać na wodzy. Płeć miała jasną, która utraciła wprawdzie wiele ze swej świeżości, zachowała jednak ślady niepospolitej urody. Do tego opisu wypada tylko dodać, że miała duże, łagodne, niebieskie oczy, mocne, białe zęby i regularne rysy; ciemna suknia z jedwabiu ołowianej barwy doskonale oblekała jej pełną, kształtną postać.

Pułkownik Howard zamilkł na chwilę, a gdy nowo przybyła usiadła, zwrócił się do Katarzyny niby naturalnie, co uczyniło go jeszcze sztywniejszym.

— Ledwie wspomniałaś pannę Alicję, ta już się zjawia, gotowa (śmiem przypuszczać) odeprzeć zarzuty najgorszych wrogów.

— Nie czynię bynajmniej zarzutów panie Dunscombe — odparła cierpko Katarzyna — ani też nie życzę sobie, by ktokolwiek, choćby to był nawet pułkownik Howard, siał nieporozumienia między mną a moimi przyjaciółmi.

— Pułkownik Howard będzie się tego w przyszłości pilnie wystrzegał — rzekł weteran obrażony i zwrócił się do dwóch pozostałych pań: — Właśnie gdy pani weszła, panno Alicjo, rozmawiałem z bratanicą, która odgradza się od świata niczym jedna z dawnych mniszek tego klasztoru. Zarówno jej lata, jak majątek mój i jej własny, gdyż Harry nie pozostawił córki bez grosza, wymagają, abyśmy nie żyli dłużej, jakby świat był przed nami zamknięty, a do Opactwa Św. Ruty prowadziły tylko te starożytne okna. Panno Plowden, uważam za swój obowiązek spytać, ca znaczą te skrawki jedwabiu, niezwykle w kształcie, porozrzucane tu w tak wielkiej ilości?

— Chcę sobie uszyć z nich suknię na bal, który zamierzacie wydać, sir — odparła Katarzyna ze złośliwym uśmiechem, który znikł z jej ust dopiero, gdy wyczytała wymówkę w oczach kuzynki. — Pan pułkownik, jak widzę, interesuje się kobiecymi strojami. Czy ten jaskrawożółty nie ożywia mojej ciemnej cery, czarny i biały czyż nie będą wspaniale ze sobą kontrastowały, a różowy czy nie pasuje do czarnych oczu? Taki strój mógłby ozdobić głowę cesarzowej!

Trzepiąc bez związku, zręcznie upięła ze szmatek rodzaj turbanu, który ze śmiechem włożyła na głowę. Pułkownik był zbyt dobrze wychowany, aby krytykować gust damy, powrócił więc do tematu rozmowy, a jego dość zresztą nieokreślone podejrzenia zostały całkowicie rozproszone dzięki sprytowi i przytomności umysłu Katarzyny. Pułkownika Howarda łatwo było oczywiście zbić z tropu w kwestiach dotyczących damskiej toalety, ale Alicję Dunscombe musiał zaintrygować ten improwizowany turban, gdyż spoglądała nań krytycznym okiem. Panna Plowden spostrzegła to i siadła przy niej, starając się odwrócić jej uwagę żywymi ruchami i zadawanymi po cichu pytaniami.

— Mówiłem tedy, panno Alicjo — ciągnął pułkownik — że choć w tych niespokojnych czasach poniosłem straty, nie zbiednieliśmy do tego stopnia, aby nie móc przyjmować przyjaciół w sposób nie przynoszący ujmy dawnym właścicielom. Opactwa

Św. Ruty. Moja bratanica, Cecylia, jest młodą panną, którą każdy stryj chętnie by się poszczycił, toteż pragnąłbym pokazać waszym angielskim damom, że my spoza Atlantyku posiadamy niejedną latorośl zdolną rywalizować z córkami pnia macierzystego.

— Wystarczy, byś wyraził życzenie, kochany stryju — rzekła panna Howard — a zostanie spełnione.

— Powiedz nam, szanowny nasz opiekunie, czym możemy zrobić ci przyjemność — podchwyciła Katarzyna — a jeśli chodzi

o rozproszenie nudy panującej w tej rezydencji, zyskacie we mnie, panie, chętnego sprzymierzeńca.

— Pięknie mówicie — zawołał pułkownik — jak dwie rozumne

i szlachetne panny. Dobrze więc, po pierwsze pošlijcie po Dillona i kapitana z zaproszeniem na kawę. Godzina jest odpowiednia.

Cecylia milcząc spuściła przerażone oczy na dywan. Panna Plowden wzięła na siebie trud odpowiedzi.

— Sądzę — rzekła — że to oni powinni zrobić pierwszy krok. Skoro jednak taka jest wasza wola, szanowny opiekunie, i życzyście sobie, byśmy to my ten krok uczyniły, czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy zeszły na dół i tam ich przyjęły. Urządziliście chyba jakiś pokój specjalnie w tym celu, a choć o brak gustu was nie posądzam, kobieca ręka mogłaby go przyozdobić.

— Panna Plowden pozwoli sobie przypomnieć — odrzekł pułkownik z niezadowoleniem — że dopóki pewne podejrzane statki kręcą się u tych wybrzeży, życzeniem moim jest, abyście nie opuszczały tego skrzydła domu.

— A więc nie mówcie, panie, że się w nim zamykamy — odparła Katarzyna — a przyznajcie bez wykrętów, że to wy nas tu zamknęliście.

— Czyż jestem dozorcą więziennym? Czyż można tak określać moje postępowanie?. Co sobie pomyśli panna Alicja o naszych manierach, jeżeli uwierzy tym dziwnym słowom? Ja...

— Mniemam — przerwała panna Dunscombe ze smutkiem — że można już zaniechać środków ostrożności powziętych ze strachu przed fregatą i szkunerem, które wczorajszego wieczora zapuściły się poza Diabli Szpon. Niewiele ludzi zna bezpieczne szlaki, którymi da się wyprowadzić stamtąd statki na pełne morze, i to tylko statki najmniejsze, przy świetle dziennym i pomyślnym wietrze. Jeśli ma się natomiast wicher od morza i ciemności nocy przeciw sobie, ocalenie leży tylko w boskich rękach.

— Rzeczywiście wszystko przemawia za tym, że statki te zatonęły — odparł weteran głosem niezbyt uradowanym.

— Oni nie zginęli! — zawołała Katarzyna ze zdumiewającą mocą i podeszła do Cecylii tak wyprostowana, że wydawała się niemal wzrostu kuzynki. — Są biegli w sztuce żeglarskiej i odważni, a czego dzielni marynarze tylko dokonać mogą, tego i oni dokonają z powodzeniem! Poza tym, czyż nie ich sprawiedliwa Opatrzność wzięłaby w obronę, dzielnych synów uciśnionego kraju walczących przeciw tyranii i krzywdzicielom narodu!

W miarę jak słuchał tych słów, pojednawcze usposobienie opuściło pułkownika. Jego bystre czarne oczy zabłysły żywością, której trudno się było spodziewać po człowieku tak leciwym, i ledwie się pohamowawszy, by nie przerwać kobiecie, wybuchnął:

— Czyż jest jaki grzech tak przeklęty, grzech, który prędzej może ściągnąć gniew niebios na głowę grzesznika, niż akt buntu. To zbrodnia, która ściągnęła na Anglię potop krwi za Karola Pierwszego, to zbrodnia, przez którą więcej pól bitwy zostało zboczonych krwią niżli przez wszystkie inne zbrodnie ludzkości razem wzięte. Rebelia ściągała zawsze na ludzkość zasłużone kary od czasów Absaloma; jej to dopuściło się kilku najpotężniejszych aniołów, którzy zostali strąceni z niebios i wszystko przemawia za tym, że jest to jedyny grzech nie do odpuszczenia, o którym mówi Pismo święte.

— Nie wiem, co upoważnia pana pułkownika Howarda do mniemania, że jest to właśnie ta bezprzykładna zbrodnia — rzekła panna Dunscombe, uprzedzając protest Katarzyny i nie dopuszczając jej do głosu. Zawahawszy się chwilę, podjęła z ciężkim westchnieniem: — Tak, wielka to niezawodnie zbrodnia, w porównaniu z którą błędą wszystkie inne ludzkie ułomności. Wielu

targa najświętsze węzły, rzuca się jak szaleńcy w ten wir grzesznych namiętności. Przez ciągle zetknięcie z klęskami, które na ludzkość sam ściąga, człowiek taki obojętnieje na męki zadawane innym i nie dba, komu, może nawet swoim najbliższym, wyrządza krzywdę. Na wielkie też pokusy wystawieni są ci maluczcy, którzy z niskiej kondycji nagle zostają wyniesieni na szczyty władzy, co jeśli nie popycha ich bezpośrednio do zbrodni, toruje jej drogę, bo znieczula serca.

— Słucham cierpliwie, panno Alicjo — powiedziała Katarzyna siląc się na spokój — gdyż nie wie pani ani o kim, ani komu pani to mówi. Ale pułkownik Howard nie ma tego na swoje usprawiedliwienie. Nie przerywaj mi, Cecyljo, muszę skończyć. Wierz mi, kochana przyjaciółko, nic złego im się nie stało. Ale w ustach pana, pułkownika, , zważywszy, że siostrzeniec zarówno matki Cecylii, jak i mojej znajduje się na pokładzie fregaty, słowa te są okrutne.

— Żałuję chłopca, z całego serca żałuję! — zawołał weteran. — Jest dzieckiem i unosi go prąd, który porwał kolonie na zatracenie i zgubę. Ale są na tym statku inni, którzy nie mogą się zasłaniać nieświadomością. Znajduje się tam syn mego starego znajomego," a serdecznego przyjaciela Harry'ego, ojca Cecylii, Hugona Griffitha, zwanego „prędkim". Obaj chłopcy tego samego dnia pożegnali się z domem i zaciągnęli na statek marynarki królewskiej. Biedny Harry dosłużył się eskadry, a Hugon umarł jako dowódca fregaty. Jego syn także wychowywał się na okręcie ojca i wyszkolony we flocie angielskiej obrócił broń przeciw swemu monarsze. Jest coś przeciwnego naturze w tym postępku, panno Alicjo, zupełnie jak syn podnoszący rękę na ojca. Tacy to ludzie, z Waszyngtonem na czele, podtrzymują rebelię.

— Są tam ludzie, sir — odparła Katarzyna z dumą — którzy nigdy nie nosili liberii brytyjskiej. Ich imiona są tak sławne w Ameryce jak imiona tych, którzy uchodzą za znamienitych, rycerzy w tym kraju, a oni sami chętnie skrzyżowaliby szpady z najdzielniejszymi oficerami floty angielskiej.

— Byłoby bezcelowe — rzekł pułkownik Howard powstając sztywno — walczyć przeciw otumanieniu. Młoda dama bowiem, która nie waha się porównywać rebeliantów z rycerskimi dżentelmenami spełniającymi wiernie obowiązek względem swego monarchy, musi być otumaniona. Nie ma mężczyzny, nie mówię o niewiastach, które nie znają tak dobrze natury ludzkiej, mężczyzny dojrzałego, który mógłby podać rękę tym dezorganizatorom dążącym do zniszczenia wszystkiego, co święte, tym lewellerom, którzy obalają wszystko, co wielkie, aby wynieść na to miejsce nicość, tym jakobinom, którzy... którzy...

— Jeśli brak wam obelżywych epitetów, sir — powiedziała Katarzyna z wyzywającym chłodem — przywołajcie na pomoc pana Krzysztofa Dillona, który właśnie stoi w drzwiach.

Pułkownik Howard odwrócił się zdumiony, zapominając skończyć swą tyradę, i rzeczywiście ujrzał posępne oblicze kuzyna, który stał z ręką na klamce i zdawał się równie zdziwiony widokiem panien, jak one tym, że widzą go w swych apartamentach.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Proszę cię, Kasiu, przystańmy na boku

I potrzmy końca owej kontrowersji.

Szekspir

Panna Howard, skłoniwszy głowę na poręcz otomany, z wyrazem głębokiej troski na bladej twarzy słuchała sprzeczki, kiedy jednak intruz wtargnął do pokoju, uzbroidła się w całą swą godność niewieścią, lecz zachowała w rozmowie większy umiar, niżby to uczyniła jej kuzynka. Powstając z kanapy zapytała:

— Czemu mam przypisać tę niespodziewaną wizytę pana Dillona? Z pewnością musi on wiedzieć, że został nam zabroniony wstęp do tej części gmachu, gdzie on przebywa. Proszę, by pułkownik Howard wyjaśnił mi, że i my mamy prawo do samotności.

Dillon ukrył gniew pod maską symulowanej pokory, gdy odpowiadał:

— Panna Howard nie poczyna mi może za złe tego kroku, gdy się dowie, że sprowadza mnie sprawa ważna dla jej stryja.

— Ach, to zmienia postać rzeczy, Krzysztofie, ale względy należne damom zawsze wypada zachowywać. Ja sam zapomniałem zapowiedzieć moją wizytę, a to dlatego, że z Borroughcliffe'em wypiliśmy więcej madery, niż zdarzało mi się to od czasu, kiedy popijaliśmy z nieboszczykiem Harry'm i jego godnym przyjacielem Hugonem Griffithem, niech diabli porwą Hugona Griffitha i całe jego potomstwo! Proszę o wybaczenie, panno Alicjo. O co chodzi, panie Dillon?

— Przynoszę wieść od kapitana Borroughcliffe'a. Życzeniem pana pułkownika było, żeby co noc wystawiać wartowników w innym miejscu, prawda?

— Tak, tak, stosowaliśmy ten system podczas kampanii przeciw Montcalmowi i było to konieczne, aby zapobiec mordowaniu wartowników przez jego Indian, gdyż wystarczyło, panno Alicjo, dwie noce z rządu wystawić wartę w tym samym miejscu, aby za drugim razem znaleźć już tylko trupa.

— Otóż, sir, pańskie roztropne zarządzenie zostało uwieńczone rezultatem — ciągnął Dillon podchodząc bliżej, jakby w miarę opowiadania był coraz milej widzianym gościem. — Ujęliśmy już trzech ludzi.

— Doprawdy! — zawołała Katarzyna obrzucając go pogardliwym spojrzeniem. — Skoro pan Dillon tak pochwała ten fortel, musi on przynosić jakieś korzyści z punktu widzenia prawa. Groźny garnizon Opactwa Św. Ruty widać okryje się chwałą za najskuteczniejsze wyłapywanie złodziejasków.

Żółta twarz Dillona posiniała i cały trząsł się z wściekłości, której nie potrafił opanować.

— Może przynieść większe korzyści prawu i tym, którzy się prawem zajmują, niż panna Plowden by sobie życzyła — odparł — gdyż rebelia jest zbrodnią uznaną przez wszystkie kodeksy świata.

— Rebelia! — wykrzyknął pułkownik. — A co zatrzymanie trzech włóczęgów ma wspólnego z rebelią? Czy ta przekłeta trucizna znalazła drogę przez Atlantyk? Proszę o wybaczenie, panno Alicjo, ale to sprawa, w której czujemy jednak; znam pani pogląd na sprawę wierności królowi i pomazańcowi Bożemu. Mówcie, panie Dillon, czy jesteśmy otoczeni nową bandą demonów; jeśli tak, musimy przejść do czynu i zasłonić własnymi piersiami miłościwego pana, gdyż wyspa ta jest głównym filarem jego tronu.

— Nie twierdzę, by w obecnej chwili zanosilo się na bunt na tej wyspie — rzekł Dillon z powagą — chociaż zamieszki w Londynie usprawiedliwiają przedsięwzięcie środków ostrożności przez ministrów, a nawet zawieszenie habeas corpus. Ale podejrzewał pan dwa statki uwijające się u wybrzeży jak piraci.

Katarzyna stuknęła niecierpliwie obcasem we wspaniały dywan, zadowolając się rzuceniem Dillonowi spojrzenia jak najbardziej zabójczej pogardy i nie racząc nawet się odezwać. Inaczej jednak zareagował pułkownik Howard. Słowa Dillona dotyczyły przedmiotu, który go najbardziej interesował, toteż odpowiedział tak, jak powaga chwili tego wymagała.

— Mówisz jak rozsądny człowiek i lojalny poddany, Krzysztofie. Habeas corpus, panno Alicjo, został nadany przez króla Jana wraz z Wielką Kartą baronom dla bezpieczeństwa tronu; walczyli o to moi przodkowie, co może być poręką, że majestat królewski nie poniósł na tym szwanku. Co się zaś tyczy naszych pirackich rodaków, Krzysztofie, wiele przemawia za tym, że dosięgła ich karząca ręka Opatrzności. Ci, którzy znają wybrzeże, twierdzą, że bez lepszego pilota, niż na to stać nieprzyjaciela, wypłynięcie w burzliwą noc i przeciw sztormowi spośród wielu było niepodobieństwem; rano zaś już ich nie widziano.

— Ale czy to są przyjaciele, czy wrogowie, sir — ciągnął Dillon z szacunkiem — mamy teraz w Opactwie ludzi, którzy mogą udzielić nam informacji o tych statkach. Wyglądają oni na ludzi, którzy dopiero co wylądowali, i sądząc nie tylko z ubioru, ale z całego sposobu bycia, są to marynarze.

— Marynarze! — powtórzyła Katarzyna i rumieńce gniewu ustąpiły na jej twarzy śmiertelnej bledości.

— Tak, marynarze, panno Plowden — potwierdził Dillon kryjąc złośliwy uśmiech pod maską szacunku.

— Dziękuję panu za nazwanie ich tym mianem — odparła młoda dama odzyskując przytomność umysłu. — Pan Dillon zwykł wszystko przedstawiać w jak najgorszym świetle, toteż musimy być wdzięczni, że nie skorzystał ze sposobności nastraszenia nas i nie nazwał ich piratami.

— Mogą mimo to zasługiwać na tę nazwę — odpowiedział Dillon zimno. — Prawnicze wykształcenie nauczyło mnie nie wydawać wyroku bez wysłuchania świadków.

— Mądrze mówisz, chłopcze — zawołał pułkownik. — Prawo jest zbawiennym lekarstwem na

ludzkie ułomności, panno Alicjo, a między innymi uczy ono porywcze natury panowania nad sobą. Gdyby nie owa przekłeta rebelia, młodzieniec ten rozsiewałby teraz dobrodziejstwa sprawiedliwości z sędziowskiego krzesła i wymierzałby ją, za co ręczę, wszystkim, czarnym i białym, czerwonoskórym i żółtym, z zachowaniem, oczywiście, takiej różnicy, jaka istnieje między oficerem a żołnierzem. Bądź dobrej myśli, kuzynie, i na nas przyjdzie czas! Królewska armia jest liczna, a według ostatnich raportów sprawy nasze lepiej stoją. Ale chodźmy wypytać tych włóczęgów. To pewnie dezercerzy z jakiegoś naszego statku, a może uczciwi werbownicy. Chodźmy i...

— Tak prędko mamy się wyrzec towarzystwa pułkownika Howarda? — powiedziała Katarzyna zbliżając się do opiekuna z układną minką. — Wiem, że zbyt szybko' zapomina pan o naszych sporach, aby rozstać się w gniewie, lecz pewna byłam, że zostanie pan u nas na kawie.

Weteran odwrócił się do panny i słuchał uważnie tej nieoczekiwanej przemowy. Potem ozwał się łagodnym głosem:

— Ach, zbytnico, znasz mnie dobrze i wiesz, że nie umiem długo żywić urazy, ale obowiązek wzywa, choć uśmiechy młodej damy kuszą mnie, by pozostać. Tak, tak, dziecko, jesteś również córką dzielnego marynarza, ale zbyt daleko posuwasz się w sympatii do tego zawodu, stanowczo zbyt daleko.

Katarzyna zarumieniła się z lekka, a uśmiech, którym usiłowała pokryć zmieszanie, dodał jej szczególnego uroku. Położyła delikatnie rączkę na ramieniu opiekuna, aby go zatrzymać.

— Ale po co nas opuszczacie, pułkowniku — powiedziała. — Już dawno nie byliście w klasztorze i traktujecie nas zawsze jak ojciec. Zatrzymajcie się dłużej, a może zostaniecie i spowiednikami.

— Znam twoje grzechy, dziewczyno — rzekł stary żołnierz wracając bezwiednie na otomanę, ku której go prowadziła. — Jest to śmiertelny grzech rebelii przeciw monarsze, zakorzeniona głęboko w sercu skłonność do słonej wody i zupełny brak poszanowania dla rad i życzeń starego człowieka, który testamentem twego ojca i mocą praw tego królestwa został wyznaczony stróżem twej osoby i fortuny.

— Nie czyńcie mi tego ostatniego zarzutu, kochany panie — zawołała Katarzyna. — Nie zapomniałam słowa z tego wszystkiego, co mi kiedykolwiek powiedzieliście. Czy zechcecie usiąść, sir? Cecyljo, pułkownik Howard zgadza się wypić z nami kawę.

— Zapominasz pani o tych trzech ludziach, zacnym Krzysztofie i kapitanie Borroughcliffe.

— Niech zacny Krzysztof zostanie tutaj, jeśli ma ochotę, możemy też posłać zaproszenie kapitanowi Borroughcliffe'owi, bo ciekawam, jak wygląda ten oficer. Co zaś do tych trzech ludzi — urwała i przez chwilę udawała, że się namyśla, po czym, jakby jej nagle przyszło do głowy proste rozwiązanie, dodała: — tak, ależ naturalnie, tych trzech ludzi można tu sprowadzić i wypytać. Kto wie, może są rozbitkami i zasługują bardziej na litość i pomoc niżli, na podejrzenia.

— W słowach panny Plowden widzą ostrzeżenie, które winni wziąć do serca wszyscy

zamieszkujący to wybrzeże — powiedziała Alicja Dunscombe. — Słyszałam o niejednym wypadku rozbicia się na mieliźnie łodzi przy wietrze nieporównanie słabszym od wczorajszego. Wojna, niepewne czasy i złe namiętności rozproszyły żeglarzy znających labirynt przejść między skałami. Byli wśród nich, jak nieraz słyszałam, tacy, co potrafili przeprowadzić statek o włos od Diabiego Szponu w najczarniejszą noc; ale wszyscy ci zuchwalcy albo pomarli, albo, co gorsza, porzucili kraj ojczysty.

— To wojna pochłonięła prawdopodobnie większość z nich, gdyż wspomnienia pani dotyczyć mogą tylko czasów niezbyt odległych, panno Alicjo — rzekł weteran. — Ale uprawiali pewnie kontrabandę, umniejszając w ten sposób dochody z ceł, a to, że ich nie stało, wyszło raczej na dobre krajowi. Dzięki doskonałości naszej konstytucji w naszym organizmie państwowym wszystko dzieje się jak w organizmie zdrowego człowieka, gdzie gorączka sprzyja przemożeniu choroby.

Alicja Dunscombe ożywiła się, gdy to mówił, i z rumieńcem odpowiedziała:

— Byli wśród nich pewnie ludzie trudniący się kontrabandą, ale byli też i inni, którzy tak mizernym nie splamili się przestępstwem, choć może inne jakieś ciężą na nich zarzuty, a potrafili zorientować się w przejściach skrytych pod powierzchnią morza z taką łatwością jak pan, panie pułkowniku, idąc poprzez korytarze i sale Opactwa w samo południe.

— A więc zamierza pan, panie pułkowniku, zbadać tych ludzi i przekonać się, czy należą do tych utalentowanych pilotów? — rzekł Krzysztof Dillon, który znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Rzucił lekceważące spojrzenie na łagodną pannę Alicję i dolał: — Może zbierzemy od nich dość informacji dla wykreślenia mapy wybrzeża i zasłużymy na wdzięczność lorda Admiralicji.

Niezasłużona impertynencja pod adresem gościa poruszyła do żywego pannę Howard, która oblała się rumieńcem aż po skronie, powstała i zwróciła się do krewniaka w sposób niedwuznaczny:

— Jeśliby pan Dillon zastosował się do życzenia pułkownika Howarda wyrażonego przez moją kuzynkę, nie musielibyśmy przynajmniej sobie wyrzucać, że zatrzymujemy niepotrzebnie ludzi, prawdopodobnie bardziej nieszczęśliwych niżli winnych.

Cecylia siadła przy Alicji Dunscombe i zaczęła rozmawiać z nią cichym głosem. Dillon skłonił się z symulowaną uniżonością, a przekonawszy się, że pułkownik Howard zamierza udzielić posłuchania jeńcom na miejscu, ruszył, by wykonać polecenie, z tajoną radością, że sytuacja obróci się na jego korzyść, wbrew nadziejom wyniosłej piękności, o której rękę się starał.

— Prawy, użyteczny i poczciwy człowiek z tego Krzysztofa — rzekł pułkownik Howard, gdy drzwi się zamknęły. — Mam nadzieję dożyć jeszcze chwili, kiedy zobaczę go w gronostajach. Nie trzeba tego brać dosłownie, tylko w przenośni, gdyż futro nie jest odpowiednie w klimacie Karoliny. Spodziewam się, że ministrowie zechcą zasięgnąć mojego zdania przy restauracji prawowitych władz w pokonanych koloniach, a wówczas Krzysztof może być pewien mego gorącego poparcia. Czyż nie byłby ozdobą ławy sędziowskiej, panno Plowden?

Katarzyna przygryzła wargi.

— Zastosuję jego własną zasadę i nie wydam przedwcześnie wyroku. Ale słuchajcie! — Panna przybladła i gorączkowo spojrzała ku drzwiom. — Przynajmniej się pospieszył. Słyszę ciężkie kroki na korytarzu.

— To on na pewno. Sprawiedliwość powinna działać prędko i zdecydowanie jak sąd wojenny, który, nawiasem mówiąc, jest idealnym rządem. Gdyby udało się skłonić ministrów do wprowadzenia takiego rządu w zbuntowanych koloniach...

— Słuchajcie! — przerwała Katarzyna głosem zdradzającym wielki niepokój. — Zbliżają się!

Odgłos kroków był tym razem tak wyraźny, że pułkownik zaprzestał wykładu, jak zamierza ukonstytuować odzyskane prowincje. Z długiego, niskiego korytarza, wyłożonego kamiennymi taflami, kroki dochodziły głośniejsz i głośniejsz, aż wreszcie zastukano do drzwi. Pułkownik Howard powstał jako ten, który odegrać miał główną rolę w przesłuchaniu. Cecylia i Alicja Dunscombe spojrzały ku otwierającym się drzwiom bez większego zainteresowania, ale bystre oczy Katarzyny Plowden szybkim spojrzeniem ogarnęły każdego z nowo przybyłych. Westchnąwszy ciężko, dziewczyna osunęła się na otomanę, ale w następnej chwili oczy jej błysnęły rezolutnie i zaczęła nucić wesołą piosenkę głosem cichym, lecz dźwięcznym.

Wszedł Dillon prowadząc za sobą oficera, którego chód nabrał już pewności, a oczy wyrazu. Coś najwidoczniej rozjaśniło mu w głowie, choć nie był jeszcze zupełnie wytrzeźwiony. Reszta osób pozostała za drzwiami, podczas gdy pułkownik przedstawił damom kapitana.

— Panno Plowden — rzekł weteran, gdyż ta panna stała najbliżej — przedstawiam pani mego przyjaciela, kapitana Borroughcliffe. Od dawna pragnął dostąpić tego zaszczytu i nie wątpię, że zostanie przyjęty w sposób, który wynagrodzi mu długie czekanie.

Katarzyna uśmiechnęła się i odpowiedziała z dwuznacznym patosem:

— Nie wiem, jak dziękować panu za tyle dbałości o' nasze nic nie znaczące osoby.

Kapitan popatrzył na nią, jakby się wahał, czy nie odplacić jej pięknym za nadobne, ale snadź się rozmyślił.

— Jeden taki uśmiech, o pani, byłby sowitą nagrodą za usługi nie tylko wyimaginowane, ale i prawdziwe.

W odpowiedzi na komplement Katarzyna skinęła mu głową bardziej łaskawie niż innym oficerom noszącym mundur brytyjski.

— Kapitanie Borroughcliffe, przedstawiam waszmość pana pannie Alicji Dunscombe, córce zacnego duszpasterza, ongi proboszcza tej parafii. Dama ta spędza z nami dużo czasu, ale nigdy tyle, ile byśmy pragnęli.

Kapitan odpowiedział na grzeczny ukłon Alicji.

— Panno Howard, pozwól sobie przedstawić dżentelmena, który podjął się chętnie obrony

Opactwa w tych strasznych czasach i z tego choćby powodu zasługuje na szczególne względy pani .
domu.

Cecylia powstała wdzięcznie i przyjęła gościa z właściwym sobie wyrazem słodyczy. Oficer nie odpowiadał na uprzejme" słowa, którymi go powitała, tylko stał w nią wpatrzony, potem zaś położył bezwiednie rękę na sercu i skłonił się niemal po gardę pałacza.

Dopełniwszy obowiązku towarzyskiego, pułkownik kazał wprowadzić jeńców. Gdy Dillon otwierał drzwi, Katarzyna rzuciła im spojrzenie, a w oczach jej zamigotał blask broni żołnierzy, którzy ich pilnowali. Marynarze weszli sami, choć brzęk broili i stuk kolb o kamienną podłogę świadczył, że uważano za wskazane mieć się na baczności przed intruzami na terenie Opactwa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mięso armatnie, cóż — mięso armatnie!

A rów napętnią tak jak i ci lepsi.

Henryk IV

Trzej mężczyźni wprowadzeni do komnaty, choć mieli na sobie zwykły strój marynarski noszący ślady niedawnej ciężkiej przeprawy, nie zdali się bynajmniej oneśmieleni. Stanęli szeregiem w dalszym rogu salonu, wskazanym przez oficera, jak ludzie znający respekt przed możnymi, których niestałe życie od dawna przyzwyczaiło do znoszenia przeciwności losu. Pułkownik Howard przystąpił teraz do badania.

— Wierzę, że jesteście wszyscy trzej dobrymi i lojalnymi poddanymi — zaczął w przekonaniu o ich niewinności — ale czasy są takie, że najzacniejsi ludzie mogą ściągnąć na siebie podejrzenie, dlatego też, jeżeli nasze obawy okażą się bezpodstawne, pomyłkę naszą przypisać będziecie musieli chaosowi, w którym rebelia pograżyła imperium. Mamy powody przypuszczać, że nieprzyjaciel, którego dwa okręty, fregata i szkuner, ukazały się na tych wodach, szykuje napaść na wybrzeże; zuchwalstwo zaś rebeliantów da się porównać tylko z ich bezwstydnym brakiem poszanowania dla prawowitego monarchy.

Podczas tej wstępnej przemowy jeńcy nie spuszczaali oczu z pułkownika, wyraźnie zainteresowani, ale ożywili się jeszcze bardziej, kiedy wspomniał o obawach przed napaścią nieprzyjaciela, i wymienili ukradkowe spojrzenia. Nie odpowiedzieli jednak i po krótkiej przerwie, w czasie której jego słowa miały wyrzeć należyte wrażenie, pułkownik podjął:

— Nie mamy dowodów, o ile mi wiadomo, że jesteście w łączności z nieprzyjacielem, skoro jednak zagarnięto was nie z traktu, lecz z drogi polnej, której wprawdzie używa wiele ludzi z sąsiedztwa, ale która mimo to jest drogą polną, względ na bezpieczeństwo wymaga, byśmy zadali wam parę prostych pytań, na które niewątpliwie otrzymamy zadowalającą odpowiedź. Mówiąc tedy po waszemu, skąd wypłynęliście i z jakim przeznaczeniem? Niski, głęboki głos odpowiedział:

— Z Sunderland i z przeznaczeniem poprzez ląd do Whitehaven.

Ledwie przebrzmiała ta prosta i bezpośrednia odpowiedź, uwagę wszystkich zwróciła Alicja Dunscombe wydając stłumiony okrzyk. Jednocześnie powstała ze swego miejsca i dzikimi, przerażonymi oczyma toczyła po komnacie.

— Czy źle się pani czuje, panno Alicjo? — spytała Cecylia Howardswym słodkim, kojącym głosem. — Tak, tak, pani jest chora. Proszę się na mnie oprzeć, odprowadzę panią do jej pokoju.

— Słyszałaś czy też tylko mnie się wydawało? — odparła Alicja Dunscombe ze śmiertelną bladością na twarzy, drżąc konwulsyjnie. — Słyszałaś, Cecyljo?

— Nie słyszałam nic prócz głosu mego stryja, który stoi przy pani zaniepokojony, jak my wszyscy, i czeka, by się pani otrząsnęła z tego okropnego wrażenia.

Oczy panny Alicji wciąż przebiegały od twarzy do twarzy, jakby szukały czegoś poza kręgiem domowników i z maniacką przenikliwością wpijały się w rysy trzech ludzi stojących pokornie a cierpliwie, jako niemi świadkowie tej niezwyklej sceny. Wreszcie Alicja Dunscombe zakryła oczy dłońmi, rzekłbyś przed okropnym widziadłem, po chwili zaś ze smutnym uśmiechem dała znak Cecylii, by ją wyprowadziła. Panom, którzy rycersko zaofiarowali jej ramię, podziękowała tylko spojrzeniem i gestem ręki. Dopiero kiedy minęły chodzących po korytarzu żołnierzy i znalazły się zupełnie same, pierś Alicji podniosła się ciężkim westchnieniem.

— Usłyszałam jakby głos spoza grobu — powiedziała — ale musiało to być złudzenie. Nie, to sprawiedliwa kara niebios, gdyż człowiek nie powinien oddawać istocie ludzkiej miejsca należnego w jego sercu Stwórcy. Ach! Panno Howard, panno Plowden, obie jesteście młode, w rozkwicie wdzięków i urody... ani nie znacie, ani nie macie się na bacności przed pokusami grzesznego świata.

— Ona bredzi — szepnęła Katarzyna niespokojnie. — Jakieś okropne wspomnienie pomieszało jej w głowie.

— Tak, to moje grzeszne myśli przywołały głos, który byłoby strasznie usłyszeć w- rzeczywistości, i to wśród tych ścian — rzekła Alicja już spokojnie, ale patrząc z półprzymyślnym uśmiechem na dwie piękne dziewczyny, które ją prowadziły. — Chwilowa słabość minęła i czuję się lepiej. Zostawcie mnie w moim pokoju i wracajcie, by nie psuć zgody, która zdaje się powracać między wami a pułkownikiem Howardem. Czuję się teraz lepiej, nawet zupełnie dobrze.

— Wygląd pani — odpowiedziała Cecylia — zadaje kłam słowom, które dyktuje uprzejmość. Jest pani chora, naprawdę chora nawet na wyraźną prośbę nie zostanie pani sama.

— A więc nie odchodź — powiedziała panna Dunscombe rzucając na Cecylię spojrzenie pełne wdzięczności. — Katarzyna wróci do salonu, by przyjąć panów kawą, a ty będziesz mnie pielęgnowała.

Doszły tymczasem do pokoju panny Alicji i Katarzyna, pomógłszy Cecylii ułożyć chorą na łóżku, wróciła pełnić honory

domu.

Na jej widok pułkownik Howard przerwał badanie jeńców, by spytać troskliwie o chorą. Dopiero uspokajająca odpowiedź pozwoliła mu mówić dalej:

— To wszystko jasne jak dzień, Borroughcliffe. Zwolniono ich Sunderland, a ponieważ mają znajomych i krewnych w Whitehaven, idą tam w poszukiwaniu wsparcia i pracy. Rzecz zupełnie prawdopodobna i nie budząca obaw.

— I ja tak sądzę, panie pułkowniku — odrzekł niefrasobliwie oficer — ale to wstyd, aby trzech takich zuchów,, zdolnych i silnych marynarzy, szukało pracy, kiedy flota królewska krąży po morzach

w poszukiwaniu nieprzyjaciół Starej Anglii.

— Co racja, to racja! — zawołał pułkownik. — Cóż wy na to, zuchy, chcecie się bić z Francuzami, z donami hiszpańskimi, choćby i z mymi zbuntowanymi i otumanionymi rodakami? Nie, na Boga, wielka byłaby to strata dla korony, gdyby nie pozyskała trzech takich bohaterów. Ot, mam tu po pięć gwinei dla każdego was, które dostaniecie stanawszy na pokładzie kutra „Alacrity”. Stoi on dziś na kotwicy zaledwie o dwie mile na południe stąd, małym porcie, gdzie mimo sztormu zacisznie jest jak w tym pokoju. Jeden z ludzi udał, że patrzy pożądliwie na złoto, i spytał, jakby rozważając propozycję:

— Czy „Alacrity” uchodzi za dobry statek i załoga ma na nim wygodne pomieszczenia?

— Czy wygodne? — powtórzył Borroughcliffe. — Pod względem wygody jest to kuter znany w całej flocie. Musieliście widzieć kawał świata, może więc widzieliście arsenał morski w Kartagenie, w Hiszpanii?

— Tak jest, widziałem, sir — odparł marynarz zimno i ze skupieniem.

— Ach, widzieliście! Czy może natknęliście się kiedy w Paryżu na dom, który zwą Tuilleriami? To psia buda w porównaniu z „Alacrity”.

— Nawet tam zdarzyło mi się być, sir, i mniemam, że dla takiego jak ja wystarczyłoby podobne pomieszczenie, o ile odpowiada ono opisowi waszej miłości.

— Diabli niech' porwą tych majtków — mruknął Borroughcliffe zwracając się bezwiednie do panny Plowden, koło której akurat stanął. — Smoluchy tłuką się po całym świecie i utrudniają tylko człowiekowi czynienie porównań. Kto, u licha, mógłby przypuścić, że ten drab wybałuszał kiedy swe oczy na pałac króla Ludwika?

Katarzyna puściła mimo uszu tę przemowę, przypatrując się jeńcom ze zmieszaniem i niepokojem, a pułkownik Howard zawołał: — Dość, dość, Borroughcliffe, nie opowiadajmy tym zuchom bajek dobrych dla rekruta, ale mówmy do rzeczy w zrozumiałej, uczciwej angielszczyźnie, Boże błogosław krajowi, w którym język ten powstał! Nie potrzeba mówić marynarzowi z zawodu, że kuter dziesięciodziałowy jest tak obszerny i wspaniale urządzone jak pałac.

— Lekceważy pan sobie, jak widzę, konstrukcję z angielskiego dębu i angielski komfort, szanowny gospodarzu! -r- ciągnął niewzruszony kapitan. — Czy sądzicie, sir, że wygodę mierzę na łokcie kwadratowe i z kompasem w rękę, jakbym na nowo chciał wznosić świątynię Salomona? Chcę tylko powiedzieć, że „Alacrity” jest statkiem ogromnie pakownym i ma cudowne urządzenie, tak że zdaje się wielki lub mały wedle potrzeby, niby namiot pięknego brata wróżki z Tysiąca i Jednej Nocy. A teraz niech mnie kule biją, jeśli nie powiedziałem na korzyść tego kutra więcej, niż jego dowódca powiedziałby, aby dla mnie zwerbować rekruta, choć to i tak trud daremny, gdyż nie masz, zdaje się, we wszystkich trzech królestwach chłopca pragnącego przywdziać szkarłatny mundur żołnierski.

— Czasy takie jeszcze nie nadeszły i niech Bóg uchowa, aby kiedykolwiek monarcha potrzebował wojska dla obrony swych praw. Ale cóż wy, moje zuchy? Słyszeliście, jak kapitan Borrough-:liffe

chwalił „Alacrity”, całkiem słusznie, mimo pewnej przesady w porównaniach. Czy chcecie się zaciągnąć? Czy przynieść wam po szklance grogu, a złoto wypłacić, kiedy doniosą z kutra, że przyjeżdżacie zaciąg we flocie najlepszego z królów?

Katarzynie Plowden, która z zapartym tchem śledziła marynarzy, wydawało się, że dostrzega ukradkowe uśmiechy na ich twarzach. Jeśli się jednak nie pomyliła, niczym nie zdradzili wesołości i ten, który przemawiał w imieniu całej trójki, odparł równie spokojnie i zimno jak wprzód:

— Prosimy o wybaczenie, sir, ale nie chcemy zaciągać się na kuter. Przywykliśmy do dalekich podróży na wielkich statkach, podczas gdy „Alacrity” pełni służbę przybrzeżną i nie jest tych rozmiarów, by lec burta w burtę z donem albo Francuzem o podwójnym rzędzie kłów.

— Jeśli lubicie taką grę, powinniście zwrócić kroki do Yarmouth. Tam znajdziecie okręty mogące śmiało stawić czoło najpotężniejszym jednostkom nieprzyjacielskim — wyjaśnił pułkownik.

— Ale może dzielni ci ludzie woleliby wyrzec się trudów i niebezpieczeństw żeglugi i obrać życie łatwiejsze i weselsze — rzekł kapitan. — Ręka, która długo władała różkiem bosmańskim, uczy się pociągać za cyngiel tak lekko i zgrabnie, jak ręka damy ślizga się po klawiszach. Słowem, są pewne analogie i pewne różnice między życiem marynarza i żołnierza. Dla nas nie ma sztormów, zmniejszonych racji, refowania topsli, tonących okrętów, a z drugiej strony żołnierz śmieje się, weseli, pije grog równie dobrze w swej kantynie jak na najlepszym ze statków. Kilkakroć przebywałem ocean i muszę przyznać, że w dobrą pogodę okręt da się przyrównać do obozu lub wygodnych koszar.

— Nie wątpimy, że wszystko, co raczyliście powiedzieć, jest prawdą, sir — odpowiedział reprezentant trójki żeglarzy — ale to, co dla was, wielmożny panie, jest przykre, dla nas jest przyjemnością. Stawiliśmy czoło zbyt wielu sztormom, aby bać się drobiny wiatru, a w koszarach nudno by nam było jak w pasie ciszy morskiej, gdybyśmy nie mieli nic do roboty, tylko biec do kotła i maszerować po małym kawałku ziemi. Ledwie zresztą potrafimy odróżnić lufę muszkietu od kolby.

— Czyżby? — odpowiedział Borroughcliffe zamyślony. Nagle podszedł ku nim i zakomenderował: — Bacność! W prawo patrz!

Dwóch pierwszych marynarzy obrzuciło oficera zdumionym spojrzeniem, ale trzeci z rzędu, który odsunął się na bok, jakby nie chciał ściągać na siebie uwagi albo rozważał propozycję, podskoczył mimo woli, sprężył się, gdy padła ta niespodziewana komenda, i zwrócił głowę na prawo tak szybko jak podczas musztry.

— Oho! widzę, że pojętni z was uczniowie i możecie się jeszcze dużo nauczyć — ciągnął kapitan Borroughcliffe. — Uważam za wskazane zatrzymać tych ludzi do jutra rana, pułkowniku Howard, chciałbym im dać jednak lepszy nocleg niżli na twardych ławach wartowni.

— Wszystko jest do pańskiej dyspozycji, kapitanie Borroughcliffe — odpowiedział gospodarz — jeśli spełnia pan obowiązek względem monarchy. Ludzie ci nie będą uskarżać się na przyjęcie i mogą mieć na noc izbę nad pomieszczeniem dla służby w południowym skrzydle Opactwa.

— Trzy izby, mój pułkowniku, trzech oddzielnych izb dla nich mi trzeba, choćbym musiał ustąpić im swojej.

— Jest tam kilka małych pustych pokoi, gdzie można położyć dery i przetrzymać tych ludzi pod strażą, jeśli uważasz to pan za konieczne, choć wyglądają mi na dobrych, lojalnych majtków, których chlubą byłoby służyć wiernie swemu monarsze, a szczytem marzeń lec burta w burtę z donem albo monsieur.

— Pomówimy jeszcze o tym — rzekł Borroughcliffe sucho. — Nadużywamy cierpliwości panny Plowden, a zimna kawa jest bez smaku jak przebrzmiała miłość. Chodźmy, marynarze, en avant! Widzieliście Tuilleries, więc musicie rozumieć trochę po francusku. Panie Krzysztofie Dillon, wie pan pewno, gdzie się mieszczą te trzy małe pokoiki.

— Wiem, sir — odparł pochopnie prawnik — i z prawdziwą przyjemnością panu je wskażę. Uważam pańską decyzję za dowód wielkiej przenikliwości, bo pewien jestem, że wkrótce ci trzej znajdą się za murami Durham Castle lub innej równie potężnej fortecy.

Trzej przybysze opuszczali właśnie komnatę, więc niepodobieństwem było poznać, jakie wrażenie zrobiły na nich te słowa, ale panna Plowden, pozostawiona samej sobie, siedziała w milczeniu i rozmyślała nad tym, czego była świadkiem, z niezwykłą u tej żywej i wesołej osobki powagą. Kroki jednak oddalały się coraz bardziej. Na widok powracającego pułkownika Howarda panna ocknęła się z zadumy.

Zajęta podawaniem kawy Katarzyna rzucała ukradkowe spojrzenia na weterana. Był zamyślony, ale nie zdawał się żywić żadnych podejrzeń.

— Dużo niepotrzebnego zachodu jest z tymi wagabundami, sir — ozwała się wreszcie Katarzyna — a pan Dillon ma szczególną zdolność sprawiania przykrości wszystkim, którzy się z nim zetkną.

— A cóż on ma wspólnego z zatrzymaniem tych ludzi?

— Co ma wspólnego! Czyż nie wskazał, gdzie należy ich zamknąć? Doprawdy i kobiecej cierpliwości nie starczy, gdy ma się z nim do czynienia. Możemy pozyskać jeszcze jedną nazwę dla naszej siedziby. Nazywa się domem, opactwem, zamkiem, pałacem nawet, a pozwólcie Dillonowi rządzić tu przez miesiąc, miejsce to zasłynie jako więzienie.

— Krzysztof nie znajduje łask i w oczach panny Plowden, a szkoda, bo to zacny, dobry towarzysz i ma olej w głowie; a co więcej, panno Katarzyno, Krzysztof Dillon jest wiernym, lojalnym poddanym swego monarchy. Jego matka była moją siostrą cioteczną i mam nadzieję doczekać chwili, kiedy ożeni się z moją bratanicą. Dillonowie są z doskonałej irlandzkiej szlachty, a nawet panna Plowden przyzna, że Howardowie też mogą poszczycić się swym nazwiskiem.

— Ach! O tym właśnie chciałam mówić — rzuciła szybko Katarzyna. — Nie dalej niż przed godziną, szanowny opiekunie, gniewałeś się przypuszczając, że proponuję, byś do nazwiska swego dodał tytuł dozorczy więzienia, teraz zaś pozwalasz narzucić sobie taką funkcję.

— Zapominasz, panno Katarzyno Plowden, że ludzie ci zostali zatrzymani z rozkazu oficera jego królewskiej mości.

— Sądziłam, że sławetna konstytucja Wielkiej Brytanii, którą wy, panie, tak często wspominać — przerwała czupurnie młoda dama — darzy wolnością każdego, kto przybije do brzegów tego błogosławionego kraju. Wiecie, sir, ilu czarnych pozostało z tych dwudziestu, których tu przywieźliście; reszta uciekła na skrzydłach brytyjskiej wolności.

Sprytna dziewczyna umyślnie dotknęła nie zabliznionej rany, przewidując obrót rozmowy. Opiekun jej nie wybuchnął gniewem, co nieraz zdarzało mu się z powodów stokroć bliższych, ale wstał i po chwili walki wewnętrznej, opanowany na tyle, by zachować pozory spokoju, które umożliwiły mu godny odwrót, rzekł:

— Że brytyjska konstytucja jest nieporównana, to prawda, i że Anglia jest jedyną siedzibą wolności, to też prawda. Tyrania i ucisk Kongresu, które świat kolonii pchają w ramiona nędzy, nie zasługują na święte miano wolności. Rebelia kala wszystko, czego się dotknie. Choć często rozpoczyna się pod płaszczykiem wolności, kończy się zawsze despotyzmem. Dowodzą tego kroniki świata, począwszy od dziejów starożytnej Grecji i Rzymu, aż po dzień dzisiejszy. Juliusz Cezar, ulubieniec ludu, skończył jako tyran. Oliwer Cromwell takąż odegrał rolę: rebelianta, demagoga, tyrana. Przejście to, pani, jest tak nieuniknione, jak przejście dzieciństwa w młodość, a młodości w starość. Co się zaś tyczy tej błahej sprawy, którą pani uznała za stosowne wspomnieć, sprawy dotyczącej moich... hm, moich prywatnych kłopotów, powiem tylko, że spraw publicznych nie należy osądzać według wydarzeń domowych, zarówno jak okoliczności życia domowego rozpatrywać z punktu widzenia polityki narodów.

Pułkownik Howard wziął antytezę za argument, co zresztą zdarzało się i logiczniejszym niż jego umysłem, po czym urwał zachwycony własną elokwencją. Prąd myśli jednak na ten temat, zawsze niepowstrzymany, porwał go dalej i kazał mówić:

— Tak, pani, tutaj i tylko tutaj można znaleźć prawdziwą wolność. Z tym uroczystym zapewnieniem na ustach, którego na wiatr nie rzucam, a które jest rezultatem sześćdziesięcioletniego doświadczenia, pozostawiam pannę rozmyślaniom. Niech pani to dobrze rozważy, gdyż wiem, że jej błędne zapatrywania polityczne rodzą osobliwe słabostki, niech pani rozważy to przez wzgląd na samą siebie, nie tylko na osobiste szczęście, ale i szacunek ludzi oraz pozycję społeczną. Co się zaś tyczy tych czarnych psów, o których pani wspomniałaś, jest . to zgraja buntowniczych, niewdzięcznych łotrów i jeśli kiedy zobaczą którego z tych...

Pułkownik o tyle panował nad sobą, że gwałtowne i pełne goryczy słowa padły z jego ust już po opuszczeniu komnaty. Katarzyna stała z palcem na ustach, słuchając gniewnego pomruku, który oddalał się korytarzem, póki za zamkniętymi z hałasem drzwiami zupełnie nie ucichł. Dziewczyna potrząsnęła wówczas ciemnymi lokami, a przekorny uśmiech zmieszany z wyrazem żalu wykwitł na jej twarzy. Odrzuciwszy energicznie serwetę, zaczęła mówić do siebie:

— Było to może okrucieństwem z mej strony, ale się udało. Choć same jesteśmy więźniami, mamy przynajmniej dziś zapewnioną swobodę ruchów. Musimy przyjrzeć się bliżej tym tajemniczym marynarzom. Dałabym głowę, że w jednym z nich poznałam Griffitha po jego dumnym spojrzeniu,

błyszczącym mimo nasadzonej czarnej peruki. Ale gdzież to pan Barnstable i pod jaką maską ukrywa swoje czarujące rysy! Niezawodnie nie ma go między tymi trzema. Ale biegnę do Cecylii.

Z tymi słowy biegła już lekkimi krokami poprzez mroczne przejścia i znikła za jednym z zakrętów korytarza prowadzącego do mniej znanych zakamarków Opactwa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Chcesz, Lucio, bym się pogrążył w rozkosznych

Marzeniach lub się zakochał na śmierci

Kato

Niech czytelnik sobie nie wyobraża, że świat stał w miejscu, podczas gdy rozgrywały się opisane przez nas sceny. Późną już nocą zamknięto trzech marynarzy w trzech oddzielnych pokojach, a w korytarzu postawiono wartownika. Kapitan Borroughcliffe skorzystał skwapliwie z ponownego zaproszenia pułkownika, który, wyraziwszy żal z powodu nieudanej kawy, zaproponował atak na maderę. Północ wybiła, nim dwaj panowie się rozstali. Tymczasem pan Dillon znikł, a służący zapytany o niego przez pułkownika odpowiedział, że pan Krzysztof pojechał konno do... by świtem przyłączyć się do łowców. Obaj wojskowi wesoło spędzali czas, wspominając historie z dawnych czasów i odbytych kampanii, a tymczasem dwie zupełnie odmienne sceny rozegrały się w innych skrzydłach pałacu.

Ciszę Opactwa mąciło tylko wycie wiatru i wybuchy śmiechu wesołych kompanów w sali jadalnej, które rozlegały się w labiryncie gmachu. Wtem bezgłośnie otworzyły się drzwi w jednym z korytarzy klasztoru i ukazała się w nich Katarzyna Plowden, spowita w obszerną mantylę, niosąc lampę nocną, której mętne światło słało się na ścianach przed idącą, wszystko zaś dokoła pozostawiało w cieniu. Za Katarzyną podążyły niebawem dwie inne kobiece postacie, otulone w podobne płaszcze i z takimi samymi lampami w ręku. Kiedy wszystkie trzy znalazły się w korytarzu, Katarzyna cicho zamknęła drzwi i ruszyła naprzód, wskazując drogę.

— Cytł — ozwała się Cecylia cichym, drżącym głosem. — Czuwają jeszcze w innych skrzydłach domu, a jeśli jest tak, jak przypuszczasz, nasze odwiedziny zdradzą ich i zgubią.

— Nie poznajesz, Cecylio, śmiechu pułkownika Howarda, kiedy jest pod dobrą datą? — odpowiedziała Katarzyna z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. — Czy nie wiesz, że mało co wtedy słyszy i widzi? Ale chodź, na pewno jest, musi tak być, jak przypuszczam, i jeśli nie przyjdziemy im z pomocą, będą zgubieni, chyba że liczą na coś, o czym my nie wiemy...

— Niebezpieczną drogą podążacie — ozwała się łagodnie Alicja Dunscombe — ale młodość jest zawsze ufna.

— Jeśli nie pochwała pani tych odwiedzin — powiedziała Cecylia — to lepiej zawróćmy.

— Nie, nie chcę was odwozić od tego zamiaru. Jeśli Bóg oddał pod waszą pieczę życie ludzi, których kochacie miłością niewiasty dla męża, uczynił to z jakimś celem. Prowadź nas do ich drzwi, Katarzyno, przekonamy się chociaż, kim są.

Katarzyna Plowden nie dała się drugi raz prosić, lecz powiodła ich szybkimi, lekkimi krokami do końca korytarza, skąd po wąskich schodach zeszły na parter i otworzywszy ostrożnie wąskie drzwi,

znalazły się na dworze. Przeszły szybko dziedziniec zarosły trawą i ogród, osłaniając światło i zataczając się przy podmuchach morskiego wiatru. Wkrótce dotarły do oficyny, zwykłego domu bez ornamentów, ukrytego za pięknymi skrzydłami Opactwa, i zobaczyły masywną bramę stojącą otworem, jakby na ich przyjęcie.

— Chloe spełniła moje rozkazy — powiedziała Katarzyna, gdy znalazły się za osłoną murów. — Jeśli cała służba śpi, możemy być pewne, że nikt nas nie zobaczy.

Musiały przejść przez pokój dla służby, co im się udało, gdyż siedział tu tylko jeden stary Murzyn śpiący kamiennym snem o dwa kroki od dzwonka. Panny zapuściły się teraz w labirynt długich, ciemnych korytarzy, w których Katarzyna zdawała się doskonale orientować, w przeciwieństwie do swych towarzyszek. Weszły jakimiś schodami w górę i prawie już u celu wędrówki zatrzymały się, by zbadać, czy nie napotkają jakiejś przeszkody.

— Teraz już naprawdę wszystko stracone — szepnęła Katarzyna stanąwszy pod osłoną ciemności u końca bardzo długiego korytarza. — Wartownik jest tu w samym budynku, zamiast, jak przypuszczałam, pod oknami. Co zrobimy?

— Wracajmy — powiedziała Cecylia równie cichym głosem. — Mam duży wpływ na stryja, choć zdaje się być czasami dla nas szorstki. Rano dołożą wszelkich starań, by ich uwolnił, wzięwszy od nich słowo, że zaniechają na przyszłość wszelkich wypraw tego rodzaju.

— Rano będzie za późno — odpowiedziała Katarzyna. — Widziałam tego demona, Krzysztofa, jak dosiadał konia pod pozorem, że jedzie na wielkie łowy, ale w oczach miał błysk piekielnej radości i domyślałam się, z jakim wyruszał zamiarem. Jeżeli świt zastanie Griffitha w tych murach, wyślą go stąd na szafot.

— Dość — rzekła Alicja Dunscombe z niezwykłym wzburzeniem. — Może jaka szczęśliwa okoliczność dopomoże nam zmylić czujność wartownika.

Ruszyły dalej, ale nie uszły i kilkunastu kroków, gdy usłyszały groźne: — Kto idzie?

— Nie czas na wahanie — szepnęła Katarzyna. — Jesteśmy damami z Opactwa — ozwała się głośno — i mamy gospodarskie sprawy do załatwienia. Dziwno nam, że spotykamy zbrojnych ludzi w naszym własnym domu.

Żołnierz sprezentował broń z respektem i odpowiedział:

— Mam rozkaz strzec tych drzwi, wielmożne panie. Siedzą za nimi więźniowie.

— Więźniowie? — zawołała Katarzyna z udanym zdziwieniem. — Czy kapitan Borroughcliffe robi z Opactwa Św. Ruty więzienie? Cóż przeskrobali ci ludzie?

— Nie wiem, wielmożna pani, ale wyglądają na marynarzy zbiegłych z królewskiej floty.

— To naprawdę dziwne! A dlaczego nie odesłano ich do więzienia w miasteczku?

— Musimy to zbadać — rzekła Cecylia zrzucając kaptur mantyli. — Jako pani tego domu mam prawo wiedzieć, kto się w nim znajduje. Proszę was, otwórzcie drzwi, gdyż widzę, że macie klucze u pasa.

Żołnierz zawahał się. Był onieśmielony obecnością i urodą panien, lecz mimo to przemówił w nim głos obowiązku. Na szczęście przyszło mu na myśl, jak pogodzić obowiązek z życzeniem damy. Wręczając jej klucze rzekł:

— Proszę, wielmożna pani. Mam rozkaz trzymać ich pod kluczem, nie zaś nikogo nie wpuszczać. Rozmówiwszy się, raczcie zwrócić mi klucze, dopóki bowiem nie będą z powrotem dobrze zamknięci, nie mogę ani na chwilę spuszczać drzwi z oka.

Cecylia obiecała zwrócić klucze i drżącą ręką otwierała już drzwi, kiedy Alicja Dunscombe zatrzymała ją, zwracając się do żołnierza.

— Mówicie, że jest ich trzech? Czy to starzy ludzie?

— Nie, wielmożna pani, wszyscy trzej w pełni sił, ludzie zdrowi i silni, którzy lepiej wyszliby służąc królowi niżli dezercerując z floty,

— Czy z wyglądu sądząc są to ludzie w jednym wieku? Mam krewniaka, młodego chłopca, który popełnił rozmaite głupstwa, a między innymi zaciągnął się, jak słyszę, do marynarki wojennej.

— Nie ma wśród nich chłopca. W najdalszej izbie na lewo siedzi rosły, trzydziestoletni mężczyzna o postawie i ruchach żołnierza, który, jak kapitan przypuszcza, nosił już muszkiet. Na tego mam dawać szczególne baczenie. W następnej izbie siedzi piękny młodzieniec, którego żal się robi człowiekowi, gdy pomyśleć o jego losie, jeśli naprawdę zdezerterował. Tutaj zaś siedzi najniższy z nich i najspokojniejszy, pasujący bardziej na pastora niż na marynarza lub żołnierza, taki łagodny jest w obejściu.

Alicja podniosła rękę do oczu, lecz zaraz podjęła opanowanym głosem:

— Łagodnością więcej da się wskórać z nieszczęśliwymi niż strachem. Macie tu gwineę i usuńcie się na sam koniec korytarza, skąd będziecie mogli strzec ich równie dobrze, my zaś wejdziemy i spróbujemy dowiedzieć się od nich, kim są naprawdę.

Żołnierz przyjął monetę, rzucił okiem na prawo i lewo, jakby niezdecydowany, co czynić, wreszcie zastosował się do życzenia dam i usunął ku schodom, gdyż nie ulegało wątpliwości, że tędy w razie czego więźniowie będą musieli uciekać. Kiedy znalazł się poza zasięgiem ich głosu, Alicja Dunscombe zwróciła rozgorączkowaną twarz w stronę towarzyszek i powiedziała:

— Nie chcę przed wami ukrywać, że sama spodziewam się zobaczyć człowieka, którego głos musiałam słyszeć dziś wieczór w rzeczywistości, nie zaś w wyobraźni, jak próbowałam z początku sobie wmówić. Wiele powodów skłania mnie do zmiany sądu, a najważniejszym z nich jest to, że walczy on po stronie zbuntowanych Amerykanów w tej niezgodnej z naturą wojnie. Panno Plowden, proszę mi darować i pamiętać, iż wyspa ta jest moją ojczyzną. Wybrałam się z wami nie przez

słabość ani płochy, panno Howard, ale po to, aby nie dopuścić do rozlewu krwi. — Urwała, gdyż głos jej się załamał. — Nikt jednak nie może być świadkiem naszej rozmowy prócz Boga.

— A więc niech pani idzie — odparła Katarzyna ciesząc się w głębi duszy z jej zdecydowania. — My przez ten czas przekonamy się, kim są dwaj pozostali.

Alicja Dunscombe przekręciła klucz w zamku i cicho otwierając drzwi poprosiła panny, by zapukały, kiedy trzeba będzie wracać. W następnej chwili zniknęła w pokoju.

Cecylia podeszła z kuzynką do następnych drzwi, otworzyła je w milczeniu i weszła ostrożnie.

Pułkownik Howard, jak Katarzyna zdołała się przekonać, kazał dać więźniom tylko koce w przekonaniu, że ludziom tym, nawykłym niemal od dziecka do spania na gołych deskach, powinno to wystarczyć.

Panny zastały tedy młodego marynarza zawiniętego we włochaty koc i rozciągniętego na drewnianej podłodze. Był pogrążony w głębokim śnie. Weszły i stanęły przy nim tak cicho, że się nie obudził. Głowę miał wspartą na kocu, jedną ręką osłaniał twarz od zetknięcia z szorstką powierzchnią drewna, a drugą, zasuniętą w zanadrze, trzymał na rękojeści sztyletu. Spał mocno, lecz niespokojnie. Oddychał ciężko i szybko, a od czasu do czasu bełkotał przez sen. Nagle w zachowaniu Cecylii Howard zaszła radykalna zmiana. Dotąd dawała się prowadzić kuzynce, która dzięki swej przedsiębiorczości i energii bardziej pasowała na przewodniczkę, teraz jednak Cecylia wysunęła się naprzód i wyciągnęła lampę tak, by światło padło na twarz śpiącego. Schylona przyjrzała mu się z uwagą i niepokojem.

— Nie pomyliłam się? — szepnęła Katarzyna.

— Oby Bóg miłosierny zlitował się nad nim — odparła Cecylia z mimowolnym drżeniem, które opanowało ją, gdy poznała Griffitha. — Tak, to on... szalony! Ale czas nagli. Musimy go obudzić i pomóc mu w ucieczce za wszelką cenę.

— A więc nie trać czasu, obudź go.

— Griffith! Edwardzie Griffith! — zawołała półgłosem Cecylia. — Griffith, obudź się!

— Twoje wołanie jest daremne, gdyż oni śpiąją wśród burz i łoskotu, ale słyszałam, że budzą się przy najlżejszym dotknięciu.

— Griffith! — powiedziała Cecylia kładąc białą rączką na jego dłoni.

Porwał się na równe nogi jednym susem, a ledwie na nich stanął, sztylet błysnął mu w garści, w drugiej zaś ścisnął gotowy do strzału pistolet.

— Precz! — krzyknął. — Żywym mnie nie weźmiecie! Przestraszona dzikim wyrazem jego twarzy i ponurym ogniem w oczach, którymi toczył obłędnie, Cecylia cofnęła się zrzucając z ramion mantylę, wciąż jednak patrząc na wzburzonego młodzieńca wzrokiem pełnym ufności, który nie pasował do

zależniowej postawy.

— Edwardzie, to ja, Cecylia Howard. Przyszłam cię ocalić. Poznałyśmy cię mimo przebrania.

Pistolet i sztylet wypadły z rąk młodego człowieka i poleciały na koc, a twarz jego rozjaśniła się i zapłonęła żywym rumieńcem zadowolenia.

— Fortuna nareszcie na mnie łaskawa! — zawołał. — To ładnie z twojej strony, Cecyljo. Ani na to nie zasługuję, ani się tego spodziewałem. Ale nie jesteś sama.

— To moja kuzynka Katarzyna. Jej bystre oczy cię poznały i zgodziła się mi towarzyszyć, by cię skłonić, nie, byśmy mogły pomóc ci w ucieczce. To szaleństwo z twojej strony, tak się narażać.

— Czyż wszystko byłoby na darmo? Panno Plowden, panią proszę o pomoc i wyjaśnienie wszystkiego.

Katarzyna przyjęła te słowa z niezadowoleniem, ale po krótkim wahaniu odparła:

— Jestem na pańskie rozkazy, panie Griffith. Widzę, że uczony kapitan Barnstable nie tylko odcyfrował moje bazgroty, ale dał je każdemu do przeczytania.

— Krzywdzicie nas obu — powiedział Griffith. — Nie zdradził nikogo, jeśli pokazał mi plan, w którym -miałem odegrać główną rolę.

— Nie zbywa panom na argumentach gotowych na każde zawołanie niczym wasi marynarze — odpowiedziała panna. — Ale czemuż to bohater z „Ariela” wysyła zastępcę miast samemu spełnić obowiązek ciężący głównie na nim? Czy woli, aby kto inny wyciągał za niego kasztany z ognia?

— Niech Bóg uchowa, abyś pani choć przez chwilę tak złego była o nim mniemania! Zawdzięczamy pani wiele, panno Plowden, ale mamy i inne obowiązki. Wie pani, że służymy wspólnej naszej ojczyźnie i mamy nad sobą dowódcę, którego wola jest dla nas prawem.

— Powracaj tedy, jeśli możesz, na służbę broczącej krwią ojczyźnie — rzekła Cecylia — a kiedy wspólnymi siłami uda się wam wygnać nieprzyjaciół, miejmy nadzieję, będziemy mogły powrócić do kraju z Katarzyną.

— Czy pomyślałaś, pani, jak długo miecz potężnego króla angielskiego będzie nad nami wisiał? Zwyciężymy! Naród walczący o swoje najistotniejsze prawa musi zwyciężyć, ale nie jest to kwestia dni, gdyż ludziom słabym, rozproszonym, zubożałym, jakimi byliśmy, niełatwo stawić czoło potędze takiej jak Wielka Brytania. Nie bierzesz pod uwagę, że propozycja twoja jest równoznaczna z odebraniem mi wszystkich nadziei.

— Musimy zdać się na łaskę Boga — odrzekła Cecylia. — Jeśli wola Jego jest, by Ameryka uzyskała niepodległość dopiero po długotrwałych cierpieniach, mogę wspierać ją modłami. Twoje ramię i doświadczenie większe oddadzą usługi sprawie wyzwolenia, nie trać więc sił na nieziszczalne sny o szczęściu osobistym, ale skorzystaj z okazji, wracaj na okręt, jeśli dotąd nic mu nie grozi, i staraj się zapomnieć o tej szalonej wyprawie, a do czasu i o mnie, która byłam jej

przyczyną.

— Takiego przyjęcia się nie spodziewałem — odparł Griffith. — bo choć wypadek, nie zaś z góry powzięty zamiar, sprowadził mnie tu dzisiejszej nocy, miałem nadzieję, że na fregatę wrócę z tobą, Cecyljo.

— Rozczarowanie nie z mojej spotyka cię winy, bo nie powiedziałam słowa upoważniającego ciebie lub kogoś innego do mniemania, że zgodzę się opuścić stryja.

— Nie będzie to chyba zarozumiałością z mej strony, jeśli przypomnę panie Howard, że był czas, kiedy składała swe losy i całą przyszłość w moje ręce.

Cecylia spłonęła rumieńcem.

— Nadal mam ten zamiar, ale dobrze czynisz przypominając mi o mej dawniejszej nieostrożności, gdyż myśl o takiej nierozwadze utwierdza mnie tylko w obecnym postanowieniu.

— Cecyljo! jeśli zamierzałem uczynić ci wyrzut lub chełpić się twą obietnicą, zgadzam się, byś wyгнаła mnie z twego serca i myśli — nie dał jej skończyć Griffith.

— Wybaczam ci jedno i drugie łatwiej niż sobie mą słabość i szaleństwo, ale od czasu naszego ostatniego spotkania zaszły okoliczności, które nie dają mi postąpić tak popędliwie i nierozważnie po raz drugi. Po pierwsze o rok jestem dziś starsza latami, o wiek doświadczeniem. Po drugie, co może jest ważniejsze, mój stryj był wówczas między przyjaciółmi swej młodości i rodakami, teraz zaś jest wśród obcych. Pociesza się wprawdzie myślą, że zamieszkuje dawną siedzibę swych przodków, niemniej czuje się w niej obco, a czułby się nieszczęśliwy, gdyby nie przywiązanie tej., którą kochał i od dzieciństwa otaczał opieką.

— A jednak sprzeciwia się on pragnieniom twego serca, w co muszę wierzyć, jeśli nie mam postradać zmysłów. W poglądach na sprawy publiczne także się różnicie. Cóż za szczęście mogą znajdować w swym towarzystwie dwie osoby, których nie łączy żadne wspólne uczucie?

— Łączy nas najważniejsze — odpowiedziała panna Howard. — Nasza miłość. On jest moim kochanym, tkliwym i, o ile nie znajduje się pod złym wpływem, wyrozumiałym stryjem i opiekunem, ja zaś jestem córką jego brata. Tych więzów nie da się porwać tak łatwo, leczenie chcąc, byś postradał zmysły, nie twierdzą, że mylisz się co do uczuć, które żywię dla ciebie. Naprawdę, Edwardzie, można czuć się związaną podwójnie i tak postępować, by jeden obowiązek pogodzić z drugim. Nigdy, nigdy nie zgodzę się opuścić stryja w tym obcym mu kraju, którego władzę uznaje z takim zaślepieniem. Nie wiesz, jak Anglia przyjmuje swych synów z kolonii: nieufnie i wyniośle niczym zazdrosna macocha, skąpa dla nie swoich dzieci.

— Znałem ją w czasie pokoju i znam w czasie wojny — rzekł młody marynarz z dumą — i mogę dodać, że jest wyniosła w stosunkach z przyjaciółmi, a zawzięta w walce z wrogami. Teraz ma do czynienia z ludźmi, którzy nie żądają od niej nic, tylko otwartych mórz i sprawiedliwego traktowania. Barnstable zmartwi się usłyszawszy o tym postanowieniu.

— Nie — rzekła Cecylia z uśmiechem. — Nie mogę mówić w imieniu osób, które nie mają stryjów, a na każdym kroku okazują nienawiść do tego kraju, jego mieszkańców i jego praw, których wcale nie znają.

— Czy panną Howard znudziła moja obecność pod dachem Opactwa Św. Ruty? — spytała Katarzyna. — Ale cicho! Czy nie słyszać kroków na korytarzu?

Słuchali z zapartym tchem i wkrótce dokładnie rozróżnili kroki kilku ludzi. Głosy dochodziły wyraźnie i zanim zdążyli naradzić się, co czynić dalej, zabrzmiały pod drzwiami izdebki.

— Ma on wojskowy wygląd, Peters, i zdaje się, że będziemy mieli z niego pożytek. Chodź, otwieraj drzwi.

— To nie jego izba, wasza miłość — zawołał wystraszony żołnierz. — On siedzi w ostatniej izbie w tym korytarzu.

— Skąd wiesz, łajdaku? Daj klucz i otwórz mi drzwi. Mniejsza, który tam siedzi. Kto wie, może uda mi się zaciągnąć wszystkich trzech.

Nastąpiła chwila okropnej niepewności. Wreszcie wartownik odpowiedział na rozkaz:

- Myślałem, że wasza miłość chce widzieć tego w czarnym krawacie i dlatego dwa klucze zostawiłem na końcu korytarza, ale...

— Ty łajdaku, wartownik powinien zawsze klucze mieć przy sobie, jak dozorca więzienny. Idź za mną i pokaż mi tego, który tak dobrze umie robić zwrot w prawo.

Uspokojona nieco Katarzyna powiedziała:

— To Borroughcliffe, tak pijany, że nie zauważył klucza, który zostawiłyśmy w drzwiach. Ale co zrobić? Mamy tylko chwilę do namysłu.

— Blisko już świt — powiedziała Cecylia szybko. — Pod pozorem dostarczenia wam żywności przyślę kobietę.

— Wszelkie ryzyko z waszej strony przez wzgląd na mnie jest zbyteczne — przerwał Griffith. — Nie wierzę, by nas zatrzymali, a jeśli nawet tak się stanie, Barnstable jest w pobliżu z dostateczną siłą, by rozegnać tych rekrutów na cztery wiatry.

— Ach! to doprowadzi do rozlewu krwi — wybuchnęła Cecylia.

— Cicho! — zawołała Katarzyna. — Nadchodzą!

Ktoś przystanął u drzwi. Otworzyły się cicho i wartownik zajrzał do środka.

— Kapitan Borroughcliffe jest w pobliżu i za pięćdziesiąt gwinei nie dałbym wam zostać tu minuty dłużej.

— Jeszcze tylko słówko — powiedziała Cecylia.

— Ani sylaby, wielmożna pani — odpowiedział żołnierz. — Pani, która była w sąsiednim pokoju, czeka. Miejcie litość nad biednym człowiekiem i uciekajcie czym prędzej.

Panny usłuchały, a opuszczając izbę Cecylia powiedziała:

— Przyślę z rana żywność, młody człowieku, i wskazówki, jak macie się zachować przez wzgląd na własne bezpieczeństwo.

W korytarzu zastały Alicję Dunscombe z twarzą okrytą kapturem mantyli i, sądząc po ciężkich westchnieniach, bardzo wzruszoną.

Zważywszy jednak na ciekawość czytelnika, co mogło tak wstrząsnąć tą łagodną istotą, cofniemy się wstecz i zdamy sprawę z rozmowy między nią a drugim więźniem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jak lew zbudzony w legowiska,

Gdy widzi psów i łowców rój

I rusza naprzód z pianą w pysku —

Podobnie Douglas runął w bój.

Percy

Alicja Dunscombe nie zastała więźnia pogrążonego we śnie, jak Griffith. Siedział on na starym krześle tyłem do drzwi, z wzrokiem utkwionym w małe okienko, za którym majaczył w ciemnościach posępny, chłostany wichrem krajobraz. Weszła na pozór nie zauważona. Dopiero gdy światło lampki padło na niego, marynarz ocknął się z zadumy i powstał na przywitanie gościa. Odezwał się pierwszy:

— Spodziewałem się tych odwiedzin od chwili, gdy poznałaś mój głos, Alicjo. Byłem głęboko przekonany, że Alicja Dunscombe mnie nie wyda.

Niewiasta, choć przewidywała, że obawy jej znajdą potwierdzenie, nie mogła zdobyć się na natychmiastową odpowiedź, ale osunęła się na krzesło, z którego wstał. Milczała dłuższą chwilę, jakby zbierając siły.

— A więc nie było to tajemne ostrzeżenie, zwodnicze omamienie słuchu, ale okropna rzeczywistość — ozwała się wreszcie. — Dlaczego naigrawasz się tak z praw rodzinnego kraju? Na jakąż to znów wyprawę pchnął cię twój niepohamowany charakter?

— Co za okrutne słowa, Alicjo Dunscombe! — odpowiedział mężczyzna zimno i z goryczą. — Pamiętam czasy, kiedy po krótszej rozłące milej byłem witany.

— Nie przeczę. Nie mogę, choćbym chciała, ukryć mej słabości przed samą sobą ani przed tobą, ani nawet przed światem. Ale jeżeli żywiłam kiedyś dla ciebie szacunek, jeżeli dawałam ci wiarę, jeśli to szalone zaufanie kazało zapomnieć mi o najświętszych obowiązkach, Bóg dostatecznie pokarał mnie przez twoje złe czyny.

— Nie zatruwajmy tego spotkania gorzkimi a bolesnymi wyrzutami — rzekł mężczyzna — gdyż mamy sobie dużo do powiedzenia, nim przejdziemy do celu twych odwiedzin. Znam cię dobrze, Alicjo, i wiem, że widząc mnie w niebezpieczeństwie gotowa jesteś nawet na ryzyko, by mnie ratować. A matka twoja żyje?

— Nie. Odeszła za moim ojcem — rzekła Alicja kryjąc bladą twarz w dłoniach. — Pozostawili mnie zupełnie samą, gdyż ten, który miał mi być wszystkim, zawiódł pokładane w nim nadzieje i stał się niegodny mego zaufania.

Nieznajomego ogarnęło dziwne podniecenie. Mierząc izbę nerwowym krokiem, objął spojrzeniem córkę pastora i po chwili odpowiedział:

— Na moje usprawiedliwienie dałoby się powiedzieć wiele rzeczy, o których nie wiesz. Opuściłem kraj nie znajdując w nim nic prócz niesprawiedliwości i ucisku, nie mogłem zaś proponować ci, byś została żoną bezimiennego, biednego tułacza. A teraz mogę dowieść szczerości tych intencji. Rzekłaś, że jesteś sama. Możesz nie być nią już nigdy i przekonać się, czy nie potrafię z czasem zastąpić ci obojga rodziców.

Podobna propozycja, choćby spóźniona, brzmi miłe dla ucha kobiety, toteż Alicja mówiła odtąd łagodniejszym tonem, choć słowa jej były równie surowe.

— Nie zachowujesz się jak człowiek, którego życie wisi na włosku. Dokąd mnie zabierzesz? Czy do Tower?

— Nie sądź, abym nierozważnie wystawiał się na ryzyko — odparł obcy z zimną krwią. — Mam w pobliżu dzielnych towarzyszy czekających tylko na mój sygnał, by rozbić w puch mizerny garnizon tego oficera.

— A więc przypuszczenia pułkownika Howarda były słuszne! Teraz wiem, w jaki sposób nieprzyjacielskie okręty przedostały się przez mielizny! Byłeś ich pilotem!

— Byłem!

— Co! Umiejętności nabytej w zaraniu lat użyłeś, by nawiedzić ogniem i mieczem domy tych, których znałeś i szanowałeś w młodości. Och, John, John! Czy obraz tej, którą jak sądziłam, kochałeś, gdy była piękna i młoda, zatarł się do tego stopnia w twojej pamięci, że nie budzi w tobie współczucia los tych, wśród których się urodziła i którzy tworzą jej mały światek?

— Ani włos z głowy im nie spadnie, ani jedna strzecha nie stanie w płomieniach; bezsenna noc nie grozi nawet najpodlejszemu z nich, a wszystko przez wzgląd na ciebie, Alicjo! Anglia rozpoczęła tę wojnę, Anglia ze zbroczonymi krwią rękoma, ale wszystko niech idzie w niepamięć teraz, kiedy mamy sposobność odwetu. Nie przybyłem tu w tym celu.

— Cóż więc wciągnęło cię w pułapkę, z której nawet ta siła zbrojna, którą się chełpisz, nie mogłaby cię wydobyć, gdybym bowiem głośno wypowiedziała twe imię tu, w tych ponurych korytarzach pogrążonego we śnie domu, mój okrzyk przeleciałby ponad krajem i jeszcze przed świtem cały naród stanąłby pod bronią, by ukarać twe zuchwalstwo.

— Moje imię padło już nieraz i w różnych okolicznościach — odparł pilot wzgardliwie — a cały naród cofnął się przed nim. Głupcy i tchórze uciekali przed człowiekiem, którego skrzywdzili. Niosłem wysoko sztandar nowej rzeczypospolitej na oczach trzech królestw, a kunszt wojenny i przeważające siły nie mogły mi go wydrzeć. Tak, Alicjo, wśród wschodnich wzgórz tego kraju echo wciąż jeszcze powtarza huk moich armat i wątpię, czy tak bardzo by się kwapili wasi dzierżawcy słysząc, że tu jestem.

— Nie chęł się zbytnio chwilowym triumfem nieczystych sił, do którego Bóg dopuścił, gdyż musi nastąpić dzień surowej pomsty i kary. Nie pocieszaj się zwodniczą nadzieją, że imię twoje, choć strasznym uczyniłeś je dla cnotliwych, wystarczy, by zapomnieli o powinnościach względem ojczyzny i rodziny. Nie, nawet w tej chwili, słuchając ciebie, nie zapominam, że obowiązkiem moim jest zdradzić twą obecność w ojczyźnie, której ciężysz jak kamień.

Pilot odwrócił się szybko i rzuciwszy na nią przenikliwe spojrzenie, tonem człowieka przekonanego o swym bezpieczeństwie odpowiedział:

— Czyż byłoby to godne Alicji Dunscombe? Czyż tak postąpiłaby słodka, szlachetna dziewczyna, którą znałem w młodości? Ale, powtarzam, groźba ta nie przestraszyłaby mnie, nawet gdybyś była zdolna ją wykonać. Powiedziałem, że wystarczy mi dać sygnał, a ściagną tu siły, które rozpędzą tych psów na cztery strony świata.

— Czy dobrze obliczyłeś swe siły, John? — rzekła Alicja zdradzając mimo woli zainteresowanie bezpieczeństwem pilota. — Czy wziąłeś pod uwagę, że pan Dillon może przybyć o wschodzie słońca z oddziałem konnych? Nie jest bowiem w Opactwie tajemnicą, że wyruszył sprowadzić pomoc.

— Dillon? — zawołał pilot zaskoczony. — Któż to? I skąd wpadł na myśl powiększenia garnizonu?

— Nie, John, nie patrz na mnie tak podejrzliwie. Nie ja skłoniłam go do tego kroku; nie możesz chyba przypuścić, bym cię zdradziła! Niemniej wyruszył, a że noc ma się ku końcowi, korzystaj z godziny, która ci pozostaje, i uciekaj.

— Nie bój się o mnie, Alicjo — odpowiedział pilot z dumą, a jednocześnie blady uśmiech zaigrał w kącikach jego ust. — A jednak to mi się nie podoba. Jak go nazwałaś? Dillon? Czy to faworyt króla Jerzego?

— Jest tym, John, czym ty nie jesteś, lojalnym poddanym swego suwerena, a choć urodzony w koloniach, oparł się zwycięsko pokusie wiarołomstwa.

— Amerykanin! I przeciw wyzwoleniu człowieka! Na Boga, niech mi w drogę nie wchodzi. Biada mu, jeśli dosięgnie go moje ramię, bo na jego przykładzie pokażę światu, czym jest zdrada!

— A czy świat w tobie samym nie ma takiego przykładu? Czy w tejże chwili, oddychając ojczystym powietrzem, nie kryjesz pod osłoną mgieł spisku przeciw pokojowi i szczęściu tej wyspy?

Ponury ogień zapłonął w oczach pilota, gdy drżąc z gniewu odpowiedział:

— Śmiesz tę podłą zdradę, podyktowaną wąskim egoizmem, dążeniem do wyniesienia niewielkiej garści ludzi kosztem milionów, porównywać z szlachetnym zapałem, który każe człowiekowi walczyć w obronie świętej wolności? Mógłbym rzec, iż walczę w szeregach mych współobywateli, choć bowiem dzieli nas ocean, jesteśmy dziećmi jednej krwi, dziećmi jednych rodziców, cierpiącymi ucisk z tych samych rąk. Gardzę jednak takimi wyjaśnieniami. Urodzony na tej ziemi, uważam się za jej obywatela. Nie uznaję granic, którymi podzielili całą ziemię tyrani i ich najemnicy. Mam prawo i

ochotę walczyć z tyranią, żeby nie wiem pod jakim imieniem i pod jakim pretekstem usiłowała gnębić ludzkość.

— Och, John, John! To, co mówisz, może przypaść do gustu rebeliantom, ale w moich uszach brzmi jak bredzenie szaleńca.

Darmo silisz się zbudować system nowego rządu, a raczej nierządu, przeciwstawiając go wszystkiemu, co się działo na świecie i do czego świat będzie kiedyś zmierzał w spokoju i szczęściu. Cóż mogą twoje subtelne a fałszywe argumenty poradzić przeciw głosowi serca? Serce mówi nam, gdzie jest nasza ojczyzna, i uczy nas ją kochać.

— Mówisz jak słaba i zabobonna kobieta, Alicjo — odpowiedział pilot bardziej już opanowany. — Kobieta, która chciałaby skuć narody więzami podobnymi do rodzinnych.

— A czyż może być więź bardziej święta? — spytała Alicja. — Czyż więzy domowego ogniska nie zostały utwierdzone przez samego Stwórcę, a narody nie wyrosły z rodzin niby gałęzie z pnia, aż utworzyło się potężne drzewo rzucające cień na cały kraj? Stara i święta więź łączy człowieka z narodem i nie sposób ją rozerwać bez ściągnięcia na siebie hańby.

Pilot uśmiechnął się wzgardliwie i rozpiąwszy zniszczoną kurtę, wyciągnął z zanadru parę przedmiotów, które z dumą pokazał Alicji Dunscombe.

— Patrz, Alicjo! — rzekł. — Zwiesz to hańbą! Ten oto pergamin nosi pieczęć królewską i podpis Ludwika francuskiego! A ten krzyż, cały usiany klejnotami, to dar z tejże ręki. Nie daje się takich odznak ludziom zhańbionym. I czyż rozsądek pozwala nazywać szkockim piratem człowieka, który u książąt i szlachty ma poważanie.

— A czyż nie zasłużyłeś na to przezwisko, John, krwawymi czynami i mściwością? Mogłabym całować odznaki, które mi pokazujesz, choćby tysiąckrotnie mniej były wspaniałe, ale pochodziły z rąk twego prawowitego monarchy. Teraz widzę w nich tylko plamy na twym imieniu. Co zaś do twych protektorów, słyszałam p nich i mniemam, że królowa uczyniłaby lepiej, nie darząc uśmiechami zbuntowanych sług innych monarchów, choćby nawet ci monarchowie byli jej wrogami. Bóg tylko raczy wiedzieć, czy rebelia nie zacznie się szerzyć w jej kraju, a wówczas myśl, że sama zachęcała do buntu, będzie gorzka i bardzo niemiła.

— Szczęję się tym niemało, że oddane przeze mnie usługi zjednały mi łaskawe uznanie pięknej królowej Antoniny — odparł pilot z udaną pokorą, której przeczyła dumnie wyprostowana sylwetka. — Występujesz przeciw niej, a nie wiesz, kogo ganisz.

Cnoty jej i piękność większego dodają jej splendoru niżli urodzenie i majestat. Jest pierwszą wśród kobiet Europy: córka cesarza, żona najpotężniejszego króla i bożyszczę narodu. Jest pod — każdym względem bez zarzutu, a gdyby nawet na jaki zarzut i ziemską karę zasługiwała, Opatrzność postawiła ją poza zasięgiem ludzkiej niedoli.

— Ale nie jest obca ludzkim grzechom, John, a grzech zawsze pociąga za sobą karę. Ręka Opatrzności może jeszcze zaciążyć i na niej. Skoro taka napawa cię duma, że dozwolone ci było

ucałować brzeg jej sukni i przebywać w towarzystwie wystrojonych jak lalki dam jej dworu, powiedz, czy znalazła się wśród nich choć jedna, która powiedziałałaby ci prawdę w oczy albo czuła to, co mówi?

— Ani jedna, oczywiście, nie powitała mnie takimi wyrzutami, jakie dziś w nocy usłyszałem z ust Alicji Dunscombe po sześcioletniej rozłące — odparł pilot z wyrzutem.

— Prawdy, którą ci powiedziałam, John, powinienes wysłuchać, choć do tego nie przywykłeś. Pomyśl, że jeżeli z tymi gorzkimi słowy ważę się zwrócić do człowieka, którego imię straszne jest dla mieszkańców tych wybrzeży, dyktuje mi to wzgląd na zbawienie twej duszy.

— Alicjo! Alicjo! wyprowadzasz mnie z równowagi tymi przemowami! Czy jestem postrachem bezbronnych kobiet i dzieci? Co pozwala ci łączyć takie epitety z moim nazwiskiem? Czy dajesz, jak inni, wiarę kalumniom, które wasi władcy rozsiewają ze względów politycznych, by odrzec ze sławy swych przeciwników, a szczególnie tych przeciwników, którzy odnoszą zwycięstwa? Moje imię może być groźne dla oficerów floty królewskiej, ale nie pojmuję, w jaki sposób mogło stać się postrachem bezbronnych i spokojnych mieszkańców.

Alicja Dunscombe obrzuciła pilota ukradkowym, bojaźliwym spojrzeniem, bardziej wymownym niż słowa.

— Nie wiem — odrzekła — czy wszystko, co opowiadają o tobie, jest prawdą. Nieraz modliłam się z goryczą w sercu, byś w godzinę sądu ostatecznego nie odpowiadał i za dziesiątą część tego, o co cię oskarżają. Ale znam cię, John, znam od dawna i niech Bóg uchowa, abym w tej uroczystej chwili, kiedy cię widzę może ostatni raz w życiu, powodowała się raczej słabością niewiasty niżli obowiązkiem chrześcijanki. Przychodziło mi często na myśl, że ci, którzy powodowani nienawiścią lżą cię i wyzywają, nie znają cię wcale. Ale chociaż wydajesz się zazwyczaj spokojny, jak najspokojniejsze morze, Bóg obdarzył cię też gwałtownymi namiętnościami, które zbudzone przypominają tornado szalejące na morzach Południa. Nie potrafię przewidzieć, dokąd ten zły duch zaprowadzi człowieka, który przywiązaniu do ojczyzny przeciwstawił swe wymaginowane krzywdy i ma możność wymierzać zemstę.

Pilot słuchał z uwagą, przenikliwym wzrokiem usiłując, zda się, dotrzeć do źródeł tych na wpół wyrażonych myśli. Mimo to zachował panowanie nad sobą i odpowiedział ze smutkiem raczej niż z gniewem:

— Jeśli cokolwiek byłoby w stanie nawrócić mnie na twoją wiarę, Alicjo, skłoniłoby mnie przeświadczenie, którego nabrałem w rozmowie z tobą, że ty nawet dałaś wiarę kalumniom tchórzliwych wrogów. Cóż warta sława, skoro w ten sposób można oczernić człowieka w oczach jego najlepszych przyjaciół? Ale dość tych dziecinnych rozważań; są niegodne mnie, mej szarży i świętej sprawy, której służę!!

— Nie, John, nie odrzucaj ich! — rzekła z przejęciem Alicja, kładąc bezwiednie rękę na ramieniu pilota. — Mogą być one niczym rosa na spalonej trawie i ożywić uczucia młodości, zmiękczyć serce stwardniałe skutkiem nadmiernej pobłażliwości raczej niżli niskich instynktów.

— Alicjo Dunscombe — rzekł pilot podchodząc do niej z powagą. — Wiele nauczyłem się tej nocy, choć nie przybyłem w celu zdobycia tego rodzaju wiadomości. Dowiedziałem się od ciebie, jak potężne jest oszczerstwo i na jak słabej nici trzyma się czyjaś dobra sława. Dwadzieścia razy spotkałem najmitów twego księcia w otwartej bitwie, a walczyłem zawsze po męsku pod sztandarem, który pierwszy własnoręcznie podniosłem i którego, Bogu niech będą dzięki, nigdy na cal nie schyliłem. Przez cały ten czas nie splamiłem się tchórzostwem, niczyją krzywdą. I oto jaka spotkała mnie nagroda! Język nędznego oszczercy jest niebezpieczniejszy od miecza i zadaje trudniej gojącą się ranę.

— Nigdy nie miałeś większej racji, John, i obyś częściej dla własnego dobra na ten temat rozmawiał. Więc ryzykowałeś życie w dwudziestu bitwach i zauważ tylko, jak niebo nie sprzyja rebelii! Słyszałam, że świat nigdy nie był świadkiem bardziej zawziętej i krwawej walki niżli ta, która zyskała ci rozgłos jak wyspa długa i szeroka.

— Imię moje dotrze wszędzie, gdziekolwiek o bitwach morskich będzie mowa! — przerwał pilot z zapałem, którym znowu głos jego zadźwięczał.

— A jednak cała ta sława nie może zapobiec krzywdzącym opowieściom, a odniesione zwycięstwo nie zyskało ci nawet takiej nagrody, jaką uzyskał zwyciężony. Czy wiesz, że miłościwy pan, zważywszy na świętość sprawy, za którą walczył twój przeciwnik, raczył go odznaczyć.

— Tak! Dał mu indygenat! — zawołał pilot ze wzgardliwym śmiechem. — Niech mu powierzy nowy okręt, będę miał okazję zmierzyć się z nim po raz drugi, a obiecuję mu wtedy tytuł baroneta, jeśli ponowna klęska na to zasługuje.

— Nie bądź tak pewny siebie ani sił, które cię mogą opuścić, kiedy najbardziej będziesz ich potrzebował, a najmniej obawiał się odmiany losu — przestrzegła Alicja. — W bitwie nie zawsze zwycięża silniejszy, a na wyścigach najszybszy.

— Twoje słowa, moja dobra Alicjo, są dwuznaczne. Czyż w tej bitwie zwyciężył silniejszy? Przyznać tylko muszę, że nieraz już uchodzili mi tchórze, bo byli szybcy i zawczasu brali nogi za pas. Nie znasz, Alicjo, i tysiącznej części tych tortur, które mi zadali niegodziwcy wysokiego rodu, zazdrośni o wawrzyny, których sami zdobyć nie potrafili, gotowi umniejszyć moją sławę, po którą nie śmieli sięgnąć. Czyż nie zostałem rzucony na ocean w ten sam sposób, w jaki wysłała się statek niezdatny do żeglugi, powierzając mu niebezpieczne zadanie, po wykonaniu którego powinien zatonać? Iluż to obłudników radowało się, gdy wypływałem, że skończę na szubienicy lub znajdę grób na dnie morza, ale potrafiłem sprawić im zawód.

Oczy jego już nie świeciły równym, przenikliwym blaskiem, ale skrzyły się wielką dumą, kiedy podniesionym głosem mówił dalej:

— Tak, sprawiłem im okrutny zawód! Triumf mój nad pokonanym nieprzyjacielem był niczym wobec uniesienia, które stawia mnie tak wysoko ponad tych tchórzliwych hipokrytów. Prosiłem, zaklinałem Francuzów, by dali mi najgorszy choćby okręt wojenny, byleby pływał. Powoływałem się na względy natury politycznej i natury faktycznej, lecz zazdrość i zawiść udaremniły moje starania i odebrały połowę należnej sławy. Nazywają mnie piratem! Przewisko to należy mi się raczej przez

wzgląd na skąpe wyekwipowanie przez przyjaciół niżli na mój stosunek do nieprzyjaciół.

— I podobne wspomnienia nie budzą w tobie, John, pragnienia lojalności względem monarchy i ojczyzny? — spytała Alicja cichym głosem.

— Precz z podobnymi niedorzecznościami! — przerwał pilot, jakby nagle uprzytomnił sobie, że daje dowód słabości. — Zawsze tak bywa, gdy o człowieku świadczą jego dzieła, ale powróćmy do celu twych odwiedzin. Mam siły dostateczne, by oswobodzić się wraz z towarzyszami z tego marnego zamknięcia, a jednak nie chciałbym uciec się do gwałtu przez wzgląd na ciebie. Może masz inny sposób?

— Rano wszyscy trzej zaprowadzeni zostaniecie do pokoju, gdzie po raz pierwszy się widzieliśmy. Panna Howard zażąda tego pod pozorem, że lituje się nad wami i chce was o wszystko wypytać. Prośba jej zostanie uwzględniona. Podczas gdy wartownik będzie stał u drzwi, pokażemy wam drogę przez prywatne komnaty tego skrzydła i okno, z którego łatwo można wyskoczyć. W pobliżu ciągną się zarośla, pod osłoną których przekradniecie się dalej.

— A jeśli ten Dillon, o którym mówiłaś, podejrzewa prawdę, odpowiecie przed prawem za pomoc w naszej ucieczce?

— Myślę, że nawet mu się nie śni, kto jest między zaaresztowanymi — odpowiedziała Alicja z zadumą — choć mógł poznać jednego z twoich towarzyszy. Ale powoduje nim zranione uczucie, nie wzgląd na sprawy publiczne.

— Podejrzewam coś w tym rodzaju — odparł pilot z uśmiechem. Na tej pokrytej nieokiełznanymi namiętnościami twarzy zaświecił on jak ostatni wybuch płomienia na pogorzeliisku, który ukazuje oczom zgliszcza. — Ten młody Griffith lekkomyślnie sprowadził mnie z wytyczonej drogi, słuszna rzecz tedy, by dama jego serca ponosiła pewne ryzyko. Ale twoje położenie, Alicjo, jest inne. Jesteś tu tylko gościem i nie powinnaś być zamieszana w tę nieszczęsną historię. Jeśliby się wydało, kim jestem, ten renegat amerykański, pułkownik Howard, potrzebowałby użyć wszystkich swych wpływów, zdobytych w służbie tyrańca, by uchronić cię przed gniewem ministrów.

— Boję się tak delikatną sprawę oddać całkowicie w niedoświadczone ręce mojej młodej przyjaciółki — odpowiedziała Alicja potrząsając głową.

— Weź pod uwagę, że ona może się powołać na swe uczucia względem Griffitha, ale czyż ty odważysz się wyznać przed ludźmi, że żywisz jeszcze sympatię dla człowieka, któremu tyle masz do zarzucenia?

Lekki rumieniec zabarwił bladą twarz Alicji Dunscombe, gdy ledwie dosłyszalnym głosem odrzekła:

— Nie ma już teraz powodu, by mieli wiedzieć o mojej słabości, choćby nawet kiedyś istniała. — Rumieniec ustąpił nagle na jej licach miejsca śmiertelnej bladości, a oczy zaiskrzyły się niezwykłym ogniem, gdy dodała: — Mogą tylko zabrać mi życie, John, a jestem gotowa oddać je za ciebie.

— Alicjo ! — zawołał pilot z rozrzewnieniem. — Moja dobra, tkliwa Alicjo!

W tej krytycznej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi. Nie czekając na odpowiedź wartownik wszedł do pokoju i z pośpiechem wezwał damę do odejścia. Zarówno Alicja, jak i pilot, którzy chcieli omówić szczegóły ucieczki, zaprotestowali, ale żołnierz, bojąc się kary, obstawał przy swoim. Lęk przed wydaniem skłonił wreszcie Alicję do opuszczenia izby. U drzwi pilot ujął jej rękę i zdołał szepnąć:

— Alicjo, spotkamy się jeszcze, nim pożegnam tę wyspę na zawsze! .

— Spotkamy się rano, John — odpowiedziała w ten sam sposób. — U panny Howard.

Puścił jej rękę i wysunęła się z pokoju, a zniecierpliwiony wartownik zamknął drzwi i bez słowa przekreślił klucz w zamku. Pilot łowił uchem odgłos lekkich kobiecych kroków, kiedy zaś ucichły, zaczął się przechadzać nerwowo z kąta w kąt, patrząc od czasu do czasu przez okno na pędzące po niebie chmury i zataczające się w porywach wichru rozłożyste konary dębów. Po paru minutach burza szalejąca w jego duszy ucichła i wrócił zacięty spokój i zimna krew, którym zawdzięczał swe zwycięstwo. Siadł na opuszczonym przez Alicję krześle i pogрузzył się w rozważaniu zuchwałych projektów, co stanowiło zwykłe zajęcie jego czynnego umysłu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sir Andrzej:

Nie mam po temu znakomitej racji,

Ale mam racji dość.

Szekspir

Kiedy wartownik wpuścił Borroughcliffe'a do wskazanej przez niego izby, na twarzy oficera malowała się błoga bezmyślność pijaka, a obok wyraz szczególnej przebiegłości, co zupełnie przypominało marcową pogodę, to pochmurną, to słoneczną i uśmiechniętą. Ze sposobu, w jaki kapitan wkroczył do celi, i z jego poważnej miny można było od razu wywnioskować, że wizyta jego nie jest przypadkowa. Wartownika odprawił gestem pełnym wyniosłości i zamknął drzwi chwiejąc się mocno na nogach. W stanie kompletnego zamroczenia słyszał wciąż jakiś hałas na korytarzu i spoglądał w tym kierunku z wyrazem przenikliwości, którym wiele ludzi maskuje jej brak. Upewniwszy się, że nikt mu nie przeszkodzi, kapitan zrobił w tył zwrot i stanął przed więźniem. Griffith spał, choć snem niespokojnym i czujnym, pilot natomiast oczekiwał wizyty z całym spokojem. Towarzysz ich za to, który nie mógł być nikim innym tylko kapitanem Manuałem, spędzał czas zgoła inaczej. Mimo że noc była zimna i burzliwa, zrzucił kurtę i znaczną część przebrania. Siedząc na kocu, jedną ręką ocierał rześisty pot z czoła, a drugą machinalnie chwyta! się za gardło. Wytrzeszczył oczy na gościa, choć ani powstał, ani się skłonił, tylko energicznie zaczął przykładac chustkę do zroszonego czoła i mocniej ścisnąć gardło, jak gdyby chciał się przekonać o jego wytrzymałości.

— Witaj, kamracie! — rzekł Borroughcliffe, zatoczył się i bez ceremonii usiadł przy więźniu. — Witaj mi, kamracie! Czy królestwo nasze jest w niebezpieczeństwie, że wojskowi podróżują po wyspie w mundurze regimentu ignotus, ignoti, torum? Do licha, jakżesz zapomniałem łaciny! Rzeknij, dzielny chłopie, czyś jednym z tych torum?

Manual odetchnął chrapliwie, czego należało oczekiwać po tak gwałtownym masażu gardła, ale zwyciężywszy obawę odpowiedział z żywością większą, niż nakazywała ostrożność, a okoliczności wymagały:

— Mów pan, czego ode mnie chcesz, i traktuj mnie, jak ci się podoba, ale nie zniosę, by ktokolwiek nazywał mnie Tory.

— Nie jesteś torum? Chyba więc ministerstwo wojny przepisało nowy uniform! Regiment wasz otrzymał ten mundur za zdobycie jakiejś baterii brzegowej albo może pełnił służbę w piechocie morskiej. Zgadłem?

— Temu nie będę przeczył — odparł Manual z dumą — służyłem w piechocie morskiej dwa lata, choć przeniesiony zostałem z szeregów...

— Armii — zawołał Borroughcliffe w sam czas, gdyż Manual miał już na końcu języka kompromitujące wyznanie, że został przeniesiony z wojsk federalnych. — Ja sam pełniłem raz służbę we flocie lorda Howe, ale podobnej służby nikomu nie zazdroszczę. Podczas południowej musztry strasznie huśtało, a wiadomo, że wtedy piechurowi potrzebny jest solidny grunt pod nogami. Mimo to kompanię kupiłem sobie za przypadającą na mnie część łupów i marynarkę wspominam z wdzięcznością. Ale dość tego mielenia jęzorem na sucho. Mam w kieszeni butelkę madery i dwa kubki, przepłuczemy sobie gardła i omówimy ważniejsze sprawy. Poszperaj no w mojej prawej kieszeni. Odkąd doszedłem do dowództwa, mierzi mnie sięgać do tyłu, jakbym tam jeszcze nosił ładownicę.

Manual, choć nie pojmował, do czego oficer angielski zmierza, tym razem zmiarkował w mgnieniu oka, o co chodzi, i wyciągnął jedną z omszałych butelek pułkownika Howarda z dużą zręcznością. Borroughcliffe wyjął korek w nader kunsztowny sposób i nalał po brzegi oba kubki, z których jeden podał przygodnemu kompanowi. Wypili z mlaskiem podobnym do strzałów pistoletowych dwóch zawołanych pojedynekowiczów, choć z pewnością mniej groźnym, po czym oficer znów nawiązał rozmowę.

— Lubię te omszałe flaszki, pokryte kurzem i pajęczyną, przyżółcone od słońca. Taki trunek nie zatrzymuje się w żołądku, tylko idzie prosto do serca, zamienia się w przyspieszone bicie pulsu. Ale jak ja się od razu na tobie poznałem, zacny towarzyszu broni! Istnieje coś w rodzaju wolnomularstwa w naszym zawodzie. Od razu wiedziałem, ktoś zacz, od chwili gdy zobaczyłem cię tam w izbie strażników, ale nie mogłem odmówić, formalnego przesłuchania staremu żołnierzowi, który jest gospodarzem tego domu. Pozwoliłem, aby was badał, tylko ze względu na jego wiek i dawną szarżę. Spotkałem cię już przedtem.

Teoria Borroughcliffe'a o przemianie wina w krew zdawała się sprawdzać na oficerze piechoty morskiej, gdyż w miarę jak butelka się opróżniała, jego zachowanie ulegało magicznym przemianom. Pot przestał występować mu na czoło, a gardło dokuczać, bo go już nie dotykał. Na twarzy jego osiadł wyraz uwagi i skupienia, których bardzo potrzebował w owej chwili.

— Mogliśmy już kiedyś się spotkać, bo ciągle byłem na służbie, a jednak nie mam pojęcia, skąd mnie zapamiętałeś. Czy byłeś kiedy w niewoli?

— Hm! takie nieszczęście mi się nie przytrafiło, choć byłem zwolniony na słowo. Dzieliłem trudy, chwałę i wątpliwe zwycięstwa (kładliśmy pono trupem i rozpraszaaliśmy tłumy nie istniejących rebeliantów), a wreszcie, o biada! przeżyłem kapitulację generała Burgoyne. Ale mniejsza z tym. Nie wiesz więc, gdzie mogłem cię widzieć? Na musztrach, w polu, w bitwie czy nie w bitwie, w obozie, w koszarach, słowem, wszędzie, tylko nie w salonie. W salonie widziałem cię po raz pierwszy dziś w nocy.

Dostrzegłszy nowe niebezpieczeństwo w tych szczerych słowach, Manual wytrzeszczył na kapitana zdumione oczy i widocznie doznał znów niemiłego uczucia w gardle, bo pociągnął dobry haust, zanim odpowiedział:

— Gotów jesteś na to przysiąc? A możesz wymienić moje nazwisko?

— Przysiągłbym przed każdym sądem — odpowiedział oficer z wielką pewnością siebie — a nazywasz się, tak, nazywasz się Fugleman!

— Niech mnie kule biją, jeśli to prawda! — zawołał Manual z przedwczesnym triumfem.

— Nie zaklinaj się — rzekł Borroughcliffe uroczyście — bo cóż znaczy nazwisko? To pusty dźwięk. Zwij się, jak chcesz, a ja cię znam i tak. Żołnierz, to masz wypisane na marsowym czole! Nie chylisz się przed nikim, a wątpię nawet, czy zginasz buntownicze kolana w kościele.

— Do rzeczy, sir — przerwał Manual poważnie. — Dość żartów. Objawcie swą wolę prosto z mostu. Buntownicze kolana, rzeczywiście! Ci ludzie gotowi niedługo niebo Ameryki nazwać buntowniczymi .

— Podoba mi się twoja duma, bracie — odpowiedział niewzruszony Borroughcliffe. — Do twarzy z nią żołnierzowi jak w szarfie i z ryngrafem, ale na starym wydze nie zrobisz tym wrażenia. Dziwię się tylko, czemu tak się sierdzisz o podobną drobnostkę. Słaba to twierdza, której szanów broni się za zbyt wielką cenę!

— Nie wiem, czemu mam przypisać pańską wizytę, kapitanie Borroughcliffe — rzekł Manual z chwalebłą ostrożnością, chcąc wybać oficera, a dopiero potem otworzyć przed nim swe serce. Wiem za to, że o ile przyszedłeś pan, by szydzić ze mnie w moim obecnym położeniu, nie jest to ani po żołniersku, ani po męsku, a w innych okolicznościach byłoby połączone z pewnym ryzykiem.

Borroughcliffe odparł spokojnie i chłodno: — Nie cenicie, widzę, tej królewskiej madery, miły kamracie, ale co mówię, królewskiej, boć król nawet nie pija takiej jak ta mader, a to' dla tej prostej przyczyny, że blade słońce Albionu nie grzeje tak poprzez mury Windsorskiego zamku, jak słońce w Karolinie poprzez gonty cedrowe. Ale, coraz bardziej podoba mi się twoja kawalerska fantazja. Więc broń do ręki i do ataku na tę omszałą flaszę, a potem wyłożę wam plan całej kampanii.

Manual rzucił na towarzysza badawcze spojrzenie, a nie dostrzegłszy na jego twarzy nic prócz naiwnej przebiegłości, która szybko ustępowała miejsca zupełnemu ośpieniu, wziął kubek do ręki. Gdy wypili, Borroughcliffe przystąpił do wyjaśnień:

— Jesteście żołnierzem i ja jestem żołnierzem. Że nim jesteście, może powiedzieć nawet mój ordynans, bo łajdak odbył kampanię i wachał proch, ale trzeba oficerskiego oka, aby odkryć oficera. Szeregowcy nie noszą koszul z tak cienkiego płótna, w których, nawiasem mówiąc, nie może być za ciepło o tej porze roku, ani aksamitnych krawatów ze srebrnymi spinkami, ani też nie pomadują swych skołtunionych zazwyczaj włosów. Słowem, jesteście nie tylko żołnierzem, ale i oficerem.

— Tak — rzekł Manual. — Jestem kapitanem i spodziewam się odpowiedniego traktowania.

— Urażyłem was winem godnym i generalskiego podniebienia — odparł Borroughcliffe — ale niech i tak będzie. Otóż jasne jest dla każdego, choćby nawet dowcip jego nie został zaostrożony kordialem, w który ten dom obfituje, że oficerowie podróżujący po wyspie w przebraniu, w danym wypadku w kurcie marynarskiej, czynią to nie bez przyczyny. Prócz monarchy żołnierz kocha wojnę, kobiety i wino. Wojny nie masz na naszych wyspach, kobiet jest mnóstwo, ale wino, z przykrością

stwierdzić muszę, jest i rzadkie, i drogie. Czy nie mówię przypadkiem od rzeczy?

— Mówcie dalej — zachęcił go Manual, który wciąż usiłował zmiarkować, czy kapitan poznał w nim Amerykanina.

— En want! czyli po angielsku „naprzód”. A więc mamy do wyboru między kobietami a winem. Jeśli kobiety są piękne, a wino dobre, co za przyjemna alternatywa! Ale to nie po wino ruszyliście, moim zdaniem, bo nie wybralibyście się na te poszukiwania w tak nędznym stroju. Cóż, prócz holenderskiego dzinu, dostanie w gospodzie taki obdarciuch?

— A jednak spotkałem kogoś, kto częstował mnie najlepszą maderą.

— Poznaliście się więc na niej! To zdaje się przeważać szalę na stronę wina. Ale zawsze jednak chodzi o kobietki, te kapryśne istoty, dla których raz żołnierz, to znów święty w habicie ma szczególnie urok, a których sercu wielbiciel zawsze jest miły, w zgrzebnym płótnie czy w aksamitach. Kobieta jest przyczyną tej tajemniczej maskarady. Czyż nie mam racji, mój druhu?

Zrozumiawszy, że nic mu nie grozi, Manual odzyskał fantazję sparaliżowaną przez chwilę zaburzeniami w okolicy gardła. Mrugnął porozumiewawczo okiem i z miną godną Salomona odpowiedział:

— Tak! Kobieta winna wszystkiemu!

— Wiedziałem! — zawołał Borroughcliffe. — To wyznanie utwierdza mnie tylko w wysokim mniemaniu, jakie zawsze miałem o sobie. Jeżeli nasz władca pragnie szybko zlikwidować amerykańską awanturę, niech każe spalić pewien układ, pewnego bezimiennego oficera mianuje dowódcą, a wówczas zobaczymy! Ale mówcie, czy chodzi o święty związek małżeński, czy o igraszki Amora.

— Chodzi o małżeństwo — rzekł Manual z miną tak poważną, jakby mu już ciążyły okowy hymenu.

— To chwalebne! A pieniądze?

— Pieniądze? — powtórzył Manual z pogardą. — Co, żołnierz miałby się rozstać ze swą wolnością, gdyby te okowy nie były ze złota? — Prawdziwie wojskowe zasady! — zawołał Borroughcliffe. — Słowo daję, sporo zdrowego sensu macie pod waszym przebraniem! Ale na co ten strój? Czy rodzice są przeciwni! Czy są możni? Na co ten strój, pytam?

— Na co? — zdziwił się Manual. — Czy w waszym regimencie miłość obchodzi się bez przebrania? U nas przebranie to zwykły symptom choroby.

— Doskonale nazywasz tę namiętność, mimo to przyznasz jednak, że symptomy jej u ciebie nie są zbyt miłe. Czy dama twego serca lubi smołę?

— Nie, ale mnie kocha i nie dba o to, w jakim stroju przybywam.

— I tym razem sama roztropność przemawia przez was, kompanie. Jest to jednak tylko wykręt.

Słyszałeś pewnie o miejscowości Gretna Green położonej trochę na północ od Opactwa.

— Gretna Green! — odrzekł zakłopotany Manual. — Pewno jakiś plac musztry? .

— Tak, musztry dla tych, których zraniła strzała Amora. Plac musztry! Co za wystudiowana naiwność! Ale nie mnie, starego wróbla, brać na plewy. Teraz słuchaj i odpowiadaj, a przekonasz się, co znaczy mieć głowę nie od parady. I lepiej nie przecz. Jesteś zakochany? — Nie przeczę — odpowiedział Manual widząc, że najbezpieczniej do tego się przyznać.

— Twoja pani nie jest od tego, pieniążki są, ale starzy wołają: „Hola!”

— I tym razem zamilczę.

— To mądrze. Mówisz tedy: marsz do Gretna Green. I chcesz dać drapaka morzem!

— Jeżeli nie uda mi się ucieczka morzem, nie uda się wcale — odparł Manual podnosząc znów rękę do gardła.

— Nie mów nic. Możesz mi nic nie mówić. Potrafię przejrzeć każdą tajemnicę dzisiejszej nocy. Twoi towarzysze są przez ciebie najęci, być może są twymi kolegami albo mają cię pilotować?

— Jeden jest towarzyszem ze statku, a drugi to nasz pilot — rzekł Manual tym razem zgodnie z prawdą.

— Dobrze ułożone. Jeszcze jedno i zaprzestanę wszelkich pytań. Czy ta, której szukasz, mieszka w tym domu?

— Nie, żyje niedaleko stąd i czułbym się wybrańcem losu, gdyby mi się udało...

— Ją zobaczyć, rozumiem. Słuchaj więc, a spełni się twoje życzenie. Trzymasz się" jeszcze na nogach, co o tej późnej godzinie bardzo ci pomoże. Otwórz okno i zobacz, czy nie można stąd skoczyć.

Manual posłuchał ochoczo, ale powrócił zawiedziony.

— Wskoczyć tedy, to kark skręcić. Diabeł tylko dokonałby takiej sztuki.

— Byłem tego pewny — odparł Borroughcliffe sucho. — A więc odegrasz rolę diabła w Opactwie Św. Ruty, gdyż przez tę właśnie lukę musisz ulecieć na skrzydłach miłości.

— Ale jak? To niemożliwe!

— W wyobraźni. Za dużo ciekawości i różne bezsensowne obawy wzbudziliście u niektórych mieszkańców tego domu. Boją się rebeliantów, którzy, jak wiemy, nie mają dość żołnierzy u siebie w kraju, a mieliby ich tu jeszcze posyłać. Ty chcesz być wolny, ja chcę ratować towarzysza broni w potrzebie. Niech przypuszczają, żeś dał drapaka przez to okno, mniejsza, w jaki sposób, a tymczasem idąc za mną miniesz strażnika i pomaszerujesz jak zwykły śmiertelnik na własnych, dobrych nogach.

Był to rezultat przechodzący wszystko, czego po tej przyjaznej, choć komicznej pogawędce mógł oczekiwać Manual. Ledwie usłyszał te słowa, wciągnął kurtę, która mu dotąd tak zawadzała, i szybciej niż zdążyliśmy to opowiedzieć, przygotował się do wyjścia. Kapitan Borroughcliffe stanął na nogach sztywno, jakby kij połknął, i dał znak więźniowi, który natychmiast otworzył drzwi. Znaleźli się w korytarzu.

— Kto idzie? — krzyknął wartownik chcąc czujnością i gorliwością zatuszować poprzednie niedbalstwo.

— Idź wprost na niego, aby cię zobaczył — rzekł Borroughcliffe z filozoficznym spokojem.

— Kto idzie? — powtórzył wartownik przerzucając muszkiet na rękę z takim hałasem, aż głuchy grzmot rozszedł się po korytarzu.

— Idź zygzakiem — doradził Borroughcliffe. — Jeśli strzeli, chybi.

— Jeszcze wpakuje nam kulę — mruknął Manual. — Jesteśmy przyjaciółmi, dowódca wasz idzie ze mną.

— Stać, przyjaciele! Oficer naprzód i niech poda hasło — krzyknął wartownik.

— Naprzód? Łatwiej to powiedzieć niżli zrobić — oświadczył kapitan. — Naprzód, panie ziemnowodny, trzymasz się na nogach jak grenadier. Wystąp naprzód i rzeknij magiczne słowo „Lojalność”, bo tak brzmi hasło, które podał mi pułkownik. Drogę masz wolną... ale słuchaj...

Manual szybko ruszył naprzód, ale uderzony nagłą myślą odwrócił się i rzekł:

— A moi pomocnicy, marynarze! Bez nich nic nie mogę począć.

— Klucze od ich cel tkwią w zamkach na moje żądanie — odparł Anglik — otwórz więc i ściągnij swe siły.

Manual, szybki jak myśl, opowiedział pokrótce Griffithowi, jak sprawy stoją, i znikł z kolei w pokoju pilota.

— Za mną i zachowajcie się spokojnie — szepnął. — Nie mówcie nic i zdajcie się na mnie.

Pilot bez słowa zastosował się do tych wskazówek, zdumiewająco opanowany.

— Gotowe — rzekł Manual, gdy podeszli do Borroughcliffe'a. Przez cały ten czas wartownik stał naprzeciw dowódcy. Chciał się popisać swą czujnością, oficer zaś czekał na powrót kompana. Kiedy Manual ukazał się w drzwiach, dał mu znak, by wystąpiwszy naprzód rzucił hasło.

— Lojalność — szepnął Manual podchodząc do wartownika. Ale żołnierz zdążył się zorientować, że dowódca jest mocno nietrzeźwy, i bał się przepuścić więźniów.

— Naprzód, przyjaciele! — powiedział po chwili. Na to wezwanie więźniowie zbliżyli się na

długość błyszczącego bagnetu. Wówczas wartownik podjął: — Więźniowie znają hasło, panie kapitanie, ale nie śmiem ich przepuścić.

— Dlaczego nie? — spytał kapitan. — Czy nie ma mnie tutaj? Czy mnie nie znasz?

— Tak, sir, znam i szanuję waszą miłość, ale zostałem tu postawiony przez sierżanta z rozkazem niewypuszczenia tych ludzi pod żadnym pozorem.

— Ot, co znaczy dyscyplina! — zawołał Borroughcliffe z triumfującym uśmiechem. — Wiedziałem, że chłopak tyle sobie będzie robił z mojego rozkazu, co z rozkazu tej lampy. Tylko w bajkach są niewolnicy lampy, mój ziemnowodny kamracie. Czy wymusztrowałeś swoich piechurów morskich tak jak ja moich ludzi?

— Co znaczą te żarty? — ozwał się pilot surowo.

— A ja myślałem, że będę mógł zabawić się twoim kosztem — zawołał Manual, niby to dzielając wesołość dowódcy garnizonu. — Mamy ten sam regulamin i przestrzegamy go z całą ścisłością. Wartownik nie zna cię, kapitanie, rzecz zrozumiała, ale sierżant musi cię poznać, więc każ go zawołać, a da rozkaz, by nas przepuszczono.

— Aha, w gardle zaczyna ci znów zasychać — odrzekł Borroughcliffe. — Musisz je sobie jeszcze raz przepłukać maderą. Cóż, napijemy się. Żołnierz, otworzyć okno i zawołać sierżanta.

— Ten okrzyk nas zgubi — szepnął pilot do Griffitha.

— Za mną — rzekł młody marynarz. Wartownik odwrócił się do okna, by spełnić rozkaz, a w tej chwili Griffith skoczył, wyrwał muszkiet z jego ręki, obalił go potężnym uderzeniem kolby, zwróciwszy zaś broń przeciw powalonemu, zawołał:

— Naprzód! Droga wolna!

— Naprzód! — powtórzył pilot i przeskoczył lekko przez leżącego żołnierza. Sztylet błysnął mu w jednej, a pistolet w drugiej ręce.

Manual, uzbrojony w ten sam sposób, natychmiast stanął u jego boku. Wszyscy trzej wypadli na dwór, nie spotkawszy po drodze nikogo.

Borroughcliffe nie mógł ich gonić i tak był zaskoczony tym niespodziewanym atakiem przemocy, że — co mu się jeszcze nigdy nie przytrafiło — zapomniał języka w ustach. Wartownik porwał się jednak na nogi i oprzytomniał. Przez chwilę żołnierz i oficer patrzyli na siebie ze zrozumieniem. Pierwszy ozwał się podwładny:

— Czy mam uderzyć na alarm, wasza miłość?

— Lepiej nie, Peters. Wątpię, czy takie rzeczy jak wdzięczność i dobre wychowanie w ogóle istnieją w piechocie morskiej.

— Dopraszam się łaski pana kapitana. Proszę pamiętać, że spełniłem mój obowiązek i że zostałem rozbrojony wykonując rozkaz waszej miłości.

— Nic nie pamiętam, Peters, tylko to, że po łajdacku mnie potraktowano i że ten ziemnowodny dżentelmen jeszcze za to zapłaci. Ale pozamykaj drzwi, zachowuj się, jakby nic nie zaszło i...

— Trudniejsza z tym sprawa, wasza miłość, niż się zdaje. Pewien jestem, że na grzbiecie mam dokładny odcisk podkucia kolby. — Więc rób, co chcesz, ale język trzymaj za zębami. Tu masz koronę na plaster. Słyszałem, że ten pies rzucił na schodach twój muszkiet. Idź, weź go i wracaj na posterunek, a kiedy cię zmienią, zachowuj się, jak gdyby nic nie zaszło. Odpowiedzialność biorę na siebie.

Żołnierz posłuchał. Kiedy powrócił z muszkietem w rękę, Borroughcliffe znacznie wytrzeźwiony niespodzianką odszedł do siebie. Po drodze bełkotał groźby i wyzwiska pod adresem piechoty morskiej i, jak mówił, całej rasy ziemnowodnej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Huzia! zwierz dawno już wyszedł z ukrycia;

Wypuścić siorę, niech lecą sokoły,

A ja czas wolny chcę łowom poświęcić.

Dość mam w lenistwie marnowanych godzin.

Resztę nocy oficer przespał kamiennym snem pijaka i obudził się późno, zbudzony wejściem ordynansa. Kiedy przecierał oczy, usłyszał werbel, siadł więc na łóżku, zwrócił się do ordynansa z surową miną, jak do winowajcy:

— Czy nie zakazałem doboszowi raz na zawsze, póki kwaterujemy pod gościnnym dachem pułkownika, dotykać pałeczką owczej skóry? Czy sierżant Drill lekceważy moje rozkazy, czy też sądzi, że bicie w bęben, dudniące po korytarzach Opactwa, to najmiłszy sposób budzenia ze snu jego mieszkańców?

— Ależ, sir — odparł żołnierz — takie było wyraźne życzenie pułkownika Howarda, by tym razem sierżant zwołał garnizon biciem w bęben.

— Diabli nadali! Stary lubi muzykę, do której ucho jego nawykło. Ale cóż to, czy jednocześnie ze zmianą warty wyganiają również bydło z obory? Słyszę tętent, jakby stare Opactwo było drugą arką Noego, do której z całej okolicy zbiegają się czworonogi.

— To tylko szwadron lekkich dragonów z... którzy wjeżdżają w tej chwili na podwórzec, sir, dokąd pułkownik zeszedł ich powitać.

— Na podwórzec! Lekka dragonia — powtórzył Borroughcliffe zdumiony. — Więc dwudziestu dzielnych chłopców z naszego regimentu nie wystarcza do obrony tego sowiego gniazda przeciwko duchom i północno-wschodnim wichrom i ściągają jeszcze posiłki kawaleryjskie! Hm, ten i ów z tych jeźdźców musiał się zwiędzieć o maderze starego pułkownika!

— Nie, nie, sir — wykrzyknął żołnierz. — To pan Dillon wyruszył wczoraj w nocy po dragonów, kiedy już wasza miłość kazał zakuć tych trzech piratów w kajdany!

— Trzech piratów! Zakuć w kajdany! — rzekł Borroughcliffe i znowu przetarł oczy, usiłując zebrać myśli. — Ha! już sobie przypominam. Wpakowałem pod klucz trzech podejrzanych włóczęgów. Ale co może to obchodzić pana Dillona albo dragonów?

— Tego nie wiem, sir, ale słyszałem na dole, że ci trzej to konspiratorzy i rebelianci z kolonii, a nawet wysocy oficerowie. Jankesi w przebraniu. Jedni mówią, że sam generał Waszyngton, a inni znów, że tylko trzej deputowani z parlamentu Jankesów przybyli do Starej Anglii, aby poznać tutejsze zwyczaje i według nich się rządzić.

— Waszyngton! Deputowani z parlamentu! Bredzisz, chłopcze, idź lepiej zapytać, z ilu ludzi składa się ten oddział i jak długo się tu zatrzyma. Mój mundur połóż tu, pod ręką. A teraz idź. Jeśli oficer dragonów spyta o mnie, przekaż mu wyrazy mojego szacunku i powiedz, że zaraz zejść. Idź, chłopcze, idź.

Kiedy ordynans wyszedł z pokoju, kapitan dał upust oblegającym go myślom i wygłosił taki monolog:

— Postawiłbym mój patent na kompanię przeciw żołdowi chorążego, że któryś z tych wałkoniów, co ruszają na wojnę nie na własnych, tylko na końskich nogach, dowiedział się o maderze. Będę musiał zamieścić w „London Gazette” ogłoszenie i wyzwąć tego ziemnowodnego franta. Jeśli ma choć za grosz ambicji, nie będzie się ukrywał i da mi satysfakcję. Jeśli nie, to do licha, pojedę do Yarmouth i wyzwę pierwszego lepszego z tych kundłów. Gdyby ta historia wyszła na jaw, całe wojsko wzięłoby mnie na języki i dotąd byłbym pośmiewiskiem w oficerskiej mesie, póki większy ode mnie dureń by się nie znalazł. Żeby uciszyć plotki, musiałbym odbyć co najmniej ze sześć pojedynków. Nie, nie ruszę cyngla w mym własnym regimencie, ale zapłaci mi za tę zniewagę pierwszy lepszy oficer piechoty morskiej. Tak będzie najrozsądniej. Ale Peters! Gdyby ten nicpoń spróbował pisać choć słówko o tym, w jaki sposób dostał po grzbiecie okuciem kolby, nie mógłbym go za to wychłostać, ale odbiłbym to sobie przy lada sposobności, chyba że nie potrafię załatwiać takich porachunków.

Kończąc ten monolog, tak dokładnie odtwarzający bieg jego myśli, Borroughcliffe był już na dole i zbliżał się do przybyszy, których powitać uważał za swój obowiązek. Zobaczył w bramie pułkownika zatopionego w poważnej rozmowie z młodym człowiekiem w kawaleryjskim mundurze. Pułkownik odwrócił się do niego z tymi słowy:

— Witaj, mój zacny obrońco! Mamy wiadomości, które zainteresują pana jako lojalnego żołnierza. Zdaje się, że nasi więźniowie są przebraniymi nieprzyjaciółmi króla. Kornet Fitzgerald, ale poznajcie się, panowie, kapitan Borroughcliffe, pan Fitzgerald z lekkiej dragonii. — Podczas gdy oficerowie wymieniali ukłony, pułkownik mówił: — Kornet zaofiarował się uprzejmie odstawić pod eskortą swego oddziału tych łotrów do Londynu lub tam, gdzie zbierze się dostateczna liczba dobrych i lojalnych oficerów, by stworzyć sąd wojenny i skazać ich na szubienicę jako szpiegów. Krzysztof Dillon, mój prawy krewniak Kit, od razu poznał się na nich, gdy my tymczasem w prostocie ducha chcieliśmy ich zwerbować do wojska. Ale Kit ma doskonałe oko i głowę nie od parady i dlatego pragnąłbym, żeby zabłysnął w sądownictwie.

— Byłoby to wielce wskazane.— rzekł Borroughcliffe z powagą, którą przybrał usiłując zdobyć się na ironię, a także przypominając sobie jeszcze nie wyjaśnione wydarzenia tej nocy. — Ale co każe panu Krzysztofowi Bilionowi przypuszczać, że ci trzej marynarze są czymś więcej lub mniej, niżli się być zdają?

— Tego nie wiem, ale dałbym głowę, że ma po temu ważkie powody — wykrzyknął pułkownik. — Krzysztof nigdy nie działa bezpodstawnie, bo jego zawód polega przecież na przedkładaniu racji, a on umie to zrobić jak mężczyzna i we właściwym momencie. Wiecie jednak, panowie, że ludzie jego profesji nie mogą wypowiadać swych myśli tak szczerze i otwarcie jak wojskowi, bo zaszkodziłoby sprawie. Nie, nie, Krzysztof na pewno ma swoje racje i w odpowiednim czasie je przytoczy.

— No, na szczęście są pod dobrą strażą — rzekł kapitan niedbale. — Zdaje się, że pytałem pana pułkownika, czy okna są za wysoko na ucieczkę, dlatego też nie postawiłem warty przed domem.

— Nie bój się o to, zacny przyjacielu — zawołał pułkownik. — Jeżeli tylko twoi ludzie nie pospali się na posterunku, trzymamy ich mocno. Ponieważ jednak trzeba szybko zabrać stąd więźniów, zanim władze cywilne nie położą na nich łapy, chodźmy zaraz do oficyny wypuścić tych psów z budy. Szwadron możemy wysłać z nimi naprzód, a sami zjeść śniadanie. Byłoby nieroztropnie oddawać ich w ręce cywilów, którzy rzadko kiedy zdają sobie sprawę z prawdziwego przestępstwa.

— Wybaczcie, sir — powiedział młody oficer kawalerii — ale według słów pana Dillona mieliśmy zetrzeć się z małym oddziałem wojsk nieprzyjacielskich, nie zaś pełnić funkcję konstabłów. Poza tym, sir, prawa tego królestwa gwarantują każdemu, że będzie stawiony przed sąd równych mu stanem, dlatego też nie ważyłbym się zabrać tych ludzi do koszar bez oddania ich najpierw do dyspozycji sędziego.

— To dotyczy tylko lojalnych poddanych — odrzekł pułkownik. — W zasadzie masz pan słuszość, ale spod dobrodziejstwa tego przywileju wyjęci są wrogowie i zdrajcy.

— Trzeba wpierw dowieść, że są zdrajcami, zanim w ten sposób wolno będzie ich potraktować i ukarać — odparł młody człowiek kategorycznie i z wielką pewnością siebie, gdyż sam zaledwie przed rokiem opuścił mury Tempie. — Jeśli w ogóle mam odeskortować tych ludzi, to tylko po to, aby ich oddać w ręce władz cywilnych.

— Chodźmy zobaczyć więźniów — zawołał Borroughcliffe chcąc położyć kres dyskusji, która stawała się coraz gorętsza, choć była zupełnie bezprzedmiotowa. — Być może najspokojniej w świecie zaciągną się pod nasze sztandary, a wtedy wszelkie inne rygory prócz wojskowej dyscypliny okażą się zbyteczne.

— Jeśli są takiego stanu, że da się to zrobić — odparł kornet — rad byłbym bardzo, gdyby się na tym skończyło. Przyzna pan jednak, kapitanie Borroughcliffe, że i lekka dragonia położyła pewne zasługi w tej sprawie, a brakuje nam bardzo ludzi w drugim szwadronie.

— Łatwo dojdziemy do porozumienia — zapewnił kapitan. — Po jednym dla każdego z nas, a o trzeciego rzucimy monetę. Sierżancie Drill! Chodźcie wydać więźniów i złuzować strażnika.

Idąc z oficerami ku oficynie, pułkownik Howard zauważył:

— Jestem z całym uznaniem dla sądów kapitana Borroughcliffe, ale pan Krzysztof Dillon ma jakby powody przypuszczać, że przynajmniej jeden z tych ludzi jest czymś więcej niż żołnierzem, a w takim razie plany panów upadają same przez się.

— A kimże ma być ten dżentelmen? — spytał Borroughcloiffe. — Burbonem w przebraniu czy też emisariuszem amerykańskiego Kongresu?

— Nic mi więcej nie powiedział. Krzysztof umie trzymać język za zębami, ilekroć Temida rzuca czyjeś losy na szalę swej wagi. Są ludzie, o których rzecz można, że urodzili się na żołnierzy, jak na

przykład hrabia Cornwallis, ten, co tak dzielnie stawiał czoło rebeliantom w obydwu Karolinach. Inni z góry są przeznaczeni na kapłanów i świętych, jak Jego Wielebność Arcybiskup Yorku i Canterbury. Inni wreszcie patrzą na wszystko krytycznymi, bezstronnymi oczyma; do tych ostatnich zaliczę Najwyższego Sędziego Mansfielda i mego kuzyna, pana Krzysztofa Dillona. Ufam, panowie, że po stłumieniu rebelii przez wojska królewskie ministrowie uznają za stosowne mianować parów i w koloniach, nagradzając tą godnością za lojalność względem monarchy i usuwając powody do niezadowolenia na przyszłość. W takim wypadku mam nadzieję zobaczyć mego kuzyna w gronostajach sędziowskich zdobiących płaszcz para.

— Pańskie nadzieje, pułkowniku, są uzasadnione. Nie wątpię, że pan Dillon zostanie w przyszłości tym, czym zważywszy na zasługi powinien już zostać — rzekł Borroughcliffe. — Ale bądźcie dobrej myśli, sir, bo nie wątpię, że prawo weźmie jeszcze Słuszny odwet i przyszłe wyniesienie pana Dillona pokaże nam sposób dojścia do władzy, choć nie mam pojęcia, jaki tytuł będzie on wówczas nosić.

Pułkownik Howard zbyt był pochłonięty myślami o wojnie i sprawach ogólnych, by zauważyć złośliwe spojrzenia, które wymienili między sobą oficerowie. Odpowiedział z zupełną prostotą:

— Dużo o tym myślałem i doszedłem do przekonania, że skoro ma małą posiadłość na brzegu rzeki Pedee, tytuł pierwszego hrabiego powinien od niej pochodzić.

— Tytuł hrabiego! — powtórzył Borroughcliffe. — Sądzę, że młoda szlachta Nowego Świata będzie miała dość zdrowego rozsądku, by wzgardzić tak wyświechtanymi zaszczytami, jak tytuły baronów, hrabiów i książąt. Nieśmiertelny Locke wymyślił dość różnych nazw odpowiadających niezwyklej sytuacji i charakterowi waszego kraju. Ale oto i nasz kacyk z Pedee we własnej osobie!

Gdy to mówił, wchodzili po kamiennych schodach prowadzących na piętro, gdzie mieli znajdować się więźniowie. Jednocześnie w dolnym korytarzu ukazał się Dillon, na którego posępnym, złośliwym obliczu malowało się skryte zadowolenie. Minęło już kilka godzin od ucieczki więźniów i żołnierzy, który stał wtedy na warcie, znów zajmował posterunek w korytarzu. Wiedząc, jak się rzeczy mają, siedział oparty plecami o mur i drzemał, chcąc sobie wynagrodzić stracone godziny nocy. Posłyszawszy kroki ocknął się i przybrał postawę pełną czujności.

— Jakże tam? — zawołał Borroughcliffe. — Jakże sprawują się twoi więźniowie?

— Muszą spać, wasza miłość, bo nie słyszałem, aby się który poruszył, odkąd zmieniłem mego poprzednika.

— Zmordowani są i dobrze robią, że korzystają z noclegu — odparł kapitan. — Baczość, łajdaku! Pierś naprzód i nie ruszajże się tak niemrawo jak krab albo kapral milicji miejskiej. Nie widzisz, że idzie oficer kawalerii? Chcesz skompromitować nasz regiment? .

— Bóg tylko raczy wiedzieć, wasza miłość, czy będę kiedy w stanie rozprostować ten obolały grzbiet.

— Kup sobie jeszcze jeden plaster — rzekł Borroughcliffe wsuwając mu szylinga do ręki. — Miej

na uwadze tylko swój obowiązek.

— To znaczy, wasza miłość...

— Zdaj się na mnie i trzymaj język za zębami. Ale oto idzie już sierżant ze strażą i zaraz cię zluzuje.

Wszyscy zatrzymali się na końcu korytarza, by przepuścić sierżanta z paru żołnierzami. Wartownik został zluzowany wedle przepisów, a w tejże chwili Dillon położył rękę na kłamce jednych drzwi i rzekł szyderczo:

— Otwórzcie te drzwi najpierw, sierżancie. W tej klatce siedzi człowiek, którego najbardziej potrzebujemy.

— Hola, hola, sędzio najwyższy i potężny kacyku — rzekł kapitan. — Jeszcze nie pora na mianowanie sędziów spośród tłustych dzierżawców i na tworzenie sądu przysięgłych. Nikomu nie pozwolę stanąć między mną a moimi ludźmi.

— Szorstka to odprawa, kapitanie Borroughcliffe — ozwał się pułkownik Howard — ale wybaczam ją, bo jest żołnierska. Takie są, kuzynie, zwyczaje wojskowe i trzeba się do nich stosować. Uzbrój się w cierpliwość, a przyjdzie czas, kiedy ty będziesz wymierzał sprawiedliwość i jako lojalny poddany ukarzesz niejednego zdrajcę. Niech to! Sam chętnie chwycę wówczas za topór kata!

— Potrafię panować nad sobą, sir — odparł Dillon z symulowaną uległością i opanowaniem, choć jego oczy skrzyły się piekielną radością. — Kapitanie Borroughcliffe, proszę o wybaczenie, jeśli pragnąc postawić władzę cywilną nad wojskową naruszyłem wasze zwyczaje.

— Widzisz, Borroughcliffe! — zawołał pułkownik z triumfem. — Krzysztof cudownie rozumie się na wszystkim, co dotyczy prawa i wymiaru sprawiedliwości. Niemożliwe, by człowiek tak obdarzony przez naturę mógł popełnić czyn niełojalny. Ale śniadanie czeka, a pan Fitzgerald zrobił kawał drogi konno w zimny ranek." Pośpieszmy się więc z przesłuchaniem.

Borroughcliffe dał znak sierżantowi, by otworzył izbę. Była pusta.

— Więzień uciekł! — zawołał kornet.

— Jak to? Niemożliwe! — krzyknął Dillon trzęsąc się z wściekłości i dziko tocząc oczyma. — Zdrada! Podła zdrada majestatu!

— Co, zdrada? Kto ją popełnił, panie Krzysztofie Dillon? — z marsem na czole ozwał się Borroughcliffe. — Waży się pan zarzucać zdradę mojej kompanii?

Wściekłość natychmiast opuściła przyszłego sędziego i zgoła odmienne uczucie silniejszym jeszcze przejęło go drzeniem. Zrozumiał, że niebezpiecznie dawać upust gniewowi, i jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przybrał znów ton uległy i pełen skromności.

— Pułkownik Howard zrozumie moje rozgoryczenie, jeśli powiem, kogo wzięliśmy tu ostatniej nocy. Był to ten renegat, ten zdrajca korony, Edward Griffith z marynarki rebeliantów.

— Co? — wykrzyknął pułkownik. — Czyżby był tak bezczelny i odważył się przekroczyć progi Opactwa Św. Ruty? Śniesz chyba. Przecież nigdy nie popełniłby takiej nieostrożności.

— Nie była to znów tak wielka nieostrożność, bo choć był w tej izbie, już go w niej nie ma. Z tego okna jednak, choć znaleźliśmy je otwarte, ucieczka byłaby niemożliwa, i to nawet z pomocą od zewnątrz.

- Gdybym wiedział, że ten zuchwalec w ten sposób zadrwi sobie ze mnie — zaperzył się pułkownik — mimo podeszłego wieku sam bym go chwycił. Czyż nie dość, że korzystając z zamieszek dostał się do mego domu w Karolinie z zamiarem zrabowania mi największego skarbu, tak, panowie, mej bratanicy, prześladowuje mnie jeszcze na tej wyspie pod bokiem zdradzonego podległego monarchy. Nie, nie, Krzysztofie, musiałeś się pomylić z nadmiaru lojalności.

— Posłuchajcie, sir, a sami przyznacie mi rację — odparł ulegle Krzysztof. — Nie dziwię się waszym wątpliwościom, ale nie mogę, się oprzeć dowodom. Wiecie, sir, że dwa okręty podobne z opisu do tych, które nam tak dokuczyły w Karolinie, widziano z wybrzeża przez kilka dni, co skłoniło nas do poproszenia kapitana Borroughcliffe o straż. Donoszą nam, że okręty te są w pasie mielizn, a następnego dnia trzech ludzi w marynarskim przebraniu zakrada się na grunty Opactwa. Zostają arestowani i po głosie jednego z nich poznają zdrajcę Griffitha. Choć sprytnie ucharakteryzowany, człowieka, który całe życie poświęcił dochodzeniu prawdy — dodał Dillon skromnie — nie potrafił wywieść w pole.

Pułkownik Howard w duchu przyznawał mu rację, a końcowy zwrot przekonał go do reszty. Borroughcliffe zagryzał tymczasem wargi w konsternacji. Gdy Dillon skończył, oficer zawołał:

— Przysięgłbym, że był między nimi żołnierz.

— Nic bardziej prawdopodobnego, szanowny przyjacielu — rzekł Dillon. — Wylądowali na pewno w jakimś złym celu, więc nie przybył bez ochrony. Wszyscy trzej, śmiem twierdzić, byli oficerami, a jeden z nich mógł być oficerem piechoty morskiej. Przekonany, iż w pobliżu ukrywa się ich więcej, wyruszyłem po siłki.

Tyle było prawdopodobieństwa w rozumowaniu Dillona, że Borroughcliffe, acz niechętnie, musiał je uznać za słuszne. Mimo że nieźle potrafił ukryć konsternację malującą się na jego przekrwionej twarzy, tym razem odszedł na bok z niewyraźną miną, mruczając pod nosem: — Pies ziemnowodny! Żołnierz, ale zdrajca i nieprzyjaciel. Będzie z prawdziwą przyjemnością opowiadał rebeliantom, jak to on oblał zimną wodą niejakiego Borroughcliffe'a, który poił go w czasie rozmowy najprzedniejszą maderą. Mam wielką ochotę zamienić czerwony kaftan na granatową kurtę piechoty morskiej, byle zdybać tego łobuza na morzu i jeszcze raz pogadać z nim w tej sprawie. I cóż, sierzancie, znaleźliście dwóch pozostałych?

— Uciekli wszyscy trzej, wasza miłość, i jeżeli diabeł ich nie porwał i nie uniósł na swych skrzydłach, nic z tego nie rozumiem.

— Pułkowniku Howard — rzekł Borroughcliffe uroczyście — wasz szacowny kordiał musi zniknąć z gościnnego stołu, póki nie pomszczę się na tych zuchwalcach, mnie to bowiem spotkała obelga z ich strony. Idź, Drill, wystaw strażę dokoła domu, a raczej wydaj racje i każ bębnić na zbiórkę. Ruszamy w pole. Tak, czcigodny pułkowniku, po raz pierwszy od czasów nieszczęsnego Karola Stuarta będziemy mieli kampanię w sercu Anglii.

— Ach ta rebelia! Przeklęta, przeciwna naturze, piekielna rebelia była przyczyną klęsk i wtedy, i teraz! — zawołał pułkownik.

— Powinniśmy popasać tu jak najkrócej — powiedział kornet. — Gdy tylko konie wytchną i dostaną obroku, ruszamy wzdłuż wybrzeża. Może uda się nam spotkać zbiegów lub część ich oddziału.

— Uprzedził mnie, pan — rzekł Borroughcliffe. — Nasz kacyk z Pedee może zamknąć bramy Opactwa. Zabarykadowawszy okna i uzbroiwszy służących może odeprzeć atak, gdyby przyszło im na myśl szturmować do naszej fortecy. Jeśli ich odeprze, pozostawcie już mnie odcięcie im odwrotu.

Bilionowi projekt ten nie przypadł do smaku, gdyż przypuszczał, że Griffith uderzy na Opactwo, by uwolnić panią swego serca, a prawnik z żołnierką nie chciał mieć nic wspólnego. W gruncie rzeczy strach skłonił go w nocy do szukania posiłków, po które mógł wysłać gońca. Ale pułkownik Howard oszczędził mu przykrych wykrętów, gdyż zaprotestował energicznie przeciw planowi Borroughcliffe'a.

— Na mnie, kapitanie Borroughcliffe — rzekł — spoczywa prawo i obowiązek bronięcia Opactwa Św. Ruty i byle kto go nie zdobędzie. Mój krewniak chętniej na pewno wyruszy w pole. Chodźmy na śniadanie. Potem Krzysztof dosiądzie konia i posłuży kawalerii za przewodnika po wybrzeżu.

— A więc zabieramy się do śniadania! — zawołał kapitan. — Spełniam rozkaz nowego komendanta fortecy, a kacyk na koń i w pole! Idziemy za panem, szanowny gospodarzu.

Zarządzenia zostały błyskawicznie wykonane. Oficerowie połykali jedzenie spiesząc się, byle tylko coś przegryźć. Po śniadaniu cały dom zawrzał. Borroughcliffe dokonał przeglądu żołnierzy i odkomenderował paru ludzi dla obrony budynku, sam zaś stanął na czele pozostałych. Piechota wymaszerowała przez podwórzec w szyku i dobrym krokiem. Dillon, rad z takiego obrotu sprawy, dosiadłszy jednego z najlepszych wierzchowców pułkownika Howarda, uważał się teraz za pana swego losu. Pragnąc zniszczyć rywala, miał nadzieję, że dopnie tego bez narażenia na szwank własnej osoby. Obok niego siedział z wdziękiem na koniu Fitzgerald, który dał piechurom czas do wymarszu, potem zaś rzucił okiem na garstkę swych jeźdźców i kazał ruszać. Oddziałek kawalerii rozwinął się od razu w kolumnę, oficer zsalutował pułkownikowi Howardowi i pogalopował w stronę morza. Weteran wsłuchiwał się przez chwilę z lubością w tętent kopyt i szcęk broni i patrzył rozmiłowanym okiem żołnierza w ślad za oddalającym się szwadronem. Gdy znikli, zabrał się z tajoną radością do barykadowania drzwi i okien. Był zdecydowany stawić w razie potrzeby jak najenergiczniejszy opór.

Opactwo leżało o niecałe dwie mile od morza, do którego liczne drogi prowadziły przez grunty należące do tej posiadłości. Jedną z tych dróg obrał Dillon. Po kilku minutach dotarli do urwisk

nadbrzeżnych. Wówczas, pozostawiwszy żołnierzy pod osłoną małego lasku, kornet ruszył z przewodnikiem aż nad prostopadły zrab skał, których podnóża zmywały fale pieniające się jeszcze po minionej burzy.

Już przed ucieczką więźniów sztorm się przesilił. W miarę jak słabł wicher wschodni, coraz mocniej dawał się odczuwać lekki wietrzyk południowy ciągnący wzdłuż brzegu. Wielkie bałwany stawały się coraz gładsze i coraz mniej strome. Oczy dwóch jeźdźców błądziły daremnie po iskrzącej się w słońcu porannym tafli wód. Szukali oczyma jakichś szczątków okrętu, jakiegoś dalekiego żagla, w którym znaleźliby potwierdzenie swych podejrzeń lub zaprzeczenie obaw. Ale nic nie świadczyło, by statek ważył się zbliżyć podczas burzy do brzegów, i Dillon gotów był już dać za wygraną, gdy przeniósłszy wzrok ku wybrzeżu, wykrzyknął:

— Tam są! I, na Boga, gotowi uciec!

Kornet spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył w niewielkiej odległości, pozornie u samych swych stóp małą łódkę, wyglądającą na powierzchni morza jak łupina orzecha. Wznosiła się i opadała wśród fal, jakby załoga czekała na coś z beczynnie podniesionymi wiosłami.

— To oni ! — ciągnął Dillon — albo, co bardziej prawdopodobne, ich łódź, która czeka, by ich przewieźć na statek. Marynarze nie ryzykowaliby w ten sposób i nie trzymaliby się tak blisko skał bez ważnego powodu.

— I cóż możemy począć? Nie możemy podjechać tam konno, nawet ogień muszkietów piechoty ich nie dosięgnie. Przydałoby się lekkie trzyfuntowe działo.

Jednakże Dillon, któremu przyświecała nadzieja nie tyle schwytania, co zniszczenia wrogów, nie opuścił rąk. Po chwili namysłu rzekł:

— Zbiegowie muszą być jeszcze na lądzie. Patrolując wybrzeże i rozstawiając posterunki we właściwych miejscach, możemy z łatwością odciąć im odwrót. Ja tymczasem pojedę co koń wyskoczy do zatoki, gdzie jeden z naszych kutrów wojennych stoi obecnie na kotwicy, a gdy tylko uda się nam opłynąć cypel, pochwycimy lub zatopimy tych nocnych rabusiów.

— A więc ruszaj pan! — zawołał kornet, któremu uśmiechała się myśl o utarczce. — W najgorszym razie zagna pan ich na brzeg, gdzie będę mógł się z nimi rozprawić.

Ledwie padły te słowa, Dillon pogalopował wzdłuż urwiska i wykręcił w gęsty las, w którym znikł kornetowi z oczu. Źródłem lojalności tego dżentelmena było wyrachowanie. Ułożył sobie plan, którego wykonanie uważał za obowiązek względem samego siebie. Był zdania, że małżeństwo z panną Howard i jej wiano o wiele większe przyniosą korzyści od tych, które mógłby wyciągnąć z rewolucji w kraju ojczystym. Griffith w jego oczach był jedyną przeszkodą stojącą na drodze do osiągnięcia tego celu, toteż kłął ostrogami boki wierzchowca w niezłomnym postanowieniu, że doprowadzi do zguby młodego marynarza przed zachodem słońca. Gdy człowiek walczy w złej sprawie, rządony takimi pobudkami, nie zasypia gruszek w popiele, toteż Dillon był na pokładzie „Alacrity” nawet o parę minut wcześniej, niż zapowiedział.

Stary marynarz dowodzący kutrem wysłuchał jego opowiadania z całą rozwagą i ostrożnością, badał pogodę i namyślał się długo jak każdy człowiek nie mający powodów do szczególnej wiary w siebie, a za te niewielkie usługi, które oddał, źle wynagradzany.

Jednakże pogoda zapowiadała się dobrze, a Dillon nalegał, kapitan więc przychylił się wreszcie do jego prośby i kazał podnieść kotwicę.

Załoga, niecałe pięćdziesiąt ludzi, manewrowała z powolnością swego kapitana, ale gdy okrążyli cypel, działa zostały przygotowane i wszyscy przysposobili się do walki.

Dillon, acz niechętnie, musiał pozostać na statku, by wskazać miejsce, gdzie należało zaskoczyć nieprzyjaciela. „Alacrity”, trzymając się teraz w bezpiecznej odległości od brzegu, pomknęła pod pomyślnym wiatrem z chyżością zdającą się wróżyć, że cel żeglugi zostanie osiągnięty, i to w bardzo krótkim czasie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Poloniusz:

Zaiste, całkiem jak wieloryb.

Szekspir

Jakkolwiek wyprawa na ląd podyktowana była względami natury politycznej, Griffith i Barnstable, wybierając się z pilotem tak chętnie, kierowali się uczuciami bardziej osobistymi. Tajemniczy dowódca w krótkiej rozmowie z dwoma oficerami poznał, co są warci, ponieważ zaś po wylądowaniu mieli tylko przekonać się, czy myśliwi, których należało ująć, wezmą na pewno udział w zapowiedzianym polowaniu — na towarzyszy dobrał sobie Griffitha i Manuala, Barnstable'a zaś zostawił na statku, by osłaniał ich odwrót. Griffithowi z trudem przyszło skłonić Barnstable'a do pogodzenia się z tymi zarządzeniami i długo musiał się z nim spierać, a nawet powołać się na swą szarżę. Zdrowy rozsądek w końcu zwyciężył i Barnstable zrozumiał, że nie należy niepotrzebnie ryzykować, póki nie nadejdzie rozstrzygająca chwila. Pogodziwszy się z tym, polecił tylko Griffithowi zbadać sytuację w Opactwie Św. Ruty tak samo jak w majątku, gdzie miało się odbyć polowanie. Griffith gorąco pragnął zastosować się do tych wskazówek, co sprawiło, że zbczyli całkowicie z wytkniętej drogi i ponieśli konsekwencje, z których częściowo zdaliśmy już sprawę. Wieczorem tegoż dnia pilot zamierzał wykonać swój plan, uważając za najsposobniejszy moment wieczerzę, kiedy po polowaniu goście najlepiej się bawią. Wczesnym rankiem dnia następnego Barnstable miał czekać jak najbliżej Opactwa i zabrać swych ziomków, aby przy świetle dziennym jak najmniej rzucali się w oczy nieprzyjacielowi. Gdyby nie przybyli w określonym czasie, miał rozkaz powrócić na szkuner, który stał na kotwicy w małej zatoczce prawie niedostępnej od morza i od lądu. Kiedy kornet obserwował szalupę ze szczytu skał (bo była to szalupa szkunera), upłynął już czas wyznaczony na powrót Griffitha z towarzyszami i Barnstable, acz niechętnie, zbierał się do odwrotu, zmuszony wyraźną instrukcją do pozostawienia ich własnemu losowi. Już od wschodu słońca Barnstable trzymał łódź tuż przy brzegu i przez cały czas załoga nie spuszczała z oczu urwisk skalnych, wypatrując wciąż nadaremnie umówionego sygnału. Spojrzawszy na zegarek może po raz dwudziesty i omiółwszy brzeg chmurnym spojrzeniem, porucznik zawołał:

— Wspaniały widok, panie Coffin, ale na wasz gust chyba za poetyczny, prawda? Ponad najpiękniejszy brzeg przekładacie na pewno morze, a z braku morza choć ławicę mułu!

— Urodziłem się na morzu, sir — odparł sternik ze swego wygodnego miejsca, gdzie potrafił się jakoś pomieścić — a jest rzeczą naturalną, że człowiek kocha swe rodzinne strony. Nie przeczę, kapitanie Barnstable, że wolę rzucić kotwicę na muliste dno, ale jednocześnie nie czuję szczególnej abominacji do suchego lądu.

— Nigdy bym nie darował temu lądowi, gdyby jaki wypadek zdarzył się na nim Griffithowi — odparł porucznik. — Jego przewodnik może być lepszym pilotem na morzu niżli na terra firma, Długi Tomie.

Sternik zwrócił ku niemu oblicze z wyrazem jeszcze bardziej uroczystym i poważnym niż zwykle.

— Odkąd tłukę się po morzach, to znaczy odkąd zaczęto wydzielać mi pierwsze racje, a przyszedłem na ten świat na statku wśród mielizn Nantucket, jeszcze mi się nie zdarzyło, by pilot zjawił się bardziej w porę niż wczoraj na tych usianych mieliznami przybrzeżnych wodach.

— To prawda, spisał się gracko. Wielkie było niebezpieczeństwo i trzeba mu przyznać, że sprostał zadaniu.

— Ludzie z fregaty mówili mi, że prowadził okręt żelazną ręką, no, a taki statek nie lubi ocierać się kilem o dno morza.

— Czy możesz to samo powiedzieć i o tej łodzi? — krzyknął Barnstable. — Trzymaj ją z dala od fali przyboju, bo potoczmy się na brzeg jak pusta beczka od słodkiej wody. Pamiętajcie, że nie każdy potrafi brodzić po dwusążniowej głębokości.

Sternik z zimną krwią rzucił okiem na grzywy bałwanów, które wciąż jeszcze przewalały się o parę jardów od burty, i zawołał na swych ludzi: — Pociągnij parę razy wiosłami i dalej z nią na głębszą wodą! Błysnęły wiosła tnąc wodę z precyzją maszyny i lekka łódź

pomknęła po fali jak kaczka, która o włos od niebezpieczeństwa unika go w krytycznej chwili pozornie bez wysiłku. Podczas tego manewru Barnstable powstał w łodzi i bacznie wpatrywał się w nadbrzeżne urwiska, ale raz jeszcze spotkało go rozczarowanie, toteż powiedział:

— Oddalcie się od brzegu, a potem powoli wzięć kurs na szkuner. Nie spuszczać skał z oka, chłopcy. Być może tkwią w jakiejś grocie kryjąc się przed nieprzyjacielem.

Rozkaz został spełniony i sunęli z milę wśród najgłębszej ciszy, gdy nagle dał się słyszeć w pobliżu świst, a zaraz po nim plusk wody.

— Na Boga, Tom — zawołał Barnstable — to wieloryb!

— A jakże, sir — odparł nieporuszony sternik — oto jego wodotrysk o niecałe pół mili ku morzu. Wschodni wicher zagnał bestię na zawietrzną, pomiędzy mielizny. Wieloryb spał zamiast płynąć pod wiatr.

— Ale nic sobie z tego nie robił! Wcale mu się nie spieszy na pełne morze!

— I mnie się tak wydaje, sir — rzekł sternik żując spokojnie tytoń, choć jego małe, zapadłe oczki błysnęły zadowoleniem. — Jegomość zgubił kurs i nie wie, dokąd się zwrócić, aby wypłynąć na głęboką wodę.

— Tam płetwa grzbietowa! — zawołał porucznik. — To kaszalot. Prędko popłynie naprzód i tyle go będziemy widzieli.

— Nie, sir, to wieloryb — odparł Tom. — Widziałem nad nim słup wody grający pięknie podwójną tęczę, zawsze miłą dla chrześcijańskiego oka. To prawdziwa cysterna z tranem!

Barnstable zaśmiał się i odwrócił niechętnie wzrok od zwierzęcia, ale za chwilę oczy jego znów

odszukały olbrzymie cielsko, które od czasu do czasu wynurzało się na parę stóp z wody. Wreszcie żyłka myśliwska, rozbudzona wspomnieniami, wzięła w nim górę nad niepokojem o przyjaciół i młody oficer zwrócił się do sternika:

— Czy jest jaka mocna lina w łodzi? Można by ją przywiązać do harpuna, który zabieracie ze sobą bez względu na pogodę.

— Nigdy nie dam spuścić szalupy, sir, zanim się nie przekonam, że jest w niej sprzęt wielorybniczy. Nic nie raduje tak starych oczu jak beczka z liną harpunniczą.

Barnstable znów spojrzał na zegarek i na urwiska, po czym zawołał wesoło:

— Za wiosła, chłopcy, a żywo! Nic lepszego nie mamy do roboty. Poczestujemy harpunem tę bezwstydną bestię.

Załoga szalupy wydała radosny okrzyk, i nawet zakrzepłą w powadze twarz sternika okraślił grymas zadowolenia, kiedy szalupa skoczyła naprzód jak koń na wyścigach. Gdy zbliżali się do zwierza, Coffin wstał z ławeczki na rufie i przeniósł swą długą postać na dziób łodzi, gdzie począł czynić odpowiednie przygotowania. Beczka zawierająca mniej więcej połowę normalnej długości liny została umieszczona u nóg Barnstable'a, który zastąpił ster wiosłem, aby w razie potrzeby łódź można było z miejsca obrócić.

Potwór zupełnie nie zauważył zbliżenia się łodzi i w dalszym ciągu zabawiał się wyrzucaniem dwóch wodotrysków wysoko w górę. Od czasu do czasu bił płetwą ogonową po wodzie z przerażającą siłą, a kiedy nasi marynarze znaleźli się o paręset stóp od niego, dał głową naprzód nura, wznosząc resztę ogromnego „cielska na dobre kilka stóp nad powierzchnię i poruszeniami ogona czyniąc hałas podobny do wycia wichru.

Sternik stał wyprostowany z harpunem w rękę, gotów do zadania ciosu, kiedy jednak wieloryb przybrał tę niebezpieczną pozę, dał znak dowódcy, który natychmiast wstrzymał wiosłarzy. Łódź stanęła, a wieloryb bił ogonem o wodę, aż odgłos tych ciosów, odbitych o nadbrzeżne urwiska, rozniósł się echem jak kanonada. Zmęczony tym wysiłkiem potwór zanurzył się powoli i znikł sprzed oczu prześladowców.

— W którą stronę popłynął, Tom? — zawołał Barnstable straciwszy wieloryba z pola widzenia.

— Będzie się tłukł tam i z powrotem, sir — odparł sternik, któremu oczy płonęły podnieceniem. — Jeżeli nie zmieni kursu, prędko utknie nosem w mieliźnie i zaraz wypłynie, aby nabrać powietrza. Niech pan każe skrócić trochę na prawo, a ręczę, że go dostaniemy.

Stary, doświadczony harpunnik się nie mylił, gdyż w parę minut potem nowa fontanna wytrysnęła w górę, a ogromny ssak wynurzył się do połowy i skrył z powrotem, wzbijając taką falę jak okręt spuszczone ze stoczni. Po tych skokach wieloryb zdawał się jakby wypoczywać.

Barnstable i sternik obserwowali bacznie najmniejsze poruszenie zwierza, a widząc, że zachowuje się stosunkowo spokojnie, dali znak wiosłarzom. Kilka zamaszystych uderzeń wiosłami i łódź

zrównała się z wielorybem. Dziobem wskazywała ku jednej z płetw, którą widać było od czasu do czasu, kiedy przewalała się fala. Sternik zamierzył się harpunem i cisnął grot z taką mocą, że ostrze całkowicie znikło w ogromnym cielsku. Zadając cios Tom krzyknął ze szczególnym naciskiem:

— Wszyscy w tył!

— W tył! — powtórzył rozkaz Barnstable.

Marynarze sprawnie skontrolowali wiosłami i szalupa oddaliła się na tyle, że olbrzym nie mógł już jej zagrażać. Przerażony zwierzę nie myślał jednak o atakowaniu napastników, nieświadomy własnych sił, a ich słabości, i szukał ocalenia w ucieczce. Po pierwszej chwili oglupienia spowodowanego bólem ogon znów wystrzelił w powietrze, rozpryskując morze dokoła, potem zaś znikł błyskawicznie za chmurą piany.

— Trzymaj! — wrzasnął Barnstable; — Trzymaj go, Tom, już wypływa.

— Tak, sir — odparł sternik ze zwykłym opanowaniem, chwytając linę, która rozkręcała się z niebezpieczną szybkością, i okręcając ją na pieńku umieszczonym specjalnie w tym celu na rufie. Lina wyciągnęła się ku przodowi i podniosła w górę, mocno napięta, wskazując, gdzie ukaże się wieloryb. Barnstable zwrócił łódź w tę stronę, nim jeszcze przerażone i ranne zwierzę ukazało się na powierzchni. Nie traciło już czasu na skoki, ale wartko pruło wodę, płynąc z ogromną szybkością. Łódź mknęła jego śladem tak prędko, że mogła każdej chwili zostać zalana przez fale. Długi Tom, spostrzegłszy, że jego ofiara znów wyrzuca fontannę wody, wskazał z triumfem na jej barwę.

— Trafiłem w jakiś ważny organ! — zawołał. — Co najmniej dwóch stóp wielorybiego tłuszczu trzeba, żeby zatrzymać mój harpun!

— Chyba obejdzie się bez bagnetu, który umocowaliśmy na drzewcu zamiast oszczepu — odparł dowódca zapalony do łowów, na których młodość mu upłynęła. — Ujmijcie za linę, zobaczymy, czy już można się zrównać z przeciwnikiem. Nie podoba mi się kurs, którym płyniemy, bo wieloryb odciąga nas od szkunera.

— Jak pan wie, sir — rzekł sternik — stworzenie potrzebuje powietrza, gdy płynie, zupełnie jak człowiek. Ale ciągnijcie, chłopcy, zbliźmy się do niego.

Marynarze zaczęli wybierać linę i podciągnęli łódź na kilka stóp od wieloryba, który w miarę utraty krwi płynął coraz wolniej. Nagle przestał uciekać i zaczął się przewalać ciężko po fali jak gdyby w agonii.

— Czy mamy podpłynąć i dobić go, Tom? — zawołał Barnstable. — Parę ciosów zadanych waszym bagnetem wystarczy, aby z nim skończyć.

Sternik stał w łodzi przypatrując się zwierzyźnie zimnym okiem myśliwego i rzekł:

— Nie, nie, sir. Zaraz dostanie konwulsji. To dyshonor dobijać bagnetem wieloryba. W tył, sir, w tył, już zaczyna się miotać!

Ostrzeżenia rozsądnego sternika natychmiast posłuchano i łódź ostrożnie wycofała się na pewną odległość. Wyrwany nagle ze stanu zupełnego bezwładu potwór wyrzucił ogon wysoko jak podczas igraszki na fali, tylko tym razem ciosy, które zadawał, były daleko mocniejsze i następowały po sobie daleko szybciej, toteż wszystko znikło w piramidzie piany zabarwionej na purpurowo. Rykiem wieloryb dorównywał stada byków i kto by nie wiedział, co się dzieje, mógłby sądzić, że to tysiąc potworów toczy śmiertelny bój poza przesłoną z krwawej piany. Stopniowo wszystko się uspokoiło, a kiedy normalna fala przetoczyła nad tym miejscem bezbarwne swe wody, zwierz leżał wyczerpany i pokonany. Powoli czarne cielsko przewaliło się na bok, a widząc lśniąca białą skórę podbrzusza, żeglarze zrozumieli, że to zwycięstwo.

— Co z nim teraz pocniemy? — spytał Barnstable stojąc w łodzi i patrząc z coraz mniejszym zainteresowaniem na ofiarę. — Nie zda się do jedzenia, a trupa jego prawdopodobnie zniesie na ląd, co dostarczy nieprzyjacielowi tranu.

— Gdybym miał tego gagatka w Zatoce Bostońskiej — rzekł sternik — dobry kęs wpadłby mi w ręce, ale takie mam zawsze szczęście! Podpłynmy w każdym razie i niech zabiorę mój harpun i linę. Anglicy nie dostaną ich, póki stary Tom Coffin żyje.

— Nie uprzedzajcie faktów — rzekł starszy wioślarz. — Mniejsza z tym kawałkiem żelaza, gdy mamy ich na karku!

— Co mówicie? — zawołał Barnstable.

— Niech kapitan Barnstable sam zobaczy — odparł żeglarz — i powie, czy nie mam racji.

Młody oficer odwrócił się i zobaczył „Alacrity”, jak pod pełnymi żaglami omijała cypel lądu o niecałe pół mili po nawietrznej.

— Podajcie mi szkła — rzekł spokojnie. — Tak czy owak, czeka nas robota. Jeżeli kuter jest uzbrojony, musimy uciekać, jeżeli nie, możemy nim zawładnąć.

Jedna chwila obserwacji pozwoliła doświadczonemu oficerowi rozpoznać, co to za statek. Odkładając lunetę rzekł:

— To okręt wojenny, ma dziesięć kłów i wimpel króla Jerzego na topie masztu. Teraz, chłopcy, do wiosła, jeśli wam życie miłe. Choć Coffin niezawodnie żałuje swego harpuna, nie mam wcale ochoty dostać się przez to w łapy Johna Bulla.

Marynarze zrozumieli sytuację i zrzuciwszy kurty zabrali się na serio do roboty. Przez pół godziny głęboka cisza panowała w łodzi, która posuwała się ze zdumiewającą szybkością. Ale kuter miał doskonałe warunki do żeglugi, na które składała się rześka bryza, niska fala i przyptyw, toteż po wspomnianej pół godzinie dystans między ścigającymi a ściganymi zmniejszył się prawie do połowy. Barnstable zachowywał w dalszym ciągu opanowanie, ale chmura troski osiadła na jego smagłym czole, świadcząc, że zdaje sobie sprawę z bliskości niebezpieczeństwa.

— Ten Anglik ma długie nogi, Tomie — rzekł wesoło. — Musicie wyrzucić linę za burtę i piątą

parę wiosła chwycić w wasze delikatne rączki.

Tom wstał, przeszedł na dziób, wyrzucił beczkę i jej zawartość w morze, a potem zasiadł u wiosła w dziobie szalupy. Jego atletyczna postać zaczęła się chylić i prostować z zadziwiającą energią.

— Zaraz znać, że wkładacie dużo waszej filozofii w tę robotę, Długi Tomie — zawołał dowódca. — Trzymajcie się, chłopcy, bo jeśli nie zyskamy na dystansie, zyskamy przynajmniej czas na rozagę. Hej, sterniku, co myślicie o tym wszystkim? Mamy przed sobą trzy drogi. Którą waszym zdaniem należy wybrać? Po pierwsze, możemy zawrócić, walczyć i zatonać; po drugie, możemy wiosłować do brzegu i starać się uciec na szkuner lądem, a po trzecie, możemy wiosłować wzdłuż tych urwisk, pod ogniem dział przekraść się pod wiatr i w ten sposób trzymać się w przyzwoitej odległości od statku, który będzie musiał lawirować przeciwko wiatrowi. Diabli nadali tego wieloryba! Gdyby nas nie odciągnął tak daleko, ten korsarz nigdy by nas nie dogonił.

— Jeżeli staniemy do walki — odrzekł Tom z równym opanowaniem — zostaniemy schwytani lub zatopieni. Jeżeli wylądujemy, sir, pewien jestem, że dostanę się do niewoli, bo nie umiem poruszać się na lądzie, a jeśli spróbujemy wiosłować pod skałami, zostaniemy podziurawieni przez tych szczurów lądowych, którzy biegną po skałach w nadziei, że potrafią strzelić do uczciwych marynarzy.

— Jest tyle prawdy co filozofii w tych słowach, Tom — odrzekł Barnstable, któremu widok jeźdźców i piechurów na skałach odebrał niemal resztę nadziei. — Anglicy nie spali tej nocy i boją się, że Griffithowi i Manualowi źle się powodzi. Anglik ma dobry wiatr, to woda na jego młyn, pędzi jak koń wyścigowy. Hej, zaczyna się robić ciepło!

Słup białego dymu buchnął z dzioba statku, a gdy huk wystrzału doszedł ich uszu, zobaczyli, jak kula podskakuje na falach, wzbija obłoczki piany i pada daleko za szalupą. Marynarze rzucili okiem w tym kierunku, ale nie znać było po nich, by wiele sobie robili z posłanej w ślad za nimi kuli. Długi Tom powiódł za nią doświadczonego wzrokiem i zauważył:

— To piękna sztuka i głos ma donośny, ale jeśli posłyszają go na „Arielu”, Anglik pożałuje, że czyni tyle hałasu.

— Jesteś księciem filozofów, sterniku! — zawołał Barnstable. — Niech tylko Anglik pogada jeszcze trochę, a ręczę głową, że „Ariel” nie weźmie tych strzałów za grzmoty. Podajcie mi muszkiet, to mu odpowiem.

Barnstable strzelił kilkakrotnie i wyrachowanie go nie zawiodło. Rozdrażniona tym zuchwalstwem załoga kutra raz po raz ładowała działą, choć jednak kule padały czasem blisko i fontanny . wody zalewały szalupę, nie wyrządziły żadnej szkody. Ogień nieprzyjacielski wprawiał marynarzy w doskonały humor miast przejmować ich strachem, a ilekroć kula padała bliżej niż zwykle, sternik rzucał uwagę w tym rodzaju:

— Fala, dystans i mały tonaż to najlepsza obrona przed ogniem działowym — albo: — Trzeba mieć potężnego zeza, żeby nie trafić łodzi.

Ale choć kanonierzy pudłowali, kuter stale zbliżał się do szalupy i wszystko wróżyło rychły koniec

pościgu, gdy nagle za strzałem działowym z kutra runął jak echo strzał z innej strony i załoga szalupy ujrzała „Ariela” wypływającego wolno z zatoczki, w której całą noc stał na kotwicy. Dym dokoła wysmukłych masztów szkunera wił się wyzywająco.

Potężny okrzyk radości wyrwał się z piersi porucznika i całej załogi na ten Widok, kuter zaś zwinął wszystkie lekkie żagle i wykręcając pod wiatr dał salwę całą burtą w uchodzącą szalupę. Deszcz pocisków nie dosięgnął jej jednak i wzbił tylko chmurę piany.

— Zupełnie jak wieloryb w agonii — rzekł Tom Coffin.

— Jeżeli dowódca tego kutra nie jest tchórzem — zawołał Barnstable — nie rozstaniemy się tak prędko. Do wiosła, przyjaciele, do wiosła! Chciałbym zobaczyć ten kuter z bliska.

Wioślarze zrozumieli, że jeszcze raz muszą natężyć wszystkie siły. W kilka minut szalupa dobiła do szkunera. Załoga przyjęła swego dowódcę i towarzyszy gromkimi okrzykami powitania, które rozbrzmiewając nad wodami, dotarły do uszu rozczarowanych widzów na skraju urwisk nadbrzeżnych.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wiedzeni światłem i wiatrami gnani,

Wreszcie do mrocznej przybili przystani —

I tutaj w wiatru głuchy ryk Radości wdarł się głośny krzyk.

Pan wysp

Okrzyki i serdeczne powitania rozlegały się na pokładzie „Ariela” jeszcze długo po przybyciu dowódcy. Na powinszowania oficerów Barnstable odpowiadał serdecznymi uściskami dłoni, a widząc, że marynarze wciąż dają wyraz swej radości, skinął, by się uciszono.

— Dziękuję wam, chłopcy — przemówił, gdy wszyscy pilnie nadstawili ucha. — Pościg był zawzięty i gdyby „Ariel” nie ukazał się w porę, czekała nas zguba. To kuter z marynarki królewskiej i choć nie zdradza już poprzedniej ochoty do żeglowania pod wiatrem, zdaje się gotować do bitwy, bo ściera część żagli. Szczęście, że kapitan Manual wziął na ląd wszystkich piechurów (choć co zrobił z nimi, a także z samym sobą, jest tajemnicą), bo nie mielibyśmy się gdzie obrócić; tak jak rzeczy jednak stoją, mamy rzeźwy wiatr do manewrowania i gładką wodę, a wobec narodu obowiązek sprawić cięgi temu Anglikowi, toteż bez żadnych słów zawracajmy i do roboty, bo spieszno nam na śniadanie.

Wysłuchawszy tej iście marynarskiej odezwy, załoga wzniosła okrzyk, gdyż młodzi marynarze rwali się do bitwy, a paru starszych trzęsło potakująco głowami, klnąc na czym świat stoi, że kapitan umie mówić, kiedy trzeba, jak najlepszy kod sygnałowy.

Przez ten czas „Ariel” okryty chmurą żagli szedł ostro pod wiatr, a ponieważ chodził takim kursem bardzo dobrze, szybko odskoczył od lądu i znalazł się na pełnym morzu, skąd żołnierze rozmieszczeni wśród urwisk widoczni byli jak na dłoni. Barnstable raz po raz spoglądał przez lunetę na skały, szarpany sprzecznymi uczuciami.

— Jeżeli Griffith siedzi gdzie między tymi skałami — rzekł — będzie świadkiem niezwykle krótkiej dysputy między nami a tymi dżentelmenami, o ile nie zmienią oni kursu i zamiarów. A jak pan myśli, panie Merry?

— Pragnąłbym z duszy i serca, sir — odpowiedział nieustraszony chłopiec — żeby pan Griffith był między nami. Całe wybrzeże zdaje się być zaalarmowane i Bóg raczy wiedzieć, co się stanie, jeżeli został schwytany. Co się zaś tyczy korsarza po nawietrznej, to przekona się on wkrótce, że łatwiej uganiać się za łodzią niżli walczyć z jej statkiem macierzystym, zachodzę jednak w głowę, czy odważy się przyjąć bitwę.

— Bez wątpienia, chłopcze — rzeki Barnstable — żegluj od brzegu, co świadczy o jego dobrych zamiarach, a poza tym wypatruje pilnie, do jakiego plemienia Indian amerykańskich należymy. Wkrótce zobaczysz, że znów zrobi zwrot i pośle nam parę sztuk żelaza, abyśmy wiedzieli, gdzie go

szukać. Choć twój porucznik, panie Merry, jest moim przyjacielem, wolę," że znajduje się na lądzie w tej chwili. Teraz nie poszedłbym chętnie pod niczyje dowództwo. Ale powiedz no doboszowi, by uderzył na alarm.

Chłopiec, który ugiął się pod ciężarem tego melodyjnego instrumentu, nie czekając, aż praktykant powtórzy mu rozkaz, zaczął wybijać na bębnie parę taktów zdolnych zawsze wyrwać tysiące ludzi z najgłębszego snu i wezwać do broni. W tym czasie załoga „Ariela” stała gromadkami, obserwując zachowanie nieprzyjaciela, sypiąc żartami i oczekując zwykłego rozkazu. Przy pierwszym takcie bębna wszyscy rozpierzchli się na posterunki. Koło dział skupiło się po kilku krzepkich młodych ludzi atletycznej budowy, paru pozostałych na szkunerze piechurów stanęło z muszkietami, a przy nich oficerowie w hełmach abordażowych, z pistoletami za pasem i obnażonymi pałaszami w ręku. Barnstable pewnym krokiem przemierzał mostek kapitański, okręcając na palcu rzemienny pasek tuby lub przykładając do oka lunetę, którą trzymał pod pachą. Pałasz położył przy pięcie masztu, a parę ciężkich pistoletów miał za pasem. Sterty muszkietów, haków abordażowych i obnażonych pałaszy leżały na pokładzie. Śmiechów nie było już słychać, a jeśli marynarze mówili między sobą, to przyciszonym głosem.

Angielski kuter trzymał kurs, póki nie znalazł się na dwie mile od brzegu. Wówczas zwinął część żagli i skręciwszy na wiatr, dał strzał w kierunku przeciwnym, niż podążał „Ariel”.

— Postawiłbym kwintal sztokfisz, Długi Tomie — rzekł Barnstable — przeciw antałkowi najlepszemu porteru z browarów tej wyspy, że Anglik boi się, aby szkuner Jankesów nie pozęgłował wprost pod wiatr. Jeśli chce się z nami dogadać, dlaczego nie doda żagli i nie podejdzie bliżej.

Sternik poczynił przygotowania do bitwy na swój sposób, z większą rozwagą i daleko metodyczniej niżli ktokolwiek inny. Kiedy zadudnił bęben, ściągnął kurtę i koszulę bez wahania, jakby stał pod słońcem Ameryki, i z roztropnością człowieka przystępującego do roboty, przy której konieczna jest swoboda ruchów. Ponieważ był na „Arielu” osobą uprzywilejowaną, uchodził za wyrocznie w sprawach żeglarskich i sam dowódca słuchał go z respektem, nikt nie odważył się wyrazić zdziwienia. Stał tedy przy długim dziale, skrzyżowawszy potężne ramiona na piersi, czerwony od wiatru i zimna, z rozwianymi kosmykami siwych włosów, górując nad wszystkimi.

— Tuli się do wiatru jak do kochanki — brzmiała jego odpowiedź — ale wkrótce pójdzie z nim, a jeśli nie pójdzie, to i tak znajdziemy sposób, aby mu w tym pomóc.

— Hej, pełnym wiatrem! — zawołał dowódca surowo. — Niech statek żywiej tnie wodę. Ten kuter dobrze pędzi, Długi Tomie. Ciągłe mamy go przed dziobem. Jeżeli będzie nadal tak ciągnął, noc zapadnie, zanim dojdzie do abordażu.

— Tak jest, sir — odparł sternik. — Te kutry niosą kupę żagli, chociaż wydaje się, że mają ich niewiele. Ich gafle są równie długie jak borny i można na nich napiąć mnóstwo żagla. Ale nic trudnego, gdy odpadną w tył i na zawietrzną, strącić im trochę tych płacht.

— Tym razem mówicie do rzeczy — rzekł Barnstable. — Trzeba się spieszyć, gdyż obawiam się o nasz oddział desantowy. Nie chciałbym wprawdzie robić hałasu, ale trudno. Przemów do nich, Tom, a zobaczymy, co odpowiedzą.

— Tak, sir — krzyknął sternik pochylając swą olbrzymią postać nad działem. Rzucił kilka rozkazów i wycelował, a potem błyskawicznie przytknął lont do zapłonu. Ogromny kłęb białego dymu i wstęga ognia buchnęła z mosiężnej paszczy. Pod parciem wiatru słup dymu podniósł się z powierzchni morza, rozpostarł na kształt chmury i skroś olinowanie szkunera został odegnany na zawietrzną, gdzie wsiąkł w lawinę mgły sunącą od lądu.

Ze szczytów urwisk wiele par oczu przypatrywało się temu widowisku, ale załoga „Ariela”, dla której nie było w tym nic nowego, interesowała się tylko rezultatem wystrzału. Barnstable wskoczył lekko na lawetę, by nie stracić z oczu statku nieprzyjacielskiego. Tom Coffin, ledwie przytknął lont do zapalnika, uskoczył w bok, jedną ręką oparł się na działem, drugą na pokładzie i tak przygięty wyglądał przez luk działem w pozycji, którą mało kto potrafiłby naśladować.

— Lecą drzazgi! — zawołał Barnstable. — Brawo, Tomie Coffin, nigdy celniej nie postaliście Anglikom żelaza. Poczęstujcie go jeszcze. Jeżeli gra przypadnie mu do gustu, możemy zagrać w kręgle.

— Tak, sir — odparł sternik, który z chwilą gdy przekonał się o efekcie strzału, zabrał się do nabijania działem. — Jeśli będzie się tak wahał jeszcze z pół godziny, zmniejszę go do naszego rozmiaru i wtedy będziemy mogli pójść na abordaż.

W tej chwili dał się słyszeć werbel ze statku nieprzyjacielskiego, który oznaczał, że załoga zajmuje posterunki, co na „Arielu” uczyniono już dawniej.

— Aha, zabraliście się do dział! — rzekł Barnstable. — Usłyszemy teraz, co powiedzą. Zbudźcie ich, Tom. Jeszcze go raz.

— Musi się obudzić z tej drzemki, jeśli nie chce zasnąć na zawsze — odparł sternik, który nikomu nie dał się przynaglać, nawet swemu dowódcy. — Moje kule są podobne do gromady delfinów, które płyną jeden za drugim. Hej, podsunąć mi wylot działem naprzód! Tak. A ty wyłaż stamtąd, nicponiu jeden, i zostaw w spokoju mój harpun!

— A wam co w głowie, Tom? — krzyknął Barnstable. — Chcecie wstrzymać ogień, czy co?

— Nie widzicie, panie, tego chłopaka, który bawi się moim harpunem przy luku odpływowym. Kiedy najbardziej będę harpuna potrzebował, nie znajdę go pod ręką.

— Pal sześć chłopca, Tom. Przyślijcie mi go tu na pomost, a natrę mu uszu. Poczęstujcie teraz Anglika żelazem.

— Potrzebny mi ten mały do podawania ładunków — odparł rozżłoszczony marynarz. — Niech pan będzie tak dobry, sir, i porządnie go stuknie, kiedy będzie przechodził koło pana do składu amunicji. To nauczy go rozumu i dyscyplina okrętowa tylko na tym zyska. Ty marynowany śledziu! Bawić się będzie narzędziem, którego w rękę trzymać nie umie. Gdyby rodzice nauczyli cię dobrych manier, mogliby się mniej wykosztować na twój ekwipunek, a byłbyś dżentelmenem w porównaniu z tym, czym jesteś.

— Hej, Tom! — zawołał Barnstable zniecierpliwiony. — Czy wasz imiennik zaniemówił na amen?

— Nie, sir, wszystko gotowe — mruknął sternik. — Podnieście odrobinę, tak, tak. A przekłety małpiznon! Popamięta mnie jeszcze. Trochę wyżej. Tu macie lont. Pal!

Tym strzałem rozpoczęła się właściwa bitwa, gdyż natychmiast po nim nieprzyjaciel, któremu nie uśmiechała się ta zabawa, odpowiedział salwą z całej burty. Salwa była dobrze wymierzona, ale nie dosięgła „Ariela”, gdyż działa „Alacrity” były zbyt lekkie. Tylko jedna czy dwie kule stuknęły o jego burtę i odpadły nie czyniąc szkody. Tom Coffin, który odzyskiwał humor, w miarę jak bitwa stawała się coraz gorętsza, zauważył z właściwym sobie spokojem:

— To są klapsy, nic więcej. Czy może Anglicy myślą, że strzelamy na wiwat?

— Wyprowadź ich z błędu, Tom! Każdy twój strzał będzie otwierał im oczy — odkrzyknął Barnstable zacierając ręce, zadowolony, że dochodzi do starcia.

Dotychczas tylko sternik i obsługa jego działa mieli robotę na „Arielu”. Inni kanonierzy stali beczynnymi u dział mniejszych i lżejszych, ale nie upłynął i kwadrans, gdy dowódca „Alacrity”, zdumiony w pierwszej chwili kalibrem nieprzyjacielskiego działa, zorientował się, że nie byłby już w stanie uciekać, gdyby nawet chciał. Obrął więc jedyny kurs, który odważnemu człowiekowi pozostawał do obrania, a mianowicie postanowił jak najprędzej zetknąć się z nieprzyjacielem i nie narażać swego statku na zniszczenie ogniem działowym. Barnstable orlim wzrokiem śledził każdy ruch przeciwnika i po chwili kazał otworzyć ogień ze wszystkich dział. Zawrzała, bitwa. Dech paszcz armatnich, ziejących ustawicznie ogniem, przeciwstawiał się wiatrowi i nad masztami „Ariela” zawisł wkrótce baldachim gęstego dymu, który wił się również jego śladem, znacząc drogę szkunera do miejsca rozstrzygającego starcia. Okrzyki młodych marynarzy manewrujących narzędziami zniszczenia stawały się coraz dziksze i przeraźliwsze, tylko sternik pracował w ciszy i skupieniu, jak człowiek naprawdę idący za swym powołaniem. Barnstable był niezwykle spokojny, zrównoważony i zachowywał powagę dowódcy, od którego zależą losy bitwy, choć oczy jego ciskały błyskawice. — Zadajcie im bobu! — wołał od czasu do czasu głosem tak donośnym, że słyhać go było wśród ryku dział. — Nie mierzcie w olinowanie, chłopcy! Mierzcie nisko! Pogruchotać im burty!

Anglik tymczasem walczył po męsku. Poniósł wielkie straty od dalekonośnego ognia przeciwnika, na który nie był w stanie odpowiedzieć, i teraz usiłował naprawić błąd popełniony na początku walki. Oba statki zbliżały się do siebie coraz bardziej, aż wsiąkły w chmurę dymu, która ciągle gęstniała i otoczyła ciemne kadłuby, zakrywając je przed oczyma ciekawych widzów na lądzie. Głuchy huk wystrzałów armatnich pomieszał się z traskiem muszkietów i pistoletów, a błyski ognia przeświecały przez chmurę, która spowiła walczących. Żołnierze śledzący ze skał przebieg bitwy długo musieli czekać w denerwującej niepewności, nim zorientowali się, na którą stronę padło zwycięstwo.

My jednak wkroczyliśmy za dymną zasłonę w ślad za walczącymi i ukażemy czytelnikowi wypadki, jakie się tam rozegrały.

Ogień z „Ariela” był szybszy i celniejszy, ponieważ szkuner . mniej ucierpiał i jego załoga mniej

była wyczerpana, toteż jedyną szansą kutra było dopaść nieprzyjaciela, szepić się z nim i stoczyć walkę wręcz. Barnstable przejrzał i zrozumiał ten plan, nie był jednak zdolny oceniać na zimno swej przewagi, gdy w grę wchodziła duma i męstwo, spotkał więc nieprzyjaciela w pół drogi i dzięki wysiłkom obu załóg dziób kutra szczepiono z rufą szkunera. Wśród tumultu dał się wyraźnie słyszeć głos angielskiego dowódcy. Zbierał ludzi do ataku.

— Naprzód! Odeprzeć tam abordażników na prawej burcie! — zagrział Barnstable przez tubę.

Był to ostatni rozkaz wydany przez tubę, gdyż ledwie dzielny oficer skończył mówić, rzucił ją, chwycił za pałasz i skoczył ku miejscu, które nieprzyjaciel zamierzał sforsować. Rozległy się teraz zewsząd krzyki, przekleństwa, szyderstwa walczących, gdyż działa zamilkły, nie mogąc razić na tak bliski dystans, a bitwa toczyła się tylko na muszkiety i pistolety.

— Zrzućcie go z pokładu! — krzyknął wskazując na Barnstable'a dowódca Anglików, który stanął na nadburciu swego statku z dziesiątkiem najodważniejszych ludzi. — Wrzućcie tych buntowniczych psów do morza!

— W nich, piechota! — zawołał Barnstable paląc z pistoletu do nieprzyjaciela. — Niech ani jeden nie pociągnie więcej grogu!

Podkomendni Barnstable'a wypełnili jego rozkaz niemal co do joty. Dowódca „Alacrity”, osamotniony, cofnął się spiesźnie, by wprowadzić w ogień nowych ludzi.

— Na abordaż! Starcy i chłopcy, żeglarze i kto żyw! — krzyknął Barnstable i ruszył na czele załogi; w tej chwili jednak żelazna ręka zatrzymała nieustraszonego młodzieńca i nim miał czas ochłonąć ze zdumienia, odciągnęła go na własny statek.

— Dostał już przedśmiertnych konwulsji — rzekł Tom — i byłoby bez sensu włączyć mu pod pletwy. Pójdę i dobiję go harpunem.

Nie czekając na odpowiedź sternik skoczył ku burtom; już spiętrzyła się nad nimi jego ogromna postać, już miał dać susa aa dziób kutra, gdy fala rozdzieliła oba statki i z głośnym pluskiem wpadł w morze. Kiedy Tom ukazał się nad burtą, nieprzyjaciel dał salwę z dwudziestu co najmniej muszkietów i pistoletów marynarze z „Ariela” sądzili więc, że padł od kul, i jak jeden mąż rzucili się na zew dowódcy:

— Zemsta za Długiego Toma! Na abordaż! Długi Tom, śmierć i zniszczenie!

Wpadli na nieprzyjaciela z wielkim impetem i przebili się naprzód, zlewając pokład kutra krwią. W mgnieniu oka dotarli na dziób. Dowódca Anglików nie stracił fantazji, choć wrogowie przeważali liczebnie, sformował więc swych ludzi, a sam stanął w pierwszej linii. Walczono na piki i pałasze, sypały się zewsząd śmiertelni ciosy, podczas gdy dalsze szeregi słały w gąszcz ludzki kule z muszkietów i pistoletów.

Barnstable zostawił swych marynarzy w tyle i ściągnął na siebie szczególną wściekłość cofających się nieprzyjaciół. Tak się zdarzyło, że obaj dowódcy walczyli na dwóch przeciwległych krańcach

kutra. Zwycięstwo zdawało się przechylać to na tę, to na tamtą stronę, zależnie od tego, gdzie prowadzili swych ludzi. Anglik widząc, że wszędzie, gdzie go nie ma, zwyciężają Amerykanie, rzucił się naprzód wraz z kilkoma najdzielniejszymi marynarzami. Idący przed nim żołnierz z odległości zaledwie dwóch stóp wycelował z muszkietu w głowę dowódcy amerykańskiego i już miał pociągnąć za cyngiel, kiedy Merry przemknął między walczącymi i zadał mu cios sztyletem. Ranny nie wypuścił muszkietu z ręki i z okropnym przekleństwem wymierzył w młodocianego napastnika, ten jednak uchylił się i wbił Anglikowi sztylet w serce.

— Hura! — wrzasnął z rufy Barnstable nie domyślając się, co mu groziło, i z paroma ludźmi pędząc naprzód. — Zemsta za Toma! Długi Tom i zwycięstwo!

— Mamy ich! — krzyknął Anglik. — Puśćcie go i weźcie w dwa ognie!

Prawdopodobnie bitwa skończyłaby się zupełnie inaczej, gdyby nie zaszedł nieprzewidziany wypadek. Dzika, przerażająca postać wynurzyła się z wody i w jednej chwili stanęła na pokładzie kutra. Był to Długi Tom, ociekający wodą, pałający pragnieniem zemsty za doznaną porażkę, z siwymi włosami zlepionymi solą morską, z harpunem w ręku, niby Neptun wznoszący swój trójząb. Bez słowa zamachnął się harpunem i przygwoździł nieszczęsnego dowódcę Anglików do masztu jego własnego statku.

— Wszyscy w tył! — krzyknął Tom z przyzwyczajenia, kiedy zadał cios, i schwyciwszy muszkiet zabitego żołnierza rozdawał wokoło druzgocące ciosy kolbą, jakby zapomniał o istnieniu bagnetu. Nieszczęsny dowódca „Alacrity” uniósł jeszcze szablę i wstrząsał nią, tocząc dziko oczyma. Wił się chwilę w przedśmiertnej agonii, wreszcie głowa opadła mu na zbroszoną pierś i zwisał na maszcie — straszny widok dla załogi. Ten i ów Anglik zatrzymał się i skamieniał ze wzrokiem utkwionym w trupa, ale większość zbiegła w popłochu na dolny pokład albo pospieszyła ukryć się w zakamarkach okrętu, pozostawiając „Alacrity” we władaniu Amerykanów.

Dwie trzecie załogi kutra albo legło, albo poniosło rany czy kalectwo w tym krótkim starciu, a Amerykanie okupili zwycięstwo życiem kilku dzielnych towarzyszy. W chwili triumfu jednak strat nie liczono i głośnymi okrzykami witano zwycięstwo, ale gdy pierwsze upojenie minęło, Barnstable wydał rozkazy, jakie dyktował mu obowiązek i względy humanitarne. Podczas gdy statki rozdzielano, usuwano ciała zabitych i zbierano rannych; chodził w głębokiej zadumie po pokładzie kutra. Przesunął dłonią po osmolonym i spryskanym krwią czole i coraz to podnosił wzrok na ogromny baldachim dymu, który kłębił się nad oboma statkami na kształt gęstej mgły wstającej z morza. Rezultat tych rozmyślań Barnstable oznajmił po chwili załodze.

— Ściągnąć nasze bandery — zawołał — podnieść banderę Anglika z powrotem i pokazać nieprzyjacielskie barwy ponad banderą „Ariela”.

Ukazanie się całej angielskiej floty z kanału La Manche nie wprowadziłoby zwycięzców w takie osłupienie jak ten nieoczekiwany rozkaz. Zdumieni marynarze przerywali robotę, by przyjrzeć się zmianie bander, tych symboli otoczonych szczególną czcią, nikt jednak nie śmiał szemrać otwarcie prócz Długoego Toma, który stał na pomoście kutra prostując koniec odzyskanego harpuna z takim przejęciem, jakby od tego zależało co najmniej utrzymanie zdobytego statku. Słyszając rozkaz przestał zajmować się harpunem i wyraził głośno swe niezadowolenie:

— Jeżeli Anglicy nie mają dość tej zabawy i uważają zwycięstwo za podstęp — mruknął — zaczniemy wszystko od początku, sir a ponieważ brak im ludzi, niech poślą łódź na brzeg i sprowadzą bandę tych leniwych płazów, tych żołnierzy, którzy stoją tam i gapią się na nas jak czerwone jaszczurki pełzające po kamieniach, a spróbujemy szczęścia jeszcze raz. Tylko, do diaska, po co mamy garbować im skórę, jeśli potem podnosimy ich kolory.

— Czego tam zrzędzicie, Tomie, jak stary mors? — spytał Barnstable. — Gdzie są nasi przyjaciele i współobywatele, którzy wyruszyli na ląd? Czy mamy ich zostawić w potrzebie, aby poubierano nimi szubienice i powtrącano ich do lochów?

Sternik wysłuchał tych słów z wielką powagą, potem zaś klepnął się rozwartą dłonią w żylaste udo z trzaskiem podobnym do wystrzału pistoletowego i odpowiedział:

— Rozumiem teraz, sir. Pan przypuszcza, że czerwone kaftany schwytały pana Griffitha. Więc, kapitanie Barnstable, niech pan wprowadzi szkuner na płytką wodę i zarzuci kotwicę na odległość strzału długiego działa, mnie zaś da szalupę z pięciu lub siedmiu ludźmi, a ręczę, że mi nie ujdą.

— Szalony! Sądzicie, że załoga szalupy może pokonać pięćdziesięciu żołnierzy?

— Żołnierzy! — powtórzył Tom, który po walce jeszcze nie ostygł w zapale, i strzepnął palcami z nieopisaną pogardą. — Ot, tyle sobie robię z wszystkich żołnierzy. Jeden wieloryb mógłby położyć ich z tysiąc, a tu stoi człowiek, który w swoim życiu zabił setkę wielorybów.

— Wstydzilibyś się, stary harpunniku, na starość robi się z was samochwał!

— To nie nazywa się samochwalstwo, to jakby czytał z dziennika okrętowego! Ale jeśli pan, kapitanie Barnstable, przypuszcza, że Tom Coffin robi z gęby tubę do trąbienia, niech pan pozwoli mi spuścić łodzie.

— Nie, nie, mój stary nauczycielu — odrzekł Barnstable łagodnie. — Znam cię zbyt dobrze, bracie Neptuna. Dlaczego jednak nie wprowadzić w błąd Anglików i nie okazywać fałszywych kolorów, póki nie nadarzy się nam sposobność wyratowania naszych rodaków?

Sternik długo trząsał głową i odpowiedział po namyśle:

— Tak, sir, to głęboka filozofia, głęboka jak morze. Niech się teraz śmieją, tym głupsze będą mieli miny, gdy dowiedzą się prawdy.

Rozumowanie to wpłynęło na Toma pocieszająco i nie przeszkadzał już nikomu naprawiać szkód i zabezpieczać zdobycznego kutra. Nielicznych jeńców, którzy nie ponieśli szwanku, przeprowadzono na „Ariela”. Nagle uwagę Barnstable'a zwróciło zbiegowisko u jednego z luków i zobaczył, że paru marynarzy wyciąga z wnętrza statku jakiegoś jegomościa, którego zachowanie i fizjonomia zdradzają nieprzytomny strach. Porucznik przyjrzał mu się i zawołał zdumiony:

— Kogóż to mamy? Amatora bitew szukającego przygód? Czy może ochotnika służącego w ten sposób królowi? A może malarza batalistę lub autora w pogoni za tematem? Za pozwoleniem, sir, w jakim charakterze służyliście na tym statku?

Jeniec rzucił na oficera ukradkowe spojrzenie, bojąc się zobaczyć Griffitha, ale nie znana twarz dodała mu otuchy i pozwoliła odpowiedzieć.

— Dostałem się tu przypadkiem. Byłem na kutrze, kiedy jego zmarły dowódca postanowił uderzyć na panów. Nie mógł odesłać mnie na ląd, co pan chyba zrobi, ponieważ nie uważa mnie pan za żołnierza...

— Bo pan nim nie jest — przerwał Barnstable — i gołym okiem da się to wyczuć, stoi to na panu wypisane od dzioba do rufy, ale pewne ważkie wzglądy...

Urwał na znak dany przez praktykanta, który szepnął mu do ucha:

— To Dillon, kuzyn pułkownika Howarda. Widywałem go często kręcącego się koło mej kuzynki Cecylii.

— Dillon! — zawołał Barnstable zacierając ręce z ukontentowania. — Co, Kit przesławny? Ten z twarzą mieszkańca Savannah, czarnymi oczyma i skórą mniej więcej tejże barwy! Trochę wybielał ze strachu. Ale to łup, który obecnie wart ze dwadzieścia takich kutrów jak „Alacrity”.

Słowa te wypowiedział półgłosem i z dala od jeńca, do którego podszedł po chwili.

— Wzglądy polityczne, a przeto mój obowiązek — rzekł — wymagają, abym zatrzymał pana na krótko, sir, ale rozgość się pan na naszym statku. Dobrze przyjęcie na nim niech lżejszą uczyni panu tę niewolę.

Nie czekając na odpowiedź Barnstable skinął mu głową i odszedł kierować manewrami obu statków. Wkrótce zameldowano, że są gotowe do rozwinięcia żagli. Lawirowano powoli wzdłuż lądu, jakby zamierzano powrócić do zatoki, z której kuter rano wyruszył, Żołnierze z urwisk zaczęli wydawać radosne okrzyki, na które Barnstable, wskazując łopoczącą na wietrze banderę, nakazał marynarzom odpowiadać w sposób jak najserdeczniejszy, Ponieważ dystans i brak łodzi uniemożliwiał nawiązanie kontaktu, żołnierze popatrzyli w ślad za statkami i odeszli ze skał, a wkrótce całkiem znikli z oczu przedsiębiorczym marynarzom. Godzina po godzinie upływała na żmudnej żegludze przeciw prądowi i krótki dzień dobiegał końca, nim zbliżyli się do obranej na przystań zatoki. Podczas jednego ze zwrotów kuter, na którym pozostawał Barnstable, minął wieloryba. Ogromne cielsko wyglądało spod fal podobne do skały i otoczone już głodnymi rekinami.

— Popatrz, Tomie Coffin — wykrzyknął porucznik wskazując wieloryba. — Rekiny mają żer, nie wypełniliście chrześcijańskiej powinności grzebania umarłych.

Stary marynarz rzucił melancholijne spojrzenie na zabitego wieloryba i odpowiedział:

— Gdybym miał tego potwora w Zatoce Bostońskiej albo na Przylądku Piaszczystym w Munny Moy, byłby ładny grosz na starość! Ale bogactwa i zaszczyty są dla wielkich tego świata i wykształconych, a biednemu Tomowi nie pozostaje nic, tylko żeglować na resztkach sztormu swego

życia i lawirować tak, aby nie stracić masztów.

— Cóż to, Długi Tomie? — zawołał oficer. — Uniknąwszy raf na tych wodach, gotowicie się rozbić na mieliznach poezji. Stajecie się sentymentalni!

— Te wody tutaj są złe i może się na nich rozbić każdy statek — odparł sternik biorący wszystko dosłownie. — Co zaś do poezji, to znam tylko starą pieśń kapitana Kidda, ale widok wieloryba o pojemności osiemdziesięciu beczek pożeranego przez rekiny może obudzić melancholijne myśli nawet w Indianinie z Przylądka Poge. Co za oburzające marnotrawstwo! Stary Tom Coffin widział śmierć może dwustu tych stworzeń, a mimo to racje otrzymuje zawsze te same.

Kiedy statek minął wieloryba, sternik ruszył na rufę, gdzie siadłszy na małej szalupie i wsparłszy głowę na kościstej ręce utkwiał wzrok w przedmiocie swych melancholijnych dumań. Cielsko to błyskało w promieniach słonecznych białą skórą podbrzusza, to czarnym odwracało się grzbietem, aż wreszcie znikło mu z oczu. Tymczasem żeglarze wpłynęli do zatoki tak spokojnie, jakby byli Anglikami i zwycięzcami

Paru ciekawych i uradowanych widzów czekało na brzegu, toteż Barnstable przez wzgląd na bezpieczeństwo nakazał załodze zachowywać jak największą ostrożność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nasza cię trąba wzywa do układów.

Król Jan

Gdy Griffith i jego towarzysze wypadli z oficyny Opactwa Św. Ruty, nie znaleźli na swej drodze nikogo, kto mógłby przeszkodzić ich ucieczce i wszcząć alarm. Nauczony smutnym doświadczeniem unikali miejsc, gdzie na pewno stoją wartownicy, choć zdecydowani byli złamać wszelki opór. Wkrótce minęli najbardziej niebezpieczny teren, z pół mili przeszli forsownym marszem w głuchym milczeniu, jak ludzie oczekujący w każdej chwili spotkania z nieprzyjacielem i gotowi walczyć z nim do ostatka. Kiedy jednak weszli w las otaczający wspomnianą już ruinę, zwolnili kroku i zaczęli rozmawiać półgłosem.

— Uciekliśmy w sam czas — rzekł Griffith. — Łatwiej by mi przyszło znieść niewolę niżli spowodować rozlew krwi w spokojnym domu pułkownika Howarda.

— Szkoda, sir, że dopiero teraz przyszedłeś do tego przekonania — odparł pilot tonem bardziej surowym niż słowa.

— Być może zapomniałem o mym obowiązku pragnąc poznać los rodziny, którą mam powody szczególnie się interesować — odparł Griffith, w którym najwyraźniej toczyła się walka między dumą a szacunkiem. — Ale teraz nie czas na próżne żale. Rozumiem, że pod pańskim kierownictwem mamy wypełnić ważne zadanie, toteż czyny więcej znaczą niżli usprawiedliwienia. Jakie są pańskie rozkazy?

— Bardzo się boję, że projekt nasz spełznie na niczym — rzekł pilot posepnie. — Z porannymi mgłami alarm potoczy się po kraju i zaraz zaczną ściągać dzierzawcy, zaczną się zjazdy szlachty i wszelka myśl o rozrywce zostanie poniechana. Na wieść o desancie na jakie dziesięć mil w głąb kraju wszystkich sen odleci.

— Cóż, spędziłeś pan wśród nich pewno niejedną bezsenną noc, mości pilocie — odrzekł Manual. — Że im się tak często przytrafia dostawać gęziej skórki, mają do zawdzięczenia Francuzowi Thurot jeszcze w wojnie z 1756 roku, ale w głównej mierze naszemu zawadiace, Krwawemu Szkotowi. Koniec końców Thurot ze swoją flotą tylko ich trochę nastraszył i biedak został wreszcie zduszony przez parę małych krążowników, jak dobosz pod czapką grenadierską, ale dzielny Paul, ten na inną nutę zagrał do tańca swym rodakom...

— Sądzę, że zaraz pan sam puścisz się w płasy — przerwał mu Griffith — z radości, że ominęło pana angielskie więzienie. — Ścisłej mówiąc, angielski stryżek — ciągnął z satysfakcją oficer — bo gdyby sąd polowy lub nawet cywilny rozważył sposób, w jaki dostaliśmy się na tę wyspę, wątpię, czy byłoby z nami lepiej niżli z samym nieustraszonym Paul...

— Dość! — zawołał zniecierpliwiony Griffith. — Dość tej bezsensownej gadaniny, kapitanie Manual. Mamy teraz poważniejsze sprawy do omówienia. Jaki kurs zdecydował się pan obrać, panie

Gray?

Pilot ocknął się z głębokiej zadumy i po chwili milczenia przemówił cicho, jak człowiek przygnębiony brzemieniem melancholii:

— Noc już minęła i mamy pierwszą ranną wachłę, ale jeszcze za wcześnie, by słońce ukazało się na tej szerokości w samym środku zimy. Muszę odejść, przyjaciele, i połączyć się z wami dopiero za jakie dziesięć godzin. Trzeba zbadać, czy plan nasz da się jeszcze wykonać, zanim podejmiemy jakąś decyzję, a tego nie może zrobić nikt oprócz mnie. Gdzie się spotkamy?

— Mam informacje, że niedaleko stąd jest opuszczona ruina — rzekł Griffith. — Może znajdziemy w niej schronienie i samotność.

— Myśl jest dobra — odparł pilot. — Ruina może posłużyć teraz podwójnemu celowi. Czy potrafi pan odnaleźć miejsce, gdzie zostawił pan swych żołnierzy, kapitanie Manual?

— Co za pytanie! Czy pies ma węch? Czy potrafi gonić po świeżym tropie? — zawołał oficer piechoty morskiej. — Czy pan sądzi, signor pilota, że generał potrafi rozmieścić swe siły w zasadzce, a potem nie może ich odnaleźć? Na Boga! Pół godziny temu wiedziałem jeszcze, gdzie te łajdaki chrapią z głowami wspartymi na tornistrach, i wyrzekłbym się najwyższego stopnia w armii Waszyngtona, byle ich móc wówczas pchnąć do ataku.

Nie wiem, jak dla was, panowie, ale dla mnie widok tych dwudziestu zuchów byłby radosny. Roznieśliśmy kapitana Borroughcliffe'a i jego rekrutów na bagnietach zupełnie jak ten wcielony diabeł...

— Dość, dość, Manual — rzekł Griffith zniecierpliwiony na dobre. — Ciągłe zapominasz pan o naszym położeniu i o celu naszej wyprawy. Czy możesz pan, nim się rozwidni, przyprowadzić tu swych ludzi, i to tak ostrożnie, aby ich nie dostrzeżono?

— Wystarczy mi na to pół godziny.

— Więc chodźcie ze mną, kapitanie, a wskażę wam miejsce spotkania — podjął Griffith. — Pan Gray też może je przy okazji zobaczyć. Poprzez zasłonę ciemności dostrzegli, że pilot daje im znak, aby szli naprzód, toteż ruszyli ostrożnie na poszukiwanie upragnionej kryjówki. Po krótkiej chwili natknęli się na szczątki murów otaczające znaczną przestrzeń, a miejscami piętrzące się na tle nieba i rzucające głęboki cień na pobliskie zarośla.

— Tego nam właśnie potrzeba — powiedział Griffith, gdy uszli kawałek wzdłuż rozwalonego muru. — Przyprowadź pan swych ludzi w to miejsce, tu was spotkam i zaprowadzę do lepszej kryjówki, której poszukam podczas pańskiej nieobecności. — Prawdziwy raj po „Arielu” — zawołał Manual. — Znajdzie się tu pewnie między drzewami miejsce do musztry, do której dusza moja tęskniła przez sześć długich miesięcy.

— Dość! Dość! — wykrzyknął Griffith. — Nie czas na bezcelowe musztry. Powinniśmy się cieszyć, jeżeli znajdziemy schronienie do czasu decydującej bitwy.

Manual odchodził powoli, lecz nagle odwrócił się i spytał:

— Czy mam wystawić małą pikietę, zwykły posterunek kaprałski, na otwartej przestrzeni i połączyć ją łańcuchem strażników z szańcami?

— Nie mamy szańców, nie potrzebujemy strażników — odparł niecierpliwie dowódca. — Bezpieczeństwo nasze zależy wyłącznie od tego, czy zdołamy się dobrze ukryć. Poprowadź pan swych żołnierzy pod osłoną drzew i kieruj się tymi trzema gwiazdami. Niech staną w jednej linii z północnym skrajem lasu...

— Nie, panie Griffith — przerwał Manual — oddziałem wojsk lądowych nie kieruje się jak statkiem za pomocą kompasu. Wierzajcie mi, sir, że marsz odbędzie się potajemnie, choć w wojskowym porządku.

Z tymi słowy piechur odszedł spieszenie, nie dając porucznikowi czasu ani na odpowiedź, ani na tłumaczenie. Jeszcze parę minut słyhać było, jak przedziera się przez zarośla. Pilot stał oparty o mur, ale kiedy kroki ucichły w oddali, wyszedł z najgłębszych ciemności i zbliżył się do swego młodego towarzysza.

— Zawdzięczamy temu oficerowi ucieczkę. Mam nadzieję, że nie zgubi nas swą nierozwagą.

— Z niego, jak mówi Barnstable, jest człowiek prostoliniorny — odpowiedział Griffith. — Trzyma się swojej linii w kwestiach zawodowych, ale poza tym to dzielny towarzysz w niebezpiecznych przedsięwzięciach. Jeżeli potrafimy powstrzymać go od bezsensownego paradowania, sprawi się dzielnie w potrzebie.

— Nic więcej od niego nie żądam. Do ostatniej chwili on i jego żołnierze muszą zachowywać się biernie, bo jeżeli zostaniemy odkryci, nie potrafimy przeciwstawić się przeważającej sile z naszymi dwudziestoma bagnetami i paru pistoletami.

— Oczywiście — odparł Griffith. — Ci ludzie umieją przeleżeć tydzień podczas sztormu w hamakach, ale na lądzie czują się w swoim żywiole i obawiam się, czy potrafię utrzymać ich tutaj cały dzień.

— A jednak, sir, trzeba ich do tego zmusić, choćby siłą — rzekł pilot surowo — jeżeli perswazje na nic się nie zdadzą. Gdybyśmy mieli do czynienia z rekrutami tego bibosza, potrafilibyśmy zagnać ich w morze, ale dowiedziałem się w mej celi, że oczekują o świcie kawalerii i jest tam jeden, nazwiskiem Dillon, szczególnie na nas zawzięty.

— Ten. zdrajca! — krzyknął Griffith. — A więc i wy, sir, porozumiewaliście się z którymś z mieszkańców Opactwa.

— Kto na takie waży się niebezpieczeństwa, musi korzystać z każdej sprzyjającej okoliczności, by je poznać — odrzekł pilot wymijająco — Jeśli to wieści prawdziwe, mało możemy mieć nadziei na przeprowadzenie naszego planu. - W takim razie skorzystajmy z ciemności, by powrócić na szkuner. Przy wybrzeżach Anglii kręci się moc nieprzyjacielskich okrętów i z całego świata ściągają tu statki

handlowe zwożące na tę wyspę wielkie bogactwa. Szybko znajdziemy godnego nas przeciwnika i niejedną okazję do zadania nieprzyjacielowi dotkliwego ciosu przez uszczuplenie zasobów obracanych na wojnę z nami.

Pilot odparł swym spokojnym, cichym głosem człowieka, któremu obce są ambicje i ludzkie namiętności:

— Znużyła mnie już ta walka między zasługą a niesprawiedliwym przywilejem. Nadaremnie krążę po morzach, które król Anglii chełpliwie przezwiał swoimi, i chwytam mu okręty sprzed samych jego portów, skoro nagrodą moją są tylko puste słowa i nigdy nie spełniane obietnice. Na propozycję pańską zgodzić się nie mogę. Otrzymałem nareszcie okręt dostatecznie duży, by mógł mnie przewieźć do prostej, uczciwej Ameryki, i chciałbym wkroczyć do sali obrad Kongresu wiodąc za sobą paru ustawodawców z tej pysznej wyspy, którzy wyobrażają sobie, że nie ma na świecie tak mądrych, cnotliwych i wielkich ludzi jak oni.

— Byłaby to bez wątpienia chwila równie radosna dla pana, jak i dla tych, przed którymi zjawiłby się pan z tym orszakiem — powiedział Griffith skromnie — ale czy tego rodzaju sukces posunąłby naprzód naszą sprawę? A świetny ten czyn, o ile uda się go panu dokonać, czy wart tych niebezpieczeństw, na które się pan naraża?

Griffith uczył, że ręka pilota spoczęła na jego dłoni i ścisła ją konwulsyjnie, choć ton jego głosu był, jeśli to w ogóle możliwe, spokojniejszy niż zwykle.

— Za cenę niebezpieczeństw zdobywa się sławę, młodzieńcze — powiedział. — Sława będzie moją nagrodą. Prawda, że noszę wasz republikański mundur i Amerykanów uważam za swych braci, ale to dlatego, że walczą oni w imię ogólnoludzkich ideałów. Gdyby wasza sprawa nie była tak święta, nie przelałbym ani kropli krwi angielskiej w jej służbie, ale w tym stanie rzeczy podnosi ona każde bohaterstwo spełnione dla niej na niedosiężne wyżyny, a imiona wszystkich walczących o nią przekazuje potomności. Czyż to nie zasługa nauczyć pysznych wyspiarzy, że ramię obrońców wolności może spaść na nich i porwać ich z samej ojczyzny brytyjskiego ucisku i zepsucia.

— Więc niech pan pozwoli mnie iść na zwiady. Widziano tam pana i to może wydać...

— Mało mnie pan zna — przerwał mu pilot. — Plan jest mój. Jeśli się uda, ja okryję się sławą, ja powinienem przeto ryzykować. Jeśli się nie uda, plan pójdzie w niepamięć jak pięćdziesiąt innych, które, jeśliby dano mi odpowiednie siły, wstrząsnęłyby w posiadach tym królestwem aż po same wieże Windsoru. Ale krew, która płynie w mych żyłach, dusza, która mieszka w mym ciele, nie są zepsute szlachectwem dwudziestu pokoleń, co pozbawia mnie zaufania degeneratów rządzących marynarką francuską.

— Mówią o budowie statków dwupokładowych z naszego amerykańskiego dębu — rzekł Griffith. — Wystarczy panu stanąć w Ameryce, by otrzymać zaszczytne dowództwo.

— Tak, republika nie może wątpić w człowieka, który niósł jej sztandar w tyłu krwawych bitwach, nie pochyliwszy go nigdy ani na cal. Zrobię to, Griffith, ale moja droga tędy prowadzi. Fałszywi przyjaciele wiązali mi ręce nieraz, ale nieprzyjaciele nigdy, i nie zwiążą mi ich tym razem. Dziesięć

godzin wystarczy mi na uzyskanie wszystkich potrzebnych informacji. W pańskie ręce składam odpowiedzialność za bezpieczeństwo oddziału. Bądź pan czujny, ale przede wszystkim rozważny.

— Jeśliby pan nie powrócił o umówionej godzinie — zawołał Griffith widząc, że pilot zabiera się do odejścia — gdzie mam pana szukać i jak mogę być panu pomocny?

— Nie szukaj mnie pan i wracaj na okręt. Młodość całą spędziłem na tym wybrzeżu i w tym przebraniu, z moją znajomością tych wód mogę zawsze opuścić wyspę, jak się na nią dostałem. Myśl pan wówczas o swojej służbie i zapomnij o mnie.

Griffith dostrzegł pożegnalny ruch ręki pilota, a po chwili był już sam. Dłuższą chwilę stał w miejscu i rozmyślał o dziwnych talentach i niewyczerpanej energii człowieka, z którym zetknął się tak niespodzianie i z którego losem i powodzeniem, dzięki nieprzewidzianym okolicznościom, związały się jego własne widoki na przyszłość. Wyrwawszy się z zadumy wszedł w ruiny i po ogólnym ich wyglądzie stwierdził z zadowoleniem, że jest gdzie ukryć żołnierzy, dopóki pilot nie wezwie do czynu lub ciemność nie ułatwi powrotu na „Ariela”. Tymczasem była to godzina brzasku, którą marynarze zwą ranną wachtą. Griffith wyszedł na skraj lasu, by nasłuchiwać odgłosów świadczących, czy pościg się zbliża. Dotarłszy do miejsca, skąd i dalsze przedmioty były widoczne, zaczął wpatrywać się w krajobraz.

Wicher osłabł znacznie, niemniej stały podmuch od morza zawodził w nagich konarach dębów, nie dodając ponurej okolicy uroku swym żalonym akompaniamentem. O pół mili niewyraźny masyw Opactwa Św. Ruty rysował się dumnie na tle smugi świetlnej, która stopniowo rozlewała się nad oceanem. Chwilami młodemu marynarzowi zdawało się nawet, że rozróżnia białe baranki na morzu. Wiatr przynosił do jego uszu monotony, głuchy ryk fal przelewających się na wybrzeżu lub przybijających gwałtownie do skał. Młody oficer miał czas zastanowić się nad zmiennością losu w swym ryzykownym zawodzie. Zaledwie kilka godzin upłynęło od chwili, gdy z całą sztuką żeglarską, z całą energią i przytomnością umysłu kierował wielki okręt, teraz sunący spokojnie po pełnym morzu, oś. brzegu, na którym sam się obecnie znajdował, lekce sobie ważąc niebezpieczeństwo. Potem w żywej wyobraźni młodzieńca zagościły wspomnienia kraju ojczystego i obraz pani jego serca, chaotycznie przewinęły mu się przed oczyma duszy różne przeżycia, bardzo mu miłe. W zadumie zbliżał się krok za krokiem do Opactwa, kiedy doszedł jego uszu miarowy krok maszerującego oddziału wojska. Wyrwany z marzeń mógł wkrótce rozróżnić szeregi idące na skraj lasu. Cofnąwszy się szybko w gęsty cień pod drzewami, czekał, aż się zbliżą, i dopiero wtedy przemówił:

— Kto idzie? W jakim celu?

— Tchórz patentowany, który chce się schować w norze, szczur wodny przeskakujący ukradkiem przez groble! — odrzekł cierpko Manual. — Przymaszerowaliśmy o pół strzału muszkietowego od nieprzyjaciela, nie ważąc się strzelić do wartownika, gdyż lufy naszych muszkietów były zakorkowane tym uniwersalnym środkiem do gaszenia odwagi, który się zwie ostrożność. Na Boga, panie Griffith, nie życzę panu być kiedykolwiek wystawionym na taką pokusę jak ja, gdy przechodziłem tamtędy. Dałbym wiele, aby zasypać siekańcami tę psią budę, choćby skończyło się tylko na powybijaniu szyb i na zbudzeniu z ciężkiego snu tego amatora amerykańskiej madery. Ejże, panie Griffith, proszę na słówko.

Między obu oficerami odbyła się na uboczu krótka narada, pod koniec której zawrócili ku szeregom i żołnierze usłyszeli, jak Manual mówił do Griffitha:

— Mógłbym zawładnąć starym domostwem nie obudziwszy nikogo. Weźcie pod uwagę, sir, że mają piwnice pełne tego niezrównanego kordiału, godnego podniebień dżentelmenów.

— Głupstwa! — odparł Griffith niecierpliwie. — Nie jesteśmy bandą rabusiów wybierających drób z kurników i rozbijających antałki w piwnicach angielskiej szlachty, kapitanie Manual, tylko uczciwymi żołnierzami walczącymi o świętą sprawę wolności naszej ojczyzny. Wprowadź pan oddział w ruiny i każ im wypocząć; mogą mieć robotę o zmroku.

— Przekłeta niech będzie godzina, kiedy wyszedłem z szeregów armii, oddając dobrych żołnierzy pod rozkazy tych smoluchów! — mruczał Manual przystępując do wykonania rozkazu tak stanowczego, że musiał go posłuchać. — Ciekawym, kto zmarnowałby tak wspaniałą okazję zaskoczenia przeciwnika i zaaprowidowania się jego kosztem? Ale niechże mi wolno będzie rozłożyć się na biwak w pewnym porządku! Hej, sierżancie, wyznaczcie kaprała i trzech ludzi na pikietę i rozstawcie ich na skraju lasu. Musimy mieć wartownika przed naszą pozycją i choć w pewnej mierze zachować pozory dyscypliny.

Griffith słuchał tego z wielkim niezadowoleniem, ponieważ jednak nie rozjaśniło się jeszcze, a oczekiwał pilota, zanim Anglicy odkryją ich pozycję, wolał nie drażnić upartego piechura i Manual miał satysfakcję wystawienia straży według regulaminu Wojskowego. Oddział wycofał się potem do jednej ze sklepionych komnat stojących otworem, gdyż drzwi dawno już powypadały z zawiasów. Tu żołnierze rozłożyli się na wypoczynek, a oficerowie, na których ciążył obowiązek czuwania, spędzili czas na rozmowach lub też na marzeniach tak różnych, jak różne były ich charaktery. W ten sposób mijała godzina za godziną. Kiedy zrobiło się jasno, niebezpiecznie było dłużej trzymać pikietę w miejscach, gdzie pierwszy lepszy przechodzień mógł ją zobaczyć. Manual protestował przeciw jakiegokolwiek zmianie, uważając to za niezgodne z wymaganiami taktyki — a stawał się zapamiętałym taktykiem, ilekroć dochodziło do scysji z oficerem marynarki — ale rozkaz był kategoryczny. Tyle tylko zyskał, że wystawiono wartę na parę stóp przed wejściem do ruin, i to za osłoną na pół rozwalonego muru. Poza tym nic się nie zmieniło i oddziałek czekał niecierpliwie na wymarsz. Tak mijały godziny.

Pierwsze strzały z „Alacritty” doszły ich zupełnie wyraźnie i Griffith, którego doświadczone ucho rozróżniło kaliber działa po huku, oznajmił, że to nie „Ariel”. Kiedy dała się słyszeć gwałtowna, choć daleka kanonada, Griffith z trudem powściągnął ciekawość swoją i swych towarzyszy. Ostatni strzał padł jednakże i nikt nie opuścił kryjówki; krzyżowały się tylko najróżniejsze przypuszczenia, na czyją stronę padło zwycięstwo i kto z kim walczył. Jedni podnosili głowy z kawałów muru, na których drzemali, i posłuchawszy ryku armat znów osuwali się na improwizowane posłanie; tym obojętna była bitwa, skoro nie brali w niej udziału. Inni, przejmując się biegiem wypadków, sypali ordynarne żarty pod adresem walczących lub nastawiali uszu ze skupieniem, usiłując z huku dział odtworzyć przebieg bitwy. Kanonada dawno się już skończyła, gdy Manual dał wyraz swemu niezadowoleniu.

— Piknik odbył się o milę od nas, panie Griffith — rzekł — a gdyby nie to przekłete krycie się w podziemiach, byłibyśmy na niego zaproszeni i moglibyśmy przyczynić się do zwycięstwa. Ale jeszcze

nie za późno posunąć się do urwisk nadbrzeżnych, skąd widziano by nas ze statków, i moglibyśmy zgłosić pretensję do części łupu.

— Niewielki łup stanowi kuter królewski — odparł Griffith — a co do honoru, to nie widzę w tym wielkiego zaszczytu, gdybyśmy tylko zabierali Barnstable'owi miejsce na okręcie i byli mu zawadą.

— Zawadą! — powtórzył Manual. — Czy dwudziestu trzech dobrze wymusztrowanych i dobrze dobranych żołnierzy marynarki jest do pogardzenia podczas bitwy? Spójrz pan na tych wojaków i racz mi powiedzieć, czy mogą być zawadą w potrzebie?

Griffith uśmiechnął się, ogarnął spojrzeniem śpiących żołnierzy — gdy strzelanina się skończyła, cały oddział znów zapadł w drzemkę — i nie bez podziwu patrzył na te barczyste, żyłaste postacie leżące w mroku w najróżniejszych wygodnych pozycjach. Przeniósł z nich wzrok na ustawione w kozły muszkiety, których lufy i polerowane bagnety błyszcząły mocno w ciemności. Manual z triumfem czytał na jego twarzy wrażenia, czekał jednak na odpowiedź, zanim dał wyraz swym uczuciom.

— Wiem, że to dzielni ludzie — rzekł Griffith — i że można na nich liczyć w potrzebie. Ale co to? Co on mówi?

— Kto idzie? — zawołał wartownik wystawiony u wejścia. Manual i Griffith skoczyli na równe nogi i stali z zapartym oddechem, nasłuchując i usiłując zrozumieć przyczynę alarmu. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Griffith szepnął:

— To pilot! I tak już się spóźnił.

Ledwie padły te słowa, dał się słyszeć gwałtowny szczęk stali i ciało wartownika stoczyło się bezwładnie po kamiennych schodach. Bagnet tkwił głęboko w zbroczonej krwią piersi.

— Wstawać! Wstawać wszyscy! — wrzasnął Griffith.

— Do broni! — krzyknął Manual donośnie.

Przestraszeni żołnierze, zbudzeni ze snu przeraźliwymi okrzykami, porwali się na nogi, skłębili, a równocześnie słup żywego ognia runął do komnaty z luf dwudziestu muszkietów. Ani tumult, ani kłęby dymu i jęki jego ludzi nie mogły powstrzymać Griffitha. Wystrzelił z pistoletu poprzez chmurę zasłaniającą wejście i wyleciał w ślad za swym ołowianym posłańcem z nastawioną do ataku krótką abordażową piką, krzyząc do swoich ludzi:

— Chodźcie! Za mną, chłopcy, to tylko żołnierze! Porywczy marynarz sadził w górę po wąskich schodkach, ale na dworze potknął się o drgające konwulsyjnie ciało swej ofiary i padł głową naprzód między zbrojnych ludzi.

— Ognia! Manual, ognia! — wrzasnął rozwścieczony jeniec. — Pal, póki się nie rozstąpią!

— Tak, pal, panie Manual — rzekł Borroughcliffe spokojnie — i zastrzel własnego oficera. Trzymajcie go, chłopcy, trzymajcie na przedzie, najbezpieczniejsze miejsce jest tuż przy nim.

— Ognia! — powtórzył Griffith czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by uwolnić się z rąk pięciu czy sześciu ludzi. — Ognia, i' nie zważajcie na mnie.

— Jeśli strzeli, zasługuje na szubienicę — rzekł Borroughcliffe. — Takich dzielnych ludzi zbyt mało jest na świecie, aby ich rozstrzeliwać jak dzikie zwierzęta na uwięzi. Zabierzcie go sprzed wejścia, chłopcy, i czyńcie waszą powinność.

Kiedy Griffith wyskakiwał z ukrycia, Manual, zajęty był sprawianiem szyku i żołnierze piechoty morskiej, nawykli do czynienia wszystkiego w ordynku, utracili sposobną do ataku chwilą. Żołnierze Borroughcliffe'a zdążyli nabić muszkiety i skryć się za załomami muru, skąd trzymali wejście pod krzyżowym ogniem, nie narażając się zbytnio. Manual zlustrował sytuację przez szczelinę w ścianie i zwątpił w skuteczność ataku na oddział tak korzystnie rozmieszczony. Wymieniono parę strzałów, ale bez rezultatu. Wówczas Borroughcliffe, zdając sobie sprawę z bezcelowości szturmu, wszczał z osaczonymi rokowania.

— Poddajcie się żołnierzom jego królewskiej mości, króla Jerzego Trzeciego — zawołał — a obiecuję wam łaskę.

— Czy wypuści pan jeńca i da nam wolne przejście do statków? — spytał Manual. — Czy garnizon zostanie zwolniony z honorami wojennymi, a oficerowie zachowają broń?

— Nie — odparł Borroughcliffe z wielką powagą. — Pakt taki byłby z uszczerbkiem dla honoru wojsk królewskich i dla całego państwa, ale ofiaruję wam życie i dobre traktowanie.

— Oficerowie zachowają broń, jeńiec zostanie wypuszczony, a cały oddział wróci do Ameryki, zwolniony na parol.

— Nie — rzekł Borroughcliffe. — Wszystko, co mogę wam obiecać, to dobry poczęstunek szlachetnym likworem, a jeżeli jesteś pan tym, za kogo pana biorę, musisz wiedzieć, co warta taka propozycja.

— Wzywa nas pan do poddania, ale w jakim charakterze? Czy jako żołnierzy, na których rozciąga się prawo wojenne, czy też jako rebeliantów przeciw waszemu królowi?

— Jesteście wszyscy rebeliantami, panowie — odparł Borroughcliffe — i jako tacy musicie się poddać. Co się tyczy dobrego traktowania i dobrego wikt, to możecie być tego pewni, póki będziecie w moim ręku; pod wszelkimi innymi względami musicie, się zdać na łaskę naszego miłościwego pana i króla.

— To niech wasz miłościwy pan i król pokaże swoje oblicze i przyjdzie nas stąd wykurzyć...

Tu przerwał mu Griffith, który ochłonął z pierwszego zapału i los swój uważając za przesądzony, pomyślał o towarzyszach.

— Z wolna, Manual — zawołał. — Nie zarzekaj się pan niebacznie; Kapitanie Borroughcliffe, jestem Edward- Griffith, porucznik w marynarce Stanów Zjednoczonych Ameryki, i daję parol...

— Puście go — powiedział Borroughcliffe.

Griffith wystąpił naprzód i powiedział tak, by słyszały go obie strony:

— Gotów jestem osobiście przekonać się, jakie straty poniósł oddział kapitana Manuala, a jeśli nie mniejsze, niżli się obawiam, poradzę mu, by poddał się na warunkach uświęconych zwyczajami wojennymi cywilizowanych narodów.

— Dobrze — powiedział oficer angielski — ale stój! Czy on jest pół na pół, to jest ziemnowodny, fuj! chcę powiedzieć z piechoty morskiej.

— Tak, sir, jest kapitanem...

— Tak, to on. Poznałem go po głosie. Miło będzie pogadać z nim o gościnnym przyjęciu w Opactwie Św. Ruty. I może pan dodać, że wiem, co o nim myśleć. Zamiast szturmować będę go oblegać, a kiedy zapasy się skończą, podda się jak amen w pacierzu. Te piwnice są gorzej zaopatrzone w trunki niż piwnice Opactwa.

Griffith uśmiechnął się mimo grozy sytuacji. Skinął głową i zeszedł na dół, wołając głośno, by wiadano, że to on.

Znalazł sześciu piechurów łącznie z wartownikiem leżących bez życia na podłodze a czterech innych rannych, ale tłumiących jęki na rozkaz dowódcy, by nie zdradzać nieprzyjacielowi strat poniesionych przez oddział. Z resztką swoich ludzi Manual okopał się za szczątkami muru i zachowywał się z taką fantazją, jakby losy warownego miasta zależały od jego decyzji i przedsiębiorczości.

— Widzi pan, panie Griffith — zawołał, kiedy młody marynarz podszedł do tego naprawdę groźnego szanca — że tylko artylerią można mnie stąd wykurzyć. Ten bibosz może pchać swoich ludzi w plutonach, a zatarasuję wejście ich trupami.

— Sprowadzą artylerię, jeśli będzie trzeba — odparł Griffith — a nie ma najmniejszych szans ucieczki. Może pan zabić kilku nieprzyjaciół, ale nie jest pan tak nieludzki, by robić to bez celu.

— Pewno że nie — odparł Manual z mściwym uśmiechem — a jednak z prawdziwą satysfakcją położyłbym siedmiu spośród nich, równo siedmiu, o jednego więcej, niżli oni zabili moich ludzi.

— Miej pan wzgląd na rannych — dodał Griffith — którzy cierpią wskutek braku pomocy, podczas gdy pan przedłuża beznadziejną obronę.

Kilka stłumionych jęków poparło jego wezwanie i Manual niechętnie ustąpił.

— A więc niech pan idzie i powie, że poddajemy się jako jeńcy wojenni — rzekł — na tych warunkach, że zachowam broń i że odpowiednia pomoc zostanie udzielona chorym; niech pan nie zapomni nazwać ich chorymi, bo może jeszcze coś się zmieni, nim układ zostanie ratyfikowany, i nie chciałbym, aby poznali nasze straty.

Griffith pospieszył z tą wiadomością do Borroughcliffe'a.

— Jego broń — powtórzył oficer wysłuchawszy posta. — Jakaż to broń, za pozwoleniem. Rożek bosmański? Jeżeli bowiem jest uzbrojony podobnie do was, sir, nie ma co kłócić się o posiadanie tej broni.

— Gdybym miał ze sobą choć dziesięciu mych najgorszych ludzi uzbrojonych w krótkie piki, a toczyłbym bitwę z panem i pańskimi ludźmi, umiałby pan tę broń ocenić.

— Czterech takich jak pan rozniosłoby mój oddział — odparł Borroughcliffe ze spokojem. — Zadrzałem o swoje szeregi widząc pana wylatującego z dymu jak ognista kometa spoza chmury! Całe szczęście, że fiknął pan kozła. Ale nasz układ stoi, niech pańscy towarzysze wychodzą i złożą broń.

Griffith przekazał wynik rozmowy Manualowi, który wnet wyprowadził resztki swego oddziału z podziemnej fortecy.

Żołnierze piechoty morskiej, którzy okazali podczas całej potyczki zimną krew, subordynację i męstwo cechujące po dziś dzień ten rodzaj broni, wyszli za dowódcą w ponurym milczeniu i złożyli broń tak prawidłowo jak po ukończonym marszu. Borroughcliffe odsłonił teraz swoje siły i nasi bohaterowie znaleźli się znów w mocy nieprzyjaciela, ale tym razem już nawet bez nadziei na prędkie uwolnienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jeśli twój ojciec chce mnie uczyć — proszę,

A nie — to niechże Percy'ego sam zadźga!

Ja chcę być księciem lub hrabią — wiedz o tym.

Falstaff

Manual zmierzył zwycięzców spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok na garść swych żołnierzy, którym wiązano ręce w tył pod dozorem sierżanta Drilla. Napotkawszy bladą i niespokojną twarz Griffitha, dał upust swej złości.

— Oto rezultaty lekceważenia ostrożności, której zachowanie nakazuje regulamin. Gdyby dowództwo zostało powierzone mnie, który, bez przechwałek, zwyczajny jestem służby polowej, wystawilibyśmy pikiety. Wtedy nie nakryliby nas jak króliki w jamie i nie wykurzyli jak lisa z nory. Doszłoby do walki w otwartym polu albo choćby w ruinach, ale za tymi murami utrzymałbym się co najmniej dwie godziny przeciw najlepszemu regimentowi króla Jerzego.

— Wprawdzie sztuka wojenna — porwał się Borroughcliffe — nakazuje bronić szańców przed zamknięciem się w warowni, ale gdybyście nosa nie pokazywali z tej nory króliki wciąż jeszcze mogłyby wywracać w niej kozły. Dziś rano pacholek trwożliwego serca zobaczył zbrojnych ludzi w obcych mundurach i ślepy strach poniósł go na urwiska. Pewnie znalazłby smutny koniec w falach, gdyby nie spotkał mnie na swej drodze; uratowałem mu życie kładąc się tu przyprowadzić. Dobrze jest posiadać wiedzę, mój godny przeciwniku, ale częstokroć głupota większe zapewnia bezpieczeństwo.

— Zwyciężyliście, sir, i wasza wola sobie dworować — odrzekł Manual posepnie. Siadł na złomie muru i spoglądał melancholijnie na zabitych, których po kolei wynoszono z piwnicy. — Mnie, sir, nie trzymają się jednak krotchwile, gdyż ludzie ci byli mi jak rodzone dzieci. Ach, kapitanie Borroughcliffe, jako żołnierz musi pan cenić męstwo. Wziąłem tych wojaków, którzy śpią teraz na głazach tak spokojnie, z rąk matki natury i uczyniłem z nich chlubę naszej broni. Przestali być ludźmi, stali się dzielnymi chłopcami, którzy jedli i pili, wykonywali zwroty i odbywali marsze, nabijali broń i dawali ognia, radowali się i smucili, mówili lub milczeli wyłącznie na mój rozkaz. Mieszkał w nich duch jeden, nad którym ja miałem pieczę! Jęczcie, dzieci, możecie teraz jęczeć do woli, nie ma już po co milczeć. Pamiętam, jak raz ludzie ci stali w szeregu, a kula muszkietowa obcięła pięciu z nich guzy u płaszczy, nie zadrasnawszy ani jednego! Zawsze mogłem obliczyć, ilu stracę w regularnej bitwie, a tu w tej przeklętej bandyckiej napaści straciłem niespodziewanie kwiat mego oddziału. Jęczcie, to wam ulży. Borroughcliffe do pewnego stopnia zdawał się współczuć jeńcowi i wypowiedział parę słów pociechy mając jednocześnie oko na przygotowania do odmarszu. Wreszcie sierżant zameldował, że improwizowane nosze do przeniesienia rannych są gotowe, i zapytał, czy oddział ma wracać do kwatery.

— Kto widział kawalerię? — spytał kapitan. — W którą stronę pojechała? Czy mają wieści o tym oddziałku nieprzyjaciół?

— Jeśli mają, to nie od nas, wasza miłość — odpowiedział sierżant. — Odjechali wzdłuż wybrzeża, zanim my odmaszerowaliśmy z urwisk, a podobno ich dowódca chciał przeszukać kawał brzegu i zaalarmować mieszkańców.

— A niech sobie jadą. Nie na wiele więcej zdadzą się ci eleganci. Wiecie, Drill, o sławę równie teraz trudno w wojsku, jak o awans. Zdajemy się być zdegenerowanymi potomkami bohaterów spod Poitiers, zrozumieliście, sierżancie?

— To któraś z bitew stoczonych przez nasze wojska z Francuzami, wasza miłość — odpowiedział sierżant nie całkiem" rozumiejąc, do czego pije dowódca.

— Ej, po zwycięstwie głowę macie ciężką! — zawołał Borroughcliffe. — Chodźcie, chcę wam wydać rozkazy. Czy boicie się, mości Drill, że skutkiem tej naszej rannej zabawy za dużo spadnie na nas zaszczytów i korzyści?

— Co to, to nie, wasza miłość, mamy dość silne ramiona, aby je unieść.

— Tak czy owak, nie jesteśmy obarczeni dobrami doczesnymi — wtrącił kapitan znacząco. — Jeżeli zaś pozwolimy, aby wieści o tej potyczce doszły do uszu tych zgłodniałych dragonów, rzucają się na nasz kąsek z rozdziawionymi paszczami i spałaszują co najmniej połowę zaszczytu, a już jak dwa razy dwa cztery wszystkie korzyści.

— Ależ wasza miłość, ani jednego z nich nie było z nami...

— Cóż z tego, Drill. Znałem niejednego oddział, który choć zwyciężył, został wykwitowany ze swojej porcji chwały za pomocą chytrze zredagowanego meldunku. W dymie i tumulcie bitwy widzi się tylko to, co blisko się dzieje, i elementarna ostrożność nakazuje pisać w raportach jedynie o tym, czemu łatwo nie da się zaprzeczyć. Musieliście słyszeć o bitwie pod Blenheim?

— Wasza miłość, toż ta bitwa i bitwa pod Culloden są chwałą angielskiego oręża! Wtedy to wielki kapral John pobił francuskiego króla, wszystkich jego lordów, całą szlachtę i pół narodu.

— Znać wprawdzie, że wynieśliście tę mądrość z koszar, ale w gruncie rzeczy to, co mówicie, zgadza się z prawdą. Czy wiecie, ilu Francuzów pociągnęło tego dnia w pole?

— Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć ich list zaciężnych, ale sądząc z różnicy w zaludnieniu obu krajów, musiało ich być setki tysięcy.

— A, tej ogromnej armii książę Marlborough mógł przeciwstawić tylko dziesięć do dwunastu tysięcy dobrze odżywionych Anglików! Ha, robisz wielkie oczy, Drill?

— Nie dziwota, że staremu żołnierzowi oczy na wierzch wylażą, gdy to słyszy. Przecie, gdyby na wiatr strzelali, jeszcze roznieśliby na cztery strony świata takie siły.

— A jednak ta mała armia stanęła do boju i zwyciężyła! Tylko że książę Marlborough miał niejakiego pana Eugene z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu tysiącami Niemców do pomocy. Czy słyszeliście kiedy o panu Eugene? .

— Nigdy, wasza miłość. Zawsze myślałem, że to kapral John.

— Był to waleczny i wielki generał, więc mieliście rację. Takim byłby również pewien dżentelmen, którego nazwiska nie wymienię, gdyby jego królewska mość raczył mianować go generałem. Choć i stopień majora jest dobrym wstępem na drodze do regimentu, a dowodząc regimentem człowiek może się już czuć zadowolony. Ale do rzeczy! Musimy przeprowadzić jeńców do Opactwa z najmniejszym hałasem, aby kawaleria nie przestała uganiać się za nimi po skałach i nie porwała nam pieczeni z różną. Hałasu narobimy dopiero później. Znam kogoś, kto równie dobrze włada piórem jak pałaszem, a Drill to krótkie nazwisko i nie zajmie dużo miejsca w raporcie.

— Mój Boże! — zawołał uradowany sierżant. — Taki zaszczyt dla mnie to więcej niż... Ale jestem zawsze na rozkazy waszej miłości.

— Wiem o tym i rozkazuję wam milczeć i pilnować, aby wasi ludzie milczeli, póki nie nadejdzie stosowna pora, a wówczas moja w tym głowa, aby wszyscy o nas usłyszeli. — Borroughcliffe potrząsnął poważnie głową. — Była to diabelnie krwawa bitwa, sierżancie. Patrzcie na tych zabitych i rannych. Las z obu flanków, a pośrodku ruina, punkt oparcia dla nieprzyjaciela. Nieźle będzie to można opisać. Idźcie teraz gotować się do odmarszu!

Tak oświecony co do zamierzeń dowódcy, sierżant poszedł wydać odpowiednie rozkazy żołnierzom. Wkrótce wszystko było gotowe. Ciał zabitych nie pogrzebano, gdyż nie zanosiło się, by ktokolwiek zajrzał w ruiny, zgodnie zaś z planem Borroughcliffe'a trupy miały zostać zabrane dopiero po zmroku. Rannych złożono na improwizowanych noszach z muszkietów pokrytych derami piechoty morskiej. Zwycięzcy i zwyciężeni opuścili ruiny maszerując w ten sposób, by pierwsi otaczali drugich i zasłaniali ich przed ciekawym wzrokiem przygodnego przechodnia, choć nie spodziewali się właściwie spotkać nikogo, gdyż alarm rozszedł się już wzdłuż wybrzeża i krążyły wszędzie przesadzone wieści o niebezpieczeństwie, toteż nikt nie odważył się zapuścić na zazwyczaj spokojne grunty Opactwa.

Oddział wyłaniał się z lasu, kiedy usłyszano trzask gałązek i szelest suchych liści, co zapowiadało, że ktoś nadchodzi.

— Jeśli to jeden z tych przeklętych patroli — zawołał Borroughcliffe z widocznym niezadowoleniem — to trzeba im przyznać, że robią tyle hałasu co regiment kawalerii. Ale gdyby to były posiłki, spodziewam się po was, panowie, poświadczenia, że już opuściliśmy pole bitwy.

— Nie marny zamiaru umniejszać waszej sławy, sir, i przyznamy chętnie, że zwyciężyliście własnymi tylko siłami — odrzekł Griffith rzucając niespokojnie okiem w kierunku, skąd dochodził hałas, gdyż bał się zobaczyć pilota miast spodziewanego oddziału nieprzyjacielskiego.

— Zróbże mi drogę, Cezarze! — dały się słyszeć w pobliżu okrzyki. — Przedrzyj się przez te przekłete chaszczki z prawej strony, Pompejuszu! Ruszcie się żwawo, chłopcy, bo przybędziemy za późno i nie powąchamy nawet prochu!

— Hm! — zauważył kapitan z filozoficznym spokojem. — Musi to być jakiś legion rzymski zbudzony z letargu, w którym trwał przez siedemnaście stuleci. Słyszymy głos centuriona. Stać,

sierzancie, przyjrzyjmy się marszowi wojsk starożytnych!

W chwili gdy kapitan mówił te słowa, zarośla rozchyliły się gwałtownie i z krzaków wyrzeli dwaj Murzyni uginający się pod ciężarem ręcznej broni palnej, za nimi zaś ukazał się pułkownik Howard. Zajęty poprawianiem odzieży i ocieraniem potu z czoła, dzielny weteran nie od razu spostrzegł, że oddział Borroughcliffe'a jest liczniejszy niżli rano.

— Słyszeliśmy strzały, więc chcąc przyjść Warn z pomocą, urządziłem wycieczkę, który to manewr, nawiasem mówiąc, położył kres niejednemu już oblężeniu, choć z drugiej strony wypada przyznać, że gdyby Montcalm siedział spokojnie za murami swej twierdzy, nie zginąłby na równinach Abrahama.

— Postąpił, jak na dzielnego żołnierza przystało i zupełnie według zasad sztuki wojennej. Gdybym dziś poszedł za jego przykładem, rezultaty zgoła byłyby odmienne.

— Kogóż tu mamy? — zawołał pułkownik ze zdumieniem. — Któż to rozprawia o bitwach i oblężeniach, a sam tak dziwnie jest ubrany?

— To dux incognitorum, mój zacny gospodarzu — rzekł Borroughcliffe — co po angielsku oznacza kapitana piechoty morskiej w służbie amerykańskiego Kongresu.

— Co? Więc znalazł pan nieprzyjaciela? Ejże, na nieśmiertelnego Wolfe'a, wziął pan ich do niewoli! — zawołał ucieszony weteran. — Spieszyłem panu na pomoc z częścią mego garnizonu, gdyż widziałem was maszerujących w tę stronę, a potem doszło mnie parę strzałów.

— Parę! — przerwał zwycięzca. — Nie pojmuję, co pan ma na myśli mówiąc: parę strzałów, mój dzielny, czcigodny przyjacielu. Bardzo być może, że za czasów Wolfe'a, Abercrombie'ego i Braddocka strzelanie trwało tygodniami, ale i ja bywałem w ogniu i niech mi wolno będzie zabrać głos w tej materii. W bitwach nad Hudsonem trzask ognia muszkietowego przypominał werbel, ale nie będą o tym mówił, bo wielu innych może to poświadczyć. Co się jednak tyczy ostatniego starcia, śmiało rzec mogę, że nie brałem jeszcze udziału w bardziej rozpaczliwej walce, oczywiście wzięwszy pod uwagę naszą małą liczebność. Lasek jest usiany trupami, a niesiemy też kilku ciężko rannych, których pan tu widzi.

— A niechże mnie kule biją! — zawołał zdumiony weteran. — Żeby taka bitwa rozegrała się. o strzał muszkietowy od Opactwa i żebym tak mało o niej wiedział! Słuch mi zaczyna nie dopisywać, gdyż w swoim czasie jeden wystrzał budził mnie z najgłębszego snu.

— Bagnet zabija bez hałasu — odparł nie stropiony kapitan ze znaczącym ruchem ręki. — Atak na bagnety przysporzył już dużo chwały naszemu orężowi, a jak każdemu oficerowi wiadomo, jedno uderzenie bagnetem starczy za ogień całego plutonu.

— Co, doszło i do ataku! — krzyknął pułkownik. — Borroughcliffe, mój dzielny, młody przyjacielu, dałbym dwadzieścia beczek ryżu i dwóch pracowitych Negrów za udział w tej bitwie.

— Był to rzeczywiście piękny widok — odparł kapitan — ale zwycięstwo odnieśliśmy tym razem i

bez Achillesa. Wziąłem ich wszystkich do niewoli, to jest tych, którzy zostali przy życiu, a w każdym razie tych, którzy stanęli na angielskiej ziemi.

— Ba, a królewski kuter zdobył ich szkuner! — dodał pułkownik Howard. — Oby taki był koniec rebelii! A gdzie Kit, gdzie mój krewniak, pan Krzysztof Dillon? Spytałbym go, co prawa tego królestwa nakazują w takim wypadku lojalnym poddanym. Będzie tu robota dla sędziów przysięgłych z Middlesexu, a może nawet nie obejdzie się bez zezwolenia podsekretarza stanu. Gdzie Krzysztof, mój krewniak, roztropny i lojalny Krzysztof?

— Kacyka nie ma, jak wypadło rzec nieraz przy apelu w naszym regimencie o którymś z towarzyszy broni, kiedy był koniecznie potrzebny — odpowiedział oficer — ale kornet tego oddziału kawalerii dał mi do zrozumienia, że nasz lord prowincjonalny udał się na kuter, aby wskazać pozycje nieprzyjaciela, i pozostał tam, by dzielić niebezpieczeństwa bitwy i chwałę zwycięstwa.

— Poznaje go po tym! — ucieszył się pułkownik i wesoło zatarł ręce. — To zupełnie do niego podobne! Zapomniał o prawie i swym powołaniu usłyszawszy szczęk broni i choć jest mężem stanu, rzucił się w bój jak zapalczywy chłopiec.

— Kacyk to chodząca ostrożność — zauważył kapitan oschle. — Jeśli znalazł się w bitewnym chaosie, na pewno nie zapomniały co winien sobie i potomności. Dziwię się, że nie powraca, gdyż sporo już czasu upłynęło od chwili, gdy szkuner spuścił banderę, co widziałem na własne oczy.

— Wybaczcie mi, panowie — ozwał się Griffith podchodząc z ciekawością — ale słyszałem niechęć część waszej rozmowy, a nie mogę przypuścić, byście chcieli ukrywać prawdę przed rozbrojonym jeńcem. Mówicie więc, panowie, że dzisiejszego ranka zdobyto jakiś szkuner?

— To nie ulega kwestii — rzekł Borroughcliffe tonem świadczącym o jego takcie i delikatności — ale nie chciałem panu o tym mówić mniemając, że dostatecznie przygnębiony musi pan być własnym nieszczęściem. Panie Griffith, oto pułkownik Howard, którego łaskawym względem będzie pan miał do zawdzięczenia parę uprzejmości, zanim się rozstaniemy:

— Griffith — powtórzył pułkownik. — Co widzą moje stare oczy! Syn zacnego, lojalnego Hugona Griffitha wzięty do niewoli z szeregów zbuntowanych przeciw prawowitemu monarsze! Młodzieńcze, młodzieńcze, co twój ojciec, co jego serdeczny przyjaciel, a mój brat, Harry, powiedzieliby, gdyby jeszcze żyli i zobaczyli to piętno na uczciwym nazwisku Griffithów?

— Gdyby mój ojciec żył, walczyłby teraz również o niepodległość swej ojczyzny — odrzekł młody człowiek z dumą. — Pragnę uszanować nawet uprzedzenia pułkownika Howarda, a przeto proszę, by nie poruszał kwestii, co do których nigdy się nie zgodzimy.

— Nigdy, póki jesteś w szeregach rebeliantów! — zawołał pułkownik. — O chłopcze, chłopcze! Jakżebym cię kochał i cenił, gdybyś sztuką wojenną nabytą w służbie swego monarchy posłużył się teraz w walce o niezaprzeczone prawa! Kochałem twój ojca, zacnego Hugona, jak mego brata Harry'ego.

— I jego Syn winien wciąż być panu drogi — przerwał Griffith, ujmując rękę pułkownika w obie

dłonie.

— Ach, Edwardzie, Edwardzie! — ciągnął ułagodzony weteran. — Ileż to marzeń moich zburzyłeś postępując w ten sposób! Nawet Kit, mimo swego rozsądku i lojalności, nie znalazłby tyle łaski w moich oczach, ile ty mógłbyś znaleźć. Z twarzy, z uśmiechu podobny jesteś, Ned, do ojca i przez wzgląd na to podobieństwo dopuściłbym się dla ciebie wszystkiego prócz zdrady, a Cecylia, serdeczna i buntownicza, łagodna, dobra Cecylia byłaby łączącym nas ogniwem.

Młodzieniec rzucił na Borroughcliffe'a zniecierpliwione spojrzenie, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że lepiej by zrobił poszedłszy w ślad za swoimi żołnierzami, którzy z wolna niesli rannych ku Opactwu.

— A więc, sir — odparł wreszcie Griffith — niechaj to będzie koniec naszego nieporozumienia. Pańska uroczą bratanica została tym ogniwem, a wy będziecie dla mnie tym, czym byłby wasz przyjaciel, gdyby żył, a dla Cecylii... podwójnie ojcem.

— Chłopcze, chłopcze — weteran odwrócił głowę, by nie zdradzić swych uczuć — to zamki na lodzie. Dałem już słowo memu krewniakowi i twój plan jest niewykonalny.

— Nie ma nic niewykonalnego, sir, dla młodości i przedsiębiorczości popartej powagą i doświadczeniem takim jak wasze — odrzekł Griffith. — Ta wojna musi się wkrótce skończyć.

— Ta wojna! — podchwycił pułkownik uwalniając ręką z uścisku Griffitha. — Co mówisz o tej wojnie, młodzieńcze? Czyż nie jest to podły zamach na prawa naszego miłościwego pana i króla, zmierzający do tego, aby tyranów i plebejuszy wynieść na tron? Czyż to nie intryga mająca panowanie dobrych zastąpić panowaniem złych, nie narzędzie nieprawych ambicji działających pod płaszczykiem świętej sprawy wolności i popularnego hasła równości? Czy może istnieć wolność bez porządku społecznego lub równość praw tam, gdzie przywileje monarchy nie są respektowane na równi z prawami ludu?

— Sądźcie nas surowo, panie pułkowniku — rzekł Griffith.

— Ja was sądzę? — przerwał weteran, który przestał już dostrzegać w młodzieńcu podobieństwo do swego przyjaciela Hugona. — Sądzić was nie do mnie należy. Gdybyż tak było! Ale czas ten nadejdzie, nadejdzie prędzej czy później. Jestem cierpliwy, mogę czekać na bieg wypadków. Tak, tak, wiek studzi krew i uczy kiełznać namiętności i młodzieńczą niecierpliwość, ale gdyby rząd ustanowił sądy w koloniach i powołał do nich starego Jerzego Howarda, ręczę, że w rok ani jeden rebeliant nie pozostałby przy życiu. Sir — zwrócił się do Borroughcliffe'a — potrafiłbym wówczas być Rzymianinem i wieszać, wieszać, tak, sir, gotów byłbym powiesić nawet mego krewniaka, pana Krzysztofa Dillona!

— Niech pan oszczędzi kacykowi tego niezwykłego i przedwczesnego wyniesienia — odpowiedział kapitan z powagą i wskazał ku lasowi. — Patrzcie, oto ktoś bardziej pasujący na szubienicę! Panie Griffith, ten człowiek jest pańskim towarzyszem.

Pułkownik Howard i Griffith spojrzeli we wskazanym kierunku i młody marynarz od pierwszego

wejrzania poznał pilota stojącego na skraju lasu z założonymi rękami i najwidoczniej oceniającego położenie swoich przyjaciół.

— Człowiek ten — rzekł Griffith zmieszany, bojąc się wydać choć część prawdy — człowiek ten nie należy do załogi naszego statku.

— A jednak widziano go z wami — odrzekł Borroughcliffe z niedowierzaniem. — Odpowiadał za wszystkich trzech zatrzymanych ostatniej nocy i na pewno dowodzi ariergardą rebe-liantów.

— To prawda! — krzyknął weteran. — Pompejuszu! Cezarze! Cel! Pal!

Czarni skoczyli na głos swego pana, którego bali się jak ognia, i z odwróconymi głowami i zamkniętymi oczyma spełnili krwiożerczy rozkaz.

— Naprzód! — krzyknął pułkownik wyciągając z pochwy staroświecki pałasz i biegnąc z szybkością, na jaką pozwalał mu niedawny atak podagry. — Naprzód i wykluć mi tych psów bagnetami! Prędszej, Pompejuszu! Do ataku broń, chłopcy!

— Jeżeli pański przyjaciel wytrzyma ten atak — rzekł Borroughcliffe do Griffitha z niezmaconym spokojem — to ma stalowe nerwy. Przed takim atakiem, z Pompejuszem w szeregach, załamałby się front szkockiej gwardii!

— W Bogu nadzieja — rzekł Griffith — że uszanuje starość pułkownika Howarda. Wyciąga pistolet!

— Ale nie będzie strzelał. Ostrożni Rzymianie wolą się zatrzymać, ba, nawet cofnąć. Hola! pułkowniku Howard, cofajcie się ku głównym siłom. Las jest pełen zbrojnych ludzi. Nie mogą nam uciec. Czekam tylko na kawalerię, aby im odciąć odwrót.

Weteran, który znalazł się w pobliżu człowieka spokojnie oczekującego napaści, stanął na głos tej przestrogi, a rzuciwszy okiem do tyłu przekonał się, że jest sam. Wobec tego zaczął się cofać krok za krokiem, wciąż czołem ku nieprzyjacielowi, i tak wrócił do oddziałku kapitana.

— Obwołaj pan swych ludzi, Borroughcliffe! — krzyknął — i atakujmy las. Uciekną przed wojskiem jego królewskiej mości, jak przystało takim łajdakom. A co do Negrów, pokażą tym czarnym małpom, co to znaczy opuszczać swego pana w takiej chwili. Mówią, że strach jest błądy, a ja rączę, że czarny jest na gębie.

— Widziałem strach we wszystkich kolorach — odparł kapitan. — Muszę jednak wziąć się do roboty, kochany gospodarzu. Niech pan wraca z nami do Opactwa i mnie już pozostawi odcięcie odwrotu reszcie rebeliantów.

Pułkownik zgodził się niechętnie i ruszyli w powrotną drogę, dostosowując marsz do jego podagrycznego kroku. Rozzłoszczony nieudanym atakiem pułkownik porzucił wszelką myśl o kompromisie i wchodząc w bramy Opactwa powziął nieodwołalne postanowienie, że wyda Griffitha i jego towarzyszy w ręce sprawiedliwości, choćby wskutek tego mieli zawisnąć na szubienicy.

Gdy znikli za krzakami na gruntach Opactwa, pilot wetknął pistolet za pas i powolnym krokiem, z troską na czole, wszedł do lasu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy takie cudo.

Zbiegły się razem — niech ładzie nie mówią,

Ze to ich sprawą. To cuda prawdziwe,

A moim zdaniem wskazują, niestety,

Na zmiany raczej złowróżbne.

Casca

Porównując czas, w którym rozegrały się wypadki na lądzie i na morzu, czytelnik z łatwością zda sobie sprawę, że kiedy „Ariel” ze zdobycznym kutrem zarzucił kotwicę w zatoce, Griffith ze swymi ludźmi był już od kilku godzin w mocy nieprzyjaciela. Nikt na brzegu nie zdawał się powątpiewać w zdobycie szkunera rebeliantów; całe wydarzenie nie wzbudziło zainteresowania w kraju, gdzie wszyscy przywykli uważać swych marynarzy za niezwyciężonych, a Barnstable z łatwością zamydlił oczy wieśniakom, którzy przypatrywali się statkowi u schyłku dnia. Kiedy jednak mgły wieczorne zaczęły powstawać w wąskiej zatoczce, a kręta linia brzegów zlała się w ciemny zarys, Barnstable uznał, że czas działać. „Alacrity”, obsadzona przez jego załogę i rannych z „Ariela”, podniosła kotwicę. Kuter pod naporem wiatru wiejącego od lądu wypłynął z przystani i znalazł się wkrótce na pełnym morzu; wówczas podniesiono na nim żagle i wyruszono na poszukiwanie fregaty. Barnstable śledził ten manewr z zapartym oddechem, gdyż na wzniesieniu panującym nad rozległym obszarem stała niewielka, silna bateria, która bronić miała zatoczki przed napaścią mniejszych statków nieprzyjacielskich, a straż zdolna obsłużyć oba ciężkie działa była dzień i noc gotowa do strzału. Dowódca szkunera nie wiedział zresztą, że podstęp udał mu się tak znakomicie, i dopiero kiedy usłyszał, jak żagle „Alacrity” trzepoczą na bryzie, poczuł się bezpieczny.

— To dojdzie do uszu Anglików — rzekł Merry, który stał na dziobie u boku Barnstable'a łowiąc z zapartym tchem te szmery. — O zachodzie słońca wystawili na cypla wartownika i jeśli nie jest ślepy lub nie śpi, na pewno zwietrzy coś niedobrego.

— Wcale nie! — odparł Barnstable z westchnieniem ulgi. — Żołdak pomyśli raczej, że to syrena igra na falach, niżli zwietrzy, co się święci. Co wy aa to, Tomie Coffin?

— Żołnierze myślą ciężko — rzekł sternik spoglądając za siebie, by się przekonać, czy nie ma w pobliżu którego z amerykańskich piechurów. — Weźmy, na przykład, naszego sierżanta, który sporo świata widział, bo pływał przecież cztery lata. Chłop ten utrzymuje wbrew wszystkim, którzy opłynęli Przylądek Dobrej Nadziei, że nie ma wcale takiego statku jak „Latający Holender” i że nie ma się co bać spotkania z nim na tych wodach. Rzekłem mu na to, że jest ciemny, i spytałem, czy „Latający Holender” jest czymś mniej prawdopodobnym od tego, że są miejsca, gdzie ludzie dzielą rok na dwie wachty i mają dzień przez sześć miesięcy, a noc przez drugie sześć, a ten półgłówek zaczął się śmiać

i o mało nie powiedział mi, że kłamie.

— A dlaczegóż nie powiedział?

— Jak to dlaczego, sir? — odparł Tom prostując palce ogromnej dłoni, której przyglądał się wśród zapadających ciemności. — Dlatego, że choć jestem spokojny, mogę się pogniewać.

— A wy sami widzieliście „Latającego Holendra”?

— Ja nigdy nie opłynąłem Przylądka Dobrej Nadziei, choć potrafię znaleźć drogę przez cieśninę Le Maire w najciemniejszą noc, ale spotkałem takich, którzy go widzieli i mówili o nim.

— Dobrze, niech i tak będzie. Teraz musicie zamienić się w Latającego Jankesa. Zwołajcie załogę do waszej łodzi i każcie się ludziom uzbroić.

Sternik zastanawiał się chwilę, zanim posłuchał niespodziewanego rozkazu, i wskazując ku baterii nadbrzeżnej, spytał flegmatycznie:

— Na ład, sir? Wziąć pałasze i pistolety, czy też potrzebne nam będą piki?

— Możemy napotkać żołnierzy z bagnetami — rzekł Barnstable po namyśle. — Uzbrójcie się jak zawsze, tylko parę długich pik rzućcie do łodzi. Ale precz z waszą beczką i liną harpuniczną, Długi Tomie, bo widzę, że znów zaopatrzyliście się w to wszystko.

Sternik odchodził już z dzioba, ale obrócił się na te słowa i tonem perswazji powiedział:

— Wierzajcie starym wiełorybnikom, kapitanie Barnstable, który zna się na szalupach. Są tak zbudowane, żeby pomieścić beczkę i linę harpuniczną, jak statek zbudowany jest do balastu i...

— Nie, precz z tym, precz! — przerwał mu dowódca z gestem zniecierpliwienia, po którym Tom poznał, że zapadła ostateczna decyzja. Westchnąwszy z żalem nad uprzedzeniami dowódcy, Tom przystąpił do wykonania rozkazów. Barnstable położył rękę na ramieniu praktykanta i poprowadził go bez słowa na rufę. Okap płócienny zakrywający wejście do kajuty był rozchylony i w świetle lampy okrętowej mogli widzieć z pokładu, co się dzieje w ciasnym pomieszczeniu. Dillon siedział z głową wspartą na rękach, a choć twarz miał osłoniętą, postawa jego wyrażała głęboką zadumę.

— Chciałbym teraz widzieć twarz naszego jeńca — rzekł Barnstable. półgłosem, by usłyszał to tylko Merry. — Oko człowieka jest jakby latarnią morską wskazującą drogę do jego zaufania, mój chłopcze.

— A czasami i światłem alarmowym, sir, nakazującym trzymać się odeń z dala — odpowiedział chłopak z wielką bystrością.

— Nicponiu! — mruknął Barnstable. — To twoja kuzynka Katarzyna przemówiła przez ciebie.

— Gdyby moja kuzynka była tutaj, panie Barnstable, wiem, że nie wyraziłaby się lepiej o tym dżentelmenie.

— A jednak zdecydowałem się mu zaufać! Słuchaj, chłopcze, i powiedz mi, czy nie mam racji, gdyż posiadając spryt i obrotność pewnej krewniaczki, możesz mi dać dobrą radę.

Merry uszczęśliwiony tym dowodem zaufania szedł za nim. Zatrzymali się przy małej łódce, na której Barnstable wsparł się i zaczął mówić:

— Słyszałem od rybaków, którzy przyszli gapić się na statek, który rebelianci potrafili zbudować, że wzięto dziś do niewoli oddział marynarzy i piechoty morskiej w ruinach koło Opactwa Św. Ruty.

— To pan Griffith! — zawołał Merry.

— Tak, nie trzeba nadzwyczajnego dowcipu, aby się tego domyślić. Otóż zaproponowałem temu dżentelmenowi o posępnym obliczu, żeby poszedł do Opactwa z propozycją wymiany. Wydam go za Griffitha, a załogę „Alacrity” za Manuala, jego ludzi i Tygrysy.

— Tygrysy! — zawołał chłopak z przejęciem. — Czy i moje Tygrysy są w niewoli? Czemu pan Griffith nie pozwolił mi wylądować!

— To nie była robota dla chłopców, ani też nie starczyło w łodzi miejsca na żywy balast. Ale ten Dillon zgodził się na moją propozycję i dał mi parol, że w godzinę od chwili, gdy on stanie w Opactwie, Griffith powróci na pokład. Jak myślisz, dotrzyma obietnicy?

— Możliwe, że jej dotrzyma — odpowiedział Merry po namyśle — gdyż niepokoi go zapewne obecność pana Griffitha pod tym samym dachem z panną Howard. Może i mówi prawdę tym razem, choć źle mu z oczu patrzy.

— Nie ma przyjemnego wejrzenia, z tym się zgodzę — rzekł Barnstable — jednak jest dżentelmenem i uczynił mi obietnicę. Nie po męsku byłoby z naszej strony podejrzewać go o złą wiarę i wypada mu zaufać. A teraz słuchaj! W braku wyższych szarzy wielka odpowiedzialność spada na twoje młode barki. Nie spuszczaaj z oka tej baterii, obserwuj ją tak pilnie, jakby to był nieprzyjacielski żagiel widoczny z bocianiego gniazda naszej fregaty. Gdybyś zobaczył tam światła, podnoś kotwicę z łańcucha i odpływaj. Znajdziesz mnie na urwiskach, jeśli będziesz manewrował wzdłuż brzegu, nie tracąc z oczu Opactwa.

Merry nie uronił ani słowa ze wskazówek Barnstable'a, który oddał pierwszemu swemu zastępcy dowództwo kutra, a drugiego oficera mając na liście rannych, zmuszony był powierzyć ukochany szkuner chłopcu tak młodemu, że nikt nie podejrzewałby go o posiadane wiadomości i zdobyte doświadczenie.

Barnstable wydał mu drobiazgowe rozkazy i podszedł do okapu, by jeszcze raz rzucić badawcze spojrzenie na jeńca. Dillon nie osłaniał tym razem twarzy rękoma, tylko nadał swym odpychającym rysom wyraz beznadziejnej rezygnacji, zupełnie jakby zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany. Barnstable dał się na to nabrać i w jego szlachetnym sercu drgnęła struna współczucia. Natychmiast

wyzbył się wszelkich podejrzeń jako poniżających dla nich obu i rześkim głosem wezwał jeńca do łodzi. Błyskawica przemknęła po twarzy Dillona, nadając jej jakiś nieokreślony wyraz i budząc na mgnienie nieufność Barnstable'a, lecz tak szybka i nieuchwytna, że można ją było wziąć za radość z powodu bliskiego uwolnienia. Barnstable schodził do łodzi w ślad za jeńcem, gdy nagle poczuł, że ktoś z lekka pociąga go za ramię.

— O co ci chodzi? — spytał praktykanta.

— Strzeżcie się tego Dillona, sir — rzucił chłopak niespokojnym szeptem. — Gdybyście tak jak ja widzieli jego twarz, kiedy wychodził aa pokład w świetle lampy kompasowej, nie moglibyście mu zaufać.

— Nie zobaczyłbym pięknej twarzy, to prawda — odrzekł szlachetny marynarz ze śmiechem —. ale na- przykład Długi Tom brzydota zakasowałby samego diabła, a serce ma tak wielkie jak Kraken.

Z tymi słowy przesadził nadburcie szkunera i siadłszy przy jeńcu, podjął głośno:

— Trzymaj się pań w gotowości, panie Merry, a pamiętaj, że masz zdekompletowaną załogę. Zostańcie z Bogiem, ale słuchajcie, jeśli który z was zamknie więcej niż jedno oko naraz, po powrocie postaram się, by wytrzeszczył je tak, jakby przyjaciel Toma Coffina, sam „Latający Holender”, trzymał kurs wprost na niego. Niechaj Bóg ma cię w swej opiece, Merry, mój chłopcze. Podnieś żagle na rejach, jeśli nocna bryza utrzyma się do rana. Odbijać!

Barnstable opadł na ławkę, otulił się płaszczem nieprzemakalnym i zapadł w głuche milczenie, póki nie minęli dwóch cypli stanowiących wejście do zatoki. Wiosła były obandażowana, aby nie pluskały. Łódź, gnana silnymi, długimi ich zamachami, ślizgała się po wodzie ze zdumiewającą szybkością. Kiedy wypadli na pełne morze i popłynęli równolegle do brzegu, w cieniu skalnych urwisk, sternik, przekonany, iż wzgląd na bezpieczeństwo nie wymaga już zachowania ciszy, ozwał się w te słowa:

— Dobrze mieć rejowe ożaglowanie, gdy pędzi się pełnym wiatrem przy dużej fali, ale mnie, który pięćdziesiąt lat tłukę się po morzach, pogoda źle wróży. Jeżeli „Ariel” wypłynie dziś w nocy po ośmiu dzwonach, trzeba będzie rozwinąć grotzagiel, aby go utrzymać na kursie.

Porucznik drgnął wyrwany nagle z zadumy i zrzuciwszy płaszcz -z ramion zaczął się rozglądać po wodzie, jakby szukał tych złowróźbnych znaków, które zaniepokoiły sternika.

— Tom — rzucił ostro — czemu kraczesz? Nie widzę nic, co by usprawiedliwiało to babskie zrzęczenie.

— To nie babskie zrzęczenie — odparł Tom uroczyście — tylko ostrzeżenie człowieka, który całe życie spędził na wolnej przestrzeni, gdzie żadne góry nie osłaniają od wiatru, chyba że są to góry słonej wody i piany. Sądzę, sir, że będziemy mieli wichur pólnocno-wschodni, nim pierwsza ranna wachta zostanie wywołana na pokład.

Barnstable wiedział dobrze, że przepowiedni starego wygi nie można lekceważyć, ogarnął go więc

niepokój, ale omiół raz jeszcze wzrokiem horyzont, niebo i ocean.

— Wasza przepowiednia na niczym nie jest dziś oparta — powiedział surowo. — Wszystko zapowiada ciszę. Ta fala to pozostałość ostatniego szkwału. Mgła nad nami to tylko nocna mgła i widzicie, że idzie ku morzu. Nawet bryza od lądu to jedynie nagrzane powietrze, które miesza się z chłodniejszym; jest wilgotna od rosy i mgły, a powolna niczym holenderska barka.

— Tak, sir, jest wilgotna i jest jej mało, ponieważ jednak napływa z samego brzegu, daleko na morze nie sięga. Trudno rozpoznać prawdziwe oznaki pogody, kapitanie Barnstable, i tylko ten się na nich rozumie, co nic innego się nie uczy i niczym się nie interesuje. Jeden Bóg zna wiatry niebieskie, wie, kiedy się zaczną i gdzie skończą. Człowiek nie jest jednak wielorybem albo delfinem, który wciąga w nozdrza wiatr, a nie wie, czy to południowo-wschodni czy północno-zachodni. Spójrzcie' na zawietrzną, sir, czy nie widzicie, jak lśni pas jasnego nieba pod pasmem mgły. Możecie wierzyć na słowo staremu żeglarzowi, że ilekroć niebo lśni w ten sposób, zawsze zapowiada coś niedobrego, ponadto zaś słońce skryło się za czarną ławicą mgieł, a księżyc był mały, wietrzny i suchy.

Barnstable słuchał uważnie i coraz większa troska malowała się na jego twarzy, gdyż wiedział, że sternik jak nikt zna się na pogodzie, choć przesądnie wierzy w znaki i omeny. Mimo to opadł na ławkę i mruknął:

— A więc niech dmie. Dla Griffitha musimy zaryzykować, a jeśli bateria nie da się oszukać, wypadnie ją zdobyć.

Na tym urwała się rozmowa o pogodzie. Dillon, odkąd wszedł do łodzi, nie ozwał się ani słowem, a sternik miał dość taktu, by zrozumieć, że dowódca chce zostać sam z własnymi myślami. Niemal godzinę płynęli obranym kursem. Wiosła chrzęściły w żelaznych rękach marynarzy, którzy nie zwalniali tempa i na pozór nie poddawali się zmęczeniu. Od czasu do czasu Barnstable rzucał okiem w mijane zatoczki lub jak każdy żeglarz dostrzegał piaski majaczące tu i ówdzie u stóp skał. Jedną szczególnie zatoczka, wrzynająca się w ląd głębiej niż inne, zwróciła jego uwagę. Po bulgocie wody poznał, że jest to ujście strumienia, i wskazał ją sternikowi znacząco jako miejsce, które powinien zanotować w pamięci. Tom zrozumiał gest przeznaczony wyłącznie dla niego, rozejrzał się więc bez słowa i poczynił obserwacje z drobiazgowością kogoś, kto przyzwyczał się kierować na lądzie i morzu za pomocą charakterystycznych znaków terenowych. Wkrótce potem łódź wykręciła gwałtownie i pomknęła ku skrawkowi piaszczystego brzegu. Barnstable powstrzymał nagle wiosłarzy:

— Stać! To odgłos wiosła.

Marynarze zatrzymali szalupę i pilnie nasłuchiwali plusku, który zaniepokoił dowódcę.

— Tam, sir — rzekł sternik wskazując ku wschodowi — w tym pasie światła, w kierunku pełnego morza. — Teraz zapada w bruzdę. I znów ją mamy!

— Wielkie nieba! — zawołał Barnstable. — To marynarka wojenna. Widziałem, jak błysnęły pióra wiosła. I słyszycie ten dźwięk! Ani rybacy, ani przemysłowcy nie potrafią wiosłować tak równo.

Tom zgiął się niemal we dwoje, tak uważnie słuchał, po czym wyprostował się i rzekł z pewnością siebie: .

— To „Tygrys”. Znam uderzenia wiosel jego załogi tak jak naszej. Pan Merry nauczył ich nowego sposobu podrywania wiosel i ciągną je właśnie z takim chrobotem dulek! Mógłbym przysiąc, że to oni.

— Podajcie mi nocne szkła — odparł dowódca niecierpliwie. — Zobaczą ich, gdy wzniosą się na fali i ogarnie ich blask. Klnę się na każdą z gwiazd naszej bandery, że macie rację, Tom! Ale w łodzi siedzi jeden tylko człowiek. Bodaj że to ten przeklęty pilot, który ucieka z brzegu, a Griffitha i Manuala zostawia na pastwę angielskim katom. Do brzegu, dobijać natychmiast.

Ledwie padł ten rozkaz, został wykonany i nie upłynęły dwie minuty, jak Barnstable, Dillon i sternik stali na piasku wybrzeża.

Myśl, że pilot opuścił ich przyjaciół, skłoniła szlachetnego młodzieńca do pośpiechu. Chciał jak najprędzej wysłać jeńca w obawie, by jakaś nowa przeszkoda nie pokrzyżowała jego planów.

— Panie Dillon — zwrócił się do Krzysztofa po wylądowaniu — nie żądam od pana innych obietnic. Dał pan słowo honoru.

— Jeżeli większą wagę przywiązuje pan do przysięgi — przerwał Dillon — to gotów jestem przysiąc.

— Do przysięgi, nie. Honor dżentelmena jest mi dostateczną rękojmią. Posyłam z panem do Opactwa mego sternika i w przeciągu dwóch godzin albo pan powinien z nim wrócić, albo wydać mu Griffitha i kapitana Manuala. W drogę, sir, jest pan warunkowo zwolniony. Tu macie dogodniejsze przejście przez skały.

Dillon raz jeszcze podziękował szlachetnemu zwycięzcy i zaczął się wspinać w górę.

— Idźcie w ślad za nim i stosujcie się do jego wskazówek — rzekł głośno Barnstable do sternika.

Nawykły do dyscypliny wojskowej Tom wsparł się na harpunie i ruszał już śladami Anglika, gdy poczuł dłoń dowódcy na ramieniu. — Widzieliście, gdzie strumyk wpada w morze? — zapytał Barnstable półgłosem.

Tom skinął głową.

— Tam nas znajdziecie, bo nie należy zbyt ufać nieprzyjacielowi.

Tom potrząsnął harpunem na znak, co grozi jeńcowi, gdyby knuł zdradę, potem zaś, podpierając się drewnianą rękojeścią swej broni, tak szybko ruszył dnem wąwozu, że wkrótce zrównał się z Dillonem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Niechże do diaska, siądą sobie pod nim,

A będę w cieniu — bo to zimny żołnierz.

F a l s t a f f

Barnstable stał parę minut na piasku wybrzeża, dopóki nie ucichły kroki Dillona i sternika, po czym kazał swym ludziom zepchnąć łódź na morze. Wiosłowali bez pośpiechu ku miejscu spotkania, a tymczasem po raz pierwszy powątpiewać zaczął w dobrą wolę jeńca. Ponieważ Dillon nie był już w jego mocy, wyobraźnia bardzo jaskrawo malowała mu takie szczegóły i osobliwości w zachowaniu tego dżentelmena, które ukazywały jeńca w podejrzanym świetle. Nim dotarli do zatoczki i rzucili kotwicę, Barnstable był już nie na żarty zaniepokojony. Pozostawmy jednak porucznika nieprzyjemnym myślom, a sami udajmy się w ślad za Bilionem i jego nieustraszonym, nie żywiącym podejrzeń towarzyszem.

Tuman mgły, o którym Tom wspominał mówiąc o pogodzie, opadał coraz niżej i coraz bardziej stawał się podobny do zwykłej mgły, z lekka falującej pod tchnieniem wiatru. Wskutek opadania mgły noc stała się jeszcze ciemniejsza i ktoś mniej od Dillona znający te okolice nie znalazłby pewnie drogi do siedziby pułkownika Howarda. Ale po krótkich poszukiwaniach trafili na ścieżkę i Dillon poprowadził Toma szybkim krokiem do Opactwa.

— Tak, tak — rzekł Tom, który z łatwością podążał za przewodnikiem — wy szczury lądowe potraficie bez trudu określić kierunek i wymierzyć odległość, gdy znajdujecie się na drodze do celu. Co do mnie, to wylądowałem raz w Bostonie i musiałem dostać się do Plymouth, które leży o jakieś czterdzieści pięć mil stamtąd. Straciłem z tydzień czasu oczekując statku, który zawijał do Plymouth, drugi tydzień szukałem jeszcze jakiegoś pudła lądowego, na którym za przejazd mógłbym zapłacić pracą, gdyż pieniądź nie trzyma się i nie będzie się trzymać starego Toma aż do śmierci, chyba że trafi się szczęśliwy połów. Ale okazało się, że tylko szkapę i rogacizną, i ośliska mają przywilej ciągnięcia i luzowania na waszych lądowych pudłach, i dlatego musiałem oddać tygodniowy zarobek za koję, nie mówiąc o życiu na ćwierć racji przez całą drogę od Bostanu do miasta Plymouth.

— To lichwa ze strony właściciela dyliżansu żądać tyle od człowieka w tej sytuacji — rzekł Dillon tonem przyjaznym, zdradzającym chęć podtrzymania rozmowy.

— Na tym pudle byłem w sytuacji pasażera — ciągnął sternik — gdyż na przedzie był jeden tylko człowiek, nie licząc owych bydłaków, o których wspominałem. On to sterował, a diablo łatwą miał robotę, bo kurs mu wypadał między kamiennymi murami i płotami. Co zaś do obliczenia mil, to wcale głowy sobie mógł tym nie zaprzętać, bo całkiem wyraźnie były dla niego wyznaczone na kamieniach przydrożnych sterczących co każde pół mili. Poza tym miał znaków rozpoznawczych tyle, że ślepy na jedno oko mógłby się wedle nich kierować bez obawy zdryfowania na zawietrzną.

— Musieliście się czuć jak przeniesieni na inny świat — zauważył Dillon.

— Zupełnie jakbym był w obcym kraju, choć przyszedłem na świat o parę mil zaledwie od tego właśnie brzegu. Często słyszałem, jak mieszkańcy wybrzeża mówili, że tyle jest na świecie ziemi co wody, ale miałem to za wierutne kłamstwo, bom żeglował miesiące całe pod rozwiniętymi żaglami, nie widząc tyle lądu czy skały, by mewa mogła na nich złożyć jajka, muszę jednak przyznać, że między Bostonem a Plymouth nie widziałem wody przez dwie pełne wachty!

Dillon podtrzymywał pilnie ten interesujący dyskurs, tak że podchodząc pod mur okalający Opactwo sternik, jeszcze pochłonięty był porównywaniem obszarów Oceanu Atlantyckiego i kontynentu Ameryki.

Ominąwszy główną bramę wjazdową Dillon poprowadził Toma do furtki rzadko kiedy zamykanej przed nadejściem pory spoczynku. Dalej droga wypadała im poza frontowym gmachem i zmierzała ku stłoczonym oficynom. Sternik kroczył za swym przewodnikiem z zaufaniem, w którym łatwowiernego marynarza utwierdził ton niedawnej przyjacielskiej pogawędki. Nie zastanowiło go bynajmniej, że Dillon wstąpił do pomieszczenia zajmowanego przez żołnierzy kapitana Borroughcliffe'a. Dillon zamienił parę słów z sierżantem i skinął na Toma. Ruszyli dokoła oficyn i weszli do Opactwa drzwiami, którymi damy przedostały się w odwiedziny do więźniów. Dillon skręcił parę razy to w lewo, to w prawo w wąskich przejściach, co zachwiało wiarę Toma w łatwość podróży lądowych. I wreszcie znaleźli się w ciemnym korytarzu kończącym się uchylonymi drzwiami, przez które widać było jasno oświetloną komnatę. Te drzwi Dillon otworzył, a wtedy oczom Toma ukazała się scena podobna do tej, którą opisaliśmy zaznajamiając czytelników z pułkownikiem Howardem. Ożywczy żar z kominka, lśnienie polerowanego mahoniu stołów, iskrzący się trunek, słowem, atmosfera ta sama co poprzednio. Różnica sprowadzała się tylko do liczby wesołych kompanów biorących udział w libacji. Tym razem pan domu i Borroughcliffe siedzieli naprzeciw siebie, dyskutując żywo na temat wydarzeń dnia i zgrabnie podsuwając jeden drugiemu flaszkę z nektarem, który obaj jednakowo cenili i który nił ze zdumiewającą szybkością.

— Gdyby jeszcze Kit wrócił — zawołał weteran zwrócony tyłem do drzwi — ze świętym wawrzynem, wierzaj mi, Borroughcliffe, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem w całej Wielkiej Brytanii.

Kapitan, który po odniesionym zwycięstwie uważał się za zwolnionego od ślubu abstynencji, lewą ręką wskazując ku drzwiom, prawą zaś nalewając sobie roziskrzonego południowego wina, rzekł z namaszczeniem:

— O wilku mowa! Oto i kacyk we własnej osobie, z czołem stworzonym do noszenia wawrzynu. Ha! lecz kogo to widzę w świecie jego wysokości? Na Boga, mości kacyku, podróżujecie pod ochroną grenadiera, którego sam stary Fryderyk Pruski mógłby wam pozazdrościć! Sześć stóp jak nic ma ten wielkolud, a ramiona tak niespotykane jak broń, którą nosi!

Pułkownik nie czekając końca tyrady odwrócił się i ujrzawszy osobę tak upragnioną, przyjął Krzysztofa z radością tym większą, że go się nie spodziewał. Dillon, zasypany gradem pytań, odpowiadał szanownemu kuzynowi z chwalebłą rezerwą, którą w pewnej mierze można było przypisać obecności sternika. Tom stał jak posąg, wsparty na swym harpunie, ogarniając spojrzeniem pełnym podziwu, a jednocześnie pogardy zbyt kowne urządzenie komnaty, jakie oczy jego po raz pierwszy w życiu oglądały. Przez ten czas Borroughcliffe, nie zważając na ożywioną wymianę zdań

między Dillonem a gospodarzem, którzy usunęli się po chwili w dalszy róg pokoju, korzystał z nieobecności kompana i wychylał szklanice za szklanice, jakby za dwóch. Jeżeli zaś podniósł niekiedy wzrok znad rubinowego płynu, to tylko, by podziwiać wspaniałą wzrost i postawę wielkoluda, na którym z lubością spoczywało oko werbownika. Tę podwójną rozkosz przerwali mu jednak towarzysze, wzywając go do wzięcia udziału w naradzie.

Weteran zaoszczędził Dillonowi przykrości powtarzania sprytnie ułożonej historyjki, którą prawnik specjalnie dla niego wymyślił. Stary pułkownik przedstawił w rezultacie zdradę swego

ulubieńca jako usprawiedliwiony fortel wojenny i dowód jego niewzruszonej wierności dla monarchy. Krótko mówiąc, Tom miał zostać uwięziony, a oddział Barnstable'a — pochwycony w pułapkę — podzielić los reszty Amerykanów. Zapadłe oczy Dillona jeszcze głębiej zdawały się uciekać pod czaszkę przed zimnym spojrzeniem Borroughcliffe'a, gdy pułkownik wychwalał pomysłowość krewniaka. Oficer jednak uspokoił swoje sumienie spojrzawszy raz jeszcze na jeńca pogrążonego w kontemplacji bogactw Howardów i mniemającego w prostocie ducha, że Anglicy tak długo naradzają się nad zwolnieniem pana Griffitha.

— Drill — rzekł Borroughcliffe głośno.

Tom zrobił zwrot słysząc to wezwanie i dopiero teraz zauważył, że u wejścia stoi sierżant z czterema uzbrojonymi rekrutami.

— Weźcie tego człowieka pod straż; dajcie mu co przekąsić i czym gardło przepłukać.

Nic w tym nie było szczególnie niepokojącego, toteż Tom ruszył w ślad za żołnierzami, usłuchawszy rozkazującego gestu ich dowódcy, nie zdążyli jednak ujść daleko, gdy zatrzymani zostali okrzykiem: — Stać!

— Rozmyśliłem się, Drill — zwykłym już tonem powiedział Borroughcliffe podchodząc do drzwi. — Zaprowadźcie tego człowieka do mojej kwatery i postarajcie się, by mu na niczym nie zbywało.

Sierżant odpowiedział, że rozumie, na co Borroughcliffe powrócił do butelki. Tom pomaszerował ochoczo w dalszą drogę gdyż perspektywa dobrego poczęstunku znakomicie dodała mu animuszu.

Cierpliwość jego nie została wystawiona na długą próbę, gdyż kwatery kapitana znajdowała się w pobliżu, a poczęstunek wniesiono bezzwłocznie. Pokój dowódcy garnizonu mieścił się w jednym z bocznych korytarzy, a poczęstunek składał się z rostbefu, uniwersalnego dania kuchni angielskiej, na którym w domu pułkownika Howarda nigdy nie zbywało. Sierżant rozumiał zamiary swego dowódcy, zmieszał więc grog tak mocny, że zwałyby niezawodnie z nóg zwierzę, które Tom pałaszował z zapałem, gdyby spacerowało jeszcze po łące. Amerykanin miał jednak zdumiewająco mocną głowę. Wlewał w siebie szklanice za szklanice z podziwu godnym zadowoleniem, ale i równie godną podziwu odpornością na wyziewy alkoholu. Oczy sierżanta, który poczuwał się do obowiązku przepijania do gościa, zaczynały błyszczeć niezdrowym blaskiem, kiedy na szczęście dla niego dowódca wszedł do pokoju i oszczędził mu wstydu, jaki go czekał, gdyby pozwolił się spić rekrutowi.

Borroughcliffe kazał mu iść precz i dodał:

— Pan Dillon wyda wam rozkazy, które macie wypełnić. Drill, dość trzeźwy, by przewidzieć, co powiedziałby kapitan spostrzegłszy, jak dokładnie wywiązał się z polecenia, wycofał się szybko i Długi Tom został sam z dowódcą garnizonu Opactwa

Św. Ruty. Dzielny marynarz zaspokoił już pierwszy głód, lecz nie nasycił się jeszcze na tyle, by rostbef przestał mu smakować, siedział tedy na jednym z kufrów Borroughcliffe'a wżgardziwszy krzesłem, a trzymając półmisek na kolanach, własnym nożem okrawał z kości resztki mięsa z taką zręcznością, z jaką wiedźma z bajek Tysiąca i Jednej Nocy nawlekała na igłę ziarnka ryżu. Kapitan przysunął krzesło do sternika i z niesłychaną, zważywszy na różnicę ich, kondycji, poufałością zaczął następującą rozmowę:

— Mam nadzieję, że poczęstunek był w waszym guście, panie... ba, nie wiem dotąd, jak się nazywacie.

— Tom — odpowiedział sternik błędząc oczyma po półmisku. — Marynarze zwą mnie zazwyczaj Długim Tomem.

— Żeglowaliście, widzę, z rozsądnymi ludźmi i przednimi nawigatorami, skoro tak dobrze znają się na długości — podchwycił kapitan. — Ale musicie mieć przecie rodowe, chcę powiedzieć, inne nazwisko.

— Coffin — odparł Tom. — Zwą mnie Tomem dla krótkości, kiedy czas jest drogi, przy luzowaniu szotów i fałów, Długim Tomem zaś, kiedy chcą udobruchać starego marynarza, a Długim Tomem Coffinem wołają mnie, aby jaki inny Coffin nie stawił się na apelu, bo pewno niewielu wśród nich ma więcej niż sążeń od głowy aż po piąty.

— Dzielny z was człowiek, ani słowa — zawołał Borroughcliffe — i przykro pomyśleć, jaki los zgotował wam pan Dillon swą zdradą.

Podejrzenia Toma, jeżeli w ogóle je żywił, były uspięne gościnnym przyjęciem, toteż te parę dwuznacznych słów nie zdołało ich rozbudzić. Pociągnąwszy łyk grogu odpowiedział z zadowoloną miną:

— Mój los? Nic mnie przecież nie spotka, bo przyprowadziłem tu pana Dillona, który ma w zamian za to wypuścić pana Griffitha lub sam wrócić ze mną jako jeniec na „Ariela”.

— Mój przyjacielu, obawiam się, że pan Dillon nie będzie chciał teraz słyszeć o zamianie,

— Inaczej być nie może! Mam rozkaz przypilnować pana Dillona, który musi wracać ze mną, chyba że pan Griffith, jeden z najlepszych marynarzy jak na swe lata, odrzuci cumy i sam stąd odpłynie.

Borroughcliffe z dobrze udanym wyrazem współczucia popatrzył na marynarza, który nawet tego nie zauważył, w tak różowy nastrój wprowadził go wypity grog, a wrodzona uczciwość nie pozwalała posądzać kogoś o nikczemność. Zmuszony do gry w otwarte karty kapitan podjął:

— Przykro mi to mówić, ale nie wolno wam już będzie powrócić na „Ariela”, a wasz dowódca, pan Barnstable, sam zostanie jeńcem nie dalej niż za godzinę, bo jeszcze tej nocy zdobędziemy wasz szkuner.

— Kto go zdobędzie? — spytał sternik z uśmiechem, choć groźby wywarły na nim pewne wrażenie.

— Wiadomo wam przecie, że szkuner stoi na kotwicy w zasięgu ognia ciężkich dział, które mogą zatopić go w parę minut. Wysłaliśmy już gońca do dowódcy baterii, by wyjaśnić, jakim statkiem jest „Ariel”, a ponieważ wiatr dmie od morza, szkuner nie zdoła nam uciec.

Sternik dopiero teraz pojął całą groźbę położenia. Przypomniawszy sobie własne fatalne prognozy pogody i zrozumiał bezradność statku pozbawionego połowy załogi i oddanego pod komendę chłopca, podczas gdy właściwy dowódca mógł lada chwila zostać ujęty. Półmisek stoczył się Tomowi z kolan, głowa mu opadła, twarz ukrył w szerokich dłoniach i choć starał się nie okazywać swych uczuć, głośny jęk wyrwał mu się z piersi.

Przez chwilę w duszy Borroughcliffe'a szlachetność wzięła górę i zamilkł na widok bólu człowieka, któremu wiek osrebrzył już głowę, ale odezwała się żyłka werbownika, od lat dostarczającego ofiar wojnie, i po krótkiej przerwie podjął:

— Z całego serca żal mi tych, którzy poszli za złym podszeptem czy też opacznie rozumiejąc swój obowiązek i zostaną teraz schwytani, ale na to nie ma rady, gdyż trzeba dla przykładu pokarać śmiałków, którzy z bronią w ręku wdarli się do serca Wielkiej Brytanii. Jeśli nie zdołają, pogodzić się jakoś z rządem, to obawiam się, że wszyscy zostaną skazani na śmierć.

— Niech lepiej pogodzą się z Bogiem. Wasz rząd niewiele uczynić potrafi dla człowieka, którego wachta na tym świecie się kończy.

— Ale zgoda z moźnymi tego świata może ocalić im życie — rzekł kapitan śledząc wrażenie, jakie słowa te wywrą na marynarzu.

— Mniejsza o to, kiedy człowiekowi po raz ostatni wypadnie powstać z hamaka i objąć wachtę na tamym świecie. Ale zobaczyć statek zbudowany tak jak „Ariel” w ręku wroga, to cios, którego się nie zapomni, choćby imię człowieka zostało skreślone z rejestru intendenta okrętowego na zawsze. Wolejby dwadzieścia kul przeszło moje stare cielsko niżli jedna „Ariela” pod linią wodną.

Borroughcliffe odparł z nonszalancją:

— Zresztą mogę się mylić. Zamiast skazywać na śmierć, mogą wpakować was na który z tych statków więziennych na jakie dziesięć, piętnaście lat,

— Co? — rzucił się sternik. — Statek więzienny, mówicie? Powiedźcie im, by się nie wykostrowywali na racje dla mnie. Niech już lepiej zastrzelą starego Toma Coffina.

— Nie sposób ręczyć za kaprysy ministrów. Dziś każą kilkunastu z was rozstrzelać jako rebeliantów, jutro gotowi uznać was za jeńców wojennych i zesłać na statki więzienne na kilkanaście lat.

— Powiedźcie im więc, że jestem rebeliantem, dobrze? I nie będzie w tym za grosz łgarstwa, bo walczyłem z nimi w Zatoce Bostońskiej od czasów Manly'ego aż po dziś dzień. Mam nadzieję, że nasz dzielny chłopiec wysadzi szkuner w powietrze! Biedny Ryszard Barnstable nie przeżyłby widoku „Ariela” w rękach Anglików!

— Znam dla was jeden — rzekł Borroughcliffe jakby z namysłem — ale to jeden tylko sposób uniknięcia statku więziennego, gdyż wątpię, by skazali was na śmierć.

— Wymieńcie go, przyjacielu — rzekł sternik powstając, widocznie poruszony. — Uczynię, co w ludzkiej mocy.

— To nic wielkiego — odpowiedział kapitan kładąc poufale rękę na ramieniu marynarza. — To nic trudnego i strasznego dla starego wygi, który nieraz proch wachał.

— Tak, tak — potwierdził skwapliwie Tom. — Nie ma i godziny, jak go wachałem. Cóż więc robić?

— To po prostu fraszka dla człowieka waszego pokroju. Przekonaliście się, że rostbef poszedł wam na zdrowie, a i grog był niezły.

— Tak, poczęstunek był niezły, ale cóż to znaczy dla starego marynarza? — odpowiedział Tom tak przejęty, że bezwiednie chwycił Borroughcliffe'a za kołnierz. — Cóż więc mam zrobić?

Kapitan nie rozgniewał się za tę niesłychaną poufałość, przeciwnie uśmiechnął się słodko i rzekł wreszcie:

— Służyć swemu królowi, tak jak służyliście Kongresowi, i zdać się na mnie przy wyborze sztandaru.

Sternik wytrzeszczył oczy i najwyraźniej nic nie rozumiał, kapitan więc zmuszony był wyjaśnić:

— Mówię po prostu, zaciągnijcie się do mojej kompanii, godny kamracie, a rękę za wasze życie i wolność.

Tom nie wybuchnął śmiechem, gdyż rzadko dawał taki wyraz uczuciom, ale jego wichrem i falą posiekana twarz wykrzywiła się ironią i gorzką wzdardą.

Borroughcliffe poczuł, że ręka, która wciąż trzyma go za kołnierz, sięga mu do gardła, a palce zaciskają się jak kleszcze. Ramię Toma kurczyło się powoli, przyciągając oficera z nieodpartą siłą coraz bliżej i bliżej. Kiedy twarze ich znalazły się od siebie na odległość stopy, marynarz powiedział:

— Milszy mi towarzysz kajutowy od towarzysza z okrętu, towarzysz z okrętu od obcego, obcy od psa, ale pies od żołnierza!

Z tymi słowy wyprostował nagle mocarne ramię i rozwarł palce. Odzyskawszy przytomność umysłu

Borroughcliffe spostrzegł, że leży rozciągnięty w najodleglejszym rogu pokoju, wśród przewracanych krzeseł, przykryty różnymi częściami garderoby. Gdy się porwał na nogi, natrafił ręką na gardę pałasa, który zawieruszył się gdzieś w chwili upadku.

— Ty łajdaku! — krzyknął dobywając broni. — Nauczę cię jeszcze moresu!

Sternik chwycił za harpun, który stał oparty o ścianę, i zasłonił się tak, że ostrze niezwyklej broni znalazło się o stopę od piersi napastnika. Groźne wejrzenie Toma ostrzegało przed zbliżeniem. Jednakże kapitan, odważny z natury i rozwścieczony zniewagą, podbił harpun i usiłował przemknąć pod ostrzem nie znanej mu broni. Pod jego ciosem harpun zawirował, a Borroughcliffe wypuścił broń z ręki, zdany na łaskę i niełaskę przeciwnika. Krwiożercze zamiary Toma prysły w chwili zwycięstwa, bo odłożył Harpun. Wywiązała się krótka walka wręcz i Anglik natychmiast poczuł, że nie podoła olbrzymowi. Obezwładniwszy kapitana, sternik zaczął wyciągać różne sznury i linki z kieszeni zaopatrzonych co najmniej jak worek bosmański i poprzywiązywał ręce pokonanego do słupów podtrzymujących baldachim łoża. Wszystko to robił ze zręcznością prawdziwego marynarza, spokojnie i w milczeniu. Kiedy się z tym uporał, postął chwilę, rozglądając się za czymś. Wreszcie chwycił pałasz i z bronią w ręku zbliżał się do jeńca, który ze strachu nie zauważył, że Tom ułamał klingę u gardy, a samą rękojęść omotał cienką linką.

— Na miłość boską! — zawołał Borroughcliffe. — Nie zamorduj mnie z rozmysłem.

Ledwie zdołał wyrzucić z siebie te słowa, srebrna rękojęść pałasa zatkała mu usta, a linka raz po raz migąła przed oczami i okręcała kark. Często sam stosował ten zabieg, zwany „kneblowaniem”, w stosunku do krnąbrnych żołnierzy, toteż zrozumiał, o co chodzi. Sternik uznał widocznie, że powinien skorzystać z przywilejów zwycięzcy, bo wzięwszy świecę, zaczął przeglądać ruchomości pokonanego. Ekwipunek wojskowy obejrzał i odrzucił na bok z pogardą, skromniejsze części garderoby poszły w ślad za nim jako zbyt małe. Wkrótce jednak wpadły mu w ręce dwa małe przedmioty ze szlachetnego metalu. Nie mógł odgadnąć, do czego służą, więc nakładał je na przeguby rąk, a nawet na nos. Kulki, którymi te zagadkowe rzeczy były zakończone, budziły w nim takie zaciekawienie jak w dzikim zegarek. W końcu przyszło mu widocznie do głowy, że to również część składowa żołnierskiego ekwipunku, więc odrzucił je na bok. Borroughcliffe, który śledził każdy ruch zwycięzcy, mimo przykrej swej sytuacji był tym coraz bardziej ubawiony i scena ta przyczyniłaby się niezawodnie do pojednania między przeciwnikami, gdyby oficer mógł tylko wyrazić swe uczucia. Z prawdziwą przyjemnością stwierdził, że nic nie grozi jego ulubionym ostrogom, i dusił się ze śmiechu pod kneblem. Wreszcie sternik znalazł parę pięknej roboty pistoletów. Były nabite, co przywiodło mu na myśl niebezpieczeństwo grożące „Arielowi” i jego dowódcy. Zatkanął pistolety za pas i chwyciwszy harpun podszedł do Borroughcliffe'a siedzącego w więzach na łożu.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł — niech ci Bóg daruje plugawą myśl zrobienia żołnierza z człowieka, który żegluje po morzach od chwili przyjścia na ten świat i ma nadzieję znaleźć grób w słonej wodzie. Źle ci nie życzę, ale będziesz musiał pomilczeć, dopóki który z twoich kompanów tu nie zajrzy, co, mam nadzieję, nastąpi niedługo po mojej ucieczce.

Z tymi przyjaznymi słowy sternik oddalił się, pozostawiając Borroughcliffe'a ze świecą i w jego własnym pokoju, chociaż w położeniu niezbyt przyjemnym i godnym pozazdroszczenia. Po chwili kapitan usłyszał, jak klucz obraca się w zamku i zostaje wyjęty. Zrozumiał, że Tom przedsięwziął

dodatkowe środki ostrożności, by go odciąć od świata i zyskać na czasie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gdy zemsta niby krwawe znamię

Podnosi nagie i czerwone ramię —

Któż, Lęku, widząc ten znak zły

Nie wpadnie w dziki szal jak ty.

Collins

Opuszczając kwaterę Borroughcliffe'a, Tom Coffin nie miał bynajmniej ułożonego planu działania, a powodował się tylko niezłomnym postanowieniem powrotu na „Ariela”, gotów dzielić jego losy. Łatwo jednak było powziąć takie postanowienie, trudno natomiast wykonać je w podobnej sytuacji. Prędzej udałoby mu się wyprowadzić okręt spośród mielizn Diabiego Szponu niż zorientować się w labiryncie przejść, korytarzy i apartamentów, które go otaczały.

— Z głównego kanału wpływałem w jakiś węższy, ale czym wtedy położył ster na prawą czy na lewą burtę, tego sobie nie przypominani — monologował.

Tom znajdował się w tej części gmachu, którą pułkownik Howard przezwał klasztorem. Nie groziło mu tutaj, że natknie się na nieprzyjaciół, gdyż pokój Borroughcliffe'a był w całym skrzydle jedynym pokojem nie należącym do dam. Stary pułkownik musiał zezwolić na wtargnięcie oficera do tego zacisza, gdyż nie mógł umieścić Griffitha lub Manuala w pobliżu swych pupilek, a nie chciał postąpić z nimi w sposób, który uważał za niegodny. Przeprowadzka Borroughcliffe'a wypadła na korzyść Toma z dwóch względów. Po pierwsze miał większą swobodę ruchów, a po drugie oficer nie mógł zbyt szybko wydostać się na wolność. O pierwszej okoliczności jednak Tom nie wiedział, a nad drugą wolał się nie zastanawiać.

Trzymając się muru wyszedł wkrótce z ciemnego i wąskiego korytarza na główny korytarz, wiodący na parter i łączący skrzydło klasztorne z frontem Opactwa. Przez otwarte drzwi padała smuga silnego światła i Tom spostrzegł po chwili, że zmierza do komnaty, która nie tak dawno wzbudziła jego ciekawość swym bogactwem. Najnaturalniejszy odruch człowieka pragnące go uciec kazałby mu zawrócić, ale dzielny marynarz usłyszał odgłosy ożywionej rozmowy, w której padło nazwisko Griffitha, postanowił więc podejść bliżej i zbadać sprawę. Powodowany tą myślą zatrzymał się u samego progu. Miejsce u stołu, zajęte dawniej przez kapitana, znów objął w posiadanie Dillon, a pułkownik Howard powrócił na swoje krzesło. On to mówił tak głośno, rozpluwając się z zachwyty nad sposobem, w jaki krewniak wywiódł w pole łatwowiernych nieprzyjaciół.

— Piękny fortel! — powiedział weteran, ledwie Tom zajął miejsce w zasadzce. — Najpiękniejszy, najsprytniejszy fortel w świecie, który zwiódłby samego Cezara! Szczwany lis musiał być z tego Cezara, ale ty zakasowałbyś go z kretelem. Niech mnie kule biją, jeśli nie przewyższył nawet Wolfe'a, gdybyś miast Montcalma bronił Quebecu! Ach, chłopcze, jakże potrzebny nam jesteś w

koloniach na sędziowskim krześle i w gronostajach. Tacy ludzie jak ty, kuzynie Krzysztofie, są niezbędni, by bronić praw jego królewskiej mości.

— Zawstydzacie mnie, sir, pomawiając o talenty, których nie posiadam — odrzekł Dillon i skromnie spuścił oczy, być może w poczuciu własnej nicości, lecz z miną wielce uniozoną. — Ten mały, usprawiedliwiony podstęp...

— Ba, na tym polega jego wielkość — przerwał pułkownik odsuwając flaszkę szerokim gestem człowieka, który nigdy w życiu nie uciekał się do podstępu. — I to nie zwykłe kłamstwo, nie podła zdrada, którą każdy nikczemny pies obmyślić potrafi, o nie, ty zastosowałeś typowy wojenny... klasyczny, że tak powiem, fortel godny Pompejusza albo Marka Aureliusza, albo... ha, wiesz lepiej ode mnie, jak się ci wielcy mężowie starożytności zwali. Wymień jednak najmądrzejszego z nich, a powiem, że przy tobie był głupcem. To prawdziwie spartański wybieg, prosty a uczciwy.

Szczęśliwie dla Dillona głowa pana domu, który w podnieceniu ciągle nią kiwał, zasłaniała sternikowi cel, Tom bowiem mierzył do zdrajcy z pistoletu Borroughcliffe'a. Ocaliło go również i to, że chyba ze wstydu ukrył twarz w dłoniach, dając marynarzowi czas do namysłu.

— Ale nie mówicie mi nic o paniach — powiedział Dillon po chwili milczenia. — Mam nadzieję, że zachowywały się podczas ранego alarmu, jak przystało na niewiasty z rodu Howardów.

Pułkownik potoczył okiem, jakby chciał się upewnić, że są sami, i zniżył głos:

— Ach, kręcą się dokoła nas od czasu, gdy ten zbuntowany łajdak Griffith został sprowadzony do Opactwa. Mieliśmy nawet dzisiaj przyjemność spożywać obiad w towarzystwie panny Howard. Co chwila słyszę: „kochany stryjkę” i „niepotrzebnie narażasz się w potyczkach z awanturnikami, którzy wylądowali”, jak gdyby dla weterana kampanii z 1756 roku wachać proch nie było to samo, co wachać tabakę! Ale starego wróbla nie wezmą na plewy. Ten Griffith pójdzie co najmniej do Tower.

— Byłoby wskazane oddać go bez zwłoki władzom cywilnym.

— Oddamy go konstablowi Tower, hrabiemu Cornwallisowi, dzielnemu i lojalnemu rycerzowi, który teraz właśnie walczy z rebeliantami w mojej rodzinnej prowincji — przerwał pułkownik. — Będzie to sprawiedliwa kara, ale — ciągnął powstając z godnością — nie pozwoliłbym nawet konstablowi Tower przewyższyć się pod względem gościnności, toteż kazałem podać więźniom kolację do ich pokoi i muszę sprawdzić, czy wykonano moje rozkazy. Trzeba też przygotować coś na przyjęcie tego kapitana Barnstable'a, który bez wątpienia przybędzie tu niedługo.

— Najdalej za godzinę — rzekł Dillon spoglądając niespokojnie na zegarek.

— Musimy się pospieszyć — podjął pułkownik i ruszył ku drzwiom prowadzącym do pokoi więźniów — ale i paniom tak jak tym gwałcicielom prawa należą się pewne względy. Idź, Krzysztofie, zanieś moje pozdrowienia Cecylii. Nie zasługuje na to, uparta dziewczyna, ale z drugiej strony to przecie moja bratanica! A przy tej sposobności, filucie, zakrzętnij się koło własnej sprawy. Marek Antoniusz był niczym w porównaniu z tobą, jeśli chodzi o fortele, a miał powodzenie u niewiast, czego dowodem jego romans z tą królową piramid.

Drzwi zamknęły się za nim i Dillon pozostał sam, pełen niepewności, czy pójść za radą krewniaka.

"Tom niewiele zrozumiał z tej rozmowy, lecz cierpliwie czekał jej końca w nadziei, że dowie się czegoś o więźniach. Nim zdążył jednak zdecydować się na dalszy krok, Dillon postanowił nagle iść do klasztoru; wychylił parę szklanek wina dla kurażu, minął ukrytego w cieniu sternika tak blisko, że niemal się o niego otarł, i podążył korytarzem. Szedł szybko jak ludzie, którzy z trudem Powziąwszy postanowienie usiłują ukryć swą słabość przed samymi sobą. Tom nie wahał się dłużej, lecz pchnął rozkołysane drzwi i korzystając z zapadłych ciemności i odgłosu kroków Dillona ruszył pośpiesznie w ślad za nim. Zdrajca przystanął u drzwi pokoju Borroughcliffe'a, jakby niezdecydowany, czy tam nie wstąpić, albo zaintrygowany ciężkim i nieostrożnym krokiem sternika; musiał jednak wziąć kroki Toma za echo swych własnych, gdyż zaraz ruszył w dalszą drogę.

Gdy Dillon zastukał lekko do drzwi salonu klasztornego skrzydła, ozwał się łagodny głos Cecylii. Wówczas dzentelmen zmieszał się bardzo, dzięki czemu drzwi zostały przez pewien czas otwarte.

— Przychodzę, panno Howard — rzekł — z polecenia stryja pani i, niech mi wolno będzie dodać, także z własnego.

— Niechaj nas Bóg ma w swej opiece! — zawołała Cecylia załamując ręce z przerażenia i bezwiednie powstając z sofy. —

Czy i my mamy zostać uwięzione i zamordowane?

— Jak może pani podejrzewać mnie — Dillon urwał spostrzegłszy, że przełekte oczy nie tylko Cecylii, ale i Katarzyny, i panny Alicji Dunscombe skierowane są nie na niego. Odwrócił się i ku swemu przerażeniu ujrzał olbrzymią postać sternika, a nad nią twarz stężałą w nienawiści. Postać ta zagradzała jedyne wyjście z komnaty.

— Jeśli kto zdolny jest popełnić morderstwo — rzekł Tom ogarnawszy zdumioną grupę surowym spojrzeniem — to prędzej ten oto łgarz niżli kto inny. Ale człowieka takiego jak ja, który tyle lat wędrował po morzach i walczył z różnymi potworami, trudno posądzać, by nie wiedział, jak traktować bezbronne niewiasty. Nikt, kto zna Toma Coffina, nie będzie go pomawiał o użycie słów niegrzecznych i nieprzystojne zachowanie względem płci pięknej.

— Coffin! — zawołała Katarzyna wychodząc z kąta, gdzie wszystkie trzy się skryły.

— A jakże, Coffin — podjął stary marynarz, a w miarę jak mówił, pod promiennym spojrzeniem pięknych oczu ostre jego rysy przybierały wyraz łagodniejszy. — Ponure to nazwisko, ale znane wśród mielizn, na wyspach i przylądkach. Mój ojciec zwał się Coffin, moja matka Joy, a te dwie rodziny mają więcej wielorybów na sumieniu od wszystkich innych rodzin na naszej wyspie, choć Worthowie, Gardnerzy iswainowie lepiej władają ościeniem i harpunem niżli rybacy z nawietrznej strony Atlantyku.

Katarzyna słuchała tej pochwały wielorybników z Nantucket z widoczną przyjemnością, a kiedy Tom skończył, powtórzyła z naciskiem:

— Coffin! A więc to Długi Tom!

— Tak, Długi Tom, a imię to jest słuszne — odparł sternik. Na posępnym jego obliczu zaigrał uśmiech, gdy patrzył na ożywioną twarzyczkę panny. — Niechaj błogosławieństwo niebios spłynie na was, młoda pani o uśmiechniętej twarzy i pięknych czarnych oczach! Słyszeliście więc o Długim Tomie? Pewnie o tym, jak miota harpunem? Ach, stary jestem i nieporadny, ale kiedyś miałem lat dziewiętnaście i prowadziłem tańce na zabawie w Nantucket z dziewczyną niemal tak piękną jak wy, młoda pani. Dziewiętnaście lat i już trzy wieloryby na sumieniu!

— Nie — odrzekła Katarzyna przystępując z żywością i rumieńcem na twarzy do wilka morskiego. — Słyszałam o was jako o wzorze cnót marynarskich, jako o wiernym sterniku, nie, raczej jako o oddanym przyjacielu i towarzyszu pana Ryszarda Barnstable'a. Ale może przybywacie z jakąś wiadomością albo z listem od tego dżentelmena?

Na wzmiankę o dowódcy Coffin przybrał wyraz surowości. Zwrócił pałające spojrzenie na skurczonego ze strachu Dillona i rzekł tym głębokim, szorstkim głosem, który wyrabia u marynarzy walka z żywiołami:

— Hej, podły łgarzu, odpowiadaj, kto wciągnął starego Toma Coffina na te mielizny? Nie, nie o list tu chodzi. Ale, na Boga, który każe dać wiatrom, a zbłąkanemu żeglarzowi wskazuje kurs na bezkresnych wodach, będziesz spał dzisiejszej nocy na deskach „Ariela”, a jeśli taka wola boska i piękny ten statek ma pójść na dno, pójdziesz na dno z nim razem.

Niezwykła gwałtowność, zwroty, których użył, dzika energia bijąca z całej postaci starego marynarza, blask szczerego oburzenia w jego oczach i druzgocące działanie tych słów na Dillona sprawiły damy w głębokie zdumienie. W ciągu tej krótkiej chwili osłupienia Tom podszedł do swej sparaliżowanej strachem ofiary i skrępowawszy struchlałemu Dillonowi ręce na plecach, przywiązał go mocnym sznurem do swego pasa tak, by ręce mieć wolne i nie. wypuścić jeńca w razie napaści.

— Na pewno — rzekła Cecylia, która pierwsza odzyskała przytomność umysłu — pan Barnstable nie upoważnił was do zadawania gwałtu krewnemu mego stryja pod jego dachem? Panno Plowden, twój przyjaciel zapomniał się, jeśli ten człowiek działa na jego rozkaz!

— Mój przyjaciel, kuzynko — odparła Katarzyna — nigdy nie kazałby swemu sternikowi czy komukolwiek innemu popełniać czynów niegodnych. Mówcie, dzielny marynarzu, czemu traktujecie w ten sposób pana Dillona, który jest krewnym pułkownika Howarda i mieszkańcem Opactwa Św. Ruty?

— Ależ Katarzyno!

— Zostaw, Cecyljo, bądź cierpliwa i pozwól mu się wytłumaczyć.

Tom widząc, czego się po nim spodziewają, w kilku słowach, zrazu cokolwiek zagmatwanych, opowiedział, jak Barnstable zaufał Dillonowi i jak Dillon podle go podszedł. Panny słuchały z rosnącym zdziwieniem, a ledwie umilkł, Cecylia zawołała:

— A czy pułkownik Howard, czyż pułkownik Howard mógł pochwalić ten zdradziecki plan?

— Tak, ukartowali go do spółki — odpowiedział Tom — ale jeśli się on i uda, to tylko w połowie.

— Nawet Borroughcliffe, tak wyzuty przez życie koszarowe ze skrupułów, uważałby tę zdradę za dyshonor — dodała panna Howard. — Ale pan Barnstable? — przemówiła po chwili Katarzyna, z trudem opanowawszy wzruszenie. — Czy nie mówiliście, że żołnierze go szukają?

— Tak, młoda pani — odparł sternik z ponurym uśmiechem — gonią go, ale on rzucił gdzie indziej kotwicę, a nawet gdyby go znaleźli, pod pikami abordażowymi padłoby w mgnieniu oka. Ale Ten, który rządzi sztormami i ciszami morskimi, niechaj ma w swej opiece nasz szkuner! Ach, młoda pani, widok jego jest tak miły dla starego żeglarza jak widok kobiety dla całego rodzaju ludzkiego.

— Dlaczego więc zwlekacie? W drogę, zacny Tomie, i odkryjcie zdradę waszemu dowódcy. Może jeszcze zdążycie odwrócić nieszczęście. Nie traćcie ani chwili.

— Nie dam rady bez pilota. Potrafiłbym przeprowadzić statek wśród płycizn Nantucket, i to w noc najciemniejszą, ale tu boję się wpaść na mieliznę. Nieledwie już wpadłem na kogoś i o mały włos, a musiałbym się przebijać.

— Jeżeli tylko o to chodzi, udajcie się ze mną — zawołała Katarzyna ochotczo. — Poprowadzę was tak, że ominiemy strażników, i wskażę wam ścieżkę wiodącą prosto na brzeg.

Słyszając to Dillon stracił nadzieję na odsiecz. Wszystkie krew spłynęła mu do serca i posadzka zdała mu się usuwać spod nóg. Wyprostował swą haniebnie strachem i wstydem przybitą postać i podszedłszy do Cecylii, zawołał ze zgrozą:

— Nie pozwólcie, nie zgadzajcie się, panno Howard, nie rzucajcie mnie na pastwę wściekłości tego człowieka! Wasz stryj, wasz szanowny stryj pochwała moje zamiary i popiera ten plan, -który jest tylko zwykłym fortem wojennym.

— Mój stryj, panie Dillon, nie pochwaliby nigdy tak podle ukartowanej zdrady — odrzekła zimno Cecylia.

— Uczynił to, przysięgam na...

.— Łgarstwo! — przerwał mu marynarz głębokim basem.

Dillon zadrzał, a dźwięk tego strasznego głosu przeszył go do szpiku kości, lecz perspektywa wędrówki wśród ciemności nocnych po karkołomnych urwiskach i wśród odmętów morskich zjeżyła mu włosy na głowie i w strachu przed pozostaniem na łasce i nielasce bezwzględnego wroga uderzył znów w ton błagalny:

— Słuchajcie, posłuchajcie mnie jeszcze, panno Howard, zaklinam panią, wysłuchajcie mnie! Czy nie jestem waszym krewnym i rodakiem? Czyż możecie wydać mnie w ręce temu dzikiemu, złośliwemu, wściekłemu człowiekowi, który przebije mnie... o Boże, gdybyście widziały to, czego ja byłem świadkiem na „Alacrity”! Wysłuchajcie mnie, panno Howard, na miłość boską, wstawcie się

za mną! Pan Griffith zostanie uwolniony...

— Łgarstwo! — przerwał mu znów marynarz.

— Co on obiecuje? — spytała Cecylia spoglądając żywo na nieszczęsnego jeńca.

— Wszystko obieca, nic nie dotrzyma — odrzekła Katarzyna. — Chodźcie za mną, zacny Tomie, a przynajmniej ja bez zdrady wyprowadzę was z tej pułapki.

— Okrutna, uparta panno Plowden! Szlachetna, dobra panno Alicjo, ujmijcie się za mną wy, pani, której serca twardym nie czyni bezpodstawny strach przed niebezpieczeństwem grożącym komuś kochanemu.

— Nie zwracajcie się do mnie — odrzekła Alicja spuszczać oczy. — Mam nadzieję, że życiu waszemu nic nie zagraża, i modłę się o to do Wszechmogącego.

— W drogę! — zawołał Tom. Chwycił za kołnierz bezradnego Dillona i bardziej wyciągnął niż wyprowadził go na korytarz. — Jeśli wydasz głos, choć w części taki, jaki wydaje mały delfin chwytając po raz pierwszy powietrze, spotka cię to, czego byłeś świadkiem na „Alacrity”. Mój harpun jest jeszcze ostry, a ramię, które nim włada, potrafi go wbić po rękojęść.

Groźba poskutkowała i jeńcowi tchu niemal zbrakło z przerażenia, toteż w milczeniu podążali w ślad za stąpającą lekko Katarzyną, która wiodła ich nie uczęszczanymi przejściami Opactwa. Po paru minutach stanęli u małych drzwi w murze i znaleźli się na dworze. Panna Plowden szła dalej poprzez ogród do furki prowadzącej na łąki. Wskazawszy ścieżkę ledwie widoczną w zwiędłej darninie, życzyła Długiemu Tomowi błogosławieństwa bożego z akcentem dowodzącym, jak leży jej na sercu jego bezpieczeństwo, i zniknęła mu z oczu.

Teraz, kiedy drogę miał jasno wytkniętą, Toma nie trzeba było zachęcać do pośpiechu, toteż wsadziwszy za pas pistolety, z harpunem w ręku przemierzał łąkę takimi krokami, że jeniec ledwie mógł za nim nadążyć. Raz czy dwa Dillon zaryzykował parę słów, ale w odpowiedzi padło surowe: — Milcz! — więc dopiero widząc, że podchodzą już do samych urwisk, zaproponował Tomowi za wypuszczenie go na wolność znaczną łapówkę. Sternik nie odpowiedział i w jeńca zaczęła już wstępować otucha, gdy niespodzianie poczuł na piersi zimne ostrze harpuna, które poprzez żabot wpiło mu się w skórę.

— Łgarzu — rzekł Tom. — Jeszcze słowo, a przesyję ci tym serce.

Od tej chwili Dillon był niemy. Dotarli nad zrab urwiska nie natknąwszy się na oddział wysłany na poszukiwanie Barnstable'a i znaleźli się w pobliżu miejsca, w którym wylądowali. Tom zatrzymał się nad samą przepaścią i doświadczone okiem marynarza objął szmat wód zalegających przed nimi. Morze już nie drzemało w bezruchu, lecz z gromkim pomrukiem lizało długimi jęzorami piany podnóża skał, na których stali. Sternik, popatrzawszy ku wschodowi, wydał cichy, stłumiony jęk, uderzył rękojęścią harpuna o ziemię i podążył w dalszą drogę, mrużąc okropne przekleństwa, których struchlały jeniec słuchał ze zgrozą, pewien, że na jego ciskane są głowę. Wydawało mu się również, że rozwścieczony marynarz umyślnie stąpa po samej krawędzi zawrotnych przepaści z tak

szaleńczym zuchwalstwem, nie licząc się ani z ciemnościami, ani z gwałtownymi podmuchami wichru. Jednakże Tom, zazwyczaj tak ostrożny, miał rację wystawiając się na takie niebezpieczeństwo. W połowie drogi między punktem, gdzie wylądowali, a tym, który Barnstable wyznaczył na miejsce spotkania, w przerwie między dwoma podmuchami wichru doszły ich stłumione głosy. Długi Tom stanął jak wryty. Nasłuchiwał z minutę, a odwróciwszy się do Dillona przemówił tonem cichym i zdecydowanym:

— Jedno słowo i zginiesz! Musisz zleźć ze skał po żeglarsku, trafiając nogami na występy skalne i trzymając się rękoma. Jeśli nie, strącę w morze, jak bym uczynił to z trupem nieprzyjaciela!

— Łaski! łaski! — błagał Dillon. — Nie potrafiłbym zejść stąd w biały dzień, a cóż dopiero w nocy!

— Zjeżdżaj w dół! — rzekł Tom — bo...

Ale Dillon nie czekał dłużej i dygocąc jak w febrze, zaczął opuszczać się po karkołomnej pochyłości. Sternik skoczył za nim z takim pośpiechem, że przymocowany do niego liną jeniec został ściągnięty z gzymsu skalnego i zawisł, przebierając w powietrzu nogami, nad wałem fal przybijających z furją do podnóży urwiska. Mimowolny krzyk wyrwał mu się z gardła i ten krzyk, porwany tchem wichru, zabrzmiał jak nawoływanie kobolda burzy.

— Jeszcze raz tak krzykniesz, a przetnę linę, łotrze — rzekł gotów na wszystko marynarz.

Głosy i kroki dały się teraz słyszeć wyraźnie i oddział zbrojnych stanął na szczycie skał tuż nad nimi.

— To był ludzki głos — rzekł jeden z żołnierzy — głos człowieka wzywającego ratunku.

— Nie może to być głos tego, kogo szukamy — odparł sierżant Drill. — Nie było to wcale podobne do hasła.

— Mówią, że takie krzyki słyhać tu często w burzliwą pogodę — ozwał się trzeci głos, z mniejszą niżli dwa poprzednie pewnością siebie — i przypisują je marynarzom, którzy potonęli.

Dał się słyszeć śmiech, ale nieszczerzy. Strach musiał ogarnąć największych niedowiarków, gdyż rzuciwszy parę wymuszonych żartów cały oddział pomaszerował dalej z zastanawiającym pośpiechem. Tom, który przez ten czas stał niewzruszony jak skała mimo ciężaru jeńca, wystawił głowę nad krawędź skalną i popatrzył w ślad za oddalającymi się nieprzyjaciółmi, potem zaś podciągnął w górę nieprzytomnego prawie Dillona i umieściwszy go bezpiecznie na brzegu, skoczył za nim. Nie tracąc chwili na bezcelowe wyjaśnienia, ciągnął Dillona wzdłuż urwiska z poprzednią szybkością. W parę minut dotarli do wąwozu, którym Tom sadił w dół ku morzu; i wnet znaleźli się na piasku wybrzeża, gdzie fale lizwały im stopy. Stary marynarz przysiadł, aż oczy jego znalazły się na poziomie wałów wodnych, i w ten sposób na tle horyzontu dostrzegł ciemną plamę łodzi płasającej u skraju nadbrzeżnej kipieli.

— Ahoj, wy z „Ariela"! — huknął Tom, a wicher zniósł jego okrzyk do uszu odchodzących

żołnierzy, którzy przypisawszy go złym mocom przyspieszyli kroku.

— Kto woła? — ozwał się w odpowiedzi znany głos Barnstable'a.

— Wasz sternik — odpowiedział Tom hasłem własnego pomysłu.

— To on! Zawrócić — zawołał porucznik. — A ty musisz przebrnąć przez kipiela.

Tom zarzucił sobie Dillona jak wór na plecy i skoczył w grzebień piany, który unosił łódź. Jeniec nie zdążył zaprotestować, a już siedział w łodzi u boku Barnstable'a.

— Kogo tu mamy? — spytał porucznik. — To nie Griffith.

— Podnieście kotwicę i w drogę! — rzucił gwałtownie sternik — a wy chłopcy, jeśli wam „Ariel” drogi, wiosłujcie co tchu!

Barnstable zbyt dobrze znał swego towarzysza, by tracić czas na próżne pytania. Prując dziobem krągłe wały, zapadając w bruzdy, zawsze jednak szybko i wytrwale posuwając się ku przystani, gdzie stał szkuner, pozostawili wkrótce za sobą nadbrzeżną kipiela. Wówczas w kilku zaprawionych gorczyką zdaniach Tom opowiedział dowódcy o zdradzie Dillona i o niebezpieczeństwie grożącym szkunerowi.

— W nocy żołnierze nie spieszą się zbyt — zakończył Tom — a z tego, co słyszałem, wnoszę, że goniec musi okrążyć zatokę, by dotrzeć na baterię. O ile zatem ten północno-wschodni wiatr pozwoli, zdążymy może okrążyć cypel, ale losy nasze są w ręku Opatrzności. Wiosłujcie, bracia, wiosłujcie! To sprawa życia czy śmierci!

Barnstable w głębokim milczeniu słuchał opowiadania, które w uszach Dillona brzmiało jak dzwon pogrzebowy. Na koniec dał się słyszeć stłumiony głos porucznika:

— Łotrze! Któż by mógł się dziwić, gdybym kazał rzucić cię na żer rekinom? Ale jeśli mój szkuner pójdzie na dno, będzie on twoim grobem!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Gdybym potężnym był bogiem — to raczej

Morze bym w ziemi pogrążył — nim fale

Nasz piękny statek połknęłyby żywcem.

Burza

Licząc się z możliwością porwania przez fale, Tom uwolnił ręce Dillona z więzów, kiedy wskakiwał z nim w nadbrzeżną kipieli, i jeniec skorzystał z tego, aby osłonić twarz. Rozmyślał posępnie nad wypadkami z mieszaniną złośliwej zaciekłości i tchórzostwa, które stanowiły dwa zasadnicze składniki jego charakteru. Barnstable i Tom zbyt byli zaprzątnięci własnymi myślami i przytłoczeni niebezpieczeństwem, by zakłócać pozorny spokój zdrajcy uwagami i wdawać się w niepotrzebne rozmowy. Kilka słów dowódcy w obliczu zbierającego sztormu, którymi jakby usiłował zakłócić koboldy, i okrzyk sternika rzucony od czasu do czasu dla zagrzania ciężko pracujących wioślarzy były jedynymi głosami ludzkimi odzywającymi się wśród pomruków fal i wycia wichru. Godzina może upłynęła marynarzom na walce z coraz wyżej piętrzącymi się bałwanami, zanim wreszcie okrążyli północny cypel przystani i zostawiwszy za sobą grzmiące wały wypadli na zasłonięte wody. Słychać tu było wprawdzie podmuchy wiatru wśród skał nadbrzeżnych, ale spokój panował zarówno na powierzchni wód, jak i w ich głębi. Cienie rzucane przez urwiska zdawały się zbiegać pośrodku zatoki i tworzyć masę ciemności, toteż choć marynarze natężali wzrok, by rozeznąć sylwetkę statku, nikomu z nich się to nie udało.

— Panuje tu cisza śmierci — zauważył Barnstable.

— Niech Bóg broni, aby to była cisza śmierci! — zawołał sternik. — Tam, tam — podjął stłumionym głosem, jakby w obawie, że zostanie podsłuchany — tam stoi szkuner, bardziej na lewo. Nie widzi pan, tam, na tle smugi czystego nieba nad moczarami, na prawo od lasu. Ta czarna rysa to top grotmasztu, a tam wyżej nocny znak „Ariela” obok tej dużej gwiazdy. He, he, sir, jeszcze polatują nasze gwiazdy i pląsają wśród gwiazd niebieskich! Chwała Bogu! Chwała Bogu! Kołysze się tak spokojnie na falach jak śpiąca mewa!

— Wszyscy chyba śpią w tej chwili na „Arielu” — odpowiedział dowódca. — Ale przybywamy w porę. Ruch na baterii!

Barnstable spostrzegł światełka migające poprzez strzelnice, a w następnej chwili doszły go wyraźne, choć stłumione odgłosy przygotowań na szkunerze. Porucznik zatarł ręce w uniesieniu niezrozumiałym prawdopodobnie dla większości czytelników, a Długi Tom wybuchnął swym cichym, bezradosnym śmiechem, kiedy dosłyszał te dźwięki, dowodzące, że „Ariel” jest bezpieczny i że załoga na nim czuwa. Nagle cały kadłub i wysokie maszty ukazały się wyraźnie, a niebo, spokojna zatoka i otaczające ją skały oświetlił ogień szybki i jasny jak błyskawica. Barnstable i Tom natężyli wzrok, z nadludzkim wysiłkiem usiłując przedrzeć zapadłe po błyskawicy ciemności, ale zanim huk działa ciężkiego kalibru zaczął się toczyć z wysokości, usłyszeli głuchy gwizd pocisku ponad

głowami, gwałtowny plusk wody i rumor, z jakim masa żelaza odbijała się od skał okalających zatokę.

— Pudło za pierwszym strzałem jest dobrą wróżbą dla nieprzyjaciela — rzekł sternik z namysłem.
— Dym zasłania cel, a przy tym noc jest najciemniejsza zawsze nad ranem.

— Ten chłopiec to fenomen na swoje lata! — zawołał uradowany porucznik. — Patrz, Tom, Merry zmienił w nocy miejsce postoju i Anglicy wymierzili w punkt, na który musieli naprowadzić działa w dzień, gdyż zostawiliśmy „Ariela” na linii łączącej baterię z tym oto wzgórzem! Strach pomyśleć, co by się z nami stało, gdyby wybili nam dziurę na wylot!

— Zapadlibyśmy na zawsze w angielskie błoto, gdzie w mgnieniu oka ściągnąłby nas spiż naszych dział i balast — odpowiedział Tom. — Strzał z takiej odległości rozerwałby nasze burty i piechota morska nie zdążyłaby nawet zmówić pacierza! Uwaga, tam na dziobie!

Załoga szalupy, jak należało się spodziewać, nie traciła czasu podczas tej wymiany zdań między dowódcą a sternikiem. Przeciwnie, widok statku podziałął na wioślarzy jak zakłęcie. Widząc, że wszelkie środki ostrożności są już zbędne, ostatnim wysiłkiem przybili do burty „Ariela”. Choć pełen wewnętrznego niepokoju, wahając się ciągle między nadzieją a zwątpieniem, Barnstable objął dowództwo z zimną krwią, na jaką marynarz wobec niebezpieczeństwa musi umieć się zdobyć. Jeden celny strzał wystarczyłby do zatopienia „Ariela”, gdyż pocisk tak wielkiego kalibru uczyniłby szkody nie do naprawienia. Barnstable wydawał przeto rozkazy ze świadomością grożącego niebezpieczeństwa, lecz również z precyzją i stanowczością, które przyczyniają się najlepiej do sprawnego i szybkiego ich wykonania. Pod sprężystym kierownictwem dowódcy marynarze w mgnieniu oka podnieśli kotwicę i chwyciwszy za długie wiosła, wspólnymi siłami zdołali nadać ruch okrętowi wprost w kierunku baterii i pod brzeg, którego szczyt nakryty był baldachimem dymu, barwionym przy każdym strzale odcieniem mętnej purpury, podobnym do odbłasku zachodzącego słońca na chmurach. „Arielowi”, póki się krył w cieniu skał, nic nie groziło, ledwie jednak wynurzył się z opiekuńczego cienia i zaczął zbliżać się do cieśniny wiodącej na pełne morze, Barnstable stwierdził, że długie wiosła nie poradzą przeciwko prądom powietrznym, ani też ciemności nie osłonią ich dłużej przed nieprzyjacielem, który zdążył już wysłać na brzeg obserwatorów. Wobec tego kazał wypłynąć z ukrycia i rozkazał pełnym otuchy tonem, by podnoszono żagle.

— Niech robią, co chcą, Merry — dodał. — Na taką zbliżyliśmy się do nich odległość, że pociski muszą przejść górą.

— Lepszych na to trzeba kanonierów niż milicja, wolontariusze, pospolitacy czy jak tam zwykli się zwać te krety spoza fortyfikacji, żeby odciąć „Ariela” od wiatru — odpowiedział nieustraszony chłopak. — Ale na co, sir, sprowadziliście tu z powrotem tego Jonasza? Proszę spojrzeć na niego w świetle lampy kabinowej. Kurczy się przy każdym strzale, jakby się spodziewał, że wymierzony jest wprost w jego obrzydliwą żółtą fizjonomię. A jakie są wieści, sir, o panu Grifficie i oficerze piechoty morskiej?

— Nie mów mi o nim — rzekł Barnstable ściskając aż do bólu ramię chłopca. — Nie wspominaj mi o nim, Merry. Potrzeba mi spokoju i jasności umysłu, a myśl o tym łotrze wytrąca mnie z równowagi. Ale nadejdzie czas! Idźcie naprzód, wiatr już dmucha, a przed nami wąska cieśnina.

Praktykant usłuchał natychmiast rzuconego żywo rozkazu, gdyż rozumiał, że dowódca, który zwykle zapominał o dzielącej ich różnicy lat i szarż, chce zakończyć przyjacielskie zwierzenia. Żagle podniesiono, a kiedy szkuner zbliżył się do wrót cieśniny, stale wznoszący się wicher chwycił lekki stateczek w obroty. Sternik, który pod nieobecność młodszych oficerów dowodził na dziobie, czując, iż w tak krytycznej chwili doświadczenie i wiek uprawniały go do udzielania wskazówek, jeśli nie rozkazów, podszedł do steru, w pobliżu którego stał dowódca.

— Cóż, Coffin? — rzekł Barnstable, który dobrze rozumiał, że stary jego towarzysz ma jak w każdej decydującej chwili ochotę porozmawiać. — Co myślicie o naszym kursie? Ci panowie z góry czynią wiele hałasu, ale zapomniałem już, jak gwizdzą ich kule, a przecież powinni widzieć nasze żagle na tle tej smugi światła.

— Tak jest, sir — odpowiedział Coffin — widzą nas i chcieliby trafić, ale nie mogą, bo pędzi nas przez ich ogień zbyt silna bryza. Kiedy, wiatr będziemy mieli z dzioba i znajdziemy się dłużej na linii kursu, dowiemy się, a może przekonamy na własnej skórze, co potrafią. Z trzydziestodwufuntowego działa nie można się złożyć jak z dubeltówki.

Słuszność tych uwag uderzyła Barnstable'a, ale ponieważ trzeba było zmienić kurs, wydał natychmiast stosowne rozkazy i statek dokonawszy zwrotu pomknął dziobem na pełne morze.

— Teraz albo nigdy! — krzyknął porucznik, kiedy dokonano manewru. — Jeśli podniesiemy się na wiatr na wysokość północnego cypla, wydostaniemy się z cieśniny i po dziesięciu minutach będziemy się mogli śmiać, choćby palono do nas z armaty królowej Anny, która, jak wiecie, posłała kulę z Dover do Calais.

— Tak, sir, słyszałem o tej armacie — odpowiedział sternik z powagą — i piękny to musiał być kawał spiżu, jeśli cieśnina była wtedy tej szerokości co teraz. Ale przed nami, w odległości pół mili, widzę niebezpieczeństwo większe niżli bateria najcięższych dział, jakie kiedykolwiek zostały odlane. Woda już bulgoce w lukach odpływowych, sir.

— Cóż z tego? Ileż razy fale zalewały działa, ale „Ariela” wyprowadzałem bez szwanku?

— Nie inaczej, sir, czyniliście to nieraz i możecie to powtórzyć, ale kiedy będziecie mieli otwartą przestrzeń przed sobą. Tego tylko marynarzowi potrzeba. Teraz, jak znajdziemy się poza zasięgiem baterii, będziemy mieli przeciwko sobie ten wiatr północno-wschodni, który nas może znieść na skały, czego, kapitanie Barnstable, boję się więcej niżli prochu i kul całej Anglii.

— A jednak kul również lekceważyć nie można. Kanonierzy ustawili wreszcie działa pod należytym kątem i pociski znowu padają koło nas. Płyniemy prędko, ale pocisk trzydziestodwufuntowy przegoni nas przy najpomyślniejszym wietrze.

Tom rzucił przelotne spojrzenie ku baterii, która wznowiła ogień z żywością dowodzącą, że kanonierzy widzą cel, po czym rzekł:

— Nigdy nie warto wymijać kul, gdyż mają one określone przeznaczenie, jak statki, które muszą zawinąć do tego, a nie innego portu; ale przeciw wiatrom i burzom żeglarz bronić się może, wedle

potrzeby luzując lub skracając żagle. Otóż przyładek południowy na trzy mile wcina się w morze, a na północ od niego ciągną się mielizny i niech Bóg uchowa, byśmy wpadli między nie po raz wtóry. — Wymkniemy się z tej zatoki, stary druho — zapewnił porucznik. — Jednym halssem zrobimy trzy mile.

— Widziałem, jak i dłuższe halsy bywały zbyt krótkie — odparł sternik trzęsąc głową. — Silna fala, przyływ i brzeg z zawietrznej strony zbiją z kursu każdy statek.

Porucznik właśnie otwierał usta, chcąc zbyć żartem tę przestrożę, gdy usłyszeli gwizd pocisku nad głowami. Rozległ się trzask łamanego drewna i top wielkiego masztu, zakołowawszy na wicherze, zwałił się na rufę, ściągając żagiel i amerykańską banderę, która, jak wyraził się Tom, powiewała wśród gwiazd firmamentu.

— Pechowy strzał! — wyrwało się Barnstable'owi w pierwszej chwili, lecz natychmiast się opanował i rozkazał uprzątnąć pokład i umocować łopocący żagiel.

Tom otrząsnął się z melancholii i na czele załogi wziął się do wypełniania rozkazów. Ogołocony ze wszystkich żagli wielkiego masztu „Ariel” zaczął szybko zbaczać z kursu i coraz większe groziło niebezpieczeństwo, że nie zdoła minąć cypla na zawietrznej. Dzięki jednak kunsztowi żeglarskiemu Barnstable'a i nieporównanej zwrotności statku ominęli go i pomknęli wzdłuż lądu, znoszeni na brzeg przez wiatr, trzymając się w miarę możliwości z dala od kipieli. Marynarze krzatali się gorączkowo u grotzagli, usiłując rozpiąć tyle płachty, ile mogło utrzymać się na ułamany maszcie. Ogień baterii ustał, gdy „Ariel” ominął cypel, ale wpatrzony w morze Barnstable odkrył przewidziane przez Toma niebezpieczeństwo. Kiedy szkody zostały w miarę sił i możliwości naprawione, sternik wrócił na stanowisko u boku dowódcy. Doświadczonym wzrokiem zbadał takielunek i podjął przerwana rozmowę:

— Byłoby dla nas lepiej, gdyby najwartościowszy człowiek załogi stracił rękę czy nogę, niż by „Ariel” utracił najsmiglejsze swe skrzydło. Grotzagiel, podwójnie zarefowany, zda się od biedy podczas sztormu, ale nie starczy, aby iść ostro pod wiatr.

— A cóż chcecie, Coffin? — odparł dowódca. — Widzicie przecie, że mamy ląd za rufą i zeglujemy od brzegu. Czy widzieliście kiedy, by jaki statek płynął wprost przeciw huraganowi? A może chcecie, bym skreślił i rozbił się o brzeg?

— Nie, nie, ja nic nie chcę, kapitanie Barnstable — odparł stary marynarz dotknięty niezadowoleniem dowódcy. — Jesteście jedynym człowiekiem, który potrafi wyprowadzić „Ariela” na pełne morze. Wszakże, sir, gdy ten oficer piechoty lądowej odkrył mi plan zatopienia naszego szkunera, przyszły mi na myśl rzeczy, które mi nigdy dotąd do głowy nie przychodziły. Wydało mi się, że widzę szczątki „Ariela” tak wyraźnie, jak widzę ten obłamany maszt, i wyznać muszę, że ręce mi opadły, czemu się dziwić nie należy, boć przywiązanie marynarza do okrętu to rzecz zrozumiała i ludzka.

— Zabierajcie się stąd, kuku morski! Biegiem na dziób, a bacście tam, aby szoty przednich żagli były wybrane do końca. Jeszcze chwilę, Tom! Jeśli wam stoją w oczach szczątki i rekiny, i inne głupstwa, zamknijcie je we własnej szalonej głowie i nie straszcie nimi moich ludzi. I tak poczynają

spoglądać na zawietrzną częściej, niżlibym sobie życzył. Idźcie i bierzcie przykład z pana Merry, który siedzi okrakiem na waszym imienniku i wyśpiewuje niczym chórzysta z kościoła jego ojca.

— Cóż, sir, pan Merry jest chłopcem i drwi z niebezpieczeństwa, bo go nie zna. Ale rozkaz, będę trzymał język za zębami i nikt od starego Toma Coffina nic się nie dowie.

Mimo zapowiedzianego posłuszeństwa sternik marudził z odejściem, wreszcie zaryzykował:

— Dopraszam się, by kapitan Barnstable zechciał odwołać pana Merry z działła, gdyż doświadczenie całego życia spędzonego na morzu nauczyło mnie, że śpiew podczas sztormu ściąga tylko silniejszy wiatr na statek, albowiem Ten, który rządzi wichrami, gniewa się słysząc głos ludzki tam, gdzie On zsyła swe tchnienie na wody.

Barnstable nie wiedział, czy śmiać się z przesądu, czy też ulec powadze słów wypowiedzianych w chwili tak groźnej. Ale otrząsnąwszy się z zabobonnej trwogi, która wkradła się do jego serca, porucznik uspokoił zacnego Toma, bo przywołał beztroskiego chłopca do siebie, gdzie przez uszanowanie Merry przestał śpiewać wesołą piosenkę. Tom odszedł z wolna na dziób, wielce zadowolony, że udało mu się przeprowadzić rzecz tak ważną.

Przez kilka następnych godzin „Ariel” walczył z wichrem i falą, aż dzień zaświtał nad wzburzonymi wodami i marynarze mogli dokładniej ocenić grożące im niebezpieczeństwo. W miarę wzmagania się sztormu żagle skracano, aż wreszcie tyle ich tylko pozostało na masztach, by nie dopuścić do znoszenia statku na skały. Wśród rozprasających się mroków Barnstable z zapartym oddechem obserwował pogodę, obawy Toma były więc uzasadnione! Na nawietrznej porucznik widział zielone masy wód uwieńczone grzebieniami pian, idące do sztormu na ląd z furją, której nic, rzekłbyś, oprzeć się nie mogło. Chwilami w powietrzu igrały wszystkie kolory tęczy, gdyż promienie wschodzącego słońca rozszczepiały się w znoszonym z wału na wał pyłe wodnym. Ku lądowi widok był jeszcze bardziej przerażający. Nadbrzeżne skały, sterczące o pół mili od zawietrznej, co chwila znikały niemal całkowicie pod piramidami wody, które natrafiając na zaporę, z żywiołową siłą wystrzelały wysoko w powietrze, jakby usiłując wyskoczyć z granic zakreślonych im przez naturę. Całe wybrzeże, poczynając od dalekiego przylądka na południu do znanych nam już mielizn ciągnących się w przeciwnym kierunku, było obrębione szerokim pasem piany, z którego nie wyszedłby cało najdumniejszy okręt pod słońcem. „Ariel” wciąż jeszcze wzbijał się lekko i bezpiecznie na wałach, choć czasami zapadał w przepastne bruzdy, które jakby otwierały się pod jego kadłubem, usiłując go pochłonać. Wśród marynarzy krążyły alarmujące wieści i ustawicznie przynosili wzrok z paru żagli, które jeszcze na masztach utrzymać się dało, na przerażającą linię brzegu. Nawet Dillon, do którego dotarły te pogłoski, wypęzł ze swego ukrycia w kabinie i błąkał się nie zauważony wśród posepnych ludzi, łowiąc chciwie uchem padające dokoła sądy.

Tom Coffin natomiast przejawiał zdumiewający spokój i rezygnację. Wiedział, że wszystko, co w ludzkiej mocy, zostało zrobione, aby odwieść szkuner od lądu, i nie ulegało już dla niego wątpliwości, że zrobione zostało nadaremnie. Uważał się jednak za część szkunera i gotów był podzielić jego los, dobry czy zły. Ciężka chmura troski osiadła na czole Barnstable'a, ale nie z egoistycznych zrodzona pobudek, tylko z poczucia tej szczególnej ojcowskiej odpowiedzialności, do której dowódca statku zawsze się poczuwa. Na „Arielu” nadał panował posłuch i dyscyplina. Paru starszych marynarzy przejawiało wprawdzie skłonność do utopienia strachu przed śmiercią w

ognistym rumie, ale. Barnstable rozkazał przynieść sobie pistolety i to wystarczyło, choć nie wziął ich do ręki i pozostały na kabestanie, gdzie położył je steward. Ani jeden wypadek niesubordynacji nie zaszedł ponadto wśród oddanej załogi. Przeciwnie, marynarze na każdym kroku pedantycznie wypełniali obowiązki przepisane rutyną okrętową, co wyda się śmieszne szczurowi lądowemu. Ludzie, którym może już niewiele życia pozostało, zużywali ostatnie swe chwile na takie głupstwa, jak zwijanie lin lub naprawianie drobnych uszkodzeń, czynionych ustawicznie przez fale przelewające się po niskim pokładzie „Ariela”, zupełnie jak gdyby szkuner stał na kotwicy w wygodnej przystani. W ten sposób ramię władzy wyciągało się nad milczącą załogą nie po to tylko, by utrzymać panowanie nad ludźmi, ale również po to, by zachować jedność działania, która była dla nich ostatnim promykiem nadziei.

— Nasz biedak nie może już stawić czoła fali pod tymi paroma płachetkami — rzekł Barnstable posepnie do sternika, który z założonymi rękoma i wyrazem spokoju i rezygnacji na twarzy kołysał się miarowo u zrębu pomostu, podczas gdy szkuner ginał niemal w odmętach. — Drży i dygoce jak przestraszone dziecko przy każdym uderzeniu fali.

Tom westchnął ciężko i smutnie potrząsnął głową.

— Gdybyśmy godzinę dłużej zachowali top wielkiego masztu, wyminęlibyśmy jeszcze mielizny, ale w tym stanie rzeczy żaden śmiertelnik nie potrafi zmusić szkunera do żeglugi przeciw wiatrowi. Znosi go na ląd i będziemy w kipieli za niecałą godzinę, chyba że Bóg się zmiłuje i zakaze dąć wichrowi.

— Jedyna nadzieja to kotwica.

Odwróciwszy się do dowódcy, Tom odpowiedział uroczyście i z pewnością siebie, która tylko bardzo doświadczonego człowieka nie opuszcza w momentach wielkiego niebezpieczeństwa:

— Choć spuścimy najcięższą kotwicę na najgrubszej linie, ta fala nas zerwie! Północno-wschodni sztorm na Oceanie Niemieckim sam musi się przesilić. Nie nastąpi to przed zachodem słońca, ale może wtedy ucichnie, gdyż wiatry często wstrzymują dech, onieśmiałone widokiem płonących niebios.

— Musimy spełnić obowiązek względem samych siebie i ojczyzny — odpowiedział Barnstable. — Połączcie obie liny kotwiczne, a na dodatek przyczepcie do nich małą kotew i wypuście dwieście czterdzieści sążni kabla; to może jeszcze nas utrzyma. Przygotujcie wszystko do kotwiczenia i zrąbania masztów. Na drodze wiatru zostawimy tylko nagi kadłub.

— Ba, gdyby to tylko wiatr nas gnał, zobaczylibyśmy może jeszcze zachód słońca za tymi urwiskami. Ale nie ma na świecie liny konopnej, która by się nie urwała, gdy szarpie się na niej statek zagrzebany w morzu po sam fokmaszt.

Rozkaz został jednak wykonany przez załogę po desperacku uległą dowódcy, a kredy wszystko przygotowano, spuszczone kotwicę i kotew i „Ariel” podciągnął się przeciw wiatrowi, podcięto siekierami smukłe maszty. Trzask walących się pni, które padły jeden za drugim na pokład, nie uczynił na marynarzach większego wrażenia. Milcząc uprzątnęli szczątki omasztowania i gorączkowo śledzili spławione i znoszone przez fale bierwiona, aby zobaczyć, co się z nimi stanie, gdy rzucone

zostaną na skały, ale nim dotarły do szerokiego pasma piany u brzegu, znikły we wściekłym nurcie. Wszyscy wiedzieli, że ostatnie środki ratunku zostały zastosowane i za każdym gwałtownym szarpnięciem statku zdawało im się, że kotwice odrywają się od dna, że słyszą trzask pękających kabli. Kiedy umysły marynarzy zaprzętała wątpla nadzieja wzbudzona rzuceniem kotwicy, Dillon błąkał się bezkarnie po statku, tocząc oczyma, dysząc ciężko i załamując ręce, na co nikt nie zwracał początkowo najmniejszej uwagi. W nieprzytomnej wędrówce w ślad za spływającą z pokładu falą odważył się jednak zbliżyć ku grupie marynarzy zebranych dokoła długiego działa, wówczas zaś padły na niego groźne, złowrogie spojrzenia, których wymowy nie zrozumiał, tak był przerażony,

— Jeśli życie wam zbrzydło, choć godzina waszej śmierci, jak zresztą i mojej, jest już bliska — rzekł sternik do' mijającego go Dillona — możecie iść na przód między marynarzy, lecz jeśli potrzebujecie tych chwil, by uczynić rachunek sumienia, zanim staniecie przed obliczem Stwórcy i usłyszycie, co zapisano o, was w rejestrze niebieskim, radzę wam trzymać się jak najbliżej kapitana Barnstable'a albo mnie.

— Przyrzeknijcie uratować mnie, gdy statek się rozbije! — zawołał Dillon czepiając się tego objawu sympatii. — Jeśli mi to przyrzekniecie, mogę wam zapewnić przyszłość, ba, dobrobyt do końca życia!

— Zbyt dobrze spełnialiście wasze obietnice, by móc umrzeć spokojnie — odparł Tom bez goryczy, choć surowo — ale ja nie umiem dobić nawet wieloryba, gdy już krew wydmuchuje.

Nalegania Dillona przerwał krzyk marynarzy na dziobie, krzyk przerażenia, głośniejszy od ryku burzy, przeciągły, spowijający cały okręt całunem grozy. Szkunier wleciał na grzbiecie fali, a zsunąwszy się po jej pochyłości, pomknął ku skałom jak bąbel powietrza porwany prądem wodospadu.

— Kotwice puściły — rzekł Tom z rezygnacją. — Teraz wypada tylko ulżyć „Arielowi” w chwili śmierci. — Z tymi słowami chwycił za ster i nadał statkowi taki kierunek, by wpadł na skały dziobem.

Po zasepionej twarzy Barnstable'a przemknął wyraz rozpacz, z której jednak natychmiast się otrząsnął i zwykłym swym głosem dodał załodze otuchy:

— Odwagi, chłopcy, spokoju! Jest jeszcze nadzieja ratunku dla was. Małe zanurzenie „Ariela” sprawi, że osiadziemy blisko urwisk nadbrzeżnych, a mamy porę odpływu. Spuszczajcie łodzie i nie traćcie zimnej krwi!

Załoga szalupy ocknęła się z osłupienia i wskoczyła do lekkiej łodzi, która została w mgnieniu oka spuszczone. Potężnym wysiłkiem ramion wiosłarzy trzymała się z dala od burty szkunera. Marynarze wzywali wciąż Toma, ale ten potrząsał tylko głową, nie odpowiadając, nie wypuszczając steru z ręki, trwając tak ze wzrokiem utkwionym w odmęty. Druga szalupa, większa, została odcięta ze szlupbelek. Tumult i ruch na pokładzie oszałamiał marynarzy i czynił ich nieczułymi na grozę położenia, ale donośny, ochryply głos sternika: — Bacność! Trzymajcie się! — sprawił, że i oni zaprzestali krzątaniny. W tej chwili „Ariel” padł na falę, która uciekła spod niego, i uderzył o skałę. Wstrząs był tak potężny, że tych, co zlekceważyli przestrożę, zwałił z nóg. Drżenie całego statku przypominało agonię żywej istoty. Przez mgnienie oka najmniej doświadczeni spośród załogi łudzili

się, że najgorsze minęło, ale następna fala podbiła znowu statek i rzuciła go dalej jeszcze na skały, jednocześnie zaś przesadziła rufę i potoczyła się wzdłuż pokładu z ogromną siłą. Przerażonym marynarzom wydarła łódź z rąk i rzuciła o podnóże urwiska, a kiedy się cofnęła, z szalupy nie pozostało ani śladu. Statek osiadł jednak na tyle wysoko, że pokład jego był teraz częściowo zasłonięty przed furją bałwanów.

— Odpływajcie, chłopcy, odpływajcie — rzekł Barnstable, gdy minęła chwila okropnego zamieszania. — Macie jeszcze drugą szalupę, na której podejdziecie dość blisko brzegu. Schodźcie do łodzi, moi chłopcy. Niech was Bóg ma w swej opiece! Wierni z was i dzielni ludzie, przeto wierzę, iż On was nie opuści. Schodźcie, chłopcy, prędko, korzystajcie z ciszy.

Marynarze, jeden przez drugiego, rzucili się do łodzi, która zanurzała się coraz głębiej pod tym niezwykłym ciężarem, ale obejrzawszy się ujrzeli Barnstable'a, Merry'ego, Dillona i Toma na pokładzie „Ariela”. Dowódca chodził po mokrych deskach z wyrazem smutku, a może i goryczy, praktykant zaś uczepiony jego ramienia, nie przestawał go błagać, by opuścił szczątki szkunera. Dillon raz po raz podchodził do burty, ale za każdym razem cofał się odstraszonej postawą marynarzy. Tom siedział u nasady bukszprytu w cichej rezygnacji i na głośne, powtarzające się ciągle wezwania towarzyszy odpowiadał machaniem ręki ku brzegowi.

— Słuchajcie mnie — mówił chłopiec ze łzami w oczach — jeśli nie przez wzgląd na mnie albo na siebie, jeśli nie przez wiarę w zmiłowanie Boże, to zejście do łodzi przez miłość do mej kuzynki Katarzyny.

Młody porucznik przestał chodzić tam i z powrotem i spojrzał niezdecydowanie ku urwiskom, lecz w następnej chwili spuścił wzrok na pokład rozbitego statku i odrzekł:

— Nigdy, chłopcze, nigdy. Skoro moja godzina wybiła, nie stchórzę przed śmiercią.

— Słuchajcie nawoływań marynarzy, kochany nasz komendancie! Łódź rozbija się o burtę „Ariela”, a oni krzyczą, że bez was nie odpłyną.

Barnstable gestem nakazał mu zejść do łodzi, po czym odwrócił się w milczeniu.

— Dobrze — zawołał Merry stanowczo — jeśli porucznik winien zostać . na tonącym statku, ma prawo zostać na nim i praktykant. Odbijajcie! Ani pan Barnstable, ani ja nie opuścimy okrętu.

— Chłopcze, życie twoje mnie zostało powierzone i ja za nie odpowiadam — rzekł dowódca, chwycił wydzierającego się wyrostka i rzucił go w ramiona marynarzy. — A wy odbijajcie i niech Bóg was strzeże! Łódź jest bardziej obciążona, niżli bezpieczeństwo pozwala.

Marynarze nadal wahali się widząc, że sternik zmierza ku nim wielkimi krokami. Sądziło, że zmieniwszy zamiar namówi porucznika do zejścia do łodzi. Ale Tom poszedł za przykładem dowódcy, chwycił go nagle w potężne ramiona i z siłą przerzucił przez burtę. W tejże chwili rzucił cumę, wznosił szerokie dłonie ku niebu i przekrzykując burzę zawołał:

— Wola boska niechaj stanie się ze mną! Byłem świadkiem, jak zakładano kil „Ariela”, i nie. chcę

przeżyć chwili, gdy zostanie on wyrwany z dna.

Ale szalupa została zniesiona daleko poza zasięg jego głosu, nim połowę tych słów zdążył wypowiedzieć. Ze względu na przepełnienie łodzi i na wrzenie kipieli nadbrzeżnej kierować nią było niepodobieństwem. Gdy wleciała na białej grzywie bałwana, Tom zobaczył swą ukochaną łupinę po raz ostatni. Zapadła w bruzdę fal, a po chwili fale rzuciły jej szczątki o skały. Sternik wciąż stał na pokładzie i stąd ujrzał liczne głowy i ramiona, które ukazywały się nad grzbietami bałwanów. Jedni rozbitkowie z całych sił płynęli ku piaskom, które ukazywały się w miarę odpływu, inni zaś miotali się rozpaczliwie i bezradnie w odmęcie.

Zacny stary marynarz wydał okrzyk radości, kiedy zobaczył, że Barnstable z omdlałym Merry'm w ramionach wychodzi z kipieli w miejscu, gdzie już kilku marynarzy ślaniając się i ociekając wodą stanęło na piasku. Wielu innych morze wyrzuciło również w bezpieczne miejsca, ale Tom widział też, jak ciała niektórych rozbijają się o skały z taką furją, że wkrótce nie przypominały już ciał ludzkich.

Na statku pozostali jedynie Tom i Dillon. Prawnik z osłupieniem obserwował scenę przez nas opisaną, ale gdy zastygła ze zgrozy krew znowu popłynęła mu w żyłach żywszym tętnem, zbliżył się do Toma z samolubstwem straceńca, który odczuwa ulgę dzieląc swój los z innym nieszczęśnikiem.

— Kiedy woda opadnie — ozwał się głosem rozdygotanym ze strachu, choć w słowach jego tliła się iskra nadziei — będziemy mogli przejść na ląd.

— Tylko Zbawiciel chodził po wodzie, jakby to były deski pokładu — odparł sternik — i tylko On zdołałby przejść suchą stopą z tych skał na piaski nadbrzeżne. — Stary marynarz urwał i spoglądając na swego towarzysza z mieszaniną odrazy i współczucia, rzekł z namaszczeniem: — Gdybyście podczas ciszy więcej o Nim myśleli, mniej bylibyście pożałowania godni podczas burzy.

— Myślicie, że wciąż grozi nam wielkie niebezpieczeństwo? — spytał Dillon.

— Tak, grozi temu, kto ma powody bać się śmierci Słuchajcie! Czy słyszycie ten głośny rumor pod nami?

— To wiatr gwizdże na kadłubie statku!

— Nie, to sam biedny statek — rzekł sternik z czułością — wydaje przedśmiertne jęki. Woda napiera na pokłady i za parę minut najpiękniejszy model, jaki kiedykolwiek prul wody, rozleci się na szczapy i drzazgi.

— Więc dlaczego na nim pozostajecie? — krzyknął dziko Dillon.

— Aby lec na wieczny spoczynek w mojej trumnie, skoro taka jest wola boska — odparł Tom. — Morze jest dla mnie tym, czym dla was ląd. Urodziłem się na morzu i zawsze spodziewałem się grób w nim znaleźć.

— Ale ja, ja! — wrzasnął przeraźliwie Dillon. — Ja nie chcę umierać!

— Nieszczęśniku! — mruknął jego towarzysz. — Musisz odejść, dokąd tyłu z nas odeszło. Kiedy wywołują wachtę śmierci, nikogo nie może brakować przy. apelu.

— Mogą rzucić się w pław — ciągnął Dillon biegnąc do burty. — Gdybym tylko miał jaki kawał drzewa lub zwój liny!

— Nic nie ma. Wszystko zostało podcinane albo zniesione przez fale. Jeśli gotujecie się do walki o życie, uzbrojcie się w odwagę i czyste sumienie, a resztę zostawcie Bogu!

— Bogu! — powtórzył Dillon w rozpacz. — Nie wiem nic o Bogu, ani też nie ma Boga, który wiedziałby o mnie!

— Milcz! — zawołał marynarz głosem jak grom. — Milcz, bluźnierco!

W kadłubie „Ariela” rozległy się głośnie jęki wywołane działaniem wody. Słyszając je Dillon zdobył się na odwagę i skoczył w morze.

Miejsce do skoku wybrał bardzo nieszczęśliwie. Wody wyrzucane na brzeg spływały z konieczności z powrotem, tworząc przeciwnie prądy. W nurt jednego z tych prądów idącego od skał, na których osiadł szkuner, skoczył Dillon. Kiedy fala zniosła go na niewielką odległość od statku, zaczął walczyć z nurtem, a choć czynił największe wysiłki, przemóc go nie potrafił. Był on silnym i zwinnym pływakiem, walczył długo i zawzięcie. Mając brzeg przed oczyma pozornie tak blisko, ponawiał ciągle próby przebicia się ku niemu, lecz nie posuwał się o krok. Stary marynarz zrazu patrzył na niego obojętnie, kiedy jednak dostrzegł niebezpieczeństwo grożące wrogowi, zapomniał o sobie i krzyknął tak głośno, że usłyszeli go rozbitkowie na piaskach wybrzeża:

— Zawróć na lewo! Wy płyn z prądu! Zawróć na południe!

Dillon, nieprzytomny ze strachu, podświadomie zmienił kierunek i płynął zwrócony tym razem twarzą ku statkowi. Prąd uniósł go na ukos i wtrącił na osłonięty przez kadłub szkunera szmat wody, gdzie walczyć musiał już tylko z falami. Walczył uparcie, ale siły, nadwątlone napotkanym oporem, opuszczały go powoli. Tom obejrzał się dokoła za kawałkiem liny, ale wszystko poszło za burtę wraz z omasztowaniem albo zostało porwane przez fale. W owej chwili wzrok jego napotkał wzrok Dillona. Nieczuły i nawykły do rzeczy strasznych, stary wilk morski zasłonił jednak oczy, kiedy zaś po paru minutach odjął rękę od twarzy, ujrzał nieszczęśnika zapadającego stopniowo w morze. Miarowym ruchem rąk i nóg nadal tłukł on wodą, usiłując dostać się na rozbity statek i przedłużyć życie, z którego nie zdał egzaminu w godzinie próby.

— Wkrótce dowie się o Bogu i przekona, że Bóg wie o nim! — mruknął sternik do siebie. Ledwie wymówił te słowa, „Ariel” osunął się pod uderzeniem fali, zadrzał i rozleciał się w drzazgi. Wraz ze szczątkami kadłuba ciało prostodusznego sternika zostało porwane i zniesione ku skałom.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Pomyślmy o tych, co pod ziemią

Od dawna snem wieczystym drzemią,

Skał urągając twych kamieniom — O Elsinore.

Campbell

Długo wlokły się Barnstable'owi godziny, nim odpływ pozwolił odszukać na piaskach ciała potopionych towarzyszy. Kilku nieszczęsnych wyłowiono z dziko przewalających się fal i w miarę jak zawodziły wszelkie próby przywrócenia ich do życia, grzebano zmarłych na samym skraju wód, na których spędzili życie. Ale wciąż brakowało kogoś, kogo najdłużej znali i najbardziej kochali. Porucznik przebiegał szeroką połąć brzegu od podnóża urwisk skalnych do linii fal i gorączkowo oglądał się za szczątkami, których morze nie przestawało wyrzucać na piaski. Policzywszy żywych i umarłych stwierdził, że brakuje tylko dwóch ludzi z „Ariela”. Uratowało się dwunastu, Merry i on sam, a pogrzebano już sześciu — byli to wszyscy ci, co puścili się na morze w kruchej szalupie.

— Nie mów mi, chłopcze, że niemożliwe, by się uratował — rzekł Barnstable z głębokim wzruszeniem, które daremnie usiłował ukryć przed niespokojnym wyrostkiem towarzyszącym mu w wędrówce po piaskach. — Jak często nawet w parę dni po zatonięciu statku napotymano rozbitków płynących na jakichś jego szczątkach. Widzicie przecie, że mimo odpływu morze aż tu wyrzuca deski, choć statek rozbił się o dobre pół mili stąd. Czy wysłany na szczyt urwiska wartownik nie daje wciąż sygnału, że go widzi?

— Nie, nie daje, sir. Nigdy już Toma nie zobaczymy. Marynarze mówią, że zawsze uważał opuszczenie rozbitego statku za rzecz niegodną i że nie próbował nawet ratować się wpław, chociaż gdy wieloryb potrzaskał mu łódź, płynął całą godzinę. Bóg mi świadkiem, sir — dodał Merry ocierając szybko łzę z oka, by nie zostać posądzonym o chłopięce mazgajstwo — że lubiłem Toma Coffina więcej niż kogokolwiek z marynarzy na obu statkach. Ilekroć przyplęwał pan na fregatę, mieliśmy go ze sobą na pokładzie, a wówczas my, praktykanci, słuchaliśmy jego długich wywodów. Wszyscyśmy go kochali, panie Barnstable, ale największe nawet przywiązanie nie wróci umarłym życia.

— Wiem to, wiem — odrzekł Barnstable głosem schrypłym ze wzruszenia. — Nie jestem tak szalony, by wierzyć w rzeczy niemożliwe, ale póki istnieje choć odrobina nadziei, nie pozostawię Toma Coffina temu straszemu losowi. Pomyśl, chłopcze, może w tej chwili patrzy na nas i błaga Stwórcę, byśmy go zauważyli, bo Tom często się modlił, choć czynił to podczas wachty, stojąc i w milczeniu.

— Gdyby tak bardzo cenił życie — odparł praktykant — walczyłby o nie.

Barnstable stanął jak wryty i spojrzął na swego towarzysza, jakby zaczynał podzielać jego zdanie, nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdy doszły ich krzyki marynarzy. Kto żyw biegł wzdłuż brzegu

wskazując jakiś przedmiot na morzu. Porucznik i Merry ruszyli za nimi. Z bliska dostrzegli postać ludzką unoszoną przez fale, chwilami dobrze widoczną i przekraczającą już linię nadbrzeżnej kipieli. Wkrótce większa falą porwała ciało, zniosła daleko na piaski i tam je zostawiła.

— To mój sternik! — krzyknął Barnstable, biegnąc w tym kierunku. Ledwie jednak rozpoznał rysy trupa, zatrzymał się i dobre parę chwil upłynęło, nim opanował się na- tyle, by zawołać ze zgrozą: — Widzisz tego nędznika, Merry? Ciało ma nieuszkodzone, ale te oczy! Wyłażą po prostu z oczodołów z takim wyrazem strachu, jakby żył jeszcze, a ręce są rozwarte jakby nadal tłukł wodę!

— Jonasz! Jonasz! — wrzasnęli marynarze w przystępie dzikiej, radości. — Precz z tą padliną! Ciśnijcie go na żer rekinom! Nie wykręci się kłamstwem z kleszczy raków!

Barnstable odwrócił się od tego wstrętnego widoku z niesmakiem, ale kiedy dostrzegł, że bezsilny gniew opanowuje resztką załogi, rzucił głosem budzącym nadal szacunek i posłuch:

— Stać! Odstąpić tam! Czy pohańbicie się wywieraniem zemsty na trupie tego, którego Bóg już osądził? — Wymownym gestem wskazał na ziemię i odszedł powoli.

— Pogrzebicie go w piaskach, marynarze — rzekł Merry. — Wyciągnie go najbliższy przypływ.

Marynarze posłuchali rozkazu i zajęci byli grzebaniem zwłok, dowódca zaś ich w dalszym ciągu chodził wzdłuż brzegu, zatrzymując się co jakiś czas, by obrzucić niespokojnym wzrokiem wody, potem zaś idąc tak szybko, że młodociany towarzysz z trudem dotrzymywał mu kroku. Wszelkie starania jednak były bezowocne i po dwóch godzinach zaniechano poszukiwań, wiedząc, że morze nigdy nie oddaje zwłok swych synów.

— Słońce zachodzi już za urwiska — rzekł porucznik siadając na głazie — i zbliża się godzina wystawiania wacht nocnych, ale nie pozostało nam nic, na czym moglibyśmy wachtować. Fala nie wyrzuciła ani jednej całej deski, na której moglibyśmy złożyć głowę.

— Marynarze zebrali sporo rzeczy na piaskach, sir — odparł praktykant. — Znaleźli broń, która może nam posłużyć do obrony, i zapasy żywności. — A z kimże będziemy się bili? — spytał Barnstable z goryczą. — Czy z tymi dwunastoma pikami weźmiemy Anglię abordażem.

— Nie mówię o podbojach — ciągnął Merry wpatrując się niespokojnie w dowódcę — ale możemy utrzymać się do powrotu kutra. Mam nadzieję, sir, że nie uważacie naszej sytuacji za tak rozpaczliwą, byśmy mieli się poddawać.

— Poddawać się! — zawołał Barnstable. — Nie, nie, chłopcze, do tego jeszcze nie doszło! Anglia zdołała zniszczyć mój statek, to prawda, ale dotychczas innej przewagi nad nami nie osiągnęła. Był to piękny żaglowiec, Merry, wykonany od dzioba do rufy, jak tylko dokonać tego może wielka sztuka budowniczych. Czy nie przypominasz sobie, jak przegoniłem fregatę w zatoce Chesapeake bez podniesienia topsli? Zawsze mogłem się obyć bez nich przy pięknej pogodzie i przy umiarkowanym wietrze. Ale był kruchy, chłopcze, i znieść mógł niewiele!

— Kanonierka rozleciałaby się na sztuki w miejscu, gdzie osiadł — odparł praktykant.

— Ba, nie można było żądać od „Ariela”, by ostał się na łozysku ze skał. Merry, ja go kochałem, kochałem go naprawdę. Był pierwszym statkiem, którym dowodziłem, i znałem, i kochałem każdą jego belkę i każdą śrubkę.

— Rzecz naturalna, sir, że marynarz kocha statek, który tyle dni i nocy nosi go nad głębinami oceanu — podchwycił chłopiec — tak jak naturalne jest, że ojciec kocha swoją rodziną.

— Tak samo i bardziej — odpowiedział Barnstable głosem zduszonym ze wzruszenia. Merry poczuł ciężką dłoń porucznika na swoim ramieniu, a dowódca ciągnął z coraz większą mocą: — A jednak, chłopcze, serce ludzkie nie może tak przywizać się do dzieła rąk ludzkich jak do dzieła samego Stwórcy. Nigdy człowiek nie postawi na równi okrętu i towarzysza. Żeglowałem z nim, gdy wszystko zdawało mi się tak piękne, tak pociągające jak teraz tobie i gdy, jak nieraz zwykł mówić, drwiłem z niebezpieczeństwa, bo go nie znałem. Uciekłem wówczas z domu rodziców, porzuciłem starego ojca i dobrą matkę, on zaś uczynił dla mnie, czego by rodzice nie potrafili w tej sytuacji: był mi ojcem i matką w wędrówce po morzach! Godziny, dni, miesiące poświęcał na uczenie mnie sztuki żeglarskiej, potem zaś, kiedy doszedłem do lat męskich, przenosił się za mną ze statku na statek, z morza na morze i porzucił mnie dopiero, by umrzeć tam, gdzie ja powinienem był umrzeć, rozumiejąc lepiej niż ja, że hańbą jest pozostawić biednego „Ariela” jego smutnemu losowi!

— Nie, nie, nie! To przez zabobon i dumę! — przerwał Merry, widząc jednak, że Barnstable ukrył twarz w dłoniach, zamilkł przez respekt dla dowódcy, którego wzruszenie w pełni podzielał. Merry widział często porucznika Barnstable'a w ogniu, gdy władcym zachowaniem i surowością budził szacunek. Traktowany serdecznie i po koleżeńsku w chwilach wesołości, przywizał się do Barnstable'a, teraz jednak długo siedział w milczeniu, patrząc na oficera z uczuciem niemal religijnego uwielbienia. Barnstable powstał wreszcie ze złomu skalnego i z twarzą dumną, wzrokiem nieugiętym, brwią z lekka zmarszczoną, ozwał się głosem tak szorstkim, że zdumiał towarzysza:

— Wstańcie, sir. Czas tylko próżno marnujemy. Marynarze oczekują naszych rozkazów i wskazówek. Nie pora na kreślenie sztyletem znaków na piasku, jak wy to czynicie. Wkrótce nastąpi przypyływ i musimy znaleźć jakąś jaskinię wśród skał, gdzie moglibyśmy się ukryć. Ruszajmy, sir, aby zebrać ile się da zapasów i broni, gdyż musimy tu wytrwać, dopóki znów nie staniemy na pokładzie statku.

Chłopiec, którego życie nie nauczyło, że zawsze po silnym wzruszeniu następuje reakcja, zdziwiony tym niespodziewanym wezwaniem porwał się na nogi i ruszył za dowódcą ku marynarzom. Czując, że dotknął chłopca niesłuszną surowością, Barnstable ozwał się tonem łagodniejszym i wkrótce gawędził z nim w zwykły swój szczerzy sposób, choć w głosie jego przebijał smutek, który tylko czas może uleczyć.

— Szczęście nam nie dopisało — mówił — ale nie ma powodu do rozpacz. Dzielni chłopcy, jak widzę, nabierali sporo żywności, mając zaś broń, możemy zawładnąć jakimś mniejszym stateczkiem nieprzyjaciela i powrócić na fregatę, gdy tylko wicher ucichnie. Musimy jednak mieć się na baczności, bo czerwone kaftany mogą spaść na nas jak rekiny zbierające się dokoła rozbitka. Biedny „Ariel”! Na całym wybrzeżu nie ma dwóch desek, które trzymałyby się razem.

Merry, nie zwracając uwagi na tę dygresję, powrócił do poruszonego uprzednio tematu.

— Niedaleko stąd, na południe, widać parów, gdzie strumień wpada do morza — powiedział. — Moglibyśmy ukryć się tam albo w lesie ponad parowem i siedzieć przyczajeni, póki nie zbadamy wybrzeża czy nie pochwycimy jakiegoś stateczku.

— Wielką miałbym satysfakcję, gdyby tak w nocy wziąć szturmem tę przeklętą baterię, która odcięła „Arielowi” najlepsze skrzydło — odrzekł porucznik. — Rzec jest wykonalna i moglibyśmy się utrzymać na tej pozycji, póki „Alacrity” i fregata nie zbliżą się do lądu.

— A może bardziej uśmiechałaby się wam myśl wzięcia innej fortecy. Mamy ją wprost w pół burty. Widziałem ją poprzez opary, gdy stawałem na szczycie urwiska wartownika i...

— I co, chłopcze? Mów śmiało. Nadszedł czas swobodnej wymiany zdań.

— Zważywszy, sir, że garnizon w części może nam być przychylny, moglibyśmy uwolnić pana Griffitha i oficera piechoty morskiej, a poza tym... — Co poza tym?

— Mógłbym zobaczyć moje kuzynki, Cecylię i Katarzynę. Barnstable ożywił się i odpowiedział niemal ze zwykłą sobie żywością:

— To rzeczywiście byłaby gra warta świeczki! Uwolnienie naszych towarzyszy i piechoty morskiej byłoby niezawodnym osiągnięciem natury wojskowej, a wszystko inne zaszłoby przypadkowo, jak na przykład wzięcie do niewoli floty po rozbiciu konwoju.

— Przypuszczam, sir, że gdybyśmy wzięli Opactwo, pułkownik Howard zostałby jeńcem wojennym.

— I jego wychowanki również! Jest sporo zdrowego sensu w waszym planie i wezmę go pod rozwagę. Ale oto nasi biedni towarzysze. Przemówcie do nich serdecznie, sir, dodajcie im otuchy.

Barnstable i Merry podeszli do rozbitków z wyrazem surowości przebijającej zawsze w zachowaniu oficerów marynarki względem podwładnych, a zarazem z serdecznymi słowami i uśmiechem specjalnie ciepłym w tej sytuacji. Zarządziwszy posiłek i pożywiwszy się z zapasów wyrzuconych przez morze, porucznik kazał marynarzom uzbroić się w białą broń i wziąć prowiant na całą dobę. Rozkaz został prędko wykonany i cały oddział, z oficerami na czele, pomaszerował wzdłuż podnóża urwisk ku wąwózowi, po którego dnie strumyk toczył swe wody do morza. Posuwali się otwarcie i bez zachowania szczególnych środków ostrożności, co w innych okolicznościach skończyłoby się tragicznie, ale teraz było bezpieczne ze względu na pogodę i odległość urwisk od siedzib ludzkich. Gdy cały oddział zagłębił się w wąwóz, Barnstable pozostał w tyle, wdrapał się nieledwie na szczyt urwiska stanowiącego jedno z jego zboczy i po raz ostatni ogarnął morze badawczym spojrzeniem. Czynił to, choć nie miał najmniejszej nadziei. Powoli przebiegł wzrokiem linię horyzontu z północy na południe i zabierał się do zejścia, gdy Merry, który mu stale towarzyszył, wykrzyknął radośnie:

— Żagiel, ahój! To musi być fregata u wejścia do zatoki!

— Żagiel! — powtórzył dowódca. — Gdzież możesz widzieć żagiel przy takiej burzy? Trudno

przypuścić, by znalazł się drugi okręt tak dzielny i nieszczęsny jak nasz „Ariel”.

— Tam, po prawej stronie nawietrznej cypla! — wołał chłopiec. — Teraz zapada się, ach, a teraz miga w słońcu. To żagiel, sir!

— Widzę., o czym mówisz — odparł dowódca — ale wygląda mi to na mewę! Nie, teraz się wznosi i rzeczywiście przypomina wydęty topsel. Podajcie mi tu na górę lunetę, chłopcy. U wejścia do zatoki płynie okręt, który może okazać się sprzymierzeńcem.

Merry czekał na rezultat obserwacji z młodzieńczą niecierpliwością i ledwie Barnstable odjął szkła od oczu, zapytał: — Poznaliście go, sir? Czy to okręt, czy kuter?

— Pozostała nam jeszcze nadzieja, chłopcze — odpowiedział Barnstable. — To okręt lawirujący pod topsłem. Gdybyśmy mogli tylko pokazać się na szczycie tego urwiska, dźwignąłby się niezawodnie swym kadłubem i wtedy byśmy go poznali! Ale zdaje mi się, że poznaję maszty, chociaż nawet jego topsel kryje się chwilami, a wówczas nic nie widać prócz nagich masztów, z których zdjęto stengi .

— Można przysiąc — rzekł Merry śmiejąc się zarówno z podniecenia, jak i ze swego konceptu — że kapitan Munson nigdy nie będzie nosił steng, jeśli nie może rozpiąć na nich żagli. Jednej nocy, pamiętam, pan Griffith był w humorze i powiedział u kabestanu, że kapitan rozkaże jeszcze kiedy zdjąć bukszpryt i schować kolumny masztów.

— Tak, Griffith to leniuch i gubi się nieraz we mgłach swych niehumorów — rzekł Barnstable. — Staremu kunktatorowi snadź pilno. Wygląda na to, że ma jakieś plany. Musiał trzymać się na pełnym morzu podczas sztormu, bo inaczej nie mógłby zjawić się tutaj. Naprawdę nasz staruszek musi pamiętać, że ma paru oficerów i garść marynarzy na tej przeklętej wyspie. To dobrze, Merry, bo zdobywszy Opactwo będziemy mieli gdzie pomieścić jeńców.

— Musimy poczekać z tym do rana — dodał chłopiec — gdyż nie ma łodzi, która odważyłaby się przybić w taką pogodę.

— Nie ma takiej łodzi! Najlepsza łódź pod słońcem zatонуła w tych falach. Ale wiatr słabnie i morze się wygładzi. Dalej więc, szukajmy miejsca spoczynku dla naszych towarzyszy!

Obaj oficerowie zeszli z urwiska i poprowadzili oddział wąską szczyją wąwozu, aż wreszcie dotarli do gęstego lasu położonego na wzniesieniu.

— Musi tu być w pobliżu ruina, jeśli informacje moje nie zawodzą — rzekł Barnstable. — Mam przy sobie mapę, na której ruina ta jest oznaczona. Porucznik odwrócił się spostrzegłszy iskrę humoru w oczach chłopca, ten zaś spytał przebiegle:

— Przez kogo została nakreślona, sir? Czy przez, człowieka znajdującego wybrzeże, czy też przez ucznia, który ją skalkował, jak dziewczynki kalkują wzory?

— Chodź, chłopcze, nie czas na żarty! Rozejrzyjcie się po okolicy. Nie widzicie gdzie opuszczonego budynku?

— Tak jest, ser, mamy tu przed sobą górę gruzów wyglądającą na stare koszary. Czy to tej ruiny szukacie, sir?

— Ależ to było kiedyś całe miasto! W Ameryce tak byśmy to rumowisko ochrzcili i wyposażyli je w burmistrza, szeryfa i archiwariusza. Cały Faneuil Hall pomieściłby się w jednej z tych komnat.

Barnstable starał się w żartach ukryć przed marynarzami swą troskę i tak rozmawiając podszli do walących się murów, które okazały się niezwykle słabą osłoną dla oddziału Griffitha.

Ledwie zajrzawszy do wnętrza, marynarze zakwaterowali się w jednej z izb i padli pokotem na ziemię, szukając snu,, z którego obrabowały ich wydarzenia ubiegłej nocy.

Barnstable poczekał, aż głośny oddech marynarzy upewnił go, że śpią, a wówczas zbudził chłopca i dał mu znak, by szedł za nim. Merry wstał i stąpając jak najciszej, wymknęli się w głąb ruiny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Merkury:

Więc ci pozwalani, byś znowu był sobą.

Dryden

Niech dwaj nasi awanturnicy szukają drogi wśród gruzów, pod wałącymi się łukami sklepienia, my zaś tymczasem przeniesiemy się do Opactwa, gdzie pozostawiliśmy Borroughcliffe'a w bardzo niemiłym położeniu. Ponieważ jednak od tego czasu ziemia dokonała prawie całkowitego obrotu, zaszły pewne okoliczności, dzięki którym oficer odzyskał wolność i nikt, widząc go teraz siedzącego z jowialnym uśmiechem przy gościnnym stole pułkownika Howarda i zajadającego w najlepsze, nie przypuściłby, że przez całe cztery godziny żuł on wściekle rękojeść własnego pałasza. Borroughcliffe zajmował zwykle miejsce u stołu i zachowywał się ze zwykłym spokojem, choć czasami przez mars jego oblicza przewijały się uśmiechy, co dowodziło, że rozmyśla o rzeczach szczególnie zabawnych. W młodym człowieku siedzącym u jego boku, odzianym w ciemnogrnatową kurtę marynarza i koszulę z cieniutkiego płótna, mocno kontrastującą z chustą z czarnego jedwabiu nonszalancko zawiązaną u szyi, w tym młodzieńcu, którego wykwintne maniery i swoboda nie pasowały do prostego stroju, czytelnik odgadł już Griffitha. Miał on oczy i uszy tylko dla pani swego serca zajmującej pierwsze miejsce u stołu, choć udawał, że nie gardzi smakowitym jadłem, aby bardziej jeszcze nie peszyć rumieniającej się panny. Roześmiane oczy Katarzyny Plowden błyszczały obok łagodnej Alicji Dunscombe, a czasem z żartobliwym zainteresowaniem zwracały się na sztywnego, jakby kij połknął, Manuala, który siedział naprzeciw. Pozostawione dla Dillona krzesło było oczywiście puste.

— Tak więc, Borroughcliffe — zawołał pułkownik Howard ze zwykłą rubasnością dowodzącą zadowolenia z biesiady — ten pies morski pozostawił wam tylko waszą własną złość do przeżuwania.

— A jakże, i rękojeść mego pałasza — odpowiedział nieporuszony oficer. — Nie wiem, panowie, jak Kongres nagradza zasługi, ale jeśli ten dzielny człowiek byłby w mojej kompanii, w tydzień zostałby awansowany. Nie dałbym go do kawalerii, bo dryblas ten zdaje się gardzić ostrogami.

Griffith uśmiechnął się i skinieniem głowy podziękował za komplement, ale Manual uważał za stosowne odpowiedzieć:

— Biorąc pod uwagę przygotowanie wojskowe tego człowieka, zachował się dobrze, sir, ale wyszkolony żołnierz, wzięwszy jeńców, postarałby się ich odprowadzić w bezpieczne miejsce.

— Widzę, zacny kamracie, że macie na myśli wymianę — odrzekł Borroughcliffe dobrodusznie — a więc napełnijmy kielichy i za zgodą dam wypijmy za szybkie przywrócenie obu stronom stanu quo ante helium!

— Wypiję z całego serca! — zawołał pułkownik. — A Cecylia i panna Katarzyna spełnią pewnie z

nami ten toast, choćby małymi łykami, prawda, moje piękne wychowanki? Panie Griffith, popieram również pańską propozycję, bo w ten sposób wy odzyskacie wolność, a ja mego krewniaka, pana Krzysztofa Dillona. Krzysztof obmyślił swój plan doskonale, przyznasz chyba, Borroughcliffe? Plan był dobry, ale przypadek go udaremnił. A jednak, wyznam szczerze, nie rozumiem, jakim sposobem mógł zostać uprowadzony z Opactwa bez hałasu i bez wszczęcia alarmu.

— Uznał, że milczenie jest złotem — odparł Borroughcliffe. — Podczas studiów prawniczych mówiono mu widocznie, że niektóre sprawy dadzą się przeprowadzić tylko *sub silentio*. Pani się śmieje z mojej łaciny, panno Plowden, od czasu jednak kiedy zamieszkałam w tej siedzibie zakonników, coś mnie korci, by popisywać się tą odrobiną, która mi jeszcze z głowy nie wywietrzała. Słowa te jeszcze bardziej panią śmieszają. A więc zmusza mnie pani do powiedzenia, że użyłam łaciny, ponieważ milczenie jest tematem, którego damy nie lubią.

Katarzyna puściła docinek mimo uszu i nie urażona zdawała się myśleć o rzeczach płócych, gdyż znów wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, aż czarne jej oczy zdawały się sypać iskry, Tym razem Cecylia nie przybrała wyrazu surowości, którym nieraz tłumiała niewczesną wesołość kuzynki, a Griffith, przenosząc zdumiony wzrok z jednej damy na drugą, dostrzegł cień uśmiechu nawet na spokojnej twarzy Alicji Dunscombe. Katarzyna jednak przestała się śmiać i z wyrazem niewypowiedzianej komicznej powagi odpowiedziała oficerowi:

— Zdaje mi się, że słyszałam o terminie żeglarskim zwanym „holowanie”, ale to do pana Griffitha powinnam się zwrócić z takim pytaniem.

— Nie mogłaby pani dokładniej się wyrazić, panno Plowden — odparł młody żeglarz rzucając na nią spojrzenie, pod którym spiekła raka — gdyby pani specjalnie studiowała zwroty żeglarskie.

— Studia takie wymagają mniej bystrości, niżli się panu zdaje, sir, ale czy to holowanie często odbywa się, jak kapitan Borroughcliffe... proszę o wybaczenie... jak zakonnicy mówią... *sub silentio*?

— Oszczędźcie mnie, piękna pani — wykrzyknął kapitan — i zawrzyjmy pakt: pani zapomni o mojej łacinie, a ja o moich podejrzeniach.

— Niewiasta, sir nie powinna się bać podejrzeń.

— A żołnierz puszczać mimo uszu wyzwania, więc wypada mi użyć angielszczyzny. Podejrzewam, że panna Plowden wie dobrze, w jaki sposób pan Krzysztof Dillon został uprowadzony.

Panna nie odpowiedziała, tylko wybuchnęła śmiechem, zupełnie jak za pierwszym razem.

— Co to ma znaczyć? — zawołał pułkownik. — Pozwólcie sobie powiedzieć, panno Plowden, że wesołość pani jest co najmniej dziwna! Mam nadzieję, że mój krewny nie został potraktowany obelżywie? Ułożyliśmy się, panie Griffith, że wymiana nastąpić może tylko pod warunkiem jednakowo dobrego traktowania jeńców przez obie strony

— Jeśli pana Dillona nie spotkało nic gorszego od kpin panny Plowden, powinien uważać się za szczęściarza.

— Nic o tym nie wiem, sir. Niech Bóg broni, abym zapomniał, co winienem moim gościom, panowie. Weszliście jednak do mego domu jako nieprzyjaciele mego monarchy!

— Ale nie pułkownika Howarda, sir.

— To wszystko jedno, panie Griffith. Król Jerzy czy pułkownik Howard, pułkownik Howard czy król Jerzy jedną stanowią stroną. Nasze uczucia i nasza fortuna, nasze losy są jednakie, oczywiście z zachowaniem właściwego dystansu między monarchą a poddanym! Nie pragnę nic innego w życiu, tylko dzielić radości i smutki mego suwerena!

— W każdym razie, sir, nie będziecie do tego zmuszeni przez paplaninę kobiecą — rzekła Cecylia wstając. — Ale nadchodzi ktoś, kto przypomni nam o bardziej interesujących niewiasty sprawach.

Grzeczność zmusiła pułkownika Howarda, który zresztą kochał i szanował swą bratanicę, do zachowania uwag na stosowniejszą chwilę. Katarzyna zerwała się z krzesła i z dziecinną niemal żywością skoczyła do boku kuzynki, gdy służący, który zameldował

o przybyciu jednego z wędrownych kramarzy odwiedzających bardziej oddalone zakątki kraju, otrzymał od niej rozkaz wprowadzenia wyrostka do sali jadalnej. Nie było w tym nic niestosownego, gdyż obiad skończył się już prawie, a wszyscy rozumieli, że Cecylia dąży do przywrócenia harmonii między współbiesiadnikami. Handlarz, młody chłopak, został sprowadzony niezwłocznie. Mały koszyk kramarza wędrownego zawierał głównie perfumy oraz kobiece fatałaszki. Katarzyna wyłożyła je na stół

zdawała się brać młodocianego włóczęgę pod swą opiekę.

— Widzicie, kochany opiekunie — powiedziała — że chłopak musi być lojalnym poddanym, gdyż ma wśród swych towarów perfumy używane aż przez dwóch książąt krwi. Czy pozwolicie mi odłożyć jedno pudełko dla was? A dla pana, kapitanie Borroughcliffe, skoro zapomina pan ojczyściego języka, znajdzie się tu elementarz! Jak doskonale zaopatrzone jest kosz tego chłopca! Musiałeś mieć Opactwo na widoku, kiedy wybierałeś towar, prawda?

— Tak, pani — odpowiedział wyrostek kłaniając się z udaną niezręcznością. — Nieraz mówiono mi o wielkich damach z Opactwa, więc zboczyłem parę mil z mej zwykłej drogi, aby pozyskać dobre klientki.

— I na pewno się nie zawiedziesz, mój chłopcze. Panno Howard, to wyraźna przymówka do waszej kieszeni, a nawet panna Alicja weźmie pewno tym razem udział w naszych zakupach. Zbliź się, chłopcze! Co masz specjalnie do polecenia tym paniom?

Kramarczyk podszedł do kosza i zaczął w nim przewracać z miną kupca, potem zaś, nie wyjmując ręki z kosza, pokazał coś uśmiechniętej damie.

— To, pani.

Katarzyna drgnęła i rzuciła na chłopca przenikliwe spojrzenie, potem zaś zakłopotana spojrzała ukradkiem na domowników. Cecylia, dopiąwszy swego, siedziała pogrążona w myślach. Alicja

przysłuchiwała się rozmowie kapitana Manuela i pułkownika Howarda na temat pewnych obyczajów wojskowych. Griffith poszedł za przykładem pani swego serca i milczał jak zaklęty. Katarzyna napotkała jednak utkwiony w nią przenikliwy wzrok Borroughcliffe'a i natychmiast spuściła oczy.

— Chodź, Cecyljo — zawołała po chwili — nadużywamy cierpliwości panów. Nie tylko po zdjęciu ze stołu obrusa krępujemy ich naszą obecnością, ale i rozkładamy nasze perfumy, wstążki i igły między kielichami z maderą i cygarami, prawda, panie pułkowniku?

— Nie ma mowy o cygarach, 'póki mamy zaszczyt bawić w towarzystwie panny Plowden.

— Chodź, kuzynko. Skoro pułkownik staje się tak niesłychanie grzeczny, to dowód, że nasza obecność zaczyna mu ciążyć.

Cecylia wstała i skierowała się ku drzwiom, a Katarzyna powiedziała do chłopca:

— Chodź z nami do salonu. Tam będziemy mogły wybrać swobodnie,

co nam się podoba, nie zdradzając przed panami naszych kobiecych sekretów.

— Panna Plowden zapomina o moim elementarzu — rzekł oficer wychodząc spośród zebranych u stołu osób. — A może znajdę w koszu tego chłopca coś bardziej dla mnie pożądanego.

Cecylia widząc, że Borroughcliffe bierze kosz z rąk chłopca, siadła znów ku widocznemu niezadowoleniu Katarzyny zmuszonej pójść za jej przykładem.

— Chodź tu, chłopcze, i objaśnij mi, do czego służą te przedmioty. To jest mydło, a to scyzoryk, wiem, ale jak to się nazywa?

— To? To tasiemka — odpowiedział wyrostek z niecierpliwością, którą można było przypisać niezadowoleniu, że przeszkadzają mu w handlu.

— A to?

— To? — powtórzył młodzieniaszek i zawahał się. — To?

— Nie powiem, aby pan był grzeczny — wykrzyknęła Katarzyna. — Przeszkadza pan damom, które umierają z niecierpliwości, tylko po to, by spytać chłopca, jak się nazywa igła do haftu!

— Proszę o wybaczenie, że zadają pytania tak łatwe, ale trudniej mu będzie znaleźć odpowiedź na następne — odparł Borroughcliffe chowając wybrany przedmiot w zagłębieniu dłoni, tak by go tylko chłopak mógł widzieć. — To również ma jakąś nazwę. Jakże się to nazywa?

— To? To czasami zwa... szydłem.

— A może szydłem, które wyłazi z worka?

— Co, sir? — zawołał wyrostek ostro. — Z jakiego worka?

— Ściśle mówiąc, z koszyka — odpowiedział kapitan. — Co to jest, panno Dunscombe?

— Szydełko do robót włóczkowych — odrzekła spokojna jak zwykle Alicja..

— Szydło czy szydełko, wszystko jedno — dodał kramarczyk.

— Czyżby?' Jak na kupca z zawodu, mało znasz się na tym, czym handlujesz — zauważył Borroughcliffe z udaną ironią. — Nigdy nie spotkałem młodzieńca twoich lat, który by mniej wiedział. A jakże teraz nazwiesz to i to, i to?

Kapitan wyciągnął z kieszeni te kilka przedmiotów, z których poprzedniej nocy sternik zrobił mu knebel.

— To — zawołał wyrostek żywo, chcąc ratować swą reputację — to ref-sejzingi, to marlinki, a to pakuły.

— Dość, dość — rzekł Borroughcliffe. — Wykazujesz dostateczne wiadomości, by mnie przekonać, że znasz nieźle swój zawód, o kramarstwie zaś nie masz pojęcia. Panie Griffith, czy i on należy do pańskiej załogi?

— Tak, sir — rzekł oficer, który pilnie przysłuchiwał się temu badaniu. — W jakimkolwiek celu tu przybyliście, panie Merry, bezcelowe jest dalsze udawanie.

— Merry! — krzyknęła Cecylia Howard. — Czy to ty, kuzynie? Więc i ty wpadłeś w ręce nieprzyjaciół? Czy nie dosyć, że...

Panna spostrzegła się w porę i urwała wpół zdania, jednakże oczy Griffitha rozblęły wdzięcznością, gdyż domyślił się dalszego ciągu. — A to co znowu znaczy? — zawołał pułkownik. — Moje pupilki na moich oczach całują i zasypują karesami włóczęgę, domokrażnego kramarza! Czy to zdrada, panie Griffith? Co znaczy niespodziewana wizyta tego młodego dżentelmena?

— Cóż w tym dziwnego, sir — ozwał się sam Merry odzyskując wrodzoną swobodę obejścia i pewność siebie — że taki jak ja chłopiec, który nie ma ani matki, ani sióstr, decyduje się na pewne ryzyko, byle odwiedzić jedyne kuzynki, jakie ma na świecie?

— Po cóż więc to przebranie? Jeśli taki przyświecał ci zamiar, śmiało mogłeś, młody panie, przekroczyć próg domu starego Jerzego Howarda, mimo że zboczyłeś z drogi lojalności i obowiązku. Pan Griffith i kapitan Manual niechaj wybaczą, że przy stole dają wyraz moim przekonaniom, ale sprawa wymaga jasności i szczerości.

— Gościnność pułkownika Howarda ogólnie jest znana — odparł chłopiec — ale równie dobrze znana jest jego lojalność.

— Tak, młody panie, i śmiem twierdzić, że zasługuję na tę reputację.

— Czyż więc byłoby rozsądnie oddawać się w ręce tego, który uważałby za swój obowiązek mnie zatrzymać?

— To zupełnie logiczne tłumaczenie, kapitanie Borrroughcliffe, a nie wątpię, że chłopiec mówi szczerze. Chciałbym, żeby mój krewny, pan Krzysztof Dillon, był tutaj i wyjaśnił mi, czy dopuściłbym się zdrady pozwalając temu młodzieniaszkowi odejść spokojnie i bez wymiany.

— Spytajcie tego młodego dżentelmena o kacyka, sir — odparł oficer werbunkowy, który usiadł zadowolony z triumfu swej spostrzegawczości. — Może jest on w gruncie rzeczy uprawniony do traktowania w imieniu jego wysokości?

— Co powiecie? — spytał pułkownik. — Czy wiecie co o moim krewnym?

Oczy wszystkich spoczęły na chłopcu, który stracił nagle wyraz swobody, a popatrzawszy na nich ze zgrozą, powiedział po chwili zduszonym głosem:

— On nie żyje!

— Nie żyje! — powtórzyli.

— Tak, nie żyje! — rzekł chłopiec i powiódł wzrokiem po zbielejących twarzach.

Po tym oświadczeniu zapadła długa i trwoźna cisza, którą przerwał dopiero Griffith.

— Wyjaśnijcie, w jaki sposób umarł, sir, i gdzie jest jego ciało.

— Ciało jego zostało pogrzebane w piaskach nadbrzeżnych — odparł Merry oględnie, gdyż rozumiał, że wzmianką o zatonięciu „Ariela” naraziłby Barnstable'a.

— W piaskach? — powtórzono ze wszystkich stron.

— Tak, w piaskach, ale nie mogę wyjaśnić, w jaki sposób zginął.

— Został zamordowany! — krzyknął pułkownik Howard, który odzyskał tymczasem mowę — został zdradziecko, po tchórzowsku i podle zamordowany.

— On nie został zamordowany — rzekł chłopiec stanowczo — ani też śmierć jego nie nastąpiła wśród ludzi zasługujących na miano zdrajców lub tchórzy.

— Rzekliście, że nie żyje, że mój krewny został pogrzebany w piaskach nadbrzeżnych...

— Wszystko to prawda, sir.

— I odmawiacie wyjaśnień, w jaki sposób śmierć go spotkała i dlaczego został tak haniebnie pogrzebany?

— Został pogrzebany na mój rozkaz, sir, a jeśli padła na niego jaka hańba, to ta chyba, którą sam na siebie ściągnął. Co zaś do rodzaju jego śmierci, nie mogę i nie chcę o tym mówić.

— Nie unos się, kuzynie — powiedziała Cecylia błagalnie. — Miej wzgląd na wiek mego stryja i

jego przywiązanie do pana Dillona. Weteran jednak zapanował nad sobą i odzyskał zimną krew.

— Panie Griffith — rzekł — nie chcę działać bez zastanowienia i proszę panów, byście rozeszli się do swych komnat. Wierzę, iż syn przyjaciela mego brata nie złamie parolu, idźcie więc, panowie, bez straży.

Dwaj jeńcy, skłoniwszy się głęboko paniom i gospodarzowi domu, ruszyli ku drzwiom. Griffith jednak przystanął u progu, by powiedzieć: — Pozostawiam tego chłopca dufny w pańską łagodność, pułkowniku, i zważywszy na pokrewieństwo między nim a osobą wam najbliższą.

— Dość, sir — rzekł weteran dając mu znak, by się oddalił. — A dla was, panie, również tu nie miejsce.

— Nigdy nie opuszczę tego dziecka — powiedziała Katarzyna — póki ciąży na nim tak okropne oskarżenie. Pułkowniku Howard, czyńcie z nami obojgiem, co się wam podoba, gdyż macie chyba władzę, ale jego los będzie moim.

— Musiało tu zajść jakieś nieporozumienie — rzekł Borroughcliffe występując na środek pokoju. — Sądzę, że zachowawszy spokój i umiarkowanie, wszystko -dałoby się wyjaśnić. Młody panie, jesteście żołnierzem i mimo młodych lat musicie wiedzieć, co to znaczy wpaść w ręce nieprzyjaciół.

— Jestem jeńcem po raz pierwszy — odpowiedział dumny chłopak.

— Mówię o tym, na co zezwala nam prawo.

— Możecie wtrącić mnie do wieży lub, zważywszy, że dostałem się do Opactwa w przebraniu, skazać mnie nawet na szubienicę.

— I los ten nie przestrasza tak młodego człowieka?

— Nie ważycie się tego uczynić, kapitanie Borroughcliffe — krzyknęła Katarzyna otaczając instynktownie chłopca ramieniem, jakby go chciała bronić przed krzywdą. — Wstyd by wam nawet było myśleć o tak niehumanitarnej zemście, pułkowniku Howard.

— Gdybym mógł zbadać tego młodego człowieka w miejscu, gdzie panie nie przeszkadzałyby nam wybuchami swej uczuciowości — rzekł na stronie kapitan do pułkownika — uzyskalibyśmy pewnie ważne informacje.

— Panno Howard i pani, panno Plowden — rzekł weteran tonem, którego obie wychowanki dawno już nauczyły się słuchać — wasz młody krewniak nie jest w ręku dzikich, i nic mu się nie stanie pod moją strażą.. Nie zmuszajcie panny Alicji do stania. Poproś panią do salonu Cecylia.

Panny pozwoliły odprowadzić się do drzwi uprzejmemu, ale nieustępliwemu opiekunowi, który skłonił się im u progu ze zbytnim ugrzecznieniem, jakie okazywał, gdy tylko coś go podrażniło.

— Zdajecie sobie "sprawę z niebezpieczeństwa, panie Merry — rzekł Borroughcliffe, gdy drzwi się za damami zamknęły — i chyba, zgadujecie również, co obowiązek nakazuje oficerowi w moim

położeniu.

— Czyńcie swoją powinność, sir — odpowiedział chłopiec. — Macie króla, któremu wypadnie zdać sprawę z waszych czynów, a ja mam ojczyznę. — I ja również mam ojczyznę - rzekł Borroughcliffe ze spokojem, którego ani trochę nie zakłócił wyzywający wyraz twarzy młodzieniaszka. — Niemniej mogę być pobłażliwy, nawet listościwy, gdy spełnią już obowiązek względem tego księcia, o którym wspomnieliście. Nie wyruszyliście na tę wyprawę samotnie, sir?

— Gdybym się wybrał w kompanii, kapitan Borroughcliffe mógłby być obecnie w moim położeniu i odpowiadać na pytania miast je zadawać.

— W takim razie wypada mi się cieszyć, że przybywacie sami, a jednak nawet szkuner, rebeliantów zwany „Arielem” mógł być dostarczyć wam asysty. Przypuszczać należy, że przyjaciele wasi są niedaleko.

— Przyjaciele jego są blisko, wasza miłość — rzekł sierżant Drill, który niepostrzeżenie wszedł do komnaty — gdyż ten oto wyrostek twierdzi, że został schwytany w starej ruinie i obrabowany z towarów i odzieży, a sądząc z opisu, tu mamy złodzieja.

Kiedy Borroughcliffe skinął na wyrostka stojącego u drzwi, ów poskoczył ku niemu ze skwapliwością zrodzoną z poczucia doznanej krzywdy. Opowiadanie jego nie trwało długo.

Został napadnięty przez mężczyznę i wyrostka (wyrostek był tu obecny), podczas gdy układał swe towary w' ruinie, miał bowiem udać się do Opactwa i zaprezentować je mieszkającym tu damom. Zabrano mu nie tylko kosz z towarem, lecz również i te części garderoby, które konieczne były młodemu człowiekowi do przebrania. Starszy z napastników zamknął kramarza w jednej z izb wieży, lecz często drapał się na górę, by obserwować okolicę, więc chłopak skorzystał z okazji i uciekł. Domagał się zwrotu zabranych rzeczy i ukarania winnych. .

Merry ze wzgardą i spokojem słuchał tej głośnej i natarczywej skargi. Nim pokrzywdzony kramarz skończył opowiadanie, praktykant ściągnął z siebie pożyczoną odzież i cisnął mu ją ze szczególnym wstrętem.

— Jesteśmy otoczeni, pułkowniku, odcięci, oblężeni! — krzyknął Borroughcliffe. — Odkryliśmy plan wydarcia nam wawrzynów, ba, i pozbawienia nas należnej nagrody! Ale słuchać, Drill! Mają do czynienia ze starymi żołnierzami. Zbadamy bliżej sprawę. Przede wszystkim nie trzeba nam kawalerii. Zrozumiano? Nie było ani jednego dragona w całej tej bitwie. Idźcie więc, bo widzę, że świta wam już w głowie. Zabierzcie tego młodego dżentelmena i pamiętajcie, że on jest młodym dżentelmenem. Trzymajcie go pod kluczem, ale starajcie się, by miał wszystko, czego mu potrzeba.

Borroughcliffe skłonił się grzecznie w odpowiedzi na wyniosły ukłon, z którym Merry, widząc się już męczennikiem za ojczyznę, opuścił pokój.

— Ognisty kawaler z tego chłopca, choć ma jeszcze mleko pod nosem — zawołał kapitan — a jeśli dożyje lat męskich, nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Rad jestem, szanowny gospodarzu, z przybycia tego „Żyda wiecznego tułacza”, gdyż nie lubię ciągnąć za język dzielnych ludzi. Na

pierwszy rzut oka poznałem, że młokos częściej celował z działa niżli w ucho igielne.

— Ale oni zamordowali mego krewnego, mego lojalnego, uczonego, pomysłowego Krzysztofa.

— Jeśli to uczynili, kara ich nie minie — rzekł Borroughcliffe zasiadając u stołu ze spokojem, który stanowił najlepszą rękojmię jego bezstronności. — Przed wydaniem sądu należy poznać fakty.

Pułkownik Howard nie znalazł odpowiedzi na uwagę tak słuszną i usiadł w swym krześle, podczas gdy kapitan zaczął wypytywać kramarczyka.

Odłożymy do sposobniejszej chwili wzmiankę o rezultacie tych badań, podkreślimy tylko, wobec usprawiedliwionej ciekawości czytelników, że kapitan Borroughcliffe domyślił się grożącego Opactwu niebezpieczeństwa i czuł się na siłach je odwrócić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nie widziałem jeszcze

Równie miłego serc ambasadora.

Kupiec wenecki

Cecylia i Katarzyna pożegnały pannę Alicję Dunscombe w dolnych apartamentach klasztornej skrzydła i poszły na górę do komnaty zwanej garderobą. Były tak przejęte niebezpieczeństwem grożącym ich narzeczonemu, że los biednego Merry'ego mniejszy znalazł oddźwięk w ich tak czułych zazwyczaj sercach. Chłopiec był jedynym dzieckiem siostry ich matek, a to bliskie pokrewieństwo i młody wiek chłopca budziły w nich niezwykle serdeczne uczucia względem więźnia. Panny wiedziały jednak, że w rękach pułkownika Howarda życiu kuzyna nic nie zagraża, toteż kiedy minęła fala pierwszego wzruszenia, wywołanego nagłym pojawieniem się go po tak długiej rozłące, zajęły się rozważaniem konsekwencji, jakie mogły wyniknąć z jego aresztowania dla innych. Znalazłszy się u siebie, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć, dały otwarcie wyraz swym uczuciom. Katarzyna chodziła gorączkowo po komnacie, podczas gdy panna Howard, ukrywając twarz w czarnych lokach i zasłoniwszy oczy ręką, zagłębiła się w myślach.

— Barnstable musi być w pobliżu — rzekła panna Plowden po paru minutach milczenia — gdyż nigdy nie wysłałby chłopca samego na tak niebezpieczną wyprawę.

Cecylia podniosła na nią swe łagodne niebieskie oczy mówiąc:

— Nie można teraz marzyć o wymianie, a kto wie, czy jeńcy nie będą odpowiadać za życie Dillona.

— Czy ten nędznik naprawdę zginął? A może to tylko groźba lub jaki fortel tego młokosa. To dzieciak odważny do szaleństwa i nie zawaha się działać zuchwale w razie potrzeby.

— On nie żyje! — odparła Cecylia kryjąc znów twarz w dłoniach. — Z oczu chłopca i jego twarzy wyczytałam, że mówił prawdę! Obawiam się, że Barnstable dał się unieść gniewowi do wiedziawszy się o zdradzie Dillona. Zwyczajnie wojenne zezwalają wprowadzić na tak okropną zemstę na nieprzyjacielu, lecz nieszlachetnie to z jego strony zapominać o położeniu towarzyszy.

— Barnstable na pewno nie uczynił nic podobnego — rzekła Katarzyna przystając z dumnie podniesioną głową. — Barnstable nie jest zdolny zamordować nieprzyjaciela ani opuścić towarzysza broni!

— Ale odwet nie jest zbrodnią w oczach żołnierzy.

— Myśl, co chcesz, nazywaj to, jak chcesz, Cecylio Howard, ja dam głowę za to, że Ryszard Barnstable nie ma na sumieniu krwi niczyjej, prócz krwi nieprzyjaciół spotkanych w uczciwej walce na polu bitwy.

— Nieszczęśnik padł może ofiarą gniewu tego strasznego marynarza, który go uprowadził!

— Ten straszny marynarz ma serce miękkie jak ty. On...

— Nie, Katarzyno — przerwała Cecylia — to nieładnie z twojej strony tak mnie łajać. Nie powiększajmy naszego wspólnego nieszczęścia przez kłótnie.

— Nie kłóćę się z tobą, Cecyljo. Bronię tylko nieobecnych i niewinnych przed twymi niesprawiedliwymi podejrzeniami, kuzynko.

— Powiedz raczej „siostró” — odpowiedziała panna Howard, a ręce pańien spotkały się i uściśniły — gdyż jesteśmy naprawdę siostrami! Ale starajmy się nie myśleć o tych okropnościach. Biedny, biedny Dillon! Teraz, kiedy spotkał go los tak straszliwy, wydaje mi się on mniej podstępny niż dotychczas! Zgadzasz się ze mną, Katarzyno, czytam to w twoich oczach i nie będziemy się więcej nad tym rozwodziły. Co tam widzisz, Katarzyno?

Panna Plowden puściwszy rękę kuzynki rozpoczęła znów wędrówkę po komnacie, choć spokojniejszym już krokiem, ledwie jednak przeszła w drugi koniec pokoju, stanęła ze wzrokiem utkwionym w okno i wyrazem skoncentrowanej uwagi na twarzy. Promienie zachodzącego słońca dodawały jej czarnym oczom blasku, a rumieńcom różowującym policzki ciepła i koloru. Tak nagła zmiana w zachowaniu przyjaciółki uderzyła Cecylię, nadając jej myślom inny kierunek. Katarzyna skinieniem przywołała ją do siebie i wskazując w stronę lasu, powiedziała:

— Spójrz ha wieżę ruiny! Czy nie widzisz tych małych plamek różowych i żółtych, które migają nad murami?

— Widzę. To resztki liści któregoś drzewa, choć nie mają one tu tych żywych barw, jakimi stroi liście jesień w naszej kochanej Ameryce.

— To nie liście, Cecyljo, ale przeze mnie obmyślane sygnały i bez wątpienia Barnstable sam jest w ruinach. Merry nie może, nie zechce go zdradzić!

— Nasz kochany kuzynek nigdy by tego nie uczynił — odpowiedziała Cecylia. — Ale masz teleskop mego stryja pod ręką! Spójrz przez szkła i przekonaj się!

Katarzyna przyciągnęła teleskop i w jednej chwili nastawiła szkła.

— Tak, to on! — zawołała. — Widzę nawet głowę nad murem. Co za lekkomyślność narażać się tak niepotrzebnie!

— Ale co on mówi, Katarzyno? — zawołała Cecylia. — Ty jedna umiesz czytać te sygnały.

Zeszytek z kodem sygnałowym natychmiast znalazł się w ręku panny Plowden i zaszleściły szybko przerzucane karty.

— To tylko sygnał wywoławczy. Muszę mu dać znać, że go zauważyłam.

Katarzyna układając kod sygnałowy, raczej by dać upust swym skłonnościom, niżli z wiarą, że kiedy może się przydać, nie zapomniała na szczęście o sposobie odpowiadania na pytania narzeczonego. Do wywieszenia sygnałów posłużyły jedwabne sznury od stor okiennych. W mgnieniu oka przywiązała do nich szmatki jedwabne i wyrzuciła je za okno, gdzie natychmiast zatrzepotały na wietrze.

— Widzi, je — zawołała Cecylia — i zmienia flagi!,

— Więc nie spuszczaaj go z oka, kuzynko, i mów, jakie okazuje, kolory i w jakim porządku, a ja będę się starała odczytywać sygnały.

— Jest w tym równie biegły jak ty! Mamy teraz drugie dwa sygnały na wieży górny biały, dolny czarny.

— Biały nad czarnym — powtórzyła Katarzyna przewracając szybko kartki. — To znaczy: „Mój posłaniec, czy się pokazał?” Na to wypada mu zakomunikować smutną prawdę. Mamy tu żółty, biały i czerwony, co oznaczają: „Jest jeńcem”. Jakie szczęście, że przewidziałam to pytanie i odpowiedź! Co on na to, Cecyljo?

— Zmienia kolory, kochanie,. Słuchaj, Kasiu, drżysz tak mocno, że teleskop się trzęsie! Już gotowe. Żółty nad czarnym, tym razem.

— „Griffith czy kto?” On nas nie rozumie. Ale pomyślałam o tym biednym chłopcu układając sygnały. Tak! tu go mamy! Żółty, zielony i czerwony. „Mój kuzyn Merry”. Tym razem zrozumie.

— Już ściąga sygnały. Wieść ta chyba go zaniepokoiła, bo jakoś marudzi. Znow wywiesza kolory. Zielony, czerwony i żółty.

— To pytanie: „Czy mnie co grozi?” Dlatego zwlekał, panno Howard — ciągnęła Katarzyna. — Barnstable jest zawsze nieskory do myślenia o własnym bezpieczeństwie. Ale co odpowiedzieć? Gdybyśmy go w błąd wprowadziły, nigdy nie mogłybyśmy sobie tego darować.

— O Merry'ego nie mamy się co bać — odparła Cecylia — a moim zdaniem, jeśli kapitan Borroughcliffe miałby jakiegokolwiek wiadomości o nieprzyjacielu, nie siedziałby dłużej u stołu.

— Będzie siedział, póki nie wypije wina do ostatniej kropelki — odpowiedziała Katarzyna — ale wiemy ze smutnego doświadczenia, że w razie potrzeby dobry z niego żołnierz. Z drugiej strony myślę, że tym razem nie orientuje się w sytuacji. Oto co odpowiem: „Jeszcze nie grozi, ale bądź ostrożny!”

— Przeczytał to w jednej chwili i gotów już z odpowiedzią. Pokazuje zielony nad białym. Co takiego? Czy słyszysz, co mówię, Kasiu? Zielony nad białym. Czyś oniemiała? Co on mówi, kochanie?

Katarzyna nie odpowiadała, więc Cecylia spojrzała zdumiona na kuzynkę. Dopiero spostrzegłszy ciemny rumieniec na ożywionej twarzyczce przyjaciółki, domyśliła się, o co chodzi.

— Mam nadzieję, że jego sygnały i twoje rumieńce nic złego nie wróżą — dodała Cecylia. — Może zielony to zazdrość, a biały symbolizuje twoją niewinność? Co on mówi, kuzyneczko?

— Mówi jak i ty różne nonsensy — odparła Katarzyna i odwróciła się od porzucanych sygnałów z nadąsaną minką, której przeczyła iskra zadowolenia w jej oczach. — Sytuacja wymaga, abym pomówiła z nim swobodniej.

— Mogę odejść — rzekła Cecylia z powagą.

— Nie, Cecyljo, nie rób tak poważnej miny, bo pomyślę, że to ty teraz żartujesz! Ale, widzisz, wieczór się zbliża i następuje się lepszy sposób porozumienia niż sygnały. Oto flaga, która oznacza: „Kiedy na zegarze Opactwa wybije dziewiąta, przyjdź ostrożnie do furki we wschodnim murze ogrodu, prowadzącej na drogę. Do tego czasu ukrywaj się”. Przygotowałam ten sygnał na wypadek, gdyby spotkanie było konieczne.

— Dobrze, odczytał to — rzekła Cecylia spojrzawszy znów przez teleskop. — Zastosował się do rozkazu, bo nie widzę już ani jego samego, ani jego flag.

Panna Howard odeszła od teleskopu, ale Katarzyna drobiazgowo obejrzała jeszcze wieżę przez szkła. Zdenerwowanie, jakie ogarnęło obie panny, wywołało dłuższą i ożywioną rozmowę, przerwana dopiero przez Alicję Dunscombe, która przyszła powiedzieć, że czas zejść na dół. Nawet panna Alicja, daleka jak zwykle od wszelkich podejrzeń, zauważyła zmianę w wyrazie twarzy i zachowaniu kuzynek, co dowodziło, że podczas narady musiało dojść do sprzeczki. Cecylia była zmieszana i niespokojna, podczas gdy błyszczące oczy i gorące rumieńce, a także dumna, zdecydowana postawa Katarzyny zdradzały uczucia zgoła odmiennej natury. Ponieważ jednak panny nie uczyniły najlżejszej aluzji do przedmiotu swej rozmowy, Alicja bez słowa powiodła je do salonu.

Panie zostały przyjęte przez pułkownika Howarda i Borroughcliffe'a ze szczególnymi atencjami. Chwilami nad jowialnością weterana brał górę smutek, ale oficer werbunkowy zachowywał niewzruszony chłód i równowagę ducha. Ze dwadzieścia razy pochwycił utkwione w nim spojrzenie Katarzyny, co mniej rozsądny człowiek mógłby inaczej sobie wytłumaczyć, on jednak nie uległ próżności. Nadaremnie Katarzyna usiłowała wyczytać coś z tych rysów zastygłych w wyrazie wojskowej surowości, chociaż oficer zdawał się zachowywać naturalniej i swobodniej niż zwykle. Znużona wreszcie bezcelowością swych zabiegów, panna rzuciła okiem na zegar i zobaczywszy ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że dochodzi dziewiąta, wstała obojętna na strofujące spojrzenie kuzynki i wyszła z salonu. Borroughcliffe otworzył przed nią drzwi, a gdy panna uprzejmie skinęła mu głową w podziękę, oczy ich spotkały się raz jeszcze. Katarzyna przemknęła przez drzwi i znalazła się w korytarzu. Wahała się dłuższą chwilę, nim ruszyła dalej, gdyż zdało się jej, że w oczach oficera wyczytała jakiś ukryty zamiar. Nie leżało jednak w jej charakterze wahać się, gdy okoliczności wymagały szybkiej decyzji i działania, więc owinęła się obszernym płaszczem, przygotowanym już uprzednio, i wyknęła ostrożnie na dwór.

Obawiając się, że Borroughcliffe zdobył jakieś informacje, Katarzyna rozglądała się pilnie dokoła, czy nie odkryje jakich zmian w rozstawieniu wart, bo mogłaby jeszcze przestrzec Barnstable'a. Nic jednak nie odkryła i nic nie zmieniło się od czasu ujęcia Griffitha. Słyszała ciężkie, szybkie kroki żołnierza postawionego na warcie pod oknami komnat zajmowanych przez jeńców. Strażnik

maszerował widać dla rozgrzewki. Gdy przystanąła, doszedł ją stuk kolby muszkietu od strony, w której stał wartownik przed budynkiem zajęтым na kwatery wojska. Noc była pochmurna i ciemna. Chociaż pod wieczór sztorm ucichł, wicher dał nadal, wyjąc od czasu do czasu wśród murów i dachów Opactwa, i trzeba było bardzo wprawnego ucha, aby rozróżnić nawet dobrze znane dźwięki przy tak niesamowitym akompaniamencie. Katarzyna, zadowolona, że słuch jej nie zawodzi, wyteżyła wzrok ku budynkowi, który Borroughcliffe zwał „koszarami”. Zdawał się tam panować spokój niemal nienaturalny. Czyżby wszyscy spali w tym tak zazwyczaj pełnym gwaru, śmiechu i wesołości pomieszczeniu? A może milczenie to przypisać należało jakimś groźnym przygotowaniom? Katarzyna jednak nie miała czasu do namysłu, otuliwszy się więc mocniej płaszczem, lekkimi i ostrożnymi krokami podążyła na umówione miejsce. Kiedy podchodziła do furtki, zegar wybił dziewiątą. Raz jeszcze zatrzymała się i łowiła uchem spiżowe dźwięki odlatujące na skrzydłach wiatru, jakby w nadziei, że dzwon zegara odkryje przed nią machinacje Borroughcliffe'a. Z ostatnim uderzeniem zegara otworzyła furtkę i wyszła na gościniec. Postać mężczyzny tak raptownie wyskoczyła zza węgła muru, że serce pannie załomotało z przestachu, a w następnej chwili znalazła się w ramionach Barnstable'a. Po pierwszych słowach powitania młody marynarz oznajmił pani swego serca o stracie szkunera i sytuacji, w jakiej znaleźli się rozbitkowie.

— A teraz słuchaj, Katarzyno — powiedział. — Wierzę, że przyszłaś tu, by się ze mną więcej nie rozstać albo w najgorszym razie powrócić do tego starego Opactwa po to tylko, aby pomóc w uwolnieniu Griffitha i potem już połączyć się ze mną na zawsze.

— Doprawdy, wasze położenie stwarza szczególnie miłą perspektywę dla młodej kobiety i może ją zachęcić do porzucenia domu i przyjaciół. Macie bardzo dobre mieszkanie w tej ruderze, a niezawodnie postarasz się potrzebne meble zarekwirować w okolicy. Opactwo Św. Ruty jest wcale nieźle umeblowane, ale radziłabym ci się zastanowić, czy nie zostalibyśmy stąd wkrótce przekwaterowani do zamku York lub do więzienia w Newcastle.

— Co za myśli się ciebie trzymają, ty mały kpiarzu — rzekł Barnstable — kiedy wszystko powinno nas skłaniać do zachowania powagi!

— Rzeczą niewiasty jest dbać o urządzenie domu i wygody, a ja chciałabym dobrze wywiązywać się z tych obowiązków. Ale czuję, że jesteś urażony, choć nic z twej czarnej twarzy nie mogę wyczytać w noc tak ciemną. Kiedyż to zamierzasz założyć ognisko domowe, gdybym zgodziła się na twoją propozycję?

— Nie skończyłem jeszcze, a twoje żarciki sprawiają mi przykrość! Statek, który zdobyłem, niezawodnie zbliży się do brzegu i na nim to zamierzam uciec, kiedy pobiję Anglika i uwolnię was obie, pannę Howard i ciebie. Opuszczając urwiska nadbrzeżne widziałem fregatę u wejścia do zatoki.

— To brzmi już lepiej! — odpowiedziała Katarzyna w sposób dowodzący głębokiego namysłu — a jednak widzę trudności, których istnienia ty nawet nie podejrzewasz.

— Trudności nie ma, być nie może.

— Nie sądz, aby przez labirynt miłości przejść było tak łatwo, mości Barnstable. Czy słyszałeś”

kiedy, aby na tej drodze nie piętrzyły się przeszkody? Nawet ja muszę żądać od ciebie wyjaśnienia, choć wolałabym to przemilczeć.

— Ode mnie! Pytaj, o co chcesz i jak chcesz. Jestem lekkomyślnym wartogłowem, panno Plowden, zgoda, ale względem ciebie do żadnej winy się nie poczuwam, chyba że uważasz za obrazę moje uwielbienie.

Barnstable poczuł, że mała rączka, która dotąd spoczywała na jego ramieniu, ścisła je konwulsyjnie. Katarzyna przemówiła teraz głosem tak zmienionym, że zdumiał się przy pierwszych słowach.

— Merry przyniósł wieść okropną — rzekła. — Chciałabym wierzyć, że nie jest prawdziwa! Ale wyraz twarzy chłopca i nieobecność Dillona ją potwierdza.

— Biedny Merry! I on wpadł w tę pułapkę! Ale pozostał jeszcze jeden z nas, którego nie wywiodą w pole. Czy wspominasz o losie tego nędznika?

— Rzeczywiście był to nędznik — ciągnęła Katarzyna głosem równie surowym — i zasługiwał na karę z twoich rąk, ale życie jest darem Stwórcy i nie wolno go odbierać, jakkolwiek głos zemsty domaga się ofiary.

— Życie odebrał mu ten, który mu je darował — rzekł marynarz. — Czyż to Katarzynie Plowden wypada podejrzewać mnie o czyn tchórzowski?

— Ja ciebie nie podejrzewam, Ryszardzie, nie ja cię podejrzewałam! — zawołała Katarzyna. — Nigdy więcej nie będę cię o nic złego podejrzewała. Nie gniewasz się na mnie, nie możesz się gniewać, prawda? Gdybyś tak jak ja słyszał okrutne podejrzenia z ust mej kuzynki Cecylii, gdybyś tak jak ja usiłował przedstawić zemstę na Bilionie jako zasłużoną, choć język zaprzeczał twemu udziałowi w zbrodni, zrozumiałbyś może, o ile łatwiej jest bronić tych, których kochamy, przed oskarżeniami, niżli samej bronić się przed zwątpieniem.

— Słowo „kochamy” zwolniło cię od winy — zawołał Barnstable naturalnym głosem i pocieszywszy zapłakaną Katarzynę, opowiedział jej pokrótce o śmierci Biliona.

— Spodziewałem się, że panna Howard bardziej mnie ceni i że nie grożą mi z jej strony takie podejrzenia — rzekł na koniec. — Griffith źle reprezentuje nasz zawód, jeśli dał powód do takiego powątpiewania w szlachetność naszych zasad.

— Nie wiem, czy Griffith uniknąłby podejrzeń z mej strony, gdyby to on był zdradzonym dowódcą, a ty jeńcem. Nie wiesz, jak studiowałyśmy obyczaje wojenne i jak nabiłyśmy sobie głowy opisami tracenia zakładników, odwetów i wojskowych egzekucji! Ale kamień mi spadł z serca i śmiało teraz mogę powiedzieć, że jestem prawie zdecydowana stanąć z tobą na ślubnym kobiercu.

— To rozsądne postanowienie, moja kochana, i niech ci je Bóg wynagrodzi! Przyszły twój towarzysz w tej życiowej wędrówce może i nie jest ciebie godzien, ale będzie się starał zasłużyć na twoje względy. Teraz pomyślmy, w jaki sposób dopiąć celu.

— Tu znowu napotkamy trudność. Griffith, obawiam się, nie będzie nakłaniał Cecylii do nowej ucieczki wbrew jej, jej, jakże to mam nazwać, jej kapryswi, decyzji. Cecylia nigdy nie zgodzi się opuścić stryja, a ja nie zdobędę się na odwagę i nie opuszczę mojej biednej kuzynki, nawet aby wyjść za pana Ryszarda Barnstable'a!

— Czy mówisz poważnie, Katarzyno?

— Prawie... jeśli nie zupełnie.

— W takim razie okrutny spotyka mnie zawód! Łatwiej znaleźć drogą na bezdrożach oceanu bez mapy i kompasu, niżli poznać labirynt kobiecego serca!

— Nie, nie, szalony. Zapominasz, że ja jestem mała, a przeto głowa moja znajduje się blisko serca, za blisko, obawiam się, aby mu mogła przeczyć! Ale czy nie da się zmusić Griffitha i Cecylii, dla ich własnego dobra, bez użycia przemocy?

— Nie. On jest starszy szarżą i ledwie go oswobodzę z niewoli, zażąda oddania mu dowództwa. Można by w chwili mniej trwożnej zastanawiać się nad słusnością takiego żądania, ale nawet moi marynarze są mi przydzieleni z fregaty i nie zawahaliby się posłuchać rozkazów pierwszego porucznika, z którym nie ma żartów w sprawach służbowych.

— To prawdziwe nieszczęście — powiedziała Katarzyna — cały mój plan rozbija się o upór tej. kapryśnej pary! Ale koniec końców, czy dobrze obliczyłeś się z siłami? Czy jesteś pewien zwycięstwa? I to zwycięstwa bez wystawiania się na ryzyko.

— Jestem przekonany, że zwyciężę. Moi ludzie są dobrze ukryci, w miejscu nie znanym nieprzyjacielowi, są ożywieni jak najlepszym duchem, atak zaś będzie tak niespodziewany, że odniesiemy zwycięstwo bez rozlewu krwi. Pomożesz nam wejść, Katarzyno. Przede wszystkim pochwycimy tego oficera werbunkowego, a jego ludzie poddadzą się bez walki. Griffith da się może wreszcie przekonać, a w przeciwnym razie nie oddam dobrowolnie dowództwa zwolnionemu przeze mnie jeńcowi.

— Błagam Boga, by nie doszło do rozlewu krwi! — szepnęła przełęczona panna — i zaklinam cię na twoją miłość do mnie, na wszystko, co ci jest święte, byś osłaniał samego pułkownika Howarda. Nie może być powodu do obrazy mego gwałtownego i upartego, ale dobrego i szlachetnego opiekuna. Sprawiałam mu więcej kłopotu, niżli mam prawo przyczynić komukolwiek, i niech Bóg broni, bym miała się stać przyczyną jego nieszczęścia!

— Nic mu nie grozi, i to nie tylko jemu, ale wszystkim stojącym po jego stronie, jak sama się przekonasz, gdy poznasz mój plan. Nie upłyną i trzy godziny, a Opactwo będzie w moim ręku.

Griffith, ba, Griffith musi się pogodzić z moim dowództwem i nie oddam mu go, dopóki nie będziemy znów na morzu.

— Nie rozpoczynaj nic bez pewności, że weźmiesz górę nie tylko nad nieprzyjaciółmi, ale i nad przyjaciółmi — powiedziała Katarzyna z niepokojem. — Wierz mi, Cecylia i Griffith odznaczają się

taką delikatnością uczuć, że nie połączą się z nami.

— To skutki spędzenia czterech najlepszych lat życia w murach kolegium, ślęczenia nad łacińską gramatyką i składnią, i temu podobnymi nonsensami, podczas gdy powinien być przez ten czas tłuc się po morzach na statku z zacnego dębu, a uczyć się najwyżej określać kurs i znajdować położenie statku po burzy. Kolegia dobre są dla ludzi żyjących z pióra, ale nie dla tych, którzy idą prostą drogą, patrzą w twarz niebezpieczeństwu i nie tylko języka, ale i ręki nie żałują. Nieraz przekonywałem się, że biegły łacinnik nie umie odczytać kompasu, a traci głowę w noc szkwału. Muszę jednak przyznać Griffithowi, że jest dobrym żeglarzem, choć słyszałem, jak Biblię czytał po grecku! Dzięki Bogu, ja miałem ten rozum, że uciekłem ze szkoły na drugi dzień, kiedy zaczęli mnie uczyć obcego języka. Rad jestem, że mnie ta uczoność minęła, gdyż nabiwszy sobie głowę łaciną nie mógłbym być ani tak rzetelnym człowiekiem, ani tak dobrym marynarzem.

— Nie ma co zgadywać, czym byłbyś, gdybyś inaczej został wychowany — odparła pani jego serca ze zwykłą ciętością. — Nie wątpię, że przy odpowiednim wykształceniu zostałbyś nawet wcale niezłym pastorem.

— Skoro mowa o pastorach, pozwól sobie przypomnieć, że mamy kapelana na okręcie. Posłuchaj, jaki mam plan, a o pastarze pomówimy, gdy będziemy mieli czas.

I Barnstable przystąpił do wyłożenia swego planu, który zdawał się tak łatwy do przeprowadzenia, że Katarzyna, mimo podejrzeń co do zamiarów Borroughcliffe'a, powoli wierzyła w jego powodzenie. Młody marynarz odpowiadał na zastrzeżenia narzeczonej z przytomnością umysłu człowieka zdecydowanego i z pomysłowością dowodzącą, że nie był lada jakim przeciwnikiem w sprawach wymagających energii i szybkiej decyzji. Był pewien, że Merry ich nie zdradził, a kramarczyk uciekł i nie mógł widzieć nikogo z marynarzy, a jego samego wziął za zwykłego rabusia.

Zważywszy, że kreślenie planów narzeczeni przerywali sobie dygresjami, jakie zwykli czynić zakochani, upłynęła z górą godzina, zanim się rozstali. W końcu Katarzyna przypomniła Barnstable'owi, jak szybko upływa czas i jak wiele rzeczy pozostaje do zrobienia. Dopiero wówczas rozstali się u samej furtki.

W drodze powrotnej panna Plowden zachowywała te same środki ostrożności co poprzednio. Już wieszowała sobie w duchu, że potrafiła wymknąć się niepostrzeżenie, gdy nagle dojrzała sylwetkę człowieka, który szedł w niewielkiej odległości za nią, pilnie śledząc jej ruchy. Ponieważ jednak cień się zatrzymał, gdy stanęła, potem zaś cofnął się powoli ku ogrodzeniu, Katarzyna uznała, że to Barnstable czuwa z dala nad jej bezpieczeństwem, i powróciła do Opactwa uspokojona i wdzięczna narzeczonemu za troskliwość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

I spojrzął w dal nad Horncliffe szczyt,

I ujrzał gęstwę lśniących dzid

Pod proporczyka wstęgą.

Marmion

Donośne dźwięki dzwonka zwołującego mieszkańców Opactwa na kolację rozbrzmiewały w korytarzu, kiedy panna Plowden wchodziła do domu, przyspieszyła tedy kroku, by przyłączyć się do dwóch pozostałych dam i nie wzbudzać podejrzeń swą nieobecnością. Alicja Dunscombe szła właśnie do sali jadalnej, gdy Katarzyna stanęła w drzwiach salonu, ale panna Howard pozostała w tyle.

— Więc odważyłaś się pójść, Katarzyno! — zawołała Cecylia.

— Tak — odparła panna Plowden osuwając się na krzesło, aby ukryć zmieszanie. — Tak, odważyłam się, Cecylio, i widziałam się z Barnstable'em, który wkrótce tu stanie i zawładnie Opactwem.

Rumieniec, którym Cecylia oblała się na widok kuzynki, ustąpił miejsca śmiertelnej bladości.

— I krew się poleje tej nocy! — odpowiedziała.

— Tej nocy odzyskamy wolność, ty, ja, Merry, Griffith i jego towarzysz.

— Jakiej jeszcze wolności chcesz, Katarzyno? Czyż dwie panny mogą korzystać z większej wolności niżli ta, która nam przysługuje? Czy przypuszczasz, że mogę milczeć i patrzeć spokojnie, jak mego stryja zdradzają na moich oczach? Życie jego wisi może na włosku!

— Twoje życie i osoba nie będą tak nietykalne jak życie i osoba twojego stryja, Cecylio Howard. Jeśli chcesz wydać Griffitha na więzienie, może na śmierć na szubienicy, zdradź Barnstable'a, jak groziłaś. Sposobności nie zbraknie u stołu, gdzie spieszę, skoro pani domu zapomina o swych obowiązkach.

Katarzyna wstała i pewnym krokiem, z podniesioną głową, ruszyła ku sali jadalnej. Z zasiadaniem do stołu czekano tylko na przybycie panien i gdy Cecylia weszła za kuzynką, wszyscy zajęli swe miejsca.

Pierwsze parą minut upłynęło na wymianie zwykłych grzeczności, a przez ten czas Katarzyna zdołała się opanować i bacznie zaczęła śledzić każdy ruch i spojrzenie opiekuna i kapitana Borroughcliffe'a. Do tej roli też postanowiła się na razie ograniczyć. Weteran nie zdradzał już zwykłego roztargnienia, przeciwnie, przenikliwość, surowość i determinacja błyszcząły w jego

oczach jak za dawnych lat. Borroughcliffe ze swej strony był zimny, greczny, zajadał z nie mniejszym apetytem, ale miarkował swe pragnienie, co było w oczach Katarzyny oznaką mocno niepokojącą. W ten sposób kolacja minęła i obrus został zdjęty ze stołu, choć panie nie zdradzały ochoty udania się na spoczynek. Pułkownik Howard nalał wina Alicji Dunscombe i sobie, potem zaś podał butelkę oficerowi werbunkowemu i siląc się na wesołość zawołał:

— Hej, Borroughcliffe, różane usteczka twych dwóch sąsiadek byłyby jeszcze piękniejsze, gdyby je zwilżył ten kordiał i gdyby zechciały lojalnie spełnić toast za zdrowie monarchy! Tylko panna Alicja zawsze gotowa wyrazić hołd swemu suwerenowi, toteż w jej imieniu wznoszę toast za zdrowie miłościwie panującego nam króla Jerzego Trzeciego i piję na pohybel zdrajcom!

— Jeśli modlitwy skromnej poddanki, tak dalekiej od świata i jego walk, która nie rozumie subtelnych racji mężów stanu, mogłyby zaważyć na losach naszego monarchy, to nigdy nie napotkałby przeciwności — odparła Alicja łagodnie — ale nie mogę życzyć śmierci nawet moim wrogom, a tym bardziej dzieciom jednej rodziny.

— Dzieci jednej rodziny! — powtórzył pułkownik powoli i z goryczą, która boleśnie dotknęła Katarzynę. — Dzieci jednej" rodziny! Oni! Jak Absalon był synem Dawida albo jak Judasz należał do rodziny świętych apostołów! Ale mniejsza z tym! Duch przeklętej rebelii nawiedził mój dom i nie widzę nikogo wśród mych domowników, kto by nie został przezeń opanowany!

— Tego o mnie nikt powiedzieć nie może — zaprzeczyła Alicja.

— Co to? — przerwał pułkownik nasłuchując. — Co to za gwałtowny trzask, kapitanie Borroughcliffe?

— Pewnie jednemu z mych chłopców nogi odmówiły posłuszeństwa, gdy wracał od biesiadnego stołu, gdyż, jak wiecie, sir, pozwoliłem im dzisiaj oblać nasze zwycięstwo — odparł oficer ze zdumiewającą obojętnością. — A może to duch, o którym mówiliście przed chwilą, obrażony waszymi słowami, opuszcza gościnne dotąd Opactwo nie troszcząc się zbytnio, czy wylatuje przez drzwi czy przez ścianę. Jutro rano wypadnie może naprawić kilkanaście piędzi muru.

Pułkownik, który wstał od stołu, powiódł niespokojnym wzrokiem od oficera ku drzwiom, nie wposobiony widocznie do żartów.

— Słyszę niezwykle hałasy dokoła Opactwa, jeśli nie w samym gmachu — rzekł z marszem na czole, idąc ku środkowi komnaty. — Jako pan tego domu chcę wiedzieć, kto nachodzi mnie w takiej porze. Jeżeli to przyjaciele, będą mile widziani, choć wizyta ich jest niespodziewana, a nieprzyjaciele z takim spotkają się przywitaniem, jakiego powinni oczekiwać po starym żołnierzu!

— Nie, nie — krzyknęła Cecylia tracąc zupełnie głowę i rzucając się w ramiona weterana. — Nie wychodźcie, stryju! nie wdawajcie się w tę okropną walkę, mój dobry, stary stryju! Uczyniliście w życiu więcej, niżli nakazywał obowiązek; dlaczegóż mielibyście jeszcze się narażać?

— Moja bratanica jest nieprzytomna ze strachu, Borroughcliffe! — krzyknął pułkownik patrząc na pannę z czułością. — Wypadnie wam postawić u mego łóżka wartę kaprałską dla ochrony mej

podagrycznej osoby, bo to biedne dziecko przez całą noc oka nie zmruży. Ale czemu nie ruszacie się z miejsca, sir?

— Jakżebym mógł? — zawołał kapitan. — Panna Plowden wciąż raczy dotrzymywać mi towarzystwa, a my z naszego regimentu nie porzucimy nigdy pełnej flaszki i sztandaru. Dla prawdziwego żołnierza bowiem uśmiech damy w salonie takąż ma moc jak sztandar w polu.

— Siedzę tu spokojnie, kapitanie Borroughcliffe — rzekła Katarzyna — gdyż po tylu miesiącach przyzwyczałam się do melodii wygrywanych przez wiatr wśród kominów i spiczastych dachów Opactwa. Hałas, który zaniepokoił pułkownika Howarda, a niepotrzebnie przestraszył moją kuzynkę, to nic innego tylko minorowy ton harfy eolskiej.

Kapitan popatrzył na pannę z podziwem, wywołując mocniejsze rumieńce na jej twarzy, i odpowiedział z miną i tonem ogromnie dwuznacznym:

— Uznałem się za pani hołdownika i nim pozostanę. Póki pan na Plowden raczy przebywać w naszym towarzystwie, póty będą się zaliczać do jej najwierniejszych i najwytrwalszych sług, cokolwiek by się stało i ktokolwiek by się zjawiał.

— Zmuszacie mnie, sir, do odejścia — odparła Katarzyna wstając — bez względu na me zamiary, gdyż muszę się czerwienić będąc przedmiotem takiej adoracji. Teraz, kiedy już strach twój minął, daj hasło do odwrotu, kuzynko! Panna Alicja i ja pójdziemy w twoje ślady.

— Ale chyba nie tędy, nie do ogrodu, panno Plowden — rzekł kapitan. — Drzwi, które pani chciała otworzyć, prowadzą do sieni. Do salonu idzie się tędy.

Panna zaśmiała się cicho, jakby chciała pokryć, zmieszanie, i ruszyła we właściwą stronę, a w przejściu dodała:

— Strach ma wielkie oczy, sir, i opętał tych także, którzy potrafią lepiej go ukryć od panny Howard.

— Czy to strach przed obecnym niebezpieczeństwem, czy też tym, które grozi w przyszłości? — spytał kapitan. — Ponieważ jednak wspaniałomyślnie ujęła się pani za zacnym gospodarzem tego domu i za mną niegodnym, zapewnienie bezpieczeństwa pani będzie szczególnym moim obowiązkiem.

— A więc grozi nam niebezpieczeństwo? — zawołała Cecylia. — Czytam to w pańskich oczach, kapitanie Borroughcliffe! I zmieszanie mojej kuzynki dowodzi, że moje obawy były słuszne!

Oficer wstał przy tych słowach i porzucając ton udanej beztroski, wyszedł na środek sali z wyrazem twarzy człowieka, którego okoliczności zmuszają do odzyskania powagi.

— Żołnierz jest zawsze w niebezpieczeństwie, gdy nieprzyjaciele jego króla znajdują się w pobliżu, panno Howard — odpowiedział — a że tak się rzeczy mają, może zaświadczyć panna Plowden. Ale panie trzymacie z obydwoma stronami, raczcie tedy odejść do swych apartamentów i oczekiwać rezultatu spotkania, które zaraz nastąpi.

— Mówicie o ukrytym i grożącym nam niebezpieczeństwie — ozwała się Alicja Dunscombe. — Czy wiecie coś, co by usprawiedliwiało te obawy?

— Wiem wszystko — odpowiedział zimno Borroughclife.

— Wszystko! — zawołała Katarzyna.

— Wszystko! — powtórzyła Alicja ze zgrozą. — Jeśli zatem wiecie wszystko, musicie znać jego desperacką odwagę i żelazną ręką, gdy napotka opór. Poddajcie się spokojnie, a nie uczyni wam nic złego. Wierzajcie mi, wierzajcie tej, która go zna, że jagnię nie byłoby łagodniejsze względem bezbronnych niewiast, a lew tak okrutny względem nieprzyjaciół.

— Ponieważ nie należymy do płci słabej — odpowiedział Borroughcliffe cierpko — musimy wystawić się na furję króla zwierząt. Ale w tej chwili lew jest u wrót Opactwa i jeśli moje rozkazy zostały wykonane, łatwiej mu będzie się tu dostać niżli wilkowi do babki Czerwonego Kapturka.

— Wstrzymajcie się, sir — rzekła Katarzyna bez tchu. — Znacie mój sekret, kapitanie Borroughcliffe, i krew przez to polać się może. Mogę jeszcze wyjść im naprzeciw i ocalić wiele cennych istnień ludzkich. Dajcie słowo honoru, że ci, którzy przybędą tu dziś w nocy, będą mogli odejść w spokoju, a ręczę za nietykalność Opactwa.

— O wysłuchajcie jej i nie przelewajcie krwi! — krzyknęła Cecylia.

Przerwał jej głośny łoskot i ciężkie kroki dały się słyszeć w przyległym pokoju, jakby przez otwarte okno wiele ludzi skakało na podłogę. Borroughcliffe cofnął się z zimną krwią ku przeciwległej ścianie sali i wziął ze stołu pałasz. W tejże chwili w drzwiach stanął Barnstable, sam, lecz uzbrojony.

— Jesteście moimi jeńcami, panowie — rzekł podchodząc bliżej. — Wszelki, opór jest bezcelowy i jeśli nie będziecie go stawiali, nic wam nie grozi. Widzę, że panna Plowden zlekceważyła moją radę, panie nie miały być przy tym obecne!

— Barnstable, jesteście zdradzeni! — krzyknęła przerażona Katarzyna. — Ale jeszcze nie jest za późno! Nie doszło do walki i możecie wycofać się z honorem. Idź więc, nie zwlekaj ani chwili, bo kiedy żołnierze kapitana Borroughcliffe'a przyjdą mu na pomoc, w Opactwie będą się dziać rzeczy okropne.

— Odejdź, odejdź, Katarzyno — zawołał niecierpliwie jej narzeczony — to nie miejsce dla dam. Ale wy, kapitanie Borroughcliffe, powinniście zdać sobie sprawę, że wszelki opór jest bezcelowy. Mam dziesięciu dzielnych wilków morskich w przyległym pokoju i byłoby szaleństwem walczyć przeciwko tej liczbie.

— Okażcie mi wasze siły — rzekł kapitan — bym mógł paktować bez obrazy mego honoru.

— Wasz honor nie będzie narażony na szwank, gdyż wiem, że dzielny jesteście żołnierzem, choć mundur wasz jest mi wstrętny, a sprawa, której służycie, nienawistna! Hej, przybywajcie, chłopcy! I czekać na moje rozkazy!

Do sali wpadł oddział marynarzy i zakłębiło się od dzikich, surowych postaci, ale nie doszło z ich strony do żadnych wrogich wystąpień. Damy na widok tych intruzów uciekły do kąta, a nawet Borroughcliffe cofnął się ku drzwiom. Jeszcze nie minęło pierwsze zamieszanie, gdy z dalszej części gmachu doszły odgłosy walki. Nagle jedne drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadli przez nie dwaj żołnierze z garnizonu Opactwa, a za nimi czterej marynarze z Griffithem, Manuałem i Merry'm na czele, którzy, niespodziewanie uwolnieni, mieli broń, jaka im się pod rękę nawinęła. Marynarze skoczyli z przeciwnej strony i żołnierze, wzięci w dwa ognie, byliby zginęli w oka mgnieniu, gdyby Barnstable nie odparował pik pałaszem i nie rozkazał cofnąć się swoim ludziom. Żołnierze pospiesznie skryli się poza oficerami, a jeńcy natychmiast znaleźli się wśród rozbitków z „Ariela”, toteż spokój został znów przywrócony.

— Widzicie, sir — rzekł Barnstable uściskawszy serdecznie ręce Griffitha i Manuala — że plan mój się powiódł. Wasi żołnierze śpią w koszarach, strzeżeni przez jeden mój oddział; nasi oficerowie zostali uwolnieni, wartownicy odcięci przez drugi, a trzeci trzymam tu w głównym skrzydle i mam waszą osobę w rękę. Wziąwszy więc pod uwagę względy natury humanitarnej i obecność dam, poddajcie się bez walki! Nie narzucę wam ani ciężkich warunków, ani też nie pozbawię was na długo wolności.

Oficer werbunkowy zachowywał się wciąż ze spokojem, który zastanowiłby niezawodnie napastników, gdyby mieli czas na obserwacje, powoli jednak zaczął zdradzać coraz większe zaniepokojenie i często odwracał głowę, jakby oczekiwał czegoś decydującego.

— Mówicie o zwycięstwie, sir, nim zostało osiągnięte — powiedział ze zwykłą rozwagą. — Szanowny gospodarz tego domu i ja sam nie jesteśmy tak bezbronni; jak by się wam zdawało. — Mówiąc to zdarł ze stołu serwetę, spod której obaj wyciągnęli po parze pistoletów. — W ten sposób mamy w rękę życie czterech z was, a odważni żołnierze, którzy stoją poza moimi plecami, ustrzelą dwóch jeszcze. Mniemam, mój zamorski wojownik, że teraz wy jesteście w położeniu Meksykanów, a ja Corteza, gdy wylądował na waszym kontynencie. Jestem jak Cortez uzbrojony w sztuczny piorun, a wy jak Indianie w piki, proce i inne przedpotopowe narzędzia śmierci. Zetknięcie z wodą morską i zatonięcie statku źle wpływają na proch.

— Nie przeczę, że nie mamy broni palnej — rzekł Barnstable — ale jesteśmy ludźmi nawykłymi od dzieciennych lat wywalczać sobie siłą ramion drogę wśród nieprzyjaciół, potrafimy ich więc używać, ani też boimy się śmierci zajrzeć w oczy. Co zaś do tych drobiazgów, które widzimy w rękach panów, nie przypuszczacie chyba, żeby ludzie, co zagląдают w lufy nabitych kartaczami dział trzydziestodwufuntowych w chwili, gdy kanonierzy przytykają lont do zapalnika, mrugnęli okiem na salwę z pięćdziesięciu takich pukawek. Cóż wy na to, chłopcy, czy pistolety są bronią zdolną odstraszyć napastników w czasie abordażu?

Ochryple, pogardliwe śmiechy marynarzy były niedwuznaczną odpowiedzią na pogróżki Anglika. Borroughcliffe ocenił zuchwalstwo tych ludzi i porwawszy za dzwonek, dzwonił nim dobrą minutę. Wkrótce dał się słyszeć ciężki i miarowy krok żołnierzy, kilkoro drzwi prowadzących do sali jadalnej rozwarło się jednocześnie i wypełniło zbrojnymi ludźmi w mundurach angielskich.

— Jeśli tak gardzicie bronią krótką — rzekł oficer werbunkowy przekonawszy się, że żołnierze

opanowali wszystkie wyjścia — mogą użyć groźniejszej. Po tym przeglądzie mych sił nie będziecie chyba, panowie, wzdragali się poddać.

Marynarze, dzięki staraniom Manuala, sformowali przez ten czas szyk bojowy, a w miarę jak drzwi się otwierały i coraz to nowe posiłki przybywały na pomoc nieprzyjacielowi, coraz to nowe formowali fronty, aż utworzyli prawidłowy czworobok najeżony pikami z „Ariela”, który mógł okazać się bardzo groźny, gdyby doszło do bitwy.

— Zaszła tu jakaś pomyłka — rzekł Griffith zmierzwszy okiem szyki nieprzyjaciół — obejmuję dowództwo jako najstarszy szarżą i proponuję wam, kapitanie Borroughcliffe, układ, który uchroni od walki dom pułkownika Howarda.

— Dom pułkownika Howarda — krzyknął weteran — należy do króla, należy do najskromniejszego ze sług korony angielskiej! A więc, Borroughcliffe, przez wzgląd na mnie nie szczędź zdrajców; nie zgadzaj się na żadne inne warunki, tylko bezwzględną kapitulację.

Podczas gdy Griffith czynił swą propozycję, Barnstable stał z założonymi na piersi rękoma i z udaną zimną krwią spoglądał na drżącą ze strachu Katarzynę, która wraz ze swymi towarzyszkami pozostała na sali. Wszystkie trzy stały jak przykute do miejsca. Na prowokacyjne słowa pułkownika Howarda Barnstable uważał za stosowne odpowiedzieć:

— Klnę się, starcze, na nadzieję żeglowania jeszcze po morzach, że gdyby nie obecność tych trzech drżących postaci niewieścich, w tejże chwili pokusiłbym się o umniejszenie tego waszego królewskiego majestatu. Możecie zawierać z panem Griffithem układy, jakie się wam żywnie podoba, ale o poddaniu się waszemu królowi i złamaniu wierności Kongresowi i stanowi Massachusetts mowy być nawet nie może. Ani jeden artykuł takiego układu nie będzie honorowany przeze mnie ani przez tych, którzy pójdą za moim przewodem.

— Tu na sali są tylko dwaj dowódcy, panie Barnstable — przerwał mu Griffith wyniośle — jeden siły zbrojnej nieprzyjacielskiej, drugi amerykańskiej. Kapitanie Borroughcliffe, do was, jako dowódcy Anglików, zwracam się w tej chwili. Na losy toczącej się między Anglią a jej koloniami wojny dzisiejsze wydarzenia nie mogą wywrzeć wpływu, z drugiej zaś strony, trzymając się ściśle zasad wojskowych, okryjecie żałobą tę rodzinę. Wystarczy nam powiedzieć jedno słowo, sir, a ci nieustraszeni ludzie, którzy stoją jedni naprzeciw drugim, ściskając niecierpliwie broń w rękę, skierują ją przeciw sobie, a kto zdoła zaręczyć, że wstrzyma rozlew krwi, kiedy zechce! Jako oficer wiecie sami, sir, o ile to łatwiej rozpocząć bitwę niżli skłonić żołnierza do poniesienia zemsty.

Trudno jednak było wzruszyć Borroughcliffe'a, który widząc przewagę liczebną i zbrojną po swojej stronie, wysłuchał tej przemowy z największym spokojem i odpowiedział we właściwy sobie sposób:

— Pochwalam waszą logikę, sir. Wasze przesłanki są słuszne, a konkluzje oczywiste. Oddajcie więc tych zacnych smoluchów pod opiekuńcze skrzydła Drilla, który postara się zaspokoić ich wilczy apetyt i pragnienie. Wówczas o waszym powrocie do kolonii będziemy mogli podyskutować przy butelce likworu, który, jak mój przyjaciel Manual zapewnia, pochodzi ze słonecznej Madery, a rozgrzewa nam krew na chłodnym brzegu Albionu. Patrzcie, jak wasi marynarze oblizują się na tę

perspektywą. Rozbitek zawsze woli natknąć się na rację rostbefu i butelkę piwa niżli na bagnety!

— Nie pora na krotchwile! — zawołał niecierpliwie młody marynarz. — Macie liczebną przewagę, ale rozważcie dobrze, czy na wiele zda się wam ona w bitwie wręcz. Jesteśmy tu nie po to, aby wyjednywać warunki, ale by je stawiać. Decydujcie się, sir, czas ucieka.

— Daję wam możność jeść, pić i spać. Czego więcej żądacie?

— Abyście kazali odstąpić waszym ludziom od drzwi wiodących na dwór i dać nam przejście. Pomyślcie, jak łatwo ci dzielni marynarze mogą sami otworzyć sobie drogę, działając przeciw waszym rozproszonym siłom.

— Doświadczony kapitan Manual powie wam, sir, że to manewr bardzo ryzykowny, gdy ma się liczniejszego wroga za plecami.

— Nie mam czasu, sir, na słuchanie tych konceptów! — krzyknął gniewnie Griffith. — Czy odmawiacie nam prawa odwrotu z Opactwa?

— Tak.

Griffith, niezdolny wymówić słowa, odwrócił się do dam z wyrazem, głębokiego wzruszenia i dał im znak, aby się cofnęły. Po chwili milczenia zwrócił się jednak pojednawczo do Borroughcliffe'a:

— Jeśli Manual i ja powrócilibyśmy do waszego więzienia i poddalibyśmy się woli waszego rządu — rzekł — czy reszta oddziału mogłaby odejść na fregatę bez przeszkody?

— Nie mogłaby — odparł oficer, który w obliczu zbliżającego się kryzysu zapomniał o nonszalancji. — Wy sami i wszyscy inni, którzy dobrowolnie zamęcili spokój tego królestwa, musicie ponieść karę.

— A więc niech Bóg osłoni niewinnych i broni słusznej sprawy!

— Amen!

— Dajcie drogę, nędznicy! — krzyknął Griffith ku tym, którzy zagradzali wyjście. — Dajcie drogę albo wyklujemy was pikami!

— Weźcie ich na cel, chłopcy! — zawołał Borroughcliffe — ale nie strzelać, póki się nie rzucą.

Nastąpiła chwila przygotowań, szcęk muszkietów zmieszał się ze stłumionymi klątwami i groźbami z obu stron. Cecylia i Katarzyna zakryły oczy, by nie widzieć okropnej sceny, która miała się lada chwila rozegrać, gdy Alicja Dunscombe weszła zuchwałe między wrogie szeregi i ozwała się przejmującym głosem: — Słuchajcie mnie, jeśli jesteście ludźmi, a nie spragnionymi krwi bestiami, bo Bóg stworzył was na obraz i podobieństwo swoje i po to, aby was przerobić na anioły! Czy zwiecie to wojną? Gdzież jest w tym chwały choć tyle, by otumanić serce prostej i łatwowiernej kobiety? Czyż wszystko gotowicie poświęcić dla zaspokojenia żądzzy zwycięstwa? Odstąpcie wy, żołnierze angielscy, jeśli godni jesteście tego miana, i dajcie przejść bezbronnej kobiecie.

Pamiętajcie, że pierwsza kula utkwi w jej sercu!

Słowa te, postawa pełna godności i gest rozkazujący zaimponowały żołnierzom, którzy rozstąpili się, dając przejście przez drzwi, przez które Griffith daremnie domagał się wypuszczenia. Alicja jednak, zamiast iść naprzód, zatrzymała się w miejscu i osłupiałymi oczyma patrzyła przed siebie, jakby ujrzała coś okropnego. Gdy tak stała, całą swą postawą zdradzając zupełną bezradność, we drzwiach ukazał się pilot w skromnym przyodziewku ludzi jego zawodu, ale zbrojny od stóp do głowy. Przez chwilę obserwował zebranych w milczeniu, potem skierował kroki ku środkowi sali z całym spokojem, ale bacznie się rozglądając.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Don Pedro:

Witaj mi, panie, a przyszedłeś prawie,

Żeby położyć kres prawie że bitwie.

Wiele hałasu o nic

Wręcz z bronią, Anglicy! — rzekł zuchwały intruz — a wy, którzy walczyście za sprawę świętej wolności, wstrzymajcie się, by niepotrzebnie krwi nie przelewać. Poddajcie się, pyszni wyspiarze, siłom zbrojnym Trzynastej Republiki !

— Ha! — zawołał Borroughcliffe chwytając pistolet — sprawa się gmatwa. Nie przewidziałem nadejścia tego człowieka. Czy to Samson, że w pojedynkę potrafi tak radykalnie zmienić sytuację! Sam złóż broń czym prędzej, jeśli nie chcesz, by na huk tego pistoletu utkwilo w tobie dwadzieścia kul!

— A w tobie sto! — odparł pilot. — Hej, wy tam, bosman! Wezwijcie ludzi! Niech ten pyszałek poczuje swą słabość!

Nie skończył mówić, gdy przenikliwy gwizd bosmańskiej świstawki zaświdrował w powietrzu, wśród murów i pod sklepieniem Opactwa i niemal pozbawił zebranych słuchu. Do sali wpadł potok ludzi, którzy gnali przed sobą przerażonych żołnierzy Borroughcliffe'a z sieni, a w przyległej izbie zakłębiło się mrowie postaci.

— Ozwijcie się, marynarze! — zawołał dowódca. — Opactwo jest nasze!

Ogłuszający krzyk, podobny do ryku burzy, był mu odpowiedzią, a powtarzając się raz po raz, zdawał się podnosić dach Opactwa i wprawiać go w drżenie. Poprzez rozwarte drzwi widać było tłum ludzi w marynarskich mundurach. Jedni mieli na głowach opasane stałą czapki abordażowe, na czapkach innych błyszczały mosiężne godła piechoty morskiej. Zobaczywszy ich, Manual skoczył w tłum i natychmiast powrócił z oddziałem własnych żołnierzy, których rozstawił na posterunkach zajmowanych dotychczas przez Anglików, podczas gdy między dowódcami trwały pertraktacje.

Dotychczas pułkownik Howard, stosownie do wymagań wojskowej dyscypliny, spełniał tylko rozkazy dowódcy garnizonu, ale gdy położenie tak radykalnie się zmieniło, uznał, że ma prawo zwrócić się sam do napastników.

— Jakim prawem, sir — zapytał — najeżdżacie w ten sposób zamek poddanego króla? Czy macie nakaz władz tego hrabstwa i czy ten nakaz zaopatrzony jest w podpis podsekretarza stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych?

— Nie mam żadnego upoważnienia — odparł pilot. — Jestem tylko skromnym sprzymierzeńcem

wojsk amerykańskich, naraziwszy zaś tych dżentelmenów na niebezpieczeństwo, uważałem za swój obowiązek ich uwolnić. Teraz są wolni i prawo dowodzenia ma pan Griffith, upoważniony do tego przez Kongres Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Z tymi słowy odszedł na bok i oparłszy się o boazerię, stał w milczeniu niczym zwykły widz.

— A więc to do ciebie, niegodny synu zacnego ojca, wypadło zwrócić się z tym zapytaniem — ciągnął weteran. — Skąd ta brutalna napaść na moją siedzibę? I czemu spokój mój i tych, których osłaniam, został tak zuchwale pogwałcony?

— Mógłbym odpowiedzieć panu, pułkowniku, że stało się to zgodnie z prawem wojennym i jest aktem odwetu za tysiączne gwałty czynione przez wojska angielskie między Maine a Georgią, ale nie chcę doprowadzać do jeszcze większego rozdrażnienia i dlatego uprzedzę tylko, że nie skorzystamy z naszej przewagi. Z chwilą gdy nasi ludzie zostaną zgromadzeni, a nasi jeńcy zabrani, odzyskacie władzę w waszym domu. Nie jesteśmy piratami, sir, o czym przekonacie się po naszym odejściu. Kapitanie Manual, niech pan wyprowadzi piechotę na dwór i każe przygotować się do marszu na brzeg. Abordażnicy niech się cofną! Wychodźcie! wychodźcie! ruszać precz, abordażnicy!

Rozkaz porucznika fregaty podziałał na kłęb postaci stłoczonych u wejścia jak zakłęcie, ponieważ zaś ludzie Barnstable'a wypadli na dwór w ślad za swymi towarzyszami, w komnacie pozostali tylko ci, których można nazwać śmietanką oddziału amerykańskiego, i rodzina pułkownika Howarda.

Barnstable milczał od chwili objęcia dowództwa przez starszego szarżę Griffitha i pilnie zważał na każde słowo, które z obu stron padło, teraz jednak ozwał się w te słowa:

— Jeśli mamy odpłynąć tak spiesznie, panie Griffith, należałoby poczynić odpowiednie przygotowania na przyjęcie pań, które mają zaszczyć nas swym towarzystwem. Czy mam to wziąć na siebie?

Nieoczekiwana propozycja wywołała powszechne zdumienie, choć z miny panny Plowden można było wnosić, że dla niej jednej nie była niespodzianką. Dłuższe milczenie przerwał dopiero pułkownik Howard:

— Jesteście zwycięzcami, panowie, bierzcie więc, co wam do gustu przypadnie. Mój dom, moja własność i moje wychowanki, wszystko, co posiadam, jest do waszej dyspozycji, a może panna Alicja, dobra, szlachetna panna Alicja wpadła w oko któremu z was? Edwardzie Griffith! Edwardzie Griffith, nie spodziewałem się nigdy...

— Jeśli raz jeszcze wymienisz to imię, ty stary szyderco, nawet twój wiek cię nie osłoni! — ozwał się surowy, wstrząsający głos z głębi komnaty. Oczy wszystkich zwróciły się mimo woli ku postaci pilota, który przybrał znów dawną pozę i stał na pozór spokojnie, choć każdy muskuł jego twarzy drgał od hamowanego wzburzenia. .

Griffith, zdumiony tym objawem niezwykłych uczuć pilota, skierował po chwili błagalny wzrok na kuzynki stojące nadal w najodleglejszym rogu komnaty, dokąd je strach zagnał.

— Powtarzam, że nie jesteśmy piratami, pułkowniku — odparł — ale jeśli która z obecnych tutaj pań chciałaby oddać się pod naszą opiekę, nie potrzebuję chyba mówić, jak zostanie przyjęta.

— Nie czas na grzeczności — zawołał niecierpliwy Barnstable. — Mamy tu Merry'ego, który z racji pokrewieństwa i wieku może dopomóc paniom w przygotowaniach do drogi. Co powiesz na to, chłopcze? Czy potrafisz od biedy zastąpić pannę służącą?

— Naturalnie, sir, i lepiej wywiążę się z tej roli niż z roli kramarczyka — odparł młokos. — Aby mieć wesołą kuzynkę Katarzynę i dobrą Cecylię za towarzyszy okrętowych, gotów byłbym odegrać rolę naszej wspólnej babki! Chodźcie, kuzyneczki, i wybaczcie mi moją niezręczność.

— Wstrzymaj się, młody człowieku! — rzekła Cecylia Howard odtrącając chłopca, który chciał ją wziąć pod ramię. Podeszła z godnością do opiekuna i podjęła: — Nie wiem, co moja kuzynka obiecała panu Barnstable'owi podczas wieczornego spotkania, ale dla mnie, a uwierzycie chyba córce waszego brata, wypadki tej nocy są taką samą niespodzianką jak dla was.

Weteran popatrzył czule na bratanicę, ale wkrótce wątpliwości wzięły w nim górę, gdyż potrząsnął głową i odwrócił się od niej dumnie.

— Stryj mój — dodała Cecylia spuszczać głowę ze smutkiem — może mi nie wierzyć, lecz przekona go moje postępowanie.

Z podniesioną znów głową i rumieńcem na twarzy zwróciła się do narzeczonego:

— Edwardzie Griffith, nie chcą nawet mówić, jak poniżająca jest dla mnie myśl, że choć przez chwilę mogliście przypuszczać, bym była zdolna tak się zapomnieć i opuścić tego, którego Bóg dał mi na opiekuna, dla tego, którego obrałam za podszeptem uczucia. A ty, Andrzeju Merry, winienesz respekt starszej kuzynce, jeśli nie przez wzgląd na nią samą, to przez wzgląd na siostrę twej matki!

— Zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie! — rzekł Barnstable pełen współczucia dla chłopca. — ale jak wszelkie nieporozumienia da się ono wyjaśnić. Panie Griffith, na pana kolej. Do diabła, człowieku — szepnął — jesteś niemy jak sztokfisz. Tak piękna kobieta zasługuje, by o nią trochę poszernować językiem. Jesteś bardziej milczący niżli czworonóg, bo nawet osioł potrafi ryczeć!

— Przyspieszmy nasz odwrót — rzekł Griffith wzdychając ciężko i budząc się jak z transu. — Te wstrząsające sceny mogą tylko nastraszyć panie. Zechcecie, sir, ustanowić porządek odmarszu na brzeg. Kapitan Manual ma pod dozorem jeńców, których musimy zabrać i wymienić na równą liczbę naszych rodaków.

— A nasze rodaczki? — zawołał Barnstable. — Czy zapomnimy o nich przez egoistyczną dbałość o samych siebie?

— Pań nie mamy prawa zabierać, chyba na ich własne żądanie.

— Na Boga, Griffith, to trąci łaciną! Takie sentencje dobre są w książkach, ale niech wolno mi będzie powiedzieć, nie licują z miłością marynarza.

— Nie godzi się marynarzowi ani dżentelmenowi niewolić pani swego serca.

— W takim razie żal mi cię szczerze. Wolałbym raczej na drodze do mego szczęścia, które tak łatwo zdobędę, napotkać daleko więcej przeszkód, niżli być świadkiem twego okrutnego rozczarowania. Ale nie możesz mieć mi za złe, przyjacielu, że chwytam w lot uśmiech fortuny. Panno Plowden, proszę o pani piękną rączkę. Pułkownikowi Howard, tysiączne dzięki za starania, którymi dotychczas otaczaliście Katarzynę. Wierzcie mi, sir, że nie mogąc sam opiekować się moim skarbem, powierzyłbym go wam, a nie komu innemu.

Pułkownik odwrócił się do Barnstable'a i z niskim ukłonem odpowiedział:

— Zbyt wiele okazujecie mi wdzięczności, sir. Jeśli panna Katarzyna Plowden nie stała się pod moją opieką tym, czym chciał widzieć swą córkę jej dobry ojciec, kapitan John Plowden z Marynarki Królewskiej, winić za to należy bez wątpienia mnie samego, gdyż nie posiadam zdolności wychowawczych. Nie mogę rzec: „Bierzcie ją, sir”, gdyż macie ją już w swej mocy, przeto mogę wam tylko życzyć, by była tak dobrą żoną, jak dobrą była moją wychowanką i poddaną króla.

Katarzyna pozwoliła Barnstable'owi poprowadzić się na środek komnaty, ale nagle odtrąciła jego rękę i odgarnąwszy z czoła buntownicze loki, dumnie podniosła bladą twarz i z błyskiem gniewu w oczach przemówiła:

— Panowie, widzę, że jeden z was równie pragnie się mnie pozbyć, jak drugi wziąć pod swą opiekę, ale czy córka Johna Plowdena ma pozwolić na rozporządzenie jej osobą? Jeśli dokuczyła swemu opiekunowi, może zamieszkać gdzie indziej, a jednocześnie nie obarczać tego oto dżentelmena troską o pomieszczenie dla niej na przepelnionym okręcie.

Odwróciła się i podeszła do kuzynki, zachowując się zupełnie jak panna, która wbrew swej woli stanowi przedmiot planów matrymonialnych. Barnstable nie znał się na arkanach duszy niewieściej, toteż nie mógł odgadnąć, jak dalece, mimo uczynionych mu potajemnie obietnic, Katarzyna uzależniała swe postępowanie od decyzji Cecylii. Nie rozumiał, jak kobieta, która tyle dla niego ryzykowała i tyle razy wyznała, że go kocha, może w krytycznej chwili cofnąć się przed wyznaniem swej miłości otwarcie, choćby oczy całego świata były na nią zwrócone. Stał oniemiały i wodził wzrokiem od twarzy do twarzy, czytając zakłopotanie w oczach wszystkich, wyjąwszy opiekuna narzeczonej. i Borroughcliffe'a.

Pułkownik rzucił na pannę zyczliwsze spojrzenie sądząc, że działa pod wpływem wyrzutów sumienia, podczas gdy na twarzy pokonanego kapitana zagościł wyraz komicznego zaskoczenia, walczący o lepsze z grymasem goryczy, który przyrósł do niej w chwili, gdy przekonał się o klęsce.

— Być może, sir — rzekł Barnstable zwracając się groźnie do oficera — upatrujecie coś śmiesznego w zachowaniu tej damy i to wprawia was w niewczesny humor. Otóż my nie tolerujemy takiego zachowania się względem dam w Ameryce.

— A my w Starej Anglii nie kłócimy się w ich obecności — odpowiedział oficer, odwzajemniając się marynarzowi równie ostrym, jeśli nie ostrzejszym' spojrzeniem — ale ja co innego miałem na myśli. Jak szybko w życiu odwraca się nieraz karta! Nie upłynęło i pół godziny od chwili, gdy

uważałem się za najszcześniejszego w świecie człowieka, bo byłem pewien, że udaremnię pańskie plany, a teraz czuję się tak jak oficer z jedną szlifą na ramieniu, gdy straci nadzieję na otrzymanie drugiej do pary!

— A w jaki sposób — zawołała żywo Katarzyna — ja mogłam mieć wpływ na tę nagłą zmianę?

— Oczywiście nie przez wytrwałość we wspomaganiu mych nieprzyjaciół — odparł oficer z symulowaną pokorą — ani też przez oddanie ich sprawie, ani nawet przez nieporównane opanowanie podczas kolacji! Sam widzę, że będę musiał podać się do dymisji. Nie mogę dłużej nosić munduru i powinienem wdziac sutannę, jak uczyniło to przede mną tylu światowców. Słuch mnie zawodzi zupełnie, jeśli mur ogrodu nie zmienia w magiczny sposób dźwięków mowy ludzkiej!

Katarzyna nie czekając na zakończenie odeszła szybkim krokiem w kąt pokoju i odwróciła się, by ukryć pałacy rumieniec. Sumienie trochę wyrzucało jej zbędną kokieterię, gdy przypomniała sobie, że połowa rozmowy pod murem ogrodu, do której Borroughcliffe czynił aluzje, nie dotyczyła ani walk, ani spraw politycznych. Barnstable, mniej domyślny i innymi sprawami zajęty, nie zwrócił uwagi na słowa oficera. Powiedział z powagą:

— Czuję się w obowiązku, panie Griffith, przypomnieć panu, że mamy wyraźny rozkaz brać do niewoli wszystkich nieprzyjaciół Ameryki, którzy nam w ręce wpadną, a Stany w wielu wypadkach nie czyniły pod tym względem różnicy między mężczyznami i kobietami.

— Bravo! — zawołał Borroughcliffe. — Jeśli damy nie chcą udać się z wami jako wasze narzeczone, bierzcie je jako branki.

— Szczęście dla was, że jesteście jeńcem, sir, bo zapłacilibyście słono za te słowa — odparł zirytowany Barnstable. — Tego rozkazu, panie Griffith, lekceważyć wam nie wolno.

— Baczość, Barnstable — rzekł Griffith, budząc się z zadumy. — Otrzymaliście rozkazy i wykonajcie je bezzwłocznie.

— Mam również rozkazy od naszego wspólnego przełożonego, kapitana Munsona, panie Griffith, wyraźne rozkazy jako dowódca „Ariela”... Biedny „Ariel”, nie zostało z niego ani dwóch desek! — A moje rozkazy odwołują tamte.

— Ale ja mam prawo nie posłuchać słownego rozkazu oficera niższej szarży, sprzecznego z pisemnym rozkazem oficera szarży wyższej.

Dotychczas Griffith zimno i wytrwale dążył do wykonania powziętego planu, teraz jednak zaczerwienił się z gniewu i z błyskawicą w czarnych oczach krzyknął:

— Cóż to, sir, odmawiacie posłuszeństwa?

— Na Boga, sir, odmówiłbym go samemu Kongresowi, gdyby mi nakazywał tak dalece zapomnieć o mych obowiązkach względem... względem...

— Samego siebie! Barnstable, dość tej sprzeczeki. Służba!

— Służba wzywa mnie do pozostania tutaj!

— Zmuszony jestem więc działać, jeśli nie chcę być pośmiewiskiem dla mych oficerów. Panie Merry, każcie kapitanowi Manualowi przysłać sierżanta z dwoma żołnierzami piechoty morskiej.

— Zawołaj jego samego! — krzyknął Barnstable z desperacją. — Cały jego oddział nie wystarczy, aby mnie rozbroić. Dobrze, niech przyjdą! Hej, wy z „Ariela”! Na pomoc kapitanowi!

— Kto z was odważy się wbrew memu rozkazowi przestąpić próg, zginie! — rzucił Griffith groźnie, zagradzając drogę tym, którzy poskoczyli na wezwanie dawnego dowódcy. — Oddajcie pałasz, panie Barnstable, a minie was ta hańba, że odbierze go wam zwykły żołnierz.

— Chciałbym zobaczyć tego psa, który by się na to ważyli — zawołał Barnstable wyrwijąc pałasz z pochwy. W tejże chwili broń się skrzyżowała, szczęk stali zaś podziałał na obu oficerów . jak dźwięk fanfary na kawaleryjskiego konia.

— Barnstable! Barnstable! — krzyknęła Katarzyna i rzuciła mu się w ramiona. — Pójdę z tobą na koniec świata.

Cecylia Howard nie ozwała się słowem, ale gdy Griffith odzyskał przytomność umysłu, ujrzał ją na klęczkach u swych stóp, drżącą, i pobladłą, z wzniesionymi ku niemu błagalnie oczyma. Okrzyk panny Plowden rozdzielił walczących, nim który z nich został draśnięty, lecz młodzi ludzie wymieniali spojrzenia pełne nienawiści. Pułkownik Howard wystąpił naprzód i podnosząc swą bratanicę rzekł:

— Córka Harry'ego Howarda może klęczeć tylko przed tronem swego króla. Zważ, droga Cecylio, jakie konsekwencje pociąga za sobą rebelia! Sieje niezgodę we własnych szeregach, a głosząc przeklętą zasadę równości, niszczy wszelkie różnice między szarżami. Nawet ci dwaj młodzi szaleńcy nie wiedzą, komu winni posłuszeństwo!

— Mnie — rzekł pilot i stanął między zwaśnionymi. — Nadszedł czas, bym przywrócił dyscyplinę. Panie Griffith, proszę schować miecz! A wy, sir, którzy stawiliście opór oficerowi wyższej szarży, zapomniawszy o złożonej przysiędze, wróćcie na drogę obowiązku!

Griffith drgnął na dźwięk tego spokojnego głosu jakby pod wpływem jakiegoś wspomnienia, po czym z niskim ukłonem włożył pałasz do pochwy. Barnstable za to nie okazał skruchy. W dalszym ciągu otaczał narzeczoną ramieniem i potrząsając bronią, wzgardliwym śmiechem odpowiedział na rozkaz pretendenta do władzy.

— A kto waść jesteś? — krzyknął. — Kto waży się wydawać mi rozkazy?

Z oczu pilota strzeliły błyskawice, ogień gniewu zdawał się obejmować go od stóp do głowy. Lecz stłumiwszy wściekłość, odpowiedział z mocą:

— Ten, który ma prawo rozkazywać i musi mieć posłuch! Niezwykły sposób, w jaki te słowa wypowiedział, i głębokie przekonanie dźwięczące w jego głosie sprawiło, że Barnstable osłupiał. Skłoniwszy ostrze pałasza, stał z miną, którą można wziąć było za wyraz uległości. Pilot popatrzył na niego swymi płonącymi oczyma, odwrócił się do reszty towarzystwa i podjął równiejszym już

głosem:

— Nie przybyliśmy tu wprawdzie jako rabusie ani też nie zamierzamy traktować surowo ludzi w podeszłym wieku i bezbronnych niewiast. Ale słuszość wymaga, by ten oficer korony angielskiej i ten wiarołomny Amerykanin zostali naszymi jeńcami i jako tacy byli odstawieni na fregatę.

— A główny cel naszej wyprawy? — spytał Griffith.

— Jest stracony — odpowiedział pilot spiesznie — poświęcony sprawom prywatnej natury i jak setki innych, które skończyły się rozczarowaniem, niechaj pójdzie w niepamięć. Musimy mieć przede wszystkim wzgląd na interes Republiki, panie Griffith. Nie wolno nam wystawiać na szwank życia tych dzielnych ludzi dla uśmiechu pięknej damy, ale w równej mierze, dla pozyskania wdzięczności drugiej damy, nie wolno wyrzekać się naszych przewag. Ten pułkownik Howard nie jest jeńcem do pogardzenia i przy wymianie może okupić wolność prawego patrioty. Tak, tak, sir, zwróćcie to wyniosłe spojrzenie na kogo innego, jeśli łasica. Pułkownik uda się na fregatę, sir, i to niezwłocznie.

— W takim razie — rzekła Cecylia podchodząc do pułkownika, który ze wzgardą wysłuchiwał nieporozumienia między Amerykanami — idę ze stryjem. Nie zostawię go samego wśród wrogów.

— Byłoby rozumiejsze i daleko bardziej godne córki mego brata, by otwarcie wyznała, co ją naprawdę do tego skłania — rzekł weteran. Nie zważając na przygnębienie Cecylii, odepchniętej tak ostro, podszedł do Borroughcliffe'a, który gryzł z rozpaczony ręką pałasza. Stał przy oficerze z wyrazem pełnego godności poddania się wyrokowi losu i podjął: — Czyńcie z nami, co się wam podoba, panowie. Jesteście zwycięzcami i musimy spełnić waszą wolę. Odważny człowiek potrafi zarówno poddać się z godnością, jak bronić do ostatka, jeśli nie zostanie zaskoczony, co nam się przytrafiło. Ale jeśli kiedykolwiek nadarzy się okazja... Czyńcie z nami, co chcecie, panowie, dwa baranki nie byłyby posłuszniejsze niżli kapitan Borroughcliffe i ja.

Na gorzki uśmiech pułkownika Howarda jego towarzysz niedoli usiłował odpowiedzieć tym samym, ale zdradził tylko niepokój. Obaj jednak zdołali zachować pozory obojętności na tyle, by spokojnie obserwować, co się potem dokoła nich działo.

Pułkownik w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na Cecylię, która czyniła, co było w jej mocy, by ugłaskać stryja, i wreszcie musiała pogodzić się z myślą, że to nieprędko nastąpi. Jednocześnie wydawała rozkazy w związku z niespodziewanym odjazdem, a Katarzyna chętnie jej w tym pomagała. Zresztą, dawno już w sekrecie przed panną Howard przygotowała wszystko na wypadek ucieczki z Opactwa.. Razem z narzeczonym, który widząc, że pilot działa w myśl jego zamierzeń, uważał za stosowne puścić w niepamięć sprzeczkę z tajemniczym dowódcą, panna Plowden zajęła się bagażami. Barnstable i Merry z radością towarzyszyli jej w wędrówkach po wąskich i długich korytarzach Opactwa: pierwszy prawił swej damie komplementy, drugi śmiał się, śpiewał z uciechy i okazywał chłopięcy entuzjazm, stosowny w tak romantycznej sytuacji.

Katarzyna przewidziała wszystko na szczęście dla Cecylii, która myślała tylko o wygodzie stryja. Przebiegała ona wraz z Alicją Dunscombe puste komnaty Opactwa i wysłuchiwała jej pocieszeń w milczeniu, to przelewając łzy na myśl o stryju, to wydając rozkazy służbie z takim spokojem, jakby chodziło o zwykłą przejażdżkę.

Reszta towarzystwa pozostała w sali jadalnej. Pilot, zadowolony snadź z tego, co osiągnął, przybrał znów niewzruszoną postawę i wsparty o boazerię śledził przygotowania z bystrością dowodzącą, że to on wszystkim kieruje. Griffith pozornie pełnił funkcję dowódcy i do niego to marynarze zwracali się po rozkazy.

Upłynęła mniej więcej godzina, nim Cecylia i Katarzyna zjawiły się w strojach podróżnych, a pieczę nad bagażami jeńców zlecono któremuś podoficerowi. Griffith wydał rozkaz odmarszu i po przeszywającym gwizdzie bosmańskiej świstawki dał się słyszeć ochryply bas:

— Precz stąd, wy z desantu! Precz abordażnicy! Naprzód marsz! hej, wy psy morskie!

Po tym niezwykłym wezwaniu zadudnił werbel do wtóru okrętowym piszczałkom i cały oddział wymaszerował z Opactwa w porządku ustanowionym przez kapitana Manuala, który pełnił teraz funkcje marszałka.

Pilot tak ostrożnie i zręcznie owładnął Opactwem, że dosłownie nikt nie zdołał uciec, ponieważ zaś niebezpiecznie było pozostawiać na miejscu kogokolwiek, kto mógłby wszcząć alarm w okolicy, Griffith wydał rozkaz, by wszyscy, których zaskoczono w Opactwie, zostali odprowadzeni na skały i tam zatrzymani, dopóki ostatnia szalupa z Amerykanami i ich jeńcami nie odbije od brzegu.

W pośpiechu i gorączce przygotowań pozapalano świece we wszystkich prawie komnatach starego Opactwa i kontrast między jasnościami wewnątrz a ciemnością panującą na dworze uderzył niemiłe kobiety. Jeden z tych niewyrozumowanych impulsów skłonił Cecylię do zatrzymania się w bramie. Odwróciła się, by spojrzeć na Opactwo w przeczuciu, że widzi je po raz ostatni. Mury fantastycznymi konturami głębokiego cienia odcinały się na tle północnego nieba, podczas gdy przez otwarte drzwi i okna widać było wewnątrz. Dwadzieścia świeczników oświecało puste apartamenty, jakby szydząc z ich opuszczenia. Cecylia z dreszczem odwróciła się od ponurego obrazu i pospieszyła do stryja przekonana, że obecność jej będzie dla niego jedyną pociechą.

Głuchy gwar głosów nadlatujący z przodu, dźwięki piszczałek, surowe rozkazy oficerów sprawiły wkrótce, że ocknęła się z melancholijnych dumań i powróciła do rzeczywistości, oddział zaś maszerował forsownie w stronę wybrzeża.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Wodzowi spieszno już do gór

Bosmanie, hej, nie zwlekaj,

A dam ci grosza pełen wór,

Choć droga niedaleka.

Córka lorda Ullina

Przez cały dzień niebo było bez chmurki, a wicher dął suchy i przenikający do szpiku, toteż gwiazdy iskrzyły się w mroźnym powietrzu. Gdy tylko nasi wędrowcy przyzwyczaili się do zmiany światła, zaczęli rozróżniać otoczenie. Na czele pochodu wijącego się po wąskiej ścieżce maszerował pluton piechoty morskiej w szyku bojowym. Za nim w niedużej odległości posuwali się gromadą uzbrojeni od stóp do głów marynarze. Ich skłonność do bałaganu i hałaśliwej wesołości wzięta pod wpływem marszu po lądzie górę i oficerowie z trudem trzymali ich w ryzach. Pośrodku tego tłumu szli żołnierze Borroughcliffe'a i służba pułkownika Howarda, na których marynarze zwracali uwagę jedynie wtedy, gdy mogli z nich pokpić. Nieco dalej szli pod rękę pułkownik Howard i Borroughcliffe przygnieci brzemieniem gorzkich myśli. Panna Howard, wsparta na ramieniu Alicji Dunscombe i otoczona kobiecym dworem, starała się trzymać jak najbliżej stryja. Katarzyna Plowden podążała lekkim, sprężystym krokiem w pobliżu, udając przez skromność, że idzie jako branka. Barnstable, o parę kroków od niej, śledził każdy jej ruch z ukontentowaniem, ale czyniąc zadość kapryswi swojej pani, nie zbliżał się do niej. Griffith trzymał się na uboczu, aby móc w razie potrzeby ogarnąć okiem cały pochód i pokierować nim należycie. Drugi oddział piechoty morskiej tworzył ariergardę, a na samym końcu kroczył Manual. Muzyka milczała na wyraźny rozkaz i prócz regularnego kroku żołnierzy i westchnień zamierającego wiatru, przerywanych od czasu do czasu komendą lub pogwarem stłumionych rozmów, nie było nic słychać.

— To marny łup — zrzędził stary wilk morski — ani ładunku, ani pieniędzy! Nie znaczy to, by w tym starym pudle nie znalazło się żywności albo nie było z czego zafundować po parze sprzączek całej załodze. Ale ani się rusz, bracie! Możesz najwyżej łykać ślinkę, bo oficerowie nie daliby ci nawet wziąć starej Biblii, gdyby się jaka pod rękę nawinęła.

— Ba, szczerą prawdą — odrzekł jego kompan — i widzi mi się, gdyby który z nas zapytał, czy może zabrać Biblię, toby jeszcze oberwał. A to niesprawiedliwość, Ben, bo jeśli z marynarza robi się żołnierza i każe mu się dźwigać muszkiet, to trzeba mu dać żołnierską swobodę i patrzeć przez palce, gdy trochę popląduje. Co do mnie, to niech mnie kule biją, jeśli wziętem dziś w nocy co do ręki prócz muszkietu i pałasza, chyba że ten kawałek obrusa wart podług ciebie tyle zachodu?

— Ho, ho! wpadł ci w ręce porządny kawał żaglowej płachty — podjął pierwszy oglądając tkaninę, którą kompan pokazywał mu ukradkiem. — Ba, starczyłoby na dobry żagiel, gdyby ją rozwinąć! A to ci miałeś, bracie, szczęście jak mało kto. Patrz, jakiego ja miałem pecha. Ten przeklęty kapidron zrobiony został chyba na miarę czyjegós wielkiego palca u nogi. Wsadzałem to

sobie na głowę z przodu i z tyłu, i w poprzek kadłuba, a ani rusz włożyć nie chce. Słuchaj, Sam, dasz mi z tej płachty na koszulę?

— Tak, możesz mieć cały skos, a jeśli chcesz, całą połowę, Nick, ale nie widzę, byśmy na okręt wracali choć trochę bogatsi; chyba że za łup uważa się to babskie stadko.

— Nie bogatsi? — wmieszał się do rozmowy dwóch wyg młody szelma, który dotychczas przysłuchiwał się tylko rozmowie starszych, bardziej wyrachowanych towarzyszy. — Myślę, że zostaliśmy przeznaczeni do rejsu po wodach, gdzie wachta dzienna trwa sześć miesięcy. Czy nie widzicie, że otrzymaliśmy podwójną rację nocy!

Z tymi słowy położył ręce na wełnistych głowach dwóch czarnych niewolników pułkownika Howarda, którzy maszerowali pogrążeni w smutnych rozmyślaniach nad niespodziewanymi wydarzeniami, grożącymi im utratą wolności.

— Odwróćcie się, dżentelmeni — dodał — ot, tak. Na taki widok gotowe nam pogasnąć lampy kompasowe.

— Zostaw Negrów w spokoju — mruknął jeden ze starszych marynarzy. — Czego stroisz sobie z nich żarty? Zaraz zaczną śpiewać i ściągają którego z oficerów na nasze głowy. Próżno się tylko głowie, Nick, czemu kręcimy się tu wzdłuż brzegów, mając raniej niż dziesięć sążni pod sobą, gdy wypłynąwszy na szeroki Atlantyk mogliśmy każdej chwili natknąć się na statek z Jamajki i mieć w bród cukru i rumu, tak jak teraz nie mamy co do gęby włożyć.

— To wszystko wina tego pilota — odpowiedział Sam — bo gdyby nie było dna, nie byłoby i pilotów. Niebezpieczna to żegluga, gdy się krąży na głębokości pięciu sążni, a potem zaraz ołowianka utyka w piasku lub na skale. I manewrować wypada jeszcze w nocy! Gdybyśmy mieli czternaście godzin dnia zamiast siedmiu, mogliśmy jeszcze przygotować się jako tako na pozostałe dziesięć.

— Prawdziwe z was dwie stare trąby! — przerwał im znów młody marynarz. — Czy nie widzicie, że Kongres chce, byśmy wytrzebili wszystkie statki przybrzeżne Johna Bulla, a Stary Grzmot znajduje, że dnia mu na to nie starczy, więc wysadził desant, byśmy zawładnęli nocą. Tu ją mamy! Kiedy wrócimy na okręt, wpakujemy ją do wnętrza i zabijemy luki. Wtedy zobaczymy znów oblicze słońca. Chodźcie, lilie! Niechaj ci dwaj dżentelmeni zajrzą do waszych iluminatorów. Co, nie chcecie? W takim razie muszę trochę wyżyć wasze wełniane czepki!

Murzyni, którzy poddawali się wybrykom majtka z odpychającą unizonością niewolników, zaczęli jęczeć z bólu.

— Co to? — ozwał się cienki głos chłopięcy, silący się na surowość. — Kto z was jest przyczyną tych krzyków?

Niesforny młody majtek niechętnie zdjął ręce z wełnistych głów niewolników, ale pociągnął przy tym jednego z nich za ucho z całej siły i ten znów krzyknął, jakby go obdzierano ze skóry, tym bardziej że spodziewał się opieki ze strony oficera.

— Słyszycie, wy tam? — powtórzył Merry. — Kto dręczy tych Negrów?

— Nikt, sir — odpowiedział majtek z udaną powagą. — Jedna z białych twarzy potknęła się o pajęczynę i coś łupnęło ją w ucho!

— Hej, Jack! Skąd znaleźliście się pośród jeńców? Czy nie kazałem wam nieść piki i trzymać się szeregu?

— Tak jest, sir. I spełniałem ten rozkaz sumiennie, póki mogłem, ale przez tych Negrów noc zrobiła się taka czarna, że zabłądziłem!

Cichy śmiech rozległ się w tłumie marynarzy i nawet praktykant musiał się rozweselić pod wpływem dowcipu tego wesołka, jakiego znaleźć można na każdym statku. Wreszcie rzekł:

— Dobrze, znaleźliście teraz wasz błąd w zliczeniu, wracajcie więc na miejsce.

— Idę, już idę, sir, ale na wszystkie błędy w rejestrze intendenta okrętowego, panie Merry, przez tę pajęczynę Negrzy wciąż łyżę leją. Pozwólcie mi tu zostać, sir, zebrać trochę atramentu na list do mojej starej, biednej mamy. Do licha, nie napisałem do niej ani słowa od czasu wyruszenia z Chesapeake.

— Jeśli mnie natychmiast nie posłuchasz, dostaniesz pałaszem po głowie — odpowiedział Merry z akcentem współczucia dla wzgardzonej rasy, która jest wciąż jeszcze, a wówczas była w daleko większej mierze przedmiotem drwinek ludzi prostych. — Wtedy będziesz mógł napisać list nie czarnym, ale czerwonym atramentem!

— Nie zrobiłbym tego za żadne skarby — rzucił sowizdrzał umykając do szeregu. — Mama zna mój charakter pisma i wzięłaby list za podrobiony. Ciekawe, czy bałwany na brzegu Gwinei są czarne, jak mówią starzy żeglarze, którzy pływali na tych szerokościach.

Krotochwile te przerwał głos surowy, na dźwięk którego milkły najhałaśliwsze wybuchy wesołości wśród załogi.

— To pan Griffith! — przebiegło szeptem w szeregach. — Jack obudził pierwszego porucznika i dobrze by zrobił, żeby sam poszedł spać.

Nawet szepty ustały, gdy Griffith się zbliżył, a Jack maszerował w szeregu, jakby nagle oniemiał.

Czytelnik towarzyszył nam zbyt często w wędrówkach między Opactwem Św. Ruty i wybrzeżem, by opisywać drogę, którą posuwał się oddział podczas tego dialogu, przejdziemy więc wprost do wypadków na skałach nadbrzeżnych.

Człowiek, który w sposób tak niespodziany objął kierownictwo w Opactwie, znikł równie nagle, jak się ukazał, i Griffith pełnił w dalszym ciągu funkcje dowódcy. Nie ozwał się ani razu do Barnstable'a i było widoczne, że dwaj młodzi ludzie, jednako dumni, uważają więzy dotychczasowej przyjaźni za zerwane, przynajmniej chwilowo. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie obecność Cecylii i Katarzyny, Griffith kazałby na miejscu aresztować niesubordynowanego oficera, ów zaś rozumiał doskonale błąd, który popełnił, ale nie odczuwał skruchy, przeciwnie, dałby folgą obrażonej miłości

własnej, gdyby nie wzgląd na Katarzynę. Nie porozumiewając się wcale, współdziałali jednak przy zaokrętowaniu dwóch pięknych kuzynek. Barnstable wyprzedził całą grupę, aby zapewnić paniom możliwie wygodny przejazd na statek. Ponieważ pilot zabrał z fregaty znaczną część załogi, a spodziewał się powrotu jeszcze większej liczby osób, wszystkie łodzie pływały niedaleko od brzegu, czekając na powrót wyprawy. Barnstable zawołał oficera dowodzącego małą flotyllą kutrów, szalup, barkasów, jol i tego typu łodzi, które znajdują się zazwyczaj na pokładach okrętów wojennych. Odpowiedział mu ochoczy okrzyk marynarzy i wkrótce flotylla była u brzegu.

Gdyby zapytano damy, na której łodzi chcą zostać przewiezione, wybrałyby niezawodnie szalupę ze względu na jej wielkość, Barnstable jednak uważałby to za poniżenie, toteż przeznaczył dla nich długi, niski barkas kapitana Munsona. Na jego rozkaz pięćdziesiąt ramion wciągnęło barkę na piasek i zameldowano, że wszystko gotowe jest do odjazdu. Manual ze swą piechotą zatrzymał się na szczycie urwiska i zajął się rozstawianiem pikiet i czat zgodnie z wymaganiami taktyki lądowej, co, jego zdaniem, niezbędne było dla osłonięcia odwrotu. Pod jego strażą pozostawiono służbę z Opactwa i żołnierzy Borroughcliffe'a, lecz pułkownik Howard, kapitan angielski i damy ze swymi pannami służącymi zesli na brzeg wawozem i czekali, póki nie oznajmiono im, że czas wsiadać do łodzi.

— Gdzie jest on? — spytała Alicja Dunscombe rozglądając się, jakby kogoś szukała.

— Gdzie jest kto? — odpowiedział pytaniem Barnstable. — Jesteśmy tu wszyscy i łodzie czekają.

— Czy i mnie oderwie od miejsca, gdzie spędziłam dzieciństwo? Od mego rodzinnego kraju, z którym mnie tyle łączy?

— Nie wiem, o kim pani mówi, lecz jeśli chodzi o pana Griffitha, to stoi on tam, tuż za tą grupą marynarzy.

Griffith, słysząc swe nazwisko, zbliżył się do dam i po raz pierwszy od chwili opuszczenia Opactwa zabrał głos:

— Wszyscy to chyba rozumieją i nie potrzebuję powtarzać, że niewiast nie bierzemy do niewoli. Z drugiej strony, gdyby która z nich chciała udać się na fregatę, ręczę honorem oficera, że znajdzie opiekę i obronę.

— W takim razie ja nie jadę — rzekła Alicja.

— Nikt tego od pani nie żąda — odpowiedziała Cecylia. — Nic pani nie wiąże z kimkolwiek z tu obecnych. — Alicja powiodła wzrokiem dokoła. — Niech więc pani wraca i będzie panią Opactwa aż do mego powrotu, jeśli — dodała nieśmiało — pułkownik Howard inaczej nie zarządzi.

— Słucham cię, drogie dziecko, ale pułkownik Howard niezawodnie upoważni swego agenta z B... do zarządzania jego własnością.

Pułkownik Howard milczał, póki o woli jego wspominała Cecylia, gdyż milczenie jego dostatecznie tłumaczyło się niechęcią do bratanicy, ale był zbyt dobrze wychowany, by nie udzielić

wyjaśnieniej osobie obcej, a w dodatku lojalnej poddanej.

— By panią uspokoić, i tylko po to, wypowiem się w tej sprawie — rzekł — w przeciwnym bowiem razie pozostawiłbym drzwi i okna Opactwa otwarte na większą hańbę rebelii, spodziewając się rekompensaty od korony angielskiej, kiedy skonfiskowane dobra przywódców tego przekłętą powstania będą rozdawane między lojalnych poddanych. Ale pani zasługuje na wszelkie względy należne damie. Zechciejcie tedy, pani, napisać do mego agenta i polecić mu, by opieczetował moje papiery i przesłał je do ministerstwa spraw wewnętrznych. Nie ma w nich zdrady i zasługują w zupełności na opiekę rządu. Dom i większość mebli należy do właściciela majątku, który niezawodnie zajmie się nimi po upływie najmu. Całuję rączki, panno Alicjo, i spodziewam się jeszcze spotkać panią w Pałacu Św. Jakuba. Może pani być pewna, że królowa Charlotta oceni pani zasługi i lojalność.

— Tu przyszedłam na świat w skromnej mierności i mam nadzieję tu umrzeć — odpowiedziała Alicja ze zwykłą łagodnością. — Jeśli zaznałam innych przyjemności prócz tych, jakie każda chrześcijanka czerpie ze spełniania swych obowiązków, to zawdzięczam je tylko waszemu przypadkowemu towarzystwu. Takie towarzystwo w tym zapadłym kącie to szczęście, które długo trwać nie mogło. Teraz muszę zamienić je na smutek. Żegnajcie, moje młode przyjaciółki. Miejcie nadzieję w Bogu, dla którego książę i chłop, Europejczyk i Amerykanin znaczą tyle samo. Spotkamy się niezawodnie, choć nie w Wielkiej Brytanii ani też na waszym kontynencie.

— To jedyne nielojalne słowa — rzekł pułkownik Howard biorąc ją za rękę — jakie usłyszałem z ust panny Alicji Dunscombe. Czy mamy przypuszczać, że niebiosy ustanowiły stosunki między ludźmi po to, by ich nie honorować? Ale żegnajcie, pani. Pewien jestem, że gdyby czas pozwolił na wyjaśnienia, okazałoby się, iż nie różnimy się w poglądach na tę sprawę.

Alicja uznała widocznie dalszą dyskusję na ten temat za zbędną, bo pożegnała pułkownika i całkowicie zajęła się swymi przyjaciółkami. Cecylia, smutna i wzburzona, płakała gorzko na jej ramieniu, a i Katarzyna tuliła się do niej tkliwie. Uścisnęły się w milczeniu i wreszcie panny odeszły ku łodziom. Pułkownik Howard ani nie wstąpił pierwszy do barkasu, ani nie pomógł swym wychowankom, którymi zajął się Barnstable. Gdy usiadły już ze swymi pokojówkami, odwrócił się do panów i rzekł:

— Łódź czeka.

— A więc, panno Alicjo — rzekł Borroughcliffe z gryzącą ironią — skoro nasz nieporównany gospodarz powierzył pani napisanie listu do agenta, czy nie zechciałaby pani wyrządzić i mnie podobnej przysługi i w liście do komendanta okręgu poinformować go, jak głupio zachował się niejaki kapitan Borroughcliffe, ba, nazwijmy rzeczy po imieniu, co za osioł z tego kapitana Borroughcliffe'a. Możecie, pani, wtrącić przy okazji, że bawił się on w ciuciubabkę z pewną panią z kolonii i rozbił nos przy tej zabawie! Chodźcie, mój zacny gospodarzu albo raczej towarzyszu niedoli, pójdę za wami.

— Stać! — zawołał Griffith. — Kapitan Borroughcliffe nie płynie w tej łodzi.

— Cóż to, sir, chcecie pomieścić mnie z żołnierzami? Zapominacie, że mam zaszczyt być oficerem

jego królewskiej mości!

— Nie zapominam nic, o czym dżentelmenowi pamiętać wypada, kapitanie Borroughcliffe, a między innymi pamiętam, jak uprzejmie traktowano mnie, gdy sam byłem jeńcem. Z chwilą gdy bezpieczeństwo oddziału zostanie zapewnione, nie tylko wy sami, sir, ale i wasi ludzie odzyskacie wolność.

Borroughcliffe drgnął ze zdumienia, ale zanadto był rozgoryczony, nadto bolało go rozczarowanie, by potrafił zdobyć się na odpowiedź godną dżentelmena. Z wysiłkiem przemógł wzburzenie i odszedł wzdłuż brzegu pogwizdując jakąś hulaszczą piosenkę.

— Dobrze więc — krzyknął Barnstable — skoro mamy już wszystkich jeńców, łódź czeka tylko na oficerów.

Griffith odszedł wyniośle, dając do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z przyjacielem. Barnstable poczekał chwilę z uszanowaniem należnym oficerowi wyższej szarży, ale widząc, że ten nie ma zamiaru powrócić, kazał marynarzom zepchnąć łódź na wodę. Rozkaz spełniono bezzwłocznie i w chwili gdy młody porucznik zasiadł na swoim miejscu, barkas kołysał się na wciąż jeszcze sporej, lecz niegroźnej już fali i wiosłarze wskakiwali do łodzi.

— Żywo, chłopcy! — zawołał. — Nie bójcie się zamoczyć. Widziałem u tego brzegu niejednego zacnego kamrata w o wiele gorszą pogodę. Teraz dziób patrzy na pełne morze, więc żwawo!

Marynarze poderwali wiosła i wspólnym wysiłkiem opanowali łódź, która uczyniwszy parę skoków i tyleż razy zapadłszy między wały, wydostała się na spokojniejsze wody i zaczęła płynąć tam, gdzie miała oczekiwać ją „Alacrity”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Jedyny jego grzech — że w wielkim gniewie

Podniósł swój mściwy miecz przeciw ojczyźnie.

Thomson

Alicja Dunscombe pozostała na piaskach nadbrzeżnych, obserwując czarną plamkę, która wkrótce znikła wśród fal w nocnej pomroce, i łowiąc uchem chrobot wiosł długo jeszcze po rozplynięciu się zarysów łodzi na posępnym wschodnim horyzoncie. Wkrótce pozostał w jej sercu jedyny ślad po przyjaciołach — skarb wspomnień. Wówczas odwróciła z żalem oczy od morza i szybko minęła grupę marynarzy zajętych przygotowaniami do odjazdu. Pospieszyła ścieżką na szczyt skał, po których tak często błądziła, spoglądając na bezkres wód z uczuciem dziwnym w jej sytuacji.

Żołnierze Borroughcliffe'a rozstąpili się przed nią z szacunkiem, tak samo jak amerykańska piechota morska, i dopiero zbliżywszy się do ostatnich posterunków, którymi dowodził czujny kapitan Manual, została zatrzymana.

— Kto idzie? — krzyknął Manual występując z grupy ciemnych postaci.

— Nikt, kto by mógł lub chciał uczynić wam co złego — odpowiedziała samotna niewiasta. — To Alicja Dunscombe powraca za zezwoleniem waszego dowódcy do miejsca, swego urodzenia.

— Ach — mruknął Manual — znów jedna z przeciwnych wojskowej dyscyplinie uprzejmości Griffitha! Czy ten człowiek łudzi się, że była kiedy niewiasta umiejąca trzymać język za zębami. Czy ma pani przepustkę?

— Za przepustkę powinien mi wystarczyć wzgląd na moją słabość i płęć, jeśli nie to, że odchodzę z wiedzą pana Griffitha.

— Te oba względy są zupełnie wystarczające — rozległ się głos osoby, która przez nikogo dotychczas nie zauważona stała w cieniu bezlistnej korony wiekowego dębu, pod którym rozlokował się posterunek.

— Kto tu jest? — krzyknął znów Manual. — Zbliżcie się i złożcie broń, bo każę strzelać.

— Cóż to, odważny kapitan Manual będzie strzelał do swego obrońcy? — rzekł pilot zimno, wychodząc spod dębu. — Lepiej zachowałyby kule dla nieprzyjaciół miast trwonić je przeciw przyjaciołom.

— Zuchwały to czyn, sir, zbliżać się po kryjomu do pikiet piechoty morskiej! Dziwne, że człowiek, który przejawiał dzisiejszej nocy taką znajomość taktyki, kiedy chodziło o zaskoczenie wroga, zdradza taką ignorancję przy zbliżaniu się do pikiety.

— Mniejsza z tym — odparł pilot — moja znajomość czy nieznanostwo taktyki nie gra obecnie roli, gdyż dowództwo oddałem w inne, może właściwsze ręce. Ale muszę pomówić z tą damą; sir. Znam ją z czasów mej młodości i chciałbym odprowadzić ją kawałek drogi ku Opactwu.

— To byłoby niezgodne z zasadami wojskowymi i wybaczy mi pan, że nie pozwolę mu wyjść poza linię straży. Jeśli zgodzi się pan pozostać tutaj i porozmawiać na miejscu, usunę żołnierzy, żeby nie mogli was słyszeć, choć nie widzę nigdzie w okolicy lepszego punktu obserwacyjnego. Mam wawóz w tyle, którym mogę cofać się w razie ataku, linię muru z lewego flanku, a z prawego ten dąb. Można by nieźle się tu trzymać, gdyż nawet stara gwardia walczy najlepiej, kiedy ma osłonięte flanki i możliwość odwrotu.

— To mi wystarczy, sir. Nie chciałbym psuć panu pozycji — odparł pilot. — Panna Dunscombe zgodzi się na pewno cofnąć kawałek drogi.

Alicja poszła za nim. Zatrzymali się opodal drzewa obalonego przez ostatni sztorm. Dama siadła na pniu i zdawała się czekać na wyjaśnienia. Pilot parę minut przechadzał się tam i z powrotem, jakby rozmawiał sam z sobą, po czym, ocknąwszy się z zadumy, rzekł:

— Zbliża się, Alicjo, godzina naszego rozstania. Od ciebie zależy, czy to rozstanie na zawsze.

— Niechaj będzie na zawsze, John — odparła z lekkim drżeniem w głosie.

— To słowo byłoby mniej groźne, gdybyśmy się przypadkiem nie spotkali. A może ostrożność dyktuje twój wybór. Bo cóż w mym losie mogłoby pociągnąć niewiastą?

— Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że jesteś człowiekiem, który nie znajduje nikogo, kto by dzielił z nim szczęście lub współczuł z nim w godzinę klęski, człowiekiem, którego życie jest łańcuchem nieustannych niebezpieczeństw, klęsk, rozczarowań i przeciwności, to zbyt mało znasz serce niewiasty sądząc, że nie miałyby ani siły woli, ani sił fizycznych, by znosić je u boku kochanego mężczyzny.

— Ty to mówisz, Alicjo? źle cię więc zrozumiałem, źle tłumaczyłem sobie twoje czyny? Los mój nie jest więc losem człowieka całkowicie opuszczonego, jeśli łaska królów i uśmiechy królowych za coś się liczą! Tak, życie moje nieraz wystawiałem na niebezpieczeństwo, ale nie jest ono wypełnione wyłącznie klęskami, prawda?

Na próżno czekał odpowiedzi i za chwilę podjął:

— Omyliłem się przywiązując wagę do tego, co świat powie o mych bitwach i zwycięstwach. Nie jestem, kim bym chciałem,

Alicjo, nie jestem nawet tym, za kogo się miałem.

— Zyskałeś sobie imię wśród wojowników naszego wieku, John, imię pisane krwią.

— Krwią moich nieprzyjaciół, Alicjo.

— Krwią poddanych twego prawowitego monarchy, krwią twych rodaków, John. .

— Krwią niewolników despotyzmu — przerwał surowo. — Krwią wrogów wolności! Żyłaś tak długo w tym zapadłym kącie, tak ślepo hołdowałaś przesądom, w których zostałaś wychowana, że wbrew mym oczekiwaniom szlachetne uczucia, które w tobie kiełkowały, wcale się nie rozwinęły.

— Żyłam i myślałam jak na niewiastę mej kondycji przystało. Jeślibym musiała żyć i myśleć inaczej, wolałabym umrzeć — odparła łagodnie Alicja.

— Oto pierwsze objawy niewolnictwa! Niewiasta zależna może być matką tylko nędzników i tchórzów, którzy staną się zakałą ludzkości.

— Ja już nigdy nie zostanę matką — odpowiedziała Alicja z rezygnacją dowodzącą, że dawno pogrzebała właściwe jej płci nadzieje. — Żyłam samotna i umrę w osamotnieniu, nie pozostawiwszy nikogo, kto by mnie opłakiwał.

Słodycz jej głosu, duma i godność, z jaką te słowa wymówiła, wzruszyły pilota, który zamilkł, jakby przez szacunek dla takiego postanowienia. Alicja obudziła w nim zgłuszone przez ambicję i dumę uczucia. Wreszcie przemówił, ale łagodniej i nie tak żarliwie jak zawsze:

— Nie wiem, Alicjo, czy w moim położeniu i znajdując cię pogodzoną z losem, jeśli nie szczęśliwą, powinienem ożywiać uczucia, które niegdyś dla mnie żywiłaś. Nie jest to koniec końców godne pozazdroszczenia dzielić niespokojny żywot korsarza, człowieka, którego można by nazwać Donkiszotem w służbie wolności i który każdej chwili może przypieczętować krwią swe zasady.

— Uczucia, które niegdyś dla ciebie żywiłam, nigdy nie zamarły w mym sercu — odparła Alicja prostodusznie i szczerze.

— Co ja słyszę? Czyżbym źle zrozumiał twoje postanowienie? Czy też może źle sobie tłumaczyłem twoje uczucia?

— Omyliłeś się teraz, nie przedtem. Wciąż żywię w mym sercu tę słabość, John, ale z latami Bóg w swej dobroci obdarzył mnie siłą do walki z tą słabością. Jednakże nie o sobie, lecz o tobie mówić pragnę. Żyłam jak kwiat polny, który wykwita z wiosną na łące, a więdnie jesienią, i pole, co go wydało, nie czuje jego straty po przejściu lata. Ale twój upadek będzie na podobieństwo upadku tego dębu, na którego pniu teraz siedzimy. Ludzie mówili o jego wielkości i piękności, gdy stał, a o użytku, jaki można z niego zrobić, gdy upadł.

— Niech mówią o mnie, co im się żywnie podoba. Prawda wyjdzie w końcu na jaw, a kiedy godzina ta wybije, powiedzą: „Był wierny, dzielny i dobry stanowi przykład dla wszystkich zrodzonych w niewoli, a tęskniących do wolności”.

— Tak mogą mówić w tym dalekim narodzie, z którym się sprzymierzyłeś i który ma ci zastąpić rodaków — rzekła Alicja rzucając ha niego nieśmiałe spojrzenie, jakby chciała poznać, czy nie wzbudziła w nim gniewu. — Ale co twoi prawdziwi rodacy przekażą o tobie swym dzieciom?

— Powiedzą, Alicjo, co im wykrętna polityka i rozczarowanie podyktuje, ale portret bohatera

malują zarówno jego przyjaciele, jak wrogowie. Czy mniemasz, że tylko miecze znaleźć można w Ameryce, a nie ma tam ludzi pióra?

— Słyszałam o tej Ameryce jako krainie, którą Bóg hojnie obsypał swymi darami, gdzie złączył kilka klimatów, gdzie daje dowody nie tylko swej potęgi, ale i łaskawości. Słyszałam, że nawadniają ją rzeki o nieznanym źródłach, słyszałam o jeziorach większych od Morza Północnego. Są tam pono równiny ogromne, pokryte najpiękniejszą zielenią, ale i doliny przytulne, których piękno proste serca zniewala. Jednym słowem, John, jest to kraj wielki, mogący podsycać szalone namiętności i budzić najtkliwsze uczucia.

— A więc w samotnym swym życiu zetknęłaś się z ludźmi, którzy oddali jej sprawiedliwość! Tak, jest to kraj, który może stanowić oddzielny świat. Po cóż więc jego mieszkańcy mieliby przyjmować prawa od innych narodów?

— Nie zamierzam podawać w wątpliwość prawa czynienia przez nich wszystkiego, co uważają za korzystne dla siebie, ale czyż możliwe, by ludzie zrodzeni w takim kraju nie znali uczucia miłości do miejsca, w którym przyszli na świat?

— Jak możesz w to wątpić? — zawołał pilot ze zdumieniem. — Czyż nie dowodzą tego ich wysiłki w tej świętej sprawie, ich cierpienia, ich wytrwałość, prywatnie?

— I sądzisz, że ludzie miłujący ojczyznę będą skłonni wyśpiewywać hymny pochwalne na cześć tego, kto podniósł rękę przeciw krajowi swych ojców?

— Zawsze to samo! — zawołał pilot zorientowawszy się, do czego Alicja zmierza. — Czyż człowiek jest kawałkiem drewna lub kamieniem, który musi być wmurowany w ścianę albo rzucony w ogień, jeśli na to skazały go losy? Z rodzinnego gniazda pyszni się pono Anglik, ale widzę, że bardziej jeszcze pyszni się z niego Angielka.

— To najdroższe dla każdej, niewiasty, John, bo przedstawia najdroższe na świecie więzy! Jeśli dla waszych kobiet w Ameryce nie ma ono uroku, żadne skarby, którymi Bóg obdarzył ich kraj, nie zdołają im braku tego uczucia wynagrodzić.

— Alicjo — rzekł pilot z irytacją — zdaję sobie sprawę, do czego zmierzasz. Pod tym względem nie zgodzimy się nigdy, gdyż nawet wielki wpływ, jaki na mnie wywierasz, nie zawróci mnie z drogi do sławy. Ale mało już pozostaje nam czasu. Prawdopodobnie po raz ostatni jestem na tej wyspie.

Alicja milczała dłuższą chwilę, zanim otrząsnąwszy się z przygnębienia, powróciła do sprawy, którą poruszyć uważała za swój obowiązek.

— A teraz, John, wylądowałeś tu, by zakłócić spokój całej rodziny i zmusić starca do postąpienia wbrew jego woli. Czyż to jest czyn heroiczny, jeden z tych, o których wspominałeś?

— Myślisz, że wylądowałem i ryzykowałem głową dla tak marnego celu? Nie, Alicjo, wyprawa się nie powiodła, a przeto cel jej pozostanie nieznanym. Przedsięwzięciem ją w służbie sprawy, choć potępiłaś ją tak bezmyślnie. Ten pułkownik Howard ma mir u rządu angielskiego i może zostać

wymieniony na jednego z potrzebnych nam ludzi! Co zaś do jego wychowanek, zapominasz, że ojczyzną ich jest Ameryka; wkrótce już znajdą przytułek pod banderą dumnej fregaty, która czeka u wejścia do zatoki.

— Mówisz o fregacie! — zawołała Alicja z nagłym zainteresowaniem. — Czy tylko na niej możesz uciec nieprzyjaciołom?

— Alicja Dunscombe zbyt mało przejmowała się dotychczasowymi wydarzeniami, by o to pytać — odparł pilot wyniośle. — Rozsądniejsze byłoby takie pytanie: „Czy ta fregata jest jedynym okrętem, który zagraża twoim nieprzyjaciołom?”

— Nie potrafię liczyć się ze słowami w podobnej chwili — ciągnęła Alicja z rosnącym niepokojem. — Słyszałam przypadkiem, jak układano plan zniszczenia statków amerykańskich, które wpłynęły na nasze wody.

— Plan taki łatwiej ułożyć niżli wykonać, moja zacna Alicjo. I cóż to za groźni przeciwnicy go ułożyli?

— Nie wiem, czy lojalność nie nakazuje mi pozostawić tej wiadomości przy sobie — rzekła Alicja z wahaniem.

— Niech i tak będzie — odparł zimno pilot. — Milczenie twoje może ocalić kilku oficerów marynarki królewskiej od śmierci lub niewoli. Jak już rzekłem, ostatnie to pewnie moje odwiedziny na tej wyspie, a przeto i ostatnie nasze spotkanie.

— A jednak — powiedziała Alicja idąc za biegiem swych myśli — nie widzę nic złego w chęci zapobieżenia rozlewowi krwi i udzielenia rady tym, których się od dawna cenilo i kochało.

— Prosta to doktryna, a wprowadzenie jej w czyn nie napotyka trudności — dodał z pozorną obojętnością — król Jerzy powinien jednak oszczędzać swych niewolników, choć ma ich tylu!

— Był człowiek nazwiskiem Dillon, który ostatnio mieszkał w Opactwie, ale znikł w sposób tajemniczy — ciągnęła Alicja — a właściwie został wzięty do niewoli przez twoich towarzyszy. Powinieneś o nim wiedzieć, John?

— Słyszałem o renegacie tego nazwiska, ale nigdy go nie widziałem. Alicjo, jeśli losy chcą, by to było nasze ostatnie spotkanie...

— Był uwięziony na szkunerze zwanym „Ariel” — podjęła nie zwracając uwagi na jego udaną obojętność — a kiedy pozwolono mu wrócić do Opactwa Św. Ruty, zapomniał o uroczystych przysięgach i złamał parol, pragnąc zemsty. Miast pośredniczyć w wymianie, której przeprowadzenia się podjął, uknuł zdradę przeciw tym, którzy go z rąk wypuścili. -Tak, była to najpodlejsza zdrada! Potraktowano go szlachetnie i miał pewność, że zostanie zwolniony.

— Był to prawdziwy łotr! Lecz, Alicjo...

— Nie, wysłuchaj mnie, John — ciągnęła coraz bardziej przejęta losem pilota wobec uporczywej

obojętności z jego strony. — Powinnam mówić z pobłażliwością o grzechach tego człowieka, gdyż zginął. Zdradziecki jego plan nie powiódł się, gdyż zamierzał zniszczyć szkuner i pochwycić młodego Barnstable'a.

— Nie powiódł się rzeczywiście! Barnstable'a ja uwolniłem, „Ariela” zaś dotknęła ręka najpotężniejszego! Rozbił się.

— W takim razie do ucieczki pozostaje ci, tylko fregata? Spiesz, John, i nie bądź tak pewien siebie, gdyż może bliska już jest godzina, kiedy całe twe zuchwalstwo rozbije się o machinacje ukrytych wrogów. Ten Dillon ukartował, żeby wysłać gońców do portu na południu wyspy z wieścią o waszych statkach i spowodować odcięcie wam odwrotu przez okręty marynarki królewskiej.

W miarę jak mówiła, pilot wyzbywał się sztucznej obojętności i coraz przenikliwiej wpatrywał się w mroku w rysy jej twarzy, usiłując wyczytać z nich koniec.

— Skąd możesz o tym wiedzieć, Alicjo? — spytał spiesznie. — A jak nazwał te okręty?

— Los zrządził, że słyszałam z ukrycia, jak się naradzali. Nie wiem, czy mówiąc o tym nie grzeszę przeciwko swemu monarsze, ale, John, nie można żądać od słabej kobiety, by nie ostrzegła człowieka, którego darzyła kiedyś względami, gdy parę słów powiedzianych w porę może odwrócić od niego niebezpieczeństwo.

— Kiedyś darzyła względami! Czyż tak było? — rzekł pilot z roztargnieniem. — Czy słyszałaś, Alicjo, ile jest tych okrętów albo jakie są ich imiona? Podaj mi ich imiona, a wasz Pierwszy Lord Admiralicji nie byłby w stanie dokładniej zdać sprawy z ich siły i uzbrojenia, niż ja to uczynię z pamięci.

— Imiona ich zostały niezawodnie wymienione — odpowiedziała Alicja — ale jedno imię, które dźwięczało mi w uszach, zagłuszało wszystkie inne.

— Jesteś tą samą dobrą Alicją, jaką znałem w młodości! Więc wspominali o mnie? Cóż mówili o piracie? Czy ramię jego dosięgło ich w Opactwie? Czy zwali mnie tchórzem?

— Mówili o tobie w sposób, który mi ból sprawił, gdyż serce ludzkie chętnie zapomina o upływie czasu, a uczucia młodości nie tak łatwo z niego wyrwać.

— Ach, co za rozkosz wiedzieć, że obelgi tych niewolników podyktowane są strachem i że drżą przede mną nawet w ukryciu! — zawołał pilot przechadzając się nerwowo. — Oto co znaczy się wybić! Mam nadzieję, że sam Jerzy Trzeci zadrży kiedyś jeszcze na moje imię poza murami swego pałacu.

Alicja Dunscombe słuchała jego słów upokorzona, biło bowiem w oczy, że nic sympatii między nimi została porwana i że uczucie, któremu podświadomie dała dojść do głosu, nie jest odwzajemnione. Spuściła głowę na piersi, potem zaś wstała i ozwała się głosem jeszcze łagodniejszym niż zazwyczaj:

— Teraz, kiedy zakomunikowałam ci wszystko, co może mieć dla ciebie znaczenie, czas, byśmy się

rozstali.

— Co, tak prędko? — zawołał podchodząc do niej i ujmując jej rękę. — To krótko jak na spotkanie przed tak długą rozłąką;

— Krótkie czy długie, spotkanie dobiega końca, John — odpowiedziała. — Twoi towarzysze odpływają, sądzę zaś, że tobie najmniej zależałoby na pozostaniu tutaj. Jeśli odwiedzisz Anglię raz jeszcze, to, mam nadzieję, z innymi względem niej zamiarami. Oby Bóg obdarzył cię pokojem i obyś na to zasłużył, John!

— Proszę tylko, abyś nie zapomniała o mnie w modlitwach! Ale noc ciemna i muszę odprowadzić cię do Opactwa.

— To zbyt cenne — odparła powściągliwie. — Niewinny bywa w pewnych okolicznościach tak odważny jak najdzielniejszy spośród was, wojowników. Nie ma powodu do obaw. Wybiorę ścieżkę nie strzeżoną przez waszych żołnierzy, gdzie nie spotkam nikogo prócz Tego, który jest obrońcą słabych i bezbronnych. Raz jeszcze, John, żegnaj! — Głos jej się załamał przy słowach: — Dzielać los całej ludzkości będziesz ugiął się nieraz pod brzemieniem trosk i zwątpienia; w takich chwilach wspomnij tych, których zostawiłeś na tej wzgardzonej wyspie, a między innymi tę, której zainteresowanie twoim losem nie wywodziło się z egoistycznych pobudek.

— Bóg z tobą, Alicjo! — rzekł wzruszony, dając się unieść fali wznioślejszych uczuć. — Ale nie mogę pozwolić, byś szła sama.

— Tu się rozstajemy, John — powiedziała stanowczo — i rozstajemy na zawsze! Dla dobra obojga, gdyż obawiam się, że niewiele nas łączy. — Wyjęła łagodnie rękę z jego dłoni i raz jeszcze pożegnawszy go głosem prawie niedosłyszalnym, odwróciła się i odeszła powoli w stronę Opactwa.

Pierwszym odruchem pilota było udać się za nią i nalegać, by pozwoliła sobie towarzyszyć, ale do uszu jego dotarł dźwięk werbla, a w przeraźliwym gwizdzie bosmańskiej świstawki tłukącym się między urwiskami rozpoznał ostatni sygnał do odbicia.

Posłuszny wezwaniu, niezwykle ten człowiek, w którego piersi naturalne odruchy tak długo ustępowały miejsca wybujałej ambicji i być może nienawiściom, poszedł w zamyśleniu ku łodzi. Wkrótce napotkał żołnierzy Borroughcliffe'a, rozbrojonych wprawdzie, ale puszczonej wolno i wracających spokojnie do swej kwatery. Na szczęście dla nich pilot był zbyt pogrążony w zadumie, by zdać sobie sprawę ze wspaniałomyślności Griffitha. Ocknął się dopiero na widok postaci, która zagroziła mu drogę. Borroughcliffe powitał pilota lekkim uderzeniem w ramię i rzekł:

— Jasne, sir, że nie jesteście tym, na kogo wyglądacie. Podejrzewam, że jesteście jakimś admirałem albo generałem rebeliantów, sądząc z tego, czego byłem świadkiem podczas sporu o prawo do dowództwa. Ale niech kto chce będzie dowódcą tego desantu, pozwalam sobie szepnąć panu na ucho, że zostałem niegodnie przez pana potraktowany. Powtarzam, niegodnie potraktowany przez was wszystkich, a przez pana szczególnie.

Pilot drgnął na te dziwne słowa, które podyktowała gorycz rozczarowania, ale w odpowiedzi

wskazał oficerowi angielskiemu ruchem ręki, by szedł swoją drogą.

— Być może nie zostałem przez pana właściwie zrozumiany — ciągnął uparty oficer. — Twierdzę, sir, że potraktowaliście mnie niegodnie, a jeśli mówię to dżentelmenowi, to znaczy, że gotów jestem dać mu satysfakcję.

Pilot dostrzegł pistolety, które Borroughcliffe trzymał w ręku, jeden za kolbą, a drugi za lufę, oficerowi zaś wydało się, że na ich widok przyspieszył kroku. Popatrzawszy w ślad za pilotem, kiedy sylwetka jego rozplynęła się w ciemnościach, mruknął:

— Musi to być koniec końców zwykły pilot. Prawdziwy dżentelmen przyjąłby wyzwanie. Ale, ale, nadciąga oddział mego godnego kompana od szklanki. Ten ma przynajmniej gardło prawdziwego dżentelmena, zobaczymy, czy równie gładko przełknie moją pigułkę.

Borroughcliffe zeszedł z drogi piechurom i oglądał się pilnie za ich dowódcą. Manual, któremu Griffith kazał uwolnić jeńców, pozostał w tyle, by się przekonać, czy nie znajduje się wśród nich nikt, kogo by rozkaz nie dotyczył. Dzięki tej okoliczności Borroughcliffe'owi udało się spotkać z przeciwnikiem w pewnej odległości od obu oddziałów.

— Witam, sir — rzekł. — Mieliście świetną okazję do zaopatrzenia się w żywność, kapitanie.

Oficer piechoty morskiej nie był usposobiony do kłótni, ale w głosie Anglika zadźwięczało coś napastliwego, co skłoniło go do odpowiedzi:

— Byłoby mi o wiele przyjemniej, kapitanie Borroughcliffe, gdybym mógł okazać wam niektóre z tych względów, jakich doznałem od pana.

— Zawstydzacie mnie, sir! Zapominacie chyba, jaka wdzięczność mnie za to spotkała: że dwie godziny wypadło mi zuć rękojeść własnego pałasza i w bardzo bezceremonialny sposób zostałem rzucony w kąt, a do tego jeden z mych ludzi dostał klapsa w krzyże tak nieszkodliwym instrumentem jak kolba muszkietu. Niech mnie diabli, sir, ale twierdzę, że niewdzięczny człowiek niczym nie jest lepszy od zwierzęcia!

— Ten klaps bardziej należał się oficerowi niżli żołnierzowi — odparł Manual z zimną krwią. — Nie uderzenie kolbą, ale stemplem obaliłoby dżentelmena, który sam jeden wytrąbił tyle, co czterech spragnionych wałkoniów do spółki.

— Oto co zwę prawdziwą niewdzięcznością względem najprzedniejszego kordiału i obelgą wprost nie do zniesienia! Widzę tylko jeden sposób zakończenia tej słownej szermierki, która w przeciwnym razie przeciągnie się do rana.

— Wybierzcie sami ten sposób, sir. Mani jednak nadzieję, że nie okażecie przy tym takiej trafności sądu, jak wówczas, kiedy kapitana piechoty morskiej w służbie Kongresu wzięliście za deztertera i zakochanego.

— To prztyczek w nos, sir! — rzekł Borroughcliffe. — Wolałbym nawet prawdziwego prztyczka w nos. Który z tych pistoletów pan wybiera? Zostały nabite w innym celu, ale zdadzą się i na tę okazję.

— Moja para zda się na każdą okazję — odparł Manual wyciągając pistolet zza pasa i odstępując kilka kroków.

— Odpływacie do Ameryki, wiem o tym — rzekł Borroughcliffe, który pozostał na miejscu i zachowywał się z nieporównanie zimną krwią — ale osobiście życzyłbym sobie, abyście zatrzymali się na chwilę.

— Broń się, pal! — krzyknął Manual z wściekłością, zwracając się ku przeciwnikowi.

Huk dwóch wystrzałów pistoletowych zlał się i żołnierze Borroughcliffe'a z jednej strony, a piechota morska z drugiej przybiegli na miejsce alarmu. Gdyby pierwsi z nich byli uzbrojeni, niezawodnie doszłoby do krwawej potyczki. Manual leżał na wznak, nie dając znaku życia, a Borroughcliffe, który przed chwilą stał dumnie wyprostowany, teraz na poły siedział, na poły leżał na ziemi.

— Gzy biedak przeniósł się już do wieczności? — rzekł Anglik z nutą współczucia w głosie. — Był to prawdziwy żołnierz, niemal równie jak ja szalony.

Piechurzy na szczęście dla żołnierzy angielskich i ich kapitana odkryli wkrótce, że dowódca ich daje znaki życia. Był tylko ogłuszony kulą, która zadrasnęła głowę nie naruszając kości. Postawiony na nogi, minutę lub dłużej tarł głowę jakby zbudzony ze snu. W miarę jak przychodził do siebie, przypominał sobie, co zaszło, i spytał z kolei o swego przeciwnika.

— Jestem tu, kapitanie incognito! — zawołał ów dobrodusznie. — Leżę na łonie matki ziemi i czuję się nie najgorzej wskutek puszczenia mi przez was krwi z prawej nogi, choć obawiam się, że z naruszeniem kości. Ale jeśli mnie wzrok nie zawiódł, i was widziałem na ziemi.

— Musiałem przeleżeć parę minut — odpowiedział Manual. — Mam kresę od kuli na głowie.

— Hm, na głowie — rzekł Borroughcliffe sucho. — Rana nie wygląda na śmiertelną, to widzę. Ale ja będę musiał zagrać w kości z pierwszym napotkanym właścicielem jednej tylko zdrowej nogi. Kto wygra, będzie dżentelmenem, kto przegra, żebrakiem. Manual, podajcie mi rękę. Piliśmy razem, biliśmy się z sobą, więc nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy zostali przyjaciółmi.

— Czemu nie? — odparł Manual dotykając szramy na głowie. — Nie widzę przeszkód, ale wam, sir, trzeba doktora. Czy mogę coś dla was zrobić? Słyszę ostatni sygnał. Maszerujcie na brzeg, sierżancie, z całą kompanią, a zostawcie mi tylko mego ordynansa, chociaż możecie wziąć i jego.

— Cóż, jesteście człowiekiem ze stali, mój zacny przyjacielu! — zawołał Borroughcliffe. — Nie ma słabych punktów w waszej fortecy! Taki człowiek powinien być głową całego korpusu, nie zaś jednej kompanii. Ostrożnie, Drill, nieście mnie, jakbym był z gliny. Nie będę zatrzymywał was dłużej, mój przyjacielu, gdyż słyszę sygnał za sygnałem. Bardzo im śnadź pilno z zaokrętowaniem waszych zdumiewających zdolności argumentacyjnych.

Manual może i poczułby się dotknięty tą aluzją, gdyby właśnie w siedlisku tych zdolności

argumentacyjnych nie odczuwał zamętu i przykrego szumu. Ponieważ jednak tak było, odwzajemnił się tylko pięknymi życzeniami, uścisnął wyciągniętą prawicę nowego przyjaciela i ponownie zaofiarował mu swe usługi.

— Składam wam tak serdeczne dzięki — odpowiedział Borroughcliffe — jakbyście mi wcale krwi nie puścili i nie ocalili mnie od ataku apopleksji, ale Drill posłał już gońca po pijawki do B... i ściągnie na was, być może, cały garnizon. Żegnajcie raz jeszcze i proszę pamiętać, że gdybyście przybyli kiedy do Anglii jako przyjaciel, chciałbym się z wami zobaczyć.

— Dam znać o sobie bez wątpienia i spodziewam się, że postąpicie tak samo, znalazłszy się w Ameryce.

— Możecie być tego pewni. Będę potrzebował waszych zdumiewających zdolności argumentacyjnych wśród nieokrzesanych mieszkańców puszczy. Żegnam i nie zapominajcie o mnie.

— Nigdy nie zapomnę, mój przyjacielu — odparł Manual podnosząc znów rękę do głowy. Raz jeszcze dwaj dzielni ludzie uścisnęli sobie prawice i powtórzyli obietnicę, po czym rozstali się czule niby Orestes i Pylades.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

O nie, odpowiedzi Stań i daj się poznać!

Hamlet

Podczas wyżej opisanych wypadków „Alacrity”, dowodzona teraz przez szturmana fregaty, Boltrope'a, lawirowała u brzegów w oczekiwaniu zwycięzców. Kierunek wiatru zmienił się pod wieczór z północno-wschodniego na południowy i ostrożny marynarz, który, jak pamiętamy, na radzie wojennej wyraził taką niechęć do wychodzenia na ląd stały, nakazał swym podkomendnym wziąć kurs na brzeg. Gdy sonda wskazywała, że czas zawracać, przechodzono na przeciwny hals i w ten sposób upływały godziny. Szurman długie lata był szyprem na statkach handlowych i jak wiele ludzi jego zawodu i kondycji mniemał, że gburowatość zdobi marynarza, miał przeto w pogardzie kurtuazję i ceremonie przestrzegane ściśle na okrętach wojennych. Do jego obowiązków należało wydawanie zapasów z magazynu, prowadzenie dziennika okrętowego, codzienne inspekcje sprzętu, żagli i olinowania, tak że nie stykał się prawie z młodszymi oficerami, do których należało manewrowanie fregatą. Dlatego też ukształtował się jako typ zupełnie odmienny i przypominał raczej ogładzonego marynarza niż oficera. Gdy okoliczności wymagały, by odbiegł od rutyny codziennego życia, zwykł był się trzymać z tymi, którzy mieli podobne nawyki.

Szczególnym zrządzeniem losu kapelan fregaty znajdował się w podobnej sytuacji jak ów wilk morski.

Pragnienie, by iść z pomocą żeglarzom mogącym zginąć w morskich głębinach, skłoniło tego prostodusznego i niedoświadczonego pastora do przyjęcia stanowiska kapelana okrętowego. Żywił nadzieję, że stanie się instrumentem łaski boskiej i poprowadzi do zbawienia ludzi żyjących w grzechu i zapomnieniu.

Brak miejsca nie pozwala nam szczegółowo wyłuszczać przyczyn, które spowodowały zupełne fiasko jego misji. Nie tylko nie potrafił nic zdziałać, ale ciężko musiał walczyć o zachowanie powagi, jaka przystoi duchownemu. Poczucie klęski tak odbiło się na jego doczesnych, jeśli już nie duchowych aspiracjach, że zadowalał się towarzystwem szorstkiego w obejściu szturmana, który ze względu na wiek bardziej od innych skłonny był do myślenia o własnej duszy. Być może obaj czuli się obcy w swym środowisku, dość że łączyła ich nić sympatii i chętnie z sobą przestawali. Wspomnianego wieczoru Boltrope zaprosił kapelana na „Alacrity”, dodając, że prawdopodobnie bić się będą na brzegu, więc będzie miał robotę przy ekspediowaniu na tamten świat niejednego biedaka. Kapelan przyjął to szczególne zaproszenie powodowany zarówno chęcią przerwania monotonii życia okrętowego, jak może i tajemną tęsknotą do lądu. Kiedy więc pilot wylądował ze swą zawadiacką asystą, szurman i kapelan, jeden z bosmanmatów i garść marynarzy pozostali na kutrze. Pierwsze parę godzin dwaj zacni druhowie spędzili w małej kabinie sam na sam z konwią smakowitego grogu, wiodąc zaciętą dysputę, a nasi czytelnicy mogą tylko żałować, że jej nie przytoczymy. Wiatry pognały jednak kuter ku nieprzyjacielskim brzegom, a wtedy rozważny szurman odłożył spór na sposobniejszą chwilę i zabrał grog na pomost.

— Oto — zawołał poczciwy smoluch stawiając drewnianą konew przy sobie — oto pociecha

marynarza! Czyni się wiele zachodu o nic, pastorze, na fregacie, której nie nazwę, a która lawiruje o jakie trzy mile od nas pod podwójnie zarefowanym grot-top-slem, foksztaksem i kliwrem. Pastorze, pokosztujcie jeszcze mojego grogu, nikt lepiej ode mnie przyrządzić go nie potrafi. Hej, szarpnijcie tam za fały! Od tego napitku oczy się wam zapalą wśród tej nocy jak latarnia morska. Nie chcecie? Szkoda czynić dyshonor angielskiemu rumowi. — Pociągnąwszy potężny łyk dodał: — Jesteście pod tym względem jak nasz pierwszy porucznik, który nie pija, jak mówię, nic innego tylko żywioł, to znaczy wodę morską zaprawioną wiatrem.

— Pan Griffith daje całej załodze zbawienny przykład — odparł kapelan, któremu sumienie wyrzucało nieraz, że to nie on jest tym wzorem.

— Zbawienny przykład! — krzyknął Boltrope. — Pozwólcie sobie powiedzieć, mój zacny pastorze, że skoro nazywacie taki trunek zbawiennym, nie znacie się na słonej wodzie i mgłach morskich. Tak czy owak, pan Griffith jest dobrym żeglarzem i gdyby miał w głowie mniej głupstw i ceremonii, byłby w naszym wieku kompanem wcale do rzeczy. Ale zważcie, pastorze, że ciągle myśli o różnych bagatelkach, jak na przykład o dyscyplinie okrętowej. Oczywiście, trzeba dbać o to, aby liny były prawidłowo ułożone, ach, znów wypuściłeś wiatr, panie! Nie widzisz pan, że sterujesz do Niemiec? Wszystko to piękne, pastorze, ale po co robić tyle rwetesu o to, kiedy marynarz zmieni koszulę. Mniejsza o to, czy w tym tygodniu, czy w następnym, czy na trzeci tydzień. Często diabli mnie biorą, gdy trzeba iść na przegląd, nie żeby mi cokolwiek można było zarzucić, ale żeby mi nie powiedzieli, którą stroną mam żuć tytoń.

— Przyznaję, że i ja uważam tę dyscyplinę za zbyt uciążliwą, a szczególnie gdy się cierpi na morską chorobę.

— Och, widziałem, jak kręciliście nosem przez pierwszy miesiąc rejsu, aż raz kapitan piechoty morskiej wygrażał wam za zbyt spieszne pochowanie zmarłego. Póki trzymały się na was czarne krótkie spodnie do kolan, nie zdawaliście się należeć do załogi. Co do mnie, ilekroć widziałem, jak drapiecie się na trap, bałem się, że połamiecie nogi. Kto by nie wiedział, kim jesteście, wziąłby was za diabła. Ale, dzięki Bogu, te przeklęte spodnie długo nie wytrzymały i magazynier przyodział was tak pięknie, że teraz nie potrafię odróżnić was od marynarza.

— Winienem niebu dzięki za tę zmianę, jeśli rzeczywiście, jak mówicie, istniało to podobieństwo, póki nosiłem strój duchowny.

— Mniejsza o strój — odparł Boltrope pociągnąwszy znów grogu. — Nogi są zawsze nogami, niezależnie od tego, co robią górne kończyny. Miałem zawsze niechęć do krótkich spodni, być może dlatego, że wyobrażałem sobie diabła w tym ubraniu. Wiecie, pastorze, że słysząc o kimś, zawsze próbujemy sobie wyobrazić, jak wygląda i jak jest ubrany, toteż nie przypuszczając, by diabeł chodził nago, wyobrażałem go sobie w krótkich spodniach i trójganiastym kapeluszu. A znam młodych poruczników, którzy w niedzielę wkładają trójganiaste kapelusze, zupełnie jak oficerowie piechoty. Co do mnie, to wolałbym paradować w szlafmocy!

— Słyszą plusk wioseł! — zawołał kapelan, który znajdując ten obraz ojca wszelkich nieprawości żywszym od własnych wyobrażeń, uznał za stosowne zmienić temat rozmowy. — Czy to nie jedna z naszych łodzi?

— Bardzo możliwe. Gdybym ja należał do desantu, dawno by mnie już ciągnęło z powrotem na morze. Hej, wy tam, gotuj się lec w dryf!

Kuter, posłuszny sterowi, stanął pod wiatr i zachybotawszy się w bruździe fal, wykręcił dziobem do skał nadbrzeżnych. Tracił pęd w miarę, jak żagle przeciwstawiano jedno drugiemu, po czym legł w dryf. Podczas tego manewru łódź wychynęła z mroków i zbliżyła się na odległość głosu.

— Łódź, ahój! — rzucił Boltrope przez tubę głosem przypominającym ryk bawołu.

— Tak jest — nadleciała odpowiedź ponad wodami.

— Tak — rzekł Boltrope — to jeden z poruczników, poznaję po głosie. Hej, dajcie gwizdki, bosmanmacie! Ale słyszę drugą łódź. Ahój, na łodzi!

— „Alacrity” — dał się słyszeć głos z innej strony.

— „Alacrity” — powtórzył Boltrope. — Oto i moje dowództwo diabli biorą. Nadpływa ktoś, komu wypadnie je oddać. To pan Griffith. Rad jestem, rad szczerze, że wyrwał się z rąk Anglików, choć zajmuje się takimi głupstwami. Wszystkie łodzie przybiją do kutra jednocześnie. Oto jeszcze jedna. Ahój, łódź!

— Flaga! — odpowiedział trzeci głos z lekkiego czółna nadpływającego wprost od ładu.

— Flaga! — powtórzył Boltrope i ze zdumienia upuścił tubę. — To za wielkie słowo z tak małego czółna. Sam Jack Manly tak by nie powiedział. Zobaczmy, kto mówi tak z góry do łupu amerykańskiej floty wojennej. Łódź, ahój, słyszycie!

Ostatnie słowa zabrzmiały tak groźnie, że wiosłarze w czółnie będącym już zupełnie blisko kutra przestali wiosłować, jakby w, obawie przed czymś gorszym. Przy tym powtórnym wezwaniu z rufy porwała się samotna postać, a spokojny głos odpowiedział:

— Nie, nie.

— „Nie, nie” i „flaga” to odpowiedzi całkiem różne — zrzędził Boltrope. — Cóż to za głupca, mamy w tej łodzi?

Mruczał jeszcze i wyrażał swe niezadowolenie, gdy łódź przybiła powoli do burty i pilot przeszedł z jej rufy na pokład kutra.

— To wy, mości pilocie? — zawołał szturman podnosząc latarnię bojową na stopę od twarzy przybysza i patrząc z bezmyślnym zdumieniem w oblicze, na którym malował się gniew i duma. — Miałem pana za człowieka bardziej doświadczonego; trzeba mieć źle w głowie, by w noc tak ciemną podpływać do okrętu wojennego obracając to admirałskie słowo w gębie, podczas gdy ostatni z ciurów na obydwu naszych statkach wie, że nie nosimy jaskółczego ogona na maszcie! Flaga! Wasze szczęście, że nie było tu żołnierzy, bo pewnie powitaliby was salwą z muszkietów.

Pilot rzucił mu w odpowiedzi piorunujące spojrzenie i odwróciwszy się wzgardliwie, odszedł bez

słowa na rufę. Boltrope popatrzył w ślad za nim pełen politowania, lecz przybycie łodzi wpierw sygnalizowanej, która okazała się barkasem, odwróciło jego uwagę od pilota. Barnstable długo musiał krążyć dokoła kutra, nim go znalazł, a że usiłował być grzeczny dla gości, przybył na „Alacrity” w kwaśnym humorze. Pułkownik Howard i Cecylia — starszy, pan pod wpływem doznanego upokorzenia, panna zaś dotknięta gniewem opiekuna — milczeli jak zakłęci; Katarzyna, choć w skrytości ducha uszczęśliwiona obrotem sprawy i spełnieniem swych planów, dla pozorów udawała smutek. Barnstable kilkakrotnie się do niej zwracał, lecz otrzymywał odpowiedzi zaledwie takie, by się nie mógł obrazić. Całym swym zachowaniem dawała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmawiać. Porucznik skapitulował i w milczeniu pomógł damom przejść na kuter. Zaofiarował ramię również i pułkownikowi, ten jednak zimno podziękował, toteż znalazłszy się na pokładzie, Barnstable wywarł swą złość, na kim popadło.

— Cóż to, Boltrope! — zagrzemiał. — Nie widzicie, że w łodzi są damy, i zostawiacie liny od gafzagli naciągnięte jak struny. Hejże, zluzować fały!

— Tak jest — mruknął szturman — zluzować tam fały! Tak czy owak, nie zrobimy mili w ciągu miesiąca! — Ruszył ciężko na dziób w towarzystwie kapelana, zrzedząc: — Spodziewaliśmy się raczej, że pan Barnstable przywiezie żywego wołu w swej szalupie, a nie podwiki! Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze każą nam przyjąć na okręt, pastorze. I tak roiło się na pokładzie od trójgraniastych kapeluszy i epoletów, a teraz z tymi pannami i ich pakunkami to prawdziwa arka Noego. Dziw, że nie zajechały poszóstną karocą albo dyliżansem.

Barnstable zaczął rzucać rozkazy na prawo i lewo z takim przejęciem, jakby Bóg wie jaką wagę do nich przywiązywał, i to sprawiło mu niezmierną ulgę. Jednak wkrótce zmuszony został usunąć się w cień, gdyż Griffith przyplął szalupą fregaty napchaną szczelnie marynarzami powracającymi z desantu. Łódź po łodzi przybiła w ten sposób do burty i wkrótce wszyscy znaleźli się pod opiekuńczymi skrzydłami amerykańskiej bandery.

Małą kajutę „Alacrity” oddano pułkownikowi Howardowi i pannom z ich służącymi. Łodzie, każda pod pieczę swego sternika, pozostały za rufą na cumie holowniczej. Griffith kazał rozwinąć żagle i wziąć kurs na pełne morze. Przez godzinę „Alacrity” żeglowała tym kursem, ślizgając się powabnie po lśniących falach, wznosząc na wały i osuwając ciężko w gładkie bruzdy, jakby świadoma niezwyklego brzemienia, które sądzono jej było unosić. Później kuter wykręcił jak najbliżej wiatru i legł w dryf, aby w ten sposób oczekiwać świtu, a z nim ukazania się fregaty. Przeszło stu pięćdziesięciu ludzi tłoczyło się na niewielkim pokładzie, który w ciemnościach wyglądał jak zbita masa ludzkich głów.

Pomyślny wynik ekspedycji upoważniał marynarzy do wesołości, więc głośnie żarty i huczny śmiech rozbrzmiewały nad posępnymi wodami do wtóru soczystym przekleństwom i gradowi pogróżek sypiących się pod adresem wroga. Dzban z mocnym grogiem krążył z rąk do rąk. W końcu wszystko przycichło, gdyż wielu marynarzy zeszło pod pokład w poszukiwaniu kąta, gdzie mogliby wyciągnąć utrudzone kości. Czysty męski głos rozbrzmiał nagle nad głębinami jedną z pieśni, w których lubują się marynarze. Podchwyciły ją inne głosy, ale i pieśni umilkły niebawem, jakby zaciążyło im na skrzydłach ołowiane brzemie znużenia. Tu i ówdzie zacytował ktoś wiersz, który się nagle urwał w pół zwrotki. Wkrótce pokład usłany został ludźmi nawykłymi do spoczynku pod gołym niebem. Śnili pewno, kołysani przez obce morze, sny z innej półkuli. Promienne oczy Katarzyny

skryły się pod długimi rzęsami i nawet Cecylia, skłoniwszy głowę na ramieniu kuzynki, spała słodko. Boltrope zeszedł na dół i roztrzając śpiących wyrzucił marynarza z najwygodniejszego legowiska, . obojętny na to, gdzie się poszkodowany podzieje, gdyż od lat inni podobnie jego traktowali. W ten sposób głowa za głową opadała na przypadkowe oparcie z drewna albo ze spiżu, aż tylko Griffith i Barnstable w ponurym milczeniu czuwali u przeciwległych burt rufy. .

Nigdy wachta poranna nie dłużyła się tak oficerom, gdyż w ciągu długich lat nawykli skracać ją sobie szczerą wymianą myśli. Sytuacja tym bardziej była kłopotliwa, że Cecylia i Katarzyna, nie mogąc znieść duchoty w małej i natłoczonej kajucie, wyszły na pokład w czasie, kiedy strudzeni marynarze spali w najlepsze. Stały oparte o małą łódź, rozmawiając półgłosem, urywanymi zdaniami. Czuły, co dzieje się z młodymi ludźmi, unikały więc słowa, gestu, a nawet spojrzenia, które mogłoby zachęcić jednego z nich, by się zbliżył. Ze dwadzieścia razy niecierpliwy Barnstable miał już podejść do swojej ukochanej, za każdym razem jednak powstrzymywało go poczucie winy oraz ten instynktowny szacunek dla starszego ranga, który staje się drugą naturą oficera marynarki. Griffith tymczasem nie chciał skorzystać z okazji zbliżenia się do dam, lecz przebiegał pomost szybszym jeszcze krokiem i rzucał niecierpliwe spojrzenia w stronę, gdzie wkrótce powinna zabłysnąć jutrzienka. Koniec końców Katarzyna z wrodzonym taktem i sporą dozą kokieterii przerwała ciężkie milczenie, zwracając się do narzeczonego kuzynki.

— Jak długo jeszcze będziemy skazane na przebywanie w tak ciasnym pomieszczeniu? — spytała. — Więcej tu widzę ciasnoty niżli swobody, a my, niewiasty, byłyśmy przyzwyczajone do większych wygod.

— Gdy tylko odnajdziemy fregatę — odparł — zostaniecie panie przeniesione ze statku o stu tonach pojemności na dwanaście razy większy. Jeśli i na nim nie będzie paniom tak przestronnie jak w murach Opactwa Św. Ruty, zważcie, że ludzie, którym życie upływa na morzu, szczerą się pogardą dla wygod, z jakich korzysta się na lądzie.

— W każdym razie, sir — odpowiedziała Katarzyna z umiejętnie przybranym wyrazem słodczy — radość z odzyskanej wolności i gościnność marynarzy osłodzi nam wszystko, co nas czeka. Dla mnie, Cecyljo, ten wiatr z pełnego morza jest tak rzeźwy i krzepiący, jakby wiał od naszej dalekiej Ameryki.

— Choć nie silne ramię, to przynajmniej patriotyczną posiada pani wyobraźnię, panno Plowden — zaśmiał się Griffith. — Ta łagodna bryza wieje z moczarów Holandii, a nie z amerykańskich równin. Bogu niech będą dzięki, że już dnieje! Jeśli tylko prądy nie zniosły fregaty na północ, zobaczymy ją w pierwszych blaskach dnia.

Ucieszone tym zapewnieniem kuzynki zwróciły spojrzenia ku wschodowi i olśnionymi oczyma utonęły w widoku wschodzącego nad wodami słońca. Im świt był bliższy, tym gęstsza zalegała na morzu noc, a gwiazdy na niebie jarzyły się i mrugały jak z płynnego ognia. Wreszcie smuga bladego światła ukazała się wzdłuż horyzontu, rozszerzała się, rozlewała z każdą chwilą, aż dało się rozróżnić wełniste chmury tam, gdzie łuk ciemności wisiał nad czarnymi wodami. To rozchodzące się światło, które z początku przypominało srebrzystą szczelinę w niebie, wkrótce zabarwiło się na różowo i przechodziło przez całą gamę odcieni, aż szeroki pas płomienia oddzielił wody od niebios, blednąc ku zenitowi, gdzie rozpuszczał się w perłowym blasku lub igrał bengalskim ogniem na

wędrownych obłokach. Podczas gdy młodzi ludzianapawali się pięknem wschodu, rozbrzmiał nad nimi. głos spływający jak z nieba:

— Żagiel, ahój! Fregata od strony morza, sir!

— Aha, gdybyś nie uciał sobie drzemki, mój chłopcze — odparł Griffith — wołałbyś wcześniej. Panno Plowden, niech pani szuka trochę na północ od miejsca, gdzie ukazuje się słońce, a zobaczy pani nasz piękny okręt.

Mimowolny okrzyk radości wyrwał się Katarzynie, gdy zwróciwszy wzrok we wskazanym kierunku, zobaczyła fregatę. Na rozlewisku morza, które leniwie falowało aż po horyzont, kołysał się miarowo samotny okręt. Miał podniesione tylko dwa dolne żagle, ale jego wielkie maszty, ciężkie reje, a nawet najmniejsze szczegóły olinowania rysowały się na niebie z wyrazistością sztychu. Gdy ogromny kadłub wlatywał na szczycie fali i ukazywał się na tle nieba, można było ocenić wymiary okrętu, ale były to przelotne chwile, bo zaraz potem zjeżdżał w bruzdę, a wówczas maszty chyliły się ku falom, jakby odchodząc w ślad za nim w głębiny. Stopniowo rozpraszał się ów miraż złudnych odległości i bajecznych kolorów, aż wreszcie kadłub okrętu ukazał się zaledwie o milę od kutra, pocięty szachownicą luków działowych, a zwężające się ku górze maszty pojawiły się w naturalnych barwach i proporcjach.

Zaraz po okrzyku: — Żagiel, ahój! — zabrzmiał przeraźliwie gwizd bosmańskiej świstawki. Nim kuzynki zdążyły oderwać się od wspaniałego widoku, już kuter z podniesionymi żaglami mknął ku fregacie. Wnet znaleźli się u wyniosłej burty, aż panny zmrużyły oczy ze strachu przed zderzeniem. Kuter jednak powoli mijał fregatę od zawietrznej, a przez ten czas między Griffithem a jego dowódcą wywiązała się następująca rozmowa:

— Rad jestem z pańskiego powrotu, panie Griffith — zawołał dowódca stojąc przed kajutą i wymachując kordialnie kapeluszem, — Witam, witam pana, kapitanie Manual! Bądźcie pozdrowieni wszyscy moi chłopcy! Czekałem na was niby na bryzę wśród ciszy morskiej! — Kiedy jednak weteran powiódł okiem po pokładzie „Alacrity” i dojrzał dwie drżące postacie niewieście, ciemny rumieniec gniewu zapłonął na jego twarzy i dodał: — A to co, panowie? Czy fregata Kongresu to sala balowa lub kościół, dokąd sprowadza się niewiasty?

— Ho, ho — mruknął Boltrope do swego przyjaciela, kapelana. — Coś mi się widzi, że. nie ujdzie to płazem. Nieskory jest do gniewu, ale za to, kiedy się rozsierzdzi, to prawdziwy huragan. Ciekawym, co też pierwszy porucznik powie w obronie swego babińca.

Na pięknej twarzy Griffitha zapalała łuna, lecz przemógłszy się z widocznym trudem, odparł z goryczą:

— To panu Grayowi podobało się wziąć tych jeńców.

— Panu Grayowi! — powtórzył kapitan i natychmiast się udobruchał. — Przybijcie, sir, tym samym co i my halsem, a zaraz wydam rozkaz spuszczenia trapu dla gości.

Boltrope zauważył zmianę w tonie i zachowaniu dowódcy z wielkim zdumieniem. Potrząsnął

kilkakrotnie głową z miną człowieka, który więcej od innych rozumie, zanim powiedział:

— Otóż, pastorze, niech się wam nie zdaje, że z instrukcjami żeglarskimi w garści potraficie przewidzieć pogodę! Dlatego, że jakiś tam żeglarz, nie, co mówię, jest doskonałym żeglarzem, muszę to przyznać, trudno i darmo! Otóż dlatego, że takiemu pilotowi spodoba się powiedzieć: „Weźcie te niewiasty”, pakują na okręt tyle bab, że człek połowę czasu traci na dobre maniere. A przecież, możecie mi wierzyć na słowo, pastorze, na same tylko zasłony od wiatru wyda się więcej, niżli wynosi roczny żołd marynarza, nie licząc wcale zużycia sprzętu przy skracaniu żagli po to, żeby podwiki nie dostały hysterii od jakiego szkwału!

I Boltrope, na którym ciążyły obowiązki dowódcy kutra, odszedł spiesznie, wskutek czego pastor nie miał okazji zaprotestować przeciw tym oskarżeniom, choć uprzejme i piękne panny prędko przypadły mu do gustu jak i wszystkim marynarzom.

Podczas gdy kuter lawirował dziobem ku fregacie, długi sznur łodzi, holowany za nim przez całą noc, przewoził marynarzy z pokładu na pokład. Z nieokiełznaną wesołością odbywał się ich powrót do zwykłych pomieszczeń, przy czym więzy dyscypliny rozluźniły się cokolwiek. Żarty zmieszane z bogatym repertuarem marynarskich przekleństw przelatywały z łodzi do łodzi. Hałas ucichł jednak wkrótce, a pułkownika Howarda i panny przewieziono z należnymi im względami. Kapitan Munson, Griffith i pilot naradzali się wprawdzie nad czymś, lecz dowódca przyjął gości uprzejmie i oddał im do dyspozycji dwie najwygodniejsze kajuty oraz prosił, by korzystali z mesy oficerskiej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Z furią prze falanga wroga,

Ale choćby z furią bil —

Któż odeprze tysiąc mieczy,

Kiedy krew upływa z żył.

Hiszpańska pieśń wojenna

Czas nie pozwala nam opisywać rozgardiaszu, jaki nastąpił na okręcie, i opowiadań, którymi uczestnicy wyprawy raczyli pozostałych na fregacie towarzyszy. Godzinę niemal ze wszystkich zakamarków dochodziła wrzawa, oficerowie zaś słuchali tej szumnej wesołości w pobłażliwym milczeniu. Wszystko jednak ucichło po śniadaniu, gdy wystawiono poranną wachtę, a większość wolnych od służby marynarzy skorzystała ze sposobności, by odespać trudy ubiegłej nocy. Wciąż jeszcze nie ruszano w dalszą drogę, choć młodszy oficerowie śledzili dowódcę, pierwszego porucznika i tajemniczego pilota zajętych poważną i długotrwałą naradą, od której niewątpliwie zawisły losy fregaty. Pilot wciąż rzucał niespokojne spojrzenie ku wschodowi i bardzo dokładnie badał horyzont przez lunetę, potem zaś przeniósł wzrok na południe, kędy ławica gęstej mgły zasłaniała ocean. Ku północy i ku brzegowi powietrze było przejrzyste, a na morzu ani plamki, na wschodzie jednak z pierwszym blaskiem dnia odkryto biały żagielek, który stopniowo dźwigał się nad fale i przybierał pokaźne rozmiary. Wszyscy oficerowie zebrani na rufie po kolei obserwowali daleki ów żagiel i wypowiadali swe przypuszczenia; nawet Katarzyna, która wraz z kuzynką napawała się rzeźwością poranka na pełnym morzu, ujęła lunetę, by przyjrzeć się temu zjawisku. — To frachtowiec węglowy — rzekł Griffith. — Uciekł na pełne morze podczas ostatniego sztormu, a teraz stara się wrócić na swój kurs. Gdyby wiatr południowy się utrzymał, a frachtowiec nie uciekł w ławicę- mgły, moglibyśmy go dopaść i zaopatrzyć się w paliwo przed ósmym dzwonem.

— Żegluj chybą na północ — odparł pilot w zadumie. — Jeśli temu Dillonowi udało się zaalarmować wybrzeże, musimy się mieć na baczności. Okręty eskorty bałtyckiej floty handlowej znajdują się na Morzu Północnym, a każdy z kutrów przybrzeżnych mógł zanieść im wiadomość o nas. Chciałbym odejść jak najdalej na południe.

— To stracimy pomyslny przypływ! — zawołał Griffith niecierpliwie. — Przecież mamy kuter! Nadto, wchodząc w mgłę, stracimy z oczu nieprzyjaciela, jeśli to istotnie nieprzyjaciel, nie przystoi zaś amerykańskiej fregacie uciekać przed nieznanym wrogiem!

W oczach pilota zapłonęła pogarda, jak promień słońca, który oświeca nagle dno czarnej jaskini i odsłania jej tajniki, ale natychmiast się opanował i już spokojnie powiedział:

— Jeśli pożytek sprawy wymaga zachowania jak najdalej idących środków ostrożności, nawet najdumniejsza z fregat winna ukryć się przed najnędrniejszym wrogiem. Moja rada, kapitanie Munson, by podnieść żagle i wyjść jak najdalej na nawietrzną, jak proponował pan Griffith,

rozkazawszy kutrowi trzymać się bliżej brzegu.

Weteran, który widocznie czekał z wydaniem rozkazów na wskazówki tajemniczego pilota, natychmiast polecił Griffithowi wykonać stosowne manewry. „Alacrity” pod dowództwem młodszego porucznika fregaty ruszyła we wskazanym kierunku: krótkimi halsami podążała na nawietrzną i wkrótce znikła w ławicy mgły. Tymczasem na fregacie stawiano żagle bez pośpiechu, by nie wywoływać na pokład wachty, której należał się spoczynek. Wreszcie w ślad za kutrem poczęła ciężko pruć wody przeciwko słabej bryzie.

Spokój zwykłej służby okrętowej nastąpił po zameście stawiania żagli. Kiedy promienie wstającego słońca poczęły padać bardziej prostopadle na odległy ląd, panny zabawiały przez chwilę Griffitha odgadywaniem zarysów wyniosłości otaczających, jak sądziły, opuszczone Opactwo Św. Ruty. Barnstable objął swe poprzednie stanowisko i jako drugi oficer na fregacie przechadzał się po przeciwległej stronie rufy z tubą pod pachą, co oznaczało, że na razie dowództwo spoczywa w jego ręku. W duchu przeklinał tę funkcję, która przeszkadzała mu podejść do ukochanej. W momencie powszechnego spokoju, kiedy tylko ciche rozmowy mieszały się z pluskiem fal rozcinanych dziobem okrętu, padł nagle wystrzał z działa lekkiego kalibru i od ławicy mgieł prze toczył się z tchnieniem wiatru nad wodami.

— To kuter! — zawołał Griffith.

— Tak — odrzekł kapitan. — Somers nie kazałby palić na wiatr, szczególnie wobec mojej wyraźnej przestrogi.

— Nie chciał wiwatować — wtrącił pilot wyteżając wzrok, by przebić zasłonę mgły. — To był z pewnością sygnał alarmowy! Czy pański wartownik nic nie spostrzegł, panie Barnstable?

Oficer wachtowy zapytał bocianie gniazdo, czy nic nie widać w kierunku wiatru, i usłyszał w odpowiedzi, że mgła zasłania wszystko. W tej stronie, ale że żagiel na wschodzie to okręt żeglujący pod pełnym wiatrem. Pilot potrząsnął głową z niedowierzaniem. Odszedł znowu na stronę z kapitanem Munsonem, a podczas gdy się naradzali, rozległ się drugi strzał, nie pozostawiając tym razem wątpliwości, że „Alacrity” pali na alarm.

— Być może — rzekł Griffith — chce pokazać, gdzie jest, i poznać naszą pozycję, bo zagubił się we mgle.

— Ma kompasy! — odparł kapitan. — Somers wie, co robi.

— Patrzcie! — zawołała Katarzyna z zachwytem. — Patrz, kuzynko, patrz, Barnstable! Jak pięknie mgła wije się i układa w chmury nad zamglonym horyzontem! Sięga już nieba na kształt wysokiej piramidy.

Barnstable skoczył na działo.

— Piramida mgły! Chmura nad horyzontem! — powtórzył. — O nieba! to wielki okręt! Niesie wszystkie górne żagle. Ależ on jest mniej niż o milę od nas i pędzi pełnym wiatrem! Teraz wiemy, o

czym mówił Somers!

— Tak! — odkrzyknął Griffith. — A oto „Alacrity” wypada z mgły i bierze kurs na ląd.

— Musi mieć potężny kadłub pod tą górą żagli, kapitanie Munson — ozwał się rzeczowo pilot. — Czas, panowie, zboczyć na zawietrzną. — Co, nie wiedząc nawet, przed kim uciekamy! — zaperzył się Griffith. — Ręczę, że nie ma okrętu w całej flocie króla Jerzego, który...

Jednak gdy roziskrzony wzrok młodego zapaleńca- skrzyżował się z zimnym i surowym wzrokiem pilota, oficer urwał wpół zdania.

— Oko, które dojrzało żagle ponad mgłą, mogło rozeznać również flagę wiceadmiralską na szczycie masztu — odparł pilot. — Anglia zaś zna wartość swoich sług i nie powierzy kapitanowi dowództwa flotą, jak wiceadmirala nie przemieni w dowódcę fregaty. Wierście mi, kapitanie, ta góra żagli i ów symbol znamionują co najmniej okręt liniowy!

— Zobaczymy, sir, zobaczymy — odpowiedział weteran, który nabierał pewności siebie, w miarę jak niebezpieczeństwo wzrastało. — Werbel na alarm, panie Griffith, gdyż tylko nieprzyjaciół możemy oczekiwać u tych wybrzeży.

Padły stosowne rozkazy, po czym Griffith zauważył już bardziej powściągliwie:

— Jeśli pan Gray ma rację, wypadnie nam dziękować Bogu, iż fregata jest tak lekka i niedościgła!

Ledwie rzucono okrzyk: — Obcy statek u burty! — cała fregata zawrzała życiem. Marynarze, zeskoczywszy na równe nogi z hamaków, w mig zwinęli je w węzłki, wypadli na pokłady i rozmieścili się w doskonałym ordynku na olinowaniu. Przez ten czas Merry poprowadził na znak Griffitha swe drżące kuzynki w ukrycie.

Działa przygotowano do strzału, zdjęto przegrody na pokładzie działowym, a z kabin powyrzucano meble. Pokład działowy ukazał szereg obłych spiżów w szyku przepisany, dla okrętowej baterii gotowej do otworzenia ognia. Jaszczce rozwarto, a wszędzie rozrzucono sterty różnej broni abordażowej, zarówno białej, jak palnej. W mgnieniu oka zawirowały reje. Wszystko działo się jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, prędko, sprawnie i zręcznie, choć laikowi mogło się wydawać, że podczas przygotowań do boju panował rozgardiasz. W parę minut cała ta wieża Babel ucichła i umilkły nawet głosy marynarzy odpowiadających ze swych stanowisk oficerom. Stopniowo zapanowała grobowa cisza; nawet Griffith i jego dowódca, jeśli uznali za stosowne się odezwać, mówili ciszej i spokojniej niż zwykle. Kurs fregaty został zmieniony w stosunku do kursu nieprzyjaciela, jakkolwiek pozorów ucieczki starano się uniknąć. Oczy całej załogi zwróciły się teraz ku chmurze białych żagli, która wyłaniała się z mgły, mknąc szybko na północ. Raptem długie pasmo mgły zostało przerwane, a z mroku wyłonił się bukszpryt i omasztowanie z olbrzymimi żaglami. Smugi mgły czepiały się jeszcze rej i masztów i kładły za nadlatującą piramidą, lecz w następnej chwili i one się rozwiały, a wielki czarny kadłub ukazał się w całej grozie.

— Jeden, dwa, trzy rzędy kłów! — zawołał Boltrope licząc piętra paszcz armatnich, które załśniły wzdłuż burt nieprzyjacielskiego okrętu. — Trójpokładowiec! Na Boga, Jack Manly pokazałby rufę

takiemu rekinowi! Ba, nawet Krwawy Szkot dałby nogą!

— Na burtę, sterniku! — krzyknął kapitan Munson. — Nie ma chwili do stracenia. Wszyscy na pokład, panie Griffith, i podnieść tyle żagli, ile się da. Żywo, sir, żywo! Na burtę ster! Mocno na burtę!

Ton niezwyklej powagi w ustach weterana podziałał na załogę niby głos ostrzeżenia z głębi morskiej i nim zdążyły zabrzmieć sygnały bosmańskich gwizdków i werble, kto żyw drapał się na maszty i pomagał stawiać żagle. Po chwili pozornego zamętu olbrzymie płachty rozwinęły się, rzucając głęboki cień na wody po obu burtach. Cały okręt zamarł w oczekiwaniu na wiatr. Nagle bryza, co przyniosła trójpokładowiec, wydeła żagle fregaty, która skoczyła w przód i zaczęła zyskiwać przewagę nad groźnym przeciwnikiem.

— Mgły się podnoszą! — zawołał Griffith. — Dajcie nam wiatr przez godzinę, a ujdziemy im z pola obstrzału!

— Te dziewięćdziesięciodziałowce są szybkie i przy lawirowaniu — zauważył kapitan półgłosem, by tylko pilot i pierwszy oficer mogli go usłyszeć — nie unikniemy walki.

Pilot omiół błyskawicznym spojrzeniem nieprzyjacielski okręt i odparł:

— Już widzą, że przewyższamy ich szybkością! Gotują się i będziemy mieli szczęście, jeśli unikniemy salwy całą burtą! Każ pan ruszyć sterem odrobinę, panie Griffith. Gdyby nas trafili, po nas!

Kapitan z młodzieńczą sprężystością skoczył na małą łódź i przekonał się natychmiast o prawdzie słów pilota.

Przez kilka minut oba okręty żeglowały obserwując się wzajemnie jak dobrzy szermierze. Trójpokładowiec kilka razy odchylił się od swego kursu, potem zaś nagły zwrot jego dzioba uprzedził Amerykanów, z której burty mają go oczekiwać. Kapitan Munson zdecydowanym gestem pokazał Griffithowi, w którą stronę zwrócić fregatę, aby uniknęła niebezpieczeństwa. Obydwa okręty wykręciły jednocześnie dziobami w stronę lądu, a wtedy olbrzymia czarna burta trójpokładowca, posiekana lukami trzech kondygnacji dział, zionęła potopem ognia i dymu, którym towarzyszył grzmot przerywający ciszę uśpionego oceanu. Nie było na fregacie człowieka, który by nie drgnął, kiedy huragan żelaza przelatywał nad nimi, i wszyscy wybiegli zdumionym wzrokiem w kierunku, w którym odleciał. Ale głos kapitana Munsona przebił się przez piekielny łoskot. Powiewając kapeluszem w pożądanym kierunku, weteran krzyczał:

— Zwrócić! Zwróć sterem, chłopcze! Zwróć okręt, panie Griffith, zwróć!

Griffith przewidział ten manewr, gdyż już wydał rozkaz powrotu na poprzedni kurs, lecz słysząc niesamowity krzyk kapitana obejrzał się i zobaczył starego marynarza w chwili, gdy z rozwianym siwym włosiem i dziko rozszerzonymi oczyma przelatywał nad burtą.

— Wielki Boże! — krzyknął młody człowiek i podbiegł do burty tak szybko, że zdążył jeszcze

sposzrzec martwe i okrwawione ciało dowódcy lejące w głębinę. — Trafiony! Hej, spuścić lódź, spuszczać jolkę, barkas, „Tygrysa”...

— Daremnie — przerwał mu niski, spokojny głos pilota. — Zginął śmiercią bohatera i spoczął w marynarskim grobie. — Fregata nabiera szybkości płynąc z wiatrem, a nieprzyjaciel pozostaje w tyle.

Pod wpływem tych słów porucznik ocknął się z osłupienia i oderwał wzrok od krwawej plamy na morzu, którą fregata dawno już minęła.

— Mamy uszkodzone olinowanie — rzekł szturman błędząc wzrokiem po masztach — a z grotmasztu odbiło długą szczapę. Światło dzienne przegląda przez niektóre żagle, ale na ogół biorąc, salwa chybiona. Czy mnie słuch myli, czy też kapitan Munson rzeczywiście padł od kuli?

— Zabity! — jęknął Griffith głosem ochryplym ze zgrozy. — Został zabity, sir, i zniesiony za burłę.

— Nie żyje! — rzekł Boltrope i na chwilę przestał żuć tytoń. — Pogrzebany w morzu! Ba, mogło być gorzej. Niech mnie diabli porwą, jeśli nie myślał, że podziurawi nas jak sito!

Z tą pocieszającą uwagą na ustach szturman oddalił się, by wydać nowe rozkazy odnośnie naprawiania szkód.

Griffith nie odzyskał jeszcze zimnej krwi, której wymagała powaga sytuacji i niespodziewana odpowiedzialność, gdy ktoś ujął go za ramię. Był to pilot.

— Nieprzyjaciel nie zdaje się gotować do nowej salwy — rzekł tajemniczy przewodnik — a ponieważ fregata jest ściągająca, z każdą chwilą rosną nasze szanse.

— A jednak widząc, jak prędko my uciekamy — odparł Griffith — musi rozumieć, że cała jego nadzieja leży w uszkodzeniu nam żagli. Obawiam się, że znów dokona zwrotu i odda salwę z całej burty. Potrzeba by nam było kwadrans na wyjście z pola jego obstrzału, gdyby stał na kotwicy!

— Prowadzi pewniejszą grę. Widzi pan na wschodnim horyzoncie ów żagiel, spod którego wylania się kadłub fregaty. Nie ulega wątpliwości, że to okręty jednej eskadry i że admirał angielski zarzucił szeroką sieć na naszym kursie, a teraz ją ściąga.

Podczas wyścigu Griffith nie mógł pozwolić sobie na obserwacje, lecz teraz wziął lunetę z rąk pilota i począł przyglądać się manewrom wrogich okrętów. Admirał nieprzyjacielskiej floty musiał rzeczywiście rozumować w sposób wskazany przez pilota. Okręt flagowy pozostawał w tyle, aby uniemożliwić Amerykaninowi ucieczkę na pełne morze. Ku zachodowi ciągnął się brzeg, wzdłuż którego pomykała „Alacrity”, trzymając się jednocześnie na trawersie swej fregaty i z dala od nieprzyjaciela. Nieco w przodzie, z prawej strony amerykańskiej fregaty, płynął statek najwcześniej dostrzeżony, który obecnie zaczynał przybierać kształty okrętu wojennego i zbliżać się szybko w kierunku przecinającym kurs Amerykanom. Tymczasem daleko na północnym wschodzie widniał okręt mały jak plamka, ale manewrujący zgodnie z zasadami taktyki morskiej.

— Jesteśmy rzeczywiście w obierzy — rzekł Griffith i odjął szkła od oczu. — Nie wiem, czy nie byłoby najlepiej podejść do lądu. Może uda nam się przemknąć między nim a okrętem flagowym.

— Nie uda się, gdyż nie zostawi na nas strzępa żagli! — odparł pilot. — To płonne nadzieje. Ogołoci nas ze wszystkiego w dziesięć minut. Gdyby nie szczęśliwy ześlizg w bruzdę fali w momencie salwy, los nasz nie byłby teraz do pozazdroszczenia. Musimy uciekać i zostawić trójkładowiec jak najdalej za sobą.,

— A fregaty! — zaproponował Griffith. — Co zrobimy z fregatami?

— Będziemy z nimi walczyć! — odpowiedział pilot dźwięcznym, stanowczym głosem. — Tak, staniemy do walki! W większych potrzebach, młodzińcze, nosiłem pasy i gwiazdy naszego sztandaru, a zawsze wychodziłem z honorem. I tym razem nie opuści mnie chyba szczęśliwa gwiazda!

— Będziemy walczyć co najmniej godzinę!

— To pewna, alem przeżył już całe dni rozlewu krwi! Sami nie należycie do tych, którzy bledną na widok nieprzyjaciela.

— Pozwólcie obwieścić wasze imię załodze! — rzekł Griffith. — Nowy duch wstąpi w ludzi.

— Im tego nie trzeba — odparł pilot powstrzymując gestem ręki zapalczego młodzińca. — Chcę pozostać nieznanym, skoro nie mogę objawić swego imienia, jak bym pragnął. Będę dzielił z wami niebezpieczeństwo, ale nie chcę pozbawić was słusznego tytułu do sławy. Gdyby doszło do abordażu — dodał z uśmiechem — rzucę moje imię jak hasło, a na jego dźwięk strach ogarnie Anglików.

Griffith zastosował się do woli tajemniczego dowódcy wyprawy i dopiero po naradzie zajął się okrętem. Pierwszą osobą, którą ujrzał odwróciwszy się od pilota, był pułkownik Howard. Starzec przechadzał się po rufie z miną wyniosłą i błyszczącym okiem, jakby w oczekiwaniu bliskiego a pewnego triumfu.

— Obawiam się, sir — rzekł młody człowiek zbliżając się do niego z szacunkiem — iż wkrótce pobyt na pokładzie stanie się przykry i niebezpieczny. Pańskie pupilki są...

— Nie używaj pan tych słów niegodnych! — przerwał pułkownik. — Nic nie mogłoby mnie bardziej rozradować niż oddychanie atmosferą lojalności wiejącej od tego królewskiego bastionu! A co się tyczy niebezpieczeństwa, to źle znasz, młodzińcze, starego Jerzego Howarda, jeśli mniemasz, że wyrzekłbym się widoku flagi rebelianckiej ściąganej na znak poddania się siłom naszego władcy.

— Życzenia pańskie, pułkowniku Howard — odrzekł Griffith zagryzając usta i wodząc okiem po słuchających ze zdziwieniem marynarzach — spełzną na niczym. Gdyby jednak taka chwila nadeszła, to ręczę słowem, panu poruczono by dokonać tego haniebnego czynu.

— A czemuż nie teraz? Oto chwila próby. Poddaj się, ufając w łaskę królewską, i przekaz dowództwo nad załogą. Wówczas nie zapomnę, żeś synem przyjaciela mego brata, Harry'ego, a wierzę, iż dobrze notowany jestem u rządu. A wy, otumanieni i nieświadomi rebelianci, rzućcie bezużyteczną broń, albo dosięgnie was zemsta owej potężnej i zwycięskiej floty w służbie monarchy!

— Odstąpić! Odstąpić, marynarze! — krzyknął Griffith na ludzi gromadzących się koło pułkownika i patrzących na starca spode łba. — Jeśli który waży się go tknąć, wyleci za burzę!

Marynarze cofnęli się na rozkaz dowódcy, lecz podniesiony na duchu weteran długo jeszcze krążył po pokładzie, aż w końcu ważniejsze sprawy odwróciły w inną stronę gniewne spojrzenia załogi.

Mimo że okręt angielski powoli zapadał się pod linię horyzontu i w mniej niż godzinę od czasu salwy już tylko górny jego pokład był widoczny, stanowił przeszkodę uniemożliwiającą ucieczkę na południe. Z drugiej strony, okręt zauważony najwcześniej zbliżył się tak dalece, że widać go było gołym okiem. Okazał się fregatą, o tyle wszakże lżejszą od amerykańskiej, iż zdobycie jej byłoby stosunkowo łatwe, gdyby dwa inne angielskie okręty nie nadciągały z taką szybkością na pole bitwy. Pogoń, rozpoczęta mniej więcej na wysokości Opactwa Św. Ruty, zdążyła ku skrajowi tych samych mielizn, których opisem rozpoczęliśmy powieść. Kiedy amerykańska fregata znalazła się na tych wodach, najmniejszy okręt angielski zbliżył się tak bardzo, że , bój stał się nieunikniony. Tymczasem Griffith i jego ludzie nie próżnowali i na alarm fregata wystąpiła ogołocona ze zbytecznych żagli jak siłacz, który występując na arenę cyrku zrzuca niewygodne szaty. Na ten widok angielska fregata zwinęła lżejsze żagle, co znaczyło, że przyjmuje wyzwanie.

— Jest mała — odezwał się Griffith do pilota śledzącego go z ojcowską życzliwością — lecz poczyna sobie z fantazją.

— Musimy zgnieść tę łupinę za jednym zamachem — odparł pilot. — Nie możemy oddać ani jednego strzału, póki nie staniemy burta w burzę.

— Widzę, że już naprowadza na nas swe dwunastofuntówki. Zaraz rozpocznie ogień.

— Przeszedłszy przez ogień dziewięćdziesięciodziałowego okrętu — zauważył spokojnie pilot — nie złękniemy się salwy z trzydziestu dwóch dział.

— Kanonierzy do dział! — krzyknął Griffith przez tubę — ale wstrzymać się z ogniem, póki nie dam rozkazu!

Ostrzeżenie było konieczne, by pohamować zapał marynarzy, gdyż ledwie padły te słowa, nieprzyjaciel począł pluć ogniem i żelazem. Przez dziesięć minut, w ciągu których fregaty zbliżały się do siebie, Amerykanie, powstrzymywani rozkazem dowódcy, musieli znosić ogień przeciwnika. Śmiertelna cisza panowała na okręcie. Nawet umierający i ranni, którzy padali gęsto, tłumili jęki. Oficerowie, gdy musieli dać rozkaz, odzywali się półgłosem. Wreszcie okręt wpłynął w krąg dymu spowijający nieprzyjaciela, a Griffith usłyszał z ust pilota ciche: „Teraz”.

— Pal! — ryknął dowódca piorunującym głosem.

Od krzyku marynarzy okręt zdawał się pękać, a od ruchu ciężkokalibrowej artylerii zatrzęsł się jak liść osiki, gdyż kanonierzy zlekceważywszy porządek, jednocześnie przytknęli lonty do zapałów, sprawiając, iż burta fregaty buchnęła jednym ogromnym płomieniem. Rezultat salwy był dla nieprzyjaciela straszliwy. Śmiertelną ciszę, która nastąpiła po ryku, mąciły tylko klątwy i wrzaski rannych. Podczas gdy Amerykanie nabijali działa, Anglicy zaś próbowali sprawić szyk bojowy, okręt

brytyjski minął powoli fregatę i niespodziewanie, zważywszy na przewagę liczebną Amerykanów, ruszył do starcia. Fregaty szepiły się bosakami. Anglicy tak nagle rzucili się na abordaż, że Griffith omal nie został zaskoczony manewrem wroga. Na szczęście Manual, którego piechurzy zdążyli już po ogólnej salwie nabić muszkiety, dał rozkaz powitania szturmujących ogniem. Nawet pilot wymienił z Griffithem uśmiech okrutnej satysfakcji, gdyż obaj zrozumieli, że przewaga jest po ich stronie.

— Związać ich bukszpryt z naszym bezanmasztem — krzyknął porucznik — a w mig zmieciemy te angielskie szczury!

Dwudziestu ludzi skoczyło na dziób, by wykonać rozkaz, a między nimi znalazł się Boltrope i pilot.

— Teraz jest nasz! — krzyknął zaaferowany sternik. — Jest naszą własnością, zrobimy z nim więc, co się nam będzie podobało. Na Boga!

— Milcz, grubianinie! — ozwał się pilot tonem uroczystej nagany. — Za chwilę możesz stanąć przed obliczem Boga. Nie bluźnij wzywając straszliwego imienia nadaremnie.

Nim Boltrope skoczył na pokład fregaty, ze zdumieniem spojrzął na człowieka, który z zimną krwią, lecz pałającymi oczyma śledził szalejący wokół bój i obserwował przebieg walki, jakby odpowiedzialny za jej wynik.

Na widok Anglików biegnących na abordaż z mściwym okrzykiem, krew zagrała w żyłach pułkownika Howarda, który podbiegł do burty i zarówno gestami, jak słowy zachęcał wroga do ataku.

— Precz stąd, stary kuku! — wrzasnął sternik chwyciwszy pułkownika za kołnierz. — Właż do ładowni, bo każą cię wystrzelić z armaty!

— Poddaj się, psie rebeliancki! — krzyknął pułkownik, który stracił panowanie nad sobą w ferworze bitewnym. — Padnij na twarz i błagaj monarchę o zmiłowanie!

Ogarnięty szalem starzec zwał się z muskularnym przeciwnikiem, wynik jednak tej walki przesądziły Anglicy, którzy odegnań ogniem muszkietowym i widokiem abordażników Griffitha, próbowali wyrzucić na Amerykanów działa. Z jednego tylko zdołali wypalić, lecz było ono nabite siekańcami i sypnęło nimi wprost w twarze zapaśników. Pułkownik, który ugiął się pod naciskiem silniejszego niż on Boltrope'a, poczuł, że ramię opasujące go słabnie i obaj osunęli się na kolana, jeden naprzeciw drugiego.

— I jak, wlepili ci, bratku! — zawołał Boltrope z szubienicznym humorem. — Dostało się trochę śrutu w żarna twego młyna, co?

Ale odpowiedzi nie otrzymał, gdyż padli na pokład i leżeli bezradni wśród łoskotu i wiru bitwy.

Kiedy zacięty bój wrzał na pokładach, żywioły czyniły dalej

swoje pod działaniem fal i bryzy amerykańska fregata napierała coraz mocniej na dziób angielskiego okrętu. Liny konopne i łańcuchy pękały jak słabe włókno i Griffith ujrzał, że okręt jego

znosi daleko od Anglika. Bukszpryt wrogiej fregaty wyrwany został wraz z całym osprzętem i na pokładzie jej pozostały tylko tu i ówdzie strzępy lin. Podczas gdy zwycięski statek Griffitha pozostawiał za sobą nieszczęsne szczątki i wypływał z koliska dymu prochowego, młody dowódca wyteżał wzrok usiłując dostrzec sylwetki pozostałych wrogów.

— Pozbyliśmy się trzydziestodwudziałowej fregaty! — rzekł do pilota również badającego horyzont — ale tu mamy jej towarzyszkę. Okazuje tyle samo luf co i my i zdradza chęć zawarcia z nami bliższej znajomości, Poza tym kadłub trójpokładowca znów się podnosi i obawiam się, że przyplynie tu prędzej, niżli byśmy pragnęli!

— Wypadnie nam manewrować brasami i żaglami — odparł pilot — by za wszelką cenę uniknąć starcia.

— Ba, skraca już żagle i zbliża się tak prędko, że każdej chwili może spaść nam na kark. Co radzicie czynić, sir? .

— Pozwólmy mu skrócić żagle — odpowiedział pilot — a kiedy uzna się za gotowego do boju, możemy rzucić setkę ludzi na reje i rozpiąć tyle żagli, ile się da; przez to zniecka wyprzedzimy wroga. Wówczas nie wątpię, że całą eskadrę zostawimy za sobą.

— Pogoń jest zawsze najdłuższa — zawołał Griffith. — Hej, uprzątnijcie pokłady! Rannych znieść do wnętrza, a zabici, niestety, muszą natychmiast pójść za burzę!

Spełniono smutny ten obowiązek, a Griffith wrócił na posterunek, czując całe brzemie odpowiedzialności złożonej na jego barki. Mimo to usłyszał głos Barnstable'a nawołujący niecierpliwie młodego Merry'ego. Nachyliwszy się nad głównym lukiem zobaczył przyjaciela z twarzą czarną od dymu, bez kurty, w koszuli zbryzganej krwią.

— Słuchaj, chłopcze — wołał — czy pan Griffith nie jest ranny? Mówią, że strzał działa skierowanego na rufę dosięgnął wielu naszych.

Nim Merry zdążył odpowiedzieć, Barnstable, rozglądając się instynktownie po omasztowaniu i żaglach, spostrzegł wzruszonego Griffitha i od tej chwili zapanowała między nimi idealna harmonia.

— Ach, tuś mi, Griff, i jak widzę, z całą skórą — wykrzyknął uśmiechnięty radośnie Barnstable. — Znieśli właśnie biednego Boltrope'a do jednego z jego magazynów! Gdyby bukszpryt Anglika wytrzymał z dziesięć minut dłużej, dałbym się im we znaki!

— Może i lepiej tak, jak się stało — odpowiedział Griffith — ale coś zrobił z tymi, które obowiązani jesteśmy chronić?

Barnstable wskazał w głąb okrętu ze słowy:

— We wnętrzu są najbezpieczniejsze, chociaż Katarzynę trzy razy trzeba było odciągać od...

Griffith usłyszał głos pilota i musiał spieszyc na jego wezwanie, zapominając o swych uczuciach.

Okręt, któremu z kolei amerykańska fregata powinna stawić czoło, był mniej więcej równy jej rozmiarami i liczebnością załogi. Objąwszy go szybkim spojrzeniem, Griffith przekonał się, że przygotowania do boju zostały już ukończone.

Żagle Anglika stopniowo zwinięto, a z pewnych ruchów na jego pokładach pilot i Griffith wywnioskowali, że wróg czeka tylko, by się zbliżyć i wejść w zwarcie.

— Teraz rozwiniemy wszystkie żagle — szepnął dowódca wyprawy.

Griffith przytknął tubę do ust. Głos jego był tak potężny, że doszedł nawet do nieprzyjaciela. — Wszyscy na reje! — wydał rozkaz. — Stawiać żagle!

Odpowiedzią na to wezwanie był powszechny ruch. Pięćdziesięciu ludzi mknęło wzwyż na określone stanowiska na rejach i wnet ogromne płachty żagli rozwinęły się z szybkością taką, jakby olbrzymi ptak rozwinął skrzydła. Anglik spostrzegł swój błąd i odpowiedział grzotem dział. Pociski gwizdały nad jego głową, lecz Griffith śledził z natężeniem skutki tej salwy i dopiero przekonawszy się, że maszty zostały nietknięte, a zerwało tylko parę drugorzędnych lin, dał wyraz swej radości. Kilku ludzi zawisło wszakże w górze i czepiając się rozpaczliwie, osuwało się z liny na linę jak ranne ptaki z drzewa, aż wreszcie jeden za drugim pospadali w ocean, a okręt minął ich z zimną obojętnością. W następnej chwili omasztowanie nieprzyjaciela zaroilo się od ludzi, Griffith zaś przytknął do ust tubę i zawołał donośnym głosem:

— Ognia! Zegnać ich z rej, chłopcy! Zadajcie im bobu!!

Tej zachęty załodze nie trzeba było powtarzać i słowa komendy pokrył grzot dział fregaty. Pilot jednakże nie docenił sprawności i gotowości nieprzyjaciół, którzy mimo niesprzyjających warunków stawiali żagle szybko i zręcznie.

Dłuższy czas oba okręty żeglowały równolegle, zasypując się pociskami, które wyrządzały wielkie straty, a żadnej ze stron nie przynosiły wyraźnej korzyści. Griffith i pilot byli coraz bardziej zaniepokojeni tym obrotem rzeczy, gdyż z każdym celnym strzałem, w miarę jak nieprzyjaciel zrywał im żagle, fregata traciła na szybkości.

— Trafiliśmy na godnego przeciwnika— rzekł Griffith do pilota. — Trójpokładowiec piętrzy się znów za nami na kształt góry i jeśli będziemy ponosili dalej takie straty w żaglach, dogoni nas wkrótce!

— Macie rację, sir — odparł pilot z namysłem. — Nie byle jaki to przeciwnik, ale...

Przerwał mu Merry nadbiegając od dzioba. Na jego młodocianej twarzy malowało się wyraźnie, że przybywa z ważną wieścią.

— Mielizny! — krzyknął zbliżywszy się dostatecznie, by można go było dosłyszeć. — Pędzimy wprost na nie i morze jest w pianach nie dalej niż o dwieście jardów.

Pilot jednym susem znalazł się na najbliższym dziale i wychylony, by dym nie zasłaniał mu widoku, krzyknął swym dźwięcznym, przejmującym głosem, który słychać było nawet wśród huku armat:

— Ster w lewo na burtę! Jesteśmy u Diabiego Szponu! Podajcie mi tubę, sir! Hej tam, połóżcie ster na lewo, sterniku! Zostawimy Diabli Szpon za nami, zostawimy go dla tych pysznych angielskich psów!

Griffith bez wahania oddał pilotowi symbol swej władzy, a widok jego spokojnej i zdecydowanej twarzy napełnił młodzieńca otuchą. Marynarze byli zbyt zajęci ogniem działowym i żaglami, by zważać na nowe niebezpieczeństwo, toteż fregata wpłynęła w wąską cieśninę w zamęcie bojowym. Zaledwie kilku starszych żeglarzy spostrzegło ze zdumieniem bryzgi pian przelatujące u burt, lecz zanim osądzili, czy przypisać je pociskom nieprzyjaciela, czy czemu innemu, huk dział Anglika ustąpił miejsca pomrukowi fal. Jeszcze chwila i fregata wychynęła z dymów prochowych i zapuściła się zuchwale w labirynt mielizn. Przez dziesięć minut zapierającego dech w piersi napięcia pilot nie przestawał rzucać rozkazu za rozkazem, a fregata mijała błyskawicznie piany, płycizny i ciemne szlaki głębokiej wody, aż wreszcie tajemniczy przewodnik cisnął tubę i zawołał:

— Co zagrażało zgubą, stało się naszym wybawieniem! Trzymajcie to zalesione wzgórze o jeden rumb od podstawy wieży kościelnej i sterujcie na północny wschód. Tym kursem minimy mielizny w ciągu godziny i zyskamy pięć mil w stosunku do nieprzyjaciela, który będzie je musiał okrążyć. Zeskoczywszy z działa przybrał wyraz zwykłej obojętności i zimnej krwi, które cechowały jego zachowanie. Oficerowie, ledwo minęło największe niebezpieczeństwo, pobiegli tam, skąd otwierał się widok na statki nieprzyjacielskie. Okręt liniowy w dalszym ciągu parł naprzód i podpływał właśnie do trzydziestodwudziałowej fregaty, a właściwie jej szczątków. Fregata, z którą wiedli ostatni bój, szła wzdłuż mielizn z porwanymi żaglami i połamanym omasztowaniem. Posypały się drwiny pod adresem wroga, jak również powinszowania, ale trwały niedługo, gdyż trzeba było zabrać się do porządkowania i napraw na własnym okręcie. Odbębiono na spoczniej, działa zabezpieczono, rannych zebrano i kto żyw spieszył na pokład.

Po upływie godziny, zgodnie z zapowiedzią pilota, fregata znalazła się poza obrębem mielizn, wśród których zresztą przy świetle dziennym o wiele łatwiej było sterować. Kiedy zaś słońce poczęło chylić się ku zachodowi, Griffith skonstatował, iż okręt jego został doprowadzony do porządku i znów może stawić czoło wrogowi.

W tym czasie wezwał go do kajuty kapelan. Powierzając fregatę Barnstable'owi, który był mu prawą ręką zarówno w boju, jak i później, przebrał się spiesźnie i stanął na nagłace i uroczyste wezwanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Dokąd wśród chłodnych ros,

Kiedy się niebo żagwi złotą odwieczerzą,

Przez różowe powietrze prowadzi cię los

Samotną ścieżką?

Bryant

Zmierzając do kajuty młody marynarz, który pełnił obecnie funkcje dowódcy fregaty, zeszedł z pokładu rufowego na pokład działowy. Wszędzie panował już porządek, jakby nie zaszło nic niezwykłego. Na pokładzie działowym zmyto ohydne plamy, a dym prochowy uszedł przez luki i zmieszał się z chmurami. Griffith mijał milczące baterie i odruchowo zwracał uwagę na potrzaskane burty i ślady wyryte przez nieprzyjacielskie pociski. Gdy zapukał cicho do drzwi kajuty, miał już jasny obraz szkód poniesionych przez fregatę. Drzwi otworzył chirurg okrętowy i dając mu przejść, pokręcił głową w sposób, jakim lekarze zwykli oznajmiać, że stan chorego jest beznadziejny. Chirurg zresztą opuścił wnet kajutę i pospieszył do potrzebujących jego pomocy.

Niechaj czytelnik nie wyobraża sobie, iż Griffith zapomniał o Cecylii i Katarzynie wśród wydarzeń dnia. Przeciwnie, wyobrażał sobie ich strach i rozpacz nawet w najgorętszych chwilach. Gdy odwołano kanonierów od dział, polecił ustawić grodzie kajutowe i zapewnić paniom wygody, choć ważniejsze sprawy i troski nie pozwoliły mu zająć się tym osobiście. Spodziewał się przeto zastać kajutę uporządkowaną, lecz nie był przygotowany na rozgrywającą się tam scenę.

Między dwoma groźnymi działami, kontrastującymi tak osobliwie z komfortowym urządzeniem kabiny, ustawiono łoże. Leżał na nim pułkownik, najwidoczniej umierający, a przy stryju klęczała Cecylia. Ciemne, faliste jej włosy, okalające bladą twarz, spływały aż na pokład, na którym klęczała. Katarzyna stała pochylona czule nad pułkownikiem, a w jej mokrych od łez oczach dało się wyczytać wyrzuty sumienia i współczucie. Tę tragiczną grupę otaczało kilka osób płci obojga, należących do służby, a wszyscy zdawali się być pod wrażeniem wydanego przed chwilą wyroku lekarza. Stewardzi troskliwie ustawili dawne sprzęty na miejsce, toteż nie rzucały się w oczy szkody wyrządzone bitwą. Na przeciwległej kanapie spoczywała masywna postać Boltrope'a. Głowę wsparł na piersi kapitańskiego stewarda, a jego przyjaciel kapelan trzymał go za rękę. Griffith wiedział, że Boltrope został raniony, lecz o stanie pułkownika Howarda przekonał się dopiero na własne oczy. Otrząsnąwszy się trochę z pierwszego wrażenia, młody człowiek podszedł do pułkownika i próbował wyrazić mu swój żal i współczucie.

— Ani słowa więcej, Edwardzie Griffith — przerwał pułkownik nakazując milczenie ruchem osłabłej ręki. — Zda się wołą boską, żeby zatriumfowała ta rebelia, a byłoby próżnością ludzką wątpić w działanie Wszechmocnego. Mój słaby umysł dopatruje się w tym tajemnicy, lecz z pewnością są to niedocieczone drogi Opatrzności. Posłałem po ciebie, Edwardzie, bo nim umrę, chcę coś załatwić, aby nie powiedziano, że stary Jerzy Howard zaniedbał swego obowiązku, choćby

i w ostatniej chwili. Widzisz to płaczące dziecko u mego boku? Powiedz mi,, młodzieńcze, czy ją kochasz?

— Czyż trzeba mnie o to pytać? — zawołał Griffith.

— A czy będziesz dbał o Cecylię? Czy zastąpisz jej ojca i matkę, czy staniesz się troskliwym obrońcą jej niewinności i słabości?

Griffith zdołał odpowiedzieć pułkownikowi tylko gorącym uściskiem ręki.

— Wierzę ci — podjął umierający — choć bowiem zacny Hugon Griffith nie nauczył syna lojalności, wychował go na pewno na człowieka honoru. Miałem zamiary w stosunku do mego nieżyjącego kuzyna, pana Krzysztofa Dillona, co było objawem mej słabości i dużym błędem, ale słyszałem, że nie dotrzymał słowa, a przeto odmówiłbym mu ręki Cecylii, choćby zasłaniał się wiernością koronie brytyjskiej. Odszedł jednak z tego świata, a ja podążam za nim tam, gdzie możemy służyć jednemu tylko Panu. Lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy się rządzeni powinnością względem Niego niżli względem monarchów. Jeszcze tylko spytam, czy znasz dobrze tego oficera w służbie Kongresu, tego pana Barnstable'a?

— Żeglowałem z nim długie lata — oświadczył Griffith — i ręczę za niego jak za samego siebie.

Weteran uniósł się na łokciu z wielkim wysiłkiem i wpatrzył badawczo w młodziana.

— Nie mów teraz, waszmość, jako współuczestnik błahych rozrywek i nie polecaj go jak kolega, pamiętaj, że dajesz świadectwo przed umierającym, który szuka w tobie oparcia. Ważą się losy córki Johna Plowdena, czego nie mogę zlekceważyć, i nie odejdę w pokoju, zanim nie przekonam się, że oddałem ją w godne ręce.

— To dżentelmen — odrzekł Griffith — równie dobrego co rycerskiego serca. Kocha pańską pupilkę i mimo jej wielkich zalet, wart jej w zupełności. Nie mniej ode mnie kocha kraj, w którym się urodził, i dał mu pierwszeństwo przed ojczyzną swych przodków, jednakże... .

— To już wybaczyłem — przerwał pułkownik. — Po tym, czego dziś byłem świadkiem, skłonny jestem wierzyć, iż niebo sprzyja waszemu zwycięstwu. Wszelako nieposłuszny podkomendny gotów stać się nierozsądnym dowódcą. Po wszystkim, co . tak niedawno widziałem...

— Nie wspominaj tego, drogi panie! — zawołał Griffith w szlachetnym porywie. — Wszystko puściłem już w niepamięć i wybaczyłem. Sekundował mi dzielnie przez cały dzień. Dałbym głowę, że potrafi uszanować niewiastę, jak szlachetnemu człowiekowi przystało!

— To dobrze — rzekł weteran opadając na wezglowie. — Zawołajcie go. -

Griffith szeptem kazał wezwać Barnstable'a. Zapadło milczenie, gdyż porucznik nie ważył się odzywać do pogrążonego w myślach weterana. Kiedy oznajmiono młodego marynarza, pułkownik znów uniósł głowę i zwrócił się do przybyłego, lecz z daleko większą niż do Griffitha rezerwą i nieufnością.

— Dotyczące mej wychowanki i córki Johna Plowdena oświadczenie waszmości złożone wczorajszej nocy nie budzi najmniejszych wątpliwości co do pańskich życzeń. A więc starania obu panów zostają nagrodzone. Niechaj tu obecny duchowny wysłucha waszych ślubów małżeńskich, póki mi sił staje słuchać, abym mógł zaświadczyć o nich w niebiosach, jeśli byście wy zapomnieli!

— Nie teraz, nie teraz — szepnęła Cecylia. — Och, proszę cię, stryju, nie teraz.

Katarzyna nie odezwała się, lecz była do głębi wzruszona troską opiekuna o jej przyszłość. Pochyliła posłusznie głowę, a rzęsiste łzy spłynęły po jej twarzy.

— Tak, teraz, kochanie — ciągnął pułkownik — bo zaniedbałbym swój obowiązek. Wkrótce spotkam się oko w oko z waszymi rodzicami, moje dzieci. Nie mógłbym chyba wierzyć w nagrodę za służbę ojczyźnie i królowi, gdybym na łożu śmierci nie spodziewał się, że spotkam kiedyś zacnego Hugona Griffitha i prawego Johna Plowdena. Nikt nie powie na pewno, że kiedykolwiek zapomniałem o należnych niewiastom względach, lecz nie pora na ceregiele, gdy człowiekowi pozostają ledwie minuty życia, a ciężą na nim obowiązki. Nie potrafiłbym, moje dzieci, odejść w pokoju, gdybym na szerokim oceanie, a raczej na bezdrożach świata opuścił was bez należynej istotom tak młodym i niedoświadczonym opieki. Skoro podobało się Bogu zabrać wam opiekuna, to niech zastąpią go ci, którzy się tego podejmują.

Cecylia nie wahała się dłużej, wstała powoli z klęczek i podała Griffithowi rękę z miną pełną rezygnacji. Katarzyna pozwoliła poprowadzić się Barnstable'owi. Wzruszony tą sceną kapelan usłuchał wyrazistego spojrzenia Griffitha i otworzył modlitewnik, z którego czerpał pociechę dla Boltrope'a. Trzęsącym się głosem począł odczytywać stosowne modlitwy. Narzeczone ze łzami w oczach wypowiedziały sakramentalne słowa, które brzmiały głośniejsz i donioślej, niż to zwykle bywa wśród tłumu weselnego. Choć były to słowa nieodwołalne, wiążące je na całe życie w imię wyznawanych przed światem uczuć, zatraciły one dziewczęcą nieśmiałość w obliczu śmierci. Kiedy duchowny pobłogosławił obie pary, Cecylia oparła głowę na ramieniu męża i załzała się łzami, potem zaś uklękła znów przy stryju. Katarzyna przyjęła biernie konwencjonalny pocałunek Barnstable'a i wróciła powoli na swoje miejsce.

Pułkownikowi Howardowi udało się unieść na posłaniu i widzieć cały obrzęd. Po każdej modlitwie wypowiadał żarliwe „Amen”, następnie zaś osunął się z powrotem na łożo i wyraz zadowolenia zagościł na sędziwej, bladej twarzy.

— Dzięki wam, moje dzieci — ozwał się wreszcie. — Dziękuję wam, bo rozumiem, że uczyniliście to dla mnie. Wszystkie dokumenty dotyczące majątków mych pupilek znajdziecie, panowie, u mego bankiera w Londynie, tam również jest mój testament, Edwardzie, z którego dowiesz się, że Cecylia wnosi ci duży posag. Wdzięk i wychowanie rzucają się w oczy, lecz w Londynie są dowody, że był rzetelnym zarządcą ich majątku.

— Nie wspominaj o tym więcej, bo pęknie mi serce! — zawołała Katarzyna z głośnym szlochem, nie mogąc sobie darować, że była tak niewdzięczna. — Och! mów o sobie, myśl o sobie, myśmy niegodne, przynajmniej ja nie jestem godna jednej twej myśli;

Umierający wyciągnął do niej dobrotliwie rękę i podjął słabym już głosem:

— Co do mnie, to chciałbym spocząć, jak moi przodkowie, na łądzie... i w poświęconej ziemi.

— Stanie się tak — szepnął Griffith. — Sam się tym zajmę.

— Dziękuję ci, mój synu — rzekł weteran — bo jesteś nim jako mąż Cecylii. Przekonasz się z mego testamentu, że wyzwoliłem i zabezpieczyłem byt wszystkich mych niewolników, prócz tych niewdzięcznych łajdaków, którzy opuścili swego pana. Sami się wyzwolili, a więc mogą mi nic nie zawdzięczać. Figuruje tam również, Edwardzie, drobny legat na imię króla, jeśli najjaśniejszy pan raczy go przyjąć od dawnego i wiernego sługi, a tobie nie zaciąży oddanie tej błahostki. — Nastąpiła długa pauza. Umierający podsumował swój rachunek doczesny i widać uznał go za zbilansowany, gdyż rzekł: — Pocałuj mnie, Cecylio, i ty, Katarzyno. Znajduję w tobie czystość serca prawego Johna, twego ojca. W oczach mi ciemno. Gdzie ręka Griffitha? Młodzińcze, dałem ci wszystko, czym obdarzyć może życzliwy stary człowiek. Bądź czuły dla kochanego dziecka. Nie rozumieliśmy się, jak należało. Nie poznałem się ani na tobie, ani na panu Krzysztofie Dillonie. Może też nie spełniłem moich powinności względem Ameryki, lecz byłem za stary, żeby zmieniać orientację polityczną lub religijną. Ja... ja... kochałem króla. Niech mu Bóg błogosławi!...

Głos jego słabł coraz bardziej i wydał ostatnie tchnienie z błogosławieństwem na zamartwych wargach, a błogosławieństwo od tak uczciwego człowieka mógłby przyjąć z wdzięcznością i najdumniejszy monarcha.

Niewłocznie ciało przeniesiono do mesy, a Griffith i Barnstable zaprowadzili splakane żony do kabiny i usadzili na sofie okalającej od wewnątrz gródź rufową.

Boltrope obserwował błyszczącymi oczyma całą scenę od początku do końca. Młodzi ludzie, wracając z mesy, zbliżyli się do rannego kamrata, by przeprosić, że dotychczas się nim nie zajmowali.

— Słyszałem, żeś pan ranny — rzekł Griffith ujmując 'jego prawicę — lecz nie pierwszyna panu postrzały. Z pewnością prędko ujrzymy pana na pokładzie.

— Tak, tak — odparł szturman — obejdzie się i bez lunety, żeby zobaczyć stary kadłub, jak go będziecie spuszczać na morze. Słusznie pan powiada, i przedtem dostawałem postrzały, lecz w olinowanie. Nieraz wyrywały - mi drzazgi z poszycia, ten wszelako znalazł drogę do spiżarni, toteż rejs mego życia dobiega końca.

— Na pewno nie jest tak źle, nasz prawy Dawidzie — wtrącił Barnstable. — Wiadomo mi, żeś pływał z większą dziurą w skórze niż ta, którą wywiercił ten fatalny pocisk.

— Nie inaczej — odparł Boltrope — lecz z dziurą w nadbudówkach, gdzie doktor mógł zabić ją ćwiekiem, ale ten strzał zniósł przegrody w mej ładowni i czuję, że cały ładunek mam rozbity. Może pan być pewien, że Tourniquet ma mnie za umrzyka. Obejrzał mnie i oddał w ręce tu obecnego pastora niby szczątki zdadne tylko do przerobienia na coś innego. A z kapitana Munsona szczęściarz! Mówił pan, panie Griffith, że został zmieciony za burtę jak stał, z całym osprzętem. Śmierć raz tylko stuknęła w jego drzwi i wnet pożegnał się z tym światem.

— Zginął nagłą śmiercią — odpowiedział Griffith — lecz na to my, marynarze, musimy być przygotowani.

— I mamy niejedną okazję na to przygotowanie — dorzucił kapelan cicho, pokornie i bodaj nieśmiało.

Umierający spojrział bystro na obu i podjął nagle:

— To było szczęście kapitana i chyba to grzech zazdrości człowieka szczęścia. Co do przygotowania zaś, pastarze, to rzecz wasza. Nie ma czasu do stracenia, a więc im prędzej do tego przystąpicie, tym lepiej. I proszę bez zbędnego zachodu, bo ze wstydem muszę wyznać, iż nietęgi byłem w naukach. Jeśli zdołalibyście zapewnić mi na tamym świecie koję marynarską, jaką zajmowałem na tym okręcie, to w sam raz byłoby dla mnie.

Wprawdzie duchowny przyjął to niezwykle ograniczenie swej roli z pewnym niezadowoleniem i zaskoczeniem, lecz uległ wnet wobec prostoduszności, z jaką żeglarz wypowiedział swe życzenia. Po dłuższej chwili kapelan rzekł:

— Nie godzi się człowiekowi mierzyć boskiego miłosierdzia i cokolwiek bym uczynił, panie Boltrope, nie będzie to miało najmniejszego wpływu na moc ostatecznego wyroku. Com na ten temat powiedział wczorajszej nocy, macie świeżo w pamięci, a nie widzę powodu dziś przemawiać inaczej.

— Nie wszystko, co się odczytuje na logu, pozostaje w głowie — odparł szturman — a jeśli coś spa miętałem, to dla tej prostej przyczyny, że człek lepiej pamięta własne myśli niż myśli bliźniego. I właśnie przypominam sobie, panie Griffith, co miałem panu zameldować. Jeden z pocisków czterdziestodwufuntowych z trójpokładowca przeciął najmocniejszy w świecie łańcuch kotwiczny z taką łatwością, z jaką stara niewiasta przecina nożyczkami zbutwiałą nić. Bądź pan łaskaw nakazać jednemu z mych zastępców, by zajął się naprawą kabla.

— Nie myśl pan o tym - rzekł Griffith. — Bądź pewien, że zrobimy wszystko, co trzeba. Sam tego przypilnuję. Nie troszcz się pan o to i zajmij się ważniejszymi sprawami,

— Wszelako — odparł Boltrope z uporem — sędzę, że im rzetelniej człowiek spełnia swe obowiązki na tym świecie, tym łatwiej będzie mu uporać się z nowymi na tamym. Otóż właśnie wczorajszej nocy pastor wystąpił z nauką, że mniejsza, jak człowiek postępuje, byleby ulżył swemu sumieniu, podnosząc je fałami i obracając brasami wiary. Tego nie godzi się kazać na okręcie, bo w ten sposób popsuje się najlepszą załogę.

— Ach, nie, nie, kochany panie Boltrope, całkiem źle mnie zrozumiałeś! — zawołał kapelan. — W każdym razie...

— Być może, sir — przerwał łagodnie Griffith — nasz prawy Dawid i tym razem lepiej tego nie zrozumie. Czy nie ciąży ci jakakolwiek ziemską troska, Boltrope? Nie chcesz nikomu przekazać swych życzeń lub zarządzić swą własnością?

— Wiem, że ma matkę — ozwał się półgłosem Barnstable. — Nieraz mówił mi o niej podczas nocnych wacht. Sądzę, że musi żyć jeszcze.

Szturman słyszał dobrze, co mówią jego młodzi przyjaciele. Trzymany w ustach tytoń przepychał z policzka w policzek długo i bardzo kunsztownie, co świadczyło, że był bardzo wzruszony. Obskubywał zmartwiałą skórę u palców jednej szerokiej ręki, która tak jak i druga traciła już swą ciemną barwę i przybierała szary odcień znamionujący bliskość zgonu. W końcu ozwał się:

— Tak, moja stara matka wciąż się trzyma, czego o jej synu, Dawidzie, nie da się powiedzieć. Ojciec poszedł na dno z „Susan and Dorothy”, gdy się rozbiła za przylądkiem Cod, przypomina pan sobie, panie Barnstable? Byłeś „pan wtedy wyrostkiem ruszającym z wyspy na rejsy wielorybnicze. No, więc od czasu tego sztormu ja dbałem o pomyślne wiatry dla matki, choć mimo to wiodło się jej nie najlepiej i nieraz przeżyć musiała złą pogodę i dostawała skrócone racje.

— I chciałbyś, żebyśmy przekazali jej wiadomość o tobie? — spytał przyjaźnie Griffith.

— Wiadomości — podjął szturman coraz bardziej ochryplym i urywanym głosem — nigdy nie przekazywaliśmy sobie dużo, a to z powodu, że matka nie przywykła ich otrzymywać, a ja przesyłać. Lecz gdyby kto z panów przejrzał rejestr okrętowy i przekonał się, ile tam zapisano na moje imię, a zadał sobie trochę trudu, by oddać to staruszce, to znajdzie ją zakotwiczoną po zawietrznej domu, o, tu mam jej adres, Nr 10, Cornhill, Boston. Dbałem, żeby miała dobrą, ciepłą koję, zważywszy, że niewieście osiemdziesięcioletniej należy się to bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

— Sam to zrobię, Dawidzie! — zawołał Barnstable tłumiąc wzruszenie. — Odwiedzę ją natychmiast po rzuceniu kotwicy w Bostonie, a ponieważ zarobku nie możesz mieć dużo, podzielę się z twoją matką zawartością własnej sakiewki.

Szturman był głęboko wzruszony tą szlachetną obietnicą, co zdradzało konwulsyjne drganie mięśni jego wysmaganej wiatrami twarzy. Upłynęła dłuższa chwila, nim zdołał opanować drżenie głosu.

— Wiem, że zrobiłbyś to, Dick, wiem dobrze — wykrztusił wreszcie. — Wiem, iż oddałbyś ostatnią koszulę, żeby wspomóc matkę kamrata, ale bogaty ojciec cię nie wspiera i zbyt często miewasz pustki w kieszeni. A zwłaszcza gdyś się teraz ożenił, przyda wam się każdy zbędny cent.

— Ale ja posiadam majątek — rzekł Griffith — i jestem bogaty.

— O tak, słyszałem, że mógłby pan wystawić fregatę i zaopatrzyć ją we wszystko z własnej kieszeni.

— A ja ci daję słowo oficera floty — ciągnął młody marynarz — że nie zbraknie jej niczego, nawet opieki i uczuć synowskich.

Boltrope jakby się dusił. Próbował się podnieść, lecz opadł ciężko na posłanie. Konał może o parę chwil wcześniej wskutek tych głębokich i niezwykłych wzruszeń, które nim wstrząsały i domagały się wyrażenia słowami. — Boże, odpuść mi moje winy! — rzekł w końcu. — A zwłaszcza żem szemrał

nieraz na dyscyplinę. Pamiętajcie o najlepszej kotwicy i topenantach dolnych rej i, i, on to robi, Dick, on to robi! Rzucam cumy życia i niech Bóg wam błogosławi i da pomyślne wiatry na pełnym morzu i wodach przybrzeżnych.

Szturmanowi poplątał się język, lecz satysfakcja odbiła się w rysach nagle ściętych i zastygłych.

Griffith kazał przenieść ciało do kabiny szturmana i z ciężkim sercem wyszedł na górny pokład. W czasie pościgu za fregatą Anglicy nie dostrzegli „Alacrity” i kuter dzięki małemu zanurzeniu, korzystając ze światła dziennego, również zdołał uciec przez labirynt mielizn. Sygnałem ściągnięto go ku fregacie i dano wskazówki, jakiego ma trzymać się kursu w nocy. Brytyjskie okręty widniały na ciemnym tle morza ledwie w kształcie białych plamek. Od Amerykanów odgradzał je szeroki pas płycizn, toteż przestali się ich obawiać.

Wydano właściwe rozkazy i gdy wszystko było gotowe, okręty wzięły kurs na Holandię. Wiatr wzmógł się w ciągu dnia i wykręcił wraz ze słońcem, wobec czego szybkość ich wzrosła. Dawno już zapadła się za nimi w morze linia wybrzeża. Przez całą noc fregata pruća fale w posępnej ciszy, która działała kojąco na pogrążone w smutku niewiasty. Tej nocy nie zmrużyły oka. Wstrząśnięte zgonem pułkownika, oczekiwały nadto rozłąki na długo, może na zawsze, co wynikało z planów i nowych obowiązków Griffitha.

O świcie bosman wywołał całą załogą na pokłady, by pochować poległych. Ze zwykłym ceremoniałem spuszczone na głębie zwłoki Boltrope'a, paru podoficerów i kilku szeregowych, którzy zmarli w nocy wskutek odniesionych ran. Przebrasowano reje na wiatr i fregata pomknęła poprzez bezdroża wód, nie pozostawiając ani znaku, gdzie spoczęły ciała marynarzy.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, okręty znów legły w dryf. Zwłoki pułkownika Howarda umieszczono na „Alacrity”, na którą przeszedł Griffith z zapłakaną Cecylią. Katarzyna pozostała na fregacie i wychylała się przez iluminator, a łzy jej mieszały się z solą morską. Minęła chwila i Griffith gestem ręki pożegnał Barnastable'a, który dowodził teraz fregatą. Przebrasowano na niej reje ostro do wiatru i ruszyła w niebezpieczny rejs do Ameryki. Miała pozełgować koło Dover i przemknąć między brytyjskimi okrętami przez cieśninę pozostającą w ich władaniu. Było to zadanie bardzo trudne, lecz fregata sprzymierzonych potęg przepełnęła tędy parę miesięcy temu i dała przykład swym następcom.

Tymczasem „Alacrity”, trzymając kurs bardziej ku zachodowi, zbliżała się prędko do holenderskich wybrzeży i na godzinę przed zachodem słońca na rozkaz Griffitha stanęła w dryf. Spuszczono z niej małą, lekką łódkę. Młody marynarz i pilot, który dostał się na kuter prawie nie zauważony, wyszli z małej kabiny. Pilot powiódł oczyma wzdłuż wybrzeża, jakby chciał określić pozycję kutra, a potem spojrzął na morze i zachodni horyzont, wypatrując oznak pogody. Przekonał się widać, że nic nie stoi na przeszkodzie jego zamierzeniom, bo podał Griffithowi rękę i rzekł:

— Tu się rozstajemy, a skoro nasze spotkanie nie zostało uwiecznione sukcesem, niech pójdzie w niepamięć.

Griffith uklonił mu się z szacunkiem, bez słowa, a ten z lekceważącym gestem ku lądowi dorzucił:

— Gdybym rozporządzał choćby połową floty tej zdegenerowanej republiki, drżałby w swym zamku najpyszniejszy z tych wyniosłych wyspiarzy i nie czuł się bezpieczny przed śmiałkami ufnymi w swe siły i znającymi słabość nieprzyjaciela. Ale — dodał prędko, niżając głos — spełzło to na niczym jak wyprawy na Liverpool, Whitehaven, Edynburg i z pięćdziesiąt innych! Przemineło, sir! Niech zostanie zapomniane.

Nie zwracając uwagi na tłoczących się i zdziwionych świadków odjazdu, spiesznie skłonił się Griffithowi, zeskoczył do łodzi i podniósł mały żagiel ze sprawnością człowieka, który zgłębił wszystkie tajniki swego zawodu. Łódź żywo odbiła od kutra. Pilot jeszcze raz pomachał Griffithowi ręką na pożegnanie, a uśmiech gorzkiej rezygnacji błysnął na jego nieruchomej twarzy. Griffith dłuższy czas gonił spojrzeniem samotny żagiel mknący na pełne morze. Dopiero gdy ciemna plamka znikła w blasku zachodzącego słońca, kazał podnieść główne żagle „Alacrity”.

Na podążającym do zaprzyjaźnionego portu kutrze krążyło wśród załogi mnóstwo najdziwaczniejszych przypuszczeń na temat pilota, który tajemniczo pojawił się u brzegów Brytanii i jeszcze bardziej zagadkowo znikł na burzliwym Morzu Północnym. Słuchając tych prostodusznych gawęd Griffith nie uśmiechnął się ani nie zdradził, że je słyszy, a ożywił się dopiero, gdy doniesiono, że mała łódź pod jednym żaglem przecina kurs kutra, . zmierzając do przystani. Błysk radości na stroskanej twarzy zdradził ulgę, jaką sprawiła mu ta wiadomość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

O bratnie dusze z najgłębszych otchłani,

Nad bratem stańcie falangą wokóło.

Niechaj szmer żaden we śnie go nie rani

I strzeżcie laurów, co wieńczą mu czoło.

Tripp

Tu należałoby spuścić kurtyną przed widzami tego dramatu, ufając, że każdy sprawiedliwie obdzieli w duchu bohaterów bogactwem i szczęściem. Nie widzimy jednak powodu, by rozstać się z nimi tak obojętnie. Długo z nimi przebywaliśmy, a co zostaje do powiedzenia, w równej mierze jest prawdziwe jak i to, co już zostało opowiedziane, toteż z naszymi dramatis personae nie pożegnamy się tak nagle. Skreślimy pokrótce ich dalsze koleje, żałując, iż nałożone nowoczesnej powieści ramy nie pozwalają opisać wielu scen komicznych i ciekawych, które tak żywo kreśli węgiel grafika.

Żeglując z fregatą ku tym wybrzeżom, od których może nie powinno odrywać się niesforne pióro, zaczniemy krótką relację od Barnastable'a i jego to smutnej, to wesołej, lecz zawsze kochającej żony. Okręt dzielnie wywalczył sobie wśród mrowia nieprzyjacielskich krążowników drogę do bostońskiego portu, gdzie Barnstable został nagrodzony wyższą szarżą i formalnym zatwierdzeniem dowództwa fregatą.

Sprawował tę funkcję z kunsztem i gorliwością do końca wojny a powrócił do domu rodzinnego, swego prawego dziedzictwa, dopiero po zawarciu pokoju i wywalczeniu niepodległości, okryty sławą dzielnego oficera. Kiedy rząd federalny przystąpił do organizacji floty, kapitan Barnstable dał się skusić wyższą rangą do opuszczenia domu. Przez długie lata należał do grona marynarzy służących ojczyźnie w dobre prób i niebezpieczeństw. Składało się tak szczęśliwie, że znaczną część służby o bardziej pokojowym charakterze mógł pełnić bez rozłąki z Katarzyną, która, nie mając dzieci, dzieliła z nim trudy i niewygody życia okrętowego. W ten sposób wędrowali wesoło i szczęśliwie przez życie, bo Katarzyna, zadając kłam wróżbom pułkownika, była posłuszną, a już niewątpliwie kochającą żoną.

Młodociany Merry trzymał się Barnstable'a i Katarzyny, póki potrzebował kierownictwa, a kiedy został awansowany na oficera, pierwsze dowództwo sprawował w cieniu admiralskiego znaku swego kuzyna. Byłby w dojrzałym wieku nieustraszoną i czynnym marynarzem, na jakiego zapowiadał się za młodu, gdyby nie zginął przedwcześnie w pojedynku z cudzoziemskim oficerem.

Kapitan Manual, ledwie stanął na ojczystym brzegu, wszczął starania o powrót w szeregi armii. Nie czyniono mu trudności i wkrótce, ku swej wielkiej satysfakcji, miał to, czego dusza jego pragnęła — stałą musztrę. Zdażył wziąć udział we wspaniałych zwycięstwach, które położyły kres wojnie, jak i uczestniczyć w niepowodzeniach armii. Nie zapomniano mu jednak zasług przy reorganizacji sił zbrojnych i odbył zachodnie kampanie pod rozkazami St. Claira i jego szczęśliwszego następcy,

Wayne'a. Pod koniec stulecia, gdy Brytyjczycy opuszczali posterunki graniczne, kapitan objął ze swą kompanią placówkę przy jednej z tych potężnych rzek, które stanowią granice terytorium Republiki na północy. Flaga brytyjska powiewała na zbudowanej ostatnimi czasy fortyfikacji na przeciwległym brzegu, u nowych granic Kanady Manual, trzymając się ściśle etykiety wojskowej i wiedząc, iż sąsiednim fortem dowodzi oficer liniowy, nie omieszkał złożyć mu wizyty we właściwym czasie. Ta znajomość powinna była wpłynąć na przyjazne i dogodne ułożenie się stosunków między oficerami. Amerykański wiarus pytał o szarżę angielskiego oficera, a nie o jego nazwisko, lecz gdy czerwonolicy, komiczny, jednonogi oficer zaprezentował mu się jako major Borroughcliffe, przypomniał sobie spotkanie w Opactwie Św. Ruty. Godni wojacy odnowili przyjaźń ku obustronnemu zadowoleniu, a w końcu doszło do tego, że kazali wybudować chatę z bierwion na jednej z wysp, aby tam, bez szkody dla dyscypliny, zabawiać się i ucztować na neutralnym terytorium. Dzięki łowieckim wyczynom po zakamarkach rzeki mogli oddawać się uciechom stołu. Bankiety ich urozmaicała wszelkiego rodzaju smakowita zwierzyna, ptactwo oraz dziwaczne stworzenia, w które obfitują zachodnie tereny. Tak podtrzymywane stosunki międzynarodowe i przyjacielskie działania wojenne pociągnęły za sobą koszty, lecz ponosili je do spółki. Podzielili się też obowiązkami dostarczania artykułów ze stron bardziej cywilizowanych. Do Borroughcliffe'a należało sprowadzanie porteru oraz dostałych win Oporto, jakie tylko przepływały przez Zatokę Św. Wawrzyńca, a Manualowi przypadło zaopatrywanie stołu w szlachetną maderę, od której jego przyjaciel wymagał tylko, by pochodziła z południa.

Zdarzało się, że młodszy oficerowie z obu garnizonów czynili aluzje do bitwy, w której major Borroughcliffe stracił nogę. Wówczas angielski chorąży szeptał amerykańskiemu, że zdarzyło się to na południowym wschodzie Anglii w zaciętym boju, gdzie z ich strony dowodził major i okrył się taką chwałą, iż uzyskał obecny stopień bezpłatnie. Obaj weterani — bo należał się im już ten tytuł — przez kurtuazję nie poruszali tej delikatnej sprawy. Czasem tylko pod koniec hulanki Borroughcliffe łypał okiem na swego amerykańskiego przyjaciela, którego oblicze przybierało wtedy wyraz głębokiego namysłu. Tak to biegły lata, a między posterunkami panowała idealna harmonia, choć w krajach, do których należały, nieraz wrzało od wzajemnych animozji. Wreszcie koniec tej przyjaźni położyła niespodziewana śmierć Manuala. Jako zwolennik żelaznej dyscypliny nie wyruszał on nigdy na neutralną wyspę bez ubezpieczenia i zaciągał przepisowe warty. To samo zalecał swemu przyjacielowi jako środek sprzyjający utrzymaniu dyscypliny i zapobiegający ewentualnemu zaskoczeniu przez obcy garnizon. Major jednak lekceważył te rady, zbyt dobroduszny, żeby dopatrywać się nieufności w postępkach serdecznego przyjaciela. Pewnego razu, a mieli wtedy kłopoty z aprowizacją, Manual wyszedł z chaty i zbliżył się do wartownika w stanie takiej zadumy, że zapomniał hasła. Przykro powiedzieć, iż padł od strzału własnego żołnierza, którego musztra uczyniła obojętnym na to, do kogo strzela, byle był w zgodzie z obyczajami wojennymi i regulaminem. Manual żył dość długo, aby żołnierza podać do awansu, a przed Borroughcliffe'em pochwalić się perfekcją, do jakiej doprowadził swój oddział.

Na jakiś rok przed tym smutnym wydarzeniem została zamówiona beczka wina z południowego brzegu Madery. Wyładowana w Nowym Orleanie, wędrowała powoli przez bystrzyny Missisipi i Ohio, by jak najdłużej pozostać pod błogosławionymi promieniami południowego słońca. W tym czasie Manual uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, a Borroughcliffe postanowił sam zatroszczyć się o drogocenną pamiątkę ich wspólnych gustów. Dostał urlop od dowództwa i podążył w dół rzeki z chwalebnią intencją dopilnowania dostawy osobiście. Na skutek zbyt gorliwej nazajutrz po

osiągnięciu celu podróży nabawił się złośliwej febry. Doktor i major stosowali odmienne sposoby leczenia niebezpiecznej w tym klimacie choroby. Doktor zalecał wstrzemięźliwość, lecz pacjent za najlepsze lekarstwo uważał obfite racje kordiału, po który wybrał się tak daleko. W rezultacie choroba zatriumfowała. Borroughcliffe na trzeci dzień przeniósł się do wieczności, a zwłoki jego odstawiono tam, skąd przybył. Został pochowany obok przyjaciela w tej samej chacie, w której tak często hulali. Pozwoliliśmy sobie podać tak szczegółowo dzieje rywali, gdyż będąc kawalerami, nikogo nie osierocili, nie oplakiwały ich ani żony, ani dzieci, a ponadto, jako ludzie śmiertelni, musieli przecie kiedyś umrzeć. Zakończyli życie w sile wieku, po sześćdziesiątce, i czytelnik winien nam być wdzięczny, że daliśmy mu poznać drogi przeznaczenia.

Kapelan powrócił z morza w porę, aby na lądzie pełnić obowiązki duszpasterza, czemu szczególnie rada była Katarzyna, która nieraz zanudzała swego zacnego męża wyrzutami, że ślub ich był nieważny.

Griffith i jego okryta żałobą żona przewieźli ciało pułkownika Howarda do jednego z wielkich miast holenderskich, gdzie z honorami zostało oddane ziemi. Potem Griffith udał się do Paryża, chcąc zatrzeć w pamięci pięknej Cecylii smutki czasów ostatnich. Z Paryża Cecylia porozumiała się listownie z Alicją Dunscombe. Uporządkowano sprawy spadkowe, na ile pozwalały niespokojne czasy. Później, gdy Griffith przyjął zaofiarowane mu dowództwo, powrócili do Ameryki, skąd wyruszył w rejs na Morze Północne. Pozostał we flocie do końca wojny, po czym rzucił żeglugę, poświęcając się całkowicie życiu rodzinnemu i obowiązkowi obywatelskim.

Łatwo było rewindykować majątek pułkownika Howarda, porzucony raczej przez pychę niż z konieczności i nie ulegający konfiskacie, młodzi Griffithowie odziedziczyli więc dużą sumę pieniędzy. Korzystamy z okazji, by zanotować, że Griffith wywiązał się z danej umierającemu szturmanowi obietnicy i zabezpieczył los jego matki stosownie do jej kondycji i wymagań.

Upłynęło około dwunastu lat od opisanej kampanii, gdy Griffith, przeglądając niedbale plik gazety upuścił je nagle i przesunął ręką po czole jak człowiek, któremu się coś przypomniało i który próbuje odświeżyć w pamięci dawno już wyblakłe obrazy.

— Czyś wyczytał w gazecie coś niepokojącego? — spytała zauważywszy to wciąż piękna Cecylia. — Mam nadzieję, że teraz, kiedy mamy rząd federalny, Stany Zjednoczone prędko wrócą do normalnego stanu po poniesionych stratach. Natrafiłeś może na jeden z tych planów tworzenia nowej floty. Widzę, że znów wzdychasz do włóczęgi i tęsknisz do powrotu na morza.

— Przestałem tęsknić i wzdychać, odkąd ty zaczęłaś się uśmiechać — odparł z roztargnieniem, nie odejmując ręki od skroni.

— A może nowy ustrój napotyka trudności? Może Kongres walczy z prezydentem?

— Mądrość i popularność Waszyngtona utorują drogi nowemu systemowi rządzenia, póki nie okrzepnie. Czy nie przypominasz sobie, Cecyljo, człowieka, który towarzyszył Manualowi i mnie do Opactwa Św. Ruty tej nocy, gdy zostaliśmy jeńcami twego stryja, a który później o swobodził nas i przyszedł z odsieczą Barnstable'owi?

— Naturalnie! To był pilot waszego okrętu, jak mówiono. Domyślny oficer kwaterujący u nas podejrzewał, że był nie tym, za kogo się podawał.

— Podejrzenia oficera były słuszne. Ty nie widziałaś go tej okropnej nocy, kiedy przeprowadzał nas przez mielizny. Nie mogłaś też być świadkiem, jak z zimną krwią i odwagą wyprowadzał nas tym samym szlakiem z bitwy.

— Dochodził mnie straszliwy łoskot. Wyobrażam sobie te okropieństwa — odparła Cecylia, a na samo wspomnienie, choć było to tak dawno, przybladła. — Ale co się z nim stało? Czy nazwisko jego pojawiło się w gazetach? Ach! to gazety angielskie! Nazywałaś go Gray, jeśli się nie mylę?

— Przybierał to nazwisko wśród nas. Miał przesadne pojęcie o sławie, chciał przeto, aby wszystko, w czym brał udział, a co nie przyczyniło się do jego rozgłosu, pozostało zatajone; Dlatego to i ja, związany uroczystą obietnicą, nigdy o nim nie wspominałem. Teraz zmarł!

— Czy mógł zachodzić jakiś związek między nim a Alicją Dunscombe? — spytała Cecylia opuszczając robótkę na kolana i popadając w zadumę. — Tej nocy, kiedy Katarzyna i ja odwiedziłyśmy cię w areszcie, rozmawiała z nim w cztery oczy na własne życzenie. Już wtedy kuzynka szepnęła mi, że oni się znają. List od Alicji, jaki wczoraj otrzymałam, był pod pieczętką z czarnego laku i wzruszył mnie smutek, z jakim wyrażała tęsknotę do przeniesienia się na lepszy świat.

Griffith spojrział bystro na żonę i odpowiedział jak człowiek, któremu oczy otworzyły się nagle na pewną ważną okoliczność.

— Twoje przypuszczenia, Cecylio, na pewno są trafne! Przywodzi mi to na myśl mnóstwo potwierdzających je rzeczy. Jego znajomość wybrzeża i Opactwa, jego przeszłość, jego wyprawa, słowem, wszystko za tym przemawia! Był to naprawdę człowiek mocnego charakteru.

— Czemu nie przebywał między nami? — spytała Cecylia. — Zdawał się oddany naszej sprawie.

— Jego przywiązanie do Ameryki wynikało z dążenia do sławy, dominującej pasji jego życia, a po trosze z pretensji do swych rodaków o doznaną od nich krzywdę. Jak każdy człowiek miał swe słabostki, do których zaliczam przecenianie doniosłości własnych czynów, nawet chwalebnych i zuchwałych. Mało też było prawdy w pogłoskach rozsiewanych o nim przez nieprzyjaciela. Więcej zastrzeżeń budzi jego umiłowanie wolności z tego względu, że choć rozpoczął od walki o te wolne stany, skończył w służbie despoty. Już go nie ma, lecz gdyby życie upływało mu w bardziej sprzyjających warunkach, gdyby młode lata nauczyły go patrzeć obojętnie na zdobyte w późniejszym wieku godności, gdyby służył w regularnej i lepiej zaopatrzonej flocie, to mistrzostwo jego w zawodzie żeglarskim, zimna krew, nieugięte i zuchwałe męstwo zapewniłyby mu imię wśród najślawniejszych obywateli naszego kraju.

— Dlaczego tak żarliwie go bronisz? — zawołała Cecylia ze zdziwieniem. — Kimże on był?

— Człowiekiem, któremu za życia obiecałem zachować milczenie, a od danego słowa nie zwolniła mnie jego śmierć. Dość, że wielce przyczynił się do naszego małżeństwa, a szczęście nasze rozbiłoby się, gdybyśmy nie spotkali nieznanego pilota na Morzu Północnym.

Griffith wstał i troskliwie zebrał gazety przed wyjściem z pokoju, więc Cecylia nigdy już w rozmowach z mężem nie poruszyła tej sprawy..